STEPHEN

KING

CMĘTARZ ZWIEŻĄT

Prószyński i S-ka

Stephen King

CMĘTARZ ZWIEŻĄT

Przełożyła Paulina Braiter

Wydawnictwo Prószyński i S-ka

Oto kilku ludzi, którzy napisali książki opowiadające o tym, co robili i czym się przy tym kierowali:

John Dean. Henry Kissinger. Adolf Hitler. Caryl Chessman. Jeb Magryder. Napoleon. Talleyrand. Disraeli. Robert Zimmerman, znany powszechnie jako Bob Dylan. Locke. Charlton Heston. Errol Flynn. Ajatollah Chomeini. Gandhi. Charles Olson. Charles Colson. Wiktoriański dżentelmen. Doktor X.

Większość ludzi wierzy też, iż Bóg napisał Księgę, czy może Księgi, opowiadające o tym, co zrobił i – przynajmniej w pewnym stopniu – czym się przy tym kierował. A skoro większość owych ludzi wierzy również, że człowiek został stworzony na Jego podobieństwo, Boga także można uznać za osobę… czy raczej Osobę.

A oto inni ludzie, którzy nie napisali książek opowiadających o tym, co robili… i co widzieli:

Człowiek, który pochował Hitlera. Człowiek, który przeprowadził sekcję zwłok Johna Wilkesa Bootha. Człowiek, który zabalsamował Elvisa Presleya, i ten, który uczynił to samo – według opinii większości znawców, bardzo kiepsko – z papieżem Janem XXIII. Kilkudziesięciu grabarzy, którzy oczyszczali Jonestown, dźwigali worki ze zwłokami, odganiali roje much, nabijali papierowe kubki na szpikulce używane przez dozorców w miejskich parkach. Człowiek, który skremował Williama Holdena. Mężczyzna, który pokrył ciało Aleksandra Wielkiego złotem, tak by nie tknął go trupi rozkład. Ludzie, którzy mumifikowali faraonów.

Śmierć jest tajemnicą, a pogrzeb – sekretem.

CZĘŚĆ PIERWSZA
Cmętarz Zwieżąt

Jezus rzekł im:

– Nasz przyjaciel Łazarz śpi, pójdę jednak, by zbudzić go ze snu.

Wówczas uczniowie spojrzeli po sobie z uśmiechem, bo nie wiedzieli, że Jezus mówi w przenośni.

– Panie, skoro śpi, zdrów będzie.

Wtedy Jezus przemówił otwarcie.

– To prawda, Łazarz nie żyje… lecz i tak pójdźmy do niego.

Ewangelia według świętego Jana (parafraza)

1

Louis Creed stracił ojca, gdy miał zaledwie trzy lata; nigdy nie poznał swych dziadków i nie oczekiwał bynajmniej, że wkraczając w wiek średni, znajdzie nowego ojca, jednakże tak właśnie się stało – choć, jak wypada dorosłemu mężczyźnie, spotykającemu tak późno człowieka, który winien odgrywać tę rolę, nazwał go przyjacielem. Poznali się wieczorem tego dnia, gdy wraz z żoną i dwójką dzieci wprowadzał się do wielkiego, białego drewnianego domu w Ludlow. Razem z nimi przybył tam również Winston Churchill, czyli Church, kot córki Louisa, Eileen.

Uniwersyteccy wywiadowcy działali powoli, poszukiwania domu w znośnej odległości od uczelni przypominały mrożący krew w żyłach thriller, toteż kiedy wreszcie zbliżyli się do miejsca, w którym miała stać wymarzona siedziba (Wszystko się zgadza – jak znaki w noc przez zabójstwem Cezara, pomyślał ponuro Louis), byli zmęczeni, spięci i bardzo drażliwi. Gage ząbkował i awanturował się niemal bez przerwy. Nie chciał zasnąć, choć Rachel starała się ukoić go kołysankami. Potem spróbowała go nakarmić, mimo iż nie nadeszła jeszcze pora, lecz Gage orientował się w rozkładzie posiłków równie dobrze jak ona (a może nawet lepiej) i natychmiast ugryzł ją w pierś swymi nowymi ząbkami.

Rachel, wciąż nie do końca przekonana do pomysłu przeprowadzki z Chicago do Maine, wybuchnęła płaczem. Natychmiast dołączyła do niej Eileen, zapewne w odruchu tajemnej kobiecej solidarności. Z tyłu kombi Church krążył niestrudzenie, tak jak to czynił przez ostatnie trzy dni – tyle bowiem zajęła im jazda z Chicago. Zamknięty w klatce przeraźliwie miauczał, ale to niespokojne krążenie, gdy w końcu ustąpili i wypuścili go, było niemal równie irytujące.

Sam Louis także miał ochotę się rozpłakać. Nagle przyszedł mu do głowy szalony, lecz dość nęcący pomysł: zaproponuje, by wrócili do Bangor i przekąsili coś w oczekiwaniu na wóz meblowy, a kiedy trójka zakładników losu wysiądzie, on doda gazu i odjedzie, nie oglądając się za siebie, cisnąc gaz do dechy i napawając się rykiem potężnego, czterocylindrowego silnika wozu, łapczywie żłopiącego cenną benzynę. Ruszy na południe, aż do Orlando na Florydzie, i pod nowym nazwiskiem znajdzie sobie posadę lekarza w Disney Worldzie. Ale zanim skręci na autostradę – dziewięćdziesiątą piątą, na południe – zatrzyma się na poboczu i wyrzuci też tego pieprzonego kota.

I wtedy pokonali zakręt, a ich oczom ukazał się dom, który wcześniej oglądał jedynie sam Louis. Gdy tylko upewnił się ostatecznie co do swej posady na uniwersytecie, przyleciał tu, by przyjrzeć się bliżej wyselekcjonowanym ze zdjęć siedmiu możliwym siedzibom, i wybrał właśnie tę: wielkie stare domostwo w

nowoangielskim stylu kolonialnym (lecz niedawno ocieplone i izolowane; koszty ogrzewania, choć koszmarnie wysokie, nie przekraczały poziomu szaleństwa), trzy pokoje na dole, cztery dalsze na piętrze, długa szopa, którą później także można przebudować, a wszystko otoczone rozległym trawnikiem, soczyście zielonym nawet w sierpniowym upale.

Za domem rozciągała się wielka łąka, na której mogły bawić się dzieci. Dalej zaczynał się praktycznie niemający końca las. Posiadłość graniczyła z gruntami stanowymi i, jak wyjaśnił pośrednik, w przewidywalnej przyszłości nie planowano tu żadnej rozbudowy. Resztki szczepu Indian Micmaców żądały blisko ośmiu tysięcy akrów ziemi w Ludlow i miastach na wschód od niego. Skomplikowany proces, w którym oprócz stanu stroną był także rząd federalny, potrwa zapewne do następnego wieku.

Rachel natychmiast przestała płakać. Wyprostowała się.

– Czy to…?

– Tak – odparł Louis z lekką obawą (niebezpiecznie graniczącą ze strachem) w głosie. W istocie był przerażony. Za ten dom zastawił dwanaście lat ich życia; spłacą go dopiero wtedy, gdy Eileen skończy siedemnaście lat. Siedemnaście lat! W ogóle nie potrafił sobie tego wyobrazić.

Przełknął ślinę.

– I co ty na to?

– Co ja na to? Jest piękny! – odparła i z serca – oraz umysłu – Louisa spadł olbrzymi kamień. Nie żartowała, widział to po sposobie, w jaki patrzyła na dom, kiedy skręcali w wyasfaltowany podjazd okrążający budynek i wiodący do szopy na tyłach. Jej oczy badały już puste okna, a myśli zaprzątały kwestie takie jak odpowiednie zasłony, cerata do wyłożenia półek w kredensie i Bóg jeden wie, co jeszcze.

– Tatusiu? – zagadnęła siedząca z tyłu Eileen. Ona też już nie płakała. Nawet Gage przestał marudzić. Louis rozkoszował się ciszą.

– Tak, kochanie?

Jej widoczne w lusterku oczy, brązowe pod ciemnoblond grzywką, także badały dom, trawnik, widoczny w dali po lewej dach sąsiedniego budynku, rozległe pole aż po linię lasu.

– Czy to jest nasz dom?

– To będzie nasz dom, złotko.

– Hura! – krzyknęła, ogłuszając go kompletnie. Choć czasami Eileen mocno go drażniła, w tym momencie Louis nie dbał o to, czy kiedykolwiek zobaczy Disney World w Orlando.

Zaparkował przed szopą i zgasił silnik.

Silnik umilkł. W popołudniowej ciszy – która po Chicago, harmidrze State Street i Loopa wydawała się przejmująca – słodko śpiewał ptak.

– Dom – westchnęła cicho Rachel, nie odrywając wzroku od budynku.

– Dom – powiedział z zadowoleniem Gage z jej kolan.

Louis i Rachel spojrzeli po sobie. Widoczne w lusterku oczy Eileen rozszerzyły się gwałtownie.

– Czy on…

– Czy ty…

– Czy to…

Wszyscy zaczęli mówić razem i razem wybuchnęli śmiechem. Gage ssał kciuk, nie zwracając uwagi na rodzinę. Prawie od miesiąca mówił „Ma”, a kilka razy zaryzykował nawet coś, co przy dużej dawce życzliwości (bądź, jak w przypadku Louisa, nadziei) można by uznać za „Taaa”.

Ale to, przypadkiem czy dzięki naśladownictwu, było prawdziwe słowo. Dom.

Louis podniósł synka z kolan żony i przytulił mocno.

I tak przybyli do Ludlow.

2

We wspomnieniach Louisa Creeda chwila ta na zawsze zapisała się jako magiczna – być może częściowo dlatego, że rzeczywiście taka była, ale też z tego powodu, iż reszta wieczoru okazała się istnym szaleństwem. Przez najbliższe trzy godziny nie zaznali ani chwili magii czy spokoju.

Louis starannie (był bowiem człowiekiem porządnym i metodycznym) schował klucze do brązowej koperty, opisanej: „Dom w Ludlow – klucze, otrzymane 29 czerwca". Na czas podróży włożył kopertę do schowka na rękawiczki fairlane'a. Miał co do tego absolutną pewność. Teraz ich tam nie było.

Zaczął ich szukać z rosnącą irytacją (i obawą), a tymczasem Rachel posadziła sobie Gage'a na biodrze i ruszyła w ślad za Eileen ku rosnącemu na polu drzewu. Po raz trzeci zaglądał pod siedzenia, gdy nagle jego córka wrzasnęła i zaczęła płakać.

– Louis! – zawołała Rachel. – Eileen się skaleczyła!

Dziewczynka spadła ze zrobionej z opony huśtawki i uderzyła kolanem o kamień. Skaleczenie było płytkie, krzyczała jednak, jakby właśnie straciła nogę, pomyślał (dość nieprzychylnie) Louis. Obejrzał się na dom po drugiej stronie szosy; w oknie salonu płonęło światło.

– W porządku, Eileen – rzekł. – Wystarczy. Ludzie

pomyślą, że kogoś tu mordujemy.

– Ale to booooooliiiiiiii!

Louis z trudem opanował zniecierpliwienie i bez słowa zawrócił do wozu. Klucze zniknęły, lecz apteczka wciąż tkwiła w schowku. Zabrał ją i ruszył z powrotem. Kiedy Eileen zobaczyła, co niesie, podniosła jeszcze większy wrzask.

– Nie! Nie to piekące! Nie chcę piekącego! Tatusiu, nie!

– Eileen, to tylko betadyna. Wcale nie piecze.

– Zachowuj się jak duża dziewczynka – dodała Rachel. – To tylko…

– Nienienienienie…

– Przestań albo zaraz zapiecze cię pupa – ostrzegł Louis.

– Jest zmęczona, Lou – powiedziała cicho Rachel.

– Tak, znam to uczucie. Przytrzymaj jej nogę.

Rachel odłożyła Gage'a i unieruchomiła nogę Eileen, a Louis pomalował ranę betadyną, nie zwracając uwagi na coraz bardziej histeryczne zawodzenie córki.

– W tamtym domu ktoś właśnie wyszedł na werandę. – Rachel podniosła Gage'a, który zaczynał pełzać po trawie.

– Cudownie – mruknął Louis.

– Jest…

– Zmęczona. Tak, wiem. – Zakręcił buteleczkę i spojrzał ponuro na Eileen. – No proszę. I wcale nie bolało. Przyznaj się, Ellie.

– Boli! Właśnie że boli! Booooo…

Zaswędziała go ręka, ale jedynie zacisnął palce na własnej nodze.

– Znalazłeś klucze? – spytała Rachel.

– Jeszcze nie. – Louis zatrzasnął apteczkę i wstał. – Zaraz…

Gage zaczął krzyczeć. Nie marudził ani nie płakał – naprawdę krzyczał, szamocąc się w ramionach matki.

– Co się z nim dzieje? – Rachel niemal na oślep wepchnęła dziecko mężowi. To pewnie jedna z zalet bycia żoną lekarza, pomyślał; zawsze można wtrynić mu dzieciaka, gdy tylko coś się stanie. – Louis! Co się…

Maluch z donośnym rykiem usiłował złapać się za szyję. Louis przekręcił go na bok i ujrzał biały guz, rosnący na skórze Gage'a. I coś jeszcze, na pasku sweterka, coś włochatego, poruszającego się wolno.

Eileen, która właśnie zaczynała się uspokajać, wrzasnęła:

– Pszczoła! Pszczoła! PSZCZOŁA!

Odskoczyła gwałtownie, potknęła się o ten sam wystający nad ziemię kamień, z którym zaznajomiła się wcześniej, usiadła z rozmachem i rozpłakała się z bólu, zaskoczenia i strachu.

Zaraz zwariuję, pomyślał ze zdumieniem Louis. Łeeełeeełeeee…

– Zrób coś, Louis! Nie możesz czegoś zrobić?

– Trzeba wyciągnąć żądło – oznajmił przeciągle głos za ich plecami. – Tak należy postąpić. Wyciągnąć żądło i

przyłożyć sodę oczyszczoną. Wtedy zejdzie opuchlizna. – Akcent przybysza był tak silny, że przez moment znużony, rozkojarzony umysł Louisa odmówił współpracy w tłumaczeniu. „Wyćgnońć żonło i przłożyć soode oczyszczono”.

Odwrócił się i ujrzał starego mężczyznę, na oko koło siedemdziesiątki – czerstwej i zdrowej siedemdziesiątki – stojącego na trawie. Nieznajomy miał na sobie farmerki i błękitną płócienną koszulę, z której wyłaniała się mocno pofałdowana i pomarszczona szyja. Twarz miał ogorzałą i palił papierosa bez filtra. Na oczach Louisa starzec kciukiem i palcem wskazującym zgasił papierosa i wsunął go zręcznie do kieszeni. Wyciągnął ręce i uśmiechnął się krzywo; Louisowi natychmiast spodobał się ten uśmiech, a nie należał do ludzi, którzy lgną do innych.

– Nie żebym miał pana uczyć, doktorze – dodał tamten i tak właśnie Louis Creed poznał Judsona Crandalla, mężczyznę, który powinien być jego ojcem.

3

Obserwował ich przyjazd z drugiej strony drogi i kiedy uznał, że „marnie to wygląda” (jego własne słowa), poszedł sprawdzić, czy nie zdoła im pomóc.

Podczas gdy Louis trzymał małego na ramieniu, Crandall zbliżył się, oszacował wzrokiem rozmiary opuchlizny na szyi Gage’a i wyciągnął sękatą, powykręcaną rękę. Rachel otwarła usta, by zaprotestować – jego dłoń, niemal dorównująca wielkością głowie malca, wyglądała okropnie niezgrabnie – ale zanim zdążyła powiedzieć choć słowo, palce starca wykonały jeden szybki ruch, zręcznie niczym u iluzjonisty, popisującego się karcianymi sztuczkami i posyłającego monety w tajemną otchłań magików. Uniósł dłoń, pokazując żądło.

– Spore – mruknął. – Może nie rekordowe, ale załapałoby się na podium.

Louis wybuchnął śmiechem. Crandall spojrzał na niego z krzywym uśmieszkiem.

– Mocna rzecz, no nie?

– Mamusiu, co powiedział ten pan? – spytała zdumiona Eileen i wtedy Rachel także zaczęła się śmiać. Oczywiście było to okropnie niegrzeczne, lecz jednocześnie wydawało się dziwnie na miejscu. Crandall wyciągnął z kieszeni paczkę chesterfieldów king size,

wsunął jednego w kącik pobrużdżonych ust, pogodnie skłonił głowę – teraz już nawet Gage zanosił się gulgoczącym śmiechem, mimo opuchlizny po użądleniu – i zapalił zapałkę, pocierając ją o paznokieć kciuka. Starzy ludzie mają swoje sztuczki, pomyślał Louis. Nie są to wielkie sprawy, ale niezłe, naprawdę niezłe.

Przestał się śmiać i wyciągnął tę rękę, która nie podtrzymywała pupy Gage'a – wyraźnie wilgotnej pupy Gage'a.

– Miło mi poznać, panie…

– Jud Crandall – odparł tamten i uścisnął mu dłoń. – Pan pewnie jest doktorem?

– Tak. Jestem Louis Creed. Moja żona Rachel, córka Eileen, a maluch z żądłem to Gage.

– Miło mi.

– Przepraszam za ten śmiech… to znaczy, wszyscy przepraszamy, ale… jesteśmy trochę, no, zmęczeni.

To wysoce nieodpowiednie określenie sprawiło, że znów zaczął chichotać. Czuł się śmiertelnie wyczerpany.

Crandall przytaknął.

– Jasne, że tak. – Zabrzmiało to: „Jazne, że taag". Zerknął na Rachel. – Może zabierze pani małego i córeczkę na chwilkę do nas, pani Creed? Moglibyśmy nasypać na ściereczkę trochę sody oczyszczonej i zrobić mu okład. Moja żona też chętnie was pozna. Rzadko wychodzi z domu. Od dwóch lat za bardzo dokucza jej artretyzm.

Rachel spojrzała szybko na męża, który skinął głową.

– To bardzo uprzejmie z pana strony, panie Crandall.

– Po prostu Jud.

Nagle rozległo się donośne trąbienie i ryk silnika. Wielki błękitny wóz meblowy skręcał właśnie przed dom.

– O Chryste, jeszcze nie znalazłem kluczy! – jęknął Louis.

– Nie ma sprawy – odparł Crandall. – Mam jeden komplet. Clevelandowie – poprzedni właściciele – dali mi je jakieś – och, będzie czternaście, piętnaście lat temu. Długo tu mieszkali. Joan Cleveland była najlepszą przyjaciółką mojej żony. Umarła dwa lata temu. Bill przeniósł się do ośrodka dla emerytów w Orrington. Zaraz je przyniosę. Zresztą teraz należą do was.

– Jest pan bardzo uprzejmy, panie Crandall – powiedziała z wdzięcznością Rachel.

– To nic takiego. Cieszę się, że w sąsiedztwie znów zamieszkają maluchy. – Nienawykłe do jego akcentu uszy ze Środkowego Zachodu wciąż miały kłopoty z rozróżnianiem słów, jakby Crandall przemawiał w obcym języku. – Tylko proszę uważać, żeby nie wybiegały na drogę. Jeździ tędy mnóstwo ciężarówek.

Tuż obok trzasnęły drzwi. Pracownicy firmy przewozowej wyskoczyli z szoferki i szli ku nim.

Ellie oddaliła się nieco i nagle spytała:

– Tatusiu, co to?

Louis, który ruszył już na spotkanie przybyszów, obejrzał się przez ramię. Na skraju łąki, gdzie kończył się trawnik, a jego miejsce zajmował łan wysokich letnich

traw, zaczynała się szeroka na jakiś metr, starannie przystrzyżona ścieżka. Kręta dróżka wspinała się na wzgórze, okrążała niską kępę krzaków i niewielki brzozowy zagajnik i znikała w dali.

– Wygląda mi na ścieżkę – odparł.

– O tak. – Crandall uśmiechnął się. – Któregoś dnia opowiem ci o niej, panienko. A teraz pójdziemy do mnie i zajmiemy się twoim braciszkiem. Zgoda?

– Jasne – odparła Ellie, po czym z nutką nadziei w głosie dodała: – Czy soda oczyszczona piecze?

4

Crandall istotnie przyniósł klucze, lecz do tego czasu Louis zdążył już znaleźć własny komplet. Schowek na rękawiczki miał u góry wąską szczelinę i niewielka koperta ześlizgnęła się przez nią pomiędzy obwody elektryczne. Wyłowił ją i wpuścił do domu robotników. Crandall oddał mu swoje klucze, przyczepione do starego, zaśniedziałego breloczka. Louis podziękował mu i z roztargnieniem wsunął je go kieszeni, patrząc, jak robotnicy przenoszą ich pudła, szafy, biurka i wszystkie inne rzeczy, które zdołali zgromadzić w ciągu dziesięciu lat małżeństwa. Teraz, z dala od swych zwykłych miejsc, wydawały się dziwnie nieważne. Zbieranina rupieci w pudłach, pomyślał i nagle ogarnęło go przygnębienie. Domyślał się, że czuje coś, co zwykle nazywa się „tęsknotą za domem”.

– Wyrwani z korzeniami i przesadzeni – powiedział niespodziewanie Crandall tuż obok niego. Louis aż podskoczył.

– Pewnie znasz to uczucie?

– Prawdę mówiąc, nie. – Crandall zapalił papierosa. Trzask! Zapałka rozjarzyła się jasnym płomykiem w pierwszym półmroku zmierzchu. – Mój ojciec zbudował tamten dom. Sprowadził do niego żonę i razem spłodzili dziecko. To ja byłem tym dzieckiem, urodzonym w

samiuśkim roku tysiąc dziewięćsetnym.

– To znaczy, że masz…

– Osiemdziesiąt trzy lata – odparł Crandall, na szczęście unikając słów „osiemdziesiąt z hakiem”; Louis serdecznie nie znosił tego określenia.

– Wyglądasz o wiele młodziej.

Crandall wzruszył ramionami.

– No, w każdym razie mieszkam tu całe życie. Kiedy przyłączyliśmy się do Wielkiej Wojny, wstąpiłem do wojska, ale zamiast do Europy, dotarłem tylko do Bayonne w New Jersey. Paskudne miejsce. Było paskudne już w tysiąc dziewięćset siedemnastym. Z radością wróciłem tutaj. Ożeniłem się z moją Normą, odpracowałem swoje na kolei i wciąż tu jesteśmy. Ale nawet tu, w Ludlow, wiele widziałem. O tak, naprawdę wiele.

Pracownicy firmy przewozowej zatrzymali się przed drzwiami szopy. Dźwigali sprężynowy materac z wielkiego podwójnego łóżka, które Louis dzielił z Rachel.

– Gdzie to postawić, panie Creed?

– Na górze. Chwileczkę, pokażę panom. – Już ku nim ruszał, lecz zawahał się i spojrzał szybko na Crandalla.

– Idź – rzekł tamten z uśmiechem. – Zobaczę, jak sobie radzi twoja rodzina. Przyślę ich tutaj i przestanę włazić wam w paradę. Ale przy przeprowadzce często zasycha człowiekowi w gardle. Zazwyczaj koło dziewiątej siadam na werandzie i wypijam parę piw. Kiedy jest ciepło i ładnie, lubię patrzeć, jak zapada noc.

Czasami dołącza do mnie Norma. Wpadnij, jeśli będziesz w nastroju.

– Może i wpadnę – odparł Louis, choć wcale nie miał takiego zamiaru. Wiedział, co czeka go na werandzie: nieoficjalne (i darmowe) badanie artretyzmu Normy. Spodobał mu się Crandall, jego krzywy uśmieszek, swoboda, jankeski akcent – tak miękki, że ocierający się o zaciąganie. To dobry człowiek, uznał Louis, lekarze jednak szybko robią się nieufni. Niestety, tak to już jest – wcześniej czy później nawet najlepszy przyjaciel prosi o poradę. A ze starszymi ludźmi… podobne prośby nie miały końca. – Ale proszę na mnie nie czekać. Mieliśmy bardzo ciężki dzień.

– Bylebyś wiedział, że nie potrzebujesz specjalnego zaproszenia. – Coś w uśmiechu starego mężczyzny sprawiło, iż Louis odniósł wrażenie, jakby Crandall dokładnie wiedział, o czym myśli nowy sąsiad.

Przez chwilę odprowadzał wzrokiem starca, po czym dołączył do robotników. Crandall szedł szybko i lekko, wyprostowany niczym sześćdziesięciolatek, nie mężczyzna, który przekroczył osiemdziesiąt lat, i Louis odkrył, że zaczyna go lubić.

5

Robotnicy zabrali się przed dziewiątą. Ellie i Gage, kompletnie wyczerpani, spali już w swych nowych pokojach – Gage w kołysce, Ellie na podłodze, na materacu otoczonym spiętrzonymi górami pudeł, pełnych miliardów kredek, całych, połamanych i stępionych, a także plakatów „Ulicy Sezamkowej”, książeczek z obrazkami, ubrań i Bóg jeden wie, czego jeszcze. I oczywiście był z nią też Church powarkujący gardłowo przez sen. Odgłos ten zastępował u wielkiego kocura zwykłe kocie mruczenie.

Wcześniej Rachel krążyła niespokojnie po domu z Gage’em w ramionach, próbując odgadnąć, gdzie Louis kazał tragarzom ustawić rzeczy, i zmuszając ich do przesuwania, przestawiania i przemieszczania. Na szczęście Louis nie zgubił czeku, który wciąż tkwił w jego kieszeni razem z pięcioma banknotami dziesięciodolarowymi przeznaczonymi na napiwek. Gdy ciężarówka została wreszcie opróżniona, podał tragarzom czek i gotówkę, skinął głową, słysząc ich podziękowania, podpisał pokwitowanie i stanął na werandzie. Patrzył, jak maszerują w stronę wozu. Podejrzewał, że pewnie zrobią sobie postój w Bangor i przepłuczą gardła kilkoma piwami. On też chętnie łyknąłby piwa. W tym momencie przypomniał sobie o Judzie Crandallu.

Usiedli z Rachel przy kuchennym stole i Louis dostrzegł ciemne sińce pod oczami żony.

– Do łóżka – powiedział. – Ale już.

– Zalecenie lekarza? – spytała z lekkim uśmiechem.

– Jasne.

– Zgoda. – Wstała. – Jestem wykończona. A Gage z pewnością będzie marudził w nocy. Idziesz?

Zawahał się.

– Raczej nie. Ten staruszek z tamtej strony ulicy…

– Drogi. Tu, na wsi, nazywają ją drogą. Czy też, jak mawia Judson Crandall, drooogo.

– No dobra, z tamtej strony droogi. Zaprosił mnie na piwo. I chyba skorzystam z zaproszenia. Jestem zmęczony, ale zbyt podekscytowany, by zasnąć.

Rachel uśmiechnęła się.

– Skończy się na tym, że będziesz musiał wypytywać Normę Crandall, gdzie ją boli i na jakim sypia materacu.

Louis roześmiał się. Zabawne – i nieco przerażające – jak po pewnym czasie żony uczą się czytać w myślach mężów.

– Był tu, kiedy go potrzebowałem. Mogę mu wyświadczyć przysługę.

– Handel wymienny?

Wzruszył ramionami. Nie chciał jej mówić – a zresztą i tak nie umiałby tego wytłumaczyć – że tak szybko polubił Crandalla.

– Jaka jest jego żona?

– Strasznie miła – przyznała Rachel. – Gage usiadł jej

na kolanach. Byłam zdziwiona, bo miał za sobą ciężki dzień, a wiesz, że nawet w najlepszych warunkach rzadko akceptuje nieznajomych. Ma też lalkę i dała ją Eileen do zabawy.

– Jak oceniasz jej artretyzm?

– Nie najlepiej z nią.

– Wózek?

– Nie… ale bardzo wolno chodzi, a jej palce… – Rachel uniosła własną smukłą dłoń i demonstracyjnie zakrzywiła palce niczym szpony. Louis przytaknął. – Tylko proszę, nie siedź tam długo, Lou. W obcych domach zawsze czuję się okropnie nieswojo.

– Niedługo nie będzie już obcy – odparł Louis i pocałował żonę.

6

Po powrocie do domu Louis czuł się bardzo malutki. Nikt nie prosił go o zbadanie Normy Crandall. Kiedy przeszedł na drugą stronę ulicy („drogi”, upomniał się z uśmiechem), pani domu poszła już na górę. Jud był tylko niewyraźną postacią za siatką zamkniętej werandy. W powietrzu unosił się przyjazny dźwięk: skrzypienie biegunów fotela na starym linoleum. Louis zastukał w siatkowe drzwi, które zagrzechotały w drewnianej ramie. W letnim mroku czubek papierosa Crandalla lśnił niczym wielki, uśpiony świetlik. Ze ściszonego radia dobiegały odgłosy meczu i wszystko to sprawiło, że Louis Creed poczuł się dziwnie, zupełnie jakby wracał do domu.

– Doktorze – rzucił Crandall – tak myślałem, że to ty.

– Mam nadzieję, że mówiłeś poważnie o piwie – odparł Louis, wchodząc do środka.

– Nigdy nie kłamię, jeśli chodzi o piwo – oznajmił Crandall. – Kłamiąc o piwie, można narobić sobie wrogów. Proszę, usiądź. Na wszelki wypadek wsadziłem w lód kilka puszek.

Na długiej, wąskiej werandzie stały rattanowe krzesła i kanapy. Louis przysiadł na jednej, zdumiony, jak bardzo okazała się wygodna. Po lewej ustawiono głęboką blachę pełną kostek lodu, wśród których tkwiło kilka puszek black label. Wziął sobie jedną.

– Dziękuję. – Otworzył piwo. Dwa pierwsze łyki spłynęły w głąb gardła niczym błogosławieństwo.

– Ależ proszę – odparł Crandall. – Mam nadzieję, że będziesz tu szczęśliwy.

– Amen – rzekł Louis.

– A może masz ochotę coś przekąsić? Krakersa? Mógłbym przynieść. Mam też kawał dojrzałego szczura. Byłby w sam raz.

– Kawał czego?

– Szczurzego żarcia, sera. – W głosie Crandalla zabrzmiała nutka rozbawienia.

– Dzięki, starczy mi piwo.

– No to damy sobie spokój.

Crandall beknął z zadowoleniem.

– Żona już się położyła? – spytał Louis, zastanawiając się, czemu w ogóle porusza ten temat.

– Owszem. Czasem zostaje dłużej, czasem nie.

– Artretyzm, tak? Bardzo boli?

– Widziałeś kiedyś, żeby nie bolało? – spytał Crandall.

Louis potrząsnął głową.

– Chyba jest jeszcze znośnie – powiedział gospodarz. – Nie narzeka zbyt wiele. To porządna dziewczyna, ta moja Norma. – W jego słowach dźwięczało proste, szczere uczucie.

Po drodze z głośnym chrzęstem przejechała cysterna, tak długa, że przez sekundę Louis nie widział swojego domu. W ostatnim blasku dnia dostrzegł, że na boku

miała wypisane jedno słowo: „Orinco”.

– Piekielnie wielka ciężarówka – zauważył.

– Orinco leży tuż obok Orrington – wyjaśnił Crandall. – Fabryka nawozów sztucznych. Co chwila tędy jeżdżą. A także cysterny z benzyną, śmieciarki i ludzie, którzy pracują w Bangor i Brewer, a wieczorami wracają do domów. – Potrząsnął głową. – To jedno w Ludlow mi się nie podoba. Ta cholerna droga. Nic z niej dobrego. Cały czas jeżdżą i jeżdżą. Czasami budzą Normę. Do diabła, czasami budzą nawet mnie, a śpię jak cholerny kamień.

Louis, któremu po nieustannym huku Chicago ta część stanu Maine wydawała się niesamowicie cicha, jedynie skinął głową.

– Pewnego dnia Arabowie zakręcą kurek i na linii ciągłej będzie można zasadzić fiołki – oznajmił Crandall.

– Może i racja. – Louis przechylił puszkę i ze zdumieniem odkrył, że jest pusta. Gospodarz roześmiał się.

– Łap, doktorze. Z tej nic już nie wyciśniesz.

Louis zawahał się.

– Zgoda. Ale tylko jedną. Muszę wracać do domu.

– Jasne. Przeprowadzka to koszmar, prawda?

– O tak – zgodził się Louis. Na jakiś czas obaj umilkli. Cisza miała w sobie coś przyjaznego, jakby znali się od bardzo dawna. Dotąd Louis czytał o czymś takim w książkach, ale sam nigdy tego nie doświadczył. Zawstydził się swoich wcześniejszych myśli o darmowych poradach medycznych.

Po drodze z rykiem przejechała półciężarówka. Jej światła rozbłysły niczym gwiazdy na ziemi.

– To naprawdę paskudna droga – powtórzył Crandall z namysłem, jakby mówił do siebie, po czym odwrócił się do Louisa. Na jego pomarszczonych wargach zatańczył osobliwy uśmieszek. Wsunął w kącik ust chesterfielda i kciukiem zapalił zapałkę. – Pamiętasz tę ścieżkę, o której wspomniała twoja dziewczynka? – Przez moment Louis nie wiedział, o czym tamten mówi. Zanim Ellie opadła w końcu z sił i położyła się do łóżka, wspominała o całym mnóstwie rzeczy. W końcu jednak przypomniał sobie. Szeroka, wystrzyżona, kręta ścieżka, wiodąca poprzez zagajnik i dalej za wzgórze.

– Owszem. Obiecałeś, że kiedyś jej o niej opowiesz.

– Jasne. I zrobię to – odparł Crandall. – Ścieżka zagłębia się w las na ponad dwa kilometry. Miejscowe dzieciaki z okolic trasy numer piętnaście i Middle Drive utrzymują ją w porządku, bo z niej korzystają. Dzieci zjawiają się i odchodzą – w dzisiejszych czasach ludzie przeprowadzają się częściej niż wtedy, gdy byłem małym chłopcem; wówczas wybierało się sobie jedno miejsce i trzymało się go – ale najwyraźniej opowiadają sobie o niej i każdej wiosny nowa grupka przycina trawę na ścieżce. Utrzymują ją w porządku całe lato. Wiedzą, że tam jest. Nie wszyscy dorośli w mieście wiedzą – większość, owszem, jednak nie, bynajmniej nie wszyscy – ale dzieci tak. Założyłbym się, o co zechcesz.

– Wiedzą, że co tam jest?

– Cmentarz zwierząt – wyjaśnił Crandall.

– Cmentarz zwierząt – powtórzył z rozbawieniem Louis.

– Nie jest to tak dziwne, jakby się mogło wydawać. – Crandall zaciągnął się dymem i zakołysał w fotelu. – To ta droga. Ginie na niej dużo zwierząt. Głównie psy i koty, ale nie tylko. Jedna z tych wielkich ciężarówek Orinco przejechała oswojonego szopa, którego hodowały dzieci Ryderów. To było – Chryste, jeszcze w siedemdziesiątym trzecim. Może nawet wcześniej. Zanim władze stanowe zakazały trzymania w domach szopów i odsmrodzonych skunksów.

– Czemu to zrobili?

– Wścieklizna – odparł Crandall. – Tu w Maine ciągle pojawia się wścieklizna. Kilka lat temu wielki stary bernardyn na południu stanu wściekł się i zabił czworo ludzi. Paskudna sprawa. Nie zaszczepili go. Gdyby ci durnie dopilnowali, żeby dostał szczepionkę, nigdy by do tego nie doszło. Ale szopa czy skunksa można szczepić co pół roku, a i tak nie jest bezpieczny. Lecz szop chłopaków Rydera był, jak się kiedyś mówiło, „słodkim” szopem. Podłaził wprost do człowieka – a gruby był, że strach! – i lizał po twarzy niczym pies. Ich ojciec zapłacił nawet weterynarzowi, żeby go wykastrował i usunął mu pazury. To musiało kosztować prawdziwą fortunę.

Stary Ryder pracował w IBM w Bangor. Potem przenieśli się do Kolorado. Pięć lat temu… a może to było sześć? Zabawne pomyśleć, że ci dwaj będą mogli

wkrótce zrobić prawo jazdy. Czy bardzo rozpaczali z powodu szopa? Chyba tak. Matty Ryder płakał tak długo, że jego matka przestraszyła się i chciała wezwać lekarza. Pewnie już mu przeszło, ale nie zapomniał. Kiedy kochany zwierzak ginie na drodze, dzieciaki nigdy nie zapominają.

Myśli Louisa powędrowały ku Ellie, takiej, jaką widział ją tego wieczoru: śpiącej twardo z Churchem pomrukującym zgrzytliwie w nogach materaca.

– Moja córka ma kota – rzekł głośno. – Winstona Churchilla. Wołamy na niego Church.

– Podzwania, kiedy chodzi?

– Słucham? – Louis nie miał pojęcia, o czym tamten mówił.

– Wciąż ma jaja czy go wykastrowaliście?

– Nie – odparł Louis. – Nie wykastrowaliśmy.

W istocie już w Chicago były z tym problemy. Rachel chciała wykastrować Churcha, zamówiła już wizytę u weterynarza. Louis ją odwołał. Nawet teraz nie był pewien, dlaczego to zrobił. Nie chodziło o coś tak prostego i głupiego, jak powiązanie własnej męskości z męskością kocura córki, ani też o niechęć na myśl, że Church będzie musiał przez to wszystko przejść tylko po to, by tłusta kura domowa z sąsiedztwa nie musiała zakręcać plastikowych kubłów na śmieci, żeby nie dobierał się do nich więcej i nie badał zawartości. Jedno i drugie było częścią problemu, przede wszystkim jednak dręczyło go niejasne, lecz przejmujące przeczucie, że

zabieg zniszczy w Churchu coś, co on sam cenił najbardziej – że zgasi diabelskie śmiałkowate światełko w zielonych oczach kota. W końcu przekonał Rachel, że skoro wkrótce przeprowadzają się na wieś, problem zniknie. A teraz Judson Crandall przypominał mu, iż życie w Ludlow oznaczało także oswojenie się z trasą numer 15. Bardzo ruchliwą trasą. I pytał, czy kot został wykastrowany. To dopiero. Proszę spróbować ironii, doktorze Creed – dobrze robi na wzmocnienie.

– Na twoim miejscu wykastrowałbym go – oznajmił Crandall, zgniatając papierosa między kciukiem i palcem wskazującym. – Wykastrowany kot nie wałęsa się wokół domu. Gdyby ciągle przebiegał przez drogę, w końcu zabrakłoby mu szczęścia i wylądowałby obok szopa dzieciaków Rydera, cocker-spaniela małego Timmy'ego Desslera i papużki panny Bradleigh. Nie żeby papużka zginęła na drodze, rozumiesz. Po prostu któregoś dnia padła.

– Zastanowię się nad tym – obiecał Louis.

– Zrób tak. – Crandall wstał. – Jak tam piwo? Chyba jednak skuszę się na plasterek szczurzego żarcia.

– Piwa już nie ma – odparł Louis, także wstając. – A ja powinienem iść. Jutro mam wielki dzień.

– Zaczynasz na uniwersytecie?

Louis przytaknął.

– Dzieciaki wrócą dopiero za dwa tygodnie, ale do tego czasu powinienem się zorientować w tym, co robię. Nie sądzisz?

– Jasne. Jeśli nie wiesz, gdzie znaleźć pigułki, prosisz się o kłopoty. – Crandall wyciągnął dłoń i Louis uścisnął ją, pamiętając, że stare kości są wrażliwsze na ból. – Wpadaj, kiedy będziesz miał ochotę. Chcę, żebyś poznał moją Normę. Chyba jej się spodobasz.

– Tak zrobię – odrzekł Louis. – Cieszę się, że cię poznałem, Jud.

– I nawzajem. I nawzajem. Przyzwyczaicie się do tego miejsca. Może nawet zostaniecie tu dłużej.

– Taką mam nadzieję.

Louis ruszył wolno osobliwie wybrukowaną ścieżką. Musiał przystanąć na poboczu drogi, czekając, aż przejedzie kolejna ciężarówka, której tym razem towarzyszyło pięć samochodów zmierzających w stronę Bucksport. Potem, unosząc dłoń w niemym pozdrowieniu, przeszedł na drugą stronę ulicy (drogi – upomniał się w duchu) i otworzył drzwi nowego domu.

W środku panowała cisza, przerywana tylko odgłosami snu. Ellie najwyraźniej się w ogóle nie poruszyła, a Gage leżał w kołysce, śpiąc w typowej Gage'owskiej pozycji, na wznak, z szeroko rozrzuconymi rękami i butelką w pobliżu. Louis przystanął, patrząc na syna. Jego serce gwałtownie wezbrało miłością do chłopca, tak silną, że wydawała się niemal niebezpieczna. Przypuszczał, że częściowo sprawiła to emocjonalna pustka po rozstaniu ze znajomymi miejscami i twarzami w Chicago, które obecnie zniknęły z ich życia, oddalając się z każdym kilometrem tak skutecznie, że równie

dobrze mogły w ogóle nie istnieć. ***W dzisiejszych czasach ludzie przeprowadzają się częściej… wówczas wybierało się jedno miejsce i trzymało się go.*** Było w tym sporo prawdy.

Podszedł do syna i ponieważ obok nie było nikogo, kto mógłby to zobaczyć, nawet Rachel, ucałował czubki swych palców, po czym musnął nimi policzek Gage'a przez pręty kołyski.

Gage zamlaskał i przekręcił się na bok.

– Śpij dobrze, malutki – szepnął Louis.

Rozebrał się szybko i wśliznął na swoją połowę podwójnego łóżka, obecnie będącego jedynie materacem na podłodze. Czuł, jak zaczyna go opuszczać napięcie całego dnia. Rachel nawet nie drgnęła. Wokół nich piętrzyły się upiorne stosy nierozpakowanych pudeł.

Tuż przed zaśnięciem Louis podparł się na łokciu i wyjrzał przez okno. Ich sypialnia mieściła się od frontu, toteż mógł sięgnąć wzrokiem na drugą stronę drogi, aż do domu Crandallów. Było zbyt ciemno, by móc dostrzec jakiekolwiek kształty – co innego w jasną księżycową noc – widział jednak żarzący się w dali koniuszek papierosa. Jeszcze się nie położył, pomyślał. Może tak siedzieć bardzo długo. Starzy ludzie marnie sypiają. Może czuwając pełnią straż?

Ale kogo się obawiają?

Myślał o tym, zapadając w sen. Śniło mu się, że jest w Disney Worldzie. Prowadził śnieżnobiałą furgonetkę z wymalowanym na boku czerwonym krzyżem. Obok

niego siedział Gage, lecz we śnie Gage miał co najmniej dziesięć lat. Na tablicy rozdzielczej furgonetki przycupnął Church, przyglądając się Louisowi jaskrawozielonymi oczami. A na głównej ulicy obok dworca kolejowego z końca zeszłego wieku Myszka Miki ściskała dłonie zgromadzonych wokół niej dzieci. Jej wielkie, białe rękawice połykały kolejne malutkie, ufne rączki.

7

Przez następne dwa tygodnie cała rodzina pracowała jak szalona. Louis powoli przywykał do nowej posady (czy przywyknie do niej, gdy cały kampus zaleje fala dziesięciu tysięcy studentów, wielu z nich uzależnionych od alkoholu bądź narkotyków, cierpiących na choroby weneryczne, niespokojnych o swe stopnie, dręczonych przez depresję i tęsknotę za domem… a do tego jeszcze kilkunastu, głównie dziewczęta, chorych na anoreksję, to już inna sprawa). Podczas gdy Louis oswajał się ze swą pracą szefa uniwersyteckiego ośrodka zdrowia, Rachel oswajała się z domem. I w trakcie oswajania zaszło coś, na co Louis niemal nie śmiał liczyć – pokochała to miejsce.

Gage mężnie znosił stłuczenia i upadki związane z poznawaniem nowego otoczenia. Przez jakiś czas jego rozkład dnia i nocy wyraźnie się zaburzył, lecz w połowie drugiego tygodnia w Ludlow malec znów zaczął normalnie sypiać. Tylko Ellie, przed którą roztaczała się perspektywa rozpoczęcia nauki w przedszkolu, w zupełnie nowym miejscu, cały czas wydawała się przesadnie podniecona i skłonna do gwałtownych reakcji: histerycznych chichotów, głębokiego przygnębienia bądź nagłych ataków furii. Wszystko to przypominało niemal menopauzę. Rachel twierdziła, że jej przejdzie, gdy

przekona się na własne oczy, iż szkoła nie jest straszliwym czerwonym diabłem, za którego ją uważała. Louis przypuszczał, iż żona ma rację. Przez większość czasu jednak Ellie była taka jak zawsze – kochana.

Wieczorne picie piwa z Judem Crandallem stało się już niemal tradycją. Mniej więcej wtedy, gdy Gage znów zaczął przesypiać noce, Louis pierwszy raz przyniósł sześciopak. Potem powtarzał to co drugi, trzeci wieczór. Poznał też Normę Crandall, uroczą kobietę cierpiącą na ostry artretyzm – paskudny artretyzm, niszczący tak wiele radości życia w poza tym zdrowych starych ludziach. Jednakże Norma dobrze podchodziła do swojej choroby. Nie poddawała się bólowi. Nigdy nie wywiesi białej flagi. Ból może ją pokonać – jeśli zdoła. Louis sądził, że czeka ją od pięciu do siedmiu produktywnych lat, choć zapewne nie będzie czuła się najlepiej.

Całkowicie wbrew swoim niezłomnym zasadom zbadał ją – gdyż sam tego chciał. Przejrzał recepty jej lekarza i odkrył, że są dokładnie takie, jak powinny. Z uczuciem zawodu stwierdził, że w żaden sposób nie może jej pomóc; doktor Weybridge, który opiekował się Normą Crandall, miał wszystko pod kontrolą. Nic więcej nie dało się zrobić – o ile nie dojdzie do gwałtownego przełomu, możliwego, lecz bardzo mało prawdopodobnego. Człowiek uczy się to akceptować. W przeciwnym razie prędzej czy później wylądowałby w pokoju bez klamek, skąd pisałby do rodziny listy kredkami świecowymi.

Rachel także ją polubiła. Ostatecznie

przypieczętowały przyjaźń, wymieniając przepisy, tak jak chłopcy wymieniają się kartami baseballowymi: domową szarlotkę Normy w zamian za strogonowa Rachel. Norma natychmiast poczuła sympatię do obojga dzieci Creedów – zwłaszcza do Ellie, która, jak mówiła, wyrośnie na „staroświecką piękność". Tej nocy Louis powiedział Rachel w łóżku, że przynajmniej Norma nie zapowiedziała, iż z ich córki będzie kiedyś prawdziwy „słodki szop". Rachel przyjęła te słowa tak gwałtownym śmiechem, że aż puściła bąka, po czym wybuch radości obojga obudził śpiącego w sąsiednim pokoju Gage'a.

W końcu nadszedł pierwszy dzień przedszkola. Louis, który praktycznie doprowadził już do ładu całe ambulatorium i sprzęt medyczny ośrodka (poza tym przychodnia była obecnie zupełnie pusta. Ostatnia pacjentka, letnia studentka, która złamała nogę na schodach, została zwolniona tydzień wcześniej), wziął sobie wolne. Stał na trawniku obok Rachel, z Gage'em w ramionach, patrząc, jak wielki żółty autobus skręca z głównej drogi i przystaje z łoskotem przed ich domem. Drzwi z przodu rozsunęły się. Wrześniowe powietrze przyniosło z sobą piski i śmiechy wielu dzieci.

Ellie posłała rodzicom przez ramię dziwnie bezbronne spojrzenie, jakby mówiła, że jest jeszcze czas, by zapobiec nieuniknionemu. Być może to, co dojrzała w ich twarzach, przekonało ją, iż czas ów minął i musi poddać się temu, co nastąpi – tak jak Norma Crandall musi poddać się rozwojowi swego artretyzmu. Dziewczynka

odwróciła się i wdrapała po stopniach autobusu. Drzwi z przypominającym oddech smoka sykiem zamknęły się za nią. Autobus odjechał. Rachel wybuchnęła płaczem.

– Na miłość boską, nie płacz – rzucił Louis. On sam jakoś się trzymał, choć, trzeba przyznać, był bliski łez. – To tylko pół dnia.

– Pół dnia jest już dostatecznie okropne – odparła ostro Rachel i zaczęła płakać jeszcze głośniej. Louis przytulił ją. Gage objął szyje obojga rodziców. Zazwyczaj gdy Rachel płakała, on płakał także. Ale nie tym razem. Ma nas tylko dla siebie, pomyślał Louis. I doskonale o tym wie.

Pełni lęku czekali na powrót Ellie, pijąc za dużo kawy i zastanawiając się, jak jej idzie. Louis poszedł do pokoju na tyłach, który miał stać się jego gabinetem, i zaczął krążyć bez celu, przekładając papiery z jednego miejsca na miejsce i nie robiąc nic sensownego. Rachel absurdalnie wcześnie zaczęła przygotowywać lunch.

Gdy za kwadrans dziesiąta zadzwonił telefon, pobiegła ku niemu i zdyszana podniosła słuchawkę, nim zdążył zadzwonić powtórnie. Louis stanął w drzwiach pomiędzy gabinetem i kuchnią, pewien, że to nauczycielka Ellie, która zaraz powie, iż uznała, że Ellie się nie nadaje, że żołądek edukacji publicznej uznał ją za niestrawną i postanowił wydalić. W istocie jednak była to Norma Crandall, która dzwoniła, by powiedzieć, że Jud zebrał ostatnie kolby kukurydzy i jeśli chcą, mogą wziąć sobie tuzin. Louis poszedł do nich z torbą na zakupy i

zrugał Juda za to, że tamten nie pozwolił mu sobie pomóc.

– Większość z nich i tak jest gówno warta – odparł Jud.

– Oszczędź sobie takiego języka – upomniała go Norma, która wyszła na werandę, dźwigając kubki z mrożoną herbatą na starej reklamowej tacy Coca-Coli.

– Przepraszam, kochana.

– Wcale nie jest mu przykro – oznajmiła Norma i mrugnęła do Louisa.

– Widziałem, jak Ellie wsiadała do autobusu. – Jud zapalił chesterfielda.

– Nic jej nie będzie – dodała Norma. – Prawie zawsze dobrze to znoszą.

Prawie, pomyślał ponuro Louis.

Ale Ellie rzeczywiście nic nie było. Wróciła do domu w południe rozpromieniona i uśmiechnięta. Jej błękitna sukienka na specjalne okazje wydymała się wdzięcznie wokół pokrytych strupami łydek (na kolanie pojawiło się świeże zadrapanie nieznanego pochodzenia). W dłoni ściskała obrazek przedstawiający dwoje dzieci czy może dwie chodzące beczki. Jeden but miała rozwiązany, a z włosów zniknęła wstążka. Już od progu krzyczała:

– Śpiewaliśmy starego Mc Donalda! Mamusiu, tatusiu, śpiewaliśmy starego Mc Donalda! Tak samo jak w szkole na Carstairs Street!

Rachel obejrzała się na Louisa siedzącego z Gage’em na kolanach. Maluch niemal już zasnął. W spojrzeniu

Rachel krył się pewien smutek. I choć szybko odwróciła wzrok, Louis przez chwilę poczuł ukłucie paniki. Naprawdę się zestarzejemy, pomyślał. To prawda. Nikt nie zrobi dla nas wyjątku. Ellie już zaczyna… i my także.

Ellie podbiegła do niego, próbując jednocześnie pokazać mu obrazek, nowe zadrapanie, opowiedzieć o starym Mc Donaldzie i pani Berryman. Church kręcił się między jej nogami, mrucząc donośnie. Jakimś cudem dziewczynka ani razu się o niego nie potknęła.

– Ciiii – rzekł Louis i pocałował ją. Gage zasnął, nie zważając na podniecenie rodziny. – Pozwól, że najpierw położę go do łóżeczka. Potem wszystko mi opowiesz.

Zaniósł Gage'a na górę, wędrując wśród ukośnych, gorących promieni wrześniowego słońca. I gdy dotarł na podest, ogarnęło go takie uczucie grozy i ciemności, że zamarł bez ruchu i rozejrzał się ze zdumieniem, zastanawiając się, co go naszło. Mocniej przytulił dziecko, niemal przyciskając je do siebie i Gage poruszył się niespokojnie. Na ramionach Louisa wystąpiła wyraźna gęsia skórka.

Co się stało? – zastanawiał się oszołomiony i przerażony. Serce waliło mu jak młotem. Skóra na głowie jakby się ściągnęła; zdawała się zbyt mała, by objąć całą czaszkę. Czuł gwałtowny napływ adrenaliny. Wiedział, że w przypadkach przejmującego strachu ludzkie oczy naprawdę wychodzą z orbit – nie tylko się rozszerzają, ale dosłownie wybałuszają z powodu gwałtownego wzrostu ciśnienia krwi i nacisku płynu mózgowo-rdzeniowego. –

Co, do diabła? Czy to duchy? Chryste, naprawdę czuję się, jakby coś otarło się o mnie w tym przejściu, coś, co niemal zobaczyłem.

Na dole siatkowe drzwi trzasnęły głośno, uderzając o framugę.

Louis Creed podskoczył, prawie krzyknął, po czym wybuchnął śmiechem. To tylko jedna z psychologicznych zimnych dziur, przez które czasem przechodzą ludzie. Nic poza tym. Chwilowe zawirowanie. Zdarza się, i tyle. Co takiego powiedział Scrooge do ducha Jakuba Marleya? „Możesz być po prostu cząsteczką niedogotowanego kartofla. Bardziej mi wyglądasz na kawałek (…) mięsa od kości niż na kościotrupa”. Opis ten mógł być trafniejszy – zarówno w sensie fizjologii, jak i psychologii – niż wydawało się Karolowi Dickensowi. Duchy nie istniały, przynajmniej według Louisa. W trakcie swej kariery zawodowej stwierdził śmierć dwóch tuzinów ludzi i ani razu nie poczuł, jak uchodzi z nich dusza.

Zaniósł Gage’a do pokoju i położył w kołysce. Jednak gdy okrywał synka kocem, poczuł na plecach nagły dreszcz i przypomniał sobie sklep wuja Carla. Nie było w nim nowych samochodów, telewizorów z modnymi gadżetami ani zmywarek o szklanych drzwiczkach, pozwalających obserwować magiczny proces mycia. Jedynie trumny z podniesionymi wiekami, każda oświetlona starannie osłoniętą lampką. Brat jego matki był przedsiębiorcą pogrzebowym.

Dobry Boże, skąd te ponure myśli? Daj spokój,

otrząśnij się!

Ucałował syna i zszedł na dół, by wysłuchać opowieści Ellie o pierwszym dniu w dorosłej szkole.

8

Tej soboty, gdy Ellie ukończyła swój pierwszy tydzień szkoły i tuż przed powrotem studentów, Jud Crandall przeszedł przez drogę i zbliżył się do siedzącej na trawniku rodziny Creedów. Ellie zeszła właśnie z roweru i piła mrożoną herbatę. Gage raczkował w trawie, przyglądając się robakom i, być może, połykając kilka z nich. Nie przejmował się szczególnie tym, skąd bierze białko.

– Jud! – Louis wstał na widok gościa. – Przyniosę ci krzesło.

– Nie kłopocz się. – Jud miał na sobie dżinsy, rozpiętą pod szyją roboczą koszulę i zielone kalosze. Spojrzał na Ellie. – Nadal chcesz wiedzieć, dokąd prowadzi tamta ścieżka?

– Tak! – Ellie natychmiast zerwała się z miejsca. Jej oczy rozbłysły. – George Buck w szkole mówił mi, że na cmentarz zwierząt. I powiedziałam o tym mamie, ale ona kazała zaczekać na pana, bo pan wie, gdzie to jest.

– Owszem, wiem – odparł Jud. – Jeśli rodzice nie będą mieli nic przeciw temu, zabiorę cię tam na przechadzkę. Ale musisz włożyć kalosze. Miejscami grunt jest podmokły.

Ellie pobiegła do domu.

Jud odprowadził ją rozbawionym, czułym

spojrzeniem.

– Może i ty chciałbyś pójść, Louis?

– Chciałbym. – Louis obejrzał się na Rachel. – Pójdziesz z nami, kochanie?

– A co z Gage’em? Słyszałam, że to spory kawał drogi.

– Wsadzę go w nosidełka.

Rachel roześmiała się.

– Jasne. To twoje plecy.

Wyruszyli dziesięć minut później. Oprócz Gage’a wszyscy mieli na nogach kalosze. Malec siedział w nosidłach i wybałuszając oczy, przyglądał się wszystkiemu ponad ramieniem Louisa. Ellie bez przerwy wybiegała naprzód, goniąc motyle i zbierając kwiaty.

Trawa na łące sięgała im niemal do pasa. Połyskiwały wśród niej żółte kwiatki nawłoci, letniej plotkarki, co rok zapowiadającej nadejście jesieni. Lecz tego dnia w powietrzu nie czuło się jesieni. Słońce grzało niczym w sierpniu, choć kalendarzowy sierpień dobiegł końca dwa tygodnie wcześniej. Gdy wspięli się na szczyt pierwszego wzgórza, wędrując gęsiego skoszoną ścieżką, pod pachami Louisa wystąpiły mokre plamy potu.

Jud stanął. Z początku Louis sądził, że stary człowiek chce chwilę odetchnąć, potem jednak ujrzał roztaczający się za ich plecami widok.

– Ładnie tutaj – powiedział Jud, wsuwając między zęby źdźbło tymotki.

Cóż za typowe jankeskie niedopowiedzenie, pomyślał

z rozbawieniem Louis.

– Jest cudownie – westchnęła Rachel i niemal oskarżycielsko spojrzała na męża. – Czemu wcześniej mi o tym nie powiedziałeś?

– Bo sam nie wiedziałem – odparł Louis, czując ukłucie wstydu. Wciąż znajdowali się na terenie swojej posiadłości. Po prostu do tej pory nie znalazł czasu, by wspiąć się na wzgórze za domem.

Ellie znacznie ich wyprzedzała. Teraz zawróciła i również oglądała wszystko z zachwytem. Church deptał jej po piętach.

Wzgórze nie było wysokie, ale też nie musiało. Gęsty las przesłaniał krajobraz z jednej strony, lecz na zachodzie rozciągał się rozległy widok: złocisty teren, pogrążony w lekkim, letnim śnie. Wszystko trwało w bezruchu, milczące, zamglone. Nawet ruch ciężarówek na drodze ustał i nic nie zakłócało wszechogarniającego spokoju.

Widzieli przed sobą dolinę rzeki Penobscot, którą spławiano drwa z północnego wschodu aż do Bangor i Derry. Wzgórze leżało pomiędzy tymi miastami, na południe od pierwszego i nieco na północ od drugiego. Spokojna rzeka rozlewała się szeroko, jakby pogrążona we własnym głębokim śnie. Louis dostrzegał w dali Hampden i Winterport. Miał wrażenie, że może odprowadzić wzrokiem czarną, wijącą się wężowo równolegle do rzeki trasę numer 15 aż do Bucksport. Na drugim brzegu rosły soczyście zielone drzewa. Widzieli

też drogi, pola. Z kopuły starych wiązów wystawała iglica kościoła baptystów w północnym Ludlow, po prawej przycupnął solidny ceglany budynek: szkoła Ellie. Nad ich głowami białe chmury wędrowały leniwie w stronę horyzontu barwy wyblakłego dżinsu. A wszędzie wokół rozciągały się letnie pola, niewiarygodnie płowe i złociste, puste pod koniec cyklu siewów, wzrostu i żniw, uśpione, lecz nie martwe.

– Cudownie to właściwe słowo – rzekł w końcu Louis.

– W dawnych czasach nazywano to miejsce Wzgórzem Widokowym – oznajmił Jud. Wsunął papierosa w kącik ust, lecz go nie zapalił. – Niektórzy wciąż je tak nazywają, ale obecnie, odkąd młodzi przenieśli się do miasta, praktycznie o nim zapomnieli. Wątpię, by teraz przychodziło tu wielu ludzi. Wydaje się, że nie można stąd zobaczyć zbyt wiele, bo wzgórze nie jest wysokie. Naprawdę jednak widać… – Machnął ręką i umilkł.

– Widać wszystko – dokończyła Rachel cichym, pełnym podziwu głosem. Odwróciła się do Louisa. – Kochanie, czy to jest nasze?

– Owszem, to część posiadłości – odparł Jud, zanim Louis zdążył cokolwiek powiedzieć.

A to, pomyślał Louis, zupełnie nie to samo.

W lesie było chłodniej, może nawet o cztery–pięć stopni. Ścieżkę, wciąż szeroką, od czasu do czasu dodatkowo oznaczoną kwiatami (najczęściej zwiędłymi)

w garnkach i puszkach po kawie, pokrywała obecnie gruba warstwa suchych sosnowych szpilek. Przeszli jakieś pół kilometra, wędrując w dół, kiedy Jud zawołał Ellie.

– To solidny, lecz bezpieczny spacer dla małej dziewczynki – rzekł ciepło – ale chcę, żebyś obiecała mamie i tacie, że jeśli znów tu się wybierzesz, nie zejdziesz ze ścieżki.

– Obiecuję – odparła natychmiast Ellie. – A dlaczego?

Stary mężczyzna zerknął na Louisa, który przystanął, by odpocząć. Dźwiganie Gage'a, nawet w cieniu starych sosen i świerków, było ciężką pracą.

– Wiesz, gdzie jesteście? – spytał Jud.

Louis rozważył i odrzucił kilka odpowiedzi: w Ludlow, w północnym Ludlow, za moim domem, pomiędzy trasą numer 15 i Middle Drive. W końcu pokręcił głową.

Jud wskazał palcem ponad ramieniem.

– Z tamtej strony jest mnóstwo ludzi – rzekł. – To miasto. A po tej stronie nic, tylko lasy, co najmniej przez pięćdziesiąt mil. Tu nazywamy je Lasami Północnego Ludlow, potem jednak zawadzają kącikiem o Orrington, ciągną się dalej, do Rockford, i jeszcze, aż do terenów stanowych, o których wcześniej wspominałem; tych, które chcą odzyskać Indianie. Wiem, że to zabrzmi dziwnie, ale wasz miły domek przy głównej drodze, ze swym telefonem, elektrycznymi światłami i telewizją kablową tak naprawdę leży na skraju głuszy. – Zerknął na

Ellie. – Mówię, że nie powinnaś włóczyć się po lesie, Ellie. Mogłabyś zabłądzić i Bóg wie, dokąd byś doszła.

– Nie będę, panie Crandall.

Louis dostrzegł, iż Ellie, choć poruszona słowami starca, nie bała się. Natomiast Rachel patrzyła niespokojnie na Juda, a i sam Louis poczuł lekki niepokój. Przypuszczał, że to typowy dla ludzi z miasta niemal instynktowny lęk przed lasem. On sam nie trzymał w ręku kompasu od czasu swej przygody z harcerstwem dwadzieścia lat wcześniej, a jego wspomnienia, jak orientować się wśród drzew dzięki Gwieździe Polarnej czy mchowi porastającemu stare pnie, były równie mętne jak pojęcie, jak wiąże się węzeł płaski czy ósemkę.

Jud uśmiechnął się i zmierzył ich uważnym wzrokiem.

– Pamiętajcie, że nie straciliśmy nikogo w tych lasach od trzydziestego czwartego, a przynajmniej nikogo miejscowego. Ostatnią osobą był Will Jeppson. Niewielka strata. Poza Stannym Bouchardem Will był chyba największym moczymordą po tej stronie Bucksport.

– Mówiłeś „nikogo miejscowego” – zauważyła Rachel głosem nie do końca swobodnym i Louis natychmiast odczytał w jej myślach: ***My nie jesteśmy miejscowi, a przynajmniej jeszcze nie.***

Jud zastanawiał się przez chwilę, w końcu skinął głową.

– Co jakieś dwa–trzy lata gubi się tu jakiś turysta, bo sądzi, że nie zabłądzi tak blisko drogi. Ale nigdy nie

straciliśmy żadnego na dobre, moja panno. Nie zamartwiaj się.

– Są tu łosie? – spytała z obawą Rachel i Louis uśmiechnął się. Jeśli Rachel chciała się zamartwiać, nikt nie mógł jej do tego zniechęcić.

– Możesz tu spotkać łosia – odparł Jud – ale nic ci nie zrobi, Rachel. W okresie godowym robią się nieco drażliwe, poza tym jednak tylko patrzą. Jedyni ludzie, których atakują poza czasem rui, to turyści z Massachusetts. Nie wiem, czemu tak jest, ale to prawda. – Louis uznał, że tamten żartuje, jednak nie miał pewności. Jud mówił śmiertelnie poważnie. – Widziałem to po wielekroć. Jakiś gość z Saugos, Milton czy Weston siedzący na drzewie i wrzeszczący o stadzie łosi wielkich jak przyczepy kempingowe. Zupełnie jakby łosie umiały wywęszyć Massachusetts na człowieku. A może to te nowe stroje od L.L. Beana? Nie mam pojęcia. Chciałbym, żeby jeden ze studentów ochrony środowiska zajął się tą sprawą, ale wątpię, by do tego doszło.

– Co to jest ruja? – spytała Ellie.

– Nieważne – ucięła Rachel. – Nie chcę, żebyś tu przychodziła. Chyba że w towarzystwie dorosłego. – Zbliżyła się o krok do Louisa.

– Nie zamierzałem cię straszyć, Rachel. – Jud był wyraźnie zakłopotany. – Ciebie ani twojej córeczki. W tych lasach nie ma się czego bać. To dobra ścieżka. Wiosną trochę tu dużo robactwa, a przez cały rok jest dość mokro – oprócz pięćdziesiątego piątego; to było

najsuchsze lato, jakie pamiętam – ale, do diabła, nie rośnie tu nawet trujący bluszcz ani trujące dęby, które można znaleźć na tyłach szkoły. Trzymaj się od nich z daleka, Ellie, jeśli nie chcesz przez trzy tygodnie kąpać się w krochmalu.

Ellie zakryła dłonią usta i zachichotała.

– To bezpieczna ścieżka – powiedział z naciskiem Jud; Rachel wciąż nie wydawała się przekonana. – Nawet Gage mógłby nią chodzić, a dzieciaki z miasta często tu biegają. Wspominałem już o tym. Utrzymują ją w porządku. Nikt im nie każe, robią to z własnej woli. Nie chciałbym zepsuć Ellie zabawy. – Nachylił się nad nią i mruknął: – Tak to już jest w życiu, Ellie. Póki jesteś na ścieżce, nie dzieje się nic złego. Jeśli z niej zboczysz i nie dopisze ci szczęście, zgubisz się, a wtedy ktoś będzie musiał cię szukać.

Szli dalej. Od ciężkiego nosidła Louis zaczął odczuwać bolesne skurcze w plecach, ugiętych pod ciężarem nosidła. Od czasu do czasu Gage oburącz ciągnął go za włosy bądź z entuzjazmem kopał w nerki. Ostatnie letnie komary krążyły wokół twarzy i szyi, śmigając z cichym nieznośnym bzykiem.

Ścieżka opadała w dół, wijąc się między bardzo starymi jodłami. Następnie zagłębiła się w gęste, splątane poszycie. Rzeczywiście było tu wilgotno: kalosze Louisa z mlaskaniem zanurzały się w błocie i stojącej wodzie. W pewnym momencie przekroczyli wąskie bagienko, przeskakując z jednej kępy traw na drugą. To był

najgorszy odcinek. Wkrótce potem ścieżka znów ruszyła w górę i pojawiły się drzewa. Gage jakimś cudem zdawał się z każdą chwilą przybierać na wadze, a powietrze podobnym cudem ogrzało się co najmniej o pięć stopni. Po twarzy Louisa ściekały strużki potu.

– Jak ci idzie, kochanie? – spytała Rachel. – Chcesz, żebym trochę go poniosła?

– Wszystko w porządku – odparł. I rzeczywiście było w porządku, choć serce coraz szybciej tłukło mu się w piersi. Znacznie częściej zalecał swym pacjentom ćwiczenia fizyczne, niż sam je uprawiał.

Jud szedł obok Ellie. Jej cytrynowożółte spodnie i czerwona bluza odcinały się jaskrawymi plamami na tle ponurego brązu i zieleni.

– Lou, czy on naprawdę wie, dokąd nas prowadzi? – spytała niespokojnie Rachel, zniżając głos.

– Jasne – zapewnił ją Louis.

– Już niedaleko – zawołał wesoło przez ramię Jud. – Radzisz sobie, Louis?

Mój Boże, pomyślał Louis. Gość jest dobrze po osiemdziesiątce, a w ogóle się nie spocił.

– Bez problemu – odkrzyknął nieco agresywnie. Duma zapewne zmusiłaby go do powiedzenia tego samego, nawet gdyby przeczuwał już nadejście zawału. Uśmiechnął się szeroko, lekko podciągnął paski nosidełka i ruszył naprzód.

Pokonali drugie wzgórze i ścieżka znów opadła, przecinając kępę krzaków i splątanego poszycia

wysokości dorosłego człowieka. Następnie zwęziła się i nagle, tuż przed sobą, Louis ujrzał, jak Ellie i Jud przechodzą przez bramę zbitą ze starych, wyblakłych i zniszczonych desek. Czarną obłażącą farbą wypisano na nich ledwie czytelne słowa CMĘTARZ ZWIEŻĄT. Wymienili z Rachel rozbawione spojrzenia i także przeszli przez bramę, instynktownie chwytając się za dłonie, jakby przybyli tu, by wziąć drugi ślub.

Po raz wtóry tego ranka Louis zatrzymał się, zdjęty podziwem.

Iglasta wyściółka zniknęła. Pod ich stopami rozciągała się skoszona trawa, tworząca niemal idealne koło ponaddziesięciometrowej średnicy. Z trzech stron otaczały je gęste krzaki, z czwartej stary wiatrołom, stos zwalonych drzew, wyglądających złowrogo i niebezpiecznie. Mężczyzna, który chciałby przez nie przejść, powinien nałożyć stalowe suspensorium, pomyślał Louis. Całą polanę wypełniały nagrobki, niewątpliwie zrobione przez dzieci z najróżniejszych materiałów, które zdołały zdobyć bądź wyprosić od rodziców – listewek ze skrzynek, kawałków desek, fragmentów ocynkowanej blachy. A jednak oglądane na tle niskich krzaków i poskręcanych drzew walczących o wolną przestrzeń i dostęp do słońca, mimo swej prostoty i prymitywności wydawały się cudownie symetryczne. Otoczenie dodatkowo podkreślało fakt, że za ich powstanie odpowiadają ludzie. Pobliski las sprawiał, że całe miejsce nabierało niezwykłej powagi i uroku, ze swej

natury nie chrześcijańskiego, lecz pogańskiego.

– Urocze – mruknęła Rachel, bez specjalnego przekonania.

– Jejku! – krzyknęła Ellie.

Louis zdjął z pleców Gage'a i wyciągnął go z nosidła, tak by mógł sobie poraczkować. Jego kręgosłup odetchnął z ulgą.

Ellie biegała od jednego pomnika do drugiego, wykrzykując bez przerwy. Louis ruszył za nią, podczas gdy Rachel miała oko na małego. Jud usiadł na ziemi, krzyżując nogi, i oparty o wystający kamień zapalił.

Louis zauważył, że panujące tu symetria i porządek nie były złudzeniem. Wszystkie nagrobki tworzyły kolejne koncentryczne kręgi.

KOT SMUCKY – głosił napis na desce, niewątpliwie nakreślony ręką dziecka, lecz bardzo staranny. BYŁ POSŁÓSZNY, a pod tym 1971–1974. Nieco dalej, na obwodzie zewnętrznego kręgu natknął się na kawałek naturalnego łupku z imieniem napisanym wyblakłą, lecz wciąż czytelną czerwoną farbą: BIFFER. Pod spodem nakreślono krótki wierszyk, na którego widok Louis uśmiechnął się szeroko: „Biffer, Biffer, pies wspaniały, przez wszystkich kochany cały".

– Biffer to cocker-spaniel Desslerów – powiedział Jud. Obcasem oczyścił kawałek gruntu i ostrożnie strzepywał tam popiół. – W zeszłym roku przejechała go śmieciarka. Smutna sprawa.

– Owszem – zgodził się Louis.

Niektóre groby ozdobiono kwiatami. Część z nich wciąż była świeża, większość stara, niektóre zupełnie zgniły. Ponad połowa wymalowanych i wypisanych ołówkiem napisów stała się już kompletnie nieczytelna. Inne nagrobki były zaś zupełnie pozbawione napisów. Louis zgadywał, iż pierwotnie oznaczono je kredką bądź kredą.

– Mamo! – wrzasnęła Ellie – tu jest złota rybka, chodź zobacz!

– Dziękuję, wolę nie – odparła Rachel i Louis obejrzał się na nią. Stała samotnie z boku, poza zewnętrznym kręgiem, z bardzo niewyraźną miną.

Nawet tutaj się martwi, pomyślał Louis. Nigdy nie czuła się swobodnie w obliczu oznak śmierci (przypuszczał zresztą, iż dotyczy to każdego), prawdopodobnie z powodu siostry. Siostra Rachel umarła bardzo młodo i zdarzenie to pozostawiło bolesną bliznę. Louis już na początku małżeństwa nauczył się jej nie dotykać. Miała na imię Zelda, zabiło ją zapalenie rdzenia. Jej śmierć, najpewniej długa, bolesna i paskudna, odcisnęła piętno na Rachel, będącej wówczas w najbardziej wrażliwym wieku. Skoro chciała o tym zapomnieć, powinno się jej na to pozwolić.

Louis mrugnął do żony, która posłała mu pełen wdzięczności uśmiech.

Uniósł wzrok. Znajdowali się na naturalnej polanie. Przypuszczał, iż wyjaśniało to, dlaczego trawa tak dobrze radziła sobie w tym miejscu: docierało do niej słońce.

Mimo wszystko jej utrzymanie wymagało podlewania i starannej opieki. To oznaczało bańki wody, może nawet spryskiwacze cięższe niż Gage z nosidłem, dźwigane na małych plecach. Dziwne, że dzieci tak długo utrzymywały to miejsce. Jego własne wspomnienia dziecięcych zabaw – dodatkowo umocnione doświadczeniami z Ellie – sugerowały, iż dziecięcy entuzjazm płonie jak papier, szybko, gorąco, i równie szybko gaśnie.

Lecz te dzieci rzeczywiście długo utrzymywały w porządku cmentarz. Jud miał rację. W miarę jak Louis zbliżał się do środka kręgu, stawało się to coraz bardziej oczywiste. Z każdym krokiem napotykał coraz to starsze groby, coraz mniej czytelnych inskrypcji, lecz te, które mógł odszyfrować, tworzyły prowizoryczną chronologię, sięgającą daleko w przeszłość. Oto TRIXIE ZABITA NA DRODZE 15 WRZEŚNIA 1968. W tym samym kręgu znajdowała się szeroka, płaska deska, głęboko wbita w ziemię. Mróz i roztopy wypaczyły ją, lecz Louis wciąż dostrzegał litery tworzące napis: PAMIĘCI MARTY, NASZEJ KRULICZKI, ZMARŁEJ 1 MARCA 1965. Rząd dalej dostrzegł GENERAŁA PATTONA (NASZ! POCZCIWY! PIES! – podkreślał napis), który zdechł w 1958, i Polinezję (zapewne papugę, jeśli Louis dobrze pamiętał „Doktora Dolittle”), która wyskrzeczała swoje ostatnie „Polly chce ciasteczko” latem 1953 roku. W następnych dwóch rzędach niczego nie dało się odczytać, a potem, wciąż daleko od środka, wykute w kawałku

piaskowca litery głosiły: HANNAH NAJLEPSZY PIES JAKI KIEDYKOLWIEK ŻYŁ 1929–1939. Choć piaskowiec był względnie miękki – i w rezultacie z napisu pozostał już tylko widmowy ślad – Louisowi trudno było sobie wyobrazić, ile godzin musiało spędzić dziecko wypisując w kamieniu tych sześć słów. Cóż za ogromne dzieło, miłości i rozpaczy. Nawet rodzice nie robią czegoś takiego dla swych własnych rodziców bądź dzieci, jeśli te umrą młodo.

– To naprawdę stare miejsce – rzekł do Juda, który wstał i dołączył do niego. Tamten przytaknął.

– Chodź tutaj, Louis, chcę ci coś pokazać.

Podeszli do rzędu, który od środka dzieliły zaledwie trzy rzędy. W tym miejscu wzór kręgów, dalej sprawiający wrażenie przypadkowego, był bardzo wyraźny. Jud przystanął przed wywróconym kawałkiem łupku. Ukląkł ostrożnie i postawił go na miejscu.

– Kiedyś były tu słowa – rzekł. – Sam je wykułem, ale już się starły. Pogrzebałem tu mojego pierwszego psa, Spota. Zdechł ze starości w czternastym roku, gdy wybuchła Wielka Wojna.

Nieco rozbawiony myślą, że oto znalazł się na cmentarzu starszym niż wiele ludzkich nekropolii, Louis znów ruszył ku środkowi i obejrzał kilkanaście nagrobków. Żaden z nich nie był czytelny, a większość niemal pochłonęła roślinność. Jeden z nich prawie zupełnie przykryła trawa, a kiedy go ustawił, rozległ się cichy odgłos darcia, jakby ziemia protestowała przeciwko

oddaniu łupu. Z odsłoniętego miejsca umknęły chrząszcze. Louis poczuł nagły dreszcz. Boot Hill dla zwierząt. Nie wiem, czy podoba mi się ten pomysł.

– Jak stare jest to miejsce?

– Przykro mi, nie wiem. – Jud wsunął dłonie głęboko do kieszeni. – Oczywiście było tu już, kiedy zdechł Spot. W tamtych czasach miałem całą bandę przyjaciół. Pomogli mi wykopać grób. Kopanie w tym miejscu nie jest łatwe – wszędzie pełno kamieni. Trudno je ruszyć. Ja też czasem im pomagałem. – Zaczął wskazywać tu i tam zrogowaciałym palcem. – To tutaj to pies Pete'a LaVassuera, jeśli dobrze pamiętam. A tam leżą trzy koty Albiona Groatleya, pochowane jeden obok drugiego.

Stary Fritchie hodował gołębie wyścigowe. Razem z Alem Groatleyem i Carlem Hannah pochowaliśmy jednego z nich, gdy dopadł go pies. Leży tutaj. – Umilkł, po czym dodał z namysłem: – Jestem ostatni, wiesz. Cała moja banda nie żyje. Wszyscy odeszli.

Louis nic nie powiedział. Stał tylko, przyglądając się zwierzęcym grobom, z rękami w kieszeniach.

– To kamienista ziemia – powtórzył Jud. – I tak nie można w niej zasadzić nic, oprócz zwłok.

Po drugiej stronie polany Gage zaczął płakać. Rachel podniosła go i posadziła na biodrze.

– Jest głodny – oznajmiła. – Chyba powinniśmy już wracać, Lou. – Proszę cię, zgódź się, błagały jej oczy.

– Jasne – odparł, odpowiadając na niemą prośbę. Zarzucił na plecy nosidełko i obrócił się, by Rachel mogła

wpiąć w nie Gage’a. – Ellie! Hej, Ellie, gdzie jesteś?

– Jest tam. – Rachel wskazała wiatrołom. Ellie wdrapywała się na niego, jakby znalazła dalekiego kuzyna szkolnych drabinek.

– Słonko, zejdź stamtąd! – krzyknął z niepokojem Jud. – Jeśli wsuniesz stopę w niewłaściwe miejsce, a drzewa się poruszą, złamiesz nogę w kostce.

Ellie zeskoczyła.

– Auu – krzyknęła i zbliżyła się ku nim, rozcierając biodro. Skóra była cała, lecz sztywna, zeschnięta gałąź rozdarła jej spodnie.

– Widzisz, co mam na myśli. – Jud rozczochrał jej dłonią włosy. – Nawet doświadczony leśnik nie wdrapie się na stary wiatrołom, jeśli może go ominąć. Drzewa leżące na kupie robią się złośliwe. Ugryzłyby cię, gdyby mogły.

– Naprawdę? – spytała Ellie.

– Naprawdę – powiedział Louis, zanim Jud zdążył coś rzec.

– Leżą na stosie niczym słomki – dodał starzec. – Jeśli staniesz na jednej, reszta może zwalić się na ciebie jak lawina.

Ellie spojrzała na Louisa.

– To prawda, tatusiu?

– Chyba tak, kochanie.

– Iii! – Obejrzała się na wiatrołom i wrzasnęła: – Rozdarłyście mi spodnie, wy wstrętne drzewa!

Cała trójka dorosłych wybuchnęła śmiechem.

Wiatrołom milczał. Tkwił tam w bezruchu, bielejąc w słońcu, tak jak to robił od dziesięcioleci. Louisowi przyszedł nagle na myśl szkielet dawno zmarłego potwora, być może zabitego przez szlachetnego, dobrego rycerza. Smocze kości ułożone w gigantyczny pogrzebowy stos.

Nagle wydało mu się, że jest coś dziwnego w tym, iż wiatrołom przegradza akurat drogę pomiędzy cmentarzem zwierząt i głębokimi lasami, które Jud Crandall nazywał często później „indiańskim lasem”. Trochę to zbyt wygodne, jak na zbieg okoliczności. Sama przypadkowość wiatrołomu zdawała się zbyt sztuczna, zbyt idealna, by stanowić dzieło natury. Zupełnie jakby…

W tym momencie Gage złapał go za ucho i przekręcił, gulgocząc radośnie, i Louis zapomniał na śmierć o wiatrołomach w lesie za cmentarzem zwierząt. Czas było wracać do domu.

9

Kiedy następnego dnia Ellie przyszła do niego, wyglądała, jakby coś ją gryzło. Louis pracował właśnie w swym maleńkim gabinecie nad modelem. Ten miał przedstawiać rolls-royce'a silver ghost z 1917 roku. Sześćset osiemdziesiąt elementów; ponad pięćdziesiąt ruchomych części. Już był prawie skończony i Louis niemal mógł wyobrazić sobie szofera w liberii, potomka w prostej linii osiemnasto- i dziewiętnastowiecznych woźniców, siedzącego z królewską miną za kierownicą.

Odkąd skończył dziesięć lat, miał świra na punkcie modeli. Zaczął od spada z I wojny światowej, którego podarował mu wujek Carl. Potem przerobił większość samolotów Revella, a jako nastolatek dorósł do większych, lepszych modeli. Przechodził fazy okrętów w butelkach i machin wojennych, a nawet budowy pistoletów i rewolwerów, tak realistycznych, iż trudno było uwierzyć, że nie wystrzelą za pociągnięciem spustu – koltów, winchesterów i lugerów, nawet buntline special. Przez ostatnich pięć lat zajmowały go wielkie statki wycieczkowe; na półkach gabinetu na uniwersytecie ustawił modele „Lusitanii" i „Titanica", a „Andrea Doria", ukończony tuż przed wyjazdem z Chicago, obecnie żeglował dumnie po obudowie kominka w salonie. Teraz przerzucił się na klasyczne samochody.

Jeśli poprzedni schemat się utrzyma, przypuszczał, że minie od czterech do pięciu lat, nim poczuje potrzebę kolejnej odmiany. Rachel traktowała to jego jedyne prawdziwe hobby z typową dla żon pobłażliwością, która, jak podejrzewał, kryła w sobie element pogardy. Nawet po dziesięciu latach małżeństwa zapewne sądziła, że któregoś dnia Louis z tego wyrośnie. Być może częściowo przejęła to podejście po swym ojcu, który zarówno obecnie, jak i w czasie gdy Louis i Rachel się pobierali, uważał, iż jego zięć to prawdziwy palant.

Może Rachel ma rację – pomyślał. – Może pewnego dnia obudzę się w wieku trzydziestu siedmiu lat, upchnę modele na strychu i zajmę się lotniarstwem.

Tymczasem Ellie czekała z poważną miną.

Czyste wiejskie powietrze niosło typowy dla niedzielnych poranków dźwięk: kościelne dzwony zwoływały wiernych.

– Cześć, tato – powiedziała.

– Cześć, pączku. Co się stało?

– Och, nic takiego – odparła, lecz jej twarz mówiła coś innego. Mówiła, że dzieje się całe mnóstwo rzeczy, a żadna z nich nie jest przyjemna. Świeżo umyte włosy opadały luźno na ramiona; w tym świetle wciąż były bardziej złociste niż brązowe, a przecież w końcu takie się staną. Miała na sobie sukienkę i nagle Louis pomyślał, że jego córka niemal zawsze wkładała sukienkę w niedzielę, choć nie uczęszczali do kościoła. – Co budujesz?

Wyjaśnił jej, starannie przyklejając błotnik.

– Spójrz na to. – Ostrożnie podał córce kołpak. – Widzisz te połączone litery „R”? Ładny szczegół, prawda? Jeśli polecimy do Shytown na Święto Dziękczynienia i wsiądziemy do L-1011, będziesz mogła zobaczyć przez okno silniki z tym samym znakiem.

– Kołpak, wielkie mi coś. – Oddała mu go.

– Proszę cię – rzekł. – Jeśli masz na własność rolls-royce’a, nazywasz to osłoną koła. Jeśli jesteś dość bogata, by kupić sobie rollsa, możesz trochę się popuszyć. Kiedy zarobię drugi milion, też kupię sobie takiego, rolls-royce’a corniche’a. Wówczas gdy Gage pochoruje się w samochodzie, będzie mógł wymiotować na prawdziwą skórę. – ***No dalej, Ellie, co ci chodzi po głowie?*** Ale do Ellie trzeba było podejść inaczej. Jej nie zadawało się bezpośrednich pytań. Zwykle uważała, by nie ujawnić zbyt wiele. Louis podziwiał w niej tę cechę.

– Czy my jesteśmy bogaci, tatusiu?

– Nie – powiedział. – Ale także nie głodujemy.

– Michael Burns w szkole twierdzi, że wszyscy lekarze są bogaci.

– Możesz powiedzieć Michaelowi Burnsowi w szkole, że wielu doktorów zbija majątek, ale potrzeba do tego dwudziestu lat praktyki, i nikt nie wzbogaci się, kierując ambulatorium na uniwersytecie. Majątki zdobywają specjaliści: ginekolog, pediatra, neurolog. Oni zarabiają więcej. Zwykłym internistom, takim jak ja, zabiera to więcej czasu.

– To czemu nie zostaniesz specjalistą, tatusiu?

Louis pomyślał o swych modelach i o tym, jak któregoś dnia nie chciał już dłużej budować samolotów wojskowych, a potem jak zmęczyły go tygrysy i stanowiska ogniowe. Jak zaczął wierzyć (z perspektywy czasu zdawało się, że doszło do tego niemal z dnia na dzień), iż budowanie statków w butelkach to głupia zabawa. A potem pomyślał, jak wyglądałoby jego życie, gdyby do końca swych dni musiał badać dziecięce stopy w poszukiwaniu zniekształceń palucha, albo wkładać cienkie lateksowe rękawiczki i obmacywać fachowo pochwy kolejnych kobiet w poszukiwaniu guzów bądź nadżerek.

– Po prostu by mi się to nie podobało – odparł.

Church wszedł do gabinetu, zatrzymał się i rozejrzał bystro jasnozielonymi oczami. Bezszelestnie wskoczył na parapet i najwyraźniej zasnął.

Ellie zerknęła na niego i zmarszczyła brwi, co niezwykle zdumiało Louisa. Zazwyczaj córeczka patrzyła na Churcha z czułością i miłością tak głęboką, że niemal bolesną. Teraz zaczęła krążyć po pokoju, oglądając kolejne modele. Wreszcie głosem sprawiającym wrażenie pełnego nonszalancji, zauważyła:

– Rany, na tym cmentarzu zwierząt było naprawdę mnóstwo grobów, prawda?

Tu cię boli, pomyślał Louis, ale nie uniósł wzroku. Zajrzał do instrukcji i zaczął umieszczać na Rollsie reflektory.

– Owszem – rzekł. – Powiedziałbym, że ponad sto.

– Tatusiu, dlaczego zwierzęta domowe nie żyją tak długo jak ludzie?

– No cóż, niektóre zwierzęta żyją równie długo, a inne znacznie dłużej. Słonie dożywają późnego wieku. Są też żółwie morskie tak stare, iż ludzie w zasadzie nie wiedzą, ile mają lat… Albo może wiedzą, tylko nie chcą w to uwierzyć.

Ellie brutalnie zlekceważyła te przykłady.

– Słoni i żółwi morskich nie hoduje się w domu. Domowe zwierzęta wcale nie żyją długo. Michael Burns mówi, że każdy rok życia psa to dziewięć naszych lat.

– Siedem – poprawił odruchowo Louis. – Widzę, do czego zmierzasz, słonko. Jest w tym sporo prawdy. Pies, który dożywa dwunastu lat, to bardzo stary pies. Widzisz, istnieje coś, co nazywamy metabolizmem, i ów metabolizm zajmuje się odmierzaniem czasu. Robi też inne rzeczy – niektórzy ludzie mogą mnóstwo jeść i pozostają szczupli dzięki swemu metabolizmowi, tak jak twoja matka, inni – na przykład ja – nie mogą jeść tak wiele i nie utyć. Nasze metabolizmy po prostu się różnią. Ale przede wszystkim metabolizm jest czymś w rodzaju wbudowanego w ciało zegara. Psy mają dość szybki metabolizm. Ludzie znacznie wolniejszy. Większość z nas dożywa około siedemdziesięciu dwóch lat. A wierz mi, siedemdziesiąt dwa lata to bardzo dużo czasu.

Ponieważ Ellie wyglądała na naprawdę zmartwioną, miał nadzieję, iż jego słowa zabrzmiały szczerzej, niż sam

je odczuwał. Miał trzydzieści pięć lat i odnosił wrażenie, że wszystkie te lata przeszły i minęły, nie pozostawiając śladu, szybko i ulotnie, niczym chwilowy przeciąg spod drzwi.

– Natomiast żółwie morskie mają jeszcze wolniejszy metabo…

– A koty? – wtrąciła Ellie, znów spoglądając na Churcha.

– No cóż, koty żyją równie długo jak psy – odparł Louis. – W każdym razie najczęściej. – To było kłamstwo i wiedział o tym. Koty prowadziły gwałtowne życie i często ginęły krwawą, nagłą śmiercią, tuż poza zasięgiem ludzkiego wzroku. Oto Church drzemiący spokojnie w słońcu (bądź sprawiający takie wrażenie), Church, który co noc spał błogo na łóżku jego córki, taki słodki jako kocię, zaplątany w kłębek sznurka. A przecież Louis widział, jak kot torturuje ptaka ze złamanym skrzydłem. W jego zielonych oczach pobłyskiwała ciekawość i – Louis mógł przysiąc – chłodna satysfakcja. Church, gdy coś złapał, przynosił Rachel, by mogła podziwiać zdobycz: mysz, robaka, a raz wielkiego szczura, prawdopodobnie schwytanego w alejce pomiędzy blokami. Szczur był tak zakrwawiony i pokryty skrzepami, iż Rachel, wówczas w szóstym miesiącu ciąży z Gage’em, musiała uciec do łazienki, by zwymiotować. Gwałtowne życie, gwałtowna śmierć. Czasami dopadał je pies i rozdzierał na strzępy, zamiast jedynie ścigać na wzór niezgrabnych i głupkowatych psów z telewizyjnych

kreskówek, albo zabijał inny kocur, wyłożona trutka, przejeżdżający samochód. Koty to gangsterzy świata zwierzęcego, żyjący poza prawem i tam ginący. Mnóstwo z nich nie dożyje starości przy kominku.

Ale o tym raczej się nie mówi pięcioletniej córeczce, która po raz pierwszy zastanawia się nad istotą śmierci.

– No wiesz – dodał. – Church ma dopiero trzy lata, a ty pięć. Może wciąż żyć, gdy skończysz piętnaście lat. Będziesz już wtedy w liceum. To bardzo dużo czasu.

– Mnie wcale nie wydaje się dużo. – Głos Ellie wyraźnie drżał. – Wcale nie tak dużo.

Louis przestał udawać, że wciąż pracuje nad modelem i gestem wezwał ją do siebie. Usiadła mu na kolanach; raz jeszcze uderzyła go jej uroda, dodatkowo podkreślona przez wzruszenie. Miała ciemną, niemal południową karnację. Tony Benton, jeden z lekarzy pracujących z Louisem w Chicago, nazywał ją indiańską księżniczką.

– Kochanie – rzekł – gdyby to zależało ode mnie, pozwoliłbym Churchowi dożyć setki, ale nie ja ustalam zasady.

– A kto? – spytała, po czym z nieskończoną wzgardą dodała: – Pewnie Bóg.

Louis zdusił w zarodku nagłe rozbawienie. Sprawa była zbyt poważna.

– Bóg albo ktoś inny – rzekł. – Zegary tykają, to wszystko, co wiem. Nie ma żadnych gwarancji, złotko.

– Nie chcę, żeby Church był taki, jak tamte martwe zwierzęta! – wybuchnęła, wściekła i zapłakana. – Nie

chcę, by Church kiedykolwiek umarł! To mój kot! Nie jest kotem Pana Boga! Niech Bóg sprawi sobie własnego kota! Niech weźmie sobie wszystkie koty, które zechce, i je pozabija, ale Church jest mój!

W kuchni rozległy się kroki i do pokoju zajrzała wyraźnie zdumiona Rachel. Ellie płakała, przytulona do piersi ojca. Wreszcie wypowiedziała głośno dręczący ją koszmar. Wyrzuciła go z siebie, odsłoniła jego twarz, której obecnie mogła się przyjrzeć. Teraz, choć nie potrafiła niczego zmienić, mogła przynajmniej płakać.

– Ellie – rzekł Louis, kołysząc ją. – Ellie, Ellie, Church nie jest martwy. Spójrz tutaj. On śpi.

– Ale mógłby umrzeć. Mógłby! – płakała. – Mógłby, w każdej chwili.

Tulił ją i kołysał, wierząc, słusznie bądź nie, iż Ellie opłakuje sam fakt nieuchronności śmierci, jej niewrażliwości na argument, jakim są łzy małej dziewczynki, że opłakuje jej okrutną nieprzewidywalność i że płacze z powodu cudownej, potwornej zdolności ludzkich istot do przekładania symboli na wnioski, bądź to szlachetne i wspaniałe, bądź też ponure i przerażające. Skoro wszystkie te zwierzęta umarły i zostały pogrzebane, także i Church mógł umrzeć

w każdej chwili!

i zostać pogrzebany. A skoro mogło to spotkać Churcha, mogło też spotkać jej matkę, ojca, małego braciszka. Ją samą. Śmierć była pojęciem mglistym, Cmętarz Zwieżąt był prawdziwy. W materii

prymitywnych nagrobków kryły się prawdy, które potrafiła wyczuć nawet dziecięca ręka.

Łatwo byłoby w tym momencie skłamać, tak jak skłamał wcześniej na temat długości życia domowych kotów, lecz kłamstwo zostałoby przywołane później i być może trafiłoby w końcu na świadectwo, jakie wszystkie dzieci wystawiają swoim rodzicom. Jego własna matka powiedziała mu podobne kłamstwo; niewinne kłamstewko o tym, że kobiety znajdują dzieci w trawie pośród rosy, gdy tylko naprawdę ich pragną. I mimo iż historyjka była niewinna, Louis nigdy nie wybaczył samemu sobie, że w nią uwierzył – ani matce, że mu ją opowiedziała.

– Kochanie – rzekł – to się zdarza. To część życia.

– Zła część – wyszlochała. – Naprawdę zła!

Na to nie miał odpowiedzi. Ellie płakała. Przypuszczał, że w końcu przestanie. To niezbędny pierwszy krok na drodze do niechętnego pogodzenia się z prawdą, która już nigdy jej nie opuści.

Tulił córkę i słuchał kościelnych dzwonów w niedzielny poranek, dzwoniących nad wrześniowymi polami. Minęło trochę czasu od chwili, gdy ucichła, nim zorientował się, iż podobnie jak Church zasnęła.

Położył ją do łóżka i zszedł na dół do kuchni, gdzie Rachel zdecydowanie zbyt energicznie ugniatała ciasto. Powiedział, iż zdumiało go, że Ellie nagle wybuchła w ten sposób i to przed południem. To do niej niepodobne.

– Rzeczywiście – odparła Rachel, z głośnym łoskotem

odstawiając miskę na blat. – To do niej niepodobne, ale mam wrażenie, że nie spała prawie całą noc. Słyszałam, jak się wierci, a koło trzeciej Church zaczął miauczeć, żeby go wypuścić. Robi to tylko wtedy, gdy jest niespokojna.

– Czemu miałaby…

– Dobrze wiesz czemu! – powiedziała gniewnie Rachel. – Przez ten przeklęty cmentarz zwierząt. Oto czemu. To naprawdę nią wstrząsnęło, Lou. Pierwszy raz w życiu była na jakimkolwiek cmentarzu i po prostu… po prostu się zdenerwowała. Raczej nie wyślę twojemu przyjacielowi Judowi Crandallowi listu dziękczynnego za tę szczególną wycieczkę.

Nagle to tylko mój przyjaciel, pomyślał Louis, jednocześnie rozbawiony i zirytowany.

– Rachel…

– I nie chcę, żeby tam znów chodziła.

– Rachel, Jud miał rację co do ścieżki.

– Tu nie chodzi o ścieżkę, i dobrze o tym wiesz. – Rachel podniosła miskę i zaczęła jeszcze szybciej kręcić ciasto. – To przeklęte miejsce jest chore. Dzieci chodzą tam, sprzątają groby, utrzymują ścieżkę… To niezdrowe, cholernie niezdrowe. I cokolwiek to jest, nie chcę, żeby Ellie się od nich zaraziła.

Louis patrzył na nią zakłopotany. Często podejrzewał, że jedną z rzeczy pozwalających im utrzymać małżeństwo w czasach, gdy każdy rok przynosił wieści o rozpadzie związków kolejnych przyjaciół, było poszanowanie

tajemnicy, na wpół dostrzeżonej, lecz nigdy nie dopowiedzianej myśli, że w gruncie rzeczy coś takiego jak małżeństwo, związek nie istnieje – każda dusza trwa samotnie, nie poddając się próbom racjonalizacji. To właśnie była tajemnica. I nieważne, jak dobrze zna się swojego partnera, od czasu do czasu każdy natrafia na niespodziewany mur bądź wpada w nieoczekiwaną pułapkę. A czasami (dzięki Bogu nieczęsto) natrafiamy na chwilę absolutnej obcości, coś jak niewidoczna turbulencja, która bez żadnych przyczyn może wstrząsnąć samolotem – przekonanie, przeświadczenie, którego istnienia nigdy się nie podejrzewało, tak osobliwe (przynajmniej dla nas), że wydaje się niemal graniczące z psychozą. A wówczas trzeba stąpać bardzo uważnie, jeśli ceni się swoje małżeństwo i spokój ducha. Należy pamiętać, że gniew z powodu podobnego odkrycia to domena głupców wierzących, iż jeden umysł może naprawdę poznać drugi.

– Kochanie, to tylko cmentarz zwierząt – rzekł.

– Przypomnij sobie, jak przed chwilą płakała. – Rachel oblepioną ciastem łyżką wskazała drzwi wiodące do jego gabinetu. – Sądzisz, że dla niej to jedynie cmentarz zwierząt? Coś takiego pozostawi piętno, Lou. Nie. Więcej już tam nie pójdzie. Nie chodzi o ścieżkę, tylko o miejsce. Zaczęła już uważać, że Church wkrótce zdechnie.

Przez sekundę Louis odniósł szaleńcze wrażenie, że wciąż rozmawia z Ellie, która tylko nałożyła szczudła,

jedną z sukienek matki i bardzo realistyczną maskę Rachel. Nawet wyraz jej twarzy był taki sam: zdecydowany i odrobinę nadąsany, a przede wszystkim głęboko zraniony.

Szukał właściwych słów, bo nagle kwestia ta wydała mu się niezmiernie ważna – nie jedna z rzeczy, jakie zwykle pomijało się w imię uszanowania owej tajemnicy… owej samotności. Szukał właściwych słów, albowiem miał wrażenie, że żona nie dostrzega czegoś tak ważnego, iż niemal wypełniającego cały widnokrąg. A czegoś takiego nie można dokonać, jeśli z rozmysłem nie zamyka się oczu.

– Rachel – powiedział. – Church kiedyś zdechnie.

Spojrzała na niego gniewnie.

– Nie o to chodzi – oznajmiła, starannie wypowiadając każdy wyraz, jakby mówiła do niedorozwiniętego dziecka. – Church nie zdechnie dzisiaj ani jutro…

– Starałem się jej to wyjaśnić.

– Ani pojutrze. Prawdopodobnie nie w tym roku.

– Kochanie, tego nie możemy być pewni.

– Oczywiście, że możemy! – krzyknęła. – Dobrze się nim opiekujemy i on nie umrze. Nikt tu nie umrze. Czemu zatem chcesz martwić małą dziewczynkę czymś, czego nie zrozumie, póki nie będzie znacznie starsza?

– Rachel, posłuchaj.

Lecz Rachel nie miała zamiaru słuchać. Była wściekła.

– Dostatecznie ciężko jest próbować się pogodzić ze śmiercią – zwierzęcia, przyjaciela czy kogoś z rodziny – gdy do niej dochodzi, bez zamieniania jej w… w przeklętą atrakcję turystyczną… F-F-Forest Lawn dla zwierząt… – Po jej policzkach spływały łzy.

– Rachel. – Louis próbował położyć ręce na jej ramionach. Odepchnęła je szybko i zdecydowanie.

– Nieważne – rzekła. – Ta rozmowa i tak nie ma sensu. Zupełnie nie wiesz, o czym mówię.

Westchnął.

– Mam wrażenie, jakbym przeleciał przez ukrytą klapę i znalazł się w gigantycznym mikserze. – Liczył na uśmiech, ale go nie zobaczył. Widział jedynie jej oczy, wpatrzone w niego, czarne, gorejące. Uświadomił sobie, że jest wściekła. Nie po prostu zła, ale absolutnie wściekła. – Rachel – rzekł nagle, nie do końca pewien, co mówi. – A jak ty spałaś zeszłej nocy?

– Rany – rzuciła z pogardą, odwracając się. Nie dość szybko jednak: zdążył dostrzec w nich iskrę bólu. – To naprawdę bardzo inteligentne. Naprawdę inteligentne. Ty się nigdy nie zmienisz, Louis. Kiedy coś idzie nie tak, to wina Rachel, prawda? Rachel i jednej z jej dziwacznych emocjonalnych reakcji.

– To niesprawiedliwe.

– Nie? – Zaniosła miskę z ciastem do kąta obok kuchenki i postawiła ją z kolejnym łupnięciem. Zaciskając wargi, nasmarowała tłuszczem brytfankę.

– Nie ma nic złego w tym, że dziecko dowie się

czegoś o śmierci – powiedział cierpliwie Louis. – W istocie uważam, że to konieczne. Płacz Ellie wydał mi się czymś zupełnie naturalnym. On…

– Jasne, brzmiał bardzo naturalnie. – Rachel odwróciła się błyskawicznie. – To bardzo naturalne, że wypłakuje oczy z powodu kota, któremu zupełnie nic nie jest…

– Przestań! – rzucił. – To, co mówisz, nie ma sensu.

– Nie chcę już o tym rozmawiać.

– Owszem, ale porozmawiamy. – Teraz on był zły. – Powiedziałaś swoje. Może pozwolisz mi wyrazić własne zdanie?

– Ona już tam nie pójdzie. Jeśli o mnie chodzi, temat jest zamknięty.

– Ellie od zeszłego roku wie, skąd biorą się dzieci – powiedział Louis, starannie dobierając słowa. – Daliśmy jej książeczkę Myersa i przeprowadziliśmy z nią rozmowę. Oboje zgodziliśmy się, że dzieci powinny wiedzieć, skąd się wzięły.

– To nie ma nic wspólnego z…

– Właśnie, że ma! – uciął. – Gdy mówiliśmy z Ellie w moim gabinecie o Churchu, przypomniała mi się moja matka i stara historyjka o kapuście, którą opowiedziała mi, kiedy spytałem, skąd się biorą dzieci. Nigdy nie zapomniałem tego kłamstwa. Myślę, że dzieci do końca życia nie zapominają kłamstw swoich rodziców.

– To, skąd się biorą dzieci, nie ma nic wspólnego z cholernym cmentarzem dla zwierząt! – krzyknęła Rachel,

a jej oczy mówiły: Gadaj sobie o podobieństwach noc i dzień, jeśli masz ochotę, Louis. Gadaj, póki język nie stanie ci kołkiem, a ja i tak się nie zgodzę.

Mimo to próbował.

– Wizyta na cmentarzu dla zwierząt zmartwiła ją, bo cmentarz stanowi konkretyzację śmierci. Ellie wie o dzieciach. To miejsce w lesie sprawiło, że zapragnęła dowiedzieć się czegoś więcej o drugim krańcu życia. To całkowicie naturalne. W istocie to chyba najnaturalniejsza rzecz pod słońcem…

– Przestań to powtarzać! – krzyknęła nagle. Naprawdę wrzasnęła i Louis zdumiony cofnął się o krok. Jego łokieć trafił w otwartą torbę mąki, leżącą na blacie. Torba spadła i uderzyła o podłogę, rozdzierając się. W powietrze wzbiła się sucha, biała mączna chmura.

– O kurwa – zaklął.

W pokoju na górze Gage zaczął płakać.

– Ślicznie – rzuciła, także płacząc. – Na dodatek obudziłeś małego. Dzięki za miły, spokojny, bezstresowy niedzielny poranek.

Ruszyła ku drzwiom i kiedy przechodziła obok niego, Louis zatrzymał ją, chwytając za ramię. Mimo że starał się zachować spokój, również wpadł w złość. Ostatecznie to ona obudziła Gage’a. Obudziła go, wrzeszcząc bez opamiętania.

– Pozwól, że o coś cię spytam – rzekł – bo wiem, że z żywymi istotami może stać się wszystko, dosłownie wszystko. Wiem to jako lekarz. Czy chcesz osobiście

wyjaśnić jej, co się stało, jeśli jej kot zachoruje na nosówkę albo białaczkę – koty bardzo często chorują na białaczkę – albo zostanie przejechany na drodze? Chcesz jej to wyjaśnić, Rachel?

– Puść mnie – niemal syknęła. Gniew w jej głosie nie dorównywał jednak mocą bólowi i bezrozumnej grozie w oczach. Nie chcę o tym rozmawiać, Louis, a ty nie możesz mnie zmusić, mówiły owe oczy. – Puszczaj, chcę iść do Gage'a, zanim wypadnie z kołys…

– Bo może rzeczywiście ty powinnaś to zrobić – ciągnął. – Mogłabyś jej powiedzieć, że my o tym nie rozmawiamy. Mili ludzie o tym nie rozmawiają. Po prostu grzebią – oho, nie możesz powiedzieć grzebią, bo popadnie w kompleksy.

– Nienawidzę cię! – wyszlochała Rachel i wyrwała mu ramię.

Wówczas, rzecz jasna, zrobiło mu się przykro, ale wtedy było już za późno.

– Rachel…

Odepchnęła go brutalnie, płacząc coraz mocniej.

– Zostaw mnie. Dość już zrobiłeś. – Przystanęła w kuchennych drzwiach i obróciła się ku niemu. Łzy spływały strumieniami po jej policzkach. – Nie życzę sobie, abyś wspominał o tym przy Ellie, Lou. Mówię poważnie. W śmierci nie ma niczego naturalnego. Niczego. Ty, jako lekarz, powinieneś to wiedzieć.

Obróciła się na pięcie i zniknęła, pozostawiając Louisa w pustej kuchni, wciąż wibrującej energią kłótni.

Po chwili Louis podszedł do szafki po szczotkę. Zamiatając, rozważał ostatnią rzecz, którą powiedziała, zdumiewając się nieprawdopodobną rozbieżnością ich opinii na ten temat, z której istnienia nie zdawał sobie do tej pory sprawy. Jako doktor wiedział przecież, że śmierć, może poza tą w połogu, to najnaturalniejsza rzecz na świecie; nawet podatki nie były tak pewne. Podobnie ludzkie spory, konflikty społeczne, hossy i bessy. W ostatecznym rozrachunku pozostawał jedynie odmierzający dni zegar i nagrobki, z upływem czasu niszczejące i w końcu bezimienne. Nawet żółwie morskie i olbrzymie sekwoje musiały kiedyś umrzeć.

– Zelda – powiedział głośno. – Chryste, musiała to strasznie przeżyć.

Pytanie brzmiało: czy ma dać sobie z tym spokój, czy też próbować coś zrobić.

Nachylił szufelkę nad kubłem i mąka zsunęła się z niej z cichym szurnięciem, pokrywając białą warstewką wyrzucone pudła i puste puszki.

10

– Mam nadzieję, że Ellie nie przyjęła tego zbyt ciężko – powiedział wieczorem Jud Crandall i nie po raz pierwszy Louis odniósł wrażenie, że jego sąsiad obdarzony jest niezwykłą – i dość nieprzyjemną – zdolnością łagodnego trafiania w sedno każdego problemu.

Siedzieli z Judem i Normą na werandzie domu Crandallów, napawając się chłodem wieczora i zamiast piwa popijając mrożoną herbatę. Na piętnastce panował spory ruch. Ludzie wracali do domu po weekendzie, zupełnie jakby wszyscy uznali, że letnia pogoda lada moment się skończy i postanowili dobrze ją wykorzystać. Jutro Louis miał podjąć pełne obowiązki w przychodni. Przez ostatnie dwa dni studenci zjeżdżali się na uniwersytet, zapełniając mieszkania w Orono i kampusowe akademiki; słali łóżka, odnawiali stare znajomości i bez wątpienia narzekali bez opamiętania na kolejny czekający ich rok zajęć od ósmej rano i jedzenie ze stołówki. Rachel wciąż traktowała go ozięble – nie, raczej lodowato – i wiedział, że kiedy wróci dziś na drugą stronę drogi, ona będzie już spała, najprawdopodobniej wraz z Gage’em, tak daleko odsunięta na bok swej strony łóżka, że małemu będzie groziło wypadnięcie. Jego połowa urośnie do trzech czwartych: rozległa jałowa

pustynia.

– Mówiłem, że mam nadzieję…

– Przepraszam – przerwał Louis – zamyśliłem się. Owszem, była trochę zmartwiona. Skąd wiesz?

– Sporo ich tu widzieliśmy, jak już wspominałem. – Jud łagodnie ujął dłoń żony i uśmiechnął się do niej szeroko. – Nieprawdaż, kochanie.

– Całe stada dzieci – potwierdziła Norma Crandall. – Uwielbiamy je.

– Czasami na cmentarzu zwierząt po raz pierwszy stają oko w oko ze śmiercią – powiedział Jud. – W telewizji widzą umierających ludzi, ale wiedzą, że tamci tylko udają, jak w starych westernach, które kiedyś wyświetlali w kinach w sobotnie popołudnia. W telewizji i westernach człowiek łapie się za brzuch albo pierś i upada. Tamto miejsce na wzgórzu większości dzieciaków wydaje się znacznie bardziej rzeczywiste niż wszystkie filmy i programy telewizyjne.

Louis przytaknął, myśląc: Może powiesz to mojej żonie.

– Na niektórych dzieciach w ogóle nie wywiera to wrażenia, przynajmniej tego nie widać, choć podejrzewam, że większość, jakby… jakby zabierała to z sobą do domu, w kieszeni, by obejrzeć później, podobnie jak inne znalezione ciekawostki. Większości nic nie jest, ale niektóre… pamiętasz małego Symondsów, Normo?

Jego żona przytaknęła. Lód zadzwonił miękko w trzymanej przez nią szklance. Reflektory

przejeżdżającego samochodu zamigotały przez moment na ogniwach łańcuszka, na którym wisiały okulary.

– Miał okropne koszmary – rzekła. – Śniły mu się trupy wychodzące z ziemi i Bóg jeden wie, co jeszcze. Potem zdechł jego pies. Zdaje się, że zjadł trutkę. Tak powszechnie uważano, prawda, Jud?

– Trutkę. – Jud skinął głową. – Tak sądziła większość. To było w dwudziestym piątym, Billy Symonds miał wtedy jakieś dziesięć lat. Później został senatorem. Kandydował w wyborach do Izby Reprezentantów, ale przegrał. Działo się to tuż przed Koreą.

– Razem z przyjaciółmi urządzili psu pogrzeb – wspominała Norma. – To był zwykły kundel, ale Billy bardzo go kochał. Pamiętam, że jego rodzice z początku sprzeciwiali się temu pomysłowi z powodu złych snów i tak dalej, jednak pogrzeb poszedł świetnie. Dwóch większych chłopców zrobiło mu trumnę, prawda, Jud?

Jud przytaknął i opróżnił szklankę.

– Dean i Dana Hall – uściślił. – I jeszcze jeden chłopak, z którym kumplował się Billy; nie pamiętam, jak się nazywał, ale to na pewno jeden z braci Bowie. Pamiętasz Bowiech? Mieszkali przy Middle Drive w starym domu Brochette'ów.

– Tak. – Norma wyglądała na podekscytowaną, jakby to wszystko działo się zaledwie wczoraj. I być może w jej umyśle rzeczywiście tak było.

– To był Bowie. Alan albo Burt.

– Albo może Kendall. W każdym razie pamiętam, że

ostro kłócili się o to, kto będzie dźwigał trumnę. Pies nie był zbyt duży, toteż dźwigających mogło być tylko dwóch. Chłopcy Hallów mówili, że to powinni być oni, bo przecież zrobili trumnę, a także dlatego, że są bliźniakami: no wiesz, pasowaliby do siebie. Billy twierdził, że nie znali Bowsera – tak nazywał się pies – dostatecznie długo, by nieść jego trumnę. „Mój tato mawia, że tylko przyjaciele mogą to robić – powtarzał – nie zwykli stolarze". – Jud i Norma wybuchnęli śmiechem. Louis także uśmiechnął się szeroko. Pożałował, że nie ma z nim Rachel.

– Już mieli zacząć się bić, kiedy Mandy, siostra Billy'ego, przyniosła im czwarty tom Encyklopedii Britannica – ciągnął Jud. – Jej ojciec, Steven, był w owych czasach jedynym lekarzem między Bangor i Bucksport, i w całym Ludlow tylko ich rodzinę stać było na zakup encyklopedii.

– Pierwsi też zainstalowali sobie elektryczność – wtrąciła Norma.

– W każdym razie – podjął opowieść Jud – Mandy wypadła z domu, zdrowa i prosta jak trzcina, z pięknie uniesioną głową, jak mawiała moja mama, zaledwie ośmiolatka z fruwającymi halkami i wielką książką w ramionach. Billy i dzieciak Bowiech – to chyba jednak był Kendall, ten sam, który rozbił się i spłonął w Bazie Pensacola, gdzie szkolił się na pilota, na początku czterdziestego drugiego roku – zamierzali właśnie stłuc bliźniaków Hallów, walcząc o przywilej zaniesienia

biednego, starego, zatrutego kundla na cmentarz.

Louis zaczął chichotać. Po chwili śmiał się już głośno. Czuł, jak napięcie, pozostałość pełnej goryczy kłótni z Rachel, zaczyna z niego schodzić.

– Zawołała: „Czekajcie, czekajcie! Zobaczcie tutaj!”. I wszyscy posłuchali. I niech mnie diabli, jeśli…

– Jud – rzuciła ostrzegawczo Norma.

– Przepraszam, kochanie. Wiesz, poniosło mnie.

– Najwyraźniej.

– I niech mnie licho, jeśli nie otwarła encyklopedii na haśle POGRZEBY. Był tam obrazek królowej Wiktorii wyruszającej w swą ostatnią podróż. Po obu stronach trumny stało chyba czterdzieści siedem osób. Część męczyła się z podniesieniem olbrzymiego pudła, inni stali bezczynnie w odświętnych strojach i marszczonych kołnierzach, jak tłum na wyścigach, czekający na zamknięcie zakładów. „Piszą tu – powiedziała Mandy – że w razie uroczystego pogrzebu państwowego można mieć tylu, ilu się zechce. Tak tu jest!”.

– To rozwiązało sprawę? – spytał Louis.

– Owszem. W końcu trumnę dźwigało dwadzieścioro dzieciaków. I niech mnie, jeśli nie wyglądali zupełnie jak na tym obrazku, który znalazła Mandy, może oprócz tego, że nie mieli cylindrów i odświętnych strojów. Mandy wszystkim kierowała. Ustawiła ich, dała każdemu kwiatek – mlecz, dzwonek, stokrotkę – i ruszyli. Na Boga, zawsze uważałem, że nasz kraj wiele stracił na tym, iż Mandy Symonds nie trafiła do ONZ. – Roześmiał

się i potrząsnął głową. – W każdym razie na tym skończyły się koszmary Billy’ego Symondsa dotyczące cmentarza zwierząt. Jakiś czas opłakiwał swojego psa, potem skończył żałobę i otrząsnął się z tego. I pewnie wszyscy tak robimy.

Ach, tak? Louis znów pomyślał o histerycznej reakcji Rachel.

– Wasza Ellie też sobie z tym poradzi. – Norma poruszyła się lekko. – Pewnie myślisz, Louis, że gadamy tu tylko o śmierci. Jud i ja zestarzeliśmy się, ale mam nadzieję, że nie jesteśmy jeszcze na etapie pogrzebowych ptaszydeł…

– Oczywiście, że nie. Nie mów takich rzeczy – wtrącił Louis.

– …ale to niezły pomysł zaznajomić się nieco ze śmiercią. W dzisiejszych czasach… sama nie wiem… Nikt nie chce o niej rozmawiać ani myśleć. Oczyścili z niej telewizję, bo uważali, że może jakoś zranić dzieci, skrzywić ich umysły. A ludzie na pogrzebach proszą o wystawienie zamkniętej trumny, by nie musieli patrzeć na zwłoki i żegnać się z nimi… Zupełnie jakby chcieli zapomnieć o śmierci.

– A jednocześnie kupują kablówkę pełną filmów pokazujących ludzi… – Jud zerknął na Normę i odchrząknął – pokazujących ludzi robiących to, co zazwyczaj robi się przy zasuniętych zasłonach – dokończył. – Dziwne, jak wszystko zmienia się z pokolenia na pokolenie, prawda?

– Tak. – odparł Louis – Chyba tak.

– Cóż, my dwoje jesteśmy dziećmi innych czasów. – W głosie Juda zabrzmiała niemal przepraszająca nuta. – Żyliśmy bliżej śmierci. Oglądaliśmy epidemię grypy po Wielkiej Wojnie. Matki umierające z dziećmi. Dzieci zabijane przez infekcje i choroby, które dzisiejsi lekarze potrafią uleczyć jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki. W czasach gdy byliśmy z Normą młodzi, jeśli ktoś dostał raka, oznaczało to wyrok śmierci bez odwołania. W latach dwudziestych nie znano żadnych radioterapii. Dwie wojny, morderstwa, samobójstwa…

Na moment umilkł.

– Znaliśmy śmierć jako przyjaciela i wroga – rzekł w końcu. – Mój brat Pete umarł z powodu pęknięcia wyrostka w 1912 roku, kiedy jeszcze Taft był prezydentem. Miał zaledwie czternaście lat i potrafił odbić piłkę baseballową dalej niż jakikolwiek dzieciak w mieście. W tamtych czasach nie trzeba było przerabiać w college'u kursu na temat śmierci w hotpicjach, czy jak je tam nazywają. Wtedy śmierć przychodziła do domu i mówiła cześć. Czasami jadła z tobą obiad, a czasem czułeś, jak gryzie cię w tyłek.

Tym razem Norma go nie poprawiała, jedynie przytaknęła bez słowa. Louis wstał i przeciągnął się.

– Muszę iść – rzekł. – Jutro czeka mnie wielki dzień.

– A, tak. Jutro zaczyna się karuzela, prawda? – Jud także wstał. Dostrzegł, iż Norma próbuje się podnieść, toteż podał jej rękę. Dźwignęła się z bolesnym grymasem.

– Mocniej dziś dolega? – spytał Louis.

– Nie jest tak źle – odparła.

– Kiedy się położysz, rozgrzej się.

– Tak zrobię – odparła Norma. – Zawsze tak robię. I Louis… nie przejmuj się Ellie. Tej jesieni będzie zbyt zajęta poznawaniem nowych przyjaciół, by rozmyślać o tamtym starym miejscu. Może któregoś dnia wybiorą się tam całą grupą. Odmalują część nagrobków, wyrwą chwasty, zasadzą kwiaty. Czasami to robią, kiedy najdzie ich chęć. Wtedy poczuje się lepiej. Zacznie zaznajamiać się ze śmiercią.

Nie, jeśli moja żona ma coś w tej sprawie do powiedzenia.

– Wpadnij jutro wieczór i opowiedz, jak ci poszło, jeśli będziesz miał okazję – poprosił Jud. – Rozniosę cię w cribbage.

– Może najpierw ja cię upiję – odrzekł Louis – a potem dopiero ci dołożę.

– Doktorku – powiedział Jud z powagą. – W dniu, kiedy ktokolwiek rozniesie mnie w cribbage, pozwolę się leczyć takiemu konowałowi jak ty.

Wyszedł żegnany ich śmiechem i w ciemnościach końca lata przeszedł przez drogę, zmierzając do własnego domu.

Rachel spała wraz z małym, skulona na swej stronie łóżka w obronnej, niemal płodowej pozycji. Pewnie niedługo jej przejdzie, pomyślał. W ich małżeństwie zdarzały się kłótnie i ciche dni, ale ta była zdecydowanie

najgorsza. Czuł smutek, złość, a jednocześnie był nieszczęśliwy. Chciał się pogodzić, lecz nie wiedział jak. Nie był nawet pewien, czy to on powinien wykonać pierwszy ruch. Wszystko to nie miało sensu. Słaby podmuch wiatru jakimś cudem, dzięki mocy umysłu, zyskał siłę huraganu. Bywały inne kłótnie i spory, owszem, ale tylko nieliczne równie bolesne jak ta, dotycząca łez i pytań Ellie. Przypuszczał, że nie trzeba wielu podobnych ciosów, by sama struktura małżeństwa zaczęła się chwiać… aż wreszcie pewnego dnia, zamiast czytać liścik przyjaciela („Chyba powinienem ci powiedzieć sam, zanim usłyszysz to od kogoś innego, Lou; rozstajemy się z Maggie…") bądź notkę w gazecie, przeżyjesz to osobiście.

Po cichu rozebrał się do szortów i nastawił budzik na szóstą. Potem wziął prysznic, umył włosy, ogolił się i przed umyciem zębów przegryzł środek na nadkwasotę – po mrożonej herbacie Normy dostał niestrawności. A może sprawił to powrót do domu i widok Rachel leżącej z boku po jej stronie łóżka? To terytorium określa też wszystko inne. Czy nie czytał tego przypadkiem w podręczniku do historii?

Gdy już wszystko załatwił, zapomniał o wieczorze, położył się, ale nie mógł zasnąć. Było coś jeszcze, coś, co go dręczyło. Raz po raz odtwarzał w głowie wydarzenia ostatnich dwóch dni, słuchając oddychających obok Rachel i Gage'a. GEN PATTON. HANNAH, NAJLEPSZY PIES, JAKI KIEDYKOLWIEK ŻYŁ.

MARTA, NASZA KRULICZKA. Ellie, wściekła. „Nie chcę, by Church kiedykolwiek umarł! Nie jest kotem Pana Boga! Niech Bóg sprawi sobie własnego kota!”. Rachel, równie wściekła. „Ty, jako lekarz, powinieneś to wiedzieć…”. Norma Crandall mówiąca: „Zupełnie jakby ludzie chcieli zapomnieć o śmierci”. I Jud, z dźwięczącą w głosie straszliwą pewnością, nieubłaganą prawdą, słowami z innej epoki. „Czasami jadła z tobą obiad, a czasem czułeś, jak gryzie cię w tyłek”.

I głos ów zlał się z głosem jego matki, która okłamała Louisa Creeda w sprawie seksu, gdy miał cztery lata, lecz później powiedziała mu prawdę o śmierci, gdy miał lat dwanaście, kiedy to jego kuzynka Ruthie zginęła w głupim wypadku samochodowym. Została zmiażdżona w wozie ojca przez dzieciaka, który znalazł kluczyki w stacyjce ciężarówki Departamentu Robót Publicznych i postanowił wybrać się na przejażdżkę, tylko po to, by odkryć, że nie umie hamować. Dzieciak odniósł jedynie drobne obrażenia, natomiast fairlaine wuja Carla został zupełnie zniszczony.

– Ona nie może nie żyć – odparł w odpowiedzi na brutalne słowa matki. Słyszał je, ale nie potrafił wydobyć z nich sensu. – Co to znaczy nie żyje? O czym ty mówisz? – A potem, po namyśle: – Kto ją pogrzebie? – Bo choć ojciec Ruthie, a wuj Louisa był przedsiębiorcą pogrzebowym, Louis nie wyobrażał sobie, by wuj Carl sam tego dokonał. Oszołomiony i coraz bardziej przerażony chwycił się tej myśli jako najważniejszego

pytania. Oto prawdziwa zagwozdka, jak ta, kto strzyże jedynego fryzjera w miasteczku.

– Przypuszczam, że zrobi to Donny Donahue – odparła matka. Oczy miała zaczerwienione, lecz przede wszystkim sprawiała wrażenie zmęczonej, praktycznie chorej ze zmęczenia. – To najbliższy kolega twojego wuja z branży. Ale Louis… urocza mała Ruthie… nie mogę znieść myśli, że cierpiała. Pomódl się ze mną, dobrze, Louis? Pomódl się ze mną za Ruthie. Musisz mi pomóc.

Toteż uklękli na podłodze w kuchni, on i jego matka. I pomodlili się, i modlitwa ta sprawiła, że wreszcie prawda do niego dotarła. Skoro matka modli się za duszę Ruthie Hodge, to znaczy, że jej ciało odeszło. Zamknął oczy i nagle ujrzał straszliwą wizję: Ruthie przybywa na przyjęcie z okazji jego trzynastych urodzin, gnijące oczy wiszą jej na policzkach, błękitna pleśń pokrywa rude włosy. Obraz ten wywołał nie tylko mdlący strach, ale też nagłą falę nieznośnej, rozpaczliwej miłości.

I wówczas krzyknął w największym bólu swego życia.

– Ona nie może nie żyć! Mamo, ona nie może nie żyć! Ja ją kocham!

Odpowiedź matki przypominała zatrzaśnięcie wrót grobowca, wiszących na skrzypiących, zardzewiałych zawiasach. Cichy, beznamiętny głos, pełen obrazów martwych pól, smaganych listopadowym wiatrem, płatków róż brązowiejących i schnących na końcach. Pustych basenów powleczonych warstwą glonów,

próchna, rozkładu, pyłu.

– To prawda, kochanie. Przykro mi, ale to prawda. Ruthie nie żyje.

Louis zadrżał, myśląc – śmierć to śmierć. Czego jeszcze ci trzeba?

Nagle zrozumiał, co zapomniał zrobić. Czemu wciąż nie mógł zasnąć w noc poprzedzającą pierwszy dzień nowej pracy. Czemu zamiast spać, rozważa stare smutki.

Wstał, ruszył ku schodom, nagle jednak skręcił w dół korytarza do pokoju Ellie. Dziewczynka spała spokojnie z otwartymi ustami, ubrana w błękitną piżamkę, z której zdecydowanie wyrosła. Mój Boże, Ellie, pomyślał, pniesz się w górę jak pędy kukurydzy. Church leżał pomiędzy rozrzuconymi kostkami Ellie, martwy dla świata.

– Wybacz te słowa, mój stary.

Na dole, na ścianie obok telefonu wisiała tablica z przypiętymi do niej karteczkami, notatkami i rachunkami. Na górze, swym starannym drukowanym pismem, Rachel napisała: „Rzeczy do jak najpóźniejszego załatwienia”. Louis sięgnął po książkę telefoniczną, sprawdził numer i zanotował go na pustej karteczce. Pod numerem zapisał: „Quentin L. Jolander, dr wet. – zadzwonić w sprawie Churcha. Jeśli Jolander nie kastruje zwierząt, poda inny adres”.

Spojrzał na notatkę, zastanawiając się, czy to już czas, i wiedząc, że tak. Z całych tych sporów musiało wyniknąć coś konkretnego. A on odkrył coś ważnego, gdzieś pomiędzy rankiem a wieczorem, sam nie wiedział kiedy.

Zdecydował, że nie chce, by Church kiedykolwiek przebiegał przez drogę, jeśli tylko potrafi temu zaradzić.

Nagle przypomniał sobie, jakie emocje obudziła w nim ta sprawa. Obawa, że operacja ta umniejszy kota, przemieni go w tłustego starego kocura zadowalającego się drzemką na kaloryferze, póki nie wrzuci mu się czegoś do miski. Nie chciał, by Church był taki. Lubił go takiego, jaki jest – zwinnego i złośliwego.

Na zewnątrz w ciemności wielka ciężarówka przetoczyła się z hukiem po piętnastce, i to ostatecznie przeważyło szalę. Przypiął notatkę pinezką do tablicy i poszedł do łóżka.

11

Następnego ranka przy śniadaniu Ellie zauważyła nową karteczkę na tablicy i spytała, co to znaczy.

– To znaczy, że czeka go niewielka operacja – wyjaśnił Louis. – Prawdopodobnie będzie musiał zostać na noc u weterynarza. A kiedy wróci do domu, będzie się trzymał podwórka. Przestanie się włóczyć po okolicy.

– I przechodzić przez drogę? – spytała Ellie.

Ma dopiero pięć lat, pomyślał Louis, ale nie jest głupia.

– I przechodzić przez drogę – potwierdził.

– Juhu! – zawołała Ellie, i to zamknęło sprawę.

Louisa, przygotowanego na gwałtowną, może nawet histeryczną kłótnię na temat Churcha i jego noclegu poza domem, oszołomiła łatwość, z jaką się zgodziła. Uświadomił sobie, jak bardzo musiała się martwić. Może jednak Rachel nie do końca się myliła co do wrażenia, jakie wywarł na ich córce „Cmętarz Zwieżąt”.

Sama Rachel karmiąca Gage’a porannym jajeczkiem posłała mu pełne wdzięczności spojrzenie. Spojrzenie to mówiło, iż okres chłodu się skończył. Przynajmniej ten topór wojenny został zagrzebany. Miał nadzieję, że na zawsze.

Później, gdy żółty szkolny autobus połknął Ellie i uwiózł ją na poranne zajęcia, Rachel przyszła do niego,

zarzuciła mu ręce na szyję i delikatnie pocałowała w usta.

– To bardzo kochane z twojej strony – powiedziała. – Przepraszam, że byłam taką suką.

Louis odpowiedział pocałunkiem. Mimo to czuł się nieco nieswojo. Nagle przyszło mu do głowy, że zdanie „Przepraszam, że byłam taką suką", choć absolutnie nietypowe, nie było też czymś zupełnie nowym. Zazwyczaj słyszał je, kiedy Rachel dopięła swego.

Tymczasem Gage podreptał chwiejnie do drzwi frontowych i zaczął wyglądać przez najniższą szklaną taflę, wprost na pustą drogę.

– Bus – powiedział, nonszalancko podciągając opadające pieluchy. – Ellie bus.

– Szybko rośnie – zauważył Louis.

Rachel przytaknęła.

– Jak dla mnie zbyt szybko.

– Zaczekaj, aż wyrośnie z pieluch – odparł Louis. – Potem może przestać.

Roześmiała się i wszystko między nimi znów było w porządku. Całkowicie w porządku. Cofnęła się o krok. Minimalnie poprawiła mu krawat i od stóp do głów zmierzyła krytycznym spojrzeniem.

– Zdałem egzamin, sierżancie? – spytał.

– Wyglądasz świetnie.

– Tak, wiem, ale czy wyglądam jak kardiochirurg, człowiek wart dwieście tysięcy rocznie?

– Nie, jak stary, poczciwy Lou Creed – odparła i zachichotała. – Rockandrollowe zwierzę.

Louis zerknął na zegarek.

– Rockandrollowe zwierzę musi włożyć swe czadowe buty i znikać – oznajmił.

– Denerwujesz się?

– Odrobinę.

– Niepotrzebnie – orzekła. – Dostajesz sześćdziesiąt siedem tysięcy rocznie za naklejanie bandaży, zapisywanie leków na grypę i kaca, dawanie dziewczętom pigułki…

– Nie zapomnij o płynie przeciw wszom. – Louis znów się uśmiechał. Jedną z rzeczy, które najbardziej zaskoczyły go podczas pierwszego obchodu ambulatorium, były potężne zapasy wspomnianego specyfiku. Wydały mu się ogromne, bardziej pasujące do bazy wojskowej niż do średniej wielkości uczelni.

Panna Charlton, przełożona pielęgniarek, uśmiechnęła się cynicznie.

– Tutejsze mieszkania poza kampusem są dość brudne. Sam pan zobaczy.

Nie miał co do tego wątpliwości.

– Miłego dnia – powiedziała i znów go pocałowała, tym razem dłużej. Kiedy jednak odsunęła się, przybrała komicznie surową minę. – I na miłość boską, pamiętaj, że jesteś szefem, nie praktykantem czy nowicjuszem.

– Tak jest, pani doktor – odparł pokornie Louis i oboje wybuchnęli śmiechem. Przez moment miał ochotę zapytać: „Czy to Zelda, kotku? Czy to ona tak w tobie tkwi? Jest twoim wrażliwym punktem? Zelda i to, jak

umarła?”. Ale nie zamierzał zadać jej tego pytania. Nie teraz. Jako lekarz wiedział wiele rzeczy. A choć fakt, iż śmierć jest równie naturalna jak narodziny, był być może najważniejszą z nich, świadomość, że nie należy drażnić rany, która właśnie zaczyna się goić, stanowiła zupełną podstawę.

Toteż zamiast pytać, jedynie pocałował ją i wyszedł.

To był dobry początek. Dobry dzień. Maine przybrało letnie szaty. Niebo było błękitne i bezchmurne. Temperatura osiągnęła idealne dwadzieścia dwa stopnie. Zwalniając na końcu podjazdu i sprawdzając, co dzieje się na drodze, Louis pomyślał, że jak dotąd nie widział ani śladu jesiennych liści, które ponoć miały wyglądać wspaniale. Co tam. Mógł zaczekać.

Skierował hondę civic, którą wybrali na drugi samochód, w stronę uniwersytetu i dodał gazu. Rachel zadzwoni do weterynarza. Załatwi on sprawę z Churchem i to zakończy całą tę bzdurę z Cmętarzami Zwieżąt (zabawne, jak błędy ortograficzne pozostają w głowie i zaczynają wydawać się prawidłowe) oraz lękiem przed śmiercią. Po cóż myśleć o śmierci tego pięknego wrześniowego poranka?

Louis włączył radio i zaczął kręcić gałką, póki nie znalazł Huey Lewis and the News i ich „Working for a Living”. Zwiększył głośność i zaczął śpiewać wraz z nimi, niezbyt dobrze, lecz z radością i zapałem.

12

Pierwszą rzeczą, jaką zauważył, skręcając na teren uniwersytetu, był gwałtowny, imponujący wzrost ruchu. Na drodze roiło się od samochodów, rowerzystów i biegaczy w sportowych spodenkach. Musiał ostro zahamować, by uniknąć dwóch z nich, biegnących od strony Dunn Hall ku boiskom za zabudowaniami. Nacisnął hamulec tak mocno, że jego pas się zablokował; wcisnął klakson. Zawsze drażnili go biegacze (rowerzyści mieli ten sam irytujący zwyczaj), którzy automatycznie zakładali, że ich odpowiedzialność kończy się w chwili, gdy wyruszają w drogę. Ostatecznie przecież ćwiczyli. Jeden z nich pokazał Louisowi obelżywy gest, nawet się nie odwracając. Louis westchnął i pojechał dalej.

Drugą rzeczą, jaką zauważył, było zniknięcie karetki z jej miejsca na niewielkim parkingu ośrodka. Niemile go to zaskoczyło. Ambulatorium dysponowało sprzętem pozwalającym udzielić pierwszej pomocy ofiarom niemal każdej choroby czy wypadku: trzy świetnie wyposażone sale diagnostyczno-lecznicze, wychodzące na wielki przedsionek, a za nimi dwie sale szpitalne, każda wyposażona w piętnaście łóżek. Nie było tu jednak bloku operacyjnego ani niczego, co mogłoby go zastąpić. W razie poważniejszych wypadków mieli karetkę, która przewiozłaby rannego lub ciężko chorego do EMMC,

Centrum Medycznego Wschodniego Maine. Steve Masterton, asystent, który pierwszy oprowadził Louisa po ośrodku, z dumą zaprezentował mu księgę przyjęć z ostatnich dwóch lat akademickich. W tym czasie karetki użyto tylko trzydzieści osiem razy. Nieźle, biorąc pod uwagę dziesięć tysięcy studentów i fakt, że w sumie na uniwersytecie pracowało bądź uczyło się niemal siedemnaście tysięcy osób.

A teraz, pierwszego prawdziwego dnia pracy, karetki nie było.

Zatrzymał się w miejscu oznaczonym świeżo wymalowanym napisem: „Zarezerwowane dla doktora Creeda” i pośpieszył do ośrodka.

Charlton, siwiejącą drobną kobietę koło pięćdziesiątki zastał w pierwszym pokoju diagnostycznym. Mierzyła temperaturę dziewczynie ubranej w dżinsy i krótki top. Louis zauważył, iż pacjentka niedawno solidnie poparzyła się na słońcu. Wszędzie złaziła jej skóra.

– Dzień dobry, Joan – powiedział. – Gdzie karetka?

– Prawdziwa tragedia, nie ma co. – Charlton wyciągnęła termometr z ust studentki i sprawdziła odczyt. – Steve Masterton przyjechał dziś rano o siódmej i zobaczył wielką kałużę pod silnikiem i przednimi kołami. Pękła chłodnica. Musieli odholować wóz.

– No pięknie – westchnął Louis. Mimo to czuł ulgę. Przynajmniej karetka nie pojechała do wezwania, czego obawiał się najbardziej. – Kiedy ją odzyskamy?

Joan Charlton roześmiała się.

– Znając tempo działania uniwersyteckiego działu mechanicznego, oddadzą nam ją w okolicy piętnastego grudnia, zawiniętą w świąteczną wstążkę. – Zerknęła na studentkę. – Masz pół stopnia gorączki – oznajmiła. – Zażyj dwie aspiryny i trzymaj się z daleka od barów i ciemnych alejek.

Dziewczyna zeskoczyła na podłogę, posłała Louisowi pełne uznania spojrzenie, po czym zniknęła.

– Pierwsza pacjentka w tym semestrze – mruknęła kwaśno Charlton. Szybkimi ruchami strząsnęła termometr.

– Nie wydajesz się zachwycona.

– Znam ten typ – rzekła. – Jest jeden gorszy: sportowcy, którzy grają, mimo pękniętych kości, zapalenia ścięgien i innych atrakcji, bo nie chcą trafić na ławkę rezerwowych; wielcy macho, nie mogą zawieść drużyny, choćby miało to zagrozić ich przyszłej karierze zawodowej. No i panna Pół-Stopnia-Gorączki. – Skinieniem głowy wskazała okno, Louis dostrzegł obłażącą ze skóry dziewczynę, która maszerowała w stronę kompleksu akademików Gannetta-Cumberlanda-Androscogina. W przychodni dziewczyna sprawiała wrażenie kogoś, kto czuje się okropnie, ale próbuje jakoś się trzymać. Teraz maszerowała energicznie naprzód. Jej biodra kołysały się zachęcająco. Widziała wszystko i była widziana.

– Typowa studentka hipochondryczka. – Charlton włożyła termometr do sterylizatora. – W tym roku pojawi

się jeszcze ze dwadzieścia razy. Przed każdą sesją jej wizyty staną się częstsze. Jakiś tydzień przed egzaminami zjawi się przekonana, że ma zapalenie płuc, w ostateczności oskrzeli. Wykręci się od czterech, pięciu kolokwiów – takich, gdzie asystenci to, jak mawiają studenci, mięczacy – i prześliźnie przez późniejsze zaliczenia. Tacy robią się zawsze ciężko chorzy, gdy wiedzą, że na egzaminie czeka ich obiektywny tekst, nie zwykły esej.

– Ależ jesteśmy dziś cyniczni – zauważył Louis. W istocie czuł się nieco zagubiony.

Mrugnęła do niego, sprawiając, że się uśmiechnął.

– Nie biorę sobie tego do serca, doktorze. Pan też nie powinien.

– Gdzie jest teraz Steven?

– W pańskim gabinecie. Odpowiada na listy i próbuje odwalić najnowszą tonę informacji z „Blue Cross” i „Blue Shield”.

Louis wszedł do środka. Mimo cynizmu Charlton czuł, że pewnie siedzi w siodle.

Louis uważał – kiedy w ogóle mógł znieść myśl o tym wszystkim – że koszmar tak naprawdę zaczął się, gdy około dziesiątej przyniesiono do ambulatorium umierającego chłopca, Victora Pascowa.

Do tego czasu wszystko szło zupełnie gładko. O dziewiątej, pół godziny po jego przyjeździe, zjawiły się dwie praktykantki, pracujące od dziewiątej do trzeciej. Louis poczęstował każdą z nich pączkiem i kubkiem

kawy. Przez jakieś piętnaście minut rozmawiał z nimi, określając ich obowiązki i, może to nawet ważniejsze, co wykracza poza ich obowiązki. Potem przejęła je Charlton. Gdy prowadziła nowo przybyłe na zewnątrz, Louis usłyszał, jak pyta:

– Czy żadna z was nie ma uczulenia na gówna albo wymiociny? Wiele ich tu zobaczycie.

– O Boże – mruknął Louis i zasłonił oczy. Uśmiechał się jednak. Twarda sztuka z tej Charlton. Będzie z niej pożytek.

Louis zaczął wypełniać długie formularze ubezpieczeniowe, sprowadzające się do przedstawienia spisu używanych leków i sprzętu medycznego (Co roku! – jęknął Steve Masterton. – Każdego cholernego roku wciąż to samo. Może napiszesz im: KOMPLETNE WYPOSAŻENIE SALI DO PRZESZCZEPÓW SERCA, PRZYBLIŻONY KOSZT 8 MILIONÓW DOLARÓW? To by ich ruszyło!). Całkowicie zagłębił się w pracy, od czasu do czasu myśląc jedynie, iż przydałby mu się kubek kawy, gdy nagle Masterton krzyknął od strony przedsionka i poczekalni:

– Louis! Hej, Louis, chodź tutaj! Mamy kłopot!

Bliski paniki ton głosu Mastertona sprawił, że Louis zareagował błyskawicznie. Zerwał się z krzesła, zupełnie jakby podświadomie spodziewał się czegoś takiego. Wrzask, cienki i ostry, niczym odłamek stłuczonego szkła, rozległ się z tego samego miejsca, co wcześniej krzyk Mastertona. Tuż po nim nastąpiło donośne

plaśnięcie.

– Przestań! – rzuciła Charlton. – Przestań albo się wynoś! I to już!

Louis wpadł do poczekalni. Z początku dostrzegł jedynie krew – mnóstwo krwi. Jedna z praktykantek płakała. Druga, blada jak ściana, przycisnęła do ust pięści, rozciągając wargi w szerokim, pełnym wstrętu uśmiechu. Masterton klęczał na podłodze, podtrzymując głowę leżącego obok chłopca.

Steve uniósł wzrok i spojrzał na Louisa. Jego oczy były ponure i przerażone. Próbował coś powiedzieć. Bez powodzenia.

Przy wielkich szklanych drzwiach ambulatorium studenckiego zbierali się ludzie i zaglądali do środka. Dłońmi osłaniali oczy, by uniknąć odbitego światła. Umysł Louisa natychmiast przywołał stosowną wizję. Kiedyś, gdy miał zaledwie sześć lat, siadywał co rano z matką w salonie i oglądał w telewizji stary program „Today” z Dave’em Garrowayem. Na zewnątrz zbierali się ludzie, zapatrzeni w Dave’a i Franka Blaira oraz starego, poczciwego J. Freda Mugssa. Rozejrzał się wokół i zobaczył innych ludzi, stojących przy oknach. Z drzwiami nic nie mógł zrobić, ale…

– Zasuń zasłony – warknął do praktykantki, która krzyknęła.

Gdy ta nie zareagowała natychmiast, Charlton wymierzyła jej siarczystego klapsa w tyłek.

– Rusz się, dziewczyno!

Praktykantka pozbierała się błyskawicznie. W chwilę później zielone story przysłoniły okna. Charlton i Steve Masterton odruchowo stanęli pomiędzy chłopcem na podłodze i drzwiami, starając się jak najskuteczniej zasłonić widok.

– Twarde nosze, doktorze? – spytała Charlton.

– Przynieś je na wszelki wypadek – polecił Louis, kucając obok Mastertona. – Nawet nie miałem szansy mu się przyjrzeć.

– Chodź! – rzuciła Charlton do dziewczyny, która zasłoniła okna. Tamta ponownie rozciągała usta pięściami, tak iż układały się w pozbawiony odrobiny humoru, przeraźliwy uśmiech. Spojrzała na Charlton i jęknęła.

– Oooch, aaa.

– Tak. Och, aaa, bez wątpienia. Chodź. – Charlton szarpnęła mocno dziewczynę i zmusiła ją do wstania. Czerwono-biała pasiasta spódnica kołysała się wokół kolan.

Louis schylił się nad swym pierwszym pacjentem na Uniwersytecie Stanu Maine w Orono.

Był to młody mężczyzna około dwudziestki i Louis potrzebował niecałych trzech sekund, by postawić jedyną, istotną diagnozę – młody człowiek musiał umrzeć. Miał zmiażdżoną połowę czaszki. Złamaną szyję. Jeden obojczyk sterczał z napuchniętego, pokręconego prawego ramienia. Z żółtej i zakrwawionej głowy ściekała leniwie ropa. Louis widział mózg młodzieńca, białoszary i

pulsujący w miejscu, gdzie pękła czaszka. Przypominało to zaglądanie do środka przez stłuczone okno. Otwór był szeroki na jakieś pięć centymetrów. Gdyby w głowie nosił żywe dziecko, może zdołałby je urodzić, jak Zeus, wprost z czoła. Niewiarygodne, że przy takich obrażeniach wciąż żył. Nagle Louis usłyszał w myślach słowa Juda Crandalla: „Czasami czujesz, jak gryzie cię w tyłek" i matki: „Śmierć to śmierć". Nagle szaleńczo zachciało mu się śmiać. Śmierć to śmierć. Jasne, to oczywiste, mój stary.

– Wezwij karetkę – warknął do Mastertona. – Musimy…

– Louis, karetka jest…

– Chryste! – Louis klepnął się w czoło i spojrzał na Charlton. – Joan, co się robi w takich wypadkach? Wzywa ochronę kampusu? Czy EMMC?

Joan sprawiała wrażenie zmartwionej i poruszonej. Jak na nią było to niezwykle rzadkie. Kiedy jednak odpowiedziała, jej głos zabrzmiał spokojnie.

– Doktorze, nie wiem. Za moich czasów w Centrum Medycznym nigdy nie zdarzyło się nic podobnego.

Louis rozpaczliwie myślał o wszystkim.

– Wezwij policję kampusu. Nie możemy czekać, by EMMC przysłało nam własną karetkę. Jeśli będzie trzeba, zawiozą go do Bangor w jednym z wozów strażackich. Przynajmniej ma syrenę i koguta. Szybko, Joan.

Posłusznie odeszła. Najpierw jednak posłała mu pełne współczucia spojrzenie, a on natychmiast je zrozumiał.

Ten młody człowiek, mocno opalony i dobrze umięśniony – może po letniej pracy gdzieś na drodze, malowaniu domów, udzielaniu lekcji tenisa – ubrany jedynie w czerwone spodenki gimnastyczne z białymi paskami, miał umrzeć, niezależnie od tego, co zrobią. Byłby równie martwy, nawet gdyby ich własna karetka stała przed budynkiem z rozgrzanym silnikiem, czekając na przyniesienie pacjenta.

Niewiarygodne, lecz umierający się poruszył. Jego powieki zatrzepotały i podniosły się. Błękitne oczy, tęczówki otoczone pierścieniem krwi, patrzyły tępo przed siebie, jednak niczego nie widział. Chłopak próbował poruszyć głową i Louis musiał nacisnąć mocno, by go powstrzymać w obawie, iż student ma skręcony kark. Potworne obrażenia czaszki nie znaczyły bynajmniej, iż nie odczuwał bólu.

Dziura w jego głowie. O, Chryste. Dziura w głowie.

– Co mu się stało? – spytał Steve'a świadom, iż zważywszy na okoliczności, jest to wyjątkowo głupie i bezsensowne pytanie, pytanie gapia, lecz dziura w głowie tamtego potwierdziła jego własny status. Był jedynie gapiem. – Czy przywiozła go policja?

– Grupa studentów przyniosła go na kocu. Nie mam pojęcia, jak to się stało.

Tym także trzeba się zająć. To w końcu jego obowiązek.

– Wyjdź i odszukaj ich – polecił Louis. – Następnie podprowadź do drugich drzwi. Chcę, żeby byli pod ręką,

ale żeby nie widzieli więcej niż reszta.

Masterton z wyraźną ulgą, że może oderwać się od tego, co dzieje się w ambulatorium, podbiegł do drzwi i otworzył je, wpuszczając do środka falę podnieconych, zaciekawionych, oszołomionych głosów. Louis słyszał też zawodzenie syreny policyjnej. Ochrona kampusu już tu była. Ogarnęła go przejmująca ulga.

Umierający mężczyzna wydawał z siebie gardłowe, bulgoczące dźwięki. Próbował coś powiedzieć. Louis słyszał sylaby – a przynajmniej głoski – lecz rozszyfrowanie niewyraźnych słów było kłopotliwe.

Nachylił się ku niemu i rzekł:

– Wszystko będzie dobrze. – Mówiąc to, pomyślał o Rachel i Ellie. Jego żołądek szarpnął się gwałtownie. Przycisnął do ust dłoń i zdusił beknięcie.

– Kaaa – mówił młody mężczyzna. – Gaaa…

Louis rozejrzał się i przekonał, że na moment został sam z umierającym. Jak przez mgłę słyszał krzyki Joan Charlton, wrzeszczącej do praktykantek, że nosze trzymają w szafie magazynowej obok pokoju numer 2. Louis wątpił, by dziewczyny potrafiły odróżnić pokój numer 2 od żabich jąder. Ostatecznie dla nich także był to pierwszy dzień pracy. Wspaniałe wprowadzenie do cudownego świata medycyny. Na zielonej wykładzinie rozlała się błotnista różowa plama, coraz szerszym kręgiem otaczająca strzaskaną głowę młodzieńca. Na szczęście przestało cieknąć z rozbitej czaszki.

– Na Cmętarzu Zwieżąt – wydusił z siebie

młodzieniec i uśmiechnął się szeroko. Uśmiech ten niezwykle przypominał pozbawiony wesołości i histeryczny grymas praktykantki, która niedawno zasunęła zasłony.

Louis wpatrywał się w niego, z początku nie wierząc własnym uszom. Wydało mu się, że musi cierpieć na omamy słuchowe. Wydał z siebie jakieś dźwięki, a moja podświadomość ułożyła je w spójną całość, pasującą do mych własnych przeżyć, pomyślał. Ale prawda była inna i po chwili musiał przyznać to sam przed sobą. Ogarnęła go gwałtownie narastająca, szaleńcza groza. Czuł ciarki; miał wrażenie, jakby naprawdę poruszały się po jego rękach i brzuchu, jedna fala za drugą… Lecz nawet wtedy po prostu nie chciał uwierzyć. Owszem, sylaby zadźwięczały mu w uszach, ale też ukształtowały się na zakrwawionych ustach mężczyzny leżącego na dywanie. Oznaczało to jedynie, iż halucynacja była nie tylko słuchowa, ale i wzrokowa.

– Co powiedziałeś? – szepnął.

I tym razem słowa zabrzmiały wyraźnie, niczym u tresowanej papugi albo kruka.

– To nie jest prawdziwy cmentarz… – Oczy patrzyły w pustkę, nie widząc, martwe i przekrwione. Usta wykrzywiły się w uśmiechu zdechłej ryby.

Groza przetaczała się przez Louisa, ściskając w lodowatych dłoniach jego ciepłe serce. Pomniejszała go. Sprawiała, że malał coraz bardziej, aż w końcu pragnął już tylko zerwać się z miejsca i uciec przed tą krwawą,

przekrzywioną gadającą głową, spoczywającą na podłodze poczekalni ambulatorium. Nie był człowiekiem o głębokich przekonaniach religijnych, nie skłaniał się w stronę przesądów czy okultyzmu. Nie był do tego przygotowany… cokolwiek się działo.

Walcząc z pragnieniem ucieczki, zmusił się do nachylenia bliżej.

– Co powiedziałeś? – spytał po raz drugi.

Uśmiech. Okropny uśmiech.

– Ziemia serca mężczyzny jest kamienista, Louis – wyszeptał umierający. – Mężczyzna hoduje w niej to, co zdoła… i opiekuje się tym.

Louis, pomyślał; jego świadomość odmówiła zarejestrowania czegokolwiek po jego własnym imieniu. Mój Boże, wiedział, jak się nazywam.

– Kim jesteś? – spytał Louis drżącym, słabym głosem. – Kim jesteś?

– Indianiec ryby mi przyniósł.

– Skąd wiedziałeś, jak się…

– Trzymaj się z daleka. Wiedz…

– Ty…

– Kaaa – wyrzęził młody człowiek i Louisowi wydało się, że czuje w jego oddechu śmierć. Obrażenia wewnętrzne, załamanie rytmu serca, zatrzymanie. Koniec.

– Co? – Nagle zapragnął nim potrząsnąć.

– Gaaa…

Młody człowiek w czerwonych spodenkach zaczął dygotać. Nagle jakby zamarł ze stężałymi mięśniami.

Jego oczy na moment straciły bezrozumny wyraz i odnalazły oczy Louisa. Potem wszystko się posypało. Louis sądził, że tamten powie coś jeszcze, musi powiedzieć. A potem oczy przybrały poprzedni wyraz… i zaszkliły się. Chłopak nie żył.

Louis usiadł na podłodze, tępo rejestrując, że całe ubranie przywiera do niego. Był zlany potem. Ciemność narastała, bezszelestnie rozkładając skrzydła przed jego oczami. Świat zaczął w mdlącym rytmie kołysać się na boki. Orientując się, co się z nim dzieje, na wpół odwrócił się od martwego człowieka, wsunął głowę między kolana i wbił paznokcie lewego kciuka i palca wskazującego w dziąsła tak mocno, że zaczęły krwawić.

Po chwili świat począł wracać do normy.

13

Nagle w pokoju zaroiło się od ludzi, którzy niczym aktorzy czekający na wezwanie wpadli do środka. Ich pojawienie się tylko wzmocniło poczucie dezorientacji i nierzeczywistości, dręczących Louisa – siła owych uczuć, które studiował podczas zajęć z psychologii, lecz których nigdy dotąd nie doświadczył, przeraziła go. Przypuszczał, że podobnie czułby się, gdyby ktoś wrzucił mu do drinka potężną dawkę LSD.

Zupełnie jak sztuka wystawiona wyłącznie dla mnie, pomyślał. Najpierw pomieszczenie zostaje opróżnione, by umierająca Sybilla mogła wypowiedzieć kilka mętnych proroctw, przeznaczonych wyłącznie dla mych uszu. Potem umiera, i wszyscy wracają.

Praktykantki wbiegły do środka, dźwigając sztywne nosze, używane w przypadku uszkodzeń kręgosłupa bądź szyi. Tuż za nimi maszerowała Joan Charlton, która poinformowała go, iż policja uniwersytecka jest już w drodze. Młody człowiek został uderzony przez samochód podczas joggingu. Louisowi przypomnieli się studenci, którzy tego ranka wybiegli mu przed maskę, i żołądek ścisnął mu się nagle.

Tuż za Charlton do środka wszedł Steve Masterton, prowadząc dwóch funkcjonariuszy ochrony uniwersytetu.

– Louis, ludzie, którzy przynieśli Pascowa, są w… –

urwał i rzekł ostro: – Louis, dobrze się czujesz?

– Nic mi nie jest – odparł tamten i wstał. Raz jeszcze ogarnęła go słabość, po czym zniknęła nagle. – Nazywa się Pascow? – spytał, podtrzymując pozory normalności.

– Victor Pascow – odparł jeden z ochroniarzy. – Tak przynajmniej twierdzi dziewczyna, z którą biegał.

Louis zerknął na zegarek i odjął dwie minuty. Z pokoju, w którym Masterton zamknął przyjaciół Pascowa, dobiegało rozdzierające dziewczęce szlochanie. Witamy w szkole, moja panno, pomyślał. Miłego semestru.

– Pan Pascow zmarł o dziesiątej dziewięć rano – oznajmił.

Jeden z ochroniarzy wytarł usta wierzchem dłoni.

– Louis, naprawdę nic ci nie jest? – spytał ponownie Masterton. – Wyglądasz okropnie.

Louis właśnie miał odpowiedzieć, gdy jedna z praktykantek gwałtownie upuściła koniec noszy i wybiegła z pokoju, wymiotując na swój fartuch. Zadzwonił telefon. Płacząca dziewczyna zaczęła wykrzykiwać imię zmarłego: „Vic! Vic! Vic!”. Dom wariatów. Szaleństwo. Jeden z ochroniarzy pytał Charlton, czy mogliby dostać koc, aby przykryć ciało, a Charlton odpowiadała, że nie wie, czy ma prawo im go wydać. Louisowi przypomniało się stare hasło „Zaczynamy rozróbę!”.

W gardle znów wezbrał mu paskudny chichot. Jakimś cudem udało mu się go zdusić. Czy ten Pascow naprawdę wymówił słowa „Cmętarz Zwieżąt”? Czy naprawdę

wypowiedział jego imię? To właśnie zbijało go z pantałyku, sprawiało, że opuszczał orbitę zdrowego rozsądku. Lecz jego umysł już zaczynał spowijać tych kilka chwil w warstwę ochronną – przekształcając je, zmieniając, rozdzielając. Z pewnością tamten mówił coś innego (jeśli w ogóle coś powiedział), a wstrząśnięty i zdenerwowany Louis źle zinterpretował jego słowa. Najprawdopodobniej Pascow wydał z siebie jedynie kilka oderwanych, nieartykułowanych dźwięków, tak jak z początku mu się zdawało.

Louis desperacko starał się pozbierać, odnaleźć część siebie, która sprawiła, iż administracja uczelni dała mu tę pracę, wybierając go spośród pięćdziesięciu czterech kandydatów. Nikt nie potrafił opanować sytuacji w ambulatorium, nie działo się nic konstruktywnego. Pomieszczenie wypełniała gromada bezradnych ludzi.

– Steve, idź, podaj tej dziewczynie jakiś środek – polecił, i sam fakt wypowiedzenia tych słów sprawił, że poczuł się lepiej. Zupełnie jakby znalazł się w rakiecie oddalającej się od małego, niebezpiecznego księżyca, którym to księżycem była, rzecz jasna, chwila irracjonalnego oszołomienia, kiedy Pascow przemówił. Zatrudniono go po to, by kierował innymi, i zamierzał to zrobić.

– Joan, daj temu człowiekowi koc.

– Doktorze, nie przeprowadziliśmy jeszcze inwentaryzacji…

– I tak mu go daj. Potem sprawdź, co się dzieje z

praktykantką.

Spojrzał na drugą dziewczynę, wciąż trzymającą jeden koniec noszy. Jak zahipnotyzowana, z chorą fascynacją wpatrywała się w szczątki Pascowa.

– Praktykantka! – rzucił ostro Louis. Jej oczy oderwały się od trupa.

– C-c-coo?

– Jak się nazywa tamta dziewczyna?

– K-kto?

– Ta, która rzygała – odparł z rozmyślną brutalnością.

– Ju-Ju-Judy. Judy DeLessio.

– A ty?

– Carla. – Dziewczyna sprawiała wrażenie nieco bardziej opanowanej.

– Carla, idź sprawdź, co z Judy. I przynieś koc. Znajdziesz ich cały stos w małej szafce w pierwszym pokoju diagnostycznym. Idźcie wszyscy. Zacznijmy zachowywać się jak zawodowcy.

To ich ruszyło. Krzyki w sąsiednim pomieszczeniu ucichły. Telefon, który przestał dzwonić, znów się odezwał. Louis nacisnął przycisk HOLD, nie podnosząc słuchawki z widełek.

Starszy ochroniarz wyglądał już nieco lepiej i Louis odwrócił się do niego.

– Kogo mamy zawiadomić? Może mi pan podać listę?

Tamten przytaknął.

– Od sześciu lat nie mieliśmy takiego wypadku. To kiepski początek semestru.

Louis nacisnął jeden ze zgaszonych przycisków telefonu i zaczął wybierać numery, nie sprawdzając nawet, komu kazał czekać.

14

Wszystko uspokoiło się dopiero tuż przed czwartą po południu, gdy Louis i Richard Irving, szef ochrony uniwersytetu, złożyli oświadczenie dla prasy. Młody mężczyzna Victor Pascow uprawiał jogging z dwojgiem przyjaciół, jednym z nich była jego narzeczona. Samochód prowadzony przez Tremonta Withersa, 23 lata, z Haven w stanie Maine, nadjechał drogą z Żeńskiej Szkoły Średniej Lengyll, z nadmierną prędkością kierując się w stronę centrum kampusu. Samochód Withersa uderzył w Pascowa i przygniótł go do drzewa. Pascow został przyniesiony do ambulatorium na kocu przez przyjaciół i dwójkę przechodniów. Zmarł kilka minut później. Withers został zatrzymany pod zarzutem nieostrożnej jazdy, prowadzenia w stanie nietrzeźwym i nieumyślnego zabójstwa.

Wydawca gazetki uniwersyteckiej spytał, czy można orzec, że Pascow zmarł z powodu obrażeń głowy. Louis, oczyma duszy widząc dziurę w czaszce, przez którą można było dostrzec mózg, odparł, iż wolałby, by to koroner okręgu Penobscot podał przyczynę śmierci. Następnie wydawca spytał, czy czworo młodych ludzi, którzy przynieśli Pascowa do ambulatorium na kocu, nie mogło spowodować niechcący jego śmierci.

– Nie – odrzekł Louis, ciesząc się, że ma okazję

oczyścić czwórkę działającą szybko i wyraźnie kierującą się współczuciem. – Absolutnie nie. Niestety, w mojej opinii, pan Pascow został śmiertelnie ranny w chwili zderzenia.

Padły jeszcze inne pytania, lecz ta odpowiedź tak naprawdę zakończyła konferencję prasową. Obecnie Louis siedział w swym gabinecie (Steve Masterton poszedł do domu godzinę wcześniej, tuż po konferencji; Louis podejrzewał, iż pragnął obejrzeć się w wieczornym dzienniku), próbując wykorzystać jednak resztę zrujnowanego dnia – albo może pokryć to, co się stało, ochronną warstwą rutyny. Wraz z Charlton przeglądali karty „pierwszej kartoteki" – studentów, którzy z zacięciem parli przez college, mimo różnego rodzaju ułomności i chorób. W kartotece znajdowało się dwadzieścioro troje cukrzyków, piętnaścioro epileptyków, czternaścioro paralityków i najróżniejsze inne przypadki – studenci chorzy na białaczkę, studenci po porażeniu mózgowym i z dystrofią mięśni, niewidomi, dwójka głuchych i jeden przypadek anemii sierpowatej, z którą Louis nie zetknął się nigdy wcześniej.

Najgorszy chyba moment popołudnia nastąpił tuż po wyjściu Steve'a. Charlton zjawiła się u Louisa i położyła na jego biurku różową karteczkę: „Jutro o dziewiątej będzie tu przedstawiciel sklepu z wykładzinami z Bangor".

– Z wykładzinami? – spytał.

– Trzeba kupić nową – odparła przepraszająco. – Ta

plama już nigdy nie zejdzie, doktorze.

Oczywiście. W tym momencie Louis poszedł do apteki i zażył tuinal – środek, który jego współlokator z pierwszego roku akademii nazywał uspokajaczem. „Wskakuj do pociągu do Uspokajaczowa, Louis – mawiał – a ja nastawię Creedence”. Louis zazwyczaj odmawiał przejażdżek do legendarnego Uspokajaczowa, może i dobrze; jego współlokator wyleciał ze studiów w połowie trzeciego semestru i zajechał tym pociągiem aż do Wietnamu jako pomocnik medyczny. Louis czasami wyobrażał go sobie, jak tkwi tam zaćpany po uszy, słuchając Creedence’ów grających „Run Through the Jungle”.

Ale teraz potrzebował czegoś. Jeżeli za każdym razem, gdy unosił wzrok znad rozłożonych na biurku akt, miał widzieć przypiętą na tablicy różową karteczkę przypominającą o wykładzinie, potrzebował silnego wsparcia.

Radził sobie całkiem nieźle, gdy pani Baillings, nocna pielęgniarka, wsadziła do środka głowę i oznajmiła:

– Pańska żona, doktorze Creed. Linia pierwsza.

Louis zerknął na zegarek i przekonał się, że dochodzi piąta trzydzieści. Zamierzał wyjść z pracy półtorej godziny wcześniej.

– Dobrze, Nancy, dzięki.

Podniósł słuchawkę i wybrał pierwszą linię.

– Cześć, kochanie. Właśnie wy…

– Louis, wszystko w porządku?

– Tak. Nic mi nie jest.

– Słyszałam o tym w dzienniku, Lou. Tak mi przykro. – Na moment umilkła. – To było w radiu. Puścili kawałek konferencji. Odpowiadałeś na pytania. Wypadłeś całkiem dobrze.

– Naprawdę? To świetnie.

– Na pewno nic ci nie jest?

– Tak, Rachel, absolutnie nic.

– Wracaj do domu – poprosiła.

– Tak – odparł. Dom. Brzmiało naprawdę pociągająco.

15

Powitała go w drzwiach i Louisowi opadła szczęka. Rachel miała na sobie siatkowy biustonosz, który tak lubił, półprzezroczyste majteczki, i nic poza tym.

– Wyglądasz przepysznie – rzekł. – Gdzie dzieci?

– Zabrała je Missy Dandridge. Jesteśmy sami, aż do wpół do dziewiątej… co daje nam dwie i pół godziny. Nie traćmy czasu.

Przywarła do niego. Owiał go słaby, cudowny zapach – czyżby olejek różany? Objął ją, otaczając rękami jej talię. Po chwili przesunął dłońmi po krągłych pośladkach, podczas gdy język Rachel tańczył leciutko na jego wargach, by wreszcie wniknąć do środka, śmigając tam i z powrotem.

Gdy w końcu przestali się całować, spytał nieco ochryple:

– Czy ty jesteś na obiad?

– Na deser – odparła i zaczęła powoli, zmysłowo, poruszać biodrami, ocierając się o brzuch i uda męża. – Obiecuję jednak, że nie dostaniesz niczego, czego byś nie lubił.

Sięgnął po nią, lecz ona wymknęła mu się z ramion i chwyciła go za rękę.

– Najpierw na górę – poleciła.

Przygotowała mu bardzo gorącą kąpiel, po czym

rozebrała go powoli i zagnała do wody. Wsunęła na rękę nieco szorstką rękawicę z gąbki, zazwyczaj wiszącą na rurze prysznica, całkowicie zapomnianą. Łagodnie namydliła jego ciało i spłukała je. Czuł, jak wraz wodą spływa z niego cały dzień – ten okropny pierwszy dzień. Rachel także się zmoczyła. Majtki przywarły do niej niczym druga skóra.

Louis próbował wyjść z wanny, ona jednak delikatnie wepchnęła go z powrotem.

– Co się…

Rękawica z gąbki chwyciła go łagodnie – łagodnie, lecz z niemal nieznośnym tarciem, poruszając się wolno w górę i w dół.

– Rachel… – Czuł, że oblewa go pot. I nie sprawiła tego wyłącznie gorąca kąpiel.

– Ciii.

Zdawało się, że to trwa niemal wieki – niemal dochodził, lecz wówczas dłoń w gąbkowej rękawiczce zwalniała, prawie zatrzymywała się. A potem naciskała, rozluźniała się i znów naciskała, aż wreszcie eksplodował tak mocno, że zadzwoniło mu w uszach.

– Mój Boże – rzekł drżącym głosem, kiedy mógł już przemówić. – Gdzieś ty się tego nauczyła?

– W harcerstwie – odparła wyniośle.

Przyrządziła strogonowa, który dusił się na małym ogniu podczas całego epizodu z wanną, i Louis, który o czwartej mógłby przysiąc, że nie tknie jedzenia aż do Halloween, pochłonął dwie porcje.

Potem znów zaprowadziła go na górę.

– Teraz – powiedziała – przekonajmy się, co możesz zrobić dla mnie.

Biorąc pod uwagę okoliczności, Louis uznał, że stanął na wysokości zadania.

Później Rachel ubrała się w starą niebieską piżamę. Louis naciągnął flanelową koszulę i niemal bezkształtne sztruksy – Rachel nazywała ten strój jego łachami – i pojechał po dzieci.

Missy Dandridge chciała dowiedzieć się wszystkiego o wypadku, toteż naszkicował całą sytuację, podając mniej informacji, niż prawdopodobnie wyczyta w bangorskich „Daily News” następnego dnia. Nie miał ochoty o tym mówić – czuł się jak najokropniejszy z plotkarzy – lecz Missy nie chciała pieniędzy za opiekę, a był jej wdzięczny za wieczór, który mógł spędzić z Rachel.

Nim Louis pokonał półtora kilometra dzielące go od domu, Gage zdążył zasnąć kamiennym snem, a Ellie ziewała i mrugała rozpaczliwie. Włożył małemu świeżą pieluchę, wcisnął go w śpiochy i wsunął do kołyski. Potem przeczytał Ellie książeczkę. Jak zwykle domagała się „Świata dzikich zwierząt”; w końcu sama była najdzikszym stworzeniem. Louis przekonał ją, by zadowoliła się „Kotem w cylindrze”. Zasnęła pięć minut po tym, jak zaniósł ją na górę, a Rachel ułożyła w łóżku.

Gdy znów zszedł na dół, Rachel siedziała w salonie ze szklanką mleka. Na smukłym udzie leżał rozłożony

kryminał Dorothy Sayers.

– Louis, naprawdę nic ci nie jest?

– Zupełnie nic, kochanie – odparł. – I dzięki, za wszystko.

– Staramy się zadowolić klienta – odparła z lekkim przekornym uśmieszkiem. – Idziesz do Juda na piwo?

Potrząsnął głową.

– Nie dziś wieczór. Jestem wypompowany.

– Mam nadzieję, że się do tego przyczyniłam.

– Chyba tak.

– Zatem nalej sobie szklankę mleka, doktorku, i chodźmy do łóżka.

Oczekiwał, że nie będzie mógł zasnąć, jak to się działo w czasach, gdy był jeszcze praktykantem i raz po raz odtwarzał w pamięci wydarzenia szczególnie okropnych dni. W istocie jednak gładko osunął się w sen, jakby trafił na nachyloną, pozbawioną tarcia zjeżdżalnię. Czytał gdzieś, że przeciętny człowiek potrzebuje zaledwie siedmiu minut, by całkowicie się wyłączyć i oderwać od minionego dnia. Siedem minut, podczas których świadomość i podświadomość zamieniają się miejscami, niczym ściana w nawiedzonym domu w wesołym miasteczku. Jest w tym coś niesamowitego.

Prawie już spał, gdy usłyszał, jak Rachel mówi jakby z wielkiej odległości:

– …pojutrze.

– Mmm?

– Jolander, weterynarz. Pojutrze zabiera Churcha.

– Ach, tak.

Church, napawaj się swymi ***cojones***, póki wciąż je masz, mój stary – pomyślał, a potem runął w otchłań nieświadomości. Spał twardo bez żadnych snów.

16

Coś obudziło go znacznie później; huk, dość głośny, by sprawić, że gwałtownie usiadł na łóżku, zastanawiając się, czy Ellie wypadła na podłogę, czy może rozleciała się kołyska Gage'a. A potem księżyc wypłynął zza chmury, zalewając pokój zimnym, białym blaskiem, i Louis ujrzał Victora Pascowa stojącego w drzwiach. Ów huk to był właśnie Pascow, gwałtownie otwierający drzwi.

Stał tam, z groteskową dziurą w lewej skroni. Twarz pokrywały rdzawe smugi zaschniętej krwi, przywodzące na myśl indiańskie barwy wojenne. Biały złamany obojczyk przebijał skórę. Pascow uśmiechał się szeroko.

– Chodź, doktorze – rzekł. – Musimy odwiedzić pewne miejsce.

Louis rozejrzał się. Jego żona była jedynie niewyraźnym wzgórkiem pod żółtą kołdrą. Spała głęboko. Obejrzała się na Pascowa, martwego, a jednak nie martwego. Lecz Louis nie czuł strachu. Niemal natychmiast pojął dlaczego.

To sen, pomyślał, i dopiero ulga, jaką poczuł, uświadomiła mu, że jednak się bał. Umarli nie powracają. To fizjologiczna niemożliwość. Ten młody człowiek leży teraz w chłodni w Bangor już po sekcji, oznaczony tatuażem patologa – zaszytym rozcięciem w kształcie litery Y. Patolog prawdopodobnie pobrał próbkę tkanki,

po czym wrzucił mózg do klatki piersiowej i wypchał czaszkę brązowym papierem, by zapobiec wyciekom – to prostsze niż próby ponownego dopasowania mózgu do czaszki jak kawałka układanki.

Wuj Carl, ojciec nieszczęsnej Ruthie, opowiadał mu, że tak właśnie postępują patolodzy. Przekazał mu też mnóstwo innych informacji, które, jak przypuszczał Louis, dla Rachel z jej śmierciofobią stanowiłyby prawdziwy koszmar. Ale Pascowa w rzeczywistości tam nie było. Pascow leżał w szufladzie w chłodni z kartką przypiętą do palucha. ***I z całą pewnością nie ma tam na sobie czerwonych szortów do biegania.***

Niemniej jednak przymus wstania był bardzo silny. Oczy Pascowa obserwowały go.

Louis odrzucił kołdrę i spuścił stopy na podłogę. Zimne, twarde węzełki makramowego dywanika – prezentu ślubnego od babki Rachel – wbiły mu się w podeszwy. Sen był zdumiewająco rzeczywisty, tak rzeczywisty, że Louis nie zamierzał iść za Pascowem, póki tamten nie odwrócił się i nie zaczął schodzić po schodach. Przymus nakazujący pójść w jego ślady był silny, lecz Louis nie życzył sobie, by nawet we śnie dotknął go chodzący trup.

Mimo wszystko jednak poszedł za nim. Szorty Pascowa połyskiwały w mroku. Przecięli salon, jadalnię, kuchnię. Louis spodziewał się, że Pascow przekręci zamek i uniesie haczyk zamykający drzwi, łączące kuchnię z szopą, zamienioną w garaż dla furgonetki i

hondy, lecz tamten nie zrobił nic takiego. Zamiast otwierać drzwi, po prostu przez nie przeniknął, a Louis, obserwując go, pomyślał z lekkim zdumieniem: A zatem tak się to robi. Każdy by potrafił.

Sam spróbował – i z rozbawieniem stwierdził, iż napotyka tylko nieustępliwe drewno. Najwyraźniej nawet we śnie był twardogłowym realistą. Przekręcił gałkę zamka yale, uniósł haczyk i wyszedł do szopy-garażu. Pascowa tam nie było. Przez moment Louis zastanawiał się, czy tamten przypadkiem nie zniknął. Postacie we snach często robią coś takiego. Podobnie miejsca – najpierw człowiek stoi nagi obok basenu z potężną erekcją, omawiając kwestię zamiany żon z, powiedzmy, Rogerem i Missy Dandridge, a potem mruga okiem i już wspina się na zbocze hawajskiego wulkanu. Może Pascow zgubił się, bo właśnie zaczynał się akt drugi.

Kiedy jednak Louis wynurzył się z garażu, ujrzał go ponownie, stał w słabym blasku księżyca na tyłach trawnika – i początku ścieżki.

Wtedy nadszedł strach, wkraczając łagodnie, przenikając wszelkie cielesne pustki i zapełniając je duszącym dymem. Louis nie chciał tam iść. Przystanął.

Pascow obejrzał się przez ramię. W blasku księżyca jego oczy miały barwę srebra. Louis poczuł, jak żołądek beznadziejnie ściska mu się ze strachu. Ta stercząca kość, zaschnięte, krwawe skrzepy. Nie mógł jednak oprzeć się sile owych oczu. Najwyraźniej śnił o tym, że jest zahipnotyzowany, zdominowany… niezdolny cokolwiek

zmienić, tak jak nie zdołał zmienić tego, że Pascow musiał umrzeć. Można chodzić do szkoły przez dwadzieścia lat i wciąż nie móc niczego zrobić, gdy przynoszą nam człowieka wbitego w drzewo z taką siłą, że część czaszki wpadła do środka. Równie dobrze mogli wezwać hydraulika, szamana albo roznosiciela pizzy.

W czasie gdy myśli te przebiegały mu przez głowę, ciało, niczym przyciągane przemożną siłą, wędrowało naprzód ku ścieżce. Podążał za szortami do joggingu, w świetle księżyca równie rdzawymi, jak zaschnięta krew na twarzy Pascowa.

Nie podobał mu się ten sen. Na Boga, wcale mu się nie podobał. Był zbyt rzeczywisty. Zimne węzełki dywanu, to, że nie mógł przeniknąć przez drzwi szopy, podczas gdy w każdym porządnym śnie człowiek może dowolnie przechodzić przez drzwi i ściany… A teraz lodowate dotknięcie rosy na bosych stopach, muśnięcia słabego wiatru na ciele, nagim, jeśli nie liczyć skąpych spodenek. Gdy znalazł się pod drzewami, do podeszew przywarły mu jodłowe szpilki… kolejny drobny szczegół, nieco zbyt realistyczny, jak na gust Louisa.

– Nieważne. Nieważne. Jestem w domu, we własnym łóżku. To tylko sen, nieistotnie jak wyraźny. I, podobnie jak wszystkie inne sny, rano będzie wydawał mi się idiotyczny. Mój umysł na jawie dostrzeże w nim niekonsekwencje.

Mała gałązka uschniętego drzewa boleśnie ukłuła go w ramię. Skrzywił się. Przed nim w górze Pascow był

jedynie ruchomym cieniem, i przerażenie Louisa skrystalizowało się w umyśle, tworząc lśniącą, wyraźną rzeźbę. ***Idę do lasu w ślad za żywym trupem. Idę za żywym trupem na Cmętarz Zwieżąt. I to nie jest sen. Boże, dopomóż, to nie jest sen. To dzieje się naprawdę.***

Zeszli po zboczu porośniętego drzewami wzgórza. Ścieżka skręcała, tworząc leniwe esy-floresy pomiędzy pniami, a potem zanurzyła się wprost w gęste poszycie. Tym razem nie miał kaloszy. Pod jego stopami ziemia rozpłynęła się niczym zimna galareta, chwytając i zatrzymując nogi, i wypuszczając je niechętnie. Każdemu krokowi towarzyszyły paskudne mlaśnięcia. Czuł, jak błoto przelewa mu się między palcami, próbując je rozdzielić. Usiłował trzymać się teorii snu.

Nie pasowała.

Dotarli na polanę. Księżyc ponownie wynurzył się zza rafy chmur, zalewając cmentarzysko upiornym blaskiem. Nachylone nagrobki – kawałki desek i puszki przycięte cążkami ojców, a potem rozprostowane młotkiem na nierówne kwadraty, obtłuczone kawałki łupka i piaskowca – wznosiły się wokół, wyraźne, trójwymiarowe, rzucając idealnie czarne, kształtne cienie.

Pascow przystanął obok grobu z napisem: KOT SMUCKY. BYŁ POSŁÓSZNY i odwrócił się w stronę Louisa. Groza, koszmar; Louis miał wrażenie, że uczucia te narastają w nim tak szybko, iż w końcu jego ciało wybuchnie pod ich łagodnym, lecz nieznośnym naciskiem. Pascow uśmiechnął się szeroko. Zakrwawione

wargi odsłaniały wyszczerzone zęby, a w upiornym blasku księżyca zdrowa opalenizna nabrała odcienia bieli trupa, który wkrótce zostanie zaszyty w obszerny całun.

Uniósł rękę i wskazał. Louis podążył wzrokiem za tym gestem i jęknął. Jego oczy rozszerzyły się. Przycisnął do ust zwiniętą w pięść dłoń. Na policzkach poczuł coś zimnego i uświadomił sobie, że w najwyższym przerażeniu zaczął płakać.

Wiatrołom, z którego Jud Crandall odwołał z niepokojem Ellie, zamienił się w stos kości. Kości te poruszały się, wiły i zderzały ze szczękiem, żuchwy i kości udowe, trzonowce, kły i łokcie. Widział szyderczo uśmiechnięte czaszki ludzi i zwierząt. Kości palców grzechotały, szczątki stopy rozprostowywały zbielałe stawy.

Wszystko to poruszało się, skradało…

Teraz Pascow ruszył ku niemu. Jego zakrwawiona twarz w blasku księżyca miała ponury wyraz, i Louisa poczęły opuszczać resztki trzeźwego rozsądku, pozostawiając jedną natrętną, powtarzającą się myśl: Musisz krzyczeć tak głośno, by się obudzić. Nieważne, czy przerazisz Rachel, Ellie, Gage’a; obudzisz cały dom, całe sąsiedztwo. Musisz obudzić się krzykiem. Krzyczeć. Obudzić się krzykiem. Obudzić, obudzić, obudzić.

Z jego ust wydostał się jednak tylko cichutki szmer powietrza, dźwięk, jaki wydaje małe dziecko siedzące gdzieś na kamieniu i próbujące nauczyć się gwizdać.

Pascow podszedł bliżej i przemówił:

– Tych drzwi nie wolno otworzyć. – Patrzył w dół na Louisa, ponieważ tamten osunął się na kolana. Nie uśmiechał się już. Jego twarz przybrała nowy wyraz, który Louis z początku wziął za współczucie, w istocie jednak była to jedynie złowroga cierpliwość. Cały czas wskazywał stos ruszających się kości. – Nie przekraczaj go, doktorze, nieważne, jak bardzo byś pragnął. Tej bariery nie wolno przekraczać. Zapamiętaj; jest tu więcej mocy, niż sądzisz. To stara moc, stale niespokojna. Pamiętaj.

Louis znów próbował krzyknąć. Nie mógł.

– Przychodzę jako przyjaciel – powiedział Pascow; lecz czy naprawdę użył tego słowa? Louis wątpił w to. Zupełnie jakby Pascow mówił do niego w obcym języku, który rozumiał dzięki magii snu… i „przyjaciel” stanowił najbliższy odpowiednik użytego przez Pascowa słowa, który zdołał wynaleźć umysł Louisa.

– Twój upadek, doktorze, i ruina wszystkiego, co kochasz, są tuż-tuż. – Przysunął się tak blisko, że Louis czuł otaczającą go woń śmierci.

Pascow wyciągnął rękę w jego kierunku.

Cichy, doprowadzający do szału grzechot kości.

Louis odchylił się i zaczął tracić równowagę, próbując uniknąć dotyku. Dłonią natrafił na nagrobek i go wywrócił. Twarz Pascowa nachylała się ku niemu. Przesłaniała niebo.

– Doktorze. Pamiętaj.

Louis próbował krzyczeć i świat zawirował wokół

niego – nadal jednak słyszał grzechot poruszających się kości w oświetlonej blaskiem księżyca krypcie nocy.

17

Zaśnięcie zabiera przeciętnemu człowiekowi siedem minut, lecz według „Fizjologii” Handa ten sam przeciętny człowiek potrzebuje od piętnastu do dwudziestu minut, by się ocknąć, zupełnie jakby sen był jeziorem, z którego trudniej się wynurzyć, niż w nie zanurkować. Kiedy śpiący się budzi, czyni to stopniowo, z poziomu głębokiego snu do lekkiego, następnie czegoś, zwanego półsnem, stanu, w którym śpiący słyszy dźwięki, a nawet odpowiada na pytania, choć później nie jest tego świadom… chyba że potraktuje to jako część sennych mar.

Louis słyszał grzechot i stukanie kości, stopniowo jednak dźwięk ów stawał się ostrzejszy, bardziej metaliczny. Rozległ się trzask, krzyk, kolejne metaliczne odgłosy… coś się toczyło? Jasne, zgodził się jego półprzytomny umysł. Toczące się kości.

Usłyszał głos córki:

– Łap, Gage! Łap to!

Odpowiedział jej pisk radości Gage’a. I właśnie na ten dźwięk Louis otworzył oczy i ujrzał sufit własnej sypialni.

Leżał bez ruchu, czekając, aż rzeczywistość, poczciwa, błogosławiona rzeczywistość ogarnie go ostatecznie.

To był tylko sen. Nieważne, jak straszny, jak rzeczywisty, to wciąż był tylko sen. Jedynie ślad, zastygły w skale umysłu skrytego pod zwykłym umysłem.

Znów rozległ się metaliczny odgłos. To jeden z samochodzików Gage'a toczył się po korytarzu na górze.

– Łap go, Gage!

– Łap – wrzasnął Gage. – Łap go, łap, łap, łap!

Tup, tup, tup. Drobne bose stópki Gage'a załomotały na chodniku. Oboje z Ellie chichotali.

Louis obejrzał się przez prawe ramię. Należąca do Rachel połowa łóżka była pusta. Kołdra leżała odrzucona. Słońce stało wysoko na niebie. Zerknął na zegarek i przekonał się, iż dochodzi ósma. Rachel pozwoliła mu pospać dłużej. Prawdopodobnie z rozmysłem.

Zazwyczaj to by go zirytowało, lecz tego ranka stało się inaczej. Głęboko zaczerpnął powietrza i wypuścił je rad, że może tak leżeć, patrząc, jak wąski promień słońca wpada ukośnie przez okno sypialni, czując wokół jakże znajomą materię prawdziwego świata. W słońcu tańczyły drobinki kurzu.

– Chodź już, El! – zawołał z dołu głos Rachel. – Zabierz drugie śniadanie i biegnij do autobusu.

– Dobrze! – Głośniejszy tupot stóp. – Masz tu autko, Gage. Muszę iść do szkoły.

Gage zaczął pokrzykiwać z oburzeniem. Choć niewyraźne – jedynymi rozpoznawalnymi słowami były „Gage", „autko", „łap" i „Ellie-bus" – jego protesty wydawały się zupełnie jasne: Ellie powinna zostać.

Publiczne szkolnictwo może się wypchać.

Znów głos Rachel.

– Zanim zejdziesz, El, idź potrząśnij tatą.

Ellie wpadła do środka. Włosy miała związane w kucyk, na sobie – czerwoną sukienkę.

– Już nie śpię, słonko – rzekł Lou. – Idź, bo spóźnisz się na autobus.

– Dobrze, tatusiu. – Podeszła do niego, pocałowała szorstki policzek i śmignęła ku schodom.

Sen zaczął blaknąć, tracić spójność. I dobrze.

– Gage! – krzyknął Louis. – Chodź, pocałuj tatę.

Gage puścił to mimo uszu. Jak najszybciej potrafił, maszerował za Ellie na dół, wrzeszcząc z całych sił:

– Łap go! Łap go! Łap go. Łap. – Louis dostrzegł go tylko przez moment: małego, twardego człowieczka, ubranego w pieluchę i ceratowe majtki.

– Louis, to ty? – zawołała Rachel. – Obudziłeś się?

– Tak – odparł.

– Mówiłam ci! – krzyknęła Ellie. – Idę, pa! – Jej słowa podkreśliło trzaśnięcie frontowych drzwi i oburzony wrzask Gage'a.

– Jedno jajko czy dwa? – spytała Rachel.

Louis usiadł na łóżku i spuścił stopy na węzełki dywanu. Właśnie miał powiedzieć, że daruje sobie jajka, wystarczy porcja płatków i będzie uciekał… lecz słowa zamarły mu w gardle.

Jego stopy były brudne, pokryte zaschniętym błotem i jodłowymi szpilkami.

Serce wskoczyło mu do gardła, niczym szalona zabawka na sprężynie. Zaciskając nieświadomie zęby na języku, z wybałuszonymi oczami, błyskawicznie odrzucił na bok koc. Dół łóżka był zasłany igłami. Prześcieradło pokrywały brudne plamy.

– Louis?

Dostrzegł kilka zabłąkanych igieł na swym kolanie. I nagle spojrzał na prawe ramię. Na bicepsie widniało zadrapanie, świeże zadrapanie. Dokładnie w miejscu, gdzie ukłuła go zaschnięta gałąź… we śnie.

Zaraz zacznę krzyczeć. Czuję to.

I rzeczywiście krzyk wzbierał od wewnątrz, wielka, zimna fala strachu. Rzeczywistość rozpłynęła się. Rzeczywistość – prawdziwa rzeczywistość – pomyślał – to były igły, brud na prześcieradle, krwawe zadrapanie na skórze ramienia.

Zaraz zacznę krzyczeć, a potem oszaleję i nie będę się już musiał tym przejmować…

– Louis? – Rachel wspinała się po schodach. – Louis, znowu zasnąłeś?

Zaczął walczyć sam z sobą. W ciągu tych dwóch, trzech sekund stoczył zaciętą bitwę, tak jak wcześniej w owych chwilach zamętu, po tym, jak umierający Pascow został przyniesiony na kocu do ośrodka medycznego. I zwyciężył. Ostatecznie szalę przeważyła myśl, że Rachel nie może zobaczyć go w takim stanie. Nie może widzieć zabłoconych, pokrytych igłami stóp i kołdry zrzuconej na podłogę, odsłaniającej poplamione prześcieradło.

– Nie śpię! – zawołał wesoło. Jego przygryziony wcześniej język krwawił. Myśli wirowały szaleńczo, a gdzieś głęboko, z dala od tego, co się działo, zastanawiał się, czy zawsze tylko krok dzielił go od obłąkańczego irracjonalizmu i czy dotyczy to wszystkich ludzi.

– Jedno jajko czy dwa? – Zatrzymała się na drugim, trzecim stopniu. Dzięki Bogu.

– Dwa – odparł ledwie świadom znaczenia własnych słów. – Jajecznicę.

– Bardzo proszę – odparła i wróciła na dół.

Na sekundę dał się ponieść uldze. Przymknął oczy, lecz w ciemności dostrzegł srebrzyste źrenice Pascowa. Jego powieki uniosły się gwałtownie. Louis zaczął działać, bardzo szybko, odpychając dalsze myśli. Szarpnięciem zdarł z łóżka pościel. Kołdra była w porządku. Ściągnął powłoczkę i prześcieradło. Zwinął je w kulę, zaniósł na korytarz i wrzucił do zsypu na pranie.

Niemal biegiem wpadł do łazienki, szarpnął rączkę prysznica i wszedł pod wodę tak gorącą, że niemal parzyła mu skórę. Nie zważając na to, pośpiesznie obmył stopy i łydki z brudu.

Zaczął czuć się lepiej. Miał wrażenie, że znów kontroluje sytuację. Wycierając się, pomyślał nagle, iż zapewne tak właśnie czują się mordercy, gdy sądzą, że pozbyli się wszystkich dowodów. Wybuchnął śmiechem. Śmiał się, nie wypuszczając ręcznika. I nie mógł przestać.

– Hej, tam na górze! – zawołała Rachel. – Co cię tak rozbawiło?

– Nic wielkiego – odparł Louis, wciąż się śmiejąc. Był przerażony, lecz przerażenie nie powstrzymało śmiechu, który wypływał wprost z brzucha twardego niczym kamienie wmurowane w ścianę domu. Uświadomił sobie, iż wrzucenie pościeli do prania było absolutnie najlepszym możliwym rozwiązaniem. Missy Dandridge przychodziła do nich pięć razy w tygodniu, aby odkurzyć, posprzątać i zrobić pranie. Rachel nigdy nie zobaczy tej pościeli, póki nie położy jej na łóżku – czystej. Możliwe, że Missy wspomni o niej Rachel, ale nie przypuszczał. Prędzej szepnie do męża, iż Creedowie urządzają w łóżku dziwaczne seksualne zabawy, zamiast farb do ciała używając błota i jodłowych szpilek.

Ta myśl sprawiła, że zaczął śmiać się jeszcze donośniej.

Dopiero gdy się ubrał, ostatecznie przestał chichotać i pojął, że czuje się nieco lepiej. Nie miał pojęcia dlaczego, ale tak było. Pokój wyglądał zupełnie normalnie, poza pozbawionym pościeli łóżkiem. Pozbył się trucizny. Może istotnie lepszym określeniem byłyby dowody, lecz miał wrażenie, że to prawdziwa trucizna.

Być może właśnie tak ludzie radzą sobie z niewytłumaczalnym, pomyślał. Tak przyjmują niewyjaśnione zjawiska, niepozwalające rozłożyć się na normalne skutki i przyczyny, rządzące światem Zachodu. Może tak umysł radzi sobie z latającym talerzem, który pewnego ranka w ciszy zawisa nad naszym polem, z deszczem żab, ręką spod łóżka w środku nocy, muskającą

bosą stopę – atakiem śmiechu bądź płaczu. Jeśli zaś człowiek nie ugina się i nie pozwoli złamać, po prostu wydala z siebie nietkniętą grozę, niczym kamień nerkowy.

Gage siedział na swym foteliku, jedząc kaszkę i ozdabiając nią stół. Upiększył nią też plastikową podkładkę pod fotelikiem i, najwyraźniej, umył w niej włosy.

Rachel wynurzyła się z kuchni, niosąc jajecznicę i kubek kawy.

– Co cię tak rozśmieszyło, Lou? Śmiałeś się jak wariat. Aż mnie przestraszyłeś.

Louis otworzył usta, nie mając pojęcia, co powie, i usłyszał dowcip, w zeszłym tygodniu zasłyszany na targu, coś o żydowskim krawcu i papudze, która umiała powiedzieć jedynie „Ariel Sharon wali konia".

Kiedy skończył, Rachel także się śmiała – podobnie jak Gage.

Doskonale. Nasz bohater pozbył się wszystkich dowodów, a dokładnie: zabłoconej pościeli i obłąkańczego śmiechu w sypialni. Teraz nasz bohater przeczyta poranną gazetę – albo przynajmniej ją przejrzy – przypieczętowując normalność poranka.

Z tą myślą Louis otworzył gazetę.

Tak się to robi – dodał w duchu z niewiarygodną ulgą. Pozbywamy się tego jak kamienia. I to już koniec… chyba że którejś nocy siądziemy z przyjaciółmi przy ognisku i gdy zawieje wiatr, rozmowa zejdzie na

niewyjaśnione zjawiska. W wietrzną noc przy ognisku można gadać różne rzeczy.

Zjadł jajecznicę, ucałował Rachel i Gage'a. Dopiero gdy wychodził, zerknął na białą kwadratową szafkę u stóp zsypu na brudną bieliznę. Wszystko szło świetnie. Kolejny wspaniały ranek. Późne lato sprawiało wrażenie, jakby zamierzało trwać wiecznie i wszystko było w porządku. Wycofując samochód z garażu, obejrzał się na ścieżkę, ale także wyglądała normalnie. Jej widok w ogóle go nie wzruszył. Pozbył się grozy jak kamienia.

Wszystko było w porządku, póki nie oddalił się o piętnaście kilometrów. Wtedy zaczął się trząść tak mocno, że musiał zjechać z trasy numer 2 na pusty o tej porze parking przed restauracją chińską „U Singa", nieopodal Centrum Medycznego Wschodniego Maine – miejsca, do którego zabrano zwłoki Pascowa, to znaczy EMMC, nie „U Singa". Vic Pascow nigdy już nie zje porcyjki moo-moo-gai-pan, cha, cha, cha.

Dreszcze wstrząsały jego ciałem, wykrzywiały je, objęły w całkowite władanie. Louis czuł się bezradny i przerażony – nie bał się niczego nadnaturalnego, nie w tym jasnym słońcu, lecz jedynie możliwości, że zaczyna tracić rozum – zupełnie jakby ktoś okręcił jego ciało długim, niewidzialnym drutem, który teraz bardzo szybko rozkręcał.

– Już dosyć! – powiedział głośno. – Błagam, dosyć!

Niezdarnie sięgnął do radia i znalazł Joan Baez śpiewającą o diamentach i rdzy. Jej słodki, chłodny głos

uspokoił go i gdy skończyła, Louis poczuł, że może jechać dalej.

Kiedy dotarł do ośrodka medycznego, pozdrowił Charlton, po czym błyskawicznie zamknął się w łazience, przekonany, że okropnie wygląda. Bynajmniej: miał tylko lekko podkrążone oczy, lecz nawet Rachel by tego nie dostrzegła. Ochlapał twarz zimną wodą, wytarł ją, przeczesał włosy i poszedł do siebie.

W jego gabinecie siedzieli Steve Masterton i hinduski lekarz Surrendra Hardu. Pili kawę i nadal przeglądali pierwszą kartotekę.

– Dzień dobry, Lou – rzucił Steve.

– Dzień dobry.

– Miejmy nadzieję, że nie będzie taki jak wczorajszy – dodał Hardu.

– Właśnie, minęła cię cała zabawa.

– Surrendra miał wczoraj w nocy dosyć zabawy. – Masterton uśmiechnął się szeroko. – Powiedz mu, Surrendra.

Hardu z uśmiechem przetarł okulary.

– Około pierwszej w nocy dwóch chłopców przyprowadziło swoją przyjaciółkę – rzekł. – Bardzo wesołą i kompletnie pijaną. Rozumiecie, świętowali rozpoczęcie zajęć. Paskudnie rozcięła sobie udo. Więc mówię jej, że muszę założyć co najmniej cztery szwy, ale nie będzie blizny. Proszę szyć – odpowiada. Zatem zaczynam, schylając się przed nią, o tak… – Hardu zademonstrował, pozdrawiając ukłonem niewidzialne

udo. Louis zaczął się uśmiechać, przeczuwając, co zaraz nastąpi.

– I gdy dezynfekowałem ranę, zwymiotowała mi na głowę.

Masterton wybuchnął śmiechem. Podobnie Louis. Hardu uśmiechał się spokojnie, jakby coś takiego zdarzało mu się tysiące razy w ciągu tysięcy żywotów.

– Surrendra, od jak dawna jesteś na dyżurze? – spytał w końcu Louis.

– Od północy – odparł tamten. – Właśnie miałem wychodzić, ale chciałem zaczekać i przywitać się.

– Zatem witaj. – Louis uścisnął jego drobną brązową dłoń. – A teraz idź do domu i prześpij się.

– Prawie skończyliśmy z tymi kartami – oznajmił Masterton. – Powiedz alleluja, Surrendra.

– Dziękuję, nie. – Hardu uśmiechnął się. – Nie jestem chrześcijaninem.

– Więc zaśpiewaj refren Instant Karma czy coś w tym stylu.

– Bawcie się dobrze. – Hardu z uśmiechem zniknął za drzwiami.

Louis i Steve Masterton w milczeniu odprowadzili go wzrokiem, po czym spojrzeli po sobie. Następnie obaj wybuchnęli gromkim śmiechem. Louis nigdy nie czuł się tak dobrze… tak normalnie.

– Równie dobrze możemy skończyć tę kartotekę – powiedział Steve. – Dzisiaj zjawiają się pierwsi dealerzy.

Louis przytaknął. O dziesiątej był umówiony z

pierwszym akwizytorem leków. Jak lubił żartować Steve, środa to dzień spaghetti, lecz na UMO każdy wtorek był Dniem Inwazji. Inwazji akwizytorów.

– Drobna rada, o wielki szefie – dodał Steve. – Nie wiem, jak było w Chicago, lecz tutaj ci goście nie cofną się przed niczym. Mogą ci zaproponować dosłownie wszystko, od listopadowego polowania i zabaw w Allgash po darmową grę w kręgle w klubie w Bangor. Kiedyś jeden z nich próbował mi wcisnąć jedną z tych nadmuchiwanych lalek. Mnie, a jestem tylko pomocnikiem. Jeśli nie zdołają sprzedać ci leków, spróbują cię od nich uzależnić.

– Trzeba ją było wziąć.

– Nie, miała rude włosy. Nie w moim typie.

– Cóż, zgadzam się z Surrendrą – odparł Louis. – Byle nie było tak jak wczoraj.

18

Kiedy umówiony na dziesiątą przedstawiciel Upjohna nie pojawił się, Louis uległ pokusie i zadzwonił do sekretariatu uniwersyteckiego. Porozmawiał chwilę z panią Stapleton, która obiecała, że natychmiast prześle mu kopię akt Victora Pascowa. Gdy odwiesił słuchawkę, gość z Upjohna już u niego był. Nie próbował dawać mu niczego. Spytał jedynie, czy interesowałby go zakup sezonowych biletów na mecze New England Patriots ze zniżką.

– Nie – odparł Louis.

– Tak też przypuszczałem – rzekł ponuro gość od Upjohna i wyszedł.

W południe Louis poszedł do „Niedźwiedziej Jamy” i kupił sobie kanapkę z tuńczykiem oraz colę. Przyniósł je do swego gabinetu i zaczął jeść, przeglądając akta Pascowa. Szukał czegoś, co łączyłoby zmarłego z nim samym albo z północnym Ludlow, gdzie leżał Cmętarz Zwieżąt, w głębi ducha wierząc, że nawet tak niesamowite zdarzenie musi jakoś dać się logicznie wytłumaczyć. Może chłopak wychował się w Ludlow – może nawet pochował na cmentarzu kota albo psa.

Nie znalazł jednak nic takiego. Pascow pochodził z Bergenfield w stanie New Jersey. Wstąpił na UMO, by studiować inżynierię i energetykę. Na kilku zapisanych na

maszynie kartkach Louis nie dostrzegał niczego, co mogłoby łączyć go z młodym człowiekiem, który zmarł w poczekalni – oczywiście poza samą śmiercią.

Wysączył resztkę coli z kubka, słuchając, jak słomka z bulgotem wsysa powietrze, po czym wyrzucił śmieci do kosza. Nie był to zbyt obfity lunch, lecz Louis zjadł go z apetytem. Wszystko w porządku, pomyślał, i tak też się czuł, przynajmniej teraz. Dreszcze nie powróciły i w tej chwili poranna groza wydawała się już tylko paskudną, bezsensowną niespodzianką, pozbawioną wszelkiego znaczenia.

Zabębnił palcami o bibułę, wzruszył ramionami i znów podniósł słuchawkę. Wykręcił numer EMMC i poprosił kostnicę.

Kiedy już połączono go z urzędującym tam dyżurnym, przedstawił się i rzekł:

– Macie tam jednego z naszych studentów, niejakiego Victora Pascowa…

– Już nie – odparł głos z drugiej strony. – Już go nie ma.

Gardło Louisa ścisnął nagły lęk. W końcu zdołał wykrztusić:

– Co takiego?

– Wczoraj późnym wieczorem jego zwłoki odesłano do rodziców. Odebrał je przedstawiciel Domu Pogrzebowego Brookingsa-Smitha. Odleciały Deltą… – Szelest papierów. – Deltą, lot 109. A co pan myślał, że poszedł na potańcówkę?

– Nie – odrzekł Louis. – Oczywiście, nie. Tyle że… – Tyle że co? Na miłość boską, czemu w ogóle się tym zajmował? Nie istniał żaden rozsądny sposób wyjaśnienia tej sprawy. Musiał ją zostawić. Zapomnieć o niej. W przeciwnym razie dopraszał się bezsensownych kłopotów. – Tyle że bardzo szybko to załatwiono – dokończył niezręcznie.

– No cóż, sekcję przeprowadzano wczoraj po południu – ponowny słaby szelest papierów – około trzeciej dwadzieścia. Zrobił to doktor Rynzwyck. Do tego czasu ojciec Pascowa wszystko załatwił. Około drugiej w nocy ciało powinno już być w Newark.

– W takim razie…

– Chyba że któryś z przewoźników schrzanił sprawę i wysłał je gdzieś indziej – dodał radośnie dyżurny. – Zdarzało się nam to już, choć nigdy z Deltą. Delta działa całkiem sprawnie. Kiedyś pewien gość zginął podczas wycieczki na ryby w okręgu Aroostook, w jednym z miasteczek, które nie mają nawet nazwy, jedynie współrzędne na mapie. Kretyn zadławił się uchwytem od puszki, pijąc piwo. Jego kumple potrzebowali dwóch dni, by wywlec go z głuszy, a wie pan, że po takim czasie to już czysta loteria. Nie wiadomo, czy da się zabalsamować zwłoki. Oni jednak wtrynili go nam, licząc, że się uda. Odesłaliśmy go do domu do Grand Falls w Minnesocie w ładowni samolotu. Ale w biurach linii namieszali. Najpierw wysłali go do Miami, potem do Des Moines, wreszcie do Fargo w Dakocie Północnej. W końcu ktoś

się zorientował, tymczasem jednak minęły trzy dni. Nic nie podziałało. Równie dobrze zamiast płynów balsamujących mogli wstrzyknąć mu sprite'a. Facet był zupełnie czarny, śmierdział jak kawał zepsutego mięcha. Tak przynajmniej słyszałem. Sześciu tragarzy pochorowało się od tego.

Rozmówca po drugiej stronie linii zaśmiał się serdecznie.

Louis przymknął oczy.

– Cóż, dziękuję…

– Jeśli pan chce, doktorze, mogę podać panu telefon domowy doktora Rynzwycka, ale on rankami zazwyczaj grywa w golfa w Orono. – I znów ten śmiech.

– Nie – odrzekł Louis. – Nie ma potrzeby.

Odwiesił słuchawkę. Niech tak się to skończy, pomyślał. Gdy nawiedził cię ów durny sen, czy cokolwiek to było, ciało Pascowa niemal na pewno znajdowało się już w domu pogrzebowym w Bergenfield. To załatwia sprawę. Niech to będzie koniec.

Kiedy tego popołudnia wracał do domu, nagle przyszło mu do głowy proste wyjaśnienie obecności brudu w łóżku. Wyjaśnienie to sprawiło, iż ogarnęła go ogromna ulga.

To był zwykły przypadek lunatyzmu, wywołanego przez nieoczekiwane, wstrząsające wydarzenie: śmiertelnie rannego studenta umierającego w ambulatorium pierwszego dnia prawdziwej pracy.

To wyjaśniało wszystko. Sen wydawał się niezwykle

rzeczywisty, ponieważ znaczna jego część była rzeczywista: dotknięcie dywanu, zimna rosa i oczywiście zeschnięta gałąź, która zadrapała go w ramię. Tłumaczyło też, czemu Pascow zdołał przeniknąć przez drzwi, a on sam nie. Nagle w jego myślach pojawiła się wizja, obraz Rachel schodzącej na dół ostatniej nocy i widzącej męża obijającego się o tylne drzwi, przez które próbował przejść we śnie. Uśmiechnął się szeroko. Byłaby nieźle zaskoczona.

Hipoteza lunatyzmu pozwoliła mu przeanalizować, skąd wziął się sen – i uczynił to z prawdziwym zapałem. Poszedł na Cmętarz Zwieżąt, bo miejsce to kojarzyło się z innym przeżytym niedawno stresem. Stało się powodem poważnej kłótni z żoną… A także, pomyślał z rosnącym podnieceniem, w jego umyśle kojarzyło się z pierwszym prawdziwym zetknięciem córki ze śmiercią, czymś, z czym jego własna podświadomość musiała zmagać się zeszłego wieczoru tuż przed zaśnięciem.

Cholerne szczęście, że cało i zdrowo dotarłem do domu – nawet nie pamiętam, jak to się stało. Musiałem wrócić na autopilocie.

I dobrze. Nie wyobrażał sobie, co by było, gdyby obudził się tego ranka obok grobu kota Smucky'ego, zdezorientowany, pokryty rosą i prawdopodobnie śmiertelnie przerażony – zresztą podobnie jak Rachel.

Ale to wszystko należało już do przeszłości.

Koniec, pomyślał z ogromną ulgą Louis. A co z jego słowami tuż przed śmiercią? – próbował spytać umysł,

lecz Louis pośpiesznie odegnał to pytanie.

Tego wieczoru, gdy Rachel prasowała, a Ellie z Gage'em siedzieli w tym samym fotelu, z zajęciem oglądając „Muppet Show", Louis oznajmił, jak gdyby nigdy nic, że ma ochotę wybrać się na krótki spacer – odetchnąć świeżym powietrzem.

– Zdążysz wrócić i pomóc mi położyć Gage'a? – spytała, nie unosząc wzroku znad deski. – Wiesz, że kiedy tu jesteś, zachowuje się grzeczniej.

– Jasne – odparł.

– Dokąd idziesz, tatusiu? – zainteresowała się Ellie, cały czas zapatrzona w telewizor. Kermit miał właśnie oberwać w oko od panny Piggy.

– Na tyły domu, złotko.

– Ach, tak.

Louis wyszedł.

W kwadrans później był już na Cmętarzu Zwieżąt, rozglądał się wokół ciekawie i zmagał z silnym poczuciem ***déjà vu***. Fakt, że naprawdę odwiedził to miejsce, nie ulegał wątpliwości: mały nagrobek czczący pamięć kota Smucky'ego leżał wywrócony. Zrobił to, gdy pod koniec tego, co zapamiętał ze snu, zbliżyła się do niego postać Pascowa. Louis z roztargnieniem poprawił deszczułkę i podszedł do wiatrołomu.

Zupełnie mu się nie podobał. Wspomnienie zbielałych ze starości gałęzi i martwych drzew zamieniających się w stos kości wciąż mroziło mu krew w żyłach. Zmusił się, by wyciągnąć rękę i dotknąć jednego z nich. Leżący

niepewnie na chaotycznym stosie pień poruszył się i sturlał, odbijając się od reszty. Louis odskoczył o krok.

Przeszedł wzdłuż niego, najpierw w lewo, potem w prawo. Po obu stronach poszycie zamykało drogę, tworząc taką gęstwinę, że nikt nie zdołałby jej przebyć. Zresztą nikt o zdrowych zmysłach nie chciałby przebijać się przez coś takiego, pomyślał Louis. Tuż przy ziemi bujnie rozkrzewiał się trujący bluszcz (całe życie Louis słyszał ludzi przechwalających się, że są na niego niewrażliwi, lecz wiedział, iż w istocie to niezwykle rzadkie), a dalej sterczały największe, najpaskudniejsze ciernie, jakie w życiu widział.

Spacerkiem wrócił w miejsce, gdzie wiatrołom wznosił się najwyżej. Spojrzał na niego, wsuwając ręce do tylnych kieszeni dżinsów.

Nie chcesz się chyba na to wdrapać?

Nie ja, szefie. Czemu miałbym zrobić coś tak durnego?

To dobrze. Przez chwilę naprawdę się martwiłem, Lou. Świetny sposób, by wylądować we własnym ambulatorium ze złamaną kostką, prawda?

Jasne. Poza tym robi się ciemno.

Upewniwszy się, iż nic mu nie jest i że całkowicie zgadza się z samym sobą, Louis zaczął wdrapywać się na wiatrołom.

Pokonał już pół drogi w górę, gdy poczuł, jak stos z osobliwym trzaskiem przemieszcza się pod jego nogami.

Niechaj potoczą się kości!

Gdy drzewa poruszyły się ponownie, Louis zaczął pośpiesznie zjeżdżać w dół. Poła koszuli wysunęła mu się ze spodni.

Bez żadnych incydentów dotarł na ziemię i otrzepał dłonie z pokruszonych kawałków kory. Wrócił na początek ścieżki, która, jak wiedział, doprowadzi go z powrotem do domu – do dzieci domagających się bajki przed snem, do Churcha przeżywającego ostatni dzień jako kocur z krwi i kości i urodzony podrywacz, do herbaty w kuchni z żoną, gdy dzieci już zasną.

Przed odejściem raz jeszcze obrzucił wzrokiem polanę, uderzony panującą tu zieloną ciszą. Znikąd pojawiły się pierwsze macki mgły, powoli okrążające nagrobki. Te koncentryczne kręgi… zupełnie jakby nieświadomie pokolenia dzieci z północnego Ludlow wzniosły tu pomniejszony model Stonehenge.

Ale czy to wszystko?

Choć nim drzewa pod jego stopami zaczęły się poruszać, zdołał tylko przez moment dostrzec teren za wiatrołomem, mógłby przysiąc, że dalej także biegła ścieżka wiodąca głębiej w las.

To nie twoja sprawa, Louis. Musisz o tym zapomnieć.

W porządku, szefie.

Louis odwrócił się i pomaszerował dalej.

Tej nocy jeszcze w godzinę po tym, jak Rachel poszła do łóżka, Louis zwlekał, czytając stos pism medycznych, które przejrzał już wcześniej, i nie chcąc przyznać się

przed samym sobą, iż sama myśl o śnie budzi w nim niepokój. Nigdy dotąd nie zdarzało mu się chodzić we śnie i w żaden sposób nie mógł zagwarantować, iż był to jednorazowy atak lunatyzmu… przynajmniej, póki się nie powtórzy.

Usłyszał, jak Rachel wstaje z łóżka i woła cicho:

– Lou? Kochanie? Idziesz?

– Właśnie szedłem – odparł, gasząc lampę nad biurkiem.

Tej nocy wyciszenie pracującego na pełnych obrotach silnika trwało znacznie dłużej niż siedem minut. Kiedy tak słuchał długich, miarowych oddechów śpiącej głęboko Rachel, zjawa Victora Pascowa wydawała mu się mniej nierzeczywista. Bał się, że zamknie oczy i ujrzy otwierające się drzwi, w których stanie on, nasz dzisiejszy gość, Victor Pascow w szortach do joggingu, blady pod powłoczką opalenizny, z rozdartą skórą, spod której sterczy złamany obojczyk. Powoli osuwał się w sen, myśląc o tym, jak by to było obudzić się nagle na Cmętarzu Zwieżąt, ujrzeć skąpane w promieniach księżyca koncentryczne kręgi, a potem wędrować ścieżką przez las z powrotem do domu, i myśl ta sprawiała, że bliski już sen umykał.

Dopiero po północy sen zaszedł go od tyłu i ogłuszył. Tej nocy nie śnił o niczym. Obudził się dokładnie o siódmej trzydzieści i usłyszał zimny jesienny deszcz bębniący o szyby. Z lekką obawą odrzucił kołdrę. Prześcieradło było w idealnym stanie. Co prawda żaden

purysta nie określiłby tak jego stóp ze zniekształconymi paluchami i licznymi nagniotkami, ale przynajmniej były czyste.

Louis odkrył, że gwiżdże pod prysznicem.

19

Nim Rachel zawiozła Winstona Churchilla do weterynarza, zostawiła Gage’a pod opieką Missy Dandridge. Tej nocy Ellie nie spała do jedenastej, uskarżając się płaczliwie, że nie potrafi zasnąć bez Churcha, i domagając się przyniesienia kolejnych szklanek wody. Wreszcie Louis odmówił, twierdząc, iż po takiej ilości picia z pewnością zmoczy łóżko. Spowodowało to atak furii tak gwałtowny, iż Rachel i Louis spojrzeli po sobie ponuro, unosząc brwi.

– Boi się o Churcha – powiedziała Rachel. – Niech sama się uspokoi, Lou.

– Długo nie zdoła tak wrzeszczeć – odparł Louis. – Przynajmniej mam taką nadzieję.

Nie mylił się. Wkrótce ochrypłe, wściekłe krzyki Ellie zamieniły się w jęki, szlochy i czkawkę. W końcu nastała cisza. Gdy Louis poszedł sprawdzić, co z córką, zastał ją śpiącą na podłodze i trzymającą w ramionach kocie łóżeczko; Church zazwyczaj nie zniżał się do tego, by w nim zasnąć.

Louis odebrał jej pudełko, położył do łóżka, łagodnie odgarnął włosy ze zlanego potem czoła i ucałował. Kierując się nagłym impulsem, poszedł do małego pokoju służącego Rachel za gabinet, na kartce papieru wypisał drukowanymi literami: JUTRO WRÓCĘ. CAŁUJĘ

CHURCH i przypiął notatkę do poduszki w kocim łóżeczku. Następnie wrócił do sypialni, szukając Rachel. Była tam. Kochali się i zasnęli objęci.

Church wrócił do domu w piątek pierwszego prawdziwego tygodnia pracy Louisa. Ellie bardzo przejęła się jego powrotem. Wydała część tygodniówki na pudełko kocich ciasteczek i omal nie uderzyła Gage'a, kiedy ten próbował go dotknąć. Gage rozpłakał się rozpaczliwie; zwykłe upomnienie rodziców nigdy nie wywołało u niego aż takiego żalu. Fakt, że skarciła go Ellie, był dla niego równie wstrząsający, jak gdyby skarcił go sam Bóg.

Widok Churcha zasmucił Louisa. Wiedział, że to śmieszne, ale nie potrafił pozbyć się uczucia smutku. W kocie nie pozostał nawet ślad dawnej zadziorności Winniego Churcha. Nie stąpał już jak dumny rewolwerowiec, lecz powoli, ostrożnie, niczym rekonwalescent. Pozwalał karmić się Ellie z ręki. Nie zdradzał żadnej ochoty wyjścia na dwór, nawet do garażu. Zmienił się. Może i na dobre, ale zmienił się.

Rachel i Ellie zdawały się tego nie dostrzegać.

20

Babie lato przeszło i minęło. Drzewa na krótko zapłonęły jaskrawymi barwami, po czym przygasły, a pewnego dnia po zimnym, zacinającym deszczu w połowie października zaczęły opadać liście. Ellie zjawiała się w domu obładowana zrobionymi w szkole dekoracjami na Halloween i zabawiała Gage'a opowieściami o jeźdźcu bez głowy. Tego wieczoru Gage paplał radośnie o kimś nazwiskiem Juchabod Krem. Rachel, słysząc to, zaczęła chichotać i nie mogła przestać. Ta wczesna jesień to był dla nich dobry okres.

Praca Louisa na uniwersytecie powoli przekształcała się w wyczerpującą, acz przyjemną rutynę. Badał pacjentów, uczestniczył w spotkaniach rady college'ów, pisał nieuniknione listy do gazetki studenckiej, zapewniając studencką brać o poufności leczenia chorób wenerycznych i konieczności zaszczepienia się przeciw grypie, jako że tej zimy miał znów pojawić się wirus A. Uczestniczył w dyskusjach panelowych i prowadził je. W drugim tygodniu października udał się na nowoangielską konferencję na temat medycyny uniwersyteckiej w Providence i przedstawił tam referat na temat prawnych skutków leczenia studentów. W referacie wspominał o Victorze Pascowie pod fikcyjnym nazwiskiem Henry Montez. Przyjęto go bardzo dobrze. Powoli zaczynał

pracę nad zwiększeniem przyszłorocznego budżetu ambulatorium.

Wieczory także przekształcały się w rutynę. Po kolacji dzieci, potem piwo czy dwa z Judem Crandallem. Czasami, jeśli Missy mogła posiedzieć godzinkę z dzieciakami, towarzyszyła mu Rachel, a niekiedy dołączała do nich Norma. Najczęściej jednak na werandzie siadywali wyłącznie Louis i Jud. Louis czuł się w towarzystwie starca dobrze i bezpiecznie, wysłuchiwał opowieści o historii Ludlow, sięgającej trzystu lat w przeszłość. Jud opowiadał, zupełnie jakby przeżył to sam, i nigdy nie ględził. Nigdy też nie nudził Louisa, choć Rachel od czasu do czasu ziewała skrycie.

Zazwyczaj koło dziesiątej przechodził przez drogę do własnego domu i na ogół kochali się z Rachel. Od czasu pierwszego roku małżeństwa nigdy nie kochali się tak regularnie i nie zaznawali tak wiele rozkoszy. Rachel twierdziła, że to coś w wodzie ze studni artezyjskiej. Louis głosował za powietrzem stanu Maine.

Straszna śmierć Victora Pascowa pierwszego dnia jesiennego semestru zaczęła zacierać się w pamięci, zarówno studentów, jak i samego Louisa, choć rodzina Pascowów z pewnością wciąż opłakiwała syna. Louis rozmawiał przez telefon z zapłakanym, na szczęście pozbawionym twarzy, ojcem Pascowa. Pragnął on jedynie upewnić się, iż Louis uczynił, co tylko możliwe, a lekarz zapewnił go, że zrobili to wszyscy pracownicy. Nie napomknął o zamieszaniu, o rosnącej plamie na

wykładzinie i o tym, że Victor zmarł niemal natychmiast po przyniesieniu do ambulatorium, choć to na zawsze odcisnęło się w jego wspomnieniach. Ci jednak, dla których Pascow był tylko kolejną ofiarą, powoli o nim zapominali.

Wciąż pamiętał też sen i incydent z lunatyzmem. Teraz jednak odnosił wrażenie, jakby spotkało to kogoś innego albo zobaczył to przypadkiem w telewizji. Podobnie rzecz miała się z jego jedyną wizytą w salonie masażu sześć lat wcześniej. Oba wydarzenia zdawały się równie mało znaczące. Ot, drobne odstępstwa od normy, pozostawiające fałszywy rezonans, niczym odgłosy w komorze ech.

Zupełnie nie myślał o tym, co powiedział – lub czego nie powiedział – umierający Pascow.

W halloweenowy wieczór nadszedł przymrozek. Louis i Ellie zaczęli obchód od domu Crandallów. Ellie chichotała udatnie, jeżdżąc na miotle po kuchni Normy i została natychmiast uznana za „najsłodszą dziewczynkę, jaką kiedykolwiek widziałam. Prawda, Jud?”.

Jud zgodził się i zapalił papierosa.

– A gdzie Gage, Louis? Podobno jego też mieliście przebrać.

Rzeczywiście planowali zabrać ze sobą Gage’a. Zwłaszcza Rachel nie mogła się tego doczekać. Wraz z Missy Dandridge skomponowała mu kostium chrząszcza z rozprostowanymi wieszakami owiniętymi bibułką, udającymi czułki. Lecz Gage przeziębił się paskudnie i

osłuchawszy jego płuca, w których nieco szemrało, i zerknąwszy na termometr za oknem, wskazujący o szóstej wieczór zaledwie pięć stopni, Louis odwołał zabawę. Rachel, choć zawiedziona, zgodziła się z mężem.

Ellie obiecała oddać Gage'owi część swoich cukierków, lecz jej przesadny smutek wydał się Louisowi sztuczny. Ojciec zastanawiał się, czy w głębi ducha dziewczynka nie cieszy się, że Gage nie pójdzie z nimi, by opóźniać jej zabawę… i odebrać część zainteresowania.

– Biedny Gage – powiedziała tonem, zazwyczaj zarezerwowanym dla ludzi cierpiących na śmiertelne choroby. Gage, nieświadom tego, co traci, siedział na kanapie i oglądał telewizję. Church drzemał obok niego.

– Ellie, czary – powiedział bez specjalnego zainteresowania i powrócił do ekranu.

– Biedny Gage – powtórzyła Ellie, wzdychając przesadnie. Louis pomyślał o krokodylich łzach i uśmiechnął się szeroko. Córeczka chwyciła go za rękę i zaczęła ciągnąć.

– Chodźmy, tatusiu. Chodźmy-chodźmy-chodźmy!

– Gage brzydko kaszle – rzekł teraz do Juda.

– Wielka szkoda – wtrąciła Norma. – Ale w przyszłym roku więcej zrozumie z tej zabawy. Daj torbę, Ellie… Oho!

Wzięła ze stojącego na stole półmiska jabłko i snickersa, ale oba przysmaki wymknęły się jej z ręki. Louisem wstrząsnęło to, jak bardzo jej dłoń przypominała

szpon. Schylił się i podniósł turlające się po podłodze jabłko. Jud znalazł snickersa i wrzucił do torebki Ellie.

– Dam ci inne jabłko, słonko – powiedziała Norma. – To się obiło.

– Jest w porządku. – Louis próbował wrzucić je do torebki Ellie, lecz dziewczynka cofnęła się, ochronnym ruchem zamykając woreczek.

– Nie chcę obitego jabłka, tatusiu – oznajmiła, patrząc na ojca, jakby kompletnie oszalał. – Brązowe kropki. Fuj!

– Ellie, to okropnie niegrzeczne!

– Nie miej do niej pretensji, że mówi prawdę, Louis – wtrąciła Norma. – Wiesz chyba, że tylko dzieci mówią całą prawdę. Dlatego właśnie są dziećmi. Brązowe kropki to rzeczywiście paskudztwo.

– Dziękuję, pani Crandall. – Ellie spojrzała triumfalnie na ojca.

– Bardzo proszę, słonko.

Jud odprowadził ich na werandę. Ścieżką zbliżały się dwa małe duchy. Ellie rozpoznała w nich przyjaciół ze szkoły i zaprowadziła z powrotem do kuchni. Przez moment Jud i Louis zostali sami.

– Jej artretyzm się pogarsza – zauważył Louis.

Jud przytaknął i pstryknięciem zgasił papierosa nad popielniczką.

– Tak. Każdej jesieni i zimy jest coraz gorzej. Ale tak źle jeszcze nigdy nie było.

– Co mówi lekarz?

– Nic. Nic nie mówi, bo Norma przestała go

odwiedzać.

– Co takiego? Czemu?

Jud spojrzał na Louisa. W świetle reflektorów furgonetki czekającej na duchy wyglądał dziwnie bezbronnie.

– Chciałem cię poprosić w bardziej sprzyjającej chwili, Louis, ale obawiam się, że nie ma dobrej chwili na to, by narzucać się przyjacielowi. Czy zechciałbyś ją zbadać?

Z kuchni dobiegały pohukiwania duchów i wiedźmowaty chichot Ellie, który ćwiczyła cały tydzień. Wszystko to brzmiało uroczo i świątecznie.

– Co jeszcze dzieje się z Normą? – spytał. – Czy ona czegoś się boi, Jud?

– Miewa bóle w piersi – odparł cicho Jud. – Nie chce już odwiedzać doktora Weybridge'a. Trochę się martwię.

– Czy Norma się martwi?

Jud zawahał się. Wreszcie rzekł:

– Mam wrażenie, że się boi. Chyba dlatego nie chce widzieć lekarza. W zeszłym tygodniu jedna z jej najstarszych przyjaciółek, Betty Coslow, umarła w EMMC. Rak. Były z Normą w jednym wieku. Norma się boi.

– Chętnie ją zbadam – zapewnił go Louis. – To nie problem.

– Dzięki, Louis – odrzekł Jud z wdzięcznością. – Jeśli zdybiemy ją któregoś wieczoru i zaatakujemy obaj…

Jud urwał i zaczął nasłuchiwać, przechylając głowę.

Ich oczy się spotkały.

Później Louis nie pamiętał, kiedy dokładnie jedno uczucie przekształciło się w inne. Kiedy próbował analizować sytuację, tylko kręciło mu się w głowie. Zapamiętał, iż ciekawość zastąpiło przeczucie, że coś gdzieś jest poważnie nie tak. Ich oczy się spotkały. Przez moment obaj patrzyli na siebie bezradnie. Nie miał pojęcia, co robić.

– Buuuuuuu-huuuuuu – zawodziły w kuchni halloweenowe duszki. – Hooooo-hooooo. – I nagle „h" zniknęło, a ich głosy uniosły się w przeraźliwym ***oooooo-OOOOOO***! Potem jeden z duchów zaczął wrzeszczeć.

– Tatusiu! – W głosie Ellie pobrzmiewało napięcie i przerażenie. – Tatusiu, pani Crandall upadła!

– O Jezu! – niemal jęknął Jud.

Ellie wypadła na werandę. Jej czarna sukienka powiewała. W dłoni ściskała miotłę. Zielona, wykrzywiona ze zgrozy twarz dziewczynki wyglądała jak oblicze karłowatego alkoholika w ostatnim stadium zatrucia. Tuż za nią biegły zapłakane duchy.

Jud śmignął do środka, zdumiewająco energicznie, jak na człowieka po osiemdziesiątce. Nie, bardziej niż energicznie. Zręcznie jak młodzieniaszek. Raz po raz wykrzykiwał imię żony.

Louis schylił się i położył dłonie na ramionach Ellie.

– Zostań tu na werandzie. Zrozumiałaś?

– Tatusiu, boję się – szepnęła.

Dwa duchy minęły ich w pędzie i oddaliły się ścieżką,

powiewając torebkami na cukierki i wykrzykując nazwisko matki.

Ignorując Ellie, która krzyczała, by wrócił, Louis pobiegł korytarzem do kuchni.

Norma leżała obok stołu na nierównym linoleum, zasłanym jabłkami i małymi batonikami Snickers. Najwyraźniej, padając, potrąciła ręką półmisek, który się wywrócił. Leżał teraz obok, niczym mały, żaroodporny latający talerz. Jud rozcierał jej przegub. Uniósł głowę i z napięciem spojrzał na Louisa.

– Pomóż mi, Louis – powiedział. – Pomóż Normie. Ona chyba umiera.

– Odsuń się! – polecił Louis. Ukląkł i jego kolano natrafiło na jabłko, miażdżąc je. Poczuł, jak zimny sok przesiąka przez kolano starych sztruksów. W powietrzu rozszedł się kwaśny zapach.

Powtórka z Pascowa, pomyślał Louis i natychmiast odepchnął tę myśl. Zniknęła tak szybko, jak się pojawiła.

Poszukał pulsu i wyczuł coś słabego, rwącego się i szybkiego – nie uderzenia, raczej spazmy. Daleko posunięta arytmia, grożąca zatrzymaniem akcji serca. Zupełnie jak Elvis Presley, Normo, pomyślał. Rozpiął jej sukienkę, odsłaniając kremową jedwabną halkę. Całkowicie porwany wyuczoną rutyną, poruszając się własnym rytmem, odchylił jej głowę i rozpoczął masaż serca.

– Jud, posłuchaj – rzekł. Krawędź lewej dłoni w jednej trzeciej mostka, cztery centymetry nad wyrostkiem

mieczykowatym. Prawa dłoń ściska lewy przegub, zwiększając nacisk. Mocno, ale ostrożnie, by nie uszkodzić starych żeber. Nie ma powodów do paniki. I na miłość boską, nie można zgnieść starych płuc.

– Słucham – odparł Jud.

– Zabierz Ellie – rzekł. – Przejdźcie przez drogę; ostrożnie, nie wpadnijcie pod samochód. Powiedz Rachel, co się stało. Powiedz, że potrzebna mi torba. Nie z gabinetu, lecz ta z najwyższej półki w sypialni. Będzie wiedziała, o którą chodzi. Każ jej zadzwonić na pogotowie w Bangor i wezwać karetkę.

– Bucksport jest bliżej – wtrącił Jud.

– Ale z Bangor szybciej dojadą. Idź, nie dzwoń sam. Niech Rachel to zrobi. Potrzebuję tej torby. – Ale kiedy dowie się, co się dzieje, pomyślał Louis, raczej jej tu nie przyniesie.

Jud odszedł. Louis usłyszał trzaśnięcie siatkowych drzwi. Został sam z Normą Crandall i zapachem jabłek. Z salonu dobiegało miarowe tykanie zegara.

Nagle Norma westchnęła chrapliwie. Jej powieki zatrzepotały i Louis poczuł gwałtowną, lodowatą pewność.

Zaraz otworzy oczy… O, Chryste. Zaraz otworzy oczy i zacznie mówić o Cmętarzu Zwieżąt.

Ona jednak tylko spojrzała na Louisa niemal bezrozumnym wzrokiem, po czym jej powieki znów opadły. Louis zawstydził się samego siebie, swego niemądrego strachu. Jednocześnie poczuł nadzieję i ulgę.

W jej oczach dostrzegł ból, lecz nie śmiertelne cierpienie. Wyglądało na to, że atak nie był poważny.

Louis dyszał, zlany potem. Tylko lekarze w telewizji wykonywali masaż serca bez wysiłku; podczas prawdziwego zabiegu spalało się mnóstwo kalorii. Wiedział, że jutro będą bolały go mięśnie rąk i ramion.

– Mogę jakoś pomóc?

Obejrzał się. Przez próg z wahaniem przestąpiła kobieta w spodniach i brązowym swetrze. Jedną zwiniętą w pięść dłoń przyciskała do piersi. Matka duchów, pomyślał Louis. Uznał, że jest przerażona, ale nie bezradna.

– Nie – odparł. A potem: – Tak. Proszę zmoczyć ściereczkę. Wykręcić i położyć jej na czole.

Ruszyła, by wykonać polecenie. Louis spuścił wzrok. Oczy Normy znów były otwarte.

– Louisie, upadłam – szepnęła. – Chyba zemdlałam.

– Miałaś kłopoty z sercem – odrzekł Louis. – Nie wygląda to zbyt poważnie. Teraz odpręż się i nic nie mów.

Chwilę odpoczął, po czym znów zmierzył jej puls. Serce biło stanowczo za szybko. Doktor Tucker z Akademii Medycznej Uniwersytetu w Chicago nazwał to kiedyś kodem Morse’a: serce bije regularnie, po czym na moment przyspiesza, wykonując serię uderzeń niemal przypominających migotanie i znów zaczyna bić normalnie. Puk, puk, puk. ŁUP, ŁUP, ŁUP. Puk, puk, puk, puk. Niedobry znak, ale lepszy niż arytmia.

Kobieta przyniosła ściereczkę i położyła ją na czole Normy. Cofnęła się niepewnie. W tym momencie zjawił się Jud z torbą.

– Louis?

– Nic jej nie będzie. – Louis spojrzał na Juda, w istocie jednak mówił do Normy. – Pogotowie już jedzie?

– Twoja żona właśnie do nich dzwoni. Nie czekałem.

– Tylko nie… szpital – szepnęła Norma.

– Owszem, szpital – odparł Louis. – Pięciodniowa obserwacja, leki, a potem o własnych siłach wracasz do domu jak grzeczna dziewczynka. A jeśli powiesz coś jeszcze, zmuszę cię do zjedzenia wszystkich tych jabłek, z ogryzkami.

Uśmiechnęła się słabo i znów zamknęła oczy. Louis otworzył torbę, pogrzebał w niej, znalazł isodil i wytrząsnął na dłoń jedną pastylkę, tak małą, że spokojnie mieściła się na białym czubku paznokcia. Zamknął fiolkę i chwycił pastylkę palcami.

– Normo, słyszysz mnie?

– Tak.

– Chcę, żebyś otworzyła usta. Zrobiłaś sztuczkę, teraz dostaniesz cukierka. Wsunę ci pod język pastylkę. Maleńką. Chcę, żebyś ją tam przytrzymała, póki się nie rozpuści. Będzie trochę gorzka, ale nie przejmuj się tym. W porządku?

Otwarła usta, z których zionęła woń starych protez. Przez moment Louis poczuł przejmujący żal. Leżała tak na podłodze własnej kuchni, wśród jabłek i

halloweenowych cukierków. A kiedyś była siedemnastolatką, młodzieńcy z sąsiedztwa z zainteresowaniem zerkali na jej piersi. Miała własne zęby i końskie serce pod koszulą.

Przykryła językiem pigułkę i skrzywiła się lekko. Lekarstwo rzeczywiście miało gorzki smak. Jak zawsze. Ale Norma nie była Victorem Pascowem, któremu nikt nie zdołałby pomóc. Louis uznał, iż staruszka dożyje następnego dnia. Jej dłoń uniosła się. Jud ujął ją łagodnie.

Louis wstał, znalazł odwrócony półmisek i zaczął zbierać dziecięce przysmaki. Kobieta, która przedstawiła się jako pani Storey z tej samej ulicy, pomogła mu, po czym oznajmiła, że musi wracać do wozu. Jej chłopcy bardzo się bali.

– Dziękuję za pomoc, pani Storey – powiedział Louis.

– Nic nie zrobiłam – odparła beznamiętnie. – Ale dziś wieczór uklęknę i podziękuję za to, że był pan tutaj, doktorze Creed.

Zakłopotany Louis machnął ręką.

– To dotyczy też mnie – wtrącił Jud. Wzrokiem poszukał oczu Louisa i spojrzał w nie z powagą. Znów w pełni kontrolował sytuację. Chwila niepewności i strachu minęła. – Jestem ci coś winien, Louis.

– Daj spokój. – Louis skinął palcem w stronę wychodzącej pani Storey, która uśmiechnęła się i pomachała. Znalazł jabłko i wgryzł się w nie. Owoc był tak słodki, że jego kubeczki smakowe na moment ścierpły, ale nie było to przykre wrażenie. Dzisiaj

wygrałeś, Lou, pomyślał i zaczął z zapałem pałaszować jabłko. Był przeraźliwie głodny.

– Owszem – upierał się Jud. – Kiedy będziesz potrzebował przysługi, Louis, najpierw zgłoś się do mnie.

– W porządku – odparł Louis. – Zrobię tak.

Karetka z pogotowia w Bangor zjawiła się dwadzieścia minut później. Louis, który wyszedł na zewnątrz i patrzył, jak sanitariusze ładują do środka nosze z Normą, dostrzegł Rachel wyglądającą z okna w salonie. Pomachał do niej. W odpowiedzi uniosła rękę.

Stali obok siebie z Judem i patrzyli, jak odjeżdża karetka. Jej kogut pobłyskiwał, ale syrena milczała.

– Chyba teraz pojadę do szpitala – oznajmił Jud.

– Dziś wieczór nie pozwolą ci jej zobaczyć. Zrobią jej EKG, a potem umieszczą na oddziale intensywnej opieki. Nie wolno jej odwiedzać przez pierwszych dwanaście godzin.

– Naprawdę nic jej nie będzie, Louis? Naprawdę?

Louis wzruszył ramionami.

– Nigdy niczego nie można zagwarantować. To był atak serca. Osobiście uważam, że dojdzie do siebie. Może nawet będzie czuła się lepiej, bo dostanie leki.

– Oby. – Jud zapalił chesterfielda.

Louis uśmiechnął się i spojrzał na zegarek. Zdumiał się, odkrywszy, iż było zaledwie za dziesięć ósma. Miał wrażenie, że upłynęło mnóstwo czasu.

– Jud, pójdę po Ellie, żeby mogła dokończyć obchód.

– Tak, oczywiście. – Zabrzmiało to „oczyyjiście”. –

Powiedz jej, by zebrała jak najwięcej cukierków. Sztuczkę już chyba widziała.

– Chyba rzeczywiście – przytaknął Louis.

Kiedy Louis wrócił do domu, Ellie wciąż była w kostiumie czarownicy. Rachel próbowała przekonać ją, by przebrała się w nocną koszulkę, lecz córka odmówiła, kurczowo trzymając się nadziei, że zabawa przerwana z powodu ataku serca może zostanie podjęta na nowo. Gdy Louis polecił jej nałożyć płaszcz, zakrzyknęła radośnie.

– Bardzo późno się położy, Louis.

– Weźmiemy samochód – odparł. – Daj spokój, Rachel. Od miesiąca czekała na ten dzień.

– No, cóż…. – Uśmiechnęła się. Ellie dostrzegła ów uśmiech i ponownie krzyknęła, biegnąc do szafy. – Czy z Normą wszystko w porządku?

– Chyba tak. – Czuł się dobrze. Był zmęczony, lecz czuł się dobrze. – Atak nie był poważny. Będzie musiała zachować ostrożność, ale kiedy ma się siedemdziesiąt pięć lat, człowiek i tak wie, że nie może już uprawiać sportów wyczynowych.

– Całe szczęście, że tam byłeś. To niemal jak zrządzenie losu.

– Szczęście mi wystarczy. – Uśmiechnął się na widok Ellie. – Gotowa, Babo-Jago?

– Jestem gotowa – odparła. – Chodźmy, chodźmy, chodźmy!

Kiedy w godzinę później wracali do domu z na wpół wypełnioną torebką (Ellie protestowała, gdy Louis

oznajmił, że kończą, ale niezbyt energicznie. Była zmęczona.) córka zdumiała go, mówiąc:

– Tatusiu, czy pani Crandall dostała ataku przeze mnie, bo nie chciałam wziąć obitego jabłka?

Louis spojrzał na nią zaskoczony. Zastanawiał się, skąd dzieci biorą równie osobliwe, niemal przesądne pomysły. Stąpnij na szczelinę, zabijesz rodzinę. Kocha-nie kocha. Taty brzuch i taty głowa, uśmiech w nocy, śmierć gotowa. To sprawiło, że znów pomyślał o Cmętarzu Zwieżąt i nagrobkach tworzących kręgi. Chciał uśmiechnąć się na tę myśl, lecz nie potrafił.

– Nie, złotko – odparł. – Kiedy tam byłaś z dwoma duchami…

– To nie duchy, tylko bliźniacy Buddinger.

– Właśnie. Kiedy tam z nimi byłaś, pan Crandall mówił mi, że żona czuła ostatnio bóle w piersiach. W istocie możliwe, że ją uratowałaś, a przynajmniej znacznie przyśpieszyłaś nadejście pomocy.

Teraz to Ellie spojrzała na niego ze zdumieniem.

Louis przytaknął.

– Potrzebowała lekarza, złotko. Ja jestem lekarzem, ale byłem tam tylko dlatego, że zabrałem cię na halloweenowy obchód.

Ellie zastanawiała się długą chwilę. W końcu skinęła głową.

– Ale ona pewnie i tak umrze – rzekła, jakby stwierdzała coś oczywistego. – Ludzie, którzy przeszli atak serca, zwykle umierają. Nawet jeśli przeżyją, szybko

dopada ich następny, jeszcze następny, aż w końcu… bum!

– A gdzie poznałaś te słowa mądrości, jeśli mogę spytać?

Ellie jedynie wzruszyła ramionami. Louis z rozbawieniem dostrzegł, jak bardzo przypomina go w tej chwili.

Pozwoliła mu nieść swoją torebkę – stanowiło to oznakę niezwykłego zaufania – i Louis, maszerując naprzód, zastanawiał się nad jej zachowaniem. Myśl o śmierci Churcha wywołała niemal histerię. Lecz myśl o śmierci poczciwej Normy Crandall… tę Ellie przyjęła spokojnie, jako rzecz oczywistą. Co takiego powiedziała? Następny, jeszcze następny, aż w końcu… bum!

Kuchnia była pusta, lecz Louis słyszał, jak Rachel krząta się na górze. Postawił cukierki Ellie na blacie.

– Niekoniecznie tak się dzieje, Ellie. Atak Normy był bardzo słaby, a ja zdołałem natychmiast podać jej lekarstwo. Wątpię, czy jej serce zostało uszkodzone. Ona…

– Tak, wiem – zgodziła się wesoło Ellie. – Ale jest stara. I tak niedługo umrze. Pan Crandall też. Mogę zjeść cukierka, zanim pójdę spać?

– Nie – odparł, przyglądając się jej z namysłem. – Idź na górę i umyj ząbki, kochanie.

Czy ktoś tak naprawdę potrafi zrozumieć dzieci? – pomyślał.

Kiedy wszystko ucichło i oboje leżeli już w łóżku,

Rachel spytała:

– Czy Ellie bardzo ciężko to zniosła, Lou? Czy się martwiła?

Nie, pomyślał. Wie, że starzy ludzie kopią w kalendarz, tak jak wie, że kiedy pasikonik splunie, trzeba go wypuścić. Że jeśli skacząc przez skakankę, skusi się na trzynastce, nasz najlepszy przyjaciel umrze. I że groby na Cmętarzu Zwieżąt należy ustawiać w malejące kręgi.

– Nie – odparł głośno. – Świetnie się spisała. Śpijmy już, Rachel, dobrze?

Tej nocy, kiedy spali we własnym domu, podczas gdy Jud leżał bezsennie w swoim, zaatakował kolejny mocny przymrozek. Wczesnym rankiem zerwał się wiatr, zdzierając z drzew większość pozostałych jeszcze liści, które przybrały obecnie nieciekawą brązową barwę.

Wiatr ten obudził Louisa, który dźwignął się na łokciu zaspany i oszołomiony. Na schodach dźwięczały kroki… powolne, posuwiste kroki. Pascow wrócił. Tyle że minęły już dwa miesiące. Gdy drzwi się otworzą, ujrzy przegniły koszmar: szorty do joggingu pokryte pleśnią, odpadające ciało, spod którego prześwitują kości, przegniłą papkę mózgu. Jedynie oczy wciąż będą żywe… piekielnie lśniące i żywe. Tym razem Pascow nic nie powie. Jego struny głosowe są zbyt dotknięte rozkładem, by pozwolić mu wydać jakiś dźwięk. Ale jego oczy… one go wezwą.

– Nie – westchnął i kroki ucichły.

Wstał, podszedł do drzwi i otworzył je na oścież. Jego wargi wygięły się w grymasie strachu i determinacji.

Ciałem wstrząsnął dreszcz. Pascow tam będzie. Uniesie ręce niczym dawno zmarły dyrygent, wzywający orkiestrę do zaintonowania pierwszych grzmiących fraz „Nocy Walpurgii”.

Nic z tego, jak powiedziałby Jud. Podest był pusty… cichy. Za oknami szumiał wiatr. Louis wrócił do łóżka i zasnął.

21

Następnego dnia Louis zadzwonił na oddział intensywnej terapii EMMC. Stan Normy wciąż określano jako krytyczny. Była to standardowa procedura przez pierwsze dwadzieścia cztery godziny po ataku serca. Jednakże Weybridge, jej lekarz, przekazał mu bardziej optymistyczne wieści.

– Nie nazwałbym tego nawet mikrozawałem mięśnia sercowego – rzekł. – Nie ma żadnej blizny. Wiele panu zawdzięcza, doktorze Creed.

Kierując się impulsem, w połowie tygodnia Louis wpadł do szpitala z bukietem kwiatów. Dowiedział się, iż Norma została przeniesiona do separatki na dole – bardzo dobry znak. Był z nią Jud. Norma powitała kwiaty okrzykiem zachwytu i wezwała pielęgniarkę, prosząc o wazon. Następnie zaczęła dyrygować Judem, póki kwiaty nie stanęły w wodzie ułożone tak, jak sobie życzyła, na toaletce w kącie.

– Mamuśka czuje się znacznie lepiej – powiedział cierpko Jud, gdy po raz trzeci przełożył kwiaty.

– Tylko bez takich uwag, Judson – upomniała go Norma.

Jud zasalutował komicznie.

– Tak jest, pszę pani.

W końcu Norma spojrzała na Louisa.

– Chciałam ci podziękować za to, co zrobiłeś – rzekła nieśmiało. Jej nieśmiałość była bardzo szczera, i przez to podwójnie wzruszająca. – Jud twierdzi, że zawdzięczam ci życie.

– Jud przesadza – odparł zakłopotany Louis.

– Wcale nie, do cholery – wtrącił Jud. Mrużąc oczy, spojrzał na Louisa. Jego usta wykrzywiły się w prawie uśmiechu. – Czy matka nie mówiła ci, żebyś zawsze przyjmował należne podziękowania?

Nic o tym nie wspominała, a przynajmniej Louis nie pamiętał. Miał jednak wrażenie, że kiedyś powiedziała coś o fałszywej skromności, niemal równej grzechowi pychy.

– Normo – rzekł – cieszę się, że mogłem coś zrobić.

– Jesteś kochany – mruknęła. – Zabierz dokądś mojego mężczyznę i pozwól, żeby ci kupił kufel piwa. Znów jestem śpiąca, a nijak nie mogę się go pozbyć.

Jud zerwał się z miejsca.

– A niech mnie. Idę na to, Louis. Szybko, zanim zmieni zdanie.

Pierwszy śnieg spadł tydzień przed Świętem Dziękczynienia. Dwudziestego listopada przybyło kolejnych dziesięć centymetrów, lecz dzień przed świętem był pogodny, błękitny i zimny. Louis zawiózł rodzinę na międzynarodowe lotnisko w Bangor i odprowadził ich na początek pierwszego etapu podróży do Chicago, z wizytą u rodziców Rachel.

– Tak nie powinno być – powtórzyła Rachel po raz

dwudziesty, odkąd na poważnie zaczęli rozmawiać o tym miesiąc wcześniej. – Nie podoba mi się myśl, że będziesz tkwił sam w domu w Święto Dziękczynienia. To ma być święto rodzinne, Louis.

Louis przerzucił Gage'a, oszołomionego i olbrzymiego w pierwszej dorosłej parce, na drugie ramię. Ellie przywarła do jednego z wielkich okien, obserwując startujący helikopter wojskowy.

– Nie będę przecież płakał w szklankę piwa – odparł. – Jud i Norma zaprosili mnie na indyka z wszelkimi szykanami. To ja czuję się winny. Nigdy nie przepadałem za wielkimi świątecznymi zjazdami. O trzeciej po południu zaczynam pić przed telewizorem, oglądając mecz. O siódmej zasypiam. A następnego dnia mam wrażenie, jakby w mojej głowie tańczył cały zespół Dallas Cowgirls. Po prostu nie podoba mi myśl, że wysyłam cię samą z dwójką dzieci.

– Nic mi nie będzie – odparła. – Lecę pierwszą klasą. Jak księżniczka. A Gage prześpi całą drogę, od Logan do O'Hare.

– Płonne nadzieje – mruknął i oboje wybuchnęli śmiechem.

Wywołano ich lot i Ellie pobiegła do rodziców.

– To my, mamusiu. Chodź już chodź-chodź-chodź! Bo odlecą bez nas!

– Nie odlecą – uspokajała ją Rachel. W dłoni ściskała trzy różowe karty pokładowe. Na sobie miała futro, sztuczne futro głębokiej brązowej barwy.

Prawdopodobnie powinno wyglądać jak piżmoszczur, pomyślał Louis. W każdym razie ona wyglądała w nim cudownie.

Może jego uczucia odbiły się w oczach, bo przytuliła go niespodzianie, niemal miażdżąc między nimi Gage'a, który sprawiał wrażenie zaskoczonego, ale niezbyt zmartwionego.

– Louisie Creed, kocham cię – rzekła.

– Mamusiu! – wtrąciła Ellie z rosnącą niecierpliwością. – Chodź już, chodź!

– No dobrze – rzekła Rachel. – Bądź grzeczny, Louis.

– Przynajmniej będę ostrożny – odparł z szerokim uśmiechem. – Pozdrów ode mnie rodziców, Rachel.

– Ach ty! – Rachel zmarszczyła nos. Nie oszukał jej. Doskonale wiedziała, czemu Louis zrezygnował z wyjazdu. – Bardzo śmieszne.

Patrzył, jak wchodzą na pochylnię i znikają z jego oczu na cały następny tydzień. Już zaczynał za nimi tęsknić. Podszedł do okna, przy którym wcześniej stała Ellie, i z rękami w kieszeni płaszcza obserwował tragarzy zapełniających ładownię.

Prawda była prosta. Nie tylko pan, ale i pani Irwinowa Goldman z Lake Forest od pierwszego spotkania nie znosili Louisa. Owszem, pochodził z niewłaściwej części miasta, ale to dopiero początek. Co gorsza, najwyraźniej oczekiwał, że ich córka, którą przez pierwszych osiemnaście lat jej życia chowali z niemal religijnym nabożeństwem i posyłali do najlepszych i najdroższych

szkół, będzie utrzymywała go przez cały czas studiów medycznych, które niemal na pewno obleje.

Louis poradziłby sobie z ich niechęcią. W istocie, robił to całkiem udatnie. Potem jednak zdarzyło się coś, o czym Rachel nie wiedziała i nigdy nie miała się dowiedzieć… przynajmniej nie od Louisa. Irwin Goldman zaproponował, że opłaci całe studia medyczne Louisa. Ceną owego „stypendium" (jak określił to Goldman) było natychmiastowe zerwanie zaręczyn z Rachel.

Louis Creed nie był wówczas w najlepszym okresie życia do wysłuchiwania podobnie oburzających propozycji. Ale też równie melodramatyczne oferty (łapówek, nie bójmy się tego słowa) rzadko składane są ludziom w odpowiednim wieku – który wynosi około osiemdziesięciu pięciu lat. Przede wszystkim był zmęczony. Spędzał osiemnaście godzin tygodniowo na zajęciach, kolejnych dwadzieścia nad książkami, następnych piętnaście dorabiając jako kelner w pizzerii przecznicę od hotelu Whitehall. Był też niespokojny. Dziwnie jowialne zachowanie pana Goldmana tego wieczoru ostro kontrastowało z jego zwykłą lodowatą wyniosłością i kiedy Goldman zaprosił go do gabinetu na cygaro, Louis odniósł wrażenie, iż starszy mężczyzna wymienił z żoną znaczące spojrzenia. Później – znacznie później, gdy czas pozwolił mu zobaczyć te zdarzenia z pewnej perspektywy – Louis uznał, iż podobny nieokreślony lęk mogą czuć konie, gdy zwęszą pierwszy,

słaby dym pożaru prerii. Oczekiwał, że w każdej chwili Goldman oznajmi, iż wie, że Louis sypia z jego córką. Gdy zamiast tego Goldman złożył swą niewiarygodną propozycję – posunął się nawet do tego, że wyjął z kieszeni smokingu książeczkę czekową, niczym hulaka z komedii Noela Cowarda, i machnął nią przed nosem Louisowi – Louis wybuchnął. Oskarżył Goldmana o to, że próbuje zatrzymać swą córkę niczym okaz na wystawie, że nie dba o nikogo poza własną osobą i że jest nadętym, bezmyślnym draniem. Musiało minąć dużo czasu, nim przyznał przed samym sobą, że część jego ówczesnej wściekłości wzięła się z ulgi.

Wszystkim tym błyskotliwym i – bez wątpienia prawdziwym – obserwacjom dotyczącym charakteru Irwina Goldmana zabrakło jednej cechy: odrobiny dyplomacji. Duch Noela Cowarda zniknął. Jeśli w dalszej części ich rozmowy można doszukać się humoru, to zdecydowanie rynsztokowego. Goldman kazał mu wyjść i oznajmił, że jeżeli kiedykolwiek ujrzy na swym progu Louisa, zastrzeli go jak psa. Louis kazał Goldmanowi wziąć swą książeczkę czekową i wsadzić ją sobie w dupę. Goldman oznajmił, że widywał w rynsztoku włóczęgów mających lepsze perspektywy niż Louis Creed. Louis odparł, że Goldman może wetknąć sobie swoją przeklętą złotą kartę American Express oraz kartę BankAmericard tuż obok książeczki czekowej.

Wszystko to z pewnością nie stanowiło obiecującego początku w jego relacjach z teściami.

Ostatecznie Rachel jakoś ich pogodziła (po tym, jak obaj mężczyźni odwołali swoje słowa, choć w duchu żaden z nich nie zmienił zdania o drugim). Nie było więcej melodramatycznych scen, a już z pewnością napuszonych, teatralnych „od dziś nie mam już córki". Goldman nie wyrzekłby się Rachel; prędzej zniósłby jej małżeństwo z Potworem z Czarnej Laguny. Niemniej jednak oblicze nad kołnierzem fraka Irwina Goldmana w dniu, gdy Louis poślubił Rachel, niezwykle przypominało maski wyrzeźbione na egipskich sarkofagach. W prezencie ślubnym dostali od teściów sześcioosobowy komplet porcelany Spode'a i kuchenkę mikrofalową. Ani grosza w gotówce. Przez większość chudych lat studiów medycznych Louisa Rachel pracowała jako sprzedawczyni w sklepie z damską odzieżą. I aż do tego dnia wiedziała jedynie, iż między jej mężem i rodzicami panuje „napięcie"… zwłaszcza pomiędzy Louisem i ojcem.

Louis mógł polecieć do Chicago z rodziną, choć rozkład zajęć na uniwersytecie zmusiłby go do powrotu trzy dni wcześniej niż Rachel i dzieciaki. Nie stanowiłoby to jednak specjalnego problemu, w odróżnieniu od czterech dni spędzonych z Imhotepem i jego żoną Sfinksem.

Dzieci znacznie rozmiękczyły teściów, jak to zwykle z dziećmi bywa. Louis podejrzewał, że on sam mógłby zakończyć proces godzenia, gdyby tylko udał, że zapomniał ów wieczór w gabinecie Goldmana. Nieważne,

że Goldman wiedziałby, iż udaje. Ale prawda była taka (i przynajmniej miał dość odwagi, by przyznać to przed samym sobą), że wcale nie chciał się godzić. Dziesięć lat to długo, ale nie dość długo, by pozbyć się ohydnego smaku, jaki napłynął mu do ust, gdy w gabinecie Goldmana nad kieliszkami koniaku starszy mężczyzna odchylił połę swego kretyńskiego smokingu i wyjął tkwiącą w środku książeczkę czekową. Owszem, czuł ulgę, że noce – dokładnie biorąc pięć nocy – które spędzili wraz z Rachel w jego wąskim, zapadniętym łóżku, nie zostały odkryte, lecz ów zdumiewający niesmak był czymś zupełnie odrębnym. I nawet upływ lat nie zdołał go zmienić.

Mógł pojechać. Wolał jednak wysłać teściowi wnuki, córkę i wiadomość.

727 linii Delta oderwał się od stopni, skręcił… i Louis ujrzał w jednym z przednich okien Ellie, machającą do niego gorączkowo. Louis także pomachał z uśmiechem. Ktoś – Ellie bądź Rachel – podsadził do okna Gage'a. Louis pomachał. Gage odpowiedział tym samym. Może go zobaczył, może jedynie naśladował siostrę.

– Leć bezpiecznie z moją rodziną – mruknął, zasunął zamek płaszcza i wyszedł na parking. Tu wiatr zawodził i dmuchał tak mocno, że niemal zdarł mu z głowy grubą czapę. Louis przytrzymał ją ręką. Niezdarnie otworzył kluczykiem drzwi od strony kierowcy, po czym odwrócił się, słysząc dobiegający zza terminala huk silników. Odrzutowiec wystartował, kierując dziób wprost w

lodowaty błękit nieba. Jego silniki ryczały.

Czując się bardzo, bardzo samotny – to śmieszne, ale był bliski łez – Louis raz jeszcze pomachał ręką.

Tego wieczoru, przechodząc przez trasę numer 15 po paru piwach z Judem i Normą, wciąż czuł się nie w sosie. Norma wypiła kieliszek wina. Doktor Weybridge nie tylko pozwolił jej na to, ale wręcz zachęcał. Tego wieczoru przenieśli się do kuchni, jako bardziej stosownej do tej pory roku. Rozpalili ogień w niewielkim przenośnym piecyku i rozsiedli się wokół niego. Piwo było zimne, ciepło przyjemne, a Jud opowiadał o tym, jak Micmacowie przegnali Brytyjczyków lądujących w Machias dwieście lat wcześniej.

– W tamtych czasach Micmacowie byli bardzo groźni – rzekł i dodał, iż kilku prawników stanowych i federalnych, zajmujących się nieruchomościami, zapewne uważa ich za takich po dziś dzień.

Powinien to być przyjemny wieczór, lecz Louis cały czas miał świadomość, że czeka na niego pusty dom. Maszerując przez trawnik do wtóru chrzęstu zamarzniętej trawy, usłyszał dzwonek telefonu. Puścił się biegiem, otworzył drzwi frontowe, popędził przez salon (po drodze wywracając stojak z gazetami) i ślizgiem rzucił się przez kuchnię do telefonu. Jego pokryte śniegiem buty z łatwością płynęły po linoleum. Chwycił słuchawkę.

– Halo?

– Louis? – Głos Rachel, nieco odległy, lecz całkowicie normalny. – Jesteśmy. Dojechaliśmy bez

problemów.

– Świetnie – odparł i usiadł, by z nią porozmawiać, myśląc: Boże, jak bym chciał, żebyś tu była.

22

Norma i Jud przygotowali świetny obiad w Święto Dziękczynienia. Kiedy skończyli jeść, Louis wrócił do domu. Czuł się pełny po brzegi i śpiący. Poszedł na górę do sypialni. Przez chwilę napawał się ciszą, po czym zrzucił buty i położył się. Niedawno minęła trzecia. Na dworze świeciło słabe zimowe słońce.

Odrobinę się zdrzemnę – pomyślał i twardo zasnął.

Obudził go telefon w sypialni. Sięgnął po słuchawkę, próbując pozbierać myśli, zdezorientowany faktem, iż za oknami było już prawie ciemno. Słyszał wiatr zawodzący wokół narożników domu i słaby, zmysłowy pomruk pieca.

– Halo? – rzucił. To pewnie Rachel dzwoni z Chicago, żeby życzyć mu szczęśliwego Święta Dziękczynienia. Potem odda telefon córce i Ellie z nim pomówi, po czym da mu Gage’a, który zacznie paplać. Jakim cudem udało mu się przespać całe popołudnie, skoro zamierzał obejrzeć mecz?

Ale to nie była Rachel, tylko Jud.

– Louis? Obawiam się, że możemy mieć drobny problem.

Louis usiadł na łóżku, wciąż próbując otrząsnąć się ze snu.

– Jud? Jaki problem?

– No cóż, na naszym trawniku leży martwy kot – oznajmił tamten. – Mam wrażenie, że należy do twojej córki.

– Church? – spytał Louis, czując nagły uścisk w żołądku. – Jesteś pewien, Jud?

– Nie, nie jestem w stu procentach pewien, ale wygląda zupełnie jak on.

– Ach tak. Cholera. Zaraz przyjdę.

– W porządku, Louis.

Odwiesił słuchawkę i przez minutę siedział bez ruchu. Potem skorzystał z łazienki, włożył buty i zszedł na dół.

Może to jednak nie Church. Sam Jud mówił, że nie ma stuprocentowej pewności. Chryste, ten kot nie chadza nawet na górę, jeśli ktoś go nie zaniesie. Czemu miałby przebiegać przez drogę?

W głębi serca jednak był przekonany, że to Church. A jeśli Rachel zadzwoni wieczorem, a niemal na pewno to zrobi…

Co on powie Ellie?

Nagle usłyszał własne słowa wypowiedziane do Rachel: ***Wiem, że z żywymi istotami może stać się wszystko – dosłownie wszystko. Wiem to jako lekarz. Czy chcesz osobiście wyjaśnić jej, co się stało, jeśli jej kot zostanie przejechany na drodze?*** W istocie jednak nie wierzył, że coś takiego spotka Churcha, prawda?

Nagle przypomniało mu się, jak kiedyś jeden z facetów, z którym grywał w pokera, Wickes Sullivan, spytał go, jak to możliwe, że podnieca go jego żona, a nie

nagie kobiety, które ogląda co dzień w pracy? Louis próbował mu wyjaśnić, że nie jest to wcale tak, jak ludzie wyobrażają sobie w swoich fantazjach. Kobieta przychodząca, aby zrobić wymaz lub nauczyć się badać piersi, nie zrzuca nagle szat i nie staje przed nim niczym Wenus na muszli. Widzi się jedną pierś, pochwę, udo. Reszta jest osłonięta i zawsze towarzyszy im pielęgniarka, bardziej po to, by chronić reputację lekarza niż z prawdziwej potrzeby. Wicky nie chciał uwierzyć. Cycek to cycek, brzmiała jego teza, a cipa to cipa. Facetowi albo staje cały czas, albo w ogóle. Louis potrafił jedynie odpowiedzieć, że cycek żony jest inny.

Tak jak rodzina powinna być inna, pomyślał teraz. Church nie powinien zginąć, bo znajdował się wewnątrz magicznego kręgu rodziny. Nie potrafił wówczas wytłumaczyć Wicky'emu prostego faktu: lekarze dzielą swe życie równie ostro i nieodwołalnie jak zwykli ludzie. Cycek nie był cyckiem, chyba że należał do żony. Cycek innej kobiety w gabinecie to jedynie kolejny przypadek. Człowiek mógł stać przed całym kolegium medycznym i recytować dane dotyczące białaczki u dzieci, póki nie zaschnie mu w gardle, a mimo to nie uwierzyć, gdy jedno z jego dzieci dostawało wezwanie z Drugiej Strony. Moje dziecko? Kot mojego dziecka? Doktorze, pan żartuje.

Nieważne. Nie zastanawiaj się. Działaj.

Przyszło mu to jednak trudno, bo przypomniał sobie histeryczną reakcję Ellie na perspektywę nawet odległej śmierci Churcha.

Cholerny, pieprzony kot! Czemu w ogóle musieliśmy sobie kupić pieprzonego kota?

Ale przecież już się nie pieprzył. Dzięki temu miał pożyć dłużej.

– Church! – zawołał. Lecz odpowiedział mu jedynie pomruk pieca spalającego kolejne dolary. Kanapa w salonie, na której Church spędzał obecnie większość czasu, była pusta. Kot nie leżał także na żadnym z kaloryferów. Louis zagrzechotał jego miską. Była to jedyna rzecz, która sprowadziłaby Churcha i to biegiem, jeśliby tylko znajdował się w zasięgu głosu. Lecz tym razem nie zjawił się żaden kot – i Louis obawiał się, że już się nie zjawi.

Niechętnie nałożył płaszcz i czapkę i ruszył do drzwi. Nagle cofnął się. Ustępując pod presją przeczucia, otworzył szafkę pod zlewem i przykucnął. Tkwiły tam dwa rodzaje plastikowych worków – małe, białe, pasujące do koszy na śmieci i wielkie, zielone, ogrodowe. Louis wziął jeden z tych drugich. Po kastracji Church sporo utył.

Wetknął worek do jednej z bocznych kieszeni kurtki. Nie podobał mu się zimny, śliski dotyk plastiku. Następnie otworzył frontowe drzwi i przekroczył drogę, zmierzając do domu Juda.

Dochodziło wpół do szóstej. Zmierzch miał już się ku końcowi. Świat wokół wyglądał dziwnie martwo. Po zachodzie słońca pozostała tylko niesamowita pomarańczowa łuna na horyzoncie po drugiej stronie

rzeki. Wiatr ze skowytem pędził trasą numer 15, chłoszcząc odrętwiałe policzki Louisa i unosząc z sobą biały pióropusz oddechu. Louis zadrżał, lecz nie z zimna. Sprawiło to poczucie samotności, osobliwe i wszechogarniające. Nie potrafił go do niczego porównać. Nie miało oblicza. Po prostu czuł się opuszczony, nietknięty i nikogo niedotykający.

Dostrzegł Juda po drugiej strony drogi, opatulonego w obszerną zieloną kurtkę. Jego twarz kryła się w cieniu rzucanym przez obramowany futrem kaptur. Stojąc na zamarzniętym chodniku, wyglądał jak rzeźba, kolejny martwy element wieczornego krajobrazu, w którym nie śpiewał żaden ptak. Louis ruszył ku niemu i wówczas Jud także się poruszył – gestem kazał mu się cofnąć. Krzyknął coś, czego Louis nie dosłyszał we wszechobecnym zawodzeniu wiatru. Cofnął się, uświadamiając sobie nagle, iż ów skowyt stał się głębszy, ostrzejszy. W sekundę później rozległo się trąbienie i ciężarówka Orinco przemknęła z rykiem dość blisko, by jego spodnie i kurtka załopotały. Niech to diabli, prawie pod nią wszedł.

Tym razem przed przejściem rozejrzał się uważnie. Dostrzegł jednak tylko tylne światła cysterny, stopniowo gasnące w mroku.

– Myślałem, że ta ciężarówka ’Rinco cię załatwi – rzekł Jud. – Uważaj, Louis. – Nawet z tak bliska Louis nie widział jego twarzy; wciąż dręczyło go nieprzyjemne uczucie, że to mógł być każdy… absolutnie każdy.

– Gdzie Norma? – spytał, nadal nie patrząc na kopczyk futra obok stopy Juda.

– Poszła na mszę z okazji Święta Dziękczynienia – odparł tamten. – Pewnie zostanie tam do kolacji, choć wątpię, by coś zjadła. – Gwałtowny powiew wiatru na moment odrzucił kaptur i Louis przekonał się, że to istotnie Jud; zresztą kto inny mógł tam być. – Zwykle to pretekst do urządzenia babskich pogaduch – ciągnął Jud. – Niewiele jedzą, po obfitym posiłku w południe zmieszczą im się tylko kanapki. Wróci koło ósmej.

Louis ukląkł, aby obejrzeć kota. Boże, proszę niech to nie będzie Church, błagał w duchu, obracając go delikatnie ręką w rękawiczce. Niech to będzie cudzy kot. Niech się okaże, że Jud się pomylił.

Lecz oczywiście to był Church. Kot nie miał żadnych zewnętrznych obrażeń czy uszkodzeń, które wskazywałyby na to, że został przejechany przez jedną z wielkich cystern bądź ciężarówek krążących trasą numer 15 (co właściwie robiła na drodze ciężarówka Orinco w Święto Dziękczynienia? – pomyślał przelotnie). Oczy Churcha były półotwarte, zaszklone niczym zielone kulki do gry. Z pyszczka, także otwartego, wypłynął wąski strumyczek krwi. Nie było jej wiele, zaledwie dość, by zaplamić biały krawat na piersi.

– Twój, Louis?

– Mój – potwierdził i westchnął.

Po raz pierwszy zrozumiał, że kochał Churcha – może nie tak bardzo jak Ellie, lecz na swój własny roztargniony

sposób. W tygodniach po kastracji Church zmienił się. Utył, stał się wolniejszy i podporządkował się całkowicie rutynie krążenia między łóżkiem Ellie, kanapą i miską. Bardzo rzadko wychodził z domu. Teraz, po śmierci, wyglądał jak dawny Church. Pyszczek, maleńki i zakrwawiony, pełen ostrych jak szpilki kocich zębów zastygł w wyzywającym grymasie. Martwe oczy zdawały się wściekłe. Zupełnie jakby po krótkim, otępiającym epizodzie pokastracyjnym Church odkrył w śmierci na nowo swą prawdziwą naturę.

– Tak, to Church – rzekł. – Niech mnie diabli, jeśli wiem, jak powiedzieć o tym Ellie.

Nagle wpadł mu do głowy pomysł. Pogrzebie Churcha na Cmętarzu Zwieżąt bez żadnego nagrobka ani znaku. Dziś wieczór w rozmowie z Ellie nie wspomni nawet o kocie. Jutro rzuci mimochodem, że ostatnio nie widział Churcha. Następnego dnia zasugeruje, że może Church powędrował gdzieś i zniknął. Koty czasami tak robią. Ellie oczywiście się zmartwi, ale w całym zdarzeniu nie będzie nic ostatecznego. Nie dojdzie do powtórki sceny z Rachel, odmawiającą przeciwstawienia się śmierci. Wszystko odejdzie w niepamięć…

Tchórz, orzekł głos w jego umyśle.

Owszem, nie zaprzeczam. Ale komu potrzebne zamieszanie?

– Bardzo kocha tego kota, prawda? – spytał Jud.

– Tak – odparł z roztargnieniem Louis. Łagodnie poruszył łebkiem Churcha. Kot zaczynał już sztywnieć,

lecz głowa poruszyła się znacznie łatwiej, niż powinna. Skręcony kark. No tak. Dysponując tą informacją, uznał, że potrafi odtworzyć to, co się stało. Church przechodził przez drogę – Bóg jeden wie po co – i samochód bądź ciężarówka uderzyła w niego, łamiąc mu kark i odrzucając na bok na trawnik Juda Crandalla. Albo może kręgosłup kota pękł w chwili, gdy ciało uderzyło o zamarzniętą ziemię. Nieważne. Tak czy inaczej, efekt był ten sam – Church nie żył.

Uniósł wzrok i zerknął na Juda. Już miał powiedzieć, do jakich doszedł wniosków, dostrzegł jednak, że Jud spogląda w dal, ku gasnącej pomarańczowej linii światła na horyzoncie. Kaptur starca osunął się z głowy. Jego twarz wydawała się zamyślona i poważna… więcej, surowa.

Louis wyciągnął z kieszeni zielony worek na śmieci i rozwinął go, mocno zaciskając palce, by wiatr nie uniósł go z sobą. Głośny szelest folii najwyraźniej przywołał Juda do chwili obecnej.

– Chyba naprawdę go kocha – rzekł Jud. Fakt, iż użył czasu teraźniejszego, wydał się nieco niesamowity. Zresztą cała scena – gasnące światło, mróz i wiatr – sprawiała wrażenie niesamowitej, upiornej. Oto Heathcliff na ponurym wrzosowisku, pomyślał Louis, krzywiąc się na kolejny zimny powiew. Przygotuj się do wsadzenia domowego kota w foliowy worek. Hura!

Złapał ogon Churcha, otworzył worek i uniósł kota. Skrzywił się nieszczęśliwie, słysząc głośny chrzęst i

odgłos darcia, gdy ciało oderwało się od ziemi, do której zdążyło już przymarznąć. Kot sprawiał wrażenie niewiarygodnie ciężkiego, jakby śmierć spadła na niego niczym namacalny ciężar. ***Chryste, waży tyle co wiadro piasku.***

Jud przytrzymał drugą stronę worka i Louis wrzucił Churcha do środka, ciesząc się, iż nie musi już trzymać owego dziwnego, nieprzyjemnego ciężaru.

– Co z nim teraz zrobisz? – spytał starzec. Jego twarz wewnątrz kaptura sprawiała wrażenie wyrzeźbionej, lecz oczy spoglądały z mocą na Louisa.

– Chyba położę go w garażu – odparł Louis – i pogrzebię rano.

– Na Cmętarzu Zwieżąt?

Louis wzruszył ramionami.

– Pewnie tak.

– Powiesz Ellie?

– Ja... będę musiał to przemyśleć.

Jud milczał przez moment, po czym najwyraźniej podjął jakąś decyzję.

– Zaczekaj tu parę minut.

Po tych słowach odszedł, najwyraźniej nawet nie pomyślał, iż Louis może nie zechcieć czekać choćby minutę na wieczornym mrozie. Odmaszerował pewnym siebie sprężystym krokiem, zdumiewającym jak na człowieka w jego wieku, a Louis odkrył, że nie ma nic do powiedzenia. Czuł się dziwnie nieswojo. Odprowadził wzrokiem Juda, z zadowoleniem stojąc na trawniku.

Słysząc trzask drzwi, uniósł twarz, wystawiając ją na powiewy wiatru. Worek na śmieci z ciałem Churcha leżał między jego nogami, szeleszcząc cicho.

Zadowolony?

Owszem, był zadowolony. Po raz pierwszy, odkąd przenieśli się do Maine, czuł, że tu jest jego miejsce, tu ma swój dom. Stojąc tak samotnie w ostatnim niesamowitym świetle umierającego dnia, w obliczu nadchodzącej zimy, czuł się nieszczęśliwy, a jednocześnie osobliwie podekscytowany i dziwnie pewny siebie – pewny na sposób, jakiego nie doświadczył od wczesnego dzieciństwa.

Coś się tu zdarzy, mój stary. Coś bardzo dziwacznego.

Odchylił głowę i ujrzał chłodne zimowe gwiazdy na czerniejącym niebie. Nie wiedział, jak długo tak stał, choć z pewnością niedługo, biorąc pod uwagę upływające sekundy czy minuty. Nagle na werandzie Juda zamigotało światło. Podskoczyło, zbliżyło się do drzwi werandy i zeszło po stopniach. To był Jud niosący wielką latarkę na cztery baterie. W drugiej dłoni trzymał coś, co Louisowi z początku wydało się wielkim krzyżakiem, a potem przekonał się, że to kilof i szpadel.

Starzec podał szpadel Louisowi, który chwycił go wolną ręką.

– Jud, co ty kombinujesz? Nie możemy pogrzebać go dziś wieczór.

– Owszem, możemy. I zrobimy to. – Twarz Juda zniknęła za oślepiającym kręgiem latarki.

– Jud, jest ciemno i późno, i zimno...

– Chodź – uciął Jud. – Załatwmy to.

Louis potrząsnął głową, próbując coś powiedzieć, lecz trudno mu było znaleźć jakieś słowa, rozsądne i logiczne. W zestawieniu z wyciem wiatru i chaotycznym migotaniem gwiazd na tle czerni wydawały się kompletnie pozbawione sensu.

– To może zaczekać do jutra. Rano będzie jaśniej...

– Czy ona kocha tego kota?

– Tak, ale...

Głos Juda dziwnie miękki:

– A czy ty ją kochasz?

– Oczywiście, że ją kocham. Jest moją cór...

– Więc chodź.

Louis poszedł.

Tej nocy podczas marszu na Cmętarz Zwieżąt, Louis dwa, może nawet trzy razy próbował zagadnąć Juda, lecz tamten nie odpowiadał. W końcu Louis zrezygnował. Wciąż wypełniała go dziwna radość i zadowolenie, dość niezwykłe, zważywszy na okoliczności. Wrażenie to zdawało się pochodzić zewsząd. Nawet ból mięśni zmuszonych do dźwigania Churcha i łopaty był jego częścią. Złowieszczy silny wiatr, kąsający osłoniętą skórę, był jego częścią, gdy tak świstał między drzewami. Kiedy zagłębili się w las, śnieg praktycznie zniknął. Pobłyskujące światełko latarki Juda także stanowiło część owego wrażenia. Latarka lśniła niczym prymitywna pochodnia, niesiona coraz dalej w głąb puszczy. Czuł

natrętną, niezaprzeczalną, magnetyczną obecność jakiejś tajemnicy, mrocznego sekretu.

Cienie umknęły. Poczuł, że znalazł się na otwartym terenie. Śnieg zalśnił blado w ciemnościach.

– Odpocznij tutaj – powiedział Jud i Louis położył na ziemi worek. Przedramieniem otarł pot. „Odpocznij tutaj?”. Ale przecież byli na miejscu. W tańczącym bezcelowo promieniu latarki Juda widział nagrobki. Starzec usiadł na cienkiej warstwie śniegu, ukrywając twarz w dłoniach.

– Jud, wszystko w porządku?

– Nic mi nie jest. Muszę tylko nieco odpocząć.

Louis usiadł obok niego i odetchnął głęboko kilka razy.

– Wiesz – zaczął – czuję się lepiej niż kiedykolwiek w ciągu ostatnich sześciu lat. Wiem, że to wariactwo. Mamy właśnie pogrzebać kota mojej córki, ale po prostu taka jest prawda. Jud, czuję się świetnie.

Jud także odetchnął głęboko.

– Tak, wiem – odparł. – Czasami to nawiedza człowieka. Sam nie wybierasz sobie chwil, w których miałbyś czuć się dobrze. To samo dotyczy momentów wręcz przeciwnych. To miejsce ma z tym wszystkim wiele wspólnego. Nie powinieneś mu jednak ufać. Heroina sprawia, że narkomani czują się dobrze, gdy wstrzykują ją sobie w żyłę, lecz cały czas zatruwa ich ciała i umysł. To miejsce może być podobne, Louis. Dobrze to zapamiętaj. Boże, mam nadzieję, że postępuję

słusznie. Chyba tak, lecz nie mam pewności. Czasami mąci mi się w głowie. To pewnie starość.

– Nie wiem, o czym mówisz.

– To miejsce ma moc, Louis. Tu jest jej niewiele, ale... tam, dokąd idziemy...

– Jud...

– Chodź. – Jud dźwignął się z miejsca. Promień latarki oświetlił wiatrołom. Starzec maszerował ku niemu. Louisowi przypomniał się nagle atak lunatyzmu. Co mówił Pascow we śnie, w którym mu towarzyszył?

Nie przekraczaj go, doktorze, nieważne, jak bardzo byś pragnął. Tej bariery nie wolno przekraczać.

Lecz tej nocy owo ostrzeżenie, czy czymkolwiek było, zdawało się bardzo odległe, jakby minęły nie miesiące, ale lata. Louis czuł się świetnie, pełen energii i życia. Gotów był stawić czoło całemu światu, a jednocześnie przepełniał go zachwyt. Nagle pomyślał, że wszystko to bardzo przypomina sen.

Wtedy Jud odwrócił się ku niemu. Jego kaptur zdawał się skrywać pustkę i przez moment Louis wyobraził sobie, że to Pascow powrócił, że Pascow stoi teraz przed nim i że światło zmieni kierunek, padając na obramowaną futrem, szczerzącą zęby, bełkoczącą czaszkę. Jego strach powrócił niczym kubeł zimnej wody.

– Jud – rzekł – nie możemy przez to przejść. Obaj połamiemy sobie nogi i pewnie zamarzniemy na śmierć, próbując wrócić do domu.

– Po prostu idź za mną – odparł starzec. – Idź za mną

i nie patrz w dół. Nie wahaj się i nie patrz w dół. Znam drogę, ale musimy działać szybko i pewnie.

Louis pomyślał, że może to rzeczywiście sen. Że jeszcze nie ocknął się z popołudniowej drzemki. Na jawie, pomyślał, w życiu nie wdrapałbym się na ten wiatrołom. Tak jak nigdy nie upiłbym się i zaczął skakać ze spadochronem. A jednak zamierzam to zrobić. Naprawdę zamierzam. Zatem... to musi być sen, prawda?

Jud odrobinę skręcił w lewo, oddalając się od środka wiatrołomu. Jasny promień latarki skupił się na nieporządnym stosie

(kości)

starych drzew i pni. W miarę jak się zbliżali, krąg światła stawał się coraz mniejszy i jeszcze jaśniejszy. Nie upewniając się nawet, czy dotarł na właściwe miejsce, Jud zaczął się wspinać. Nie wdrapywał się nachylony jak człowiek pokonujący skaliste wzgórze bądź piaszczyste zbocze. Po prostu szedł, jakby wchodził po zwykłych stopniach. Człowiek wspinający się po schodach nie patrzy w dół, bo wie, gdzie będzie każdy kolejny stopień. Jud piął się jak ktoś, kto doskonale wie, jak ma wyglądać jego następny krok.

Louis ruszył za nim, dokładnie go naśladując.

Nie patrzył w dół, nie szukał miejsc do postawienia stopy. Ogarnęło go przemożne, osobliwe przeświadczenie, że wiatrołom nie zrobi mu krzywdy, o ile sam mu na to nie pozwoli. Oczywiście była to czysta bzdura, zupełnie jak idiotyczna pewność siebie ludzi,

którzy uważają, że mogą bezpiecznie kierować po pijanemu, bo mają na szyi medalik ze świętym Krzysztofem. Ale podziałało.

Ani razu nie rozległ się ostry jak wystrzał z pistoletu trzask pękającej starej gałęzi. Jego noga nie zapadła się w dziurę pełną sterczących, pobielałych ze starości drzazg, gotowych ciąć, rozkrwawiać i rozdzierać ciało. Buty (miękkie pantofle, raczej niezalecane do wspinaczki po wiatrołomach) nie pośliznęły się na starym, suchym mchu, porastającym wiele zwalonych drzew. Nie zachwiał się w przód ani w tył. Wśród jodeł wokół nich zawodził dziko wiatr.

Przez sekundę dojrzał Juda stojącego na szczycie wiatrołomu, a później starzec rozpoczął wędrówkę w dół. Jego łydki zniknęły, potem uda, biodra, pas. Światło odbijało się chaotycznie od rozkołysanych gałęzi drzew po drugiej stronie... bariery. Bo tym przecież była, nie ma sensu udawać. Barierą.

Louis także dotarł na szczyt i przystanął tam na moment. Prawą stopę oparł o stare zwalone drzewo, nachylone pod kątem trzydziestu pięciu stopni, lewą na czymś bardziej sprężystym – plątaninie starych jodłowych gałęzi? Nie patrzył w dół, by się przekonać. Przerzucił tylko ciężki worek na śmieci z ciałem Churcha w środku z prawej ręki do lewej, wymieniając go na lżejszy szpadel. Uniósł twarz, wystawiając ją na powiewy wiatru, i poczuł, jak przepływa obok niego odwieczny nurt, unoszący mu włosy. Był taki zimny, tak czysty... tak

niezmienny.

Spokojnie, niemal nonszalancko, rozpoczął wędrówkę w dół. Raz gałąź, która sprawiała wrażenie grubej jak przegub rosłego mężczyzny, trzasnęła mu głośno pod stopą, lecz w ogóle się tym nie przejął – i jego nogę zatrzymała druga, grubsza gałąź dziesięć centymetrów niżej. Louis niemal się nie zachwiał. Pomyślał, że wie już, jak dowódcom kompanii podczas pierwszej wojny światowej udawało się spacerować wzdłuż okopów pod ciężkim ogniem nieprzyjaciela, pogwizdując „Tipperary". To szaleństwo, lecz sam fakt, że było szaleństwem, sprawiał, że stawało się niewiarygodnie podniecające.

Szedł na dół, patrząc wprost przed siebie na jasny krąg latarki Juda. Jud stał tam, czekając na niego. Wreszcie Louis dotarł na dół i podniecenie wystrzeliło z niego niczym płomień z dogasających węgli, podlanych nagle olejem opałowym.

– Udało nam się – krzyknął. Odłożył łopatę i klepnął Juda w ramię. Pamiętał, jak w dzieciństwie został wyzwany i musiał przekroczyć nasyp kolejowy. Pamiętał, jak wspinał się na jabłonkę, aż do najwyższego rozwidlenia, gdzie kołysał się na wietrze jak na bocianim gnieździe na statku. Od dwudziestu lat nie czuł się już tak młody i tak przejmująco żywy.

– Jud, udało nam się!

– A sądziłeś, że się nie uda? – spytał Jud.

Louis otworzył usta, by coś powiedzieć – ***Nie uda się? Mamy cholerne szczęście, że się nie pozabijaliśmy!***

– ale natychmiast je zamknął. W istocie nie kwestionował tego. Nie od chwili gdy Jud zbliżył się do wiatrołomu. Nie martwiło go też, jak wrócą.

– Chyba nie – rzekł głośno.

– Chodź, musimy dojść w pewne miejsce. To niecałe pięć kilometrów.

Szli. Ścieżka rzeczywiście ciągnęła się dalej. Miejscami zdawała się bardzo szeroka, choć ruchome światełko ujawniało niewiele. Po prostu czuło się wokół przestrzeń i to, że drzewa cofnęły się dalej. Raz czy dwa Louis uniósł głowę i ujrzał prześwitujące przez czarną plątaninę gałęzi gwiazdy; raz coś przebiegło przez ścieżkę przed nimi – światło odbiło się w zielonkawych oczach, które natychmiast zniknęły.

Innymi razy dróżka zwężała się tak mocno, że krzewy zaczynały drapać sztywnymi palcami ramiona płaszcza Louisa. Coraz częściej przerzucał z ręki do ręki worek i szpadel, lecz ból ramion nie ustępował. Louis wpadł w rytm marszu, rytm, który niemal go zahipnotyzował. Była tu moc, o tak, czuł ją. Pamiętał, że kiedyś, w czasach gdy kończył liceum, razem z dziewczyną i jeszcze jedną parą napalili się trawki i skończyło się na tym, że zaczęli pieścić się na końcu ślepej gruntowej drogi nieopodal elektrowni. Nie siedzieli tam długo; wkrótce dziewczyna Louisa oznajmiła, że chce wracać do domu albo przynajmniej w inne miejsce, bo bolą ją wszystkie zęby (to znaczy wszystkie z plombami, czyli większość). Louis cieszył się, że mogą odjechać. Powietrze wokół

elektrowni sprawiało, że czuł się zdenerwowany i zbyt pobudzony. Tu było tak samo, tyle że wrażenie było mocniejsze i nawet przyjemniejsze. To było...

Jud zatrzymał się u podnóża długiego zbocza i Louis wpadł na niego.

Starzec odwrócił się ku niemu.

– Jesteśmy już prawie na miejscu – rzekł spokojnie. – Następny kawałek trochę przypomina wiatrołom. Musisz iść prosto i bez wahania. Po prostu rób to, co ja, i nie patrz pod nogi. Czułeś, że schodzimy?

– Tak.

– To jest granica miejsca, które Micmacowie zwali Moczarami Małego Boga. Handlarze futer, którzy dotarli aż tutaj, ochrzcili je Bagnem Martwego Człowieka. Większość tych, którzy wydostali się z tych lasów, już nigdy tu nie wróciła.

– Ruchome piaski?

– Ano, mnóstwo ruchomych piasków. Całe strumienie wypływające spomiędzy złóż piaskowych pozostawionych przez lodowiec. Zawsze nazywaliśmy je krzemionką, choć zapewne mają swoją nazwę.

Jud spojrzał na niego i przez moment Louisowi wydało się, że w oczach starca dojrzał coś jasnego i niezbyt przyjemnego. Ów przebłysk był silny i naładowany niczym powietrze wokół elektrowni, tamtej, dawno minionej nocy. Louisowi to spojrzenie wydało się wyraźnie nieprzyjemne.

A potem Jud poruszył latarką i wyraz jego oczu uległ

zmianie.

– Jest tu wiele dziwnych rzeczy, Louis. Powietrze jest cięższe... bardziej naelektryzowane czy coś w tym stylu.

Louis wzdrygnął się.

– Co się stało?

– Nic takiego – odparł.

– Możesz tu zobaczyć ognie świętego Elma; marynarze nazywają je błędnymi ognikami. Przybierają zabawne kształty, jednak to nic wielkiego. Jeśli dostrzeżesz jakieś kształty i nie spodobają ci się, po prostu odwróć wzrok. Możesz usłyszeć też dźwięki przypominające głosy, ale to tylko nury na południu Wzgórza Widokowego. Dźwięk daleko się niesie. Jest dziwny.

– Nury? – spytał z powątpiewaniem Louis. – O tej porze roku?

– Ano – powtórzył Jud. Jego głos brzmiał kompletnie beznamiętnie, nic nie dawało się z niego odczytać. Przez chwilę Louis desperacko zapragnął raz jeszcze ujrzeć twarz starca. To spojrzenie...

– Jud, dokąd my idziemy? Co, do diabła, robimy na tym zadupiu?

– Powiem ci, kiedy tam dotrzemy. – Jud odwrócił się. – Uważaj na kępy trawy.

Znów ruszyli naprzód, przeskakując z jednej szerokiej kępy na następną. Louis nie szukał ich. Stopy zdawały się automatycznie znajdować bezpieczne miejsca bez żadnego wysiłku z jego strony. Pośliznął się tylko raz:

lewy but przebił się przez cienką warstewkę lodu i zanurzył w zimnej, dziwnie oślizgłej stojącej wodzie. Cofnął szybko stopę i poszedł dalej, podążając za podskakującym światełkiem latarki Juda. To tańczące światło wśród drzew przywołało wspomnienie opowieści o piratach, które lubił czytywać w dzieciństwie. Źli ludzie wyruszający, by przy świetle księżyca pogrzebać złote dublony... i oczywiście jeden z nich musiał runąć na opuszczoną do dziury skrzynię z kulą w sercu, bo piraci wierzyli – tak przynajmniej twierdzili zawsze autorzy owych barwnych opowieści – że duch martwego towarzysza pozostanie, by strzec skarbu.

Tyle że my nie przychodzimy pogrzebać skarbu, jedynie wykastrowanego kocura mojej córki.

Gdzieś w piersi wezbrał mu szaleńczy śmiech. Louis zdusił go. Nie słyszał żadnych „dźwięków przypominających głosy", nie ujrzał ani jednego ognia świętego Elma, lecz przeskoczywszy na kolejną kępę trawy, spojrzał w dół i odkrył, że jego stopy, łydki, kolana i część ud zniknęły, zanurzone w warstwie przygruntowej mgły, idealnie gładkiej, idealnie białej i całkowicie nieprzejrzystej, zupełnie jakby przedzierał się przez najlżejszy śnieg świata.

Powietrze stawało się dziwnie rozświetlone, przysiągłby też, że jest cieplejsze. Widział przed sobą Juda, który maszerował miarowym krokiem. Starzec zarzucił sobie na ramię tępy koniec kilofa. Narzędzie to podkreślało jeszcze złudzenie, że idą zakopać skarb.

Wciąż przepełniało go radosne ożywienie. Nagle pomyślał, że Rachel może próbować do niego dzwonić. Może w tym momencie w domu rozdzwonił się telefon. Cóż za zwyczajny, prozaiczny dźwięk. Może...

I znów o mało nie wpadł na Juda. Stary człowiek przystanął pośrodku ścieżki, przekrzywiając głowę. Jego wargi były ściągnięte w napiętym grymasie.

– Jud, co się...

– Ciiii!

Louis ucichł, rozglądając się niespokojnie. W tym miejscu warstwa mgły była cieńsza, wciąż jednak nie widział własnych butów. I wtedy usłyszał trzask miażdżonych krzaków i łamanych gałęzi. Coś się tam poruszało – coś dużego.

Otworzył usta, by spytać Juda, czy to łoś (niedźwiedź – przemknęło mu przez głowę), lecz natychmiast je zamknął. Dźwięk daleko się niesie, mówił wcześniej Jud.

Przekrzywił głowę na bok, odruchowo naśladując Juda, nieświadom, że w ogóle to robi, i zaczął nasłuchiwać. Z początku dźwięki wydawały się odległe, potem bardzo bliskie. Oddalały się i złowieszczo zbliżały ku nim. Na czoło Louisa wystąpił pot i zaczął ściekać po spierzchniętych policzkach. Przełożył worek ze zwłokami Churcha z jednej ręki do drugiej. Jego dłonie zwilgotniały. Zielona folia wydawała się tłusta, jakby pragnęła wyśliznąć mu się z palców. To coś wydawało się tak bliskie, że Louis oczekiwał, iż w każdej chwili dostrzeże jego postać unoszącą się na dwóch nogach,

niewiarygodne, olbrzymie kudłate cielsko, przesłaniające gwiazdy. Nie myślał już o niedźwiedziu. Teraz nie wiedział nawet, o czym dokładnie myśli.

A potem istota odeszła i zniknęła.

Louis ponownie otworzył usta, mając na końcu języka pytanie: „Co to było?”, gdy w ciemności rozległ się przenikliwy obłąkańczy śmiech, wznoszący się i opadający histerycznymi falami; głośny, przeszywający, mrożący krew w żyłach. Louisowi wydało się, iż wszystkie stawy w jego ciele zamarzły, a on sam nagle przybrał na wadze tak bardzo, że gdyby odwrócił się i zaczął uciekać, natychmiast zapadłby się w podmokły grunt.

Śmiech wzniósł się w przeraźliwym jęku i rozpadł na suche, drwiące chichoty, niczym zmurszały, pękający na kawałki kamień. Osiągnął poziom krzyku, po czym załamał się w serii gulgotów, które nim całkiem ucichły, przypominały zduszone szlochy. Gdzieś nieopodal kapała woda. Nad nimi monotonnie zawodził wiatr, niczym rzeka płynąca po niebie. Poza tym na Moczarach Małego Boga panowała cisza. Louisem wstrząsnął nagły dreszcz. Jego skórę – zwłaszcza tę na brzuchu – pokryła gęsia skórka. Zdawało się, że ciało porusza się kierowane własną wolą. W ustach kompletnie mu zaschło, nie zostało ani kropli śliny. A jednak wciąż czuł radość, obłąkańczą radość.

– Chryste Panie, co to? – szepnął chrapliwie do Juda.

Jud odwrócił się i spojrzał na niego. W słabym świetle

Louisowi wydało się, że wygląda na stuletniego starca. Dziwne, tańczące światełka w jego oczach zniknęły; twarz miał ściągniętą w wyrazie niewypowiedzianej zgrozy. Kiedy jednak odezwał się, jego głos zabrzmiał spokojnie.

– To tylko nur – rzekł. – Chodź, jesteśmy prawie na miejscu.

Ruszyli naprzód. Kępy traw zniknęły. Ziemia pod ich stopami znów stała się twarda i pewna. Przez kilka chwil Louis odniósł wrażenie, jakby znalazł się na otwartej przestrzeni, choć słaby blask powietrza przygasł i ledwie dawało się dostrzec plecy Juda, maszerującego metr przed nim. Krótka, sztywna od mrozu trawa pod stopami pękała niczym szkło, miażdżona przy każdym roku. A potem znów znaleźli się wśród drzew. Czuł balsamiczną woń jodeł i igliwie pod nogami. Od czasu do czasu sięgała ku niemu gałąź.

Louis stracił poczucie czasu i kierunku. Nie szli jednak długo, nim Jud znów przystanął i odwrócił się ku niemu.

– Są tu stopnie – oznajmił. – Czterdzieści dwa albo cztery, nie pamiętam dokładnie. Idź za mną. Kiedy wejdziemy na szczyt, będziemy na miejscu,

Znów zaczął się wspinać i ponownie Louis podążył tuż za nim.

Kamienne stopnie były szerokie, lecz dręczyła go myśl, że coraz bardziej oddala się od ziemi. Od czasu do czasu jego but z chrzęstem zagłębiał się w stosie

kamyków i odłamków skalnych.

...Dwanaście... trzynaście... czternaście...

Wiatr stał się ostrzejszy, zimniejszy, błyskawicznie pozbawił jego twarz czucia. Czy jesteśmy ponad drzewami? – zastanawiał się Louis. Uniósł wzrok i ujrzał miliard gwiazd, lodowatych iskier w ciemności. Nigdy dotąd widok rozgwieżdżonego nieba nie sprawił, by Louis poczuł się tak mały, nieważny, pozbawiony wszelkiego znaczenia. Zadał sobie stare pytanie: Czy jest tam gdzieś rozumne życie? – i miast zadumy i zachwytu myśl ta wzbudziła nagłą falę przeraźliwego chłodu, jakby zastanawiał się nad zjedzeniem garści wijących się robaków.

...dwadzieścia sześć... dwadzieścia siedem... dwadzieścia osiem...

Kto wykuł te stopnie? Indianie? Micmacowie? Czy ich szczep w ogóle używał narzędzi? Będzie musiał spytać Juda. Indianie i narzędzia skojarzyli mu się z polowaniem, a to z kolei sprawiło, że pomyślał o istocie krążącej wokół nich wśród drzew. Nagle obsunęła mu się stopa i przejechał palcami okrytej rękawiczką lewej dłoni po skale, próbując odzyskać równowagę. Kamień sprawiał wrażenie starego, spękanego i zwietrzałego. Zupełnie jak sucha, niemal przetarta skóra, pomyślał.

– Wszystko w porządku, Louis? – wymamrotał Jud.

– Jasne – odparł, choć brakowało mu tchu, a wytężone mięśnie pulsowały pod ciężarem Churcha w worku.

...czterdzieści dwa... czterdzieści trzy... czterdzieści

cztery...

– Czterdzieści pięć – oznajmił Jud. – Zapomniałem. Nie byłem tu od dwunastu lat. I nie sądziłem, że jeszcze kiedyś będę miał powód, by tu przyjść. No już... wchodź!

Chwycił rękę Louisa i pomógł mu pokonać ostatni stopień.

– Jesteśmy – oświadczył.

Louis rozejrzał się. Widział wszystko całkiem wyraźnie: światło gwiazd, choć słabe, okazało się wystarczające. Stali na zasłanej kamieniami skalnej płycie, wynurzającej się niczym czarny jęzor z cienkiej warstwy gleby. Z drugiej strony dostrzegał wierzchołki jodeł, wśród których wędrowali, aby dotrzeć do stopni. Najwyraźniej wspięli się na szczyt osobliwego niewielkiego płaskowyżu, geologicznej anomalii, która bardziej pasowałaby do Arizony czy Nowego Meksyku. Ponieważ na trawiastym szczycie płaskowyżu, wzgórza czy cokolwiek to było nie rosły żadne drzewa, promienie słońca stopiły tu cały śnieg. Odwracając się do Juda, Louis ujrzał suche źdźbła traw, gnące się do ziemi pod naporem zimnego wiatru wiejącego mu prosto w twarz, i odkrył, że to nie samotne wzniesienie, lecz jedno z łańcucha wzgórz – przed nimi grunt wznosił się ponownie. To wzgórze jednak było wyraźnie płaskie. Niezwykłe zjawisko wśród niskich, starych wzniesień Nowej Anglii...

Indianie i narzędzia, podpowiedział mu nagle umysł.

– Chodź – rzucił Jud i poprowadził go dwadzieścia

pięć metrów w stronę drzew. Tu w górze wiatr wiał dość silnie, choć wydawał się dobry, czysty. W mroku pod drzewami – najstarszymi, najwyższymi jodłami, jakie zdarzyło mu się oglądać – Louis dostrzegł liczne niewyraźne kształty. To wysokie samotne miejsce zdawało się przeraźliwie puste, lecz jego pustka wibrowała.

Ciemne kształty okazały się kopcami kamieni.

– Micmacowie ścięli wierzchołek wzgórza. Nikt nie wie jak, tak jak nikt nie wie, jak Majowie wznieśli swoje piramidy. Micmacowie sami zapomnieli, podobnie jak współcześni Majowie.

– Czemu? Po co to zrobili?

– To było ich cmentarzysko – wyjaśnił starzec. – Przyprowadziłem cię tu, abyś pogrzebał kota Ellie. Micmacowie nie dyskryminowali nikogo. Grzebali tu zwierzęta wraz z właścicielami.

Louisowi skojarzyło się to z Egipcjanami, którzy posunęli się o krok dalej: zabijali zwierzęta swych władców, by ich dusze mogły udać się wraz z duszą pana do krainy zmarłych. Pamiętał, że czytał kiedyś o rzezi ponad dziesięciu tysięcy zwierząt domowych pewnej córki faraona. Między nimi znalazło się sześćset świń i dwa tysiące pawi. Zanim poderżnięto im gardła, świnie zostały namaszczone olejkiem różanym, ulubionymi perfumami zmarłej.

Oni też budowali piramidy. Nikt nie wie na pewno, czemu służyły piramidy Majów – podobno pomiarowi

czasu i nawigacji jak sonar – lecz doskonale wiemy, że piramidy egipskie to ogromne pomniki śmierci, największe nagrobki świata. Tu spoczywa Ramzes II. Był posłuszny, pomyślał Louis i zachichotał piskliwie.

Jud spojrzał na niego bez cienia zdumienia.

– Idź, pogrzeb swoje zwierzę – powiedział. – Ja zapalę. Pomógłbym ci, ale musisz zrobić to sam. Każdy grzebie własnych zmarłych. Tak się wtedy robiło.

– Jud, o co w tym wszystkim chodzi? Czemu mnie tu sprowadziłeś?

– Bo ocaliłeś życie Normy – odparł Jud. I choć jego głos brzmiał szczerze – widać było, że stary człowiek wierzy we własną szczerość – Louisa ogarnęła nagle przerażająca pewność, że jego towarzysz kłamie... albo że przekazuje mu cudze kłamstwo. Przypomniał sobie ów błysk, który dostrzegł – albo wydawało mu się, że dostrzegł – w oczach Juda.

Lecz tu w górze nic nie miało znaczenia. Bardziej interesował go wiatr napierający ze wszystkich stron, rwący nurt powietrza, który unosił mu włosy z czoła i znad uszu.

Jud usiadł oparty plecami o jedno z drzew, osłonił dłonią zapałkę i zapalił chesterfielda.

– Chcesz chwilę odpocząć, nim zaczniesz?

– Nie, nic mi nie jest.

Louis mógłby wypytywać go dalej, odkrył jednak, że nie ma ochoty. Czuł, że postępuje źle, a jednocześnie słusznie, i uznał, że to wystarczy... na razie. Musiał

wiedzieć tylko jedno.

– Czy naprawdę dam radę wykopać mu grób? Warstwa ziemi jest bardzo cienka. – Louis skinął głową w stronę miejsca, gdzie z ziemi na skraju stopni wystawała skała.

Jud przytaknął wolno.

– Ano – rzekł. – Ziemia tu płytka, ale gleba dość głęboka, by mogła w niej rosnąć trawa, jest zazwyczaj dostatecznie głęboka, by wykopać grób. A ludzie urządzali tu pogrzeby od bardzo, bardzo dawna. Nie będzie to jednak łatwe.

Rzeczywiście, ziemia była twarda i kamienista. Szybko przekonał się, że jeśli chce wykopać dostatecznie głęboką dziurę, by zmieścić w niej Churcha, będzie potrzebował kilofa. Zaczął zmieniać narzędzia. Najpierw kilofem poruszał twardą ziemię i kamienie, potem szpadlem pogłębiał otwór. Wkrótce zabolały go ręce. Zaczynał ponownie się rozgrzewać. Czuł też silną, nieodpartą potrzebę wykonania dobrej roboty. Zaczął nucić pod nosem; czasami zdarzało mu się to robić, gdy opatrywał ranę. Od czasu do czasu kilof uderzał dość mocno, by wskrzesić iskry, a drewniany trzonek przenosił wibracje aż do dłoni Louisa. Czuł, że na skórze tworzą mu się pęcherze, lecz nie przejmował się tym, choć zwykle, jak większość lekarzy, bardzo dbał o swe dłonie. W górze i wokół niego wiatr zawodził, odtwarzając raz po raz tę samą trójtonową melodię.

Wkrótce dołączył do niej akompaniament: cichy

szelest i grzechot kamieni. Louis obejrzał się przez ramię i ujrzał Juda przykucniętego i wyciągającego co większe skalne odłamki z rozkopanej ziemi. Rzucał je na bok, na stos.

– To na twój kopiec – rzekł, dostrzegając spojrzenie towarzysza.

– Ach, tak. – Louis wrócił do pracy.

Dół miał około metra na sześćdziesiąt centymetrów – cholerny luksus dla zwykłego kota, pomyślał Louis – a kiedy sięgnął niecałego metra głębokości, kilof krzesał iskry niemal za każdym uderzeniem. Louis odrzucił go i szpadel i spytał Juda, czy już wystarczy.

Starzec wstał i omiótł wzrokiem dziurę.

– Mnie wydaje się w porządku – rzekł. – Zresztą liczy się twoja opinia.

– Powiesz mi teraz, o co w tym wszystkim chodzi?

Jud uśmiechnął się lekko.

– Micmacowie wierzyli, że to wzgórze jest miejscem magicznym – rzekł. – Uważali, że cały las między moczarami na północy i wschodzie kryje w sobie magię. Stworzyli to miejsce i chowali swych zmarłych z dala od wszystkiego. Inne szczepy trzymały się z daleka – ponoć Penobscotowie twierdzili, że w lasach roi się od duchów. Później podobne historie powtarzali traperzy. Przypuszczam, że któryś z nich natknął się na ogniki na Moczarach Małego Boga i wziął je za duchy.

Jud uśmiechnął się, a Louis pomyślał: Wcale tak nie uważasz.

– Później nawet Micmacowie już tu nie przychodzili. Jeden z nich twierdził, że spotkał tu Wendigo i że ziemia się zepsuła. Podjęli na ten temat wielką naradę... Tak przynajmniej słyszałem w młodości. Ale opowiadał mi to stary pijaczyna Stanny B. – tak nazywaliśmy Stanleya Boucharda – a jeśli Stanny B. czegoś nie wiedział, wymyślał to sobie.

Louis, który wiedział jedynie, iż Wendigo miał być duchem Północnej Krainy, rzekł:

– Sądzisz, że ziemia naprawdę się zepsuła?

Jud odpowiedział uśmiechem, a przynajmniej jego wargi wygięły się.

– Uważam, że to niebezpieczne miejsce – rzekł cicho – lecz nie dla psów, kotów i chomików. No dalej, pogrzeb swoje zwierzę.

Louis opuścił foliowy worek do dziury i zaczął powoli zasypywać go ziemią. Był zmarznięty i bardzo zmęczony. Bębnienie ziemi o folię przygnębiało go. I choć nie żałował, że tu przyszedł, przepełniająca go ożywcza radość znikała powoli i zaczął marzyć, by przygoda już się skończyła. Czekał ich jeszcze długi marsz do domu.

Bębnienie stawało się coraz bardziej stłumione, po czym zupełnie ucichło, zastąpione cichym łomotem ziemi uderzającej o ziemię. Ostrzem szpadla zeskrobał resztki do dziury.

Nigdy nie starczy, pomyślał, wspominając słowa, które jakieś tysiąc lat temu wypowiedział wuj kierujący

przedsiębiorstwem pogrzebowym. Nigdy nie wystarczy, by zapełnić całą dziurę – następnie odwrócił się do Juda.

– Teraz kopiec – przypomniał tamten.

– Posłuchaj, Jud, jestem dość zmęczony i...

– To kot Ellie. – Głos Juda, choć łagodny, brzmiał nieugięcie. – Życzyłaby sobie, byś zrobił to, jak należy.

Louis westchnął.

– Chyba rzeczywiście.

Zbudowanie stosu z kamieni, które po kolei podawał mu Jud, zabrało kolejnych dziesięć minut. Gdy skończyli, na grobie Churcha wznosił się niski kamienny stożek i przez zmęczenie Louisa przebiła się nuta satysfakcji. Zdawał się całkowicie na miejscu, stojąc tak pośród innych w blasku gwiazd. Przypuszczał, że Ellie go nigdy nie zobaczy – sama myśl przeprowadzenia córki ścieżką poprzez ruchome piaski wystarczyłaby, by Rachel osiwiała ze zgrozy – ale on widział grób, który wyglądał naprawdę dobrze.

– Większość z nich już się rozsypała – zauważył, wstając i otrzepując kolana spodni. Teraz widział wyraźniej. W kilkunastu miejscach dostrzegał wyraźnie rozrzucone stosiki kamieni, lecz Jud dopilnował, by do wzniesienia własnego kopca użył jedynie kamieni z wykopanego grobu.

– Ano – przytaknął Jud. – Mówiłem, to stare miejsce.

– Już skończyliśmy?

– Ano. – Klepnął Louisa w ramię. – Dobrze się spisałeś, Louis. Wiedziałem, że tak będzie. Wracajmy do

domu.

– Jud... – zaczął ponownie Louis, lecz starzec jedynie chwycił kilof i ruszył ku stopniom. Louis podniósł szpadel; musiał podbiec, by go dogonić, i nagle ujrzał w powietrzu własny oddech. Raz tylko obejrzał się przez ramię, jednakże kopiec na grobie kota córki, Winstona Churchilla, rozpłynął się wśród cieni i Louis nie zdołał go dojrzeć.

Zupełnie jakbyśmy wyświetlili film od tyłu, pomyślał ze znużeniem, gdy jakiś czas później wynurzyli się spomiędzy drzew i stanęli na polu za jego domem. Nie wiedział, ile dokładnie czasu minęło. Gdy po południu położył się na chwilę, zdjął zegarek; zapewne wciąż leży na parapecie przy łóżku. Wiedział tylko, że jest wykończony, wypompowany, wypluty. Nie pamiętał, by kiedykolwiek czuł się tak wyczerpany, odkąd podjął pracę w Przedsiębiorstwie Wywozu Śmieci w Chicago pewnego lata w czasach licealnych, szesnaście–siedemnaście lat temu.

Wrócili tą samą drogą, lecz niewiele z niej zapamiętał. Wiedział jedynie, że potknął się na wiatrołomie i runął naprzód, bezsensownie przypominając sobie Piotrusia Pana – ***o Jezu, straciłem szczęśliwą myśl i spadam*** – a potem chwyciła go ręka Juda, pewna i mocna. W kilka chwil później wędrowali już pośród miejsc ostatniego spoczynku Smucky'ego, Trixie i króliczki Marty, i znaleźli się na ścieżce, którą niegdyś pokonał nie tylko z Judem, lecz z całą rodziną.

Miał wrażenie, że jego znużony umysł przywołał wizję snu o Victorze Pascowie, podczas którego urządził sobie lunatyczną wycieczkę, lecz nie dostrzegał niczego, co łączyłoby nocną wyprawę i dzisiejsze wydarzenia. Uświadomił sobie także, że cała przygoda była niebezpieczna – nie w melodramatycznym, gotyckim sensie, lecz całkiem zwyczajnie. Fakt, że potwornie otarł sobie dłonie, będąc w stanie przypominającym pół jawę, pół sen, to jeszcze mało. Mógł się zabić na wiatrołomie. Obaj mogli się zabić. Trudno wytłumaczyć sobie podobne zachowanie, zwłaszcza na trzeźwo. Przy obecnym znużeniu gotów był przypisać je zamętowi i smutkowi po śmierci zwierzęcia, które kochała cała rodzina.

W końcu dotarli do domu.

Bez słowa ruszyli ku niemu i przystanęli ponownie na podjeździe. Wiatr jęczał i zawodził. Louis w milczeniu oddał Judowi szpadel.

– Lepiej już pójdę – rzekł w końcu starzec. – Louella Bisson albo Ruthie Perks lada moment przywiezie Normę do domu. Będzie się zastanawiała, gdzie się podziewam.

– Masz może zegarek? – spytał Louis. Zdumiał się, że Normy jeszcze nie ma. Sądząc po bólu mięśni, musiała minąć północ.

– Ano – odparł Jud. – Mam go przy sobie, odkąd się ubiorę. A na noc trzymam w pobliżu.

Wyłowił zegarek z kieszeni spodni i pstryknięciem otworzył osłaniające tarczę wieczko.

– Minęło wpół do dziewiątej – oznajmił, zatrzaskując

zegarek.

– Wpół do dziewiątej? – powtórzył tępo Louis. – Dopiero?

– A jak sądziłeś, ile czasu upłynęło? – spytał Jud.

– Znacznie więcej.

– Zobaczymy się jutro, Louis. – Starzec ruszył naprzód.

– Jud?

Sąsiad odwrócił się do Louisa, patrząc na niego pytająco.

– Jud, co my dziś zrobiliśmy.

– Jak to co? Pochowaliśmy kota twojej córki.

– To wszystko?

– Nic ponadto – odparł Jud. – Jesteś dobrym człowiekiem, Louis, ale zadajesz zbyt wiele pytań. Czasami ludzie muszą robić to, co wydaje się słuszne. Słuszne w ich sercach, to chciałem powiedzieć. A jeśli to zrobią, po czym nie czują się dobrze i przepełniają ich pytania, jakby dostali niestrawności, tyle że wewnątrz głowy, nie w brzuchu, uważają, że popełnili błąd. Wiesz, co mam na myśli?

– Tak. – Louis miał wrażenie, że Jud musiał czytać mu w myślach, gdy obaj maszerowali w dół ku polu i światłom domu.

– Nie przyjdzie im natomiast do głowy, że może zanim zaczną kwestionować to, co mówi im serce, powinni zakwestionować owe dręczące ich wątpliwości – dodał Jud, przyglądając mu się uważnie. – Jak sądzisz,

Louis?

– Sądzę – odparł powoli Louis – że chyba masz rację.

– A rzeczy, które kryje męskie serce... Mężczyźni raczej o nich nie rozmawiają, prawda?

– No cóż...

– Nie – uciął Jud, zupełnie jakby Louis zgodził się z nim. – Nie rozmawiają. – I swym spokojnym, pewnym, nieustępliwym głosem, który sprawił, że Louisa przeszyły ciarki, dodał: – To tajemnice. Podobno kobiety potrafią lepiej dochować tajemnicy, i rzeczywiście kilka zapewne skrywają. Lecz każda kobieta, która poznała trochę życia, powie, że nigdy nie zdołała wejrzeć w serce mężczyzny. Ziemia serca mężczyzny jest kamienista, Louis. Tak jak ziemia na starym cmentarzysku Micmaców. Tuż pod nią kryje się skała. Mężczyzna hoduje w niej to, co zdoła... i opiekuje się tym.

– Jud?

– Nie wątp, Louis. Pogódź się z tym, co zrobiłeś. Podążaj za własnym sercem.

– Ale...

– Żadnych ale. Pogódź się, Louis, i podążaj za swym sercem. Zrobiliśmy to, co wówczas było słuszne... przynajmniej, na Boga, taką mam nadzieję. W innym momencie byłoby to złe – absolutnie złe.

– Czy przynajmniej odpowiesz mi na jedno pytanie?

– Cóż, wysłuchajmy go i przekonajmy się.

– Skąd wiedziałeś o tym miejscu?

To pytanie także przyszło Louisowi do głowy w

drodze powrotnej, wraz z podejrzeniem, że Jud może być dalekim potomkiem Micmaców – choć zupełnie na to nie wyglądał. Był typowym okazem stuprocentowego Anglosasa.

– Jak to skąd ? Od Stanny'ego B. – odparł starzec, wyraźnie zaskoczony.

– Opowiedział ci o nim?

– Nie. O takich miejscach się nie opowiada. Gdy miałem dziesięć lat, pogrzebałem tam mojego psa Spota. Gonił królika i wpadł na zardzewiały drut kolczasty. Wywiązało się zakażenie i zabiło go.

Historia ta zabrzmiała fałszywie, jakby nie zgadzała się z czymś, co Louis usłyszał wcześniej. Był jednak zbyt zmęczony, by doszukiwać się rozbieżności. Jud nie powiedział nic więcej. Spojrzał tylko na niego nieprzeniknionymi oczami.

– Dobranoc, Jud – pożegnał się Louis.

– Dobranoc.

Stary człowiek przeszedł przez drogę, dźwigając kilof i szpadel.

– Dzięki! – zawołał Louis, kierując się nagłym odruchem.

Jud nie odwrócił się. Podniósł tylko rękę na znak, że usłyszał. W tym momencie w domu zadzwonił telefon.

Louis rzucił się biegiem, krzywiąc się z powodu bólu eksplodującego w udach i krzyżu. Zanim jednak dotarł do ciepłej kuchni, dzwonek zadźwięczał już sześć, siedem razy i ucichł, dokładnie w chwili, gdy położył dłoń na

telefonie. Na wszelki wypadek podniósł słuchawkę i powiedział „Halo”. Odpowiedział mu jednak wyłącznie ciągły sygnał.

To z pewnością Rachel, pomyślał. Oddzwonię do niej.

Nagle jednak uznał, że to za dużo zawracania głowy: trzeba wykręcić numer, wymienić kilka niezręcznych słów z jej matką lub, co gorsza, z wymachującym książeczką czekową ojcem – następnie pomówić z Rachel i z Ellie – Ellie, rzecz jasna, jeszcze nie spała, w Chicago było godzinę wcześniej – która z pewnością spyta go, jak się miewa Church.

Świetnie, naprawdę świetnie. Wpadł pod ciężarówkę Orinco. Z niewiadomych przyczyn jestem absolutnie pewien, że to była Orinco. Wszystkiemu innemu brakowałoby dramatycznej jedności, jeśli wiesz, co mam na myśli. Nie wiesz? Nieważne. Ciężarówka zabiła go, ale prawie nie uszkodziła ciała. Zakopaliśmy go z Judem na starym cmentarzysku Micmaców – czymś w rodzaju aneksu do Cmętarza Zwieżąt, jeśli wiesz, co mam na myśli. To niesamowity spacer. Zabiorę cię tam kiedyś i położymy mu kwiaty na grobie – to znaczy na kopcu. Kiedy ruchome piaski zamarzną, a niedźwiedzie zasną na zimę.

Wypuścił telefon, podszedł do zlewu i napełnił go gorącą wodą. Zdjął koszulę i uprał ją. Mimo zimna pocił się jak świnia i tak też cuchnął.

W lodówce została reszta klopsa. Louis pokroił go w plastry, położył na kromce chleba i dodał dwa grube

krążki cebuli. Przez chwilę przyglądał się swemu posiłkowi, po czym doprawił go szczodrą porcją keczupu i nakrył drugą kromką. Gdyby Rachel i Ellie widziały go, z pewnością skrzywiłyby nosy w identycznym geście odrazy – fuj, co za ohyda.

– Straciłyście okazję, moje panie – rzekł z głęboką satysfakcją i spałaszował kanapkę. Smakowała świetnie. Konfucjusz mówi: „Ten, kto śmierdzi jak świnia, jada jak wilk" – pomyślał i uśmiechnął się. Spłukał kanapkę kilkoma głębokimi łykami mleka wprost z kartonu – kolejny zwyczaj surowo tępiony przez Rachel – i poszedł na górę. Nie rozebrał się. Nawet nie umył zębów. Wszystkie dręczące go bóle stopiły się w jedno słabe pulsowanie, wszechogarniające i niemal przyjemne.

Zegarek leżał tam, gdzie go zostawił. Spojrzał na niego. Dziesięć po dziewiątej. Niewiarygodne. Cały incydent wydawał mu się już odległy niczym sen – kolejny atak lunatyzmu.

Louis zgasił światło, przekręcił się na bok i zasnął.

Obudził się po trzeciej rano i powłócząc nogami, poczłapał do łazienki. Stał tam, sikając i mrugając w jaskrawym świetle niczym zaspana sowa, gdy nagle dostrzegł ową rozbieżność w opowieściach Juda. Zupełnie jakby dwa kawałki układanki, które powinny idealnie pasować do siebie, zamiast tego zderzyły się i odskoczyły.

Dziś wieczór Jud powiedział mu, że jego pies zdechł, gdy on sam skończył dziesięć lat – umarł z powodu

zakażenia po skaleczeniu kawałkiem zardzewiałego drutu kolczastego. Lecz tamtego dnia późnego lata, gdy wszyscy wybrali się na Cmętarz Zwieżąt, Jud mówił, że jego pies zdechł ze starości i został tam pogrzebany – pokazał nawet nagrobek, choć upływ lat kompletnie zatarł widoczny na nim napis.

Louis spuścił wodę, zgasił światło i wrócił do łóżka. Dręczyło go coś jeszcze – i po chwili zrozumiał co. Jud urodził się wraz z nastaniem wieku, a tamtego dnia na cmentarzu zwierząt powiedział mu, że jego pies zdechł w pierwszym roku Wielkiej Wojny. To znaczyło, że Jud miał wtedy czternaście lat, jeśli chodziło mu o prawdziwy początek wojny w Europie, bądź siedemnaście, jeżeli miał na myśli przyłączenie się do niej Ameryki.

Lecz dziś mówił, że Spot umarł, gdy on, Jud, miał zaledwie dziesięć lat.

To stary człowiek, a starzy ludzie plączą się w swych wspomnieniach. Sam mówił, że dostrzega oznaki starości. Nie może przypomnieć sobie nazwisk i adresów, które kiedyś doskonale pamiętał. Czasami wstaje rano i nie wie, co zaplanował sobie wczoraj na dany dzień. Jak na człowieka w tym wieku i tak jest w świetnym stanie... Skleroza to za mocne słowo, jeśli chodzi o Juda. Po prostu zapomina, i tyle. Nic dziwnego, że zapomniał, ile lat miał pies, który zdechł siedemdziesiąt lat temu, i nie pamięta okoliczności, w jakich zdechł. Zapomnij o tym, Louis.

Lecz wciąż nie mógł zasnąć. Długi czas leżał w łóżku,

boleśnie świadom pustki panującej w domu i obecności wiatru zawodzącego wokół narożników.

W pewnym momencie zasnął, nie zdając sobie sprawy, że przekroczył granicę. Musiało tak być, bo nagle wydało mu się, że słyszy odgłos bosych stóp wspinających się powoli po schodach i pomyślał: Zostaw mnie, Pascow. Daj mi spokój! Stało się to, co się stało. To, co nie żyje, nie żyje – i kroki ucichły.

I choć przed końcem roku zdarzyło się mnóstwo innych niewyjaśnionych rzeczy, Louisa nigdy już nie nawiedzało widmo Victora Pascowa, czy to na jawie, czy we śnie.

23

Następnego ranka obudził się o dziewiątej. Przez wschodnie okna sypialni do środka wlewały się strumienie jaskrawego światła. Dzwonił telefon. Louis wyciągnął rękę i podniósł słuchawkę.

– Halo?

– Cześć – rzuciła Rachel. – Obudziłam cię? Taką mam nadzieję.

– Owszem, obudziłaś, ty suko – odparł z uśmiechem.

– O, cóż to za język, stary niedźwiedziu! – rzekła. – Próbowałam dodzwonić się do ciebie wczoraj wieczorem. Byłeś u Juda?

Jego wahanie trwało zaledwie ułamek sekundy.

– Tak – odrzekł. – Wypiliśmy parę piw. Norma pojechała gdzieś na świąteczny obiad. Chciałem nawet zadzwonić, ale… sama wiesz.

– Tak – powiedziała. – Wiem.

Gawędzili przez chwilę. Rachel przekazała mu najświeższe rodzinne nowiny, które niespecjalnie go interesowały, choć z pewną złośliwą satysfakcją przyjął wieść, że łysina jej ojca powiększa się coraz szybciej.

– Chcesz pomówić z Gage’em? – spytała.

Louis uśmiechnął się szeroko.

– Chyba tak – odparł. – Nie pozwól mu tylko znów odwiesić słuchawki.

Rozległy się głośne szelesty po drugiej stronie. Z daleka dobiegał głos Rachel namawiający małego, by przywitał się z tatusiem.

W końcu Gage powiedział:

– Cześć, tata.

– Cześć, Gage – odparł radośnie Louis. – Co u ciebie? Jak życie? Czy znów wywaliłeś stojak z fajkami dziadka? Taką mam nadzieję. Może tym razem zdołasz też zniszczyć jego kolekcję znaczków.

Gage gaworzył radośnie przez jakieś pół minuty; pomiędzy nieartykułowanymi odgłosami dało się rozpoznać kilka wyrazów z jego wciąż rosnącego słownika – mamu, Ellie, bacia, dziada, auto (wymawiane z prawdziwym jankeskim akcentem, który to fakt niezmiernie rozbawił Louisa), chodzik i lera.

W końcu Rachel odebrała mu telefon, co spotkało się z donośnymi protestami chłopca i cichym aplauzem Louisa – kochał synka i tęsknił za nim jak wariat, lecz prowadzenie rozmowy z dwulatkiem przypominało nieco grę w karty z szaleńcem; karty pojawiają się i znikają, a człowiek gubi się w tym chaosie.

– A co słychać u ciebie? – spytała Rachel.

– Wszystko w porządku – rzekł Louis, tym razem bez chwili wahania; wiedział jednak, że przekroczył już cienką granicę w chwili, gdy Rachel spytała, czy poprzedniego wieczoru odwiedził Juda, a on przytaknął. Nagle przypomniał sobie słowa Juda Crandalla: „Ziemia serca mężczyzny jest kamienista, Louis… Mężczyzna

hoduje, co może… i opiekuje się tym". – Jeśli chcesz znać całą prawdę, trochę tu nudno. Tęsknię za tobą.

– Chcesz powiedzieć, że nie podoba ci się życie słomianego wdowca?

– Jasne, lubię ciszę – przyznał. – Ale po pierwszych dwudziestu czterech godzinach człowiek zaczyna czuć się dziwnie.

– Mogę porozmawiać z tatą? – odezwał się głos Ellie w tle.

– Louis? Jest tu Ellie.

– Daj mi ją.

Niemal pięć minut rozmawiał z córką. Ellie zasypała go gradem słów: opisała dokładnie lalkę, którą dostała od babci, wycieczkę z dziadkiem do doków (– Ale tam cuchnie, tatusiu – powiedziała, a Louis pomyślał: Twój dziadek, kotku, też nie pachnie jak róże), to, jak pomogła piec chleb i jak Gage wymknął się Rachel, kiedy ta zmieniała mu pieluchę, pobiegł korytarzem i zrobił kupę na progu gabinetu dziadka (Brawo, Gage, pomyślał Louis i uśmiechnął się szeroko).

Już sądził, że mu się upiecze – przynajmniej tego ranka – i właśnie miał poprosić Ellie, by oddała słuchawkę matce, żeby mógł się pożegnać, gdy ta spytała:

– Jak się czuje Church, tatusiu? Tęskni za mną?

Z twarzy Louisa zniknął uśmiech, jednakże jego głos zabrzmiał odpowiednio swobodnie, tak jak powinien.

– Chyba tak. Wczoraj wieczorem dałem mu resztki gulaszu i wypuściłem go. Dziś rano jeszcze go nie

widziałem, ale też dopiero co wstałem.

Niech mnie, świetny byłby ze mnie morderca – zimny jak głaz. Doktorze Creed, kiedy ostatni raz widział pan zamordowanego? Przyszedł do domu na kolację. Zjadł cały talerz gulaszu. Od tamtej pory go nie widziałem.

– Ucałuj go ode mnie.

– Błeee, sama całuj swojego kota – odparł Louis i Ellie zachichotała.

– Chcesz jeszcze mówić z mamą, tatusiu?

– Jasne, daj mi ją.

Następnych parę minut rozmawiał z Rachel. Nie poruszali już tematu Churcha. W końcu wymienili z żoną czułe „kocham cię” i Louis odłożył słuchawkę.

– To tyle – rzekł głośno, zwracając się do pustego słonecznego pokoju. Najgorsze było to, że wcale nie czuł się winny. Ani trochę.

24

Koło wpół do dziesiątej zadzwonił Steve Masterton i spytał, czy Louis ma ochotę przyjechać na uniwersytet i zagrać w racquetballa – kampus jest zupełnie pusty, oznajmił wesoło i jakby co, mogliby grać spokojnie cały Boży dzień.

Louis dobrze wiedział, skąd ta radość – podczas roku akademickiego na kort do racquetballa czekało się nawet i dwa dni. Mimo to odmówił, twierdząc, że zamierza popracować nad artykułem do „Magazine of College Medicine”.

– Na pewno? – spytał Steve. – Pamiętaj, że kto nie umie się bawić, nie umie też pracować.

– Zadzwoń później – odparł Louis. – Może nabiorę ochoty.

Steve przyrzekł, że tak zrobi, i rozłączył się. Tym razem ze strony Louisa było to tylko połowiczne kłamstwo. Rzeczywiście zamierzał popracować nad artykułem dotyczącym leczenia chorób zakaźnych, takich jak wietrzna ospa i mononukleoza, w warunkach przychodni uniwersyteckich. W istocie jednak odmówił przede wszystkim dlatego, że był cały obolały. Odkrył to, gdy tylko skończył rozmowę z Rachel i poszedł do łazienki umyć zęby. Mięśnie pleców protestowały przy każdym ruchu, ramiona bolały od dźwigania kota w

pieprzonym worku na śmieci, a ścięgna pod kolanami były napięte niczym struny gitary nastrojonej o trzy oktawy wyżej, niż powinna. Chryste, pomyślał, a ty kretynie sądziłeś, że jesteś w formie. Nieźle by wyglądał, próbując grać w racquetball, zgarbiony i pokrzywiony jak zreumatyzowany starzec.

A skoro już mowa o starcach, zeszłego wieczoru nie wybrał się do lasu sam; towarzyszył mu człowiek, który niedługo miał obchodzić osiemdziesiąte piąte urodziny. Louis zastanawiał się, czy tego ranka Jud cierpi równie mocno jak on.

Półtorej godziny pracował nad artykułem, ale szło mu opornie. Cisza i pustka panujące w domu coraz bardziej grały mu na nerwach. W końcu ułożył na półce nad maszyną żółte notatniki i odbitki zamówione na Uniwersytecie Johna Hopkinsa, narzucił kurtkę i przeszedł przez drogę.

Juda i Normy nie było w domu, lecz w drzwiach werandy tkwiła koperta, na której widniało jego nazwisko. Louis wyjął ją i otworzył kciukiem.

Louisie,

Jedziemy z moją połowicą do Bucksport na zakupy i żeby obejrzeć toaletkę w Emporium Galorium, na którą Norma ma ochotę chyba od stu lat. Najpewniej zjemy lunch u McLeoda i wrócimy późnym popołudniem. Jeśli będziesz miał ochotę, wpadnij wieczorem na piwo lub dwa.

Twoja rodzina to twoja sprawa, nie chcę się wtrącać,

ale gdyby Ellie była moją córką, nie spieszyłbym się z mówieniem, że jej kot zginął na drodze. Czemu nie pozwolić, by dobrze bawiła się podczas wakacji?

A przy okazji, Louis, na twoim miejscu nie wspominałbym o tym, co zrobiliśmy zeszłego wieczoru, nikomu z północnego Ludlow. Inni ludzie także wiedzą o starym cmentarzysku Micmaców i są w mieście tacy, którzy pochowali tam swoje zwierzęta… Można powiedzieć, że to ukryta część Cmętarza Zwieżąt. Wierz albo nie, ale pochowano tam nawet byka. Stary Zack McGovern, który mieszkał kiedyś przy Stackpole Road, zakopał w 67 czy 68 roku na cmentarzu Micmaców swojego zarodowego byka, Hanratty'ego. Cha, cha! Opowiadał, że zanieśli go tam z dwoma synami. Śmiałem się tak, że myślałem, że pęknie mi brzuch. Ale miejscowi nie lubią o tym rozmawiać i nie chcą, by inni, których uważają za „obcych", wiedzieli o tym miejscu. Nie dlatego, że owe stare przesądy mają ponad trzysta lat (choć to prawda), ale w pewnym sensie oni wciąż w nie wierzą i boją się, że obcy, który by o tym usłyszał, śmiałby się z nich. Czy to ma sens? Pewnie nie, jednak tak to już jest. Zrób mi więc tę grzeczność i nie poruszaj tego tematu. Zgoda?

Jeszcze o tym pogadamy, pewnie nawet dziś wieczór. Wtedy będziesz rozumiał znacznie więcej. Tymczasem jednak chcę ci powiedzieć, że świetnie się spisałeś. Wiedziałem, że tak będzie.

Jud

PS Norma nie wie, co tu piszę – powiedziałem, że coś zupełnie innego – i jeśli nie masz nic przeciwko temu, wolałbym, by tak zostało. W ciągu pięćdziesięciu ośmiu lat naszego małżeństwa poczęstowałem ją więcej niż jednym kłamstwem. Podejrzewam, że większość mężczyzn opowiada swym żonom całe mnóstwo kłamstw, ale wiesz co, większość z nich mogłaby stanąć przed obliczem Boga i wyznać wszystko, nie spuszczając nawet wzroku.

No dobra, wpadnij dziś wieczór, to sobie popijemy.

J.

Louis stał na najwyższym stopniu schodków wiodących na werandę Juda i Normy – obecnie pustą: wygodne rattanowe meble trafiły do składziku, oczekując nadejścia wiosny – i marszcząc brwi, przebiegał wzrokiem treść listu. Nie mówić Ellie, że jej kot zginął – nie powiedział. Grzebano tam inne zwierzęta? Przesądy liczące ponad trzysta lat?

…wtedy będziesz rozumiał znacznie więcej.

Przesunął lekko palcem po linijce tekstu i po raz pierwszy pozwolił myślom powrócić do tego, co zrobili poprzedniego wieczoru. Wspomnienie pozostawione przez tamte wydarzenia było niewyraźne, miało nieuchwytną zdradliwą fakturę snu, lepką niczym wata cukrowa. Pamiętał, że wspinali się na wiatrołom. Pamiętał też dziwne jaśniejsze światło na moczarach – i że tamtejsze powietrze zdawało się znacznie cieplejsze – wszystko to jednak przypominało ostatnią rozmowę z

anestezjologiem, nim ten zdmuchnie naszą świadomość niczym zapałkę.

Podejrzewam, że większość mężczyzn opowiada swym żonom całe mnóstwo kłamstw…

Żonom i córkom, pomyślał Louis. Niesamowite, jak Jud odgadł, co działo się tego ranka, zarówno podczas rozmowy telefonicznej, jak i w jego własnej głowie.

Powoli złożył list napisany na kartce papieru w linie, rodem wprost z dziecięcego zeszytu, i wsunął go do koperty. Wetknął ją do kieszeni i wrócił na drugą stronę drogi.

25

Dochodziła pierwsza po południu, gdy Church wrócił, niczym kot z dziecięcej rymowanki. Louis był właśnie w garażu. Przez ostatnich sześć tygodni z przerwami pracował tam nad dość ambitnym zestawem półek; chciał ustawić wszystkie niebezpieczne rzeczy: butelki płynu do szyb, odmrażacz i ostre narzędzia, poza zasięgiem Gage'a. Wbijał właśnie gwóźdź, gdy do środka wmaszerował Church z wysoko uniesionym ogonem. Louis nie upuścił młotka, nie uderzył się nawet w kciuk – serce lekko zatrzepotało mu w piersi, ale nie skoczyło. Miał wrażenie, jakby przez moment w żołądku rozjarzył mu się gorący drut, niczym włókno żarówki, które przez chwilę świeci nadmiernie jasnym blaskiem, po czym się przepala. Zupełnie jakby całego tego słonecznego ranka po Święcie Dziękczynienia podświadomie czekał na powrót Churcha, jakby skryta głęboko prymitywna część jego umysłu od początku wiedziała, co oznacza owa wieczorna wyprawa na cmentarzysko Micmaców.

Ostrożnie odłożył młotek, wypluł na dłoń trzymane w ustach gwoździe i wrzucił je do kieszeni roboczego fartucha. Podszedł do Churcha i podniósł go.

Żywy ciężar, pomyślał z niezdrowym podnieceniem. Waży tyle, co przed wypadkiem. To żywy ciężar. W torbie był cięższy. Był cięższy po śmierci.

Tym razem jego serce szarpnęło się nieco mocniej – niemal skoczyło. Przez sekundę garaż zatańczył mu przed oczami.

Church skulił uszy i pozwolił się trzymać na rękach. Louis wyniósł go na słońce i usiadł na ostatnich stopniach. Kot próbował się uwolnić, on jednak głaskał go i przytrzymywał na kolanach. Jego serce biło znacznie mocniej.

Delikatnie obmacał gęstą sierść na karku Churcha, przypominając sobie, jak zeszłego wieczoru jego głowa poruszała się bezwładnie i kołysała na złamanej szyi. Obecnie wyczuwał zdrowe mięśnie i ścięgna. Uniósł kota i uważnie obejrzał jego pyszczek. To, co zobaczył, sprawiło, że szybko upuścił zwierzę na trawę i zamykając oczy, zakrył twarz dłonią. Cały świat wokół wirował. Poczuł chwiejny, paskudny zawrót głowy, coś jakby uczucie po ostrym piciu, tuż przed atakiem wymiotów.

Na pyszczku Churcha zastygła zaschnięta krew, w długie wąsy zaplątały się dwa drobne strzępki zielonej folii. Fragmenty worka.

Jeszcze o tym pogadamy. Wtedy będziesz rozumiał znacznie więcej.

Chryste Panie, w tej chwili rozumiał więcej, niżby pragnął.

Jeszcze trochę, pomyślał Louis i całe to zrozumienie doprowadzi mnie do najbliższego wariatkowa.

Wpuścił Churcha do domu, przyniósł niebieską miskę i otworzył konserwę z tuńczyka i wątróbki. Gdy

wygarniał łyżką szarobrązową masę, Church, pomrukując, ocierał mu się o kostki. Dotyk kota sprawił, że na łydkach Louisa wystąpiła gęsia skórka. Musiał mocno zaciskać zęby, by nie odegnać zwierzęcia kopniakiem. Porośnięte futrem ciało zdawało się zbyt śliskie, zbyt grube – jednym słowem ohydne. Louis odkrył, że nie ma już ochoty dotykać Churcha – już nigdy nie chce go dotykać.

Gdy schylił się i postawił miskę na podłodze, Church przemknął obok, rzucając się na jedzenie, i Louis przysiągłby, że poczuł woń zgniłej ziemi, jakby kocie futro przesiąknęło nią doszczętnie.

Stał, obserwując jedzącego kota. Słyszał, jak mlaskał – czy Church wcześniej jadł z takim mlaskaniem? Może i tak, ale Louis po prostu nigdy niczego nie zauważał. W każdym razie był to paskudny dźwięk. Fuj, powiedziałaby Ellie.

Louis odwrócił się gwałtownie i poszedł na górę. Ruszył powoli, lecz u szczytu schodów już prawie biegł. Rozebrał się i wrzucił całe swoje ubranie do zsypu, chociaż tego ranka włożył wszystko świeże, począwszy od bielizny. Przygotował gorącą kąpiel, możliwie jak najgorętszą, i wszedł do wanny.

Wokół niego unosiła się para, czuł, jak gorąca woda rozluźnia naprężone mięśnie. Kąpiel uderzyła mu też do głowy, zmywając napięcie. Gdy woda zaczęła stygnąć, poczuł się senny i znów był sobą.

Kot wrócił, tak jak tamten w rymowance. I co z tego?

Wszystko to było jedną wielką pomyłką. Czyż wczoraj wieczorem nie pomyślał, że Church jest dziwnie cały i nietknięty jak na zwierzę, które wpadło pod samochód?

Pomyśl o wszystkich wiewiórkach, kotach i psach, które widywałeś na szosie. Porozdzierane brzuchy, rozjechane flaki wokoło. Tech-ni-kolor, jak mawiał Loudon Wainwright na swej płycie o martwym skunksie.

Wszystko jasne. Church został mocno uderzony i ogłuszony. Kot, którego zaniósł na stare cmentarzysko Micmaców, był nieprzytomny, ale nie martwy. Czyż ponoć koty nie mają dziewięciu żywotów? Dzięki Bogu, nie wspomniał o niczym Ellie. Nie będzie musiała wiedzieć, jak niewiele dzieliło Churcha od śmierci.

Krew na jego pyszczku i głowie… miękka bezwładna szyja…

Był jednak lekarzem, nie weterynarzem. Popełnił błąd, stawiając diagnozę, to wszystko. Warunki nie sprzyjały bliższym badaniom, kucał wtedy na trawniku Juda na mrozie, a niebo nad nim przygasało. Nałożył też rękawiczki. To mogło…

Na pokrytej glazurą ścianie rozlał się rozdęty bezkształtny cień, niczym głowa małego smoka albo olbrzymiego węża. Coś musnęło lekko nagie ramię Louisa i umknęło. Louis szarpnął się gwałtownie jak rażony prądem, rozchlapując wokół wodę i mocząc dywanik obok wanny. Odwrócił się ze wzdrygnięciem i spojrzał wprost w mętne żółtozielone oczy kota córki,

siedzącego na zamkniętej desce klozetowej.

Church kołysał się powoli tam i z powrotem jak pijany. Louis obserwował go, wstrząsały nim dreszcze obrzydzenia, zaciskał zęby, z trudem powstrzymując okrzyk wstrętu. Church nigdy tak nie wyglądał przed kastracją ani później – nie kołysał się jak wąż próbujący zahipnotyzować ofiarę. Po raz pierwszy i ostatni przeszło mu przez myśl, że może to inny kot, podobny do kota Ellie, obcy, który przywędrował do garażu w chwili, gdy on, Louis, zbijał półki, a prawdziwy Church wciąż leży pod stosem kamieni na leśnym płaskowyżu. Lecz wszystkie znaki miał takie same… jedno wystrzępione ucho… i łapa, która wyglądała jak przygryziona; Ellie przytrzasnęła mu ją tylnymi drzwiami małego podmiejskiego domku, gdy Church był jeszcze kociakiem.

To naprawdę był Church.

– Wynoś się stąd – szepnął ochryple Louis.

Church przyglądał mu się jeszcze przez moment – Boże, jego oczy były jakieś inne, zupełnie inne – a potem zeskoczył z muszli. Nie wylądował z niesamowitą kocią gracją. Zachwiał się niezręcznie, trącając zadem wannę, i zniknął.

To już nie on, pomyślał Louis. Nie kocur. Pamiętaj, że został wykastrowany.

Wyszedł z wanny i wytarł się pobieżnie. Był już ogolony i niemal całkowicie ubrany, gdy zadzwonił telefon, dźwięcząc przenikliwie w pustym domu. Na ów

dźwięk Louis obrócił się gwałtownie, jego oczy rozszerzyły się, a ręce uniosły. Opuścił je powoli. Serce waliło mu jak młotem. Mięśnie napęczniały od adrenaliny.

To był Steve Masterton, który sprawdzał, co z racquetballem. Louis zgodził się spotkać z nim za godzinę na korcie. Tak naprawdę nie miał wcale czasu ani ochoty na grę, lecz po prostu musiał wyjść z domu. Chciał się znaleźć jak najdalej od kota, niezwykłego kota, którego w ogóle nie powinno tu być.

Zaczął się spieszyć. Szybko wepchnął do spodni poły koszuli, wsadził do torby parę szortów, koszulkę i ręcznik i truchtem zbiegł po schodach.

Church leżał na czwartym stopniu od dołu. Louis potknął się o kota i o mały włos nie wywrócił. W ostatniej chwili chwycił poręcz, ratując się przed paskudnym upadkiem.

Stanął u stóp schodów, dysząc ciężko. Serce tłukło mu się w piersi, adrenalina pulsowała nieprzyjemnie w całym ciele.

Church wstał, przeciągnął się… i jakby uśmiechnął złośliwie.

Louis wyszedł. Wiedział, że powinien wypuścić kota, lecz nie zrobił tego. W tym momencie nie zdobył się nawet na to, by go dotknąć.

26

Jud zapalił papierosa drewnianą kuchenną zapałką, zgasił ją i wrzucił do blaszanej popielniczki, na której dnie wymalowano niemal już nieczytelną reklamę jima beama.

– To Stanley Bouchard opowiedział mi o starym cmentarzysku Micmaców – powtórzył.

Byli w jego kuchni. Tuż przed nimi, na pokrywającej stół kraciastej ceracie, stały niemal nietknięte szklanki z piwem. Przyczepiona do ściany za ich plecami beczka oleju zabulgotała trzy razy, po czym ucichła. Louis zjadł obiad ze Steve'em: kanapki-łódki w niemal pustej „Niedźwiedziej Jamie". Już dawno przekonał się, że jeśli tu, w Maine, poprosiło się o mielońca czy gyro, nie wiedzieli, o czym mowa, natomiast łódka i wop-burger trafiały do każdego. Gdy już coś zjadł, Louis poczuł się lepiej. Miał wrażenie, że spogląda na powrót Churcha z nowej perspektywy, wciąż jednak nie miał ochoty wracać do ciemnego, pustego domu, w którym mógł czekać kot. Powiedzmy szczerze: mógł kryć się gdziekolwiek.

Norma posiedziała z nimi dość długo. Oglądała telewizję i jednocześnie pracowała nad haftem, przedstawiającym słońce zachodzące za małym wiejskim domem ludowym. Na tle zachodzącego słońca odcinała się czarna sylwetka krzyża na dachu. Zamierzała sprzedać

tę robótkę na kościelnym kiermaszu przed Bożym Narodzeniem. Ponoć kiermasz ów zawsze stanowił wielkie wydarzenie. Jej palce poruszały się zręcznie, przekłuwając igłą materiał rozpięty na stalowym kółku. Tego wieczoru reumatyzm praktycznie nie dawał znać o sobie. Louis podejrzewał, że może to być kwestia pogody – zimnej, lecz bardzo suchej. W zasadzie doszła już do siebie po ataku serca i owego wieczoru, dziesięć tygodni przed drugim atakiem, który miał ją zabić, wyglądała świeżo i jakby młodziej. Tego dnia dostrzegł w niej dziewczynę, którą niegdyś była.

Kwadrans przed dziesiątą pożegnała się. Teraz siedział tu z Judem, który umilkł i obserwował bez słowa wzlatujący w górę dym z papierosa, niczym dziecko zapatrzone w wirujący pasiasty słup przed salonem fryzjerskim.

– Stanny B. – przypomniał łagodnie Louis.

Jud zamrugał, jakby powrócił myślami z dalekiej podróży.

– Ano – rzekł. – Wszyscy w Ludlow – a także w okolicach Bucksport, Prospect i Orrington – nazywali go po prostu Stanny B. W roku, kiedy zdechł mój pies, Spot – to znaczy w tysiąc dziewięćset dziesiątym, kiedy zdechł po raz pierwszy – Stanny był już stary i bardziej niż odrobinę szalony. Inni miejscowi także wiedzieli o istnieniu cmentarzyska Micmaców, ale ja usłyszałem o tym od Stanny’ego B., on od swojego ojca, a jego ojciec od swego ojca. Cała rodzina prawdziwych Canucków.

Jud zaśmiał się i pociągnął łyk piwa.

– Wciąż słyszę go, mówiącego łamaną angielszczyzną. Znalazł mnie siedzącego obok stajni wynajmującej konie, stojącej kiedyś przy trasie numer piętnaście – tyle że wówczas była to jedynie droga Bangor–Bucksport – mniej więcej w miejscu, gdzie później zbudowano fabrykę Orinco. Spot jeszcze nie umarł, ale zdychał, i ojciec wysłał mnie, abym dowiedział się o ziarno dla kurcząt, które w owych czasach sprzedawał stary Yorky. Potrzebowaliśmy ziarna tak jak krowa księżyca i doskonale wiedziałem, czemu kazał mi tam iść.

– Zamierzał zabić psa.

– Wiedział, jak bardzo kocham Spota, toteż na ten czas wyprawił mnie z domu. Spytałem się o ziarno i kiedy stary Yorky przygotowywał je dla mnie, poszedłem na tył budynku, usiadłem na starym młyńskim kamieniu, który wówczas tam leżał, i zacząłem płakać.

Jud powoli potrząsnął głową, wciąż uśmiechał się lekko.

– I wtedy zjawił się stary Stanny B. – ciągnął dalej. – Połowa ludzi w miasteczku uważała, że jest nieco świrnięty, reszta, że może być niebezpieczny. Na początku dziewiętnastego wieku jego dziadek był znanym traperem i handlarzem futer. Dziadek Stanny’ego docierał z wybrzeża aż do Bangor i Derry, czasem zapuszczał się na południe aż do Skowhegan, żeby kupić skórki, tak przynajmniej słyszałem. Miał wielki wóz pokryty pasami

skóry, wyglądał jak wóz magika. Wszędzie wymalował krzyże, bo był prawdziwym chrześcijaninem i kiedy sporo wypił, zaczynał wygłaszać kazania – tak twierdził Stanny, który uwielbiał opowiadać o swym dziadku – ale obok nich widniały pogańskie symbole indiańskie, ponieważ dziadek Stanny'ego wierzył, że wszyscy Indianie, niezależnie od szczepu, tak naprawdę należą do jednego wielkiego plemienia: zaginionego plemienia Izraela, o którym wspomina Biblia. Uważał, że czeka ich piekło, ale ich magia działa, bo mimo wszystko są chrześcijanami na swój własny przeklęty sposób.

Dziadek Stanny'ego kupował futra od Micmaców i prowadził z nimi interesy jeszcze długo po tym, gdy większość traperów i handlarzy zrezygnowała bądź przeniosła się na zachód. Radził sobie, bo zawsze płacił uczciwie, a także dlatego, że – jak twierdził Stanny – umiał na pamięć całą Biblię, a Micmacowie lubili, jak powtarzał im słowa, zasłyszane wcześniej od księży.

Jud umilkł. Louis czekał cierpliwie.

– Micmacowie opowiedzieli dziadkowi Stanny'ego B. o cmentarzysku, z którego już nie korzystali, bo Wendigo zatruł ziemię, a także o Moczarach Małego Boga, stopniach i całej reszcie. W tamtych czasach na całej północy można było usłyszeć opowieści o Wendigo. Indianie musieli mieć coś takiego, tak jak my potrzebujemy niektórych naszych chrześcijańskich opowieści. Gdyby Norma usłyszała, co mówię, skrzyczałaby mnie za bluźnierstwo, ale Louis, to prawda.

Czasami, jeśli zima przeciągała się zanadto i brakowało żywności, Indianie z północy docierali w końcu do granicy, za którą mogli tylko umrzeć z głodu… albo zrobić coś innego.

– Kanibalizm? – spytał Louis.

Jud wzruszył ramionami.

– Może. Może wybierali kogoś starego i słabego i przez jakiś czas znów mieli co włożyć do garnka. A wtedy powtarzali sobie historię, że Wendigo przeszedł przez ich wioskę czy obóz, gdy spali, i dotknął ich. Dotknięcie Wendigo miało sprawiać, że ludzie czuli nagle apetyt na mięso swych bliźnich.

Louis przytaknął.

– Obchodzili tabu, mówiąc, że zmusił ich do tego diabeł.

– Jasne. Osobiście zgaduję, że tutejsi Micmacowie musieli uciec się do tego i pogrzebali kości tego, kogo zjedli – może paru osób, a może nawet dziesięciu, dwudziestu – na swoim cmentarzysku.

– A potem uznali, że ziemia się zepsuła – mruknął Louis.

– I tak oto Stanny B. poszedł na tyły stajni, pewnie po to, by pociągnąć z flaszki – powiedział Jud – już i tak nieźle ugotowany. Jego dziadek w chwili śmierci był wart jakiś milion dolarów, tak przynajmniej mówili ludzie, natomiast Stanny B. pozostał tylko miejscowym biedakiem. Spytał mnie, co się stało, a ja mu powiedziałem. Zobaczył, że płakałem, i oznajmił, iż

istnieje sposób, w jaki można to naprawić, jeśli mam dość odwagi i jestem pewien, że tego chcę.

Odparłem, że oddałbym wszystko, byle tylko Spot znów wyzdrowiał, i spytałem, czy zna weterynarza, który mógłby go wyleczyć. Nie znam żadnych weterynarzy, odparł Stanny, ale wiem, co zrobić z twoim psem, chłopcze. Wracaj do domu i powiedz ojcu, żeby wsadził psa do worka po ziarnie, ale nie grzeb go, o nie! Zaciągnij go na Cmętarz Zwieżąt i połóż w cieniu wielkiego wiatrołomu. Potem wróć do domu jak gdyby nigdy nic.

Spytałem, co to da, i Stanny kazał mi tej nocy nie zasypiać i wyjść, gdy rzuci mi w okno kamieniem. „A zrobię to o północy, chłopcze, jeśli więc zapomnisz o Stannym B. i zaśniesz, Stanny zapomni o tobie i możesz się pożegnać z psem, niech idzie wprost do piekła!”.

Jud spojrzał na Louisa i zapalił kolejnego papierosa.

– Wszystko poszło tak, jak mówił Stanny. Kiedy wróciłem do domu, ojciec oznajmił, że zastrzelił Spota, żeby oszczędzić mu cierpień. Nie musiałem nawet wspominać o Cmętarzu Zwieżąt. Ojciec spytał mnie, czy według mnie Spot nie chciałby zostać tam pogrzebany, a ja odparłem, że chyba tak. No i poszedłem, wlokąc za sobą mojego psa w worku po ziarnie. Tato spytał, czy ma mi pomóc, a ja odmówiłem, bo pamiętałem, co powiedział Stanny B.

Tej nocy leżałem w łóżku całe wieki, przynajmniej tak mi się zdawało. Wiesz, jak dzieci odbierają czas. Miałem wrażenie, że zaraz nastanie ranek, a wtedy zegar

wybijał dziesiątą, potem jedenastą. Kilka razy o mało nie przysnąłem, lecz zawsze natychmiast się budziłem. Zupełnie jakby ktoś potrząsnął mną i rzekł: „Obudź się, Jud! Obudź się!”. Jakby coś chciało, żebym nie zasnął.

Louis, słysząc to, uniósł brwi i Jud wzruszył ramionami, jakby wiedział, że jego słowa brzmią dziwnie.

– Gdy zegar na dole wybił dwunastą, wstałem i usiadłem ubrany na łóżku. Za oknem świecił księżyc. Ledwie się obejrzałem, wybiło wpół do, potem pierwsza, a Stanny B. wciąż się nie pokazał. Pomyślałem sobie: Zapomniał o mnie, durny Francuz, i właśnie miałem zdjąć ubranie, gdy dwa kamyki rąbnęły o szybę, o mało jej nie tłukąc. Jeden z nich uderzył z taką siłą, że szkło pękło, ale zauważyłem to dopiero następnego ranka, a matka dopiero w zimie i sądziła, że to wina mrozu. Całe szczęście.

Pędem podbiegłem do okna i podniosłem je. Zazgrzytało głośno, tak jak to bywa tylko w dzieciństwie, kiedy chcesz wymknąć się po północy…

Louis zaśmiał się, choć nie pamiętał, by kiedykolwiek chciał wydostać się z domu w mroku po północy, gdy miał dziesięć lat. Nie wątpił jednak, iż gdyby miał taki zamiar, okno zatrzeszczałoby, choć za dnia nigdy się to nie zdarzało.

– Myślałem, że rodzice obudzą się, sądząc, że do domu próbują się włamać złodzieje. Gdy jednak moje serce uspokoiło się nieco, usłyszałem ojca wciąż chrapiącego jak parowóz w sypialni na parterze.

Wyjrzałem i ujrzałem Stanny’ego B. stojącego na podjeździe z podniesioną głową. Chwiał się na nogach, jakby zamiast słabego wietrzyku wiała wichura. Myślę, że nie przyszedłby wtedy, gdyby nie to, że dotarł do tego etapu pijaństwa, kiedy człowiek jest przytomny jak przytruta sowa i nic go nie obchodzi. A potem wrzasnął na mnie – choć pewnie myślał, że szepcze – „Schodzisz, chłopcze, albo ja wejdę tam po ciebie!”.

– Ciii – odparłem, śmiertelnie przerażony, że ojciec obudzi się i zleje mnie tak jak jeszcze nigdy w życiu. „Co mówisz?” – spytał Stanny jeszcze głośniej niż przedtem. Gdyby moi rodzice spali w pokoju od strony drogi, tak jak my teraz, byłbym skończony. Ale okna ich sypialni, tej samej, którą używamy obecnie z Normą, wychodziły na rzekę.

– Założę się, że cholernie szybko zbiegłeś po schodach – wtrącił Louis. – Masz jeszcze piwo? – Co prawda przekroczył już o dwie puszki swój zwykły limit, ale tego wieczoru wydawało mu się to w porządku. Tego wieczoru czuł, że to jego obowiązek.

– Owszem, i wiesz, gdzie je znaleźć. – Jud zapalił kolejnego papierosa. Zaczekał, póki Louis znów nie usiadł. – Nie, nie odważyłbym się zejść po schodach. Przechodziły one obok sypialni rodziców. Zsunąłem się po kracie od bluszczu, jak najszybciej mogłem. Mówię ci, strasznie się bałem, ale bardziej niż wyprawy na Cmętarz Zwieżąt ze Stannym B. obawiałem się ojca.

Zgniótł papierosa.

– Poszliśmy tam wtedy obydwaj i Stanny B. wywalił się chyba z pół tuzina razy. Był naprawdę urżnięty; śmierdział, jakby wpadł do kadzi ze spirytusem. Raz o mało nie przebił sobie gardła patykiem. Ale miał ze sobą kilof i szpadel. Gdy dotarliśmy na Cmętarz Zwieżąt, spodziewałem się, że poda mi je i padnie, podczas gdy ja będę kopał dół. Zamiast tego zdawało się, że nieco wytrzeźwiał. Powiedział, że idziemy dalej, przez wiatrołom, jeszcze głębiej w las, w miejsce, gdzie leży kolejny cmentarz. Spojrzałem na niego, tak pijanego, że ledwie trzymał się na nogach, potem na wiatrołom i powiedziałem: „Nie możesz się na to wdrapać, Stanny B. Skręcisz sobie kark".

„Nie skręcę sobie karku – odpowiedział. – I ty też nie. Mogę iść, a ty możesz ciągnąć swojego psa". I miał rację. Pokonał wiatrołom gładko jak po maśle, ani razu nie patrząc w dół. A ja powlokłem za sobą Spota, choć ważył prawie dwadzieścia kilo, a ja nieco ponad czterdzieści. Mówię ci, Louis, następnego dnia byłem okrutnie obolały. A jak ty czujesz się dzisiaj?

Louis nie odpowiedział. Jedynie skinął głową. Piwo zaczynało działać i cieszył się z tego.

– Szliśmy tak i szliśmy – ciągnął Jud. – Miałem wrażenie, że będzie to trwać wiecznie. W tamtych czasach lasy były bardziej niesamowite. Żyło tu więcej ptaków, a człowiek nie wiedział, co to za głosy wśród drzew. Wokół krążyły zwierzęta, głównie jelenie, ale były tu też łosie, niedźwiedzie i dzikie koty. Wciąż wlokłem za

sobą Spota. Po jakimś czasie zaczęło mi się wydawać, że Stanny B. zniknął, a ja idę tropem Indianina, który lada moment odwróci się, ciemnooki i uśmiechnięty, z twarzą wymalowaną śmierdzącą farbą z niedźwiedziego sadła, w ręku będzie miał tomahawk z kawałka łupku i jesionowego drewna związanych rzemieniem, i złapie mnie za kark, po czym odrąbie mi skalp – razem z kawałkiem czaszki. Stanny nie potykał się już i nie upadał. Szedł łatwo i prosto, z podniesioną głową, co jeszcze wzmogło to wrażenie. Gdy jednak dotarliśmy na skraj Moczarów Małego Boga i odwrócił się, by ze mną pomówić, przekonałem się, że to wciąż Stanny, a powód, dla którego się już nie potykał i nie upadał, był prosty: on się bał. Wytrzeźwiał z przerażenia.

Powiedział mi te same rzeczy, które ja powiedziałem wczoraj tobie: o nurach, ogniach świętego Elma i o tym, żebym nie zwracał uwagi na nic, co zobaczę bądź usłyszę. Przede wszystkim, powiedział, nie odzywaj się do niczego, co odezwie się do ciebie. Potem ruszył przez moczary. I rzeczywiście coś zobaczyłem. Nie powiem ci co, ale od tej pory byłem tam może pięć razy i nigdy więcej nie widziałem czegoś takiego. I nie zobaczę, Louis, bo wczorajsza wyprawa na cmentarzysko Micmaców była moją ostatnią wyprawą.

Nie siedzę tu chyba i nie wierzę w to wszystko? – spytał sam siebie Louis – trzy piwa sprawiły, że przynajmniej w jego własnych myślach słowa te zabrzmiały swobodnie i naturalnie. Nie siedzę tu i nie

wierzę w historie o starych Francuzach, indiańskich cmentarzyskach, czymś zwanym Wendigo i zwierzętach wracających do życia. Na miłość boską, kot był ogłuszony, to wszystko. Samochód uderzył go i ogłuszył. Nic wielkiego. To tylko gadanina zdziecinniałego starca.

Tyle że tak nie było i Louis dobrze o tym wiedział. Trzy piwa nie mogły uciszyć tej wiedzy, tak jak nie zdołałyby tego zrobić trzydzieści trzy.

Po pierwsze, Church nie żył. Po drugie, teraz był żywy. A po trzecie, całkowicie się zmienił, było z nim coś nie w porządku. Coś się zdarzyło. Jud odwdzięczył mu się… lecz może lek dostępny na cmentarzysku Micmaców nie był do końca skuteczny i Louis dostrzegł w oczach Juda coś, co świadczyło, że starzec dobrze o tym wie. Przypomniał mu się wyraz oczu, który dostrzegł – bądź wydało mu się, że dostrzegł – u Juda zeszłego wieczoru. Podstępna złośliwa radość. Przypomniał sobie, jak myślał, że decyzja, by zabrać na nocną wyprawę Louisa z kotem Ellie, nie do końca należała do Juda.

A zatem do kogo? – spytał jego umysł. Ale ponieważ nie było odpowiedzi, Louis odepchnął od siebie to pytanie.

– Pogrzebałem Spota i zbudowałem mu kopiec – ciągnął beznamiętnie Jud. – Nim skończyłem, Stanny B. zdążył twardo zasnąć. Musiałem mocno nim potrząsać, żeby go dobudzić. Kiedy jednak zeszliśmy po czterdziestu czterech schodach…

– Czterdziestu pięciu – mruknął Louis.

Jud przytaknął.

– Rzeczywiście, czterdziestu pięciu. Kiedy zeszliśmy po czterdziestu pięciu schodach, szedł pewnie, jakby znowu był trzeźwy. Wróciliśmy przez moczary, las i wiatrołom, aż wreszcie przeszliśmy przez drogę i znów dotarliśmy do mojego domu. Miałem wrażenie, jakby minęło dziesięć godzin, wciąż jednak było zupełnie ciemno.

„I co teraz?" – spytałem Stanny'ego B.

„Teraz zaczekaj i zobacz, co może się zdarzyć" – odparł i odszedł, chwiejąc się i potykając. Podejrzewam, że resztę nocy spędził na tyłach stajni. Okazało się też, że mój pies Spot przeżył Stanny'ego B. o dwa lata. Wysiadła mu wątroba i zatruła go. Dwoje dzieciaków znalazło go czwartego lipca tysiąc dziewięćset dwunastego roku, sztywnego jak kłoda.

Ale tamtej nocy wdrapałem się po bluszczu, wsunąłem do łóżka i zasnąłem niemal w tej samej chwili, gdy głową dotknąłem poduszki.

Następnego ranka spałem prawie do dziewiątej. Nagle usłyszałem głos matki. Wołała mnie. Mój tato pracował na kolei i wychodził o szóstej. – Jud urwał, zastanawiając się nad czymś. – Matka nie wołała mnie tak po prostu, Louis. Naprawdę krzyczała.

Jud podszedł do lodówki, wyjął flaszkę millera i otworzył ją o uchwyt szuflady pod pojemnikiem na chleb i tosterem. W blasku żarówki jego twarz wyglądała dziwnie żółto, miała barwę nikotyny. Jednym łykiem do

połowy opróżnił butelkę, beknął jak z armaty i obejrzał się w stronę pokoju, w którym spała Norma. W końcu spojrzał na Louisa.

– Trudno mi o tym mówić – rzekł. – Całymi latami dusiłem to w sobie, ale nigdy nikomu nie powiedziałem. Inni wiedzieli, co się stało, lecz nie wspominali o tym. To coś tak jak z seksem. Mówię ci to teraz, Louis, bo od dziś masz inne zwierzę. Nie niebezpieczne… ale inne. Nieprawdaż?

Louis pomyślał o Churchu zeskakującym niezręcznie z deski klozetowej, o jego zadzie trącającym z łoskotem bok wanny, o mętnych oczach, prawie, lecz nie do końca pustych, spoglądających wprost na niego.

W końcu przytaknął.

– Kiedy zszedłem, matka stała w kącie spiżarni, między skrzynią z lodem i kredensem. Na podłodze leżało coś białego – firanki, które zamierzała powiesić – a w drzwiach spiżarni stał Spot, mój pies, cały pokryty ziemią, z zabłoconymi łapami. Futro na jego brzuchu było brudne, splątane i potargane. Po prostu tam stał – nie warczał ani nic takiego – tylko stał. Lecz wyraźnie widziałem, że to on zagnał ją do kąta – czy tego chciał, czy nie. Była przerażona, Louis. Nie wiem, co czułeś do własnych rodziców, ale ja bardzo oboje kochałem. Świadomość, że zrobiłem coś, co tak przeraziło matkę, pozbawiła mnie radości, którą mogłem poczuć na widok Spota. Nie czułem nawet zdziwienia, że tam był.

– Znam to uczucie – wtrącił Louis. – Kiedy dziś rano

zobaczyłem Churcha, po prostu wyglądało to, no… – Urwał. ***Zupełnie naturalnie?*** Umysł podsunął właśnie te słowa, ale nie zabrzmiały właściwie. – Jak coś, co miało się zdarzyć.

– Tak – przytaknął Jud i zapalił papierosa. Jego dłonie lekko drżały. – A kiedy matka zobaczyła mnie tam, stojącego w bieliźnie, krzyknęła: „Nakarm swojego psa, Jud. Musisz go nakarmić. Zabierz go stąd, zanim zabrudzi firanki!”.

Znalazłem trochę resztek i go zawołałem, i z początku nie przyszedł, jakby nie znał swojego imienia, i prawie już pomyślałem: To w ogóle nie jest Spot, to jakiś kundel, który wygląda jak Spot i tyle…

– Właśnie! – krzyknął Louis tak gwałtownie, że zaskoczył samego siebie.

Jud skinął głową.

– Lecz kiedy zawołałem go drugi, trzeci raz, przyszedł. Podszedł do mnie chwiejnym szarpanym krokiem, a gdy wyprowadziłem go na werandę, niech mnie licho, jeśli nie wpadł na krawędź drzwi i mało nie upadł. Zjadł jednak resztki, pożarł je z wielkim apetytem. Do tego czasu minął już pierwszy strach i zaczynałem orientować się, co zaszło. Ukląkłem i uściskałem go, tak bardzo cieszyłem się, że jest ze mną. Przez sekundę przestraszyłem się, że go ściskam i – chyba to sobie wyobraziłem, ale jednak – wydało mi się, że warknął. Tylko przez sekundę, potem oblizał mi twarz i…

Jud zadrżał i dokończył piwo.

– Louis, jego język był zimny. Kiedy Spot mnie lizał, to jakby ktoś potarł mi twarz martwą rybą.

Przez chwilę obaj milczeli. W końcu Louis rzekł:

– Mów dalej.

– Zjadł, a kiedy skończył, wyniosłem starą wannę, którą trzymaliśmy specjalnie dla niego pod schodami tylnej werandy, i wykąpałem go. Spot nienawidził kąpieli, zazwyczaj musieliśmy go kąpać we dwóch z tatą, a pod koniec obaj ociekaliśmy wodą, ojciec przeklinał, a Spot sprawiał wrażenie zawstydzonego, jak to zwykle psy. Najczęściej też od razu tarzał się w kurzu, po czym podchodził do sznura na bieliznę matki, by się otrzepać, i brudził całe pranie, a ona wrzeszczała na nas obu, że wcześniej czy później zastrzeli go jak kundla.

Lecz tego dnia Spot po prostu siedział w wannie i pozwolił mi się umyć. Ani razu nie drgnął. Nie podobało mi się to. Zupełnie jakbym… mył kawał mięsa. Później przyniosłem stary ręcznik i wytarłem go. Widziałem miejsca, w których nadział się na drut kolczasty – nie rosło na nich futro, a ciało sprawiało wrażenie wgłębionego, zupełnie jak stara rana, która zabliźniła się kilka lat wcześniej, jeśli kiedykolwiek widziałeś coś takiego.

Louis przytaknął. W pracy od czasu do czasu zdarzało mu się oglądać podobne blizny. Rana nigdy nie wypełniała się do końca i widok ów sprawiał, że zaczynał myśleć o grobach i czasach, gdy jako dzieciak pracował w przedsiębiorstwie pogrzebowym i odkrywał, że zawsze

brakuje ziemi, by do końca zasypać dół.

– A potem ujrzałem jego głowę. Było tam kolejne zagłębienie, lecz tym razem sierść odrosła, tworząc małe białe kółko. Tuż obok ucha.

– W miejscu, gdzie postrzelił go twój ojciec – domyślił się Louis.

Jud skinął głową.

– Ano.

– Strzał w głowę człowieka lub zwierzęcia nie jest tak pewny, jak się wydaje, Jud. Na oddziałach spotykałem niedoszłych samobójców, żywe rośliny karmione przez rurki. Jest też sporo ludzi, którzy chodzą po świecie jak gdyby nigdy nic. Nie wiedzieli, że kula może odbić się od kości czaszki i zatoczyć łuk, wylatując z drugiej strony, nie uszkodziwszy mózgu. Osobiście widziałem jeden przypadek, w którym gość strzelił sobie w głowę nad prawym uchem i umarł, ponieważ kula okrążyła jego czaszkę i rozdarła arterię po drugiej stronie szyi. Pozostawiona przez nią ścieżka przypominała rysunek wiejskiej drogi na mapie.

Jud uśmiechnął się i przytaknął.

– Pamiętam, jak czytałem o czymś takim w jednej z gazet Normy, „Star” albo „Enquirerze”, jednej z nich. Ale jeśli mój tato twierdził, że Spot nie żył, Louis, to nie żył.

– No dobrze – ustąpił Louis.

– Czy kot twojej córki nie żył?

– Z pewnością tak myślałem.

– Musisz postarać się lepiej. Jesteś lekarzem.

– W twoich ustach to brzmi jak „Musisz postarać się lepiej, Louis. Jesteś Bogiem”. Nie jestem Bogiem. Było ciemno…

– Owszem, było ciemno, a jego głowa kołysała się na szyi jak worek pełen łożysk kulkowych. Gdy go ruszyłeś, musiałeś go oderwać, bo przymarzł do ziemi – zupełnie jakbyś odrywał od listu taśmę klejącą. Żywe istoty nie przymarzają. Kiedy szron przestaje topić się pod nami, to znaczy, że jesteśmy martwi.

W sąsiednim pokoju zegar wybił wpół do jedenastej.

– Co powiedział twój ojciec, kiedy wrócił i zobaczył psa? – spytał z ciekawością Louis.

– Byłem wtedy na podjeździe, grałem w kulki. Prawdę mówiąc, czekałem na niego. Czułem się jak zawsze, kiedy zrobiłem coś złego, i wiedziałem, że pewnie dostanę w skórę. Przeszedł przez bramę około ósmej, ubrany w farmerki i płócienną czapkę – widziałeś kiedy taką?

Louis przytaknął, po czym stłumił ziewnięcie, zasłaniając dłonią usta.

– Owszem, robi się późno – rzekł Jud. – Powinienem kończyć.

– Nie jest aż tak późno – nie zgodził się Louis. – Po prostu trochę przekroczyłem mój dzienny limit piwa. Mów dalej, Jud. Nie spiesz się. Chcę to usłyszeć.

– Tato miał starą puszkę po smalcu, w której chował obiad – ciągnął Jud. – Przeszedł przez bramę, wymachując pustą puszką, którą trzymał za rączkę. Coś

gwizdał. Robiło się ciemno, ale dostrzegł mnie w półmroku i rzekł: „Cześć, Judkins!”, jak zwykle. A potem: „Gdzie twoja..”.

W tym momencie z ciemności wynurzył się Spot. Nie biegł jak zwykle, gotów skoczyć na niego z radości. Po prostu szedł, machając ogonem, a ojciec upuścił puszkę i cofnął się o krok. Sam nie wiem, ale mam wrażenie, że odwróciłby się i uciekł, gdyby nie to, że natrafił plecami na ogrodzenie i zatrzymał się, patrząc na psa. A kiedy Spot skoczył wreszcie na niego, ojciec złapał go za łapy i przytrzymał jak damę tuż przed tym, nim ruszysz z nią do tańca. Długi czas przyglądał się psu, a potem spojrzał na mnie i powiedział: „Powinieneś go wykąpać, Jud. Śmierdzi ziemią, w której go pogrzebałeś”. To rzekłszy, poszedł do domu.

– I co zrobiłeś? – chciał wiedzieć Louis.

– Znów go wykąpałem. Siedział bez ruchu w wannie, akceptując wszystko. A kiedy wróciłem do domu, matka już się położyła, choć nie minęła jeszcze dziewiąta. Tato rzekł: „Musimy pogadać, Judkins”. Usiadłem naprzeciw niego i zaczął ze mną rozmawiać, po raz pierwszy w życiu jak mężczyzna z mężczyzną. Z drugiej strony drogi, z miejsca, gdzie teraz stoi twój dom, dobiegał zapach wiciokrzewów, mieszający się z wonią dzikich róż z naszego własnego domu. – Jud Crandall westchnął. – Zawsze myślałem, że dobrze byłoby pomówić z nim w ten sposób, ale nie było dobrze. Wcale a wcale. A dzisiejszy wieczór, Louis – zupełnie jakbym spojrzał w

lustro ustawione dokładnie naprzeciw drugiego lustra i zobaczył samego siebie znikającego w korytarzu odbić. Ciekawe, ile razy ludzie powtarzali sobie tę historię, wciąż taką samą, poza zmieniającymi się imionami? To też przypomina seks, prawda?

– Twój tato wiedział o wszystkim?

– Ano. „Kto cię tam zaprowadził, Jud?" – spytał. A ja mu powiedziałem. Przytaknął bez słowa, jakby się tego spodziewał. I pewnie tak było, choć później dowiedziałem się, że w owych czasach w Ludlow żyło sześć, może osiem osób, które mogły mnie tam zabrać. Pewnie wiedział, że tylko Stanny B. jest dość szalony, by mi powiedzieć.

– Spytałeś go, czemu sam cię tam nie zabrał, Jud?

– Owszem. Gdzieś w trakcie długiej rozmowy zadałem to pytanie, a on odparł, że to złe miejsce, naprawdę złe i rzadko przynosiło coś dobrego ludziom, którzy stracili swoje zwierzęta, czy też samym zwierzętom. Spytał, czy lubię Spota takiego, jakim się stał i, wiesz, Louis, strasznie trudno było mi odpowiedzieć. To ważne, bym dokładnie ci to wyjaśnił, bo wcześniej czy później spytasz mnie, czemu zaprowadziłem cię tam z kotem twojej córki, skoro to coś złego. Nieprawdaż?

Louis skinął głową. Co Ellie pomyśli o Churchu, kiedy wróci? Myśl ta dręczyła go, gdy tego popołudnia grali ze Steve'em Mastertonem w racquetball.

– Może zrobiłem to, ponieważ dzieci powinny się dowiedzieć, że śmierć bywa lepsza – rzekł z trudem Jud.

– To coś, o czym twoja Ellie nie ma pojęcia i mam wrażenie, że nie wie tego, bo twoja żona też tego nie wie. Proszę, powiedz mi, że się mylę i zostawimy tę sprawę.

Louis otworzył usta i zamknął je.

Jud ciągnął dalej, bardzo powoli wymawiając kolejne słowa, przeskakując od jednego do drugiego ostrożnie niczym po kępach trawy na Moczarach Małego Boga poprzedniego wieczoru.

– Mijały lata, a ja widziałem, jak to się działo, raz za razem. Chyba wspominałem ci, że Lester Morgan pochował tam swojego byka zarodowego, rasowego buhaja imieniem Hanratty. Czyż to nie głupie imię dla byka? Zdechł na jakiś wrzód i Lester zaciągnął go na miejsce na saniach. Nie mam pojęcia, jak mu się to udało, jak zdołał pokonać wiatrołom, ale powiadają, że jeśli chcesz coś zrobić, to zrobisz. I uważam, że to prawda, przynajmniej jeśli chodzi o tamten cmentarz.

No cóż, Hanratty wrócił, ale Lester zastrzelił go dwa tygodnie później. Byk stał się złośliwy, naprawdę złośliwy, ale to jedyne zwierzę, które w ten sposób się zmieniło. Większość zdawała się jedynie nieco głupia, odrobinę powolna, odrobinę…

– Odrobinę martwa?

– Właśnie – przytaknął Jud. – Odrobinę martwa. Nieco dziwna. Zupełnie jakby były… gdzieś… i wróciły… ale nie do końca. Twoja córka nie będzie o tym wiedzieć, Louis. Nie zorientuje się, że jej kot wpadł pod samochód, zginął i powrócił. Mógłbyś więc powiedzieć,

że nie da się nauczyć czegoś dziecka, skoro nie wie ono nawet, czego się uczy. Tyle że…

– Tyle że czasami to możliwe – wtrącił Louis, mówiąc bardziej do siebie niż do Juda.

– Owszem – zgodził się Jud. – Czasami to możliwe. Zorientuje się, że coś się stało i Church wcześniej był jakby lepszy. Może częściowo dowie się, na czym polega śmierć, że to chwila, w której kończy się ból, a zaczynają dobre wspomnienia. Nie koniec życia, lecz koniec bólu. Nie musisz jej tego mówić, sama dojdzie do wszystkiego.

A jeśli choć trochę mnie przypomina, nadal będzie kochać swe zwierzę. Kot nie stanie się złośliwy, nie zacznie gryźć czy coś takiego. Będzie go kochała, ale… wyciągnie własne wnioski… i kiedy w końcu Church umrze, odetchnie z ulgą.

– To dlatego mnie tam zabrałeś. – Louis czuł się lepiej. Miał wreszcie wyjaśnienie. Było nieco mętne i bardziej opierało się na logice ciała i nerwów niż rozsądnego umysłu, lecz zważywszy na okoliczności, uznał, że zdoła je zaakceptować, a to znaczyło, że może już zapomnieć wyraz, który, jak mu się zdawało, dostrzegł na twarzy Juda zeszłego wieczoru – tę mroczną, podstępną radość. – No dobra, czyli…

Gwałtownie, niemal szokująco nagle, Jud ukrył twarz w dłoniach. Przez moment Louisowi wydało się, że dopadł go nagły ból. Na wpół podniósł się z krzesła zatroskany, potem jednak dostrzegł gwałtowne ruchy żeber i pojął, iż starzec z najwyższym trudem

powstrzymuje płacz.

– Dlatego, ale i nie dlatego – rzekł zduszonym, zdławionym głosem. – Zrobiłem to z tego samego powodu, z jakiego zrobił to Stanny B. i z jakiego Lester Morgan to zrobił. Lester zabrał na cmentarz Lindę Lavesque po tym, jak jej pies wpadł pod samochód na drodze. Zabrał ją tam, choć sam musiał pozbyć się byka, który ganiał dzieci po pastwisku, zupełnie jakby oszalał. I tak to zrobił. Musiał, Louis – niemal wyjęczał Jud. – I co ty na to, na rany Chrystusa?

– Jud, o czym ty mówisz? – spytał zaniepokojony Louis.

– Lester to zrobił i Stanny to zrobił, z tego samego powodu co ja. Robisz tak, bo to miejsce ma nad tobą władzę. Robisz tak, bo to sekretne miejsce, a ty chcesz podzielić się z kimś tym sekretem. I kiedy znajdziesz powód, który uznasz za dostatecznie dobry, po prostu… – Jud oderwał dłonie od twarzy i spojrzał na Louisa oczami, które zdawały się niewiarygodnie stare i znużone. – Po prostu to robisz. Wymyślasz sobie powody, wydają ci się dobre, lecz głównie robisz tak, bo tego chcesz albo dlatego że musisz. Mój tato nie zabrał mnie tam, bo tylko słyszał o tym miejscu, ale nigdy tam nie był. Stanny B. był… i zaprowadził mnie… a potem minęło siedemdziesiąt lat i wreszcie, nagle…

Jud potrząsnął głową i odkaszlnął sucho.

– Posłuchaj – rzekł. – Posłuchaj, Louis. Byk Lestera to jedyne cholerne zwierzę, które stało się naprawdę złe.

Zdaje się, że kundel panny Lavesque ugryzł kiedyś listonosza, już po. Słyszałem też kilka innych rzeczy. Zwierzaki stawały się nieco złośliwe… lecz Spot pozostał dobrym psem. Zawsze śmierdział ziemią, nieważne, ile razy go kąpałem, zawsze śmierdział ziemią. Ale był dobrym psem. Moja matka już nigdy go nie dotknęła, ale nadal był dobrym psem. Mimo to, Louis, gdybyś chciał wyprowadzić dziś na dwór swego kota i zabić go, nie powiedziałbym ani słowa.

Tamto miejsce… natychmiast zyskuje nad tobą władzę… i wymyślasz sobie najbardziej przekonujące powody na świecie… ale mogę się mylić, Louis. To wszystko, co chciałem powiedzieć. Lester mógł się mylić, Stanny B. mógł się mylić. Nie jestem przecież Bogiem. Lecz przywracanie życia umarłym… to zupełnie tak jak zabawa w Boga, prawda?

Louis ponownie otworzył usta, ale je zamknął. To, co zamierzał powiedzieć, zabrzmiałoby źle, źle i okrutnie: ***Jud, nie przeszedłem przez to wszystko tylko po to, by znów zabić tego cholernego kota.***

Jud opróżnił do końca butelkę i ustawił ją ostrożnie obok innych.

– To chyba wszystko – rzekł. – Skończyłem.

– Mogę ci zadać jeszcze jedno pytanie? – spytał Louis.

– Chyba tak.

– Czy ktokolwiek pogrzebał tam kiedyś człowieka?

Ręka Juda szarpnęła się gwałtownie. Dwie butelki po

piwie spadły ze stołu, jedna stłukła się z trzaskiem.

– Chryste Panie w Niebiesiech! – rzekł do Louisa. – Nie! Kto chciałby to zrobić? Nie powinieneś nawet mówić o takich rzeczach, Louis.

– Po prostu byłem ciekaw – odparł Louis niespokojnie.

– Pewnych rzeczy nie należy być ciekawym – odparł Jud Crandall, i po raz pierwszy Louisowi Creedowi wydał się naprawdę stary i niedołężny. Jakby stał tuż nad świeżo wykopanym grobem.

Później w domu wygląd Juda w tamtej chwili skojarzył mu się z czymś jeszcze.

Jud wyglądał, jakby kłamał.

27

Louis nie wiedział, że jest pijany, póki nie dotarł do własnego garażu.

Na zewnątrz świeciły gwiazdy i lodowaty rąbek księżyca. Nie dawały dość światła, by rzucić cień, lecz wystarczająco wiele, by widzieć. Gdy znalazł się w garażu, oślepł. Gdzieś na ścianie był przełącznik, ale Louis nie mógł sobie przypomnieć gdzie. Powoli wymacywał drogę, szurając nogami. Kręciło mu się w głowie i w każdej chwili oczekiwał bolesnego uderzenia w kolano bądź zetknięcia z zabawką, o którą się potknie, a wtedy mógłby się wystraszyć czy nawet upaść i zrobić sobie krzywdę. Mógłby to być mały rower Ellie z czerwonymi bocznymi kółkami lub chodzik Gage'a.

Gdzie był kot? Czy zostawił go w domu?

Dziwnym trafem zboczył z kursu i wpadł na ścianę. Poczuł, jak w dłoń wbija mu się drzazga i krzyknął w ciemności „Cholera!"; dopiero wypowiedziawszy to słowo, odkrył, że zabrzmiał w nim nie tylko gniew, lecz przede wszystkim strach. Cały garaż wydawał się obcy, podstępny. Nie chodziło tylko o przełącznik; teraz nie wiedział już nawet, gdzie znaleźć cokolwiek, łącznie z drzwiami do kuchni.

Znów ruszył naprzód, wolno i ostrożnie. Bolała go dłoń. Tak pewnie wyglądałaby ślepota, pomyślał, i to

sprawiło, że przypomniał sobie koncert Stevie Wondera, na który poszli z Rachel – kiedy? Sześć lat temu? Niewiarygodne, ale prawdziwe. Była wtedy w ciąży z Ellie. Dwóch mężczyzn doprowadziło Wondera do syntezatora, pomagając mu bezpiecznie przekroczyć wijące się po scenie kable, tak by się nie potknął. A później, gdy wstał, żeby zatańczyć z jedną z chórzystek, ta poprowadziła go ostrożnie na skrawek wolnego miejsca. Louis pamiętał, że pomyślał wtedy, iż Wonder dobrze tańczy. Dobrze tańczył, ale potrzebował czyjejś ręki, by doprowadziła go w miejsce, gdzie mógł to robić.

Co powiedziałbyś teraz na rękę, która doprowadziłaby cię do drzwi kuchennych? – pomyślał… i zadrżał gwałtownie.

Gdyby w tym momencie z ciemności wynurzyła się pomocna dłoń, zacząłby krzyczeć – krzyczeć i krzyczeć bez końca.

Stanął bez ruchu z bijącym sercem. No dalej, powiedział sobie. Skończ z tymi głupotami i chodź.

Gdzie ten pieprzony kot?

I wtedy rzeczywiście wpadł na coś, na tylny zderzak swojej hondy. Ból z goleni poszybował w górę ciała, do oczu Louisa napłynęły łzy. Pospiesznie chwycił nogę i roztarł, stojąc na drugiej niczym czapla. Przynajmniej jednak wiedział teraz, gdzie się znajduje, znów dokładnie pamiętał rozkład garażu, a poza tym powoli odzyskiwał wzrok. Błogosławione widzenie w ciemności. Teraz przypomniał sobie, że istotnie zostawił kota w domu, bo

nie chciał go dotknąć, podnieść i wyrzucić, i…

I właśnie w tym momencie gorące włochate ciało Churcha przemknęło wzdłuż jego kostki niczym prąd gorącej wody, ohydny ogon owinął się wokół jego łydki niczym podstępny wąż i wtedy Louis krzyknął; otworzył szeroko usta i krzyknął.

28

– Tato! – krzyknęła Ellie.

Rzuciła się pędem ku niemu, wymijając w biegu innych wysiadających pasażerów z wprawą wytrawnego futbolisty. Większość ludzi z uśmiechem schodziła jej z drogi. Louis, lekko zakłopotany zapałem córki, poczuł jednak, że jego własną twarz także rozjaśnia szeroki uśmiech.

Rachel dźwigała w ramionach Gage'a, który widząc ojca i słysząc okrzyk Ellie, również wrzasnął z zachwytem: „Taaaaaaaa!" i zaczął wiercić się w objęciach matki. Ta uśmiechnęła się (z lekkim znużeniem, pomyślał Louis) i postawiła go na ziemi. Gage natychmiast pobiegł za Ellie, przebierając mocnymi nóżkami. – Taaaaooo! Taaaa!

Louis ledwie zdążył zauważyć, iż chłopczyk ma na sobie bluzę, której dotąd nie widział – najpewniej to sprawka dziadka – gdy Ellie skoczyła ku niemu, wdrapując się na ojca jak na drzewo.

– Cześć, tato! – ryknęła i tak mocno klepnęła go w policzek, że następny kwadrans dzwoniło mu w uchu.

– Cześć, złotko – odparł, nachylając się, by złapać Gage'a. Dźwignął synka i uściskał oboje. – Cieszę się, że wróciliście.

W tym momencie podeszła do nich Rachel. Na

jednym ramieniu niosła torbę podróżną i niewielką torebkę, na drugim – paczkę pieluch Gage'a (na opakowaniu wypisano NIEDŁUGO BĘDĘ JUŻ DUŻY, słowa mające bardziej pocieszyć rodziców niż zainteresować dziecko). Wyglądała jak zawodowy fotograf pod koniec długiej, męczącej sesji.

Louis schylił się między dziećmi i ucałował ją w usta.

– Hej.

– Hej, doktorku. – Uśmiechnęła się.

– Wyglądasz na skonaną.

– Jestem skonana. Bez problemów dotarliśmy do Bostonu. Bez problemów przesiedliśmy się i wystartowaliśmy. Ale w chwili gdy samolot kołował nad miastem, Gage spojrzał w dół, powiedział „Ładnie, ładnie" i cały się obrzygał.

– Jezu! – jęknął Louis.

– Przebrałam go w łazience – ciągnęła. – To raczej nie wirus ani nic takiego. Po prostu choroba powietrzna.

– Chodźcie do domu. Na kuchence czeka chilli.

– Chilli! Chilli! – krzyknęła entuzjastycznie Ellie wprost w ucho ojca, dając się porwać radości i podnieceniu.

– Chijiii! Chiiijiii! – wrzasnął Gage z drugiej strony. Teraz przynajmniej Louisowi dzwoniło w obu uszach.

– No dalej – powiedział. – Bierzmy walizki i spadajmy stąd.

– Tatusiu, jak się miewa Church? – spytała Ellie, gdy sadzał ją w samochodzie. Louis spodziewał się tego

pytania, nie oczekiwał jednak niespokojnej miny córki i głębokiej zmarszczki pomiędzy jej ciemnoniebieskimi oczami. Uniósł brwi i spojrzał na żonę.

– W weekend obudziła się z krzykiem – wyjaśniła cicho Rachel. – Miała zły sen.

– Śniło mi się, że Church wpadł pod samochód – dodała Ellie.

– Zbyt wiele kanapek z indykiem po wielkim dniu, takie jest moje zdanie – oznajmiła Rachel. – Miała też lekkie rozwolnienie. Uspokój więc ją, Louis, i wynośmy się z tego lotniska. Przez ostatni tydzień widziałam dość lotnisk. Starczy mi na najbliższych pięć lat.

– Church ma się dobrze, złotko – odrzekł wolno Louis.

Tak, dobrze. Całymi dniami wyleguje się w domu i obserwuje mnie tymi dziwnymi, mętnymi oczami – zupełnie jakby tamtej nocy zobaczył coś, co zniszczyło w nim nawet tę mizerną resztkę kociej inteligencji. Miewa się świetnie. Wieczorami wypycham go z domu szczotką, bo nie chcę go dotykać. A ostatnio, kiedy otworzyłem drzwi, trzymał w pysku mysz – czy raczej to, co z niej zostało. Rozwlókł flaki i zjadł na śniadanie. A skoro już mowa o śniadaniu, to ja tego ranka zrezygnowałem z mojego. Poza tym…

– Nic mu nie jest.

– Och! – zmarszczka pomiędzy jej oczami wygładziła się. – To dobrze. Kiedy miałam ten sen, byłam pewna, że zginął.

– Naprawdę? – Louis uśmiechnął się. – Sny są zabawne, prawda?

– Snyyyyy! – ryknął Gage. Wszedł właśnie w etap papugowania wszystkiego; Louis dobrze to pamiętał z dzieciństwa Ellie. Malec chwycił garść włosów Louisa i szarpnął z takim zapałem, że ojcu pokazały się gwiazdy.

– No dalej, kochani – rzucił Louis i razem ruszyli po odbiór bagażu.

Dotarli już do stojącego na parkingu samochodu, gdy Gage zaczął powtarzać: „Ładnie, ładnie" dziwnym, przerywanym czkawką głosem. Tym razem zwymiotował na Louisa, wprost na grubo tkane spodnie, które Louis włożył specjalnie na powitanie rodziny. Najwyraźniej w opinii Gage'a „ładnie" oznaczało w istocie „Uwaga, odsuńcie się, zaraz zwymiotuję".

Okazało się, że to jednak był wirus.

Nim pokonali dwadzieścia pięć kilometrów, dzielących dom w Ludlow od bangorskiego lotniska, Gage zaczął zdradzać objawy gorączki i zapadł w niespokojną drzemkę. Louis powoli wprowadził auto do garażu. Kątem oka dostrzegł Churcha przemykającego pod ścianą z wysoko uniesionym ogonem. Jego dziwne oczy spoglądały wprost na samochód. Po sekundzie kot rozpłynął się w gasnącym blasku dnia i moment później Louis ujrzał następną rozszarpaną mysz obok stosu czterech letnich opon – podczas nieobecności Rachel i dzieci założył zimowe. Wnętrzności zwierzątka połyskiwały w półmroku wilgotną czerwienią. Mysz nie

miała głowy.

Louis szybko wstał zza kierownicy i z rozmysłem wpadł na opony, ułożone jedna na drugiej niczym olbrzymie pionki do warcabów. Dwie z nich spadły, zakrywając mysz.

– Auć! – westchnął.

– Niezgrabiasz z ciebie, tato – zauważyła miłym tonem Ellie.

– Zgadza się – odparł Louis z udanym rozbawieniem. Miał wrażenie, że zaraz powie „Ładnie, ładnie” i zwróci cały swój obiad. – Tatuś to niezgrabiasz.

Nie pamiętał, by przed swym niesamowitym zmartwychwstaniem Church kiedykolwiek zabił choć jedną mysz. Czasami osaczał je i bawił się z nimi w śmiertelne kocie zabawy, nieodmiennie kończące się zagładą, ale on sam, Rachel bądź Ellie zawsze zdążyli interweniować, nim stało się najgorsze. A po kastracji koty najczęściej nawet nie spojrzą na mysz, przynajmniej póki same mają co jeść.

– Będziesz tak stał i śnił na jawie czy pomożesz mi z dzieciakiem? – spytała Rachel. – Doktorze Creed, proszę wracać z planety Mongo. Ziemia pana potrzebuje. – W jej głosie brzmiało znużenie, zmieszane z irytacją.

– Przepraszam, słonko. – Louis poszedł po Gage’a, gorącego jak rozżarzony piecyk.

I tak tego wieczoru tylko troje z nich zjadło słynne chilli Louisa; Gage półleżał na sofie w salonie, rozpalony i apatyczny, sącząc z butelki ledwo letni bulion i

oglądając kreskówki.

Po obiedzie Ellie podeszła do drzwi garażu i zawołała Churcha. Louis, który zmywał naczynia, podczas gdy Rachel rozpakowywała na górze torby, miał cichą nadzieję, że kot się nie zjawi, lecz przyszedł, zbliżając się swoim nowym niezgrabnym krokiem, i to niemal natychmiast, jakby on, a raczej to czyhało w pobliżu. Czyhało. Słowo to samo przyszło mu na myśl.

– Church! – krzyknęła Ellie. – Cześć, Church! – Podniosła kota i przytuliła go. Louis obserwował ją kątem oka; jego dłonie, jeszcze przed sekundą grzebiące w zlewie w poszukiwaniu brudnych sztućców, zamarły. Ujrzał, jak uszczęśliwiona mina Ellie ulega powolnej zmianie. Kot leżał bez ruchu w jej ramionach, tuląc uszy. Patrzył wprost na nią.

Po długiej – Louisowi zdawało się, że bardzo długiej – chwili dziewczynka postawiła Churcha na ziemi. Kot odszedł powoli w kierunku jadalni, nie oglądając się za siebie. Kat małych stworzeń, pomyślał Louis niespokojnie. Chryste, co my zrobiliśmy tamtego wieczoru?

Naprawdę próbował sobie przypomnieć, lecz wspomnienia zaczynały już blednąć, tak jak paskudna śmierć Victora Pascowa na podłodze sali przyjęć w przychodni. Pamiętał wietrzną rzekę na niebie i biały połysk śniegu na łąkach sąsiadujących z lasem. Nic więcej.

– Tatusiu? – zagadnęła Ellie cichym, pokornym

głosem.

– Tak, Ellie?

– Church dziwnie pachnie.

– Naprawdę? – Louis bardzo uważał, by nie dać niczego po sobie poznać.

– Tak! – Była wyraźnie poruszona. – Naprawdę! Nigdy przedtem tak nie pachniał! Śmierdzi jak… śmierdzi jak ka-ka!

– Może wytarzał się w czymś paskudnym, kotku. Cokolwiek to jest, minie.

– Mam taką nadzieję – oznajmiła dziewczynka komicznie poważnym tonem. Odeszła.

Louis znalazł ostatni widelec, opłukał go i wyciągnął korek. Stał przy zlewie, spoglądając w noc, podczas gdy woda z płynem z głośnym gulgotem znikała w odpływie.

Kiedy ów odgłos ucichł, Louis usłyszał szum wiatru, wysoki, szalony dźwięk, dobiegający z północy, niosący ze sobą zimę. Nagle pojął, że się boi, tak jak boimy się, kiedy niespodziewanie chmura przesłoni słońce, a my słyszymy dochodzące nie wiadomo skąd tykanie.

– Trzydzieści dziewięć stopni?! – spytała Rachel. – Jezu, Lou! Jesteś pewien?

– To wirus – odparł spokojnie Louis. Starał się nie zwracać uwagi na nieprzyjazny, niemal oskarżycielski ton żony. Miała za sobą ciężki dzień, pokonała z dziećmi pół kraju, dochodziła jedenasta, a o śnie nie mogło być mowy. Ellie już dawno spała smacznie w swoim pokoju, natomiast Gage leżał w ich łóżku w stanie najbardziej

przypominającym półświadomość. Godzinę wcześniej Louis podał mu pierwszą porcję aspiryny w płynie. – Do rana aspiryna zbije gorączkę.

– Nie podasz mu ampiciliny czy czegoś takiego?

– Gdyby miał grypę albo infekcję bakteryjną – wyjaśnił cierpliwie Louis – zrobiłbym to, ale nie ma. To wirus, takie leki nie działają na wirusy. Dostałby tylko biegunki i jeszcze bardziej się odwodnił.

– Jesteś pewien, że to wirus?

– Może chcesz się poradzić drugiego lekarza? – warknął Louis. – Proszę bardzo.

– Nie musisz na mnie krzyczeć! – wrzasnęła Rachel.

– Nie krzyczałem! – odkrzyknął Louis.

– A właśnie że tak! – zaczęła Rachel. – Właśnie, że krzy-krzykrzy… – Jej usta zadrżały, uniosła dłoń. Louis dostrzegł pod jej oczami ciemne szarobrązowe sińce i zawstydził się.

– Przepraszam. – Usiadł obok niej. – Chryste, nie wiem, co się ze mną dzieje. Przepraszam cię, Rachel.

– Nigdy nie narzekaj, nigdy się nie tłumacz – odparła ze słabym uśmiechem. – Czy nie to zawsze powtarzasz? Podróż była okropna. I bałam się, że dostaniesz szału, kiedy zajrzysz do szuflady w szafie Gage’a. Może powinnam powiedzieć ci teraz, póki jest ci mnie żal.

– Czemu miałbym wpadać w szał?

Znów ten słaby uśmiech.

– Moja matka i ojciec kupili mu dziesięć nowych ubranek. Jedno z nich miał dzisiaj na sobie.

– Zauważyłem, że to coś nowego – odrzekł krótko.

– Zauważyłam, że zauważyłeś. – Rachel skrzywiła się komicznie i Louis roześmiał się, choć w istocie wcale nie było mu do śmiechu. – I sześć sukienek dla Ellie.

– Sześć sukienek! – powiedział, z trudem się opanowując. Nagle ogarnęła go wściekłość – bolesna wściekłość. Jednocześnie czuł się zraniony w sposób, którego nie potrafił wyjaśnić. – Rachel, czemu? Czemu mu na to pozwoliłaś? Nie potrzebujemy… stać nas…

Urwał. Furia odebrała mu głos; przez moment oczyma duszy ujrzał samego siebie, niosącego przez las martwego kota Ellie, przekładającego foliowy worek z jednej ręki do drugiej… a tymczasem Irwin Goldman, ten wredny stary pierdziel z Lake Forest, starał się kupić sobie miłość jego córki za pomocą słynnej książeczki czekowej i równie słynnego pióra.

Przez sekundę miał ochotę wrzasnąć: On kupił jej sześć sukienek, a ja wskrzesiłem z martwych jej pieprzonego kota, więc kto kocha ją bardziej?

Zacisnął szczęki. Nigdy nie powie czegoś takiego. Nigdy.

Rachel łagodnie dotknęła jego karku.

– Louis, oni zrobili to razem. Proszę, postaraj się zrozumieć. Proszę. Kochają dzieci i rzadko je widują. A poza tym starzeją się. Pewnie nie poznałbyś mojego ojca. Naprawdę.

– Poznałbym – wymamrotał Louis.

– Proszę, kochanie. Postaraj się zrozumieć. Spróbuj

pomyśleć o nich życzliwie. To nie boli.

Przyglądał jej się długą chwilę.

– Owszem, boli – rzekł wreszcie. – Może nie powinno, ale boli.

Otwarła usta, by coś odpowiedzieć, lecz w tym momencie usłyszeli dobiegający z sypialni krzyk Ellie.

– Tato! Mamo! Niech ktoś tu przyjdzie!

Rachel zaczęła wstawać, ale Louis posadził ją z powrotem.

– Zostań z Gage'em. Ja pójdę. – Podejrzewał, że wie, w czym problem. Ale przecież, do cholery, wyrzucił kota na dwór; po tym, jak Ellie już się położyła, złapał go w kuchni, gdy węszył koło miski, i wyrzucił. Nie chciał, żeby kot z nią spał. Już nie. Gdy wyobraził sobie Churcha drzemiącego na łóżku Ellie, natychmiast przychodziły mu do głowy dziwne myśli o chorobach oraz wspomnienia z zakładu pogrzebowego wujka Carla.

Zorientuje się, że stało się coś złego i że przedtem Church był inny, lepszy.

Wyrzucił kota, ale kiedy wszedł do sypialni, Ellie siedziała na łóżku, niemal w półśnie, a Church leżał rozciągnięty na kołdrze – mroczny cień w kształcie nietoperza. W dochodzącym z korytarza świetle jego otwarte oczy lśniły tępym blaskiem.

– Tatusiu, zabierz go – jęknęła Ellie. – Tak strasznie śmierdzi.

– Ciii, Ellie, śpij – odparł Louis, zdumiony spokojnym brzmieniem własnego głosu. Przypomniał

sobie epizod lunatyzmu tuż po śmierci Pascowa. Gdy następnego dnia rano dotarł do przychodni, natychmiast zamknął się w łazience, żeby spojrzeć w lustro, przekonany, że wygląda koszmarnie. W istocie jednak wyglądał zupełnie zwyczajnie. Ciekawe, ilu ludzi krąży po świecie, kryjąc w sobie straszne tajemnice.

To nie tajemnica, do diabła! To tylko kot!

Ale Ellie miała rację. Rzeczywiście cuchnął pod niebiosa.

Wyszedł z pokoju córki i zniósł kota po schodach, starając się oddychać przez usta. Owszem, istniały gorsze smrody. Na przykład, brutalnie mówiąc, gówna. Miesiąc wcześniej mieli zabawę z opróżnianiem szamba i jak zauważył Jud, który wpadł do nich i przyglądał się chłopcom z firmy Puffer i Synowie wylewającym nieczystości, „trudno to nazwać Chanel numer 5, co nie, Louis?”. Woń zgangrenowanej rany – doktor Bracermunn z akademii nazywał je „gorącym mięsem” – też była gorsza. Nawet spaliny z hondy, kiedy przez chwilę stała w garażu z włączonym silnikiem, były gorsze.

Niemniej jednak kot zdecydowanie śmierdział. A poza tym, jak w ogóle dostał się do środka? Louis wypuścił go wcześniej, wypchnął szczotką, gdy cała trójka – jego najbliżsi – siedziała na górze. W istocie po raz pierwszy od powrotu kota trzymał go w rękach, choć minął już prawie tydzień. Zwierzę leżało w jego ramionach, nieruchome i gorące, niczym uśpiona choroba. ***Jaką dziurę sobie znalazłeś, draniu?***

Nagle przypomniał sobie swój sen tamtej nocy – Pascowa przenikającego przez drzwi między kuchnią i garażem.

Może nie było żadnej dziury. Może Church po prostu przeniknął przez drzwi jak duch.

– Niech to szlag – szepnął. Jego głos zabrzmiał lekko ochryple.

Nagle Louis nabrał pewności, że kot zaraz zacznie się szamotać, że go zaraz podrapie. Ale Church leżał absolutnie nieruchomo; promieniowało z niego ciepło i ohydny smród. Patrzył w twarz Louisa, jakby potrafił odczytać myśli ukryte w jego oczach.

Louis otworzył drzwi i może odrobinę zbyt mocno rzucił kota do garażu.

– No dalej – rzekł. – Zabij następną mysz czy coś takiego.

Church wylądował niezręcznie. Skulił nogi i uderzył zadem o ziemię. Zdawało się, że posłał Louisowi paskudne, pełne nienawiści spojrzenie, a potem odszedł chwiejnym krokiem i zniknął.

Boże, Jud, pomyślał Louis, szkoda, że nie trzymałeś języka za zębami. Podszedł do zlewu i zaczął z zapałem myć ręce i przedramiona, jakby przygotowywał się do operacji. ***Robisz to, bo to miejsce ma nad tobą władzę… wymyślasz sobie powody, wydają ci się dobre… lecz głównie robisz tak, bo kiedy już raz tam pójdziesz, to także twoje miejsce i należysz do niego… i wymyślasz sobie najbardziej przekonujące powody na świecie…***

Nie, nie mógł obwiniać Juda. Poszedł tam z własnej woli i nie mógł go winić.

Zakręcił wodę i zaczął wycierać ręce. Nagle ręcznik zastygł w bezruchu i Louis zapatrzył się wprost przed siebie w niewielki skrawek nocy widoczny w oknie nad zlewem.

Czy to znaczy, że teraz to także moje miejsce? Że do mnie należy?

Nie. Nie, jeśli tego nie chcę.

Odwiesił ręcznik i poszedł na górę.

Rachel leżała w łóżku z kołdrą naciągniętą pod brodę i Gage'em ułożonym tuż obok. Spojrzała przepraszająco na Louisa.

– Nie masz nic przeciw temu, kochanie? Tylko na dziś. Czuję się lepiej, póki mam go pod ręką. Jest taki rozpalony.

– Nie ma sprawy – odparł Louis. – Prześpię się w łóżku dla gości, na dole.

– Naprawdę nie masz nic przeciw temu?

– Nie. Gage'owi to nie zaszkodzi, a ty poczujesz się lepiej. – Urwał, po czym uśmiechnął się. – Ale z pewnością złapiesz wirusa. To praktycznie pewne. Wątpię, by miało cię to przekonać do zmiany zdania, prawda?

Odpowiedziała uśmiechem i potrząsnęła głową.

– O co chodziło Ellie?

– O Churcha. Chciała, żebym go zabrał.

– Ellie chciała, żebyś zabrał Churcha? To dopiero

zmiana.

– O tak – zgodził się Louis i dodał: – Mówiła, że śmierdzi, i rzeczywiście, wydawał się nieco woniejący. Może wytarzał się w czyimś gnoju albo czymś podobnym.

– Marnie. – Rachel przekręciła się na bok. – Mam wrażenie, że Ellie tęskniła za Churchem równie mocno jak za tobą.

– Aha. – Louis nachylił się i lekko pocałował ją w usta. – Śpij już, Rachel.

– Kocham cię, Lou. Cieszę się, że wróciłam. I przepraszam za dzisiejszą noc. Jutro to naprawimy, dobrze? Zabawimy się?

– Jasne – odparł Louis i zgasił światło.

Na dole zebrał naręcze poduszek z kanapy, wyciągnął składane gościnne łóżko i spróbował przygotować się psychicznie na całą noc męczarni, gdy pręt pod cienkim materacem będzie uwierał go w plecy. Przynajmniej łóżko było zasłane i nie musiał zawracać sobie głowy pościelą. Zdjął dwa koce z górnej półki w szafie na korytarzu i rozłożył je na łóżku. Zaczął się rozbierać, nagle jednak się zatrzymał.

Myślisz, że znów tu jest? Świetnie. Przejdź się po domu i sprawdź. Jak powiedziałeś Rachel, w niczym to nie zaszkodzi. Może nawet pomoże. Sprawdzając, czy drzwi są zamknięte, z pewnością nie złapiesz wirusa.

Dokładnie obszedł cały parter, oglądając zamki na drzwiach i oknach. Wszystko było w porządku, nigdzie

też nie dostrzegł Churcha.

– No proszę – rzekł. – Spróbuj dostać się dziś do środka, ty durny kocie. – W myślach dodał życzenie, by Church odmroził sobie jaja, tyle że oczywiście Church nie miał już jaj.

Louis zgasił światło i poszedł do łóżka. Pręt niemal natychmiast zaczął uwierać go w plecy i zasypiając, Louis pomyślał, że będzie się tak męczył pół nocy. Kiedy zasnął, leżał na boku na niewygodnym gościnnym łóżku, ale kiedy się obudził, był…

…na cmentarzysku za Cmętarzem Zwieżąt. Tym razem sam. Tym razem osobiście zabił Churcha i z jakiejś przyczyny postanowił po raz drugi przywrócić go do życia, Bóg jeden wiedział dlaczego, Louis nie. Jednak za drugim razem pogrzebał go głębiej i Church nie mógł się wykopać. Louis słyszał dobiegające spod ziemi kocie piski; przypominały płacz dziecka. Dźwięk przedostawał się przez szczeliny w ziemi i jej kamieniste cielsko. Dźwięk i woń, ta paskudna słodkawa woń zgnilizny i rozkładu. Sama woń sprawiła, że pierś zaciążyła mu nagle, jakby coś ją przygniotło.

Płacz… płacz…

…nadal słyszał płacz…

…a ciężar wciąż spoczywał mu na piersi.

– Louis! – To była Rachel, w jej głosie brzmiał niepokój. – Louis, mógłbyś przyjść?

Była więcej niż niespokojna, w jej głosie dźwięczało przerażenie. Płacz miał w sobie coś rozpaczliwego,

zduszonego. To był Gage.

Louis uniósł powieki i spojrzał wprost w żółtozielone oczy Churcha, niecałe dziesięć centymetrów od jego własnych. Kot leżał mu na piersi, zwinięty w kłębek, jak istota ze starych opowieści, kradnąca ludzki oddech. Smród unosił się z niego powolnymi duszącymi falami. Zwierzę mruczało.

Louis krzyknął ze wstrętu i obrzydzenia. Uniósł ręce w prymitywnym obronnym geście. Church zleciał z łóżka, wylądował na boku i odszedł swym chwiejnym, niepewnym krokiem.

Jezu! Jezu! Siedział na mnie! O Boże, siedział na mnie!

Nie mógł poczuć większego niesmaku, nawet gdyby ocknął się i znalazł w ustach pająka. Przez chwilę miał wrażenie, że zaraz zwymiotuje.

– Louis!

Odrzucił koce i pobiegł w stronę schodów. Z ich sypialni sączyła się strużka światła. Rachel stała na górnym podeście w nocnej koszuli.

– Louis, on znowu wymiotuje… dławi się… Boję się.

– Jestem przy tobie – odparł i podszedł, myśląc: Dostał się do środka. Jakimś cudem dostał się do środka. Pewnie przez piwnicę. Może jedno z okien się stłukło. Niemal na pewno się stłukło. Sprawdzę to jutro po powrocie. Nie, do diabła, sprawdzę, nim pójdę do pracy. Ja…

Gage przestał płakać i zaczął wydawać z siebie

paskudny gulgoczący dźwięk.

– Louis! – krzyknęła Rachel.

Louis poruszał się szybko. Gage leżał na boku, z ust sączył mu się strumyk wymiocin, spływając na stary ręcznik, który matka rozłożyła obok niego. Owszem, wymiotował, ale za słabo. Większość wciąż pozostała w środku i twarz dziecka zaczęła już sinieć, malec znajdował się o krok od uduszenia.

Louis chwycił chłopca pod pachami; jakiś odległy zakątek umysłu zarejestrował, jak gorące było ciało synka pod piżamą. Położył go na ramieniu, jakby chciał, by mu się odbiło. A potem szarpnął się do tyłu, pociągając za sobą Gage'a. Głowa chłopca odskoczyła, wydał z siebie donośny odgłos przypominający beknięcie i z jego ust wyleciała zdumiewająco obfita struga wymiocin, obryzgując podłogę i toaletkę. Gage znów zaczął płakać, dźwięcznie i donośnie, i odgłos ów zabrzmiał w uszach Louisa jak muzyka. Aby tak płakać, trzeba było nieograniczonych zapasów tlenu.

Pod Rachel ugięły się kolana. Padła na łóżko, ukrywając twarz w dłoniach. Trzęsła się gwałtownie.

– O mało nie umarł, prawda, Louis? Prawie się zadu-du-du… o mój Boże…

Louis spacerował po pokoju z synkiem w ramionach. Płacz Gage'a cichł stopniowo, przechodząc w ciche szlochy. Po chwili chłopczyk zasnął.

– Pięćdziesiąt do jednego, że sam by sobie poradził, Rachel. Po prostu trochę mu pomogłem.

– Ale był tak blisko – jęknęła. Spojrzała na niego, jej zbielałe oczy były oszołomione, pełne niedowierzania. – Louis, był tak blisko.

Nagle przypomniał sobie, jak krzyczała na niego w słonecznej kuchni: „On nie umrze! Nikt tu nie umrze!”.

– Kochanie – odparł Louis. – Wszyscy jesteśmy blisko. Cały czas.

Najprawdopodobniej to mleko spowodowało nową falę wymiotów. Rachel przyznała, że około północy, jakąś godzinę po tym, jak Louis poszedł spać, Gage obudził się i zaczął płakać z głodu, a ona podała mu butelkę. Kiedy pił, z powrotem przysnęła. Jakąś godzinę później mały zaczął się dławić.

Nie dawaj mu więcej mleka, polecił Louis i Rachel zgodziła się pokornie. Nie dawaj mu więcej mleka.

Louis zszedł na dół za kwadrans druga i następnych piętnaście minut polował na kota. Podczas swych poszukiwań odkrył, że drzwi łączące kuchnię z piwnicą są uchylone, tak jak podejrzewał. Przypomniał sobie, że matka opowiadała mu kiedyś o kocie, który nauczył się otwierać staroświeckie haczyki, takie jak ten na drzwiach piwnicy. Po prostu opierał się łapami o drzwi i łapą podważał haczyk, póki ten w końcu nie odskoczył. Niezła sztuczka, pomyślał Louis, ale nie zamierzał pozwolić Churchowi popisywać się nią zbyt często. Ostatecznie drzwi od piwnicy miały też zwykły zamek. Znalazł kota drzemiącego pod kuchenką i bezceremonialnie wyrzucił go frontowymi drzwiami. Po drodze do łóżka ponownie

zamknął drzwi do piwnicy.

I tym razem zasunął zasuwkę.

29

Rankiem Gage’owi spadła gorączka. Chłopiec miał spierzchnięte policzki, poza tym jednak był żwawy i pełen energii. I nagle, w jednej chwili, jego bezsensowna gadanina zamieniła się w potok słów. Naśladował niemal wszystko, co przy nim mówiono. A Ellie chciała, by powiedział „kupa”.

– Powiedz kupa, Gage – poleciła, siedząc nad talerzem owsianki.

– Kupa-Gage – odparł pogodnie maluch, jedząc własne płatki. Louis zgodził się na nie tylko pod warunkiem, że nie zostaną mocno posłodzone. Jak zwykle większość z nich trafiła nie do buzi synka, lecz w jego włosy.

Ellie rozchichotała się gwałtownie.

– Powiedz siki, Gage.

– Siki-Gage. – Gage uśmiechnął się poprzez warstwę owsianki rozsmarowanej na buzi. – Kupa-siki.

Ellie i Louis wybuchnęli śmiechem. Trudno się było nie zaśmiać.

Rachel wydała się mniej rozbawiona.

– Chyba już starczy brzydkich słów jak na jeden dzień – rzekła, podając Louisowi jajecznicę.

– Kupa-siki-kupa-siki-kupa-siki – zaśpiewał radośnie Gage i Ellie nakryła dłonią usta, aby zdusić chichot.

Wargi Rachel lekko zadrżały; Louis pomyślał, że wygląda dziś o sto procent lepiej, mimo marnie spędzonej nocy. Z pewnością przyczyniła się do tego ulga. Gage czuł się lepiej, a ona była w domu.

– Nie mów tego, Gage – upomniała go.

– Ładnie – rzucił Gage, zmieniając temat, i zwymiotował do talerza całą zjedzoną owsiankę.

– Och, fuj! – wrzasnęła Ellie, uciekając z kuchni.

W tym momencie Louis dostał prawdziwego ataku śmiechu. Nie potrafił się powstrzymać. Śmiał się tak, że łzy napłynęły mu do oczu i nawet wtedy nie przestawał. Rachel i Gage patrzyli na niego, jakby zupełnie oszalał.

W zasadzie mógł im powiedzieć: „Byłem już szalony, ale teraz wszystko minęło. Naprawdę tak sądzę”.

Nie wiedział, czy to już koniec, czy nie, ale miał wrażenie, że wszystko się już skończyło, że może już wystarczy.

I rzeczywiście, na jakiś czas obłęd ustąpił.

30

Choroba wirusowa Gage’a trwała tydzień, po czym ustąpiła. W tydzień później dopadł go bronchit. Ellie także się zaraziła, a po niej Rachel. W okresie przedświątecznym cała trójka krążyła po domu, chrypiąc jak stado starych zmęczonych ogarów. Louis okazał się odporny i odnosił wrażenie, że Rachel ma mu to za złe.

Ostatni tydzień zajęć na uniwersytecie był dla Louisa, Steve’a, Surrendry i Charlton wyjątkowo trudny. Grypa jeszcze nie nadeszła, lecz wielu studentów miało bronchit. Zdarzyło się też kilka przypadków mononukleozy i lekkiego zapalenia płuc. Dwa dni przed przerwą świąteczną zatroskani przyjaciele przynieśli do przychodni szóstkę jęczących pijanych chłopaków. Nastąpiło kilka chwil zamieszania, które przypomniały o strasznym wypadku Pascowa. Cała szóstka głupców zdołała usadowić się na średnich sankach (szósty, z tego, co zrozumiał Louis, siedział na ramionach sterującego) i postanowiła zjechać ze wzgórza. Świetna zabawa, tyle że gdy się już rozpędzili, sanie zboczyły z trasy i uderzyły w jedną z armat z wojny secesyjnej. Wynik: dwie złamane ręce, pęknięcie przegubu, w sumie siedem połamanych żeber, wstrząs mózgu oraz lżejsze obrażenia, zbyt liczne, by je wymieniać. Jedynie chłopak jadący na plecach sternika wyszedł cało ze zdarzenia. Gdy sanie rąbnęły w

armatę, szczęściarz przeleciał nad nią i wylądował głową naprzód w pryzmie śniegu. Sprzątanie po wypadku nie było zabawne i Louis porządnie ochrzanił wszystkich chłopaków, zszywając, bandażując i oglądając im źrenice. Kiedy jednak później opowiadał o wszystkim Rachel, zaczął się śmiać tak mocno, że do oczu napłynęły mu łzy. Rachel patrzyła na niego dziwnie, nie rozumiejąc, co go tak bawi, a Louis nie potrafił jej wyjaśnić: to był głupi wypadek. Ludzie odnieśli rany, ale wszyscy wyliżą się z tego. Częściowo w jego śmiechu pobrzmiewała ulga, przede wszystkim jednak krył się w nim triumf – dziś zwyciężyłeś, Louis.

Bronchit w jego własnej rodzinie zaczął ustępować mniej więcej w czasie, gdy przedszkole Ellie rozpoczynało przerwę świąteczną szesnastego grudnia. Cała czwórka zaczęła przygotowania do radosnych, staroświeckich, wiejskich świąt. Dom w północnym Ludlow, który owego dnia w sierpniu, gdy zaparkowali na podjeździe, wydawał się taki obcy (obcy, a nawet wrogi po tym, jak Ellie skaleczyła się, a Gage niemal w tej samej chwili został użądlony przez pszczołę), nigdy dotąd nie sprawiał wrażenie bardziej przytulnego.

W Wigilię, kiedy dzieci wreszcie zasnęły, Louis i Rachel przemknęli się ze strychu na dół, niczym para złodziei. W ramionach nieśli naręcze kolorowych pudełek – zestaw samochodzików Matchbox dla Gage’a, który ostatnio odkrył radość urządzania wyścigów, Barbie i Kena dla Ellie, tor wyścigowy, duży rowerek na trzech

kołach, stroje dla lalek, kuchenkę z zamontowaną w piekarniku żarówką i mnóstwo innych rzeczy.

Obydwoje usiedli obok siebie w blasku lampek choinkowych i zaczęli montować zabawki. Rachel miała na sobie jedwabną piżamę, Louis szlafrok. Nie przypominał sobie, by kiedykolwiek spędził przyjemniejszy wieczór. Na kominku płonął ogień; od czasu do czasu jedno z nich wstawało i dorzucało kilka brzozowych polan.

Raz jeden Winston Churchill otarł się o Louisa, który niemal odruchowo odsunął kota, czując przelotny niesmak – ten zapach. Później zobaczył, jak Church próbuje usiąść obok nogi Rachel, która także go odepchnęła, rzucając niecierpliwe „Psik!”. Chwilę po tym Louis ujrzał, jak żona wyciera dłoń w jedwabną nogawkę, niczym człowiek, który dotknął czegoś brudnego bądź nieprzyjemnego. Wątpił, by Rachel była świadoma, że to robi.

Church podszedł leniwie do kominka i klapnął na ziemię przed paleniskiem. Nie miał w sobie ani krzty wdzięku. Stracił go w ową noc, o której Louis wolał nie pamiętać. Stracił też coś jeszcze. Louis dostrzegł to szybko, lecz dokładne określenie, czego zwierzęciu brakuje, zabrało mu cały miesiąc. Kot już nie mruczał. A kiedyś warczał jak mały motorek, zwłaszcza gdy spał. Czasami Louis musiał wstać i zamknąć drzwi sypialni Ellie, by móc zasnąć.

Teraz kot sypiał jak kamień. Jak trup.

Nie, przypomniał sobie. Istniał jeden wyjątek. W noc, gdy ocknął się na łóżku dla gości z Churchem zwiniętym na piersi niczym cuchnący koc – tej nocy Church mruczał. No, przynajmniej wydawał z siebie jakiś dźwięk.

Lecz, jak wiedział – bądź zgadywał – Jud Crandall, w sumie nie było tak źle. Louis znalazł stłuczone okno w piwnicy za piecem i wezwał szklarza, oszczędzając sporo cennego oleju opałowego. Przypuszczał, że powinien być wdzięczny kotu za to, że odkrył dziurę, której w przeciwnym razie mógł nie zauważyć całymi tygodniami – może nawet miesiącami.

Prawda, Ellie nie lubiła już, by Church z nią sypiał. Ale czasami, gdy oglądała telewizję, pozwalała kotu wskoczyć na kolana i zasnąć. Równie często jednak, pomyślał, grzebiąc w worku plastikowych wichajstrów, które miały spoić w jedną całość rower Batmana dla Ellie, po kilku minutach zrzucała go, mówiąc: „Idź sobie, Church, śmierdzisz”. Niemniej jednak karmiła go regularnie i czule. Nawet Gage od czasu do czasu pociągał Churcha za ogon – nie złośliwie, raczej w przyjaznym odruchu, niczym mały mnich ciągnący za sznur od dzwonu. W takich wypadkach Church wpełzał nonszalancko pod jeden z kaloryferów, gdzie Gage nie mógł go dosięgnąć.

Gdybyśmy mieli psa, moglibyśmy dostrzec większą zmianę, pomyślał Louis. Ale koty to tak cholernie niezależne zwierzęta. Niezależne i dziwne. Może nawet

szalone. Nie dziwiło go, że starożytne egipskie królowe i faraonowie pragnęli, by ich koty zmumifikowano i umieszczano w trójkątnych grobowcach obok nich, tak aby służyły im jako przewodnicy na tamtym świecie. Koty były niesamowite.

– Jak ci idzie z tym rowerkiem, wodzu?

Uniósł skończoną zabawkę.

– Ta-daa!

Rachel wskazała ręką worek, w którym wciąż pozostały trzy, cztery plastikowe drobiazgi.

– A to?

– Części zapasowe. – Louis uśmiechnął się przepraszająco.

– Miejmy nadzieję, że rzeczywiście. Bo inaczej mała skręci sobie swój mały, wredny kark.

– To przyjdzie później – odparł złośliwie Louis. – Kiedy będzie miała dwanaście lat i zacznie popisywać się jazdą na deskorolce.

Rachel jęknęła.

– Doktorku, miej serce!

Louis wstał, oparł dłonie na karku i przeciągnął się. Jego kręgosłup zatrzeszczał.

– To już wszystkie zabawki.

– I już je złożyliśmy. Pamiętasz zeszły rok? – zachichotała, a on uśmiechnął się. Poprzedniego roku wszystko, co kupili, wymagało montażu. Biedzili się nad tym prawie do czwartej rano, tak że w święta mieli paskudny humor, a po południu Ellie uznała, że pudełka

są znacznie ciekawsze niż zabawki.

– A fuj! – rzucił Louis, naśladując Ellie.

– Cóż, chodźmy do łóżka i dam ci wcześniej twój prezent.

– Kobieto! – Louis wyprostował się dumnie. – To i tak mi się należy.

– Chciałbyś. – Zaśmiała się, zakrywając usta dłonią. W tym momencie zdumiewająco przypominała Ellie… i Gage'a.

– Jedną chwilkę – powiedział Louis. – Muszę jeszcze coś zrobić.

Podszedł do szafki w przedpokoju i wyciągnął jeden ze swych wysokich butów. Odsunął parawan sprzed dogasającego ognia.

– Louis, co ty…

– Zobaczysz.

Po lewej stronie ogień całkiem już wygasł, pozostawiając warstwę puszystego, szarego popiołu. Louis odcisnął w nim but, uzyskując głęboki ślad. Następnie z całych sił przycisnął go do ceglanego obramowania, niczym wielką pieczęć.

– Proszę – powiedział, schowawszy go z powrotem. – Podoba ci się?

Rachel znów chichotała.

– Louis, Ellie oszaleje.

W ciągu ostatnich dwóch tygodni zajęć Ellie usłyszała gdzieś niepokojącą plotkę, że święty Mikołaj to w istocie rodzice. Jej podejrzenia wzmógł widok chudego Mikołaja

w Centrum Handlowym w Bangor; Ellie zauważyła go w lodziarni Deering kilka dni wcześniej. Mikołaj siedział na stołku barowym z brodą odsuniętą na bok i jadł cheeseburgera. Odkrycie to poważnie wstrząsnęło Ellie (co dziwne, bardziej poruszył ją cheeseburger niż sztuczna broda), choć Rachel zapewniła ją, że Mikołajowie w sklepach i punktach Armii Zbawienia to w istocie pomocnicy wysłani przez prawdziwego świętego, zbyt zajętego zbieraniem zabawek i czytaniem listów od dzieci, by krążyć po świecie w celach reprezentacyjnych.

Louis starannie ustawił parawan. Teraz w kominku widniały dwa wyraźne ślady, jeden w popiele, a drugi na obramowaniu. Oba celowały wprost w choinkę, jakby Mikołaj wylądował na jednej nodze i natychmiast wyskoczył, aby ułożyć na miejscu prezenty przeznaczone dla rodziny Creedów. Złudzenie było doskonałe, o ile nie zauważyło się, że oba odciski pozostawiła lewa stopa, ale wątpił, by Ellie okazała się tak dociekliwa.

– Louisie Creed, kocham cię – oznajmiła Rachel i ucałowała go.

– Wygrałaś los na loterii, mała. – Louis uśmiechnął się szczerze. – Trzymaj się mnie, a zrobię z ciebie gwiazdę.

– Nie wątpię.

Ruszyli w stronę schodów. Louis wskazał stolik karciany, który Ellie ustawiła przed telewizorem. Na środku blatu leżały owsiane ciasteczka, dwa pączki i

puszka piwa Micheloeb. DLA CIEBIE, MIKOŁAJU, głosiła kartka, wypisana dużymi, krzywymi literami.

– Wolisz ciasteczko czy pączka?

– Pączka – odparła i zjadła połowę. Louis otworzył puszkę i opróżnił ją częściowo.

– Piwo o tej porze? Dostanę niestrawności.

– Bzdura – rzuciła wesoło. – Chodź, doktorku.

Louis odstawił puszkę i nagle złapał się za kieszeń szlafroka, jakby sobie o czymś przypomniał, choć przez cały wieczór był świadom ciężaru spoczywającego tam niewielkiego zawiniątka.

– Proszę – rzekł – dla ciebie. Możesz już go otworzyć. Minęła północ. Wesołych Świąt, kochanie.

Rachel obróciła w dłoniach małe pudełeczko, owinięte srebrnym papierem i przewiązane błękitną satynową wstążką.

– Louis, co to?

Wzruszył ramionami.

– Mydło, próbka szamponu. Nie pamiętam.

Otworzyła już je na schodach. Ujrzała pudełko od Tiffany'ego i pisnęła. Niecierpliwie odsunęła skrawek aksamitu i zamarła z lekko otwartymi ustami.

– I co? – spytał z niepokojem. Nigdy dotąd nie kupił jej prawdziwej biżuterii i trochę się bał. – Podoba ci się?

Rachel wyjęła prezent, owijając cieniutki złoty łańcuszek pomiędzy rozcapierzonymi palcami i uniosła do światła mały szafir. Wisiorek okręcił się powoli. Zdawało się, że strzelają z niego niebieskie promienie.

– Och, Louis, to jest takie piękne. – Ujrzał, że zaczęła płakać, i poczuł naraz wzruszenie i niepokój.

– Kochanie, nie płacz – rzekł. – Włóż go.

– Louis, nie stać nas. Nie stać cię…

– Ciiii… Oszczędzałem pieniądze od zeszłych świąt. A zresztą nie kosztował aż tak dużo, jak myślisz.

– A ile kosztował?

– Nigdy ci tego nie powiem, Rachel – oznajmił uroczyście. – Nawet armia chińskich speców od tortur nie zdołałaby wydobyć ze mnie tej informacji. Dwa tysiące dolarów.

– Dwa tysiące! – Uścisnęła go nagle tak mocno, że o mało nie spadł ze schodów. – Louis, zwariowałeś.

– Włóż go – powtórzył.

Zrobiła to. Pomógł jej z zapięciem, a potem odwróciła się, by mógł się jej przyjrzeć.

– Chcę iść na górę i obejrzeć go – oświadczyła. – Chyba chcę się popuszyć.

– A pusz się do woli – odparł. – Ja wypuszczę kota i pogaszę światła.

– Kiedy będziemy to robić – spojrzała mu wprost w oczy – zamierzam zdjąć wszystko, oprócz tego.

– Zatem pusz się szybko – rzucił Louis, a Rachel wybuchnęła śmiechem.

Złapał Churcha i przewiesił go sobie przez rękę – już dawno przestał zawracać sobie głowę szczotką. Niemal przywykł już do kota. Ruszył do wyjścia, po drodze gasząc światła. Gdy otworzył drzwi pomiędzy kuchnią i

garażem, jego łydki owiał prąd zimnego powietrza.

– Wesołych Świąt, Chu…

Urwał. Na wycieraczce leżała martwa wrona, i to duża. Głowę miała częściowo nadgryzioną. Jedno oddarte skrzydło leżało obok ciała, niczym zwęglony skrawek papieru. Church natychmiast wyślizgnął się z objęć Louisa i z zapałem zaczął trącać pyskiem zamarzniętego trupa. Nagle głowa kota śmignęła naprzód ze skulonymi uszami i zanim Louis zdążył odwrócić wzrok, Church wyrwał jedno z białych zaszklonych oczu ptaka.

Church znów atakuje, pomyślał Louis z obrzydzeniem i odwrócił głowę, zdążył jednak dostrzec zakrwawioną dziurę w miejscu wyrwanego oka. Nie powinno mnie to obchodzić. Widywałem już gorsze rzeczy. O, tak. Na przykład Pascowa. Pascow był znacznie gorszy…

A jednak to go poruszyło. Żołądek ścisnął mu się gwałtownie. Ciepłe napięcie seksualne zniknęło jak zdmuchnięte. ***Chryste, ten ptak jest niemal tak duży jak on. Musiał skoczyć na niego w chwili nieuwagi. Dużej nieuwagi.***

Trzeba to posprzątać. Nikt nie potrzebował takiego prezentu w świąteczny poranek. I był to jego obowiązek, nieprawdaż? O, tak. Jego i niczyj inny. Zrozumiał to podświadomie w tamten wieczór, gdy wróciła rodzina, a on z rozmysłem zwalił opony na poszarpane ciało zabitej przez Churcha myszy.

Ziemia serca mężczyzny jest kamienista, Louis.

Słowa te zabrzmiały w jego myślach tak jasno,

wyraźnie, przestrzennie, że Louis drgnął lekko, jakby Jud zmaterializował się u jego boku i przemówił głośno.

Mężczyzna hoduje, co może… opiekuje się tym.

Church wciąż łakomie szarpał ptaka. Teraz zajął się drugim skrzydłem. Ciągnął je tam i z powrotem, tam i z powrotem ze złowieszczym szelestem. Nigdy nie oderwiemy go od ziemi, Orville. Jasne, Wilbur. Pieprzony ptak jest martwy jak psie gówno. Równie dobrze można oddać go kotu…

Nagle Louis kopnął Churcha i to mocno. Zad kota uniósł się i opadł na szeroko rozstawione łapy. Zwierzę odeszło, rzucając mu kolejne złe zielone spojrzenie.

– Możesz mnie zjeść – syknął Louis; w tej chwili sam przypominał kota.

– Louis? – z sypialni dobiegł cichy głos Rachel. – Kładziesz się?

– Zaraz przyjdę – odkrzyknął. ***Muszę tylko posprzątać ten bałagan,*** Rachel. Bo to mój bałagan. Pośpiesznie znalazł włącznik świateł w garażu. Podszedł szybko do szafki pod kuchennym zlewem i wyjął zielony worek. Nie umknęło mu podobieństwo do zdarzeń tamtego wieczoru. Zaniósł worek do garażu, po drodze zdejmując wiszący na gwoździu szpadel. Podniósł wronę i wrzucił ją do torby. Następnie zrobił to samo z oderwanym skrzydłem. Zawiązał worek na węzeł i wepchnął go do kubła po drugiej stronie hondy. Nim skończył, nogi zupełnie zdrętwiały mu z zimna.

Church stał w drzwiach do garażu. Louis machnął

groźnie łopatą i kot zniknął niczym wir na powierzchni wody.

Na górze Rachel leżała w łóżku odziana jedynie w szafir… zgodnie z obietnicą. Uśmiechnęła się leniwie.

– Czemu to trwało tak długo, wodzu?

– Światło nad zlewem zgasło – wyjaśnił Louis. – Zmieniałem żarówkę.

– Podejdź tutaj – rzekła i łagodnie pociągnęła go ku sobie. Nie za rękę. – Wie, kiedy śpisz – zaśpiewała cicho. Jej usta wygięły się w lekkim uśmiechu. – I gdy budzisz się… Louis, mój drogi, co to?

– Coś, co właśnie się obudziło. – Louis zrzucił szlafrok. – Może powinniśmy spróbować to uśpić przed przyjściem Mikołaja. Jak sądzisz?

Podparła się na łokciu. Poczuł jej oddech, ciepły i słodki.

– Wie, czy byłeś grzeczny, czy też nie… więc bądź grzeczny, bo będzie źle. Czy byłeś grzecznym chłopcem, Louis?

– Chyba tak. – Z trudem opanował głos.

– Sprawdźmy, czy smakujesz równie dobrze, jak wyglądasz – szepnęła. – Hmmm.

Wyglądało na to, że owszem.

Seks był naprawdę udany, lecz Louis odkrył, że nie może zasnąć, choć zwykle po takim doznaniu zasypiał bez problemu, nie myśląc o sobie, żonie, własnym życiu. Tego świątecznego ranka leżał w ciemności, słuchając powolnego, miarowego oddechu Rachel i myślał o

martwym ptaku na progu, prezencie gwiazdkowym od Churcha.

Pamiętaj o mnie, doktorze Creed. Żyłem, a potem umarłem i znów żyję. Byłem tam i chcę ci powiedzieć, że kiedy wracasz z tamtej strony, nie masz ochoty mruczeć, lecz polować. Jestem tu, by ci powiedzieć, że mężczyzna hoduje, co może, i opiekuje się tym. Nie zapomnij o tym, doktorze Creed. Jestem częścią tego, co hodujesz w sercu – twoja żona, córka, syn… i ja. Pamiętaj o sekrecie i pielęgnuj swój ogród.

W końcu Louis zasnął.

31

I tak mijała zima. Wiara Ellie w świętego Mikołaja przetrwała – przynajmniej tymczasowo – dzięki odciskom stóp w kominku. Gage zręcznie otworzył swe prezenty, od czasu do czasu przerywając, by skosztować szczególnie smakowitego kawałka papieru. I tego roku, nim minęło popołudnie, oboje uznali, że pudełka są znacznie fajniejsze niż zabawki.

Crandallowie odwiedzili ich w sylwestra, aby skosztować domowego adwokata Rachel. Louis odkrył, że w myślach bada Normę. Wyglądała blado, niemal półprzejrzyście. Widywał już wcześniej podobnych ludzi. Jego babka powiedziałaby, że Norma zaczyna „gasnąć”, i może nie było to takie złe określenie. Nagle jej dłonie, spuchnięte i powykręcane reumatyzmem, pokryły się plamami wątrobianymi. Włosy sprawiały wrażenie rzadszych. Crandallowie wrócili do siebie o dziesiątej, a Creedowie razem obejrzeli nadejście Nowego Roku w telewizji. Wtedy Norma po raz ostatni odwiedziła ich dom.

Przez większość przerwy semestralnej panowała paskudna, deszczowa pogoda. Jeśli chodzi o koszty ogrzewania, Louis mógł być tylko wdzięczny za przedłużającą się odwilż. Mimo to jednak ciągły deszcz wpływał na niego przygnębiająco. Louis głównie

pracował w domu, budując szafki i półki dla żony. Gdy dwudziestego trzeciego stycznia znów rozpoczęły się zajęcia, z radością wrócił na uniwersytet.

Wtedy zaczęła się grypa – niecały tydzień po rozpoczęciu wiosennego semestru zaatakowała kampus całkiem poważna epidemia. Louis miał ręce pełne roboty – pracował dziesięć, czasami dwanaście godzin dziennie i wracał do domu kompletnie wykończony… i szczęśliwy.

Odwilż zakończyła się z hukiem dwudziestego dziewiątego stycznia. Nadeszła śnieżyca, po której nastały srogie mrozy. Louis właśnie badał zrastające się złamanie ręki młodego człowieka, który rozpaczliwie – i w opinii Louisa beznadziejnie – wierzył, że wiosną będzie mógł grać w baseball, gdy jedna z praktykantek wsunęła głowę do pokoju i oznajmiła, że dzwoni żona.

Louis przeszedł do gabinetu, by odebrać telefon. Rachel płakała i natychmiast ogarnął go niepokój. Ellie, pomyślał. Spadła z saneczek i złamała rękę albo to pęknięcie czaszki. Ze zgrozą przypomniał sobie szalonych studentów i ich sanki.

– Czy to jedno z dzieci, Rachel?

– Nie, nie – odparła, płacząc coraz głośniej. – Nie jedno z dzieci. To Norma, Lou. Norma Crandall. Umarła dzisiaj rano, około ósmej. Tuż po śniadaniu. Tak powiedział Jud. Przyszedł tu, żeby sprawdzić, czy jesteś, a ja powiedziałam, że wyszedłeś pół godziny temu. On… och, Lou, wydawał się taki zagubiony, oszołomiony… Taki stary… Dzięki Bogu, że Ellie już nie było, a Gage

jest za mały, by zrozumieć…

Louis zmarszczył brwi. Mimo okropnych nowin odkrył, że myśli tylko o Rachel. Bo to znów się działo. Nie da się tego określić, przygwoździć. To jedynie zmiana perspektywy. Śmierć to tajemnica, koszmar. I trzeba ukrywać ją przed dziećmi. Tak jak wiktoriańskie damy i dżentelmeni uważali, iż dzieci nie powinny poznawać paskudnej, wstrętnej prawdy o życiu płciowym.

– Jezu – westchnął. – Czy to serce?

– Nie wiem – odparła. Przestała już płakać, lecz jej głos był ochrypły i zduszony. – Mógłbyś przyjechać, Louis? Jesteś jego przyjacielem. I myślę, że cię potrzebuje.

Jesteś jego przyjacielem.

Rzeczywiście, pomyślał Louis z lekkim zdumieniem. Nigdy nie spodziewałem się, że będę miał kumpla osiemdziesięciolatka, ale chyba tak jest. I lepiej, żeby byli przyjaciółmi, biorąc pod uwagę to, co razem przeszli. Nagle pojął, że Jud zorientował się, iż łączy ich przyjaźń, na długo przed nim. Jud stał u jego boku i mimo późniejszych wydarzeń, mimo myszy i ptaków, Louis czuł, że decyzja Juda była słuszna. A jeśli niesłuszna, to przynajmniej powodowana współczuciem. Teraz zrobi dla Juda, co tylko zdoła. A jeśli to znaczy towarzyszenie mu po śmierci żony, niech i tak będzie.

– Już jadę – oznajmił i odwiesił słuchawkę.

32

To nie był atak serca, tylko wylew do mózgu – nagły i prawdopodobnie bezbolesny. Gdy tego popołudnia Louis zadzwonił do Steve'a Mastertona, Steve odparł, że nie miałby nic przeciw temu, by też tak odejść.

– Czasami Bóg zwleka i zwleka – dodał – a czasami wskazuje cię i każe się zabierać.

Rachel w ogóle nie chciała o tym rozmawiać i nie pozwalała Louisowi odezwać się ani słowem.

Ellie była nie tyle zmartwiona, ile wstrząśnięta i zaciekawiona – Louis uznał, że to zupełnie zdrowa reakcja jak na pięciolatkę. Dopytywała się, czy pani Crandall umarła z otwartymi czy zamkniętymi oczami. Louis odparł, że nie wie.

Jud przyjął to tak, jak można się było spodziewać, zważywszy na fakt, że dzielił z nią stół i łoże przez prawie sześćdziesiąt lat. Louis zastał starca – a tego dnia wyglądał naprawdę staro, jak prawdziwy osiemdziesięcioczterolatek – siedzącego samotnie w kuchni, palącego chesterfielda, pijącego piwo z butelki i patrzącego tępo w głąb salonu. Kiedy Louis wszedł, Jud uniósł wzrok i rzekł:

– Odeszła, Louis.

Zabrzmiało to tak jasno i spokojnie, że Louis pomyślał, iż świadomość ta nie do końca dotarła do

starca. Nie zapuściła korzeni. I wtedy usta Juda zadrżały. Zakrył oczy przedramieniem. Louis podszedł do niego i objął go, a Jud poddał się i zapłakał. Pocisk dotarł do celu. Jud doskonale rozumiał, że jego żona nie żyje.

– Dobrze – pocieszał go Louis. – Już dobrze, Jud. Chciałaby, żebyś trochę popłakał. Pewnie wściekłaby się, gdybyś tego nie zrobił. – Sam także zaczął płakać. Jud przywarł do niego mocno, a Louis odpowiedział równie mocnym uściskiem.

Jud płakał jakieś dziesięć minut. Potem burza minęła. Louis z wielką uwagą słuchał wszystkiego, co tamten mówił – nie tylko jako przyjaciel, lecz jako lekarz. Słuchał, szukając jakichkolwiek zapętleń w mowie Juda. Sprawdzał, czy Jud dobrze pojmuje ***kiedy*** (nie musiał sprawdzać ***gdzie***, to niczego by nie dowiodło, bo dla Juda Crandalla ***gdzie*** zawsze oznaczało Ludlow w stanie Maine); przede wszystkim czekał, czy tamten nie zacznie wspominać o Normie w czasie teraźniejszym. Nie znalazł żadnych oznak oderwania od rzeczywistości. Louis dobrze wiedział, że stare małżeństwa często odchodzą niemal ręka w rękę, miesiąc, tydzień, nawet dzień po sobie. Zapewne to wstrząs albo może głębokie, skrywane pragnienie dołączenia do partnera, który odszedł (nigdy nie przyszłoby mu to do głowy przed sprawą z Churchem. Ostatnio odkrył, że wiele jego poglądów na świat duchowy, nadzmysłowy uległo niedostrzegalnej, głębokiej przemianie). W końcu uznał, że Jud, choć zrozpaczony, trzyma się, przynajmniej na razie. Nie

wyczuł w nim ani cienia przezroczystości, która zdawała się otaczać Normę w sylwestra, gdy cała czwórka siedziała w salonie Creedów, sącząc adwokata.

Jud przyniósł mu piwo z lodówki. Jego twarz wciąż pokrywały czerwone plamy, które wywołał płacz.

– Trochę jeszcze wcześnie – rzekł. – Ale gdzieś na świecie słońce zdążyło już zajść. A biorąc pod uwagę okoliczności…

– Nie musisz mówić nic więcej. – Louis otworzył piwo. Spojrzał na Juda. – Wypijemy za nią?

– Chyba powinniśmy – odpowiedział Jud. – Gdybyś ją widział, gdy miała szesnaście lat, Louis, i wracała z kościoła w rozpiętym żakiecie z połyskującą spod niego białą, czystą bluzką. Oczy wyszłyby ci na wierzch. Mogłaby przekonać diabła, by rzucił picie. Dzięki Bogu mnie nigdy o to nie prosiła.

Louis skinął głową i lekko uniósł butelkę.

– Za Normę.

Jud stuknął swą butelką o flaszkę Louisa. Znów płakał, ale też uśmiechał się lekko. Przytaknął.

– Niechaj spoczywa w spokoju i niech tam, gdzie odeszła, nie będzie już żadnego cholernego artretyzmu.

– Amen – odparł Louis. Wypili.

Był to jedyny raz, kiedy Louis ujrzał Juda więcej niż lekko podchmielonego, nawet wtedy jednak starzec nie upił się i nie stracił panowania nad sobą. Zaczął wspominać, wylewając z siebie niegasnący strumień przyjemnych wspomnień i anegdot, barwnych, jasnych i

często porywających. Lecz pomiędzy opowieściami z przeszłości Jud radził sobie z teraźniejszością w sposób, który Louis mógł jedynie podziwiać. Gdyby to Rachel nagle padła martwa po śniadaniu złożonym z grejpfruta i płatków, on sam z pewnością nawet w części nie zachowałby takiej trzeźwości umysłu.

Jud zadzwonił do Domu Pogrzebowego Brookingsa-Smitha w Bangor i dokonał tylu ustaleń, ile tylko dało się załatwić przez telefon. Umówił się na spotkanie następnego ranka, by załatwić resztę spraw. Tak, chce, by ją zabalsamowano. Chce też, by miała na sobie sukienkę, którą dostarczy. Owszem, sam wybierze bieliznę. Nie, nie życzy sobie, by kostnica dostarczyła specjalne buty sznurowane z tyłu. Czy ktoś mógłby umyć jej włosy? – poprosił. Norma myła je w poniedziałkowy wieczór, toteż kiedy umarła, były brudne. Przez chwilę słuchał i Louis, którego wuj także pracował w zawodzie zwanym „cichym fachem", wiedział, iż przedsiębiorca pogrzebowy informuje go, że ostatnie mycie i kosmetyka należy do standardowych usług. Jud przytaknął i podziękował. Potem znów zaczął słuchać.

– Tak – powiedział. – Chcę, by zastosowano kosmetyki, ale bez przesady. Jest martwa. I ludzie o tym wiedzą – rzekł, zapalając chesterfielda. – Nie ma po co malować jej jak ulicznicy.

Podczas pogrzebu trumna ma być zamknięta – poinformował z władczym spokojem szefa firmy. Podczas wystawienia zwłok, dzień wcześniej, otwarta.

Norma miała zostać pochowana na cmentarzu Mount Hope, gdzie oboje wykupili kwatery w tysiąc dziewięćset pięćdziesiątym roku. Jud miał w ręku dokumenty i podał przedsiębiorcy numer działki, by można było zacząć przygotowania. H-1. On sam miał H-2, powiedział później Louisowi.

Odwiesił słuchawkę, spojrzał na Louisa i rzekł:

– W mojej opinii tu w Bangor mamy najpiękniejszy cmentarz na świecie. Jeśli chcesz, otwórz sobie jeszcze jedno piwo, Louis. To zabierze trochę czasu.

Louis już miał odmówić – czuł się lekko podchmielony – gdy przed jego oczami stanęła nieproszona wizja: Jud wlokący zwłoki Normy na pogańskich saniach przez las w stronę cmentarzyska Micmaców za Cmętarzem Zwieżąt.

Zupełnie jakby ktoś dał mu w twarz. Bez słowa wstał i wziął z lodówki następną butelkę. Jud skinął głową, po czym znów zajął się telefonem. Do trzeciej po południu, gdy Louis wrócił do domu na kanapkę i talerz zupy, Jud w znacznej mierze zorganizował ostatnie posługi swojej żony. Przechodził od jednego punktu do drugiego niczym ktoś, kto planuje ważne uroczyste przyjęcie. Zadzwonił do kościoła metodystów w północnym Ludlow, gdzie miała się odbyć msza żałobna, i do administracji cmentarza Mount Hope. Przedsiębiorca pogrzebowy z Brookingsa-Smitha także zadzwoni w oba te miejsca, ale Jud zrobił to pierwszy z grzeczności. Niewielu pogrążonych w żałobie krewnych myślało o czymś

takim… a jeśli nawet pomyślało, tylko nieliczni zdołali się na to zdobyć. Louis jeszcze bardziej podziwiał za to Juda. Później starzec zadzwonił do kilku jeszcze żyjących krewnych Normy i swoich własnych, przerzucając kolejne strony w starym, obszarpanym notatniku w skórzanej okładce. Między telefonami pił piwo i wspominał przeszłość.

Louis czuł dla niego wielki podziw… i miłość?

Tak, potwierdziło jego serce. I miłość.

Gdy tego wieczoru Ellie zeszła na dół w piżamie, by dać się pocałować ojcu, spytała Louisa, czy pani Crandall pójdzie do nieba. Niemal wyszeptała to pytanie, jakby rozumiała, że lepiej będzie, jeśli nikt ich nie podsłucha. Rachel krzątała się w kuchni, przyrządzając zapiekankę z kurczaka, którą zamierzała następnego dnia zanieść Judowi.

Po drugiej stronie ulicy w domu Crandallów płonęły wszystkie światła. Na podjeździe i poboczach drogi, trzydzieści metrów w każdą stronę, stały zaparkowane samochody. Oficjalne czuwanie miało odbyć się następnego dnia w kostnicy, lecz tego wieczoru ludzie przybywali, by pocieszyć Juda, wspomóc go swymi wspomnieniami i uczcić pamięć Normy – Jud nazwał raz to wszystko mianem „przedodejścia”. Pomiędzy domami wiał lodowaty lutowy wiatr. Drogę pokrywały plamy czarnego lodu. Nadeszła najzimniejsza pora zimy w Maine.

– Tak naprawdę to nie wiem, kotku – rzekł Louis,

sadzając sobie Ellie na kolanach. W telewizji rozgrywała się w najlepsze strzelanina. Jakiś mężczyzna obrócił się na pięcie i runął na ziemię. Ani ojciec, ani córka nie zwrócili na niego najmniejszej uwagi. Louis doskonale wiedział – i nie był tym zachwycony – że Ellie prawdopodobnie zna się na Ronaldzie McDonaldzie, Spidermanie i Burger Kingu lepiej niż na Mojżeszu, Jezusie i świętym Pawle. Była córką niepraktykującej żydówki i niegdysiejszego metodysty; przypuszczał, że jej wizja świata duchowego jest niezwykle mglista. Nie składają się na nią mity ani sny, lecz zaledwie odległe marzenia. Późno już, by to zaczynać, pomyślał przelotnie. Ma tylko pięć lat, ale i tak jest późno. Chryste Panie, jak szybko robi się późno.

Ona jednak patrzyła na niego i musiał coś powiedzieć.

– Ludzie wierzą w mnóstwo różnych rzeczy dotyczących tego, co dzieje się z nami po śmierci – rzekł. – Niektórzy uważają, że idziemy do nieba bądź piekła. Inni wierzą, że rodzimy się ponownie jako małe dziecko…

– Jasne, karnacja. Jak z Audrey Rose w tym filmie w telewizji.

– Nie widziałaś tego! – Gdyby Rachel wiedziała, że Ellie oglądała „Audrey Rose”, sama dostałaby chyba wylewu.

– Marie opowiedziała mi w przedszkolu – oznajmiła Ellie. Marie była aktualnie najlepszą przyjaciółką Ellie, niedożywioną, brudną dziewczynką, która zawsze

sprawiała wrażenie, że lada moment zapadnie na grzybicę, liszaje, a może nawet szkorbut. Louis i Rachel zachęcali dziewczynki do podtrzymywania kontaktów, lecz pewnego razu żona wyznała Louisowi, że po wizycie Marie zawsze ma ochotę sprawdzić głowę Ellie w poszukiwaniu wszy. Louis roześmiał się i przytaknął.

– Mamusia Marie pozwala jej oglądać wszystkie programy. – W słowach dziewczynki zabrzmiała wyraźna pretensja, którą Louis postanowił puścić mimo uszu.

– Tak naprawdę nazywa się to reinkarnacja, ale rozumiem, że wiesz, o co w niej chodzi. Katolicy wierzą w niebo i piekło. Wierzą też, że istnieje miejsce zwane czyśćcem, a buddyści wierzą w nirwanę…

Na ścianę jadalni padł cień. Rachel słuchała.

Louis ciągnął dalej, nieco wolniej.

– Zapewne jest jeszcze wiele takich miejsc, ale w istocie wszystko sprowadza się do tego: nikt nie wie. Ludzie twierdzą, że wiedzą. Ale tak naprawdę wierzą w to z powodu wiary. Wiesz, co to wiara?

– No…

– W tej chwili jesteśmy tutaj. Siedzimy w fotelu – oznajmił Louis. – Czy myślisz, że mój fotel jutro tu będzie?

– Tak, jasne.

– Zatem wierzysz, że tu będzie. Tak się składa, że ja także. To właśnie jest wiara: że coś będzie. Zrozumiałaś?

– Tak. – Ellie z zapałem skinęła głową.

– Ale tak naprawdę nie wiemy, czy tu będzie.

Ostatecznie w nocy może się tu włamać jakiś zwariowany złodziej foteli i ukraść go, prawda?

Ellie zachichotała.

Louis uśmiechnął się.

– Nasza wiara mówi nam, że to się nie stanie. Wiara to wielka rzecz, i głęboko religijni ludzie chcieliby, byśmy uznali, że wiara i wiedza są tym samym, ale osobiście tak nie uważam. Ponieważ istnieje zbyt wiele różnych wizji przyszłości. Wiemy tylko tyle: kiedy umrzemy, stanie się jedna z dwóch rzeczy, nasze dusze i myśli albo przetrwają chwilę śmierci, albo nie. Jeśli przetrwają, otworzą się przed nimi wszelkie możliwe perspektywy. Jeśli nie, to koniec. Kropka.

– Jak zaśnięcie.

Zastanowił się przez chwilę.

– Raczej jak uśpienie.

– A ty? W co wierzysz, tato?

Cień na ścianie poruszył się i znów zastygł.

Przez większość dorosłego życia – chyba jeszcze od czasów college'u – Louis wierzył, że śmierć to koniec. Był obecny przy wielu zgonach i nigdy nie poczuł dotknięcia duszy odchodzącej… dokądkolwiek miałaby odejść. Czy nie o tym właśnie pomyślał przy śmierci Victora Pascowa? Zgadzał się ze swym wykładowcą psychologii, że opisy przypadków życia po życiu, pojawiające się w pismach naukowych i rozpowszechniane w popularnej prasie prawdopodobnie są ostatnią próbą obrony przed nadejściem śmierci;

nieskończenie pomysłowy ludzki umysł do końca odpycha od siebie szaleństwo, tworząc złudzenie nieśmiertelności. Zgadzał się też ze znajomym z akademika, który podczas całonocnej nasiadówki na przedostatnim roku studiów Louisa w Chicago oznajmił, że Biblia jest podejrzanie pełna cudów, które we współczesnych czasach niemal zupełnie ustały (z początku twierdził, że skończyły się całkowicie, ale pozostali zmusili go do wycofania się, przypominając, że wciąż jeszcze dzieje się mnóstwo dziwnych rzeczy. Że w świecie, który stał się czystym, jasno oświetlonym miejscem, nadal jeszcze pozostały zakamarki tajemnicy, na przykład Całun Turyński, którego w żaden sposób nie udało się wyjaśnić naukowo). „A zatem Chrystus wskrzesił Łazarza – powiedział ów znajomy, który miał później zostać szanowanym położnikiem w Dearborn w stanie Michigan. – Nie ma sprawy. Jeśli muszę to przełknąć, zgoda. W końcu musiałem uwierzyć, że jeden płód potrafi czasem wchłonąć swego bliźniaka w macicy, w akcie pieprzonego płodowego kanibalizmu, a dwadzieścia, trzydzieści lat później może pokazać zęby na jądrach bądź włosy w płucach na dowód, że naprawdę to zrobił. Nie kwestionuję faktu, iż Łazarz wstał z grobu, ale chciałbym zobaczyć oryginał aktu zgonu. Podoba mi się Tomasz, który powiedział, że uwierzy w zmartwychwstanie Jezusa, dopiero gdy będzie mógł obejrzeć dziury po gwoździach i po włóczni w jego boku. Według mnie to on był prawdziwym lekarzem. Nie

Łukasz”.

Nie, przedtem Louis nie wierzył w przetrwanie. Aż do sprawy z Churchem.

– Wierzę, że istniejemy dalej – powiedział wolno córce. – Nie mam jednak zdania, jak wygląda to istnienie. Możliwe, że dla różnych ludzi jest zupełnie różne. Może dostajemy to, w co wierzyliśmy za życia. Ale wierzę, że wciąż istniejemy i że pani Crandall trafiła w miejsce, w którym może być szczęśliwa.

– Masz taką wiarę – dodała Ellie. To nie było pytanie. W jej głosie zabrzmiał nabożny podziw.

Louis uśmiechnął się, zadowolony i nieco zawstydzony.

– Chyba tak. I moja wiara mówi też, że już czas, abyś poszła do łóżka. Co najmniej od dziesięciu minut.

Pocałował ją dwukrotnie, raz w usta, raz w nos.

– Myślisz, że zwierzęta też istnieją dalej?

– Tak – odrzekł bez namysłu. I przez sekundę zapragnął dodać „zwłaszcza koty”. Słowa te niemal wymknęły mu się z ust. Poczuł, jak nagle ogarnia go chłód.

– W porządku. – Ellie zsunęła mu się z kolan. – Muszę iść pocałować mamusię.

– Biegnij.

Odprowadził ją wzrokiem. W drzwiach jadalni odwróciła się i spytała:

– Byłam naprawdę niemądra, kiedy płakałam z powodu Churcha, prawda? Taki płacz bez powodu.

– Nie, kotku – rzekł. – Nie sądzę, byś była niemądra.

– Gdyby teraz umarł, chybabym to zniosła – oznajmiła. I przez moment zdawało się, że rozważa wypowiedzianą głośno myśl, jakby zdumiały ją własne słowa. Potem przytaknęła, zgadzając się z samą sobą. – O tak, zniosłabym. – I poszła poszukać Rachel.

Później w łóżku Rachel zagadnęła go:

– Słyszałam, o czym z nią rozmawiałeś.

– I nie aprobujesz tego? – Louis uznał, że może czas postawić sprawę jasno, jeśli Rachel tego pragnie.

– Nie – odparła żona z wahaniem zupełnie do niej niepodobnym. – Nie, Louis. Nie o to chodzi. Po prostu… boję się. Znasz mnie. Kiedy się boję, zaczynam się bronić.

Louis nie pamiętał, by Rachel kiedykolwiek przemawiała do niego z takim wysiłkiem. Nagle zrozumiał, że musi zachować jeszcze większą ostrożność niż wcześniej w rozmowie z Ellie. Zupełnie jakby znalazł się na polu minowym.

– Boisz się? Czego? Śmierci?

– Nie własnej – odparła. – Prawie o niej nie myślę… już nie. Ale kiedy byłam dzieckiem, myślałam. I to często. Nie mogłam zasnąć w nocy, bo dręczyły mnie koszmary o potworach przychodzących, by pożreć mnie w łóżku. A wszystkie te potwory wyglądały jak moja siostra Zelda.

Tak, pomyślał Louis. Zaczyna się wreszcie. Po tylu latach małżeństwa. Zaczyna się.

– Niewiele o niej mówisz.

Rachel uśmiechnęła się i musnęła palcami jego twarz.

– Jesteś słodki, Louis. Ja nigdy o niej nie mówię. Staram się nawet nie myśleć.

– Zawsze zakładałem, że masz po temu powody.

– Bo miałam. I mam nadal.

Urwała, zastanawiając się nad czymś.

– Wiem, że umarła na zapalenie rdzenia…

– Zapalenie rdzenia – powtórzyła i ujrzał, że jest bliska łez. – W domu rodziców nie ma już jej zdjęć.

– Widziałem zdjęcie dziewczynki w gabinecie twojego oj…

– W gabinecie ojca, tak. Zapomniałam. Myślę, że matka wciąż nosi jej fotografię w portfelu. Zelda była ode mnie starsza o dwa lata. Zachorowała… i leżała w tylnej sypialni… leżała w tylnej sypialni jak nieprzyzwoity sekret, Louis. Umierała tam. Moja siostra umarła w tylnej sypialni. I tym właśnie była. Nieprzyzwoitym sekretem. Zawsze była nieprzyzwoitym sekretem!

Nagle Rachel załamała się kompletnie, w jej donośnych, coraz głośniejszych szlochach Louis wyczuł nadejście histerii. Sięgnął ku niej i chwycił ramię, które natychmiast umknęło przed jego dotykiem. Pod palcami poczuł śliski jedwab nocnej koszuli.

– Rachel… kochanie… nie…

Jakimś cudem udało jej się opanować płacz.

– Nie mów mi, żebym tego nie robiła – rzekła. – Nie powstrzymuj mnie, Louis. Starczy mi sił, żeby

powiedzieć to tylko raz. Nigdy więcej nie chcę o tym rozmawiać. Prawdopodobnie dzisiaj i tak nie będę spała.

– Było aż tak strasznie? – spytał, znając już odpowiedź. Jej słowa tak wiele wyjaśniały. Nawet rzeczy, których dotąd nie dostrzegał bądź które podejrzewał jedynie mgliście, nagle połączyły się, tworząc nowy obraz. Uświadomił sobie, iż Rachel nigdy nie poszła z nim na żaden pogrzeb, nawet Ala Locke'a, kolegi ze studiów medycznych, który zginął podczas zderzenia swego samochodu ze śmieciarką. Al był u nich stałym gościem i Rachel zawsze go lubiła, a jednak nie poszła na pogrzeb.

Tego dnia była chora, przypomniał sobie nagle Louis. Grypa czy coś takiego. Wyglądało poważnie. Ale następnego dnia zupełnie doszła do siebie.

Wyzdrowiała po pogrzebie, poprawił w myślach. Pamiętał, że nawet wtedy podejrzewał, iż jej choroba może mieć podłoże psychologiczne.

– Owszem, to było straszne. Gorsze, niż potrafiłbyś sobie wyobrazić. Patrzyliśmy, jak z każdym dniem jej stan się pogarsza i nic nie mogliśmy zrobić. Cały czas cierpiała. Jej ciało zdawało się kurczyć… zapadać. Ramiona zgarbiły się, a twarz wyciągnęła i napięła niczym maska. Jej dłonie przypominały ptasie nogi. Czasami musiałam ją karmić. Nienawidziłam tego, ale to robiłam i nigdy nie protestowałam. Kiedy ból stał się za silny, zaczęli podawać jej narkotyki. Najpierw łagodne, a potem mocne. Gdyby przeżyła, zostałaby ćpunką. Ale

oczywiście wszyscy wiedzieli, że nie przeżyje. Chyba właśnie dlatego była dla nas wszystkich takim… sekretem. Bo chcieliśmy, żeby umarła, Louis. Marzyliśmy, że umrze. I nie tylko dlatego, by nie czuła więcej bólu, ale też żebyśmy my go nie czuli. Bo zaczęła wyglądać jak potwór i tak się zachowywać… Chryste, wiem, jak okropnie to brzmi.

Ukryła twarz w dłoniach.

Louis dotknął jej łagodnie.

– Rachel, to wcale nie brzmi okropnie.

– Właśnie, że tak! – krzyknęła. – Tak!

– Jedynie prawdziwie – dodał. – Ofiary przewlekłych chorób często zamieniają się w wymagające, bezduszne potwory. Wizja cierpiącego świętego to romantyczna fikcja. Kiedy jednak na pośladkach przykutego do łóżka pacjenta pojawiają się pierwsze odleżyny, on sam staje się rozdrażniony i zaczyna unieszczęśliwiać innych. Nie może nic na to poradzić, ale to nie ułatwia życia opiekunom.

Spojrzała na niego ze zdumieniem… niemal z nadzieją. Potem jednak jej twarz znowu przybrała nieufny wyraz.

– Wymyślasz to sobie.

Uśmiechnął się ponuro.

– Chcesz, żebym pokazał ci moje podręczniki? A może statystyki samobójstw? Chciałabyś je obejrzeć? W rodzinach, w których opiekowano się w domu śmiertelnie chorym pacjentem, statystyki samobójstw w ciągu sześciu

miesięcy po śmierci pacjenta sięgają stratosfery.

– Samobójstw?

– Połykają pigułki, wdychają spaliny albo strzelają sobie w głowę. Ich nienawiść… znużenie… obrzydzenie… smutek… – Wzruszył ramionami i delikatnie złączył zaciśnięte w pięści dłonie. – Ci, którzy przeżyli, zaczynają czuć się winni, jakby osobiście popełnili morderstwo, więc się usuwają.

Opuchnięta twarz Rachel przybrała wyraz osobliwej bolesnej ulgi.

– Ona była wymagająca… złośliwa. Czasami z rozmysłem sikała w łóżku. Matka pytała ją, czy ma jej pomóc pójść do łazienki, a później, kiedy już nie wstawała – czy chce basen… a Zelda mówiła nie… a potem sikała w łóżko, tak by moja matka, czasem z moją pomocą, musiała zmieniać pościel… Mówiła, że to wypadek, ale widać było złośliwą radość w jej oczach. Widziałyśmy ją. W pokoju zawsze śmierdziało sikami i lekarstwami… Miała całe butelki czegoś, co pachniało jak wiśniowy syrop na kaszel Braci Smith i zapach ten unosił się stale w powietrzu. Czasami jeszcze dzisiaj budzę się w nocy i wydaje mi się, że wciąż czuję wiśniowy syrop na kaszel, i myślę… jeśli nie ocknę się do końca – czy Zelda już umarła? Czy umarła?

Rachel zachłysnęła się. Louis ujął jej dłoń, a ona uścisnęła ją z nadspodziewaną siłą, aż sprawiła mu ból.

– Kiedy ją przebierałyśmy, widać było, jak jej plecy wykręcają się i garbią. Pod koniec, Louis, pod sam koniec

miałam wrażenie, że jej… jej tyłek podjechał w górę, aż na środek pleców.

Wilgotne oczy Rachel przybrały szklisty, przerażony wyraz niby u dziecka, wspominającego niedawny, przeraźliwy koszmar.

– A czasem dotykała mnie swoimi… swoimi rękami… tymi ptasimi rękami… i o mało nie krzyczałam i prosiłam, by tego nie robiła. Raz wylałam sobie na rękę jej zupę, gdy dotknęła mojej twarzy. Oparzyłam się i wtedy krzyknęłam… także dlatego, że znów dostrzegłam radość w jej oczach.

Pod koniec leki przestały działać. Wtedy krzyczała. I żadne z nas nie pamiętało już, jaka była przedtem. Nawet moja matka. Stała się ohydną, nienawistną, wrzeszczącą istotą w tylnej sypialni… naszym nieprzyzwoitym sekretem.

Rachel przełknęła ślinę. Jej gardło ścisnęło się.

– Moich rodziców nie było w domu, kiedy w końcu… kiedy ona… no wiesz… kiedy…

W końcu ze strasznym wysiłkiem wypowiedziała to.

– Kiedy umarła, moich rodziców nie było w domu. Wyszli, ale ja czuwałam przy niej. To było święto Paschy i poszli spotkać się z przyjaciółmi. Tylko na parę chwil. Czytałam pismo w kuchni, no, w każdym razie je przeglądałam. Czekałam, żeby podać jej następną porcję lekarstwa, bo krzyczała. Krzyczała od chwili wyjścia rodziców. Przez jej krzyki nie mogłam czytać, a potem… Widzisz, to było tak… Zelda przestała krzyczeć. Louis,

miałam wtedy osiem lat. Co noc koszmary… zaczęłam wierzyć, że ona mnie nienawidzi, bo moje plecy są proste. Bo ja stale nie cierpię. Bo ja mogę chodzić, bo będę żyła. Wyobrażałam sobie, że chce mnie zabić. Tylko że nawet dziś tak naprawdę nie sądzę, by była to jedynie kwestia mojej wyobraźni. Ona naprawdę mnie nienawidziła. Owszem, nie zabiłaby mnie, ale gdyby w jakiś sposób mogła przejąć moje ciało… wyrzucić mnie z niego jak w bajce… chybaby to zrobiła. Kiedy jednak przestała krzyczeć, poszłam sprawdzić, czy wszystko z nią w porządku… czy może nie spadła z łóżka albo nie zsunęła się z poduszki, weszłam tam, popatrzyłam na nią i wydało mi się, że chyba połknęła własny język i dławi się na śmierć. Louis… – Głos Rachel wzniósł się ponownie, pełen łez, przerażająco dziecinnie piskliwy, jakby cofała się w czasie, na nowo przeżywając tamte chwile. – Louis, nie wiedziałam, co zrobić. Miałam tylko osiem lat!

– Oczywiście, że nie wiedziałaś. – Louis odwrócił się do niej i uściskał ją. Rachel przywarła do niego z paniczną siłą kiepskiego pływaka, którego łódź przewróciła się nagle pośrodku wielkiego jeziora. – Czy ktoś kiedykolwiek o coś cię obwiniał, kochanie?

– Nie – odparła. – Nikt mnie nie winił. Ale też nikt nie mógł sprawić, bym poczuła się lepiej. Nikt nie mógł tego zmienić. Nikt nie mógł odwrócić przeszłości… Zelda nie połknęła języka. Zaczęła wydawać z siebie dziwny dźwięk. Takie – sama nie wiem – gaaaa, coś takiego…

Zdenerwowana, odtwarzając wiernie ów dzień, niezwykle przekonująco naśladowała odgłos wydawany przez jej siostrę Zeldę. Louisowi stanął nagle przed oczami Victor Pascow. Mocniej przytulił żonę.

…i ślina, po jej brodzie spływała ślina…

– Rachel, wystarczy – rzekł lekko łamiącym się głosem. – Znam wszystkie objawy.

– Wyjaśniam ci to. – W jej głosie dźwięczał upór. – Tłumaczę, dlaczego nie mogę iść na pogrzeb biednej Normy i dlaczego tamtego dnia tak głupio się pokłóciliśmy…

– Ciiiii. Już o tym zapomniałem.

– Ale ja nie – rzuciła. – Pamiętam bardzo dobrze, Louis. Pamiętam tak, jak pamiętam Zeldę, która zakrztusiła się na śmierć w swym łóżku czternastego kwietnia tysiąc dziewięćset sześćdziesiątego trzeciego roku.

Długą chwilę w pokoju panowała cisza.

– Odwróciłam ją na brzuch i zaczęłam tłuc po plecach – podjęła w końcu Rachel. – Nie wiedziałam, co jeszcze zrobić. Jej stopy uderzały o materac… a powykręcane nogi… Pamiętam, że usłyszałam coś, jakby pierdzenie… myślałam, że ona pierdzi albo może ja sama. Ale to było co innego, pękły szwy pod pachami mojej bluzki, kiedy ją odwracałam. Zaczęła… zaczęła się wić… i zobaczyłam, że jej twarz odwraca się na bok, odwraca na poduszce i pomyślałam: Ona się dławi. Zelda się dławi. A kiedy wrócą do domu, powiedzą, że ją zamordowałam,

udusiłam. Powiedzą: „Nienawidziłaś jej, Rachel”. I to będzie prawda. I powiedzą: „Chciałaś, żeby umarła”. I to też będzie prawda. Bo widzisz, Louis, pierwszą myślą, jaka przemknęła mi przez głowę, kiedy zaczęła podnosić się i opadać na łóżku, było: Boże, wreszcie, Zelda się dusi i wszystko się skończy. Znów ją odwróciłam, a jej twarz poczerniała, Louis. Oczy wychodziły jej z orbit, a szyja spuchła. Potem umarła, a ja cofnęłam się ku drzwiom. Chyba chciałam wyjść, lecz zderzyłam się ze ścianą, z której spadł obrazek. To była ilustracja z jednej z książek o Ozie, które Zelda lubiła, nim zachorowała na zapalenie rdzenia, kiedy jeszcze była zdrowa. Obrazek Oza Wielkiego i Wspaniałego. Tyle że Zelda zawsze nazywała go Ozem Wiejkim i Wsaniałym, bo nie potrafiła tego wymówić. Matka kazała oprawić ten obrazek, bo… Zelda lubiła go najbardziej, Oza Wiejkiego i Wsaniałego… a on spadł, rąbnął w podłogę, szkło stłukło się, ja zaczęłam krzyczeć, bo wiedziałam, że ona nie żyje, i pomyślałam… pomyślałam chyba, że to jej duch, który chce mnie skrzywdzić. Wiedziałam, że jej duch będzie mnie nienawidził tak jak ona, ale on nie będzie przykuty do łóżka, więc krzyczałam… krzyczałam. Wybiegłam z domu, wrzeszcząc: „Zelda umarła! Zelda umarła! Zelda umarła!”… A sąsiedzi przyszli, zajrzeli do środka… zobaczyli mnie biegnącą ulicą z bluzką rozdartą pod pachami… Wrzeszczałam: „Zelda umarła!”. Pewnie pomyśleli sobie, że płaczę, ale tak naprawdę… tak naprawdę chyba się śmiałam, Louis. Chyba właśnie to

robiłam.

– Jeśli tak, podziwiam cię za to – wtrącił Louis.

– Nie mówisz serio – odparła Rachel z absolutną pewnością kogoś, kto wielokrotnie rozważył wszystkie aspekty sprawy. Louis ustąpił. Może w końcu uda jej się pozbyć tych ohydnych, potwornych wspomnień, dręczących ją od tak dawna – a przynajmniej większości z nich – lecz nigdy tej części. Nigdy do końca. Louis Creed nie był psychiatrą, ale wiedział, iż każdy człowiek kryje w sobie na wpół pogrzebane sekrety i że odczuwa dziwną potrzebę wracania do nich i próbowania wyciągnięcia ich, choćby nawet wcześniej zostały zapomniane. Dziś wieczór Rachel wydobyła na wierzch niemal wszystko, niczym groteskowy, cuchnący, zepsuty ząb: poczerniały, zgniły, zakażony. Wydobyła niemal cały. Niech więc ta ostatnia zatruta komórka pozostanie w niej. Jeśli Bóg będzie dość łaskaw, pozostanie uśpiona, budzić się będzie tylko w najgłębszych sennych koszmarach. I tak to cud, że udało jej się usunąć tak wiele. Nie tylko świadczyło to o jej odwadze, wręcz wygrywało na jej cześć fanfary. Louis był zadziwiony. Miał ochotę wiwatować.

Wyprostował się i zapalił światło.

– Tak – rzekł. – Podziwiam cię. I gdybym potrzebował dodatkowego powodu, by… by naprawdę nie lubić twojej matki i ojca, właśnie bym go dostał. Nigdy nie powinni zostawiać cię z nią samą. Nigdy!

Jak dziecko – ośmioletnie dziecko, którym była, gdy zdarzyła się owa koszmarna, niewiarygodna rzecz –

upomniała go natychmiast.

– Lou, to było święto Paschy!

– Nie obchodzi mnie to, nawet gdyby grały wówczas trąby na Sąd Ostateczny – odparł Louis nagle ochrypły z wściekłości, która sprawiła, że żona odsunęła się nieco. Przypomniał sobie praktykantki, dwie studentki, które miały pecha rozpocząć pracę rankiem, gdy do przychodni przyniesiono umierającego Pascowa. Jedna z nich – twarda dziewczyna, Carla Shavers, wróciła do pracy następnego dnia i spisywała się tak świetnie, że zaimponowała nawet Charlton. Drugiej nigdy więcej nie widzieli. Louis nie dziwił się i nie miał do niej pretensji.

Gdzie była pielęgniarka? Powinni mieć stałą opiekunkę… Wyszli, po prostu sobie wyszli. I zostawili ośmiolatkę samą z umierającą siostrą, która w owym czasie była już zapewne obłąkana. Czemu? Bo nastało święto Paschy i ponieważ elegancka Dory Goldman nie mogła tego ranka znieść więcej smrodu. Musiała uwolnić się od niego na jakiś czas. Zatem przekazała obowiązki Rachel. Zgadza się, przyjaciele i sąsiedzi? Przekazała obowiązki Rachel. Ośmioletniej dziewczynce z warkoczykami i w marynarskiej bluzce. Rachel objęła pieprzoną służbę. Rachel mogła zostać i znosić smród. Czemu niby co roku wysyłali ją na sześć tygodni na Słoneczny Obóz w Vermont, jeśli nie po to, by mogła znosić smród umierającej obłąkanej siostry? Dziesięć nowych bluz i spodenek dla Gage’a, sześć nowych sukienek dla Ellie i opłacę ci studia medyczne, jeśli

będziesz trzymał się z dala od mojej córki… Ale gdzie była pękata książeczka czekowa, gdy twoja córka umierała na zapalenie rdzenia, a druga córka była z nią sama? Ty skąpy skurwysynu! Gdzie była pieprzona pielęgniarka?

Louis usiadł i wstał z łóżka.

– Dokąd idziesz? – spytała z niepokojem Rachel.

– Przynieść ci valium.

– Wiesz, że nie biorę…

– Dziś wieczór weźmiesz – uciął.

Połknęła pigułkę, a potem opowiedziała mu resztę. Jej głos cały czas pozostał spokojny. Lekarstwo zadziałało. Najbliższa sąsiadka znalazła ukrytą za drzewem ośmioletnią Rachel, która przycupnęła tam, krzycząc raz po raz: „Zelda umarła!”. Z nosa leciała jej krew, cała była nią pochlapana. Ta sama sąsiadka wezwała karetkę, a potem jej rodziców. Kiedy już powstrzymała krwotok Rachel i uspokoiła ją filiżanką gorącej herbaty i dwiema aspirynami, zdołała wyciągnąć z dziewczynki informację o rodzicach – odwiedzali właśnie państwa Cabron po drugiej stronie miasta. Peter Cabron był księgowym w przedsiębiorstwie jej ojca.

Do wieczora w gospodarstwie Goldmanów zaszły wielkie zmiany. Zelda odeszła. Jej pokój został oczyszczony i zdezynfekowany. Wszystkie meble zniknęły. Sypialnia stała się pustą klatką. Później, znacznie później, Dory Goldman postawiła w niej maszynę do szycia.

Tej nocy Rachel pierwszy raz nawiedził koszmar. Kiedy ocknęła się o drugiej, z krzykiem wzywając matkę, z przerażeniem odkryła, że ledwie może wstać z łóżka. Potwornie bolały ją plecy. Naciągnęła mięśnie, poruszając Zeldę. W przebłysku wspomaganej adrenaliną siły podniosła ją tak gwałtownie, że aż rozerwała sobie bluzkę.

Fakt, że nadwerężyła mięśnie, próbując powstrzymać Zeldę przed uduszeniem, był prosty, oczywisty, elementarny, mój drogi Watsonie. To znaczy dla wszystkich, oprócz samej Rachel. Rachel wierzyła święcie, że to zemsta Zeldy zza grobu. Zelda wiedziała, że Rachel cieszy się z jej śmierci. Zelda wiedziała, że kiedy siostra wypadła z domu, krzycząc: „Zelda umarła! Zelda umarła!", w istocie śmiała się, nie płakała. Zelda wiedziała, że padła ofiarą morderstwa, toteż obdarzy Rachel zapaleniem rdzenia i wkrótce jej własne plecy zaczną wykrzywiać się i zmieniać, i będzie musiała leżeć w łóżku, powoli zamieniając się w potwora z coraz bardziej zakrzywionymi, szponiastymi dłońmi.

Po jakimś czasie też zacznie krzyczeć z bólu, jak kiedyś Zelda, a potem moczyć się w łóżko i wreszcie zadławi się na śmierć własnym językiem. To była zemsta Zeldy.

Nikt nie mógł wyperswadować Rachel tego przekonania. Ani matka, ani ojciec, ani też doktor Murray, który orzekł u niej łagodne naciągnięcie mięśni pleców, po czym powiedział szorstko (okrutnie, jak

uznaliby niektórzy ludzie, a Louis zaliczał się do ich grona), by przestała wydziwiać. Powinna pamiętać, że właśnie umarła jej siostra, przypomniał doktor Murray. Rodzice są nieprzytomni z żalu i nie pora, by Rachel próbowała po dziecinnemu zwrócić na siebie uwagę. Jedynie powolne ustępowanie bólu zdołało w końcu przekonać ją, że nie padła ofiarą ani zemsty Zeldy zza grobu, ani też sprawiedliwej kary boskiej dla grzeszników. Całymi miesiącami (tak przynajmniej powiedziała Louisowi. W istocie były to lata, ściślej: osiem lat) dręczyły ją potem koszmary, w których siostra raz po raz umierała na nowo, i w mroku ręce Rachel sięgały ku plecom, by upewnić się, że wszystko w porządku. W przerażających chwilach tuż po ocknięciu się z koszmarów często miała wrażenie, że drzwi szafy zaraz się otworzą i ze środka wypadnie Zelda, sina i poskręcana, z wywróconymi oczami, czarnym językiem wystającym spomiędzy zębów i zakrzywionymi jak szpony dłońmi, by zamordować morderczynię, tchórzliwie skuloną w łóżku z dłońmi przyciśniętymi do krzyża.

Nie poszła na pogrzeb Zeldy ani na żaden inny.

– Gdybyś opowiedziała mi o tym wcześniej – rzekł Louis – wiele by to wyjaśniło.

– Lou, nie mogłam – odparła z prostotą. Jej głos brzmiał bardzo sennie. – Od tamtego czasu miałam na tym punkcie… cóż, lekką fobię.

Lekką fobię, pomyślał Louis. Akurat.

– Nie mogę… nic na to poradzić. W głębi duszy wiem, że masz rację, że śmierć to coś zupełnie naturalnego, czasami nawet dobrego, ale mój umysł nie odpowiada za to, co dzieje się… wewnątrz mnie…

– O tak – przytaknął.

– Tego dnia, kiedy na ciebie naskoczyłam, wiedziałam, że Ellie płacze i że to sposób oswojenia się ze zjawiskiem śmierci… ale nie mogłam się powstrzymać. Przepraszam, Louis.

– Nie musisz przepraszać. – Pogładził jej włosy. – Ale co mi tam. Przyjmuję przeprosiny, jeśli dzięki temu poczujesz się lepiej.

Uśmiechnęła się.

– Owszem. Już czuję się lepiej. Czuję się, jakbym zwróciła coś, co zatruwało mnie od lat.

– Może rzeczywiście to zrobiłaś.

Powieki Rachel opadły i uniosły się… powoli.

– I nie wiń za wszystko mojego ojca, Louis. Proszę. To był dla nich straszliwy okres. Rachunki – rachunki za Zeldę – były astronomiczne. Ojciec przepuścił szansę rozwinięcia swej sieci na przedmieścia, a sprzedaż w centrum spadła. A na dodatek moja matka sama powoli dostawała obłędu.

A później wszystko się ułożyło. Zupełnie jakby śmierć Zeldy stała się oznaką nadejścia dobrych czasów. Nastała recesja, ale potem polepszyło się z pieniędzmi. Ojciec dostał kredyt i odtąd nigdy już nie oglądał się za siebie. Lecz właśnie dlatego był bardzo zaborczy w

stosunku do mnie. Nie tylko dlatego, że jedynie ja mu zostałam…

– To poczucie winy – wtrącił Louis.

– Tak, chyba tak. Nie będziesz na mnie zły, jeśli zachoruję w dniu pogrzebu Normy?

– Nie, kochanie, nie będę zły. – Urwał, po czym ujął jej rękę. – Czy mogę zabrać Ellie?

Jej dłoń zacisnęła się na palcach męża.

– Och, Louis, sama nie wiem. – W jej głosie znów zadźwięczał strach. – Jest taka mała…

– Od ponad roku wie już, skąd biorą się dzieci – przypomniał.

Długi czas Rachel milczała, spoglądając w sufit i przygryzając wargi.

– Jeśli sądzisz, że tak będzie najlepiej – rzekła w końcu. – Jeśli uważasz, że to… to jej nie zrani.

– Chodź tu, Rachel – rzekł. I tej nocy spali przytuleni niczym łyżeczki w łóżku Louisa. A kiedy Rachel obudziła się, drżąc w środku nocy, bo działanie valium ustąpiło, on ukoił ją swymi dłońmi i szeptał jej do ucha, że wszystko jest w porządku, aż wreszcie zasnęła.

33

– Albowiem mężczyzna i kobieta są jak kwiaty w dolinie, które kwitną dziś, by jutro spłonąć w ogniu czasu. Człowiecze życie jest jak pora roku. Przychodzi i odchodzi. Módlmy się!

Ellie, elegancka w granatowej sukience, kupionej specjalnie na pogrzeb, tak gwałtownie pochyliła głowę, że siedzący obok niej w ławce Louis usłyszał trzask kręgosłupa. Córka rzadko chodziła do kościoła i, oczywiście, był to jej pierwszy pogrzeb. Połączenie tych dwóch okazji praktycznie odebrało jej mowę.

Louis miał okazję spokojnie obserwować córkę. Zaślepiony miłością, jaką darzył ją i Gage'a, nieczęsto spoglądał na nią obiektywnie. Dziś jednak miał wrażenie, że ogląda niemal podręcznikowy przykład dziecka zbliżającego się do końca pierwszego etapu rozwoju, etapu, na którym jest się wyłącznie czystą ciekawością, szaleńczo gromadzącą wszelkie możliwe informacje. Ellie, co niepodobne do niej, była dziwnie milcząca, nawet gdy Jud, wyglądający obco, lecz elegancko w czarnym garniturze i sznurowanych pantoflach (Louis po raz pierwszy widział go w innych butach niż zielone gumiaki bądź mokasyny) schylił się, ucałował ją i powiedział:

– Cieszę, że przyszłaś, słonko. I założę się, że Norma

także się cieszy.

Ellie spojrzała na niego szeroko rozwartymi oczami, nie znajdując odpowiedzi. Rzadko jej się to zdarzało.

Teraz pastor metodystów, wielebny Laughlin, wygłaszał słowa błogosławieństwa, prosząc Boga, by zechciał spojrzeć na nich i obdarzyć pokojem.

– Niech wystąpią ci, którzy poniosą trumnę – rzekł.

Louis zaczął się podnosić i Ellie zatrzymała go, rozpaczliwie ciągnąc za rękę. Sprawiała wrażenie przerażonej.

– Tatusiu – rzuciła scenicznym szeptem – dokąd idziesz?

– Mam ponieść trumnę, kochanie – odparł Louis, siadając na moment obok niej i obejmując jej ramiona. – To znaczy, że będę jednym z ludzi, którzy wyniosą Normę. W sumie jest nas czterech – ja, dwaj siostrzeńcy Juda i jego szwagier.

– Gdzie cię potem znajdę? – Twarz Ellie wciąż była ściągnięta. W oczach kręciły się pierwsze łzy.

Louis obejrzał się. Pozostała trójka zebrała się już obok trumny wraz z Judem. Reszta zgromadzenia opuszczała kościół. Dostrzegł Missy Dandridge. Nie płakała, lecz oczy miała zaczerwienione. Na jego widok uniosła rękę w niemym pozdrowieniu.

– Jeśli staniesz na schodach, znajdę cię tam – rzekł. – Zgoda, Ellie?

– Tak – odparła. – Tylko o mnie nie zapomnij.

– Nie zapomnę.

Znów wstał i znów szarpnęła go za rękę.

– Tatusiu?

– Co, złotko?

– Nie upuść jej – szepnęła Ellie.

Louis dołączył do pozostałych i Jud przedstawił go siostrzeńcom, którzy w istocie byli dalekimi kuzynami, potomkami brata jego ojca. Potężnie zbudowani młodzieńcy po dwudziestce okazali się niezwykle do siebie podobni. Brat Normy na oko dochodził do sześćdziesiątki, a choć na jego obliczu widać było napięcie i ból wywołane przez śmierć w rodzinie, w sumie trzymał się nieźle.

– Cieszę się, że was poznałem – rzekł Louis. Czuł się nieco niezręcznie – obcy w rodzinnym kręgu.

Skinęli głowami.

– Z Ellie wszystko w porządku? – spytał Jud i wskazał ją ruchem głowy. Dziewczynka stała w sieni, obserwując ich.

Jasne, po prostu chce się upewnić, że nie zniknę nagle w kłębie dymu, pomyślał Louis i omal się nie uśmiechnął. Potem jednak myśl ta przywołała następną: Oz Wiejki i Wsaniały, i uśmiech umknął.

– Tak, chyba tak – odparł głośno, pozdrawiając ją uniesieniem ręki. Odpowiedziała tym samym i wybiegła na dwór: granatowa sukienka fruwała wokół niej. Przez sekundę Louis zauważył zaniepokojony, że wygląda bardzo dorośle. Złudzenie to, choć przelotne, wystarczyło, by wzbudzić niepokój w męskim sercu.

– Gotowi? – spytał jeden z siostrzeńców.

Louis przytaknął. Podobnie młodszy brat Normy.

– Bądźcie ostrożni – poprosił Jud. Jego głos załamał się lekko. Potem odwrócił się i odszedł powoli środkiem kościoła, ze spuszczoną głową.

Louis przeszedł na tylną pozycję w lewym rogu stalowoszarej trumny, którą starzec wybrał dla żony. Złapał uchwyt i cała czwórka powoli wyniosła trumnę Normy na słoneczny lutowy mróz. Ktoś – zapewne kościelny – wysypał śliską ścieżkę z udeptanego śniegu grubą warstwą popiołu. Przy krawężniku czekał już karawan, wielki cadillac wypuszczający w zimowe powietrze białe kłęby spalin. Obok czekał szef firmy pogrzebowej i jego rosły syn. Obserwowali ich czujnie, gotowi pomóc, gdyby ktokolwiek (może jej brat) pośliznął się bądź potknął.

Jud stanął obok niego i patrzył, jak wsuwają do środka trumnę.

– Żegnaj, Normo – powiedział i zapalił papierosa. – Zobaczymy się niedługo, moja droga.

Louis objął go ramieniem. Brat Normy stanął tuż obok po drugiej stronie, spychając grabarza z synem na drugi plan. Potężni siostrzeńcy (czy dalecy kuzyni, czy kim tam byli) zdążyli już zniknąć, wykonawszy proste zadanie: dźwignięcie i przeniesienie trumny. Znacznie oddalili się od tej gałęzi rodziny. Znali twarz zmarłej ze zdjęć i może kilku obowiązkowych wizyt – długich popołudni spędzonych w salonie, wypełnionych

ciasteczkami Normy i piwem Juda. Może nawet nie mieli nic przeciw starym opowieściom z czasów, gdy nie było ich jeszcze na świecie, o ludziach, których nie znali, lecz cały czas zdawali sobie sprawę z tego, że mogliby w tym czasie robić wiele innych rzeczy (umyć i wywoskować samochód, poćwiczyć grę w kręgle albo po prostu usiąść przed telewizorem i obejrzeć z przyjaciółmi mecz bokserski), toteż cieszyli się, kiedy mogli odejść, spełniwszy swój obowiązek.

W ich oczach Jud i jego rodzina należeli już do przeszłości, niczym zwietrzała planetoida oddalająca się od głównej skalnej masy i znikająca w dali, niewiele większa od kropki na niebie. Przeszłość. Zdjęcia w albumie. Stare historie opowiadane w pokoju, który wydawał się im zbyt ciepły – oni nie byli starzy, w ich stawach nie czaił się artretyzm; ich krew była wciąż gęsta. Ostatecznie, jeśli ludzkie ciało to tylko powłoka dla duszy – listu Boga do wszechświata – jak naucza większość Kościołów, to trumna stanowi powłokę przechowującą ludzkie ciało. A dla tych młodych, wysokich kuzynów czy siostrzeńców, czy kimkolwiek byli, przeszłość stanowiła jedynie list bez adresu, pustą kopertę, którą należy odłożyć.

Niech Bóg zachowa przeszłość, przemknęło Louisowi przez głowę i zadrżał bez specjalnego powodu, jeśli nie liczyć myśli, że nadejdzie dzień, gdy on sam stanie się równie obcy swej własnej krwi, potomkom dzieci brata, własnym wnukom, jeśli Ellie bądź Gage dochowają się

potomstwa, a on dożyje tych czasów. Punkty widzenia zmieniały się, gałęzie rodzinne obumierały. Młode twarze wyglądały ze starych fotografii.

Niechaj Bóg zachowa przeszłość, pomyślał ponownie, i mocniej ścisnął ramiona starca.

Grabarze ułożyli kwiaty na tyłach karawanu. Tylne elektryczne okno podniosło się i zatrzasnęło ze szczękiem. Louis wrócił w miejsce, gdzie czekała córka, i razem podeszli do hondy. Ojciec trzymał łokieć córeczki tak, by nie pośliznęła się w swych odświętnych butach na skórzanych podeszwach. Wokół ożywały silniki samochodów.

– Czemu wszyscy włączają światła, tatusiu? – spytała Ellie. – Czemu włączają światła w dzień?

– Robią to – zaczął Louis i usłyszał, jak głucho brzmi jego głos – by uczcić pamięć zmarłej, Ellie. – Włączył reflektory hondy. – Ruszajmy.

Jechali już do domu po zakończeniu ceremonii pogrzebowej (w rzeczywistości odprawiano ją w małej kaplicy cmentarza Mount Hope; grób dla Normy miał zostać wykopany dopiero na wiosnę), gdy Ellie nagle wybuchnęła płaczem.

Louis zerknął na nią, zaskoczony, lecz niezbyt zaniepokojony.

– Co się stało, Ellie?

– Nie będzie już ciasteczek – wyszlochała Ellie. – Ona piekła najlepsze owsiane ciasteczka na świecie, ale więcej ich nie upiecze, bo nie żyje. Tatusiu, czemu ludzie

muszą umierać?

– Tak naprawdę to nie wiem – odparł Louis. – Chyba żeby zrobić miejsce nowym ludziom. Małym, jak ty i twój brat Gage.

– Nigdy nie wyjdę za mąż, nie będę się kochać, nie będę miała dzieci – oznajmiła Ellie, płacząc jeszcze mocniej. – Wtedy może mnie to nie spotka. Śmierć jest straszna. Jest zła!

– Ale stanowi koniec cierpienia – odrzekł cicho Louis. – A jako lekarz widzę wiele cierpienia. Przyjąłem tę posadę na uniwersytecie także dlatego, że miałem dosyć oglądania go co dzień. Młodzi ludzie często czują ból… czasem wielki ból… ale to niezupełnie to samo co cierpienie.

Zawiesił głos.

– Wierz lub nie, słonko, kiedy ludzie stają się bardzo starzy, śmierć nie zawsze wydaje im się zła czy przerażająca, jak teraz tobie. Poza tym masz przed sobą jeszcze mnóstwo, naprawdę mnóstwo lat.

Ellie popłakała chwilę, potem pociągnęła kilka razy nosem i ucichła. Nim dotarli do domu, spytała, czy może włączyć radio. Louis zgodził się i natychmiast znalazła stację WACZ. Z głośnika odezwał się Shakin’ Stevens. Po chwili śpiewała „This Old House” wraz z nim. Gdy dotarli do domu, poszła do matki i zaczęła opowiadać o pogrzebie. Trzeba przyznać Rachel, że słuchała spokojnie, ze współczuciem i zrozumieniem… choć Louisowi wydało się, że wygląda blado i jest nie w sosie.

Potem Ellie spytała, czy umie zrobić owsiane ciasteczka. Rachel odłożyła robótkę na drutach i natychmiast wstała, jakby czekała na to pytanie.

– Tak – odparła. – Chcesz, upieczemy całą blachę.

– Jejku! – krzyknęła Ellie. – Naprawdę możemy, mamo?

– Owszem, jeśli twój ojciec przez godzinę zajmie się Gage'em.

– Zajmę się nim – odparł Louis. – Z przyjemnością.

Louis spędził wieczór na lekturze i sporządzaniu notatek z „The Duquesne Medical Digest". W piśmie znów rozpoczął się stary spór dotyczący rozpuszczalnych szwów. W maleńkim świecie nielicznych istot ludzkich, zainteresowanych zszywaniem drobniejszych ran, był to spór równie zacięty i nierozstrzygnięty, jak wśród psychologów sprawa natura kontra wychowanie.

Zamierzał jeszcze tego wieczoru napisać list, w którym oprotestowałby artykuł, udowadniając, że podstawowe założenia autora są niejasne, przykłady tendencyjne, a badania karygodnie niedokładne. Krótko mówiąc, Louis z wyraźną satysfakcją zamierzał zmieszać kretyna z błotem. Właśnie grzebał w biblioteczce w poszukiwaniu „Opatrywania ran" Troutmana, gdy Rachel zeszła do połowy schodów.

– Idziesz, Lou?

– Jeszcze trochę posiedzę. – Zerknął na nią. – Wszystko w porządku?

– Oboje mocno śpią.

Louis przyjrzał się jej uważnie.

– Oni owszem. Ty, nie.

– Nic mi nie jest. Czytałam.

– Wszystko w porządku? Naprawdę?

– Tak – odparła z uśmiechem. – Kocham cię, Louis.

– Ja ciebie też, moja śliczna. – Spojrzał na biblioteczkę i dostrzegł Troutmana, który stał właśnie tam, gdzie powinien. Louis położył dłoń na podręczniku.

– Kiedy nie było was z Ellie, Church przyniósł do domu szczura. Co za ohyda!

– Rany, Rachel, tak mi przykro. – Miał nadzieję, że w jego głosie nie odbiło się poczucie winy, które ogarnęło go natychmiast. – Bardzo było źle?

Rachel usiadła na schodach. W różowej flanelowej nocnej koszuli, z twarzą pozbawioną makijażu, błyszczącym czołem i włosami spiętymi gumką w krótki koński ogon wyglądała jak dziecko.

– Załatwiłam to – rzekła. – Ale wiesz, że musiałam wypchnąć tego durnego kota rurą od odkurzacza, zanim przestał pilnować trupa. Warknął na mnie. Church nigdy dotąd na mnie nie warczał. Ostatnio wydaje się jakiś inny. Myślisz, że jest może chory czy coś takiego?

– Nie – odparł wolno Louis. – Ale jeśli chcesz, zabiorę go do weterynarza.

– Chyba nie trzeba. – Rachel spojrzała na niego bezbronnym wzrokiem. – Przyjdziesz na górę? Po prostu… wiem, że pracujesz, ale…

– Oczywiście – odrzekł, jakby nie zajmował się

niczym ważnym. I rzeczywiście tak było – tyle że wiedział, że list nigdy już nie zostanie napisany, bo życie toczy się dalej i jutro przyniesie z pewnością coś nowego. Ale przecież kupił sobie tego szczura. Sam za niego zapłacił. Szczura przyniesionego przez Churcha, z pewnością poszarpanego na krwawe strzępy, z wywleczonymi wnętrznościami, może nawet bez głowy. O tak, kupił go. To był jego szczur.

– Chodźmy do łóżka – rzekł, gasząc światła. Poszli na górę wraz z Rachel. Louis objął ją w talii i kochał najlepiej, jak umiał… lecz nawet kiedy wszedł w nią, twardy i sztywny, cały czas nasłuchiwał skowytu wiatru za oszronionymi oknami, zastanawiając się, gdzie podziewa się Church, kot, który niegdyś należał do jego córki, a teraz do niego, i na co poluje, co zabija. Ziemia serca mężczyzny jest kamienista, pomyślał, a wiatr wyśpiewywał swą gorzką, czarną pieśń. Niewiele kilometrów dalej Norma Crandall, która kiedyś zrobiła na drutach identyczne czapeczki jego córce i synowi, leżała w szarej stalowej trumnie na kamiennym postumencie w krypcie Mount Hope. Do tej pory biała wata, którą pracownik kostnicy wypchał jej policzki, zdążyła już poczernieć.

34

Ellie skończyła sześć lat. W urodziny wróciła do domu z przedszkola z włożoną krzywo na głowę papierową czapką, kilkoma portretami stworzonymi przez jej przyjaciół (na najlepszym z nich Ellie wyglądała jak uśmiechnięty strach na wróble) i złowieszczymi pogłoskami o dzieciach dostających w tyłek na przerwie na szkolnym dziedzińcu. Epidemia grypy minęła. Musieli wysłać dwóch studentów do EEMC w Bangor, a Surrendra Hardu prawdopodobnie ocalił życie poważnie zatrutego pierwszoroczniaka obdarzonego koszmarnym nazwiskiem Humperton. Peter Humperton zwymiotował, leżąc na plecach w łóżku w przychodni i o mało się nie udusił. Rachel zaczęła wspominać z zachwytem o jasnowłosym tragarzu w A&P w Brewer, wygłaszając istne poematy na temat jego wypchanych spodni.

– To pewnie tylko papier toaletowy – dodała.

– Ściśnij go tam kiedyś – zaproponował Louis. – Jeśli krzyknie, raczej nie.

Rachel popłakała się ze śmiechu.

Błękitny, nieruchomy mroźny luty minął, ustępując miejsca naprzemiennym deszczom i śniegom marca, nowym dziurom w drodze i pomarańczowym znakom, oddającym cześć wielkiemu bogu – wybojowi. Pierwszy, osobisty, najboleśniejszy okres żałoby Juda Crandalla

minął. Psycholodzy twierdzą, że okres ten zaczyna się jakieś trzy dni po śmierci ukochanej osoby i trwa zazwyczaj od czterech do sześciu tygodni – niczym czas, który mieszkańcy Nowej Anglii nazywają czasem Lutą Zimą. Czas jednak płynie i przemienia jedno uczucie ludzkie w następne, aż w końcu przybierają wszystkie odcienie tęczy. Cierpienie przekształca się w łagodniejszy żal, ten w żałobę, żałoba w końcu staje się pamięcią – proces ten może zająć od pół roku do trzech lat, i wciąż mieścić się w normie. Dzień pierwszej wizyty Gage'a u fryzjera nadszedł i minął, a kiedy Louis ujrzał, że włosy syna odrastają ciemniejsze, zażartował na ten temat, własnej żałobie oddając się tylko w głębi serca.

Nadeszła wiosna. I została.

35

Louis Creed doszedł do wniosku, że ostatnim naprawdę szczęśliwym dniem jego życia był dwudziesty czwarty marca tysiąc dziewięćset osiemdziesiątego czwartego roku. Wydarzenia, które wisiały już nad nimi niczym zabójczy ciężar, miały nadejść dopiero za sześć tygodni, lecz kiedy oglądał się wstecz, w czasie tym nie znalazł niczego, co miałoby równie mocną barwę i znaczenie. Podejrzewał, że nawet gdyby nie stało się nic strasznego, i tak na zawsze zapamiętałby ów dzień. Naprawdę dobre dni – dobre od początku do końca – są bardzo rzadkie, pomyślał. Możliwe, że nawet w najlepszych okolicznościach w życiu każdego człowieka znajdzie się w sumie miesiąc złożony z takich dni. Louis często miał wrażenie, że Bóg w swej nieskończonej mądrości znacznie szczodrzej szafuje nieszczęściami i bólem.

Była sobota. Po południu został w domu z Gage’em; Rachel i Ellie wybrały się na zakupy wraz z Judem jego starą, rozklekotaną furgonetkę, nie dlatego że honda nie działała, lecz dlatego że starzec szczerze lubił ich towarzystwo. Rachel spytała Louisa, czy poradzi sobie z Gage’em, a on odparł, że oczywiście. Cieszył się, że mogła wyrwać się z domu. Po spędzonej w Maine, a ściślej w Ludlow, zimie uznał, że należy jej się tyle

swobody, ile to tylko możliwe. Co prawda sama Rachel robiła dobrą minę do złej gry, lecz widział, że powoli zaczyna wariować od siedzenia na miejscu.

Gage obudził się około drugiej, nadąsany i nieswój. Najwyraźniej odkrył znaczenie słów „straszliwe godziny" i przyswoił je sobie natychmiast. Louis próbował na różne sposoby rozbawić małego, lecz Gage zlekceważył wszystkie jego wysiłki. Na dodatek załatwił się tego dnia nader obficie, co raczej nie zachwyciło Louisa, nawet gdy dostrzegł artystycznie tkwiącą pośrodku niebieską szklaną kulkę. Była to jedna ze szklanych kulek Ellie. Mały mógł się nią zadławić. Louis uznał, że pozostaje tylko pozbyć się ich z domu – wszystko, co Gage zdołał złapać, natychmiast pakował do buzi – lecz decyzja ta, choć niewątpliwie chwalebna, w żaden sposób nie pomogła mu zabawić dziecka aż do przyjazdu matki.

Na zewnątrz szumiał wczesnowiosenny wiatr. Leżące w sąsiedztwie pole pani Vinton na zmianę pogrążało się w blasku słońca i w cieniu. I nagle Louis przypomniał sobie Sępa, którego kupił, kierując się impulsem, pięć czy sześć tygodni temu w drodze powrotnej z uniwersytetu. Czy kupił też sznurek? Tak, na Boga!

– Gage! – zawołał. Gage tymczasem znalazł sobie pod kanapą zieloną kredkę, kolorem dokładnie przypominającą świeże smarki, i bazgrał coś w jednej z ukochanych książek Ellie. Kolejna porcja wody na młyn rodzinnej rywalizacji, pomyślał Louis i uśmiechnął się szeroko. Jeśli Ellie wścieknie się z powodu bazgrołów

Gage’a w „Dzikich stworzeniach” – maluch zdążył solidnie ozdobić książkę, nim ojciec mu ją zabrał – Louis wspomni jedynie o niezwykłym skarbie znalezionym w pampersie synka.

– Co? – spytał bystro chłopczyk. Mówił już całkiem nieźle. Louis uznał, że może jednak ma choć trochę rozumu.

– Chcesz wyjść na dwór?

– Wyjść na dwór – zgodził się radośnie Gage. – Chcę wyjść. Gdzie moje dasy, tato? – Zdanie odtworzone w pełni fonetycznie, wyglądałoby mniej więcej tak: „Gdziee moe daazy, tao?”. W tłumaczeniu oznaczało to: „Gdzie moje adidasy, ojcze?”. Louisa często zaskakiwał sposób wysławiania Gage’a, nie dlatego że brzmiał uroczo, lecz dlatego że odnosił wrażenie, iż małe dzieci mówią niczym imigranci, uczący się w chaotyczny, lecz skuteczny sposób obcego języka. Wiedział, że niemowlęta są w stanie wydać z siebie każdy dźwięk, który może wyprodukować ludzka głośnia. Dźwięczne „r” sprawiające takie trudności uczniom rozpoczynającym naukę francuskiego, pomruki na wdechu, typowe dla australijskich Aborygenów, ostre, urywane spółgłoski Niemców. Tracą tę zdolność w miarę nauki angielskiego. I, nie po raz pierwszy, przyszło mu na myśl, że być może dzieciństwo to nie czas nauki, lecz raczej zapominania.

W końcu znaleźli dasy Gage’a… także leżały pod kanapą. Louis wierzył również, że w rodzinach z małymi dziećmi przestrzeń pod kanapą w salonie po jakimś czasie

zaczyna rozwijać w sobie silną, tajemniczą, elektromagnetyczną moc, która w końcu ściąga tam wszelkie możliwe śmiecie – wszystko, od butelek i zapinek do pieluch po obrzydliwie zielone kredki i stare numery pisma „Ulica Sezamkowa” z kawałkami jedzenia gnijącymi między stronicami.

Kurtki Gage’a nie znaleźli jednak pod kanapą, lecz w połowie schodów. Jego czapeczka Red Soxów, bez której nie zgadzał się opuścić domu, okazała się najtrudniejszym orzechem do zgryzienia, bo leżała tam, gdzie powinna – w szafie. Rzecz jasna było to ostatnie miejsce, jakie sprawdzili.

– Gdzie idziemy, tato? – spytał pogodnie Gage, podając rękę ojcu.

– Idziemy na pole pani Vinton – odparł Louis. – Puścimy latawca, mój stary.

– Tawca? – spytał z powątpiewaniem Gage.

– Spodoba ci się – obiecał Louis. – Jedną chwileczkę, chłopie.

Już w garażu Louis znalazł kółko z kluczami, otworzył niewielką szafkę i zapalił światło. Przez chwilę grzebał wśród rupieci, aż w końcu znalazł Sępa, wciąż tkwiącego w torbie ze sklepu z przypiętym paragonem. Kupił go w najgorsze mrozy lutego, gdy jego dusza łaknęła choć odrobiny nadziei.

– To? – spytał Gage. Po Gage’owemu znaczyło to: „Na miłość boską, cóż tam masz, ojcze?”.

– To latawiec – wyjaśnił Louis i wyciągnął go z torby.

Gage patrzył ciekawie, jak ojciec rozkłada Sępa, którego skrzydła ze sztywnego plastiku miały rozpiętość ponad półtora metra. Wybałuszone, przekrwione oczy spoglądały z małej głowy, tkwiącej na różowej kostropatej szyi.

– Ptak! – wrzasnął Gage. – Ptak, tato. Masz ptaka.

– Tak, to ptak – zgodził się Louis, wsuwając drążki na miejsce z tyłu latawca i rozpoczynając nowe poszukiwania stu pięćdziesięciu metrów latawcowego sznurka, który kupił tego samego dnia. Obejrzał się przez ramię i powtórzył do Gage'a: – Spodoba ci się to, chłopie.

Gage'owi rzeczywiście się spodobało.

Wynieśli latawiec na pole pani Vinton i Louis za pierwszym podejściem zdołał wzbić go w wietrzne późnomarcowe niebo, choć nie puszczał latawców, odkąd skończył… ile lat? Dwanaście? Dwadzieścia trzy lata temu? Boże, co za straszna myśl.

Pani Vinton była niemal w wieku Juda, lecz niepomiernie słabsza i bardziej krucha. Mieszkała w ceglanym domu u stóp pola (które, jak kiedyś powiedział Louisowi Jud, od niepamiętnych czasów zwano polem Vintonów), lecz obecnie rzadko wychodziła na dwór. Za domem pole kończyło się i zaczynały lasy – lasy wiodące najpierw na Cmętarz Zwieżąt, a potem leżące dalej cmentarzysko Micmaców.

– Tawiec leci, tato! – krzyknął Gage.

– O tak, patrz, jak frunie! – odkrzyknął Louis roześmiany i rozradowany. Rozwijał sznurek tak szybko,

że ten rozgrzał się i omal nie oparzył mu dłoni. – Patrz na Sępa, Gage. Skopie wszystkim dupę.

– Kopie dupę! – zawołał Gage i roześmiał się radośnie, piskliwie. Słońce wypłynęło zza ciężkiej, szarej wiosennej chmury i zdawało się, że temperatura natychmiast wzrosła o kilka stopni. Stali w jasnym słońcu, czując niepewne ciepło marca powoli zmieniającego się w kwiecień, wśród wysokich zeschłych traw pola Vintonów; ponad nimi Sęp szybował ku błękitowi, coraz to wyżej i wyżej. Jego rozpięte plastikowe skrzydła przechwytywały stały prąd powietrza, i jak kiedyś w dzieciństwie Louis poczuł, że sam wzlatuje ku niemu, coraz wyżej, patrząc, jak świat w dole nabiera swych prawdziwych kształtów, które kartografowie muszą oglądać w marzeniach. Pole pani Vinton, białe i nieruchome, pokryte pajęczyną topniejącego śniegu, nie było już zwykłym polem, lecz ogromnym równoległobokiem, ograniczonym z dwóch stron skalnymi ścianami, na dole czarną kreską drogi, na górze zaś rzeczną doliną. Sęp widział to wszystko swymi bystrymi przekrwionymi oczami. Widział rzekę: szare stalowe pasmo, w którym wciąż unoszą się kawałki kry. Po drugiej stronie ujrzał Hampden, Newburgh, Winterport i statek tkwiący w doku. Może też fabrykę St. Regis w Bucksport, skrytą pod gęstą chmurą pary albo nawet sam koniec lądu w miejscu, gdzie Atlantyk uderza o odsłonięte skały.

– Patrz, jak leci, Gage! – huknął Louis ze śmiechem.

Gage odchylał się tak mocno, że lada moment mógł się przewrócić. Jego twarz rozjaśniał szeroki uśmiech. Ręką machał do latawca.

W końcu sznurek poluźnił się lekko i Louis kazał Gage'owi złapać się za rękę. Gage zrobił to, nie oglądając się na ojca. Nie mógł oderwać oczu od latawca, kołyszącego się i tańczącego na wietrze, ścigającego swój cień po polu.

Louis dwukrotnie okręcił sznurek wokół dłoni Gage'a i wówczas malec spuścił wzrok, komicznie zaskoczony nagłym szarpnięciem.

– Co? – rzucił.

– Ty nim kierujesz – oznajmił Louis. – Puszczasz go, chłopie. To twój latawiec.

– Gage puszcza? – spytał Gage, jakby prosił o potwierdzenie nie ojca, lecz siebie samego. Eksperymentalnie pociągnął za sznurek. Latawiec posłusznie zakołysał się na wietrznym niebie. Gage szarpnął mocniej. Latawiec zanurkował. Louis i jego syn zaśmiali się jednocześnie. Chłopiec wyciągnął wolną rękę i Louis ujął ją. Stali tak razem pośrodku pola pani Vinton, obserwując Sępa.

Louis nigdy nie zapomniał tej chwili w towarzystwie syna. Tak jak w dzieciństwie wzlatywał i jednoczył się z latawcem, teraz odkrył, że wnika w głąb Gage'a, swego syna. Poczuł, że się kurczy i zagłębia w maleńką postać chłopca, w dom jego ciała, wyglądając na świat oknami jego oczu – na ogromny, jasny świat, w którym pole pani

Vinton było równie wielkie jak Równina Solna Bonneville, latawiec szybował wiele kilometrów nad głową, zaciśnięty w pięści sznurek szarpał dłoń niczym żywa istota, a wiatr szumiał wokół, unosząc mu włosy.

– Tawiec lata! – krzyknął do ojca Gage. Louis objął go ramieniem i ucałował w policzek, na którym wiatr zasadził dziką różę.

– Kocham cię, Gage – powiedział; miało to pozostać między nimi dwoma. I było w porządku, całkiem w porządku.

A Gage, któremu pozostały niecałe dwa miesiące życia, roześmiał się radośnie, piskliwie.

– Tawiec lata! Tawiec lata, tato!

Wciąż jeszcze puszczali latawiec, gdy Rachel i Ellie wróciły do domu. Udało im się wzbić go tak wysoko, że niemal zabrakło im sznurka, a oblicze Sępa zniknęło w dali. Latawiec był tylko małą, czarną sylwetką na niebie.

Louis ucieszył się, widząc je obie, i ryknął ze śmiechu, kiedy Ellie wypuściła na moment sznurek i musiała ścigać go po trawie, chwytając w końcu tuż przedtem, nim sama końcówka odwinęła się ze szpuli. Lecz ich przybycie wiele zmieniło i nie żałował specjalnie, gdy dwadzieścia minut później Rachel oznajmiła, że według niej Gage wystarczająco długo przebywa na wietrze. Bała się, że się przeziębi.

Toteż ściągnięto z nieba latawiec, który z każdym obrotem szpulki walczył i stawiał opór, by w końcu ustąpić. Louis wsunął go pod pachę – czarne skrzydła,

wybałuszone przekrwione oczy – i ponownie uwięził w szafce. Tego wieczoru Gage zjadł ogromną kolację, złożoną z parówek i fasolki. A podczas gdy Rachel ubierała go w piżamę, Louis zabrał na bok Ellie i porozmawiał z nią poważnie o pozostawianych na podłodze kulkach. W innych okolicznościach rozmowa mogłaby skończyć się krzykiem, bo Ellie oskarżana o jakikolwiek błąd potrafiła zachowywać się wyniośle, niemal obraźliwie. W ten sposób radziła sobie z krytyką. Nie zmieniało to jednak faktu, że reakcja ta była wybitnie denerwująca, zwłaszcza gdy dziewczynka przesadziła bądź Louis był szczególnie zmęczony. Lecz tego wieczoru zabawa z latawcem pozostawiła go w dobrym nastroju, a Ellie także okazała się zaskakująco rozsądna. Obiecała zachować większą ostrożność, a potem zeszła na dół oglądać telewizję do wpół do dziewiątej. Pozwalali jej na to tylko w soboty i niezmiernie ceniła sobie ów przywilej. W porządku, załatwione. Może nawet coś to da, pomyślał Louis, nie wiedząc, że kulki nie są wcale problemem i podobnie przeziębienia, że problemem okaże się wielka ciężarówka Orinco, że właściwy problem to droga… choć Jud Crandall ostrzegał ich przed tym w sierpniu ich pierwszego dnia w Ludlow.

Tego wieczoru poszedł na górę jakieś piętnaście minut po tym, jak Rachel położyła Gage’a. Zastał syna spokojnego, lecz wciąż przytomnego. Maluch wysączał właśnie resztkę mleka z butelki i z namysłem patrzył w sufit.

Louis ujął jedną ze stópek Gage’a, uniósł ją i pocałował.

– Dobranoc, Gage – rzekł.

– Tawiec lata, tato – odparł Gage.

– O tak, nieźle sobie polatał. – Nagle bez żadnego powodu do oczu Louisa napłynęły łzy. – Aż po samo niebo, chłopie.

– Tawiec lata – zgodził się Gage. – Po nebo.

Obrócił się na bok, zamknął oczy i zasnął. Ot tak.

Louis przekraczał właśnie próg, gdy obejrzawszy się, ujrzał zielone, bezcielesne oczy spoglądające na niego z szafy Gage’a. Drzwi szafy były uchylone… odrobinę. Serce podeszło mu do gardła, usta wykrzywiły się w nagłym grymasie.

Otworzył drzwi szafy, myśląc

(Zelda to Zelda w szafie ze spuchniętym czarnym językiem sterczącym z ust)

nie był pewien dlaczego, lecz oczywiście był to tylko Church. Kot siedział w szafie, a gdy zobaczył Louisa, wygiął grzbiet niczym kocur z kartki na Halloween. Syknął na niego, otwierając pyszczek i ukazując ostre jak szpilki zęby.

– Wynoś się stąd – mruknął Louis.

Church syknął ponownie. Ani drgnął.

– Powiedziałem: wynoś się! – Podniósł pierwszą rzecz, jaka podeszła mu pod rękę, w stosie zabawek Gage’a, jasną plastikową lokomotywę, która w półmroku nabrała brunatnej barwy skrzepłej krwi. Machnął nią

groźnie w stronę Churcha. Kot jednak nie tylko nie ustąpił, lecz znów syknął.

I nagle, bez namysłu Louis cisnął zabawką w kota. Nie dla zabawy, nie lekko, lecz z całej siły; był wściekły na zwierzę, a jednocześnie bał się, że ukryło się tu w ciemnej szafie w pokoju jego synka i nie chciało odejść, jakby miało prawo tu być.

Mała lokomotywa trafiła prosto w bok kota. Church wydał z siebie wysoki skowyt i uciekł z właściwym sobie wdziękiem, zderzając się z drzwiami i niemal padając po drodze.

Gage poruszył się, wymamrotał coś, przekręcił się ponownie i znów ucichł. Louis poczuł, że robi mu się niedobrze. Na jego czoło wystąpiły kropelki potu.

– Louis? – To była Rachel z dołu. W jej głosie brzmiał niepokój. – Czy Gage wypadł z łóżeczka?

– Nic mu nie jest, kochanie. Church wywrócił parę zabawek.

– Ach tak.

Czuł się – może nieracjonalnie, a może i nie – jakby spojrzał na syna i dostrzegł pełzającego po nim węża bądź wielkiego szczura przycupniętego na półce nad łóżeczkiem. Oczywiście było to irracjonalne. Kiedy jednak kot syknął na niego z szafy…

(Zelda myślałeś że to Zelda myślałeś, że to Oz Wiejki i Wsaniały)

Zamknął drzwi szafy Gage’a, odsuwając stopą kilka zabawek. Wysłuchał cichego szczęknięcia zatrzasku. Po

chwili wahania przekręcił klucz w zamku.

Z powrotem podszedł do łóżeczka. Kręcąc się, maluch zrzucił z siebie kołdrę, która owinęła się wokół kolan. Louis rozplątał ją. Ponownie przykrył dziecko, po czym stał tam długi czas, patrząc na syna.

CZĘŚĆ DRUGA
Cmentarzysko Micmaców

Gdy Jezus przybył do Betanii, przekonał się, że Łazarz już od czterech dni leży w grobie. Kiedy Marta usłyszała o nadejściu Jezusa, pośpieszyła mu na spotkanie.

– Panie – rzekła – gdybyś był tutaj, brat mój nie umarłby. Teraz jednak tu jesteś i wiem, że o cokolwiek poprosisz Boga, zostanie spełnione.

A Jezus odparł:

– Brat twój znów żyć będzie.

Ewangelia według świętego Jana (parafraza)

Hey-ho, let's go.

The Ramones

36

Nie należy wierzyć, iż istnieją granice grozy, którą zdolny jest przyjąć ludzki umysł. Wręcz przeciwnie, wszystko wskazuje na to, iż w miarę jak ciemność staje się coraz głębsza, głębia owa zaczyna rosnąć wykładniczo – i choć nie chcemy tego przyznać, to doświadczenie podpowiada nam, iż kiedy koszmar staje się dość czarny, groza zaczyna rodzić grozę, a jedno przypadkowe zło płodzi następne, często rozmyślne złe czyny, póki w końcu wszystkiego nie pochłonie ciemność. Najstraszniejszym zaś pytaniem pozostaje to, ile dokładnie grozy może znieść ludzki umysł i wciąż zachować niezłomną, nieugiętą łączność z rzeczywistością. Trudno ukryć, że podobne wydarzenia mają w sobie coś z absurdu. W pewnym momencie wszystko staje się zabawne. Możliwe, że w tej właśnie chwili nasze zdrowie umysłowe zaczyna albo ratować się przed upadkiem, albo też załamywać i pękać. To moment, gdy człowiekowi wraca poczucie humoru.

Louis Creed mógłby rozmyślać o tych rzeczach, gdyby w ogóle myślał trzeźwo siedemnastego maja, po pogrzebie swego syna, Gage’a Williama Creeda. Lecz wszelkie próby racjonalnego myślenia skończyły się w sali pogrzebowej, gdzie bójka z teściem (sama w sobie dostatecznie okropna) doprowadziła do wydarzenia

jeszcze straszniejszego, ostatniego aktu gotyckiego melodramatu dość koszmarnego, by całkowicie strzaskać resztki i tak osłabionej samokontroli Rachel. Makabryczne wydarzenia tego dnia dobiegły końca, dopiero gdy wywleczono ją, krzyczącą, z Sali Wschodniej domu pogrzebowego Brookingsa-Smitha, w której Gage leżał w zamkniętej trumnie. W przedsionku Surrendra Hardu podał jej środki uspokajające.

O ironio, Rachel nie stałaby się świadkiem ostatniego aktu dramatu, owego komiksowego wybuchu grozy, gdyby do bójki pomiędzy Louisem Creedem i panem Irwinem Goldmanem z Dearborn doszło podczas porannego wystawienia zwłok (od dziesiątej do jedenastej trzydzieści) zamiast popołudniowego (od drugiej do trzeciej trzydzieści). Rachel nie uczestniczyła w porannej ceremonii; po prostu nie była w stanie przyjść. Została w domu z Judem Crandallem i Steve'em Mastertonem. Louis nie miał pojęcia, jak zdołałby przeżyć ostatnich czterdzieści osiem godzin bez Juda i Steve'a.

Miał szczęście – w istocie dotyczyło to całej trójki pozostałych przy życiu członków rodziny – że Steve zjawił się tak szybko, bo Louis, przynajmniej tymczasowo, nie potrafił podjąć jakiejkolwiek decyzji, nawet tak drobnej, jak podanie żonie zastrzyku, by stłumić nieco jej głęboką rozpacz. Nie zauważył nawet, że Rachel ma zamiar wybrać się na wystawienie w szlafroku, w dodatku krzywo zapiętym. Włosy miała brudne, splątane, nieuczesane, oczy mętne – brązowe kule

wychodziły z orbit tak daleko, że przypominały niemal oczy żywej czaszki – jej skóra była mączysta, zwisała fałdami z twarzy. Tego ranka Rachel usiadła przy stole śniadaniowym, przeżuwając suchego tosta i wyrzucając z siebie oderwane zdania, pozbawione wszelkiego sensu. W pewnym momencie rzuciła gwałtownie:

– A co do winnebago, którego zamierzasz kupić, Lou… – Louis ostatnio wspominał o zakupie winnebago w tysiąc dziewięćset osiemdziesiątym pierwszym roku.

Teraz jedynie przytaknął i nadal spokojnie jadł śniadanie. Przyrządził sobie talerz kakaowych płatków. Kakaowe płatki były jednym z ulubionych przysmaków Gage'a i tego ranka Louis miał na nie ochotę. Smakowały koszmarnie, ale i tak ich pragnął. Zjawił się na śniadaniu ubrany w swój najlepszy garnitur – nie czarny, nie miał czarnego garnituru, lecz przynajmniej ciemnografitowy. Ogolił się, wziął prysznic, uczesał włosy. Wyglądał dobrze, choć nadal był w szoku.

Ellie włożyła dżinsy i żółtą bluzkę. Przyniosła ze sobą zdjęcie; ani na moment nie chciała się z nim rozstać. Zdjęcie to – powiększenie fotografii zrobionej polaroidem SX 70, który Rachel dostała od męża i dzieci na ostatnie urodziny – przedstawiało Gage'a uśmiechniętego pod kapturem parki z Searsa. Maluch siedział na sankach, a Ellie go ciągnęła. Rachel wyczekała na moment, gdy córka obejrzała się przez ramię i uśmiechnęła do Gage'a. Gage odpowiedział szerokim uśmiechem.

Ellie cały czas nosiła ze sobą zdjęcie, ale niewiele

mówiła. Zupełnie jakby szok związany ze śmiercią brata na drodze przed domem pozbawił ją większości słownictwa.

Louis nie potrafił dostrzec stanu, w jakim znajdowały się jego żona i córka. Jadł śniadanie, a jego umysł raz po raz odtwarzał wypadek, tyle że w owych wizjach zakończenie wyglądało inaczej. W wizjach był szybszy i wszystko skończyło się na tym, że Gage dostał lanie, bo nie zatrzymał się, gdy krzyczeli.

To Steve dostrzegł, co naprawdę dzieje się z Rachel i Ellie. Zabronił Rachel wyjścia na poranne wystawienie zwłok (choć „wystawienie" można nazwać fikcją ze względu na zamkniętą trumnę. Gdyby została otwarta, wszyscy, łącznie z samym Louisem, uciekliby z krzykiem) i nie pozwolił Ellie w ogóle ruszać się z domu. Rachel protestowała. Ellie siedziała jedynie, milcząca i poważna, trzymając w dłoni zdjęcie z Gage'em.

To Steve dał Rachel zastrzyk, którego tak potrzebowała i zaaplikował Ellie łyżeczkę bezbarwnego płynu. Ellie zazwyczaj gwałtownie opierała się przyjmowaniu wszelkich leków – jakichkolwiek leków – ten jednak wypiła bez żadnych grymasów. O dziesiątej rano spała już mocno w swym łóżku (w dłoni wciąż trzymała zdjęcie z Gage'em), a Rachel siedziała przed telewizorem, oglądając „Koło Fortuny". Na pytania Steve'a odpowiadała powoli, spokojnie, z rozmysłem. Była nafaszerowana prochami, lecz jej twarz straciła wyraz cichego, bolesnego obłędu, który tak bardzo

zaniepokoił i przeraził asystenta, gdy ten zjawił się u nich w domu piętnaście po ósmej.

Oczywiście to Jud poczynił wszelkie ustalenia. Zrobił to z tą samą spokojną sprawnością, z jaką załatwiał pogrzeb żony trzy miesiące wcześniej. Ale to Steve Masterton odwołał Louisa na bok, tuż przedtem, nim ten wyruszył do domu pogrzebowego.

– Dopilnuję, by przyjechała tam po południu, jeśli zdoła to znieść – poinformował Louisa.

– W porządku.

– Do tego czasu działanie zastrzyku ustąpi. Twój przyjaciel, pan Crandall, mówi, że po południu zostanie z Ellie…

– Dobrze.

– I zagra z nią w monopol czy coś takiego.

– Aha.

– Ale…

– Dobrze.

Steve urwał. Stali w garażu, na terenach łowieckich Churcha, w miejscu, gdzie przynosił martwe ptaki i szczury, które należały do Louisa. Na zewnątrz świeciło majowe słońce. Przez podjazd przebiegał drozd, jakby ważne sprawy wzywały go gdzie indziej.

– Louis – powiedział Steve – musisz pozbierać się do kupy.

Louis spojrzał na niego uprzejmie, pytająco. Niewiele z tego, co powiedział Steve, dotarło do niego – myślał, że gdyby był odrobinę szybszy, może uratowałby życie syna

– ale te słowa zarejestrował.

– Chyba nie zauważyłeś – ciągnął Steve – ale Ellie przestała mówić. Nie odzywa się ani słowem. A Rachel jest w takim szoku, że kompletnie straciła poczucie czasu.

– Jasne – odparł Louis. Najwyraźniej powinien położyć większy nacisk na swą odpowiedź. Nie był pewien dlaczego.

Steve położył dłoń na ramieniu Louisa.

– Lou – powiedział. – Potrzebują cię teraz bardziej niż kiedykolwiek w życiu. Proszę cię, stary… Mogę dać twojej żonie zastrzyk, ale… Widzisz, Louis, musisz… Chryste, Louis, co to za pierdolone, kurewskie nieszczęście!

Louis z lekkim niepokojem odkrył, że Steve zaczyna płakać.

Jasne, rzekł, w myślach widząc Gage'a biegnącego przez trawnik ku drodze, a oni krzyczeli, by wracał, lecz Gage nie słuchał. Ostatnio jego ulubioną zabawą była ucieczka od mamy-taty. A potem rzucili się w pogoń, Louis szybko wyprzedził Rachel, lecz Gage zanadto się oddalił, Gage śmiał się, Gage uciekał przed tatą, na tym właśnie polegała zabawa, a Louis zbliżał się zbyt wolno, Gage biegł w dół łagodnego trawiastego zbocza, opadającego aż do skraju trasy numer 15, a Louis modlił się do Boga, by Gage upadł, kiedy małe dzieci biegną zbyt szybko, niemal zawsze upadają, bo ludzie zaczynają w pełni kontrolować swoje nogi dopiero wtedy, kiedy mają siedem, osiem lat; Louis modlił się do Boga, by

Gage upadł, upadł, o tak, upadł, rozbił sobie nos, uszkodził czaszkę, potrzebował kilku szwów; wszystko jedno, bo teraz słyszał już warkot zbliżającej się ciężarówki; jednej z wielkich, dziesięciokołowych ciężarówek, bez końca krążących pomiędzy Bangor i fabryką Orinco w Bucksport; wykrzyknął wtedy imię Gage'a i wierzył, że Gage usłyszał go i próbował się zatrzymać, Gage najwyraźniej zrozumiał, że zabawa się skończyła, że podczas zabawy rodzice nie krzyczą na człowieka, toteż próbował wyhamować, a warkot ciężarówki był już bardzo głośny, wypełniał cały świat, zamieniał się w grzmot. Louis rzucił się naprzód długim ślizgiem, jego cień śmigał po ziemi, tak jak cień Sępa wędrujący po białej od szronu trawie na polu pani Vinton owego marcowego dnia. Wierzył (lecz nie był pewien), że opuszki palców musnęły plecy lekkiej kurtki, w którą ubrali Gage'a, a potem rozpęd wyniósł chłopczyka na drogę, a ciężarówka była grzmotem, ciężarówka była blaskiem słońca na lśniącym chromie, ciężarówka była głębokim, przeraźliwym rykiem klaksonu, i wszystko to działo się w sobotę, trzy dni wcześniej.

– Nic mi nie jest – powiedział do Steve'a. – Muszę już iść.

– Jeśli pozbierasz się i im pomożesz – Steve otarł ręce rękawem kurtki – pomożesz też samemu sobie. Wasza trójka musi przejść przez to razem, Louis. To jedyny sposób. Wszyscy o tym wiedzą.

– Zgadza się – przytaknął Louis, a w jego umyśle

wszystko zaczęło się od nowa. Tylko że tym razem skoczył pół metra dalej, chwycił plecy kurtki Gage'a i nic się nie wydarzyło.

Ellie nie była świadkiem sceny w Sali Wschodniej domu pogrzebowego Brookingsa-Smitha, ale Rachel – owszem. Gdy się to stało, Ellie przesuwała bezcelowo i milcząco swe piony na planszy do gry w monopol z Judem Crandallem. Jedną ręką potrząsała kośćmi, w drugiej ściskała fotografię, na której ciągnęła na sankach Gage'a.

Steve Masterton uznał, że Rachel może być obecna na popołudniowym wystawieniu zwłok – w świetle późniejszych wydarzeń głęboko pożałował swej decyzji.

Goldmanowie przylecieli tego ranka z Chicago do Bangor i zatrzymali się w hotelu Holiday Inn na Odlin Road. Do południa ojciec Rachel zdążył zadzwonić cztery razy i Steve musiał okazywać coraz większą stanowczość – przy czwartym telefonie niemal uciekł się do gróźb. Irwin Goldman chciał ją odwiedzić i wszystkie ogary piekielne nie mogły powstrzymać go przed towarzyszeniem córce w tej godzinie próby – tak powiedział. Steve odparł, że Rachel potrzebuje trochę czasu, by możliwie najbardziej otrząsnąć się z pierwszego szoku. Nie znam się na wszystkich ogarach piekieł – dodał – lecz znam jednego szwedzko-amerykańskiego pomocnika lekarza, który nie ma zamiaru pozwolić nikomu wejść do domu rodziny Creedów, póki Rachel z własnej woli nie pokaże się publicznie. Powiedział też, że

po południowym wystawieniu zwłok chętnie pozwoli przejąć obowiązki rodzinie. Do tego czasu mieli zostawić ją w spokoju.

Stary mężczyzna zwymyślał go w jidysz i gwałtownie rzucił słuchawką, przerywając połączenie. Steve czekał, pragnąc przekonać się, czy Goldman rzeczywiście się pokaże, jednak tamten postanowił ustąpić. Około południa Rachel zaczęła wyglądać nieco lepiej. Była przynajmniej świadoma upływu czasu i chwili obecnej. Poszła do kuchni sprawdzić, czy jest tam coś, co nadawałoby się na kanapki bądź poczęstunek na później.

– Ludzie zechcą pewnie wrócić do domu, prawda? – spytała Steve'a. Ten przytaknął.

Nie znalazła mielonki ani zimnej pieczeni, ale w zamrażarce leżał duży indyk. Położyła go nad zlewem, by się rozmroził. Kilka minut później Steve zajrzał do kuchni i ujrzał ją stojącą przy zlewie, nie odrywającą wzroku od indyka i rzewnie płaczącą.

– Rachel?

Odwróciła się do niego.

– Gage naprawdę je lubił. Zwłaszcza białe mięso. – Uśmiechnęła się słabo, upiornie. – Właśnie przyszło mi na myśl, że nigdy już nie zje indyka.

Steve posłał ją na górę, by się przebrała – ostatnia próba jej zdolności radzenia sobie z rzeczywistością – a kiedy zjawiła się w prostej, czarnej sukience przewiązanej paskiem w talii, niosąc w dłoni małą torebkę (wieczorową), uznał, że nic jej nie jest. Jud zgodził się z

tą oceną.

Steve zawiózł ją do miasta. Stanął w przedsionku Sali Wschodniej z Surrendrą Hardu i patrzył, jak Rachel sunie upiornie w stronę zasypanej kwiatami trumny.

– Jak sobie z tym radzą, Steve? – spytał cicho Surrendra.

– Kurewsko źle – odparł Steve niskim, ochrypłym głosem. – A jak myślałeś?

– Myślałem, że prawdopodobnie radzą sobie kurewsko źle – odrzekł Surrendra i westchnął.

Tak naprawdę problemy rozpoczęły się w czasie porannego wystawienia zwłok, gdy Irwin Goldman odmówił swojemu zięciowi uściśnięcia ręki.

Widok tak wielu przyjaciół i krewnych zmusił Louisa do lekkiego otrząśnięcia się z szoku. Teraz musiał widzieć, co się dzieje i co czeka go za chwilę. Osiągnął stan tępego bólu, który przedsiębiorcy pogrzebowi dobrze znają i umieją wykorzystywać. Komenderowali nim jak pionkiem.

Przed Salą Wschodnią leżał niewielki przedsionek, w którym ludzie mogli zapalić i usiąść na głęboko wyścielanych fotelach. Fotele te wyglądały, jakby pochodziły wprost z wyprzedaży zbankrutowanego angielskiego klubu. Obok prowadzących do sali drzwi stały małe sztalugi z czarnego metalu, ozdobionego złotem. Na nich ustawiono niewielką tabliczkę, głoszącą z prostotą: GAGE WILLIAM CREED. Gdyby tak przejść na drugą stronę przestronnego białego budynku, który na

oko wydawał się, jakże myląco, wygodnym starym domem, można by dotrzeć do identycznego przedsionka, tym razem przed Salą Zachodnią. Tam tabliczka na sztalugach głosiła: ALBERTA BURNHAM NEDEAU. Na tyłach mieściła się Sala Nadrzeczna. Sztalugi po lewej stronie drzwi, łączące przedsionek z ową salą były puste. Tego wtorkowego ranka nikt z niej nie korzystał. Na dole mieściła się wystawa trumien, każdą z nich oświetlał mały reflektorek na suficie. Jeśli uniosło się wzrok – Louis to zrobił, a sprzedawca spojrzał na niego surowo – można by odnieść wrażenie, że osiedliło się tam stadko osobliwych zwierząt.

Jud przyjechał tu z nim w niedzielę, dzień po śmierci Gage'a, aby wybrać trumnę. Zeszli na dół i zamiast natychmiast skręcić na wystawę, oszołomiony Louis pomaszerował korytarzem ku zwykłym białym wahadłowym drzwiom, takim samym, jakie często łączą sale restauracyjne z kuchnią. Zarówno Jud, jak i właściciel powiedzieli jednocześnie: „Nie tędy", i Louis posłusznie odszedł od owych drzwi. Wiedział jednak, co się za nimi kryje. Jego wujek także był przedsiębiorcą pogrzebowym.

W Sali Wschodniej ustawiono proste rzędy składanych krzeseł – drogiego modelu o wyścielanych siedzeniach i oparciach. Z przodu, w miejscu wyglądającym jak połączenie nawy z buduarem, stała trumna Gage'a. Louis wybrał model American Casket Company z różanego drewna, zwany Wieczny

Spoczynek, wyścielany miękkim, różowym jedwabiem. Sprzedawca zgodził się, że to naprawdę piękna trumna, i przeprosił, że nie ma modelu z niebieską wyściółką. Louis odparł, że nigdy nie przejmowali się z Rachel podobnymi drobiazgami. Tamten przytaknął i spytał Louisa, czy zastanawiał się już, jak pokryje koszty pogrzebu Gage'a. Jeśli nie, chętnie zaprosi go do swojego biura i szybko przyjrzy się trzem najbardziej popularnym planom spłaty.

W umyśle Louisa nagle odezwał się wesoły głos spikera. ***Dostałem tę trumnę dla mojego dziecka zupełnie za darmo, dzięki kuponom Raleigh!***

Czując się jak istota ze snu, powiedział:

– Opłacę wszystko moją kartą Master.

– Doskonale – zgodził się przedsiębiorca.

Trumna miała niewiele ponad metr długości. Trumienka krasnoludka. Mimo to kosztowała ponad sześćset dolarów. Louis przypuszczał, że stała na kozłach, lecz wszystkie te kwiaty utrudniały zajrzenie pod spód, a on sam nie chciał zanadto się zbliżać – ich woń budziła mdłości. Pośrodku, tuż przy drzwiach prowadzących do przedsionka salonu, ustawiono stojak z książką. Do stojaka łańcuchem przymocowano wieczne pióro. Tam właśnie kierujący ceremonią skierował Louisa, aby ten mógł „powitać przyjaciół i krewnych". Przyjaciele i krewni mieli wpisywać się do księgi, podając nazwiska i adresy. Louis nie miał pojęcia, skąd wziął się ten zwariowany zwyczaj, i wolał nie pytać. Przypuszczał, że

kiedy pogrzeb dobiegnie końca, oni z Rachel mają zatrzymać książkę. To wydawało się najbardziej szalonym pomysłem. Gdzieś w domu miał księgę pamiątkową z liceum, college'u i studiów medycznych. Mieli też album ślubny w okładce ze sztucznej skóry z wytłoczonym złotym napisem DZIEŃ MEGO ŚLUBU – zaczynał się od zdjęcia Rachel, przymierzającej przed lustrem welon z pomocą swojej matki, a kończył fotografią dwóch par butów przed zamkniętymi drzwiami hotelu – i dziecięcą książkę Ellie – szybko znudziło ich jej wypełnianie, bo album ze specjalnymi miejscami przeznaczonymi na „moje pierwsze strzyżenie" (wklej kosmyk włosów dziecka) i „ojej!" (zdjęcie dziecka upadającego na pupę) był obrzydliwie przesłodzony.

A teraz do kompletu ta księga. Jak ją nazwano? – zastanawiał się Louis, stojąc w odrętwieniu obok stojaka i czekając na rozpoczęcie imprezy. „Moja księga śmierci"? „Autografy pogrzebowe"? „Dzień, w którym pogrzebaliśmy Gage'a"? A może coś bardziej dystyngowanego, na przykład: „Śmierć w rodzinie"?

Odwrócił książkę i spojrzał na okładkę, którą, podobnie jak w albumie ślubnym, wykonano ze sztucznej skóry. Była pusta.

Nietrudno było przewidzieć, że Missy Dandridge zjawi się tego ranka pierwsza. Poczciwa Missy, która dziesiątki razy pilnowała Ellie i Gage'a. Nagle Louis przypomniał sobie, że to właśnie Missy zabrała dzieci wieczorem w dniu, gdy zginął Victor Pascow. Zabrała

dzieci, a Rachel kochała się z nim najpierw w wannie, potem w łóżku.

Missy płakała, i to mocno. Na widok spokojnej, nieruchomej twarzy Louisa na nowo wybuchnęła płaczem i sięgnęła ku niemu, jakby szukała wsparcia. Louis objął ją, uświadamiając sobie, że to właśnie tak działa albo przynajmniej powinno – że jakiś ładunek przeskakuje pomiędzy ludźmi, poruszając twardą ziemię rozpaczy, przybijając ją, rozbijając skałę wstrząsu promieniami bólu.

– Tak mi przykro – mówiła Missy, odgarniając z pobladłej twarzy ciemnoblond włosy. – Taki kochany, słodki chłopczyk. Tak bardzo go kochałam, Louis. Tak mi przykro. To koszmarna droga. Mam nadzieję, że dadzą temu kierowcy dożywocie. Jechał stanowczo za szybko. On był taki słodki, taki kochany. Taki bystry. Czemu Bóg zechciał zabrać Gage'a? Nie wiem. Nie potrafimy tego zrozumieć, prawda? Tak mi przykro, tak przykro.

Louis pocieszał ją, objął i pocieszał. Poczuł na kołnierzu jej łzy. Jej piersi napierały na niego. Chciała wiedzieć, gdzie się podziewa Rachel, i Louis wyjaśnił, że odpoczywa. Missy przyrzekła, że ją odwiedzi i że popilnuje Ellie, kiedy tylko zechcą, tak długo, jak będą potrzebowali. Podziękował.

Odwróciła się, pragnąc odejść. Wciąż pociągała nosem, spod czarnej chusteczki widać było czerwieńsze niż przedtem oczy. Postąpiła krok ku trumnie, kiedy Louis ją zawołał. Mistrz ceremonii, którego nazwiska nie

potrafił nawet zapamiętać, kazał, by goście podpisali książkę, i niech go diabli, jeśli tego nie dopilnuje.

Tajemniczy gościu, wpisz się, proszę, pomyślał i przez moment balansował na granicy histerii, czując, że lada moment wybuchnie donośnym, piskliwym śmiechem.

To zapłakane, zrozpaczone oczy Missy przegnały uśmiech.

– Missy, zechcesz podpisać książkę? – poprosił. I ponieważ zdawało się, że powinien dodać coś więcej, rzekł: – Dla Rachel.

– Oczywiście. Biedny Louis. Biedna Rachel. – I nagle Louis zorientował się, że wie, co zaraz usłyszy, i z jakiegoś powodu przeraził się tego, lecz słowa te już się zbliżały, nieuniknione niczym czarna, wielkokalibrowa kula z pistoletu zabójcy. I wiedział, że kula ta trafi go wiele razy w ciągu następnych niekończących się dziewięćdziesięciu minut, a potem jeszcze po południu, mimo że z porannych ran wciąż sączyć się będzie krew. – Dzięki Bogu, nie cierpiał, Louis. Przynajmniej miał szybką śmierć.

O tak, bardzo szybką – chciał odpowiedzieć; ach, jakże słowa te na nowo strzaskałyby maskę spokoju dziewczyny. Nagle złośliwie zapragnął to zrobić, cisnąć jej je w twarz. ***Była szybka. Niewątpliwie. To dlatego trumna jest zamknięta. Nic nie dałoby się zrobić z Gage'em, nawet gdybyśmy razem z Rachel aprobowali strojenie umarłych krewnych w stroje godne najlepszych***

manekinów i różowanie, pudrowanie i malowanie ich twarzy. To była szybka śmierć, moja droga Missy. W jednej chwili stał na drodze, a w następnej leżał na niej, lecz znacznie dalej obok domu Ringerów. Uderzyła go i zabiła, a potem powlokła ze sobą. Wierz mi, była szybka. Zaledwie sto metrów boiska futbolowego. Biegłem za nią, Missy, raz po raz wykrzykiwałem jego imię, zupełnie jakbym spodziewał się, że wciąż jeszcze żyje. Ja, lekarz, przebiegłem dziesięć metrów i ujrzałem jego czapeczkę. Przebiegłem dwadzieścia i leżał przede mną jeden z adidasów z Gwiezdnych Wojen. Po czterdziestu metrach ciężarówka zjechała z drogi, a jej naczepa zaryła się w ziemię. Z domów wybiegali ludzie. A ja pędziłem dalej, wykrzykując jego imię, Missy. I na linii pięćdziesięciometrowej znalazłem jego bluzę, odwróconą na lewą stronę, a na siedemdziesięciometrowej leżał drugi adidas. A potem – Gage.

Nagle otaczający go świat poszarzał. Wszystko wokół zniknęło mu z oczu. Jak przez mgłę poczuł ostrą krawędź stojaka, podtrzymującego książkę; wbijała mu się w dłoń.

– Louis? – Głos Missy. Odległy. Tajemniczy gruchot gołębi w uszach.

– Louis? – Bliżej. Niespokojny.

Przed jego oczami świat ponownie nabrał ostrości.

– Nic ci nie jest?

Uśmiechnął się.

– Nie – odparł. – Wszystko w porządku, Missy.

Podpisała za siebie i męża – państwo Davidostwo

Dandridge – okrągłym szkolnym pismem. Pod spodem dodała adres: Skrzynka pocztowa 67, Old Bucksport Road. A potem uniosła wzrok na Louisa i szybko spuściła oczy, jakby samo mieszkanie przy drodze, na której zginął Gage, stanowiło zbrodnię.

– Bądź zdrów, Louis – szepnęła.

David Dandridge uścisnął mu dłoń i wymamrotał coś niezrozumiałego; jego wydatne, spiczaste jabłko Adama podskakiwało przy każdym słowie. Następnie pospieszył za żoną środkiem sali, by dokonać rytualnych oględzin trumny zbudowanej w Storyville w stanie Ohio, w miejscu, którego Gage nigdy nie odwiedził i gdzie nikt go nie znał.

Po Dandridge'ach nadchodzili kolejni, poruszając się powolnym szeregiem. Louis przyjmował ich dłonie, uściski, ich łzy. Jego kołnierz i wierzch rękawa ciemnoszarej marynarki wkrótce powilgotniały. Zapach kwiatów zaczął przesączać się nawet na tył pomieszczenia i wypełniać salę wonią pogrzebu. Louis pamiętał tę woń z dzieciństwa – pogrzebowy zapach kwiatów. Według własnego rachunku trzydzieści dwa razy usłyszał „Jakie to szczęście, że Gage nie cierpiał", dwadzieścia pięć razy: „Bóg działa w tajemniczy sposób, kierując naszymi losami". Na ostatniej pozycji uplasowało się: „Jest teraz wśród aniołków": w sumie dwanaście razy.

Wszystko to zaczynało na niego działać. Zamiast tracić odrobinę sensu, jaką niosły ze sobą (tak jak nasze

nazwisko traci wszelkie cechy odrębności, jeśli powtarzać je raz po raz), owe banalne aforyzmy zdawały się za każdym razem docierać głębiej, celując ku najważniejszym narządom życiowym. Kiedy w końcu zjawili się jego teść i teściowa, czuł się jak naszpikowana haczykami ryba.

Najpierw pomyślał, że Rachel miała rację, Irwin Goldman rzeczywiście się zestarzał. Miał – ile? Pięćdziesiąt osiem? Pięćdziesiąt dziewięć lat? Tego dnia jednak wyglądał jak ponury, nadęty siedemdziesięciolatek. Ze swą łysą głową i grubymi jak denka od butelek okularami niemal absurdalnie przypominał premiera Izraela Menachema Begina. Rachel po powrocie ze Święta Dziękczynienia wspominała, że ojciec się postarzał, lecz Louis nie oczekiwał aż takiej zmiany. Oczywiście, pomyślał, może w Święto Dziękczynienia nie było tak źle. W Święto Dziękczynienia stary nie stracił jednego ze swoich dwojga wnuków.

Dory szła obok niego, jej twarz skrywała gęsta, czarna, dwu-, może trzywarstwowa woalka. Włosy miała modnie błękitne, który to kolor faworyzowały ostatnio damy z amerykańskich wyższych sfer. Trzymała męża pod rękę. Spod woalki Louis dostrzegał jedynie błysk łez.

Nagle postanowił, że czas już puścić w niepamięć dawne spory. Nie mógł dłużej zachować pretensji. Nagle stały się one zbyt ciężkie. Może sprawił to połączony ciężar banalnych uwag.

– Irwin. Dory – mruknął. – Dziękuję, że przyszliście.

Uniósł ramiona, zupełnie jakby chciał jednocześnie uścisnąć dłonie ojca Rachel i objąć jej matkę, a może wręcz przytulić oboje. Nagle do jego oczu napłynęły łzy i po raz pierwszy zapłakał. Przez sekundę przyszła mu do głowy szalona myśl, że zdołają się pogodzić, że Gage zrobi to dla nich, dzięki swojej śmierci; jakby nagle znalazł się w romantycznej powieści dla kobiet, w której zadośćuczynieniem za śmierć była zgoda, a czyjeś odejście mogło doprowadzić do czegoś bardziej konstruktywnego niż ten niekończący się, niemądry, miażdżący ból, który nigdy nie ustawał.

Dory ruszyła ku niemu. Wykonała drobny gest, jakby zamierzała wyciągnąć do niego ręce. Powiedziała coś – Och, Louis – i coś jeszcze, niewyraźnie – a potem Goldman ją odciągnął. Przez chwilę cała trójka zastygła jak na scenie. Nie zauważył tego nikt, poza nimi samymi (i może mistrzem ceremonii, stojącym dyskretnie w kącie Sali Wschodniej – Louis przypuszczał, że jego wuj Carl także dostrzegłby coś takiego). Louis częściowo wyciągał ręce. Irwin i Dory Goldman stali sztywno i prosto niczym para na ślubnym torcie.

I wówczas Louis ujrzał, że w oczach teścia nie ma śladu łez. Lśniły jasnym, nienawistnym blaskiem. (Czy on sądzi, że zabiłem Gage’a, by zrobić mu na złość? – pomyślał). Te oczy zdawały się mierzyć Louisa i dostrzegać w nim tego samego małego i nieważnego człowieczka, który porwał córkę Goldmana i sprowadził

na nią to nieszczęście… a potem go zlekceważyły. Powędrowały w lewo – ku trumnie Gage'a – i dopiero wówczas złagodniały.

Mimo wszystko Louis spróbował jeszcze raz.

– Irwin – rzekł. – Dory, proszę. Musimy przejść przez to razem.

– Louis – powtórzyła Dory (łagodnie, pomyślał), a potem minęli go; być może Irwin Goldman ciągnął za sobą żonę. Nie oglądał się na prawo i lewo, a z pewnością nie na Louisa Creeda. Zbliżyli się do trumny i Goldman wyciągnął z kieszeni marynarki małą czarną jarmułkę.

Nie podpisaliście się w księdze, pomyślał Louis. Do jego gardła napłynął kwas żołądkowy, tak ostry i gryzący, że twarz skurczyła mu się z bólu.

Wreszcie poranne wystawienie zwłok dobiegło końca. Louis zadzwonił do domu. Jud podniósł słuchawkę i spytał, jak poszło.

– W porządku – odparł Louis. Poprosił Juda, by dał mu Steve'a.

– Jeśli zdoła się ubrać, pozwolę jej wyjść po południu – oznajmił Steve. – Zgadzasz się?

– Tak – odparł Louis.

– Co z tobą, Lou? Tylko bez bzdur i głupiej dumy. Jak się czujesz?

– W porządku – uciął Louis. – Radzę sobie. – ***Od wszystkich wydobyłem wpisy do książki. Od wszystkich. Poza Dory i Irwinem, którzy nigdy by się nie zgodzili.***

– No dobrze – odpowiedział Steve. – Może spotkamy

się na lunchu.

Lunch. Spotkanie na lunchu. Pomysł ten wydał mu się tak obcy, że Louis pomyślał o powieściach fantastycznych, które czytywał jako nastolatek, książkach Roberta Heinleina, Murraya Leinstera, Gordona Dicksona. ***Tubylcy z planety Kwark mają dziwny zwyczaj, poruczniku Abelson. Kiedy jedno z ich dzieci umrze, spotykają się na lunchu. Wiem, jak groteskowo i barbarzyńsko to brzmi, ale proszę pamiętać, że planeta ta nie została jeszcze ucywilizowana.***

– Jasne – odparł głośno. – Jaką restaurację polecisz na przerwę pomiędzy wystawieniami zwłok?

– Tylko spokojnie, Lou. – O dziwo, Steve wcale nie wydawał się niezadowolony. W tym stanie szalonego spokoju Louis czuł, że umie lepiej przeniknąć do wnętrza ludzi, z którymi rozmawia, niż kiedykolwiek w życiu. Może to tylko złudzenie, ale podejrzewał, iż Steve myśli, że nawet nagły nieprzyjemny sarkazm, wyrzucony z siebie niczym gorzka żółć, jest lepszy niż wcześniejsze oderwanie od rzeczywistości.

– Nie przejmuj się – rzekł do Steve’a. – Co powiesz na „Benjamina”?

– Świetnie – odparł Steve. – „Benjamin” doskonale się nada.

Louis załatwił rezerwację z biura mistrza ceremonii. Teraz, mijając Salę Wschodnią, przekonał się, że jest ona niemal pusta. Zostali w niej tylko Irwin i Dory Goldmanowie, siedzący w pierwszym rzędzie z

pochylonymi głowami. Wyglądali, jakby mieli tam zostać na zawsze.

„Benjamin” okazał się znakomitym wyborem. Bangor było miastem wczesnych lunchów, i koło pierwszej w restauracji panowała pustka. Wraz ze Steve’em i Rachel zjawił się Jud, i cała czwórka zjadła pieczonego kurczaka. W pewnym momencie Rachel poszła do toalety i została tam tak długo, że Steve zaczął się denerwować. Już miał poprosić kelnerkę, by sprawdziła, co się dzieje, gdy Rachel zjawiła się przy stole z czerwonymi oczami. Louis dziabał widelcem kurczaka i pił mnóstwo piwa Schlitz. Jud dotrzymywał mu kroku – butelka za butelkę. Prawie się nie odzywał.

Ich dania powróciły do kuchni niemal nietknięte. Ze swą niezwykłą spostrzegawczością Louis dostrzegł, że kelnerka, tłusta dziewczyna o ślicznej twarzy, zastanawia się, czy nie spytać, czy jedzenie było w porządku. W końcu jednak raz jeszcze spojrzała na czerwone oczy Rachel i uznała, że to niewłaściwe pytanie. Przy kawie Rachel powiedziała coś tak nagłego i śmiałego, że wstrząsnęło nimi wszystkimi – zwłaszcza Louisem, który właśnie stawał się senny po wypitym piwie.

– Zamierzam oddać jego ubrania do Armii Zbawienia.

– Naprawdę? – spytał po sekundzie Steve.

– Tak – odparła Rachel. – Mogą się jeszcze przydać. Wszystkie jego bluzy… sztruksy… koszulki. Ktoś ucieszy się, kiedy je dostanie. Są bardzo praktyczne. Oczywiście poza tymi, które miał na sobie. Tamte…

zupełnie się zniszczyły.

Ostatnie słowo załamało się żałośnie. Rachel próbowała napić się kawy. Nic z tego. Chwilę później szlochała, ukrywając twarz w dłoniach.

I wówczas nastała dziwna chwila. W powietrzu pojawiły się linie napięcia, wszystkie skupione na Louisie. Wyczuwał je z tą samą intuicją; ze wszystkich nagłych przebłysków tego dnia ten był najwyraźniejszy i najpewniejszy. Nawet kelnerka poczuła skupiające się napięcie – dostrzegł, że nagle zamarła przy stole z tyłu, na którym układała właśnie podkładki i sztućce. Przez chwilę Louis tkwił bez ruchu, oszołomiony, a potem zrozumiał: czekali, by pocieszył swą żonę.

Nie mógł tego zrobić. Bardzo chciał, rozumiał, że to jego obowiązek, ale nie mógł. Przeszkadzał mu w tym kot. Nagle, nieproszony, pojawił się w jego myślach. Ten pieprzony Church ze swymi rozszarpanymi myszami i na zawsze uziemionymi ptakami. Kiedy Louis je znajdował, natychmiast sprzątał koci bałagan, nie skarżąc się i nie komentując, a już z pewnością nie protestując. Ostatecznie zasłużył sobie na to. Ale czy zasłużył też na to, co się stało?

Ujrzał swoje palce. Louis zobaczył swoje palce. Zobaczył je, jak delikatnie muskają plecy kurtki Gage’a, a potem kurtka zniknęła. Gage zniknął.

Spuścił wzrok, spoglądając w filiżankę z kawą i pozwalając żonie, by niepocieszona płakała cicho.

Po chwili – z punktu widzenia zegarów

prawdopodobnie dość krótkiej, lecz zarówno wówczas, jak i we wspomnieniach, ciągnącej się niemiłosiernie – Steve objął Rachel i uścisnął ją łagodnie. Spojrzenie, jakie posłał Louisowi, było gniewne i pełne wyrzutu. Louis odwrócił się od niego ku Judowi, lecz Jud wbijał wzrok w ziemię jakby zawstydzony. W żadnym razie nie mógł mu pomóc.

37

– Wiedziałem, że dojdzie do czegoś takiego – oznajmił Irwin Goldman. Tak właśnie zaczęły się kłopoty. – Wiedziałem od razu, gdy za ciebie wyszła. Będziesz miała dosyć cierpienia, więcej niż dosyć, rzekłem. I proszę, spójrz na ten bajzel.

Louis odwrócił powoli wzrok ku teściowi, który pojawił się przed nim nagle niczym złośliwy błazen z pudełka, odziany w czarną jarmułkę. Potem instynktownie zerknął na Rachel, stojącą obok księgi – siłą rzeczy jej przypadła popołudniowa zmiana – jednakże jego żona zniknęła.

Na popołudniowym wystawieniu zwłok zjawiło się znacznie mniej ludzi. Mniej więcej po półgodzinie Louis przeszedł do pierwszego rzędu krzeseł i usiadł przy przejściu, świadom naprawdę niewielu rzeczy (nie zwracał nawet uwagi na słodki, lepki zapach kwiatów) oprócz faktu, że jest bardzo zmęczony i śpiący. Tylko częściowo sprawiło to piwo. Jego umysł stał się wreszcie gotów do wyłączenia. To chyba dobrze. Może po dwunastu, szesnastu godzinach snu zdoła choć trochę pocieszyć Rachel.

Po jakimś czasie jego głowa opadła, aż w końcu patrzył wprost na swe dłonie, splecione luźno między kolanami. Pomruk głosów z tyłu uspokajał go. Kiedy we

czwórkę wrócili z lunchu, odkrył z ulgą, że Irwin i Dory zniknęli. Powinien był jednak wiedzieć, iż ich nieobecność jest zbyt dobra, by mogła potrwać długo.

– Gdzie jest Rachel? – spytał teraz.

– Z matką. Tam gdzie jej miejsce – odparł Goldman z wystudiowanym triumfem człowieka, który zawarł właśnie interes życia. W jego oddechu czuć było whisky. Bardzo dużo whisky. Stał przed Louisem niczym mały, tłusty prokurator przed człowiekiem na ławie oskarżonych, niewątpliwie winnym wszelkich zarzucanych mu czynów. Lekko chwiał się na nogach.

– Co jej powiedziałeś? – Louis zaczął odczuwać gniew. Wiedział, że Goldman coś powiedział. Dostrzegał coś w jego twarzy.

– Nic oprócz prawdy. Powiedziałem: oto co się dzieje, kiedy córka wychodzi za mąż wbrew woli rodziców. Powiedziałem…

– Naprawdę to powiedziałeś? – spytał z niedowierzaniem Louis. – Żartujesz ze mnie, prawda?

– To i jeszcze więcej – odrzekł Irwin Goldman. Mówił z pewnością siebie człowieka, który odkrył, kogo naprawdę należy obwiniać. – Zawsze wiedziałem, że do tego dojdzie. Do tego bądź czegoś podobnego. Wiedziałem, jakim jesteś człowiekiem od chwili, gdy ujrzałem cię po raz pierwszy. – Pochylił się naprzód, wypuszczając z ust opary whisky. Teraz przemawiał z miną człowieka zdradzającego innym wielki sekret. – Przejrzałem cię, ty nieudana parodio lekarza. Wciągnąłeś

moją córkę w głupie, pośpieszne małżeństwo, a potem zrobiłeś z niej sobie pomywaczkę i pozwoliłeś, by twój syn został przejechany na jezdni jak… jak wiewiórka.

Większość tych słów Louis puścił mimo uszu. Wciąż zmagał się z myślą, że ten głupi, stary człowiek mógł…

– Powiedziałeś jej to? – powtórzył. – Powiedziałeś?

– Mam nadzieję, że zgnijesz w piekle – syknął Goldman i głowy gości odwróciły się gwałtownie w stronę źródła niespodziewanego dźwięku. Z przekrwionych brązowych oczu Irwina Goldmana zaczęły skapywać łzy. Jego łysa głowa połyskiwała w słabym świetle jarzeniówek. – Zrobiłeś z mojej cudownej córki pomywaczkę… zniszczyłeś jej przyszłość… odebrałeś nam ją… i pozwoliłeś, by mój wnuk zginął ohydną śmiercią na wiejskiej drodze.

Jego głos wzniósł się w histerycznym krzyku.

– Gdzie ty byłeś? Siedziałeś na dupie, podczas gdy on bawił się na drodze? Obmyślałeś jeden ze swoich głupich artykułów medycznych? Ty śmierdzielu! Morderco dzieci. Mor…

Stali tak, stali w głębi Sali Wschodniej. Stali tam i Louis ujrzał, jak jego ręka wysuwa się naprzód, rękaw marynarki cofa się, odsłaniając mankiet białej koszuli. Dostrzegł łagodny połysk spinki – Rachel podarowała mu te spinki na trzecią rocznicę ślubu, nie wiedząc, że pewnego dnia mąż włoży je na uroczystość pogrzebową nienarodzonego jeszcze wówczas syna. Jego pięść była jedynie czymś zwiniętym na końcu ręki. Uderzyła

Goldmana w usta. Poczuł, jak wargi starego odginają się i pękają zmiażdżone. Było to paskudne uczucie, przypominające nieco rozgniecenie pięścią nagiego ślimaka. Nie sprawiło mu najmniejszej satysfakcji. Pod miękkim ciałem ust teścia wyczuł twardą, nieustępliwą regularność protez.

Goldman zachwiał się i cofnął o krok. Jego ręka upadła na trumnę Gage'a, przekrzywiając ją. Jeden z wazonów przepełnionych kwiatami runął z trzaskiem. Ktoś krzyknął.

To była Rachel, walcząca z matką, która próbowała ją zatrzymać. Obecni w Sali Wschodniej ludzie – dziesięciu, może piętnastu – zamarli z przestrachu i zakłopotania. Steve odwiózł Juda z powrotem do Ludlow i Louis był mu za to wdzięczny. Wolał, by Jud nie oglądał tej sceny. To było nieprzyzwoite.

– Nie rób mu krzywdy! – krzyknęła Rachel. – Louis, nie rób krzywdy mojemu ojcu!

– Lubisz bić starych ludzi, co? – wrzasnął piskliwie Irwin Goldman herbu pękata książeczka czekowa. Uśmiechał się, szczerząc zęby, pokryte krwią barwy rubinów. – Lubisz bić starych? Nie dziwi mnie to, ty parszywy draniu. Zupełnie mnie to nie dziwi.

Louis odwrócił się ku niemu i Goldman rąbnął go w szyję. Był to niezręczny boczny cios, lecz Louis zupełnie się go nie spodziewał. W jego gardle eksplodował paraliżujący ból. Przez następne dwie godziny miał mieć problemy z przełykaniem. Głowa zakołysała mu się i

upadł na jedno kolano.

Najpierw kwiaty, teraz ja, pomyślał. Jak to śpiewali The Ramones? „Hey-ho, let's go". Nagle zapragnął się zaśmiać, lecz nie miał w sobie ani odrobiny śmiechu. Z jego zbolałego gardła wydobył się lekki jęk.

Rachel znów krzyknęła.

Irwin Goldman, wciąż krwawiąc z ust, kopnął Louisa w nerki. Ból zapłonął jasnym rozbłyskiem agonii. Louis podparł się dłońmi na chodniku, by nie upaść na brzuch.

– Nie radzisz sobie nawet ze starymi, synku! – wrzasnął Goldman z obłąkańczym podnieceniem. Znów wymierzył Louisowi kopniaka; tym razem jego czarny staroświecki but nie trafił w nerkę, lecz w szczyt lewego pośladka. Louis jęknął z bólu i w końcu runął na chodnik. Jego podbródek zderzył się z podłogą z donośnym chrzęstem. Przygryzł sobie język.

– Masz! – ryknął Goldman. – Oto kopniak w dupę, którego powinienem był ci dać, kiedy pierwszy raz zacząłeś koło nas węszyć, ty draniu. Proszę! – Znów kopnął Louisa, tym razem w drugi pośladek. Jednocześnie płakał i uśmiechał się szeroko. Louis po raz pierwszy dostrzegł, że Goldman nie ogolił się tego ranka na znak żałoby. Mistrz ceremonii pędził ku nim. Rachel wyrwała się z objęć pani Goldman i także biegła w ich stronę, krzycząc.

Louis przekręcił się niezręcznie na bok i usiadł. Teść znów próbował go kopnąć i Louis oburącz złapał jego but – pacnął mu w dłonie niczym rozpędzona piłka – po czym

z całej siły pchnął w tył.

Goldman z rykiem poleciał do tyłu, wymachując rękami, by utrzymać równowagę. Upadł ciężko na trumnę Gage'a, model Wieczny Spoczynek, wyprodukowany w mieście Storyville w stanie Ohio i zdecydowanie nie najtańszy.

Oz Wiejki i Wsaniały upadł właśnie na trumnę mojego syna, pomyślał oszołomiony Louis. Drewniana skrzynia z donośnym hukiem zsunęła się z kozła, uderzyła o ziemię – najpierw lewy kraniec, potem prawy. Zatrzask odskoczył. Mimo krzyków i płaczów, mimo ryków Goldmana, który był tylko dorosłym, starym dzieckiem, bawiącym się w Kto Przegra, Tego Wina, Louis usłyszał szczęk zatrzasku.

Trumna nie otwarła się, rozsypując żałosne, poszarpane szczątki Gage'a na podłogę, tak by wszyscy mogli je zobaczyć, lecz Louis mętnie zdawał sobie sprawę, iż stało się tak tylko dlatego, że upadła na dno zamiast na bok. Równie dobrze mogła się wywrócić. Mimo to, w owym ułamku sekundy, zanim wieko znów opadło, ujrzał przebłysk szarości – garniturek, który kupili, by zakopać go w ziemi wraz z ciałem Gage'a – i skrawek różu, dłoń Gage'a.

Siedząc tak na podłodze, Louis uniósł dłonie do oczu i zaczął płakać. Przestał interesować go teść, pociski międzykontynentalne, spór pomiędzy zwolennikami zwykłych i rozpuszczalnych szwów, cieplna śmierć wszechświata. W tym momencie Louis Creed zapragnął

umrzeć. I nagle w jego wyobraźni pojawił się obraz: Gage w uszkach Myszki Miki. Gage śmiejący się i ściskający dłoń Wielkiego Goofy'ego na głównej ulicy Disney Worldu. Ujrzał to niezwykle wyraźnie.

Jeden z kozłów wywrócił się, drugi nachylił niczym pijak i oparł o niskie podwyższenie, z którego kapłan mógł wygłaszać słowa pożegnania. Wśród kwiatów leżał Goldman. Także płakał. Woda z wywróconych wazonów ściekała na ziemię. Kwiaty, niektóre zgniecione i poszarpane, jeszcze mocniej wydzielały lepką, słodką woń.

Rachel krzyczała i krzyczała.

Louis nie mógł zareagować na jej krzyki. Wizja Gage'a w uszach Myszki Miki blakła, zdążył jeszcze jednak usłyszeć głos oznajmiający, że później tego wieczoru odbędzie się pokaz fajerwerków. Siedział z twarzą w dłoniach, nie chcąc, by ktokolwiek go ujrzał: jego mokrą od łez twarz, jego stratę, poczucie winy, ból, wstyd, a przede wszystkim tchórzliwe pragnienie, by umrzeć i odejść w ciemność.

Mistrz ceremonii i Dory Goldman wyprowadzili Rachel, która wciąż krzyczała. Później, w innym pomieszczeniu (Louis zakładał, że zarezerwowano je specjalnie dla zanadto pogrążonych w smutku żałobników – coś w rodzaju salonu histeryków), ucichła. Tym razem Louis oszołomiony, lecz w pełni władz umysłowych osobiście podał jej środek uspokajający, nalegając, by zostawiono ich samych.

W domu zaprowadził ją do łóżka i dał kolejny zastrzyk. Potem okrył aż po szyję i spojrzał wprost w woskową bladą twarz.

– Rachel, tak mi przykro – rzekł. – Oddałbym wszystko, byleby tylko cofnąć to, co się stało.

– W porządku – odparła dziwnym, beznamiętnym głosem, a potem przekręciła się na bok.

Poczuł, że jego usta zaczynają formułować stare pytanie: „Nic ci nie jest?”, i zacisnął wargi. Tak naprawdę nie było to pytanie. Nie to chciał wiedzieć.

– Jak z tobą źle? – spytał w końcu.

– Bardzo źle, Louis – odparła. A potem wydała z siebie odgłos, który mógł być gorzkim śmiechem. – Prawdę mówiąc, kurewsko okropnie.

Zdawało się, że powinien powiedzieć coś jeszcze, lecz Louis nie potrafił znaleźć słów. Nagle poczuł do niej gwałtowną niechęć. Do niej, do Streve’a Mastertona, do Missy Dandridge i jej męża z jabłkiem Adama przypominającym grot strzały. Do wszystkich tych ludzi. Czemu to on zawsze musiał dostarczać pocieszenia? Co za gówniany układ.

Zgasił światło i wyszedł. Odkrył, że córce potrafi ofiarować niewiele więcej.

Przez jedną szaloną chwilę, gdy przyglądał się jej w pogrążonym w mroku pokoju, wydało mu się, że widzi Gage’a – że wszystko to stanowiło jedynie koszmarny sen, jak tamten o Pascowie wiodącym go w głąb lasu. Przez moment zmęczony umysł podchwycił tę myśl.

Pomogły w tym cienie – pokój oświetlał jedynie blask przenośnego telewizorka, który Jud przyniósł jej, by pomóc zabić czas. Długi, długi czas.

Ale oczywiście to nie był Gage, lecz Ellie, która siedziała na jego krześle i ściskała w dłoni zdjęcie przedstawiające, jak ciągnie na sankach brata. Przyniosła je z pokoju Gage'a i postawiła w swoim. Było to małe krzesełko reżyserskie z brezentowym siedzeniem i paskiem zastępującym oparcie. Na pasku wypisano drukowanymi literami: Gage. Rachel zamówiła pocztowo cztery podobne krzesła. Każdy członek rodziny dostał własne, ze swym imieniem wypisanym na oparciu.

Ellie była za duża na krzesło Gage'a. Wcisnęła się w nie z trudem; płócienne siedzenie naprężyło się niebezpiecznie. Do piersi przyciskała fotografię i patrzyła tępo w ekran, na którym rozgrywał się jakiś film.

– Ellie – rzekł Louis, wyłączając telewizor. – Czas spać.

Powoli wygramoliła się z krzesła, po czym złożyła je. Najwyraźniej zamierzała zabrać je z sobą do łóżka.

Louis zawahał się. Chciał powiedzieć coś o krześle, ale w końcu rzekł jedynie:

– Chcesz, żebym cię okrył?

– Tak, proszę – rzekła.

– Chcesz… chciałabyś spać dzisiaj z mamusią?

– Nie, dziękuję.

– Na pewno?

Uśmiechnęła się lekko.

– Tak. Zabiera całą kołdrę.

Louis odpowiedział uśmiechem.

– No to chodź.

Zamiast włożyć krzesło do łóżka, Ellie rozłożyła je tuż przy wezgłowiu i Louis pomyślał absurdalnie: Oto pokój przyjęć najmniejszego psychiatry świata.

Rozebrała się, kładąc na poduszce swoje zdjęcie z Gage'em. Nałożyła piżamkę, podniosła zdjęcie, poszła do łazienki, odłożyła je, by się umyć, wyszczotkować zęby, użyć nitki dentystycznej i połknąć pastylkę fluoru. Potem znów zabrała fotografię i poszła z nią do łóżka.

Louis usiadł obok niej.

– Chcę, żebyś wiedziała, Ellie, że jeśli nadal będziemy się kochać, przetrwamy to.

Każde wypowiedziane słowo przypominało mu przesuwanie wózka pełnego wilgotnych pni i wysiłek ten kompletnie go wyczerpał.

– Będę bardzo mocno pragnąć – oznajmiła spokojnie Ellie – i modlić się do Boga, aby Gage wrócił.

– Ellie…

– Bóg może to cofnąć, jeśli zechce – dodała. – Może zrobić wszystko, co mu się spodoba.

– Ellie, Bóg nie postępuje w ten sposób – powiedział niespokojnie Louis, oczyma duszy widząc Churcha przycupniętego na pokrywie deski klozetowej i przyglądającego mu się mętnymi, żółtymi oczami.

– A właśnie, że tak! – zaprotestowała. – W szkółce niedzielnej nauczyciel opowiedział nam o tym gościu,

Łazarzu. Był martwy, a Jezus przywrócił mu życie. Powiedział: „Powstań, Łazarzu”, a nauczyciel mówił, że gdyby powiedział po prostu „Powstań”, prawdopodobnie wstaliby wszyscy na cmentarzu, lecz Jezus chciał tylko Łazarza.

Nawet nie myśląc o tym, wypowiedział absurdalne słowa (ale też cały dzień pełen był najróżniejszych absurdów):

– To było bardzo dawno temu, Ellie.

– Będę trzymała wszystko gotowe na jego powrót – odparła. – Mam jego zdjęcie, będę siedziała na jego krześle…

– Ellie, jesteś za duża na krzesełko Gage’a. – Louis ujął jej rozgrzaną, rozpaloną dłoń. – Połamiesz je.

– Bóg sprawi, że go nie połamię. – Głos Ellie był pogodny, lecz Louis dostrzegł brązowe półksiężyce pod jej oczami. Kiedy na nią patrzył, tak bardzo bolało go serce, że odwrócił głowę. Może, jeśli krzesełko Gage’a się połamie, Ellie zacznie rozumieć, co się właściwie stało.

– Będę nosiła ze sobą zdjęcie i siedziała na jego krześle – ciągnęła. – Zamierzam też jeść jego śniadanie. – Gage i Ellie jadali różne płatki śniadaniowe. Ellie oznajmiła kiedyś, że płatki Gage’a smakują jak zdechłe robale. Jeśli w domu zostały tylko płatki kakaowe, Ellie czasami jadła jajko… a czasem po prostu rezygnowała z posiłku. – Będę też jeść fasolkę szparagową, choć jej nie cierpię, i czytać książeczki obrazkowe Gage’a i… no

wiesz… przygotuję wszystko… na wszelki wypadek…

Zaczęła płakać. Louis nie próbował jej pocieszać, jedynie odgarnął z czoła włosy. Jej słowa miały w sobie pewien obłąkańczy sens. Nie zamykać połączenia. Nie odcinać się. Utrzymywać Gage'a w teraźniejszości. W Pierwszej Setce. Nie pozwalać mu zniknąć. Pamiętać, kiedy Gage robił to… czy tamto… Tak, było świetnie… Poczciwy, stary Gage. Co za dzieciak. Kiedy coś przestaje boleć, przestaje mieć znaczenie. Może rozumiała, pomyślał Louis, jak łatwo będzie pozwolić Gage'owi odejść.

– Ellie, nie płacz już – rzekł. – To nie potrwa wiecznie.

A jednak płakała wiecznie… przez piętnaście minut. Nim skończyła płakać, zasnęła, i to mocno. Na dole, w cichym domu zegar wybił dziesiątą.

Utrzymuj go przy życiu, jeśli tego właśnie chcesz, pomyślał i pocałował ją. Psychiatra uznałby to za niezdrowy pomysł, ale ja jestem za, bo wiem, że nadejdzie taki dzień – może najbliższy piątek – kiedy zapomnisz zabrać zdjęcie i ujrzę je leżące na łóżku w pustym pokoju, podczas gdy ty będziesz jeździła na rowerze, spacerowała po łące za domem albo odwiedzisz dom Kathy McGown, żeby uszyć dla lalki ubranka na jej małej maszynie. A Gage'a nie będzie z tobą. I wtedy właśnie spadnie z pierwszej setki przebojów dziewczęcego serca i stanie się czymś, co zdarzyło się w tysiąc dziewięćset osiemdziesiątym czwartym roku.

Powiewem przeszłości.

Louis wyszedł z pokoju. Przez moment stał u szczytu schodów, niezbyt poważnie myśląc o pójściu do łóżka.

Wiedział, czego mu trzeba. Poszedł na dół, by to znaleźć.

Louis Albert Creed podszedł do kwestii upicia się metodycznie. Na dole w piwnicy znajdowało się pięć zgrzewek piwa Schlitz Light. Louis pijał piwo, Jud także. Steve Masterton je pijał. Missy Dandridge, pilnując dzieci (dziecka – upomniał się w duchu Louis, schodząc po schodach piwnicy), od czasu do czasu wypijała butelkę czy dwie. Nawet Charlton, gdy kilka razy odwiedziła ich dom, wolała piwo – jeśli tylko było jasne – niż kieliszek wina. Toteż pewnego dnia zeszłej zimy, kiedy Schlitz Light miał akurat cenę promocyjną w A&P, Rachel kupiła aż dziesięć zgrzewek. „Może wreszcie przestaniesz jeździć do Orrington, gdy ktoś do nas wpadnie – powiedziała. – A poza tym cytujesz mi wciąż Roberta Parkera, kochanie: «Każde piwo, które jest w lodówce po zamknięciu sklepów, to dobre piwo», zgadza się? Pij więc i myśl o pieniądzach, które oszczędzasz”. Zeszłej zimy, kiedy wszystko było dobrze. ***Kiedy wszystko było dobrze.*** Zabawne, jak szybko i łatwo umysł dokonuje tak ważnych podziałów.

Teraz Louis przyniósł zgrzewkę piwa i wsadził puszki do lodówki. Potem zabrał jedną, zamknął drzwiczki i otworzył puszkę. Na dźwięk zatrzaskiwanych drzwi lodówki ze spiżarni wynurzył się Church i powoli

podkradł się, patrząc pytająco na Louisa. Nie zbliżał się zanadto. Być może Louisowi zbyt wiele razy zdarzyło się go kopnąć.

– Nie mam nic dla ciebie – poinformował kota. – Możesz zjeść dzisiaj puszkę mielonki. Jeśli masz ochotę na coś innego, idź, zabij sobie ptaka.

Church siedział tam, patrząc na niego. Louis jednym haustem wypił pół puszki i poczuł, jak piwo uderza mu do głowy.

– Tak naprawdę nawet ich nie żresz, prawda? – spytał. – Wystarczy ci samo zabijanie.

Church ruszył powoli do salonu, najwyraźniej uznając, że nie dostanie nic do jedzenia. Louis poszedł w ślad za nim.

Znów pomyślał przelotnie: ***Hey-ho, let's go***.

Louis usiadł na swym fotelu i ponownie spojrzał na Churcha. Kot leżał na dywaniku przed szafką telewizyjną, obserwując go uważnie, prawdopodobnie gotów do ucieczki, gdyby Louis nagle stał się agresywny i postanowił użyć kopiącej stopy. Zamiast tego podniósł puszkę.

– Za Gage'a – rzekł. – Za mojego syna, który mógł zostać artystą, olimpijskim mistrzem w pływaniu czy może nawet pierdolonym prezydentem Stanów Zjednoczonych. Co ty na to, dupku?

Church patrzył na niego dziwnymi, mętnymi oczami. Louis kilkoma łykami opróżnił puszkę. Łykał tak szybko, że zabolało go gardło, w które został uderzony. Potem

wstał i poszedł do lodówki.

Kiedy skończył trzecie piwo, poczuł, że pierwszy raz tego dnia odzyskuje równowagę. Kiedy załatwił się z pierwszą szóstką, uznał, że za jakieś pół godziny zdoła usnąć. Wracając z lodówki z ósmą bądź dziewiątą (do tego czasu stracił już rachubę i stąpał wyraźnie chwiejnie), spojrzał na Churcha drzemiącego – bądź udającego, że drzemie – na dywaniku. I wówczas w jego głowie pojawiła się myśl, tak naturalna, że z pewnością musiała tkwić tam cały czas, czekając jedynie na odpowiednią porę, by objawić mu się w całej okazałości:

Kiedy zamierzasz to zrobić? Kiedy pogrzebiesz Gage'a na Cmętarzu Zwieżąt?

A zaraz potem:

Łazarzu, powstań!

Śpiący, otępiały głos Ellie:

Nauczyciel mówił, że gdyby powiedział po prostu „Powstań", prawdopodobnie wstaliby wszyscy na cmentarzu.

Wstrząsnął nim tak potworny dreszcz, że Louis skulił ramiona, gwałtownie dygocząc. Nagle przypomniał sobie pierwszy dzień szkoły Ellie, to, jak Gage zasnął mu na kolanach, gdy wraz z Rachel słuchali gadaniny córki o starym McDonaldzie i pani Berryman. Powiedział wtedy: „Położę małego do łóżka". A kiedy zaniósł Gage'a na górę, ogarnęło go okropne przeczucie. Teraz rozumiał: wtedy, we wrześniu, część jego wiedziała, że Gage wkrótce umrze. Część jego wiedziała, że zbliża się Oz

Wiejki i Wsaniały. To bzdura, idiotyzm, przesądna gadanina najgorszego rodzaju… ale jednocześnie prawda. On wiedział. Louis oblał się piwem i Church czujnie uniósł głowę, sprawdzając, czy nie stanowi to przypadkiem sygnału do rozpoczęcia wieczornej zabawy w kopanie kota.

Nagle Louis przypomniał sobie pytanie, które zadał Judowi. Przypomniał sobie, jak ręka starca drgnęła gwałtownie, strącając ze stołu dwie puste butelki. Jedna z nich rozbiła się na kawałki.

Nie powinieneś nawet mówić o takich rzeczach, Louis!

Ale on chciał o nich mówić – a przynajmniej myśleć. Cmętarz Zwieżąt. To, co leżało za Cmętarzem Zwieżąt. Myśl ta miała w sobie coś śmiertelnie pociągającego, logikę, której nie dawało się zaprzeczyć. Church zginął na drodze; Gage zginął na drodze. Oto Church – zmieniony, to prawda, pod pewnymi względami wstrętny – lecz jednak tu był. Ellie, Gage i Rachel. Cała trójka wciąż go kochała. Jasne, zabijał ptaki i wypruł flaki z kilku myszy. Lecz zabijanie małych zwierzątek to kocia rzecz. Church w żadnym razie nie zamienił się we Frankenkota. Pod wieloma względami był równie dobry jak przedtem.

Usiłujesz przekonać samego siebie – rzekł głos w umyśle. – Nie jest wcale tak dobry jak przedtem. Jest upiorny. Wrona, Louis… Pamiętasz wronę?

– Dobry Boże! – powiedział głośno Louis roztrzęsionym, zdenerwowanym głosem, który ledwie

rozpoznał jako własny.

Bóg, o tak, jasne. Pewnie. Jeśli kiedykolwiek istniała pora przywołania imienia Bożego, poza powieściami o duchach, zjawach czy wampirach, to właśnie nadeszła. A zatem, o czym, na Boga, myślał? Myślał o mrocznym bluźnierstwie, którego nawet teraz nie potrafił przypisać działaniu żadnej znanej siły. Co gorsza, wmawiał sobie kłamstwa. Nie usprawiedliwiał swych myśli na siłę. Po prostu kłamał.

Jak więc wygląda prawda? Tak bardzo jej pragniesz, więc co z tą kurewską prawdą?

Po pierwsze, Church nie był już tak naprawdę kotem. Wyglądał jak kot i zachowywał się jak kot, ale w istocie stał się wyłącznie kiepską namiastką. Ludzie nie potrafili przeniknąć wzrokiem iluzji, lecz wyczuwali ją. Louis przypomniał sobie pewien wieczór, małe przedświąteczne przyjęcie, na które wpadła także Charlton. Siedzieli w jadalni i rozmawiali po posiłku, gdy Church wskoczył jej na kolana. Charlton natychmiast zepchnęła kota. Jej usta skrzywiły się na moment w grymasie niesmaku.

Nie było to nic ważnego, nikt nawet nie skomentował tego zdarzenia, ale jednak zaszło. Charlton poczuła, czym nie był kot. Louis skończył piwo i poszedł po następne. Gdyby Gage powrócił zmieniony w ten sam sposób, stałby się chodzącym koszmarem.

Otworzył puszkę i pociągnął głęboki łyk. Był już pijany, naprawdę pijany. Rano czekał go potężny ból głowy. „Jak poszedłem skacowany na pogrzeb mojego

syna”, autorstwa Louisa Creeda, twórcy: „Jak nie złapałem go w kluczowej chwili” i wielu innych bestsellerów.

Pijany, jasne. I podejrzewał, że upił się właśnie po to, by móc na trzeźwo rozważyć ten szalony pomysł.

Mimo wszystko nadal wydawał się on śmiertelnie pociągający. Chorobliwie atrakcyjny. Cudowny. Tak, przede wszystkim, stawał się cudowny.

Jud powrócił, przemawiając w jego umyśle.

Robisz tak, bo to miejsce ma nad tobą władzę. Robisz tak, bo to sekretne miejsce, a ty chcesz podzielić się z kimś tym sekretem… wymyślasz sobie powody… wydają ci się dobre… lecz głównie robisz tak, bo tego chcesz… albo dlatego, że musisz.

Głos Juda, niski, przeciągły, z jankeskim akcentem. Głos Juda, mrożący krew w żyłach, wywołujący gęsią skórkę, sprawiający, że na karku jeżą się włosy.

To tajemnice… Ziemia serca mężczyzny jest kamienista, Louis. Tak jak ziemia na starym cmentarzysku Micmaców… Mężczyzna hoduje w niej to, co zdoła… i opiekuje się tym.

Louis zaczął powtarzać w myślach inne rzeczy, które powiedział mu Jud na temat cmentarzyska Micmaców. Zaczął gromadzić dane, sortować je, kompresować – przetwarzać je dokładnie tak samo, jak kiedyś przygotowywał się do ważnych egzaminów.

Pies. Spot.

Widziałem miejsca, w których nadział się na drut

kolczasty – nie rosło na nich futro, a ciało sprawiało wrażenie wgłębionego.

Byk. Kolejna teczka otworzyła się w umyśle Louisa.

Lester Morgan pochował tam swojego byka zarodowego, rasowego buhaja imieniem Hanratty… zaciągnął go na miejsce na saniach… zastrzelił go dwa tygodnie później. Byk stał się złośliwy, naprawdę złośliwy, ale to jedyne znane mi zwierzę, które to spotkało.

Stał się złośliwy.

Ziemia serca mężczyzny jest kamienista.

Stał się naprawdę złośliwy.

To jedyne znane mi zwierzę, które to spotkało.

Robisz to, bo kiedy już raz tam byłeś, to jest to też twoje miejsce.

Hanratty. Czyż to nie głupie imię dla byka?

Mężczyzna hoduje, co zdoła… i opiekuje się tym.

To moje szczury i moje ptaki. Kupiłem sobie tych skurwieli.

To twoje miejsce. Tajemne miejsce. I należy do ciebie. A ty należysz do niego.

Stał się złośliwy, ale to jedyne znane mi zwierzę, które to spotkało.

Co teraz chcesz sobie kupić, Louis, gdy nocą wieje porywisty wiatr, a księżyc kreśli srebrzystą ścieżkę przez las, aż do tego miejsca? Chcesz znów wspiąć się na tamte stopnie? Gdy oglądasz horror, wszyscy na widowni wiedzą, że bohater, czy bohaterka, okaże się dość głupi,

by wspiąć się po schodach, lecz w rzeczywistości sami tacy są – palą, nie zapinają pasów bezpieczeństwa, wprowadzają się z rodziną do domu obok ruchliwej szosy, po której całymi dniami i nocami krążą wielkie ciężarówki. A zatem, Louis, co powiesz? Chcesz wspiąć się po schodach? Wolisz zatrzymać martwego syna czy też sprawdzić, co kryje się za drzwiami numer jeden, drzwiami numer dwa albo drzwiami numer trzy?

Hey-ho, let's go.

Stał się złośliwy… jedyne zwierzę… Ciało wyglądało… Mężczyzna… twój… jego…

Louis wylał resztę piwa do zlewu. Nagle poczuł, że zaraz zwymiotuje. Pokój krążył mu przed oczami, kołysał się, wirował.

I wtedy ktoś zapukał do drzwi.

Przed długi czas – tak mu się przynajmniej zdawało – wierzył, że dźwięk ów zabrzmiał jedynie w jego głowie, że to złudzenie. Lecz stukanie nie ustawało, cierpliwe, nieugięte. I nagle Louis pomyślał o historii małpiej łapki i ogarnęła go lodowata groza. Wyczuwał ją zupełnie namacalnie – była jak martwa ręka przechowywana w lodówce. Martwa ręka, która nagle ożyła, zimna i bezcielesna, i wsunęła mu się pod koszulę, by zacisnąć się wokół serca. Cóż za niemądra, bzdurna wizja – ale w tym momencie nie wydawała się głupia. O, nie!

Louis podszedł do drzwi na nogach, których nie czuł, i pozbawionymi czucia palcami odsunął zasuwkę. Otwierając drzwi, pomyślał: To będzie Pascow. Tak jak

mówili o Jimie Morrisonie, powrócił z martwych lepszy niż kiedykolwiek. Pascow będzie tam stał w szortach do joggingu, wielki jak za życia i przegniły niczym stary, zgliwiały chleb. Pascow z potwornie strzaskaną głową, Pascow znów przynoszący słowa ostrzeżenia: „Nie idź tam". Jak szła ta stara piosenka Animalsów? „Kochanie, nie idź, kochanie, nie odchodź. Wiesz, że cię kocham, kochanie, nie odchodź"…

Drzwi rozwarły się; na progu w wietrzną noc o północy, pomiędzy dniem wystawienia zwłok i dniem pogrzebu syna, stał Jud Crandall. Jego rzadkie białe włosy fruwały w lodowatej ciemności.

– Pomyśl o diable, a stanie na progu – wymamrotał Louis. Spróbował się zaśmiać. Czas zatoczył koło. Znów było Święto Dziękczynienia. Wkrótce włożą do foliowego worka sztywnego, nienaturalnie ciężkiego trupa kota Ellie Winstona Churchilla i wyruszą. Nie pytaj, co to czy to, po prostu chodź z wizytą.

– Mogę wejść, Louis? – spytał Jud. Z kieszeni koszuli wyjął paczkę chesterfieldów i wsunął jednego do ust.

– Wiesz co – odparł Louis – jest już późno, a ja wypiłem mnóstwo piwa.

– Ano, czuję. – Jud zapalił zapałkę. Wiatr ją zdmuchnął. Starzec zapalił kolejną, osłaniając ją dłońmi, lecz jego ręce drżały, znów wystawiając płomyk na pastwę wiatru. Wyjął trzecią zapałkę. Już miał ją potrzeć o kciuk, gdy spojrzał na stojącego w drzwiach Louisa. – Nie poradzę sobie – rzekł. – Wpuścisz mnie czy nie?

Louis cofnął się, pozwalając Judowi wejść do środka.

38

Usiedli nad piwem przy kuchennym stole. Po raz pierwszy popijamy w naszej kuchni, pomyślał Louis zaskoczony. Po drugiej stronie salonu Ellie krzyknęła przez sen i obaj zamarli niczym manekiny w dziecięcej zabawie. Krzyk nie powtórzył się.

– No dobra – zaczął Louis – co ty tu robisz kwadrans po dwunastej w dniu pogrzebu mojego syna? Jesteś przyjacielem, Jud, ale to już przesada.

Jud wypił, otarł usta wierzchem dłoni i spojrzał wprost na Louisa. W jego oczach było coś jasnego, pozytywnego, i po chwili gospodarz spuścił wzrok.

– Wiesz, czemu tu jestem – rzekł Jud. – Myślisz o rzeczach, o których nie należy myśleć, Louis. Co gorsza, boję się, że zastanawiasz się, czy ich nie zrobić.

– Nie myślałem o niczym poza łóżkiem – odparł Louis. – Jutro rano muszę iść na pogrzeb.

– Odpowiadam za więcej bólu w twoim sercu, niż przypuszczasz – powiedział miękko Jud. – Kto wie, może jestem nawet odpowiedzialny za śmierć twojego syna.

Zaskoczony Louis uniósł wzrok.

– Co takiego? Jud, nie gadaj głupot.

– Myślisz o tym, by go tam zakopać. Nie zaprzeczaj, że myśl ta przeszła ci przez głowę.

Louis milczał.

– Jak daleko sięga wpływ tego miejsca? Możesz mi powiedzieć? Nie. Sam także nie potrafię odpowiedzieć na to pytanie, a całe życie spędziłem w tej części świata. Wiem o Micmacach, a oni zawsze uważali to miejsce za święte… lecz nie w dobry sposób. Stanny B. powiedział mi to. Mój ojciec także – znacznie później, gdy Spot umarł po raz drugi. Teraz Micmacowie, stan Maine i rząd Stanów Zjednoczonych spierają się w sądzie, do kogo należy ta ziemia. Do kogo należy? Nikt nie wie tak naprawdę, Louis. Już nie. Różni ludzie rościli sobie do niej prawa w różnych czasach, ale nikomu nie udało się przejąć jej na długo. Choćby Anson Ludlow, prawnuk ojca założyciela tego miasta. Z białych ludzi Anson miał chyba największe prawo, bo Joseph Ludlow Starszy dostał ten teren jako nadanie dobrego króla Jerzego, kiedy Maine stanowiło jedynie wielką prowincję kolonii Massachusetts. Nawet on jednak musiałby stoczyć zaciekłą walkę w sądzie, bo istniały też roszczenia innych Ludlowów, a także niejakiego Petera Dimmarta, który twierdził, że potrafi przekonująco dowieść, iż jest Ludlowem z nieprawego łoża. Pod koniec życia Joseph Ludlow Starszy był ubogi w pieniądze, lecz bogaty w ziemię. Od czasu do czasu lubił darować komuś dwieście, może czterysta akrów, kiedy sobie popił.

– Czy żadnej z tych darowizn nie zarejestrowano? – spytał Louis, mimowolnie zafascynowany.

– Och, nasi dziadkowie byli świetni w rejestrowaniu nadań. – Jud odpalił nowego papierosa od niedopałka

starego. – Pierwotne nadanie twojej ziemi brzmi mniej więcej tak. – Zamknął oczy i zacytował: – „Od wielkiego, starego klonu stojącego na szczycie wzgórza Quinceberry aż do strumienia Orrington. Tak przebiega granica z północy na południe”. – Jud uśmiechnął się bez śladu rozbawienia. – Ale wielki stary klon runął w, powiedzmy, tysiąc osiemset osiemdziesiątym drugim, a do tysiąc dziewięćsetnego zgnił bez śladu. A strumień Orrington rozpłynął się i zamienił w moczary w ciągu dziesięciu lat, pomiędzy końcem Wielkiej Wojny i krachem na giełdzie. Został z tego niezły mętlik. Lecz dla starego Ansona w końcu nie miało to większego znaczenia. Zabił go piorun w tysiąc dziewięćset dwudziestym pierwszym, właśnie w miejscu, gdzie jest tamten cmentarz.

Louis przyglądał się Judowi, który sączył piwo.

– To zresztą nieważne. Istnieje wiele miejsc, w których historia własności jest tak poplątana, że nigdy nie da się jej rozwikłać, i zarabiają na niej wyłącznie prawnicy. Nawet Dickens to wiedział. Przypuszczam, że w końcu Indianie odzyskają swoją ziemię, i tak być powinno. Ale to nie ma znaczenia, Louis. Przyszedłem tu dzisiaj, by opowiedzieć ci o Timmym Batermanie i jego ojcu.

– Kto to jest Timmy Baterman?

– Timmy Baterman był jednym z dwudziestu chłopców z Ludlow, którzy wyruszyli za morze, by walczyć z Hitlerem. Wyjechał w tysiąc dziewięćset czterdziestym drugim. Wrócił w skrzyni przykrytej flagą

w tysiąc dziewięćset czterdziestym trzecim. Zginął we Włoszech. Jego ojciec, Bill Baterman, całe życie mieszkał w tym mieście. Kiedy dostał telegram, oszalał z bólu… ale potem natychmiast się uspokoił. Widzisz, on wiedział o cmentarzysku Micmaców. I podjął decyzję.

Dreszcz powrócił. Louis długą chwilę przyglądał się Judowi, próbując odszukać kłamstwo w oczach starca. Nie znalazł go tam, lecz fakt, że historia ta ujrzała światło dzienne akurat teraz, wydał mu się podejrzanie nieprzypadkowy.

– Czemu nie powiedziałeś mi o tym tamtego wieczoru? – spytał w końcu. – Po tym, jak… jak zrobiliśmy to z kotem; kiedy spytałem, czy ktokolwiek pogrzebał tam człowieka, odparłeś, że nikt.

– Bo wtedy nie musiałeś tego wiedzieć – odparł Jud. – Teraz musisz.

Louis milczał długą chwilę.

– Czy on był jedyny?

– Jedyny, o którym wiem – odrzekł z powagą Jud. – Jedyny, który próbował? Wątpię, Louis. Bardzo w to wątpię. Jestem jak kaznodzieja z Eklezjastesa. Nie wierzę, by istniało cokolwiek nowego pod słońcem. Och, czasami zewnętrzna powłoka rzeczy zmienia się, ale to wszystko. Tego, czego raz próbowano, próbowano wcześniej… jeszcze wcześniej… i wcześniej.

Spuścił wzrok ku swym pokrytym plamami wątrobianymi dłoniom. W salonie zegar wybił cicho pół do pierwszej.

– Uznałem, że człowiek twojej profesji przywykł do oglądania objawów i dostrzegania kryjącej się pod nimi choroby… Ale postanowiłem porozmawiać z tobą otwarcie, kiedy Mortonson w domu pogrzebowym powiedział mi, że zamówiłeś zwykły murowany grób – nie zamkniętą kryptę.

Louis przez długą chwilę patrzył na Juda, nie odzywając się ani słowem. Starzec zarumienił się głęboko, lecz nie odwrócił wzroku. W końcu Louis powiedział:

– Wygląda na to, że trochę powęszyłeś, Jud. Przykro mi.

– Nie pytałem, co kupiłeś.

– Może nie od razu.

Jud jednak nie odpowiedział, a choć jego rumieniec stał się jeszcze głębszy – twarz zaczynała przypominać dojrzałą śliwkę – oczy ani drgnęły.

Wreszcie Louis westchnął. Czuł się niewiarygodnie zmęczony.

– Niech to szlag! Nic mnie to nie obchodzi. Może nawet masz rację. Może o tym myślałem. Jeśli nawet zadziałałem instynktownie, nie zastanawiałem się, co zamawiam. Myślałem o Gage'u.

– Wiem, że myślałeś o Gage'u. Ale znałeś różnicę. Twój wuj był przedsiębiorcą pogrzebowym.

Owszem, znał różnicę. Zamknięta krypta była potężną konstrukcją, która miała przetrwać bardzo, bardzo długo. Do prostokątnej formy wzmocnionej stalowymi prętami

wlewano beton, a potem, po zakończeniu pogrzebu, dźwig opuszczał na nią lekko zaokrąglone betonowe wieko, następnie przymocowywane zaprawą przypominającą cement, którego drogowcy używają do wypełniania dziur w autostradzie. Wuj Carl powiedział kiedyś Louisowi, że owa zaprawa – nazwana Everlock – po jakimś czasie pod ciężarem wieka staje się praktycznie nie do rozerwania.

Wujek Carl, który lubił gadać jak każdy (przynajmniej kiedy przebywał wśród swoich, a Louis, który przez jakiś czas pracował z nim latem, podpadał pod kategorię pomocnika grabarza), opowiedział siostrzeńcowi o ekshumacji nakazanej kiedyś przez biuro prokuratora okręgu Cook. Wuj Carl udał się do Groveland, by ją nadzorować. „Ekshumacje bywają trudne – rzekł. – Ludzie, którzy znają je wyłącznie z horrorów z Borisem Karloffem w roli potwora Frankensteina i Dwightem Frye jako Igorem, nie mają pojęcia, jak wyglądają naprawdę. Otwarcie krypty nie jest zadaniem dla dwóch ludzi z kilofami i szpadlami – chyba że mogą spędzić na tej pracy około sześciu tygodni". Ta szczególna ekshumacja poszła dobrze… z początku. Otwarto grób, dźwig pochwycił wieko krypty. Tyle że wieko nie otwarło się jak powinno. Zamiast tego z ziemi zaczęła wynurzać się cała krypta. Jej betonowe ściany były już nieco mokre i odbarwione. Wujek Carl krzyknął do operatora dźwigu, by puścił. Chciał wrócić do domu pogrzebowego i znaleźć jakiś środek, który osłabiłby

zaprawę. Operator dźwigu albo go nie usłyszał, albo też nie chciał przerwać zabawy, jak dzieciak bawiący się dźwigiem-zabawką i tanimi nagrodami na kiermaszu. Wujek Carl powiedział, że przeklęty głupiec dostał za swoje. Krypta w trzech czwartych wynurzyła się z ziemi – wraz z pomocnikiem słyszeli wodę ściekającą z betonu do grobu (w Chicago przez ostatni tydzień mocno padało), gdy dźwig po prostu się przewrócił i runął w głąb dołu. Operator wpadł na przednią szybę i złamał sobie nos. Cała ta zabawa kosztowała okręg Cook około dwóch, trzech tysięcy dolarów ponad zwykłą cenę podobnych przedsięwzięć. Dla wuja Carla prawdziwą puentę historii stanowił fakt, że sześć lat później operator został wybrany na przewodniczącego Związku Zawodowego Kierowców Ciężarówek w Chicago.

Groby murowane były znacznie prostsze. Składały się ze zwykłej betonowej formy, otwartej u góry. Wkopywano ją w grób rankiem przed pogrzebem. Po posłudze spuszczano do niej trumnę, następnie grabarze przynosili wieko, składające się z dwóch bądź trzech segmentów. Spuszczano je pionowo na końce grobu, gdzie stały niczym upiorne książkowe podpórki. W betonie na krawędziach każdego segmentu tkwiły żelazne pierścienie. Grabarze przewlekali przez nie łańcuchy i powoli opuszczali na szczyt betonowej skrzyni. Każdy z owych segmentów ważył trzydzieści, trzydzieści pięć kilogramów, maksymalnie czterdzieści. Nie używano też żadnej zaprawy.

Człowiek z łatwością może otworzyć murowany grób. To właśnie sugerował Jud.

Łatwo mógłby wydobyć ciało swego syna i pogrzebać je gdzie indziej.

Ciiii. Ciiii. Nie będziemy rozmawiali o takich rzeczach. To tajemnice.

– Owszem, przyznaję, znam różnicę pomiędzy kryptą a grobem murowanym – rzekł Louis. – Ale nie myślałem… o tym, o czym uważasz, że myślałem.

– Louis…

– Jest późno – powiedział Louis. – Jest późno, ja jestem pijany, a moje serce cierpi. Jeśli uważasz, że musisz opowiedzieć mi tę historię, mów i zakończmy to. – Trzeba było zacząć od martini, pomyślał. Wówczas kiedy zapukał, byłbym już bezpiecznie nieprzytomny.

– W porządku, Louis. I dziękuję.

– Zaczynaj.

Jud odczekał chwilę, zastanawiając się nad czymś, po czym zaczął mówić.

39

– W tamtych czasach – to znaczy podczas wojny – pociągi wciąż zatrzymywały się w Orrington i Bill Baterman kazał przedsiębiorcy pogrzebowemu przyjechać na dworzec towarowy i odebrać zwłoki jego syna Timmy’ego. Trumnę wyładowało czterech kolejarzy. Byłem jednym z nich. W pociągu jechał też gość z wojska, z Grobów i Registratury – wojennego odpowiednika grabarzy – ale on w ogóle nie wysiadł. Siedział pijany w wagonie wiozącym jeszcze dwanaście trumien.

Załadowaliśmy Timmy’ego na tył pogrzebowego cadillaca – w tamtych czasach często nazywano je „wozami pospiesznymi”, bo dawniej przede wszystkim liczyło się to, by jak najszybciej zakopać nieboszczyka, zanim zacznie gnić. Bill Baterman stał obok. Twarz miał kamienną i sam nie wiem, jakby suchą. Nie płakał. Tego dnia pociągiem kierował Huey Garber, który mówił, że gość z armii miał przed sobą wielki objazd. Huey twierdził, że samoloty dostarczyły cały pieprzony ładunek trumien do Limestone na wyspie Presque, z której trumny z opiekunem wyruszyły pociągiem na południe.

Facet z armii podszedł do Hueya, wyciągnął z kieszeni munduru ćwiartkę żytniówki i powiedział z miękkim, przeciągłym południowym akcentem:

– I co, panie mechaniku, kieruje pan dziś tajemniczym pociągiem. Wiedział pan?

Huey potrząsnął głową.

– Ależ tak. Przynajmniej tak nazywamy pogrzebowe pociągi w Alabamie, z której pochodzę.

Huey mówił, że gość wyjął z kieszeni spis i mrużąc oczy, przyjrzał mu się.

– Zaczniemy od odwiezienia dwóch trumien do Hulton, potem mam jedną do Passadumkeag, dwie do Bangor, jedną do Derry, jedną do Ludlow i tak dalej. Czuję się jak cholerny mleczarz. Może łyk?

No cóż, Huey odmówił, tłumacząc, że władze w Bangor i Aroostook bardzo poważnie podeszłyby do sprawy maszynisty, którego oddech cuchnie żytniówką, a gość z Grobów i Registratury nie miał do niego pretensji, tak jak Huey nie miał pretensji do gościa z armii za jego pijaństwo. Uścisnęli sobie nawet dłonie.

No i ruszyli, na każdym przystanku pozostawiając okryte flagami trumny. W sumie było ich osiemnaście, może dwadzieścia. Huey mówił, że to samo działo się całą drogą, aż do Bostonu. Na każdym przystanku poza Ludlow czekali płaczący, szlochający krewni… A w Ludlow powitał go widok Billa Batermana, który, jak mówił, wyglądał, jakby był martwy w środku. Jakby tylko czekał, kiedy jego dusza zacznie cuchnąć. Gdy wysiadł z pociągu, opowiadał, że obudził gościa z armii i razem ruszyli po barach – piętnastu, dwudziestu, a Huey urżnął się bardziej niż kiedykolwiek w życiu i poszedł do

dziwki, co wcześniej nigdy mu się nie zdarzało. Rano obudził się z olbrzymim kacem i powiedział, że jeśli to ma być tajemniczy pociąg, to w życiu nie chce więcej takim kierować.

Ciało Timmy'ego zabrano do domu pogrzebowego Greenspana na Fern Street – dokładnie naprzeciw miejsca, w którym dziś zbudowano nową pralnię Franklina – i w dwa dni później pogrzebano na cmentarzu Pleasantview z pełnymi honorami wojskowymi.

Powiadam ci, Louis, pani Baterman nie żyła wtedy od dziesięciu lat, razem z drugim dzieckiem, które próbowała wydać na świat, i miało to wiele wspólnego z tym, co się stało. Drugie dziecko pomogłoby złagodzić ból, nie sądzisz? Drugie dziecko przypomniałoby staremu Billowi, że są też inni, którzy cierpią i którym trzeba pomóc. Pod tym względem chyba bardziej dopisało ci szczęście – ty masz drugie dziecko. Dziecko i żonę. I oboje żyją.

Według listu, który Bill otrzymał od porucznika dowodzącego plutonem chłopaka, Timmy został zastrzelony na drodze do Rzymu piętnastego lipca tysiąc dziewięćset czterdziestego trzeciego roku. Jego ciało wysłano do kraju dwa dni później. Do Limestone dotarło dziewiętnastego. Zaraz następnego dnia załadowano je na pokład tajemniczego pociągu Huey Garbera. Większość żołnierzy, którzy zginęli w Europie, zostawała tam pochowana, lecz wszyscy chłopcy, którzy wrócili owym pociągiem, byli wyjątkowi. Timmy zginął, atakując

stanowisko karabinów maszynowych i został pośmiertnie odznaczony Srebrną Gwiazdą.

Pogrzebano go – nie dam głowy, ale chyba dwudziestego drugiego lipca. A cztery, pięć dni później, Marjorie Washburn, w owych czasach pracująca jako listonoszka, ujrzała Timmy'ego idącego drogą w stronę stajni Yorka. Cóż, Margie na ten widok niemal zjechała z drogi, i łatwo zrozumieć dlaczego. Wróciła na pocztę, cisnęła skórzaną torbę pełną niedostarczonych listów na biurko George'a Andersona i oznajmiła, że wraca do domu położyć się do łóżka.

– Margie, jesteś chora? – spytał George. – Zbladłaś jak skrzydło mewy.

– Przeraziłam się tak, jak nigdy w życiu, i nie chcę o tym rozmawiać – odparła Margie Washburn. – Nie zamierzam o tym rozmawiać z Brianem ani z moją mamą, ani w ogóle z nikim. Kiedy pójdę do nieba, jeśli Jezus poprosi mnie, bym mu powiedziała, może to zrobię, ale wątpię. – Z tymi słowy wyszła.

Wszyscy wiedzieli, że Timmy nie żyje. Zaledwie tydzień wcześniej w bangorskich „Daily News" i „Americanie" z Ellesworth ukazały się jego nekrologi, ze zdjęciami i wszystkim, i połowa miasteczka przyjechała do miasta na pogrzeb. A potem Margie zobaczyła go idącego drogą – słaniającego się drogą, powiedziała w końcu staremu George'owi Andersonowi, tyle że działo się to dwadzieścia lat później i umierała, a George mówił mi potem, że miał wrażenie, iż pragnęła wyznać komuś,

co widziała. George uważał, że to ją dręczyło.

Był blady, twierdziła, ubrany w stare spodnie i spraną flanelową koszulę, choć tego dnia musiało być dobrze ponad trzydzieści stopni w cieniu. Podobno włosy z tyłu głowy sterczały mu na wszystkie strony, jakby nie czesał się od miesiąca.

– Jego oczy wyglądały jak rodzynki wepchnięte w surowe ciasto. Tego dnia widziałam ducha, George. To właśnie tak bardzo mnie przeraziło. Nigdy nie sądziłam, że zobaczę coś takiego, a jednak.

Cóż, wieści szybko się rozeszły. Wkrótce inni ludzie zaczęli widywać Timmy'ego. Pani Stratton – zwaliśmy ją panią, ale z tego, co wiedzieliśmy, równie dobrze mogła być samotna, rozwiedziona bądź owdowiała. Miała mały dwupokojowy domek w miejscu, gdzie Pedersen Road łączy się z Hancock Road. Trzymała w nim mnóstwo jazzowych płyt i czasami, jeśli miałeś wolny dziesięciodolarowy banknot, urządzała ci przyjęcie – zobaczyła Timmy'ego z werandy i powiedziała, że podszedł aż na skraj drogi i zatrzymał się tam.

– Po prostu tam stał – mówiła – z rękami zwisającymi bezwładnie po bokach, głową lekko pochyloną i wysuniętą do przodu, i sterczącym podbródkiem, niczym bokser gotów do walki.

Mówiła, że sama stała na werandzie. Serce waliło jej jak młotem. Była zbyt przerażona, by się ruszyć. Wówczas on odwrócił się do niej: zupełnie jakby patrzyła na pijaka, próbującego zawrócić. Wysunął jedną nogę,

przekręcił drugą i o mało się nie wywalił. Mówiła, że spojrzał wprost na nią i z jej rąk odpłynęła cała siła. Upuściła kosz z praniem, z którego wypadły ubrania i z powrotem się pobrudziły.

Jego oczy… jego oczy wyglądały jak martwe. Martwe i mętne niczym szklane kulki. Ale ujrzał ją… i uśmiechnął się… i twierdziła, że z nią rozmawiał. Pytał, czy wciąż ma te płyty, bo chętnie zabawiłby się z nią. Może jeszcze tego wieczoru. A pani Stratton wróciła do domu i nie wychodziła z niego cały tydzień. Do tego czasu sprawa już się rozwiązała.

Wielu ludzi widziało Timmy'ego Batermana. Większość z nich już nie żyje – na przykład pani Stratton. Inni wyprowadzili się. Pozostało jednak kilku starych pryków, jak ja, którzy mogą ci o nim opowiedzieć… jeśli zadasz właściwe pytanie.

Widywali go krążącego po Pedersen Road, kilometr na wschód i zachód od domu jego ojca. Wędrował tam i z powrotem, tam i z powrotem, całymi dniami i, kto wie, może też nocami. Z wyciągniętą ze spodni koszulą, bladą twarzą, włosami sterczącymi na wszystkie strony, czasami z rozpiętym rozporkiem i tą twarzą… tym wyrazem twarzy…

Jud urwał, by zapalić papierosa, i Louis odezwał się po raz pierwszy.

– Czy ty kiedyś go widziałeś?

Starzec zgasił zapałkę i poprzez błękitną mgiełkę dymu spojrzał wprost na Louisa, a choć cała historia była

niewątpliwie szalona, w oczach Juda Louis nie dostrzegł kłamstwa.

– Tak. Widziałem go. Wiesz, w filmach pokazują różne historie o zombi – nie wiem, czy prawdziwe – o zombi z Haiti. W filmach te zombi chwiejnie posuwają się naprzód z martwymi oczami patrzącymi wprost przed siebie, wolno, niezręcznie. Timmy Baterman był właśnie taki, Louis, jak zombi z filmu. A jednocześnie zupełnie inny. Było w nim coś więcej. Coś działo się za tymi oczami. Czasami widziałeś to, a czasami nie. Coś za oczami, Louis. Nie sądzę, bym chciał to nazwać myśleniem. Nie wiem, jak to określić.

Po pierwsze, był przebiegły, jak wtedy gdy powiedział pani Stratton, że chciałby się z nią zabawić. Coś działo się w jego głowie, Louis, ale to nie było myślenie i wątpię, by miało wiele wspólnego – może w ogóle nic – z Timmym Batermanem. Bardziej przypominało… sygnał radiowy, dochodzący skądinąd. Patrzyłeś na niego i myślałeś: Jeśli mnie dotknie, zacznę krzyczeć. Coś w tym stylu.

Krążył tam i z powrotem, w górę i w dół drogi. I pewnego dnia, gdy wróciłem do domu z pracy – to musiał być chyba jakiś trzydziesty lipca – ujrzałem George’a Andersona, szefa poczty, siedzącego na tylnej werandzie i pijącego mrożoną herbatę z Hannibalem Bensonem, naszym drugim radnym, i Alanem Purintonem, szefującym straży pożarnej. Norma też tam siedziała, ale nie odzywała się ani słowem.

George cały czas rozcierał swój kikut. Stracił niemal całą nogę podczas pracy na kolei i w gorące, parne dni kikut bardzo mu dokuczał. Przyszedł jednak, nie zważając na ból.

– Sprawy zaszły za daleko – oznajmił. – Mam listonoszkę, która nie chce dostarczać poczty na Pedersen Road. To jedno. Po drugie, rząd zaczyna się niepokoić. A to niedobrze.

– Co to znaczy: rząd zaczyna się niepokoić? – spytałem. Hannibal wyjaśnił, że miał telefon z Departamentu Wojny, od jakiegoś porucznika nazwiskiem Kinsman, który zajmował się oddzielaniem złośliwych pomówień od zwykłych plotek i doniesień.

– Czworo czy pięcioro ludzi wysłało anonimowe listy do Departamentu Wojny – powiedział Hannibal – i porucznik Kinsman zaczynał się martwić. Gdyby tylko jedna osoba napisała list, wyśmiałby ją. Gdyby jedna osoba wysłała wszystkie listy, Kinsman zawiadomiłby policję stanową w Derry i ostrzegł, że w Ludlow mieszka psychopata, żywiący pretensję do rodziny Batermanów. Ale listy te pochodziły od innych ludzi. Mówił, że można to rozpoznać po piśmie, nawet bez nazwiska nadawcy. A we wszystkich powtarzała się ta sama szalona informacja, że jeśli Timothy Baterman nie żyje, to ruchliwy z niego trup, skoro krąży po Pedersen Road z wysuniętą głową. Jeśli to się nie uspokoi, ten Kinsman przyśle tu kogoś albo przyjedzie sam. Chcą wiedzieć, czy Timmy nie żyje, czy zdezerterował, czy może co innego. Bo nie lubią

myśleć, że ich akta są nie w porządku. Chcą też wiedzieć – kto – jeśli nie Timmy Baterman – został pogrzebany w jego trumnie.

I Hannibal otarł czoło chustką.

Sam widzisz, jak parszywie wyglądały sprawy, Louis. Siedzieliśmy tam godzinę, pijąc mrożoną herbatę i rozmawiając o wszystkim. Norma spytała, czy mamy ochotę na kanapki, ale nikt nie chciał. Chryste, ta sprawa z Timmym Batermanem przypominała znalezienie kobiety z trzema cyckami – wiesz, że nie powinno tak być, ale właściwie co możesz zrobić.

Gadaliśmy o tym i gadaliśmy, aż w końcu postanowiliśmy, że tam pójdziemy, do domu Batermana. Nigdy nie zapomnę tego wieczoru, nawet jeśli pożyję dwa razy dłużej. Było gorąco, goręcej niż u wrót piekła. Zachodzące za horyzont słońce przypominało kubeł świeżych flaków. Żaden z nas nie chciał tam iść, ale musieliśmy. Norma zrozumiała to pierwsza. Pod jakimś pretekstem zawołała mnie do domu i powiedziała: „Nie pozwól im zwlekać i odkładać tego, Judson. Musicie to załatwić. To bezbożna ohyda”.

Jud zmierzył Louisa spokojnym spojrzeniem.

– Tak właśnie to nazwała, Louis. To jej słowa. „Bezbożna ohyda”. A potem szepnęła mi do ucha: „Jeśli coś się stanie, Jud, po prostu uciekaj. Nie przejmuj się pozostałymi. Sami będą musieli o siebie zadbać. Pamiętaj o mnie i jeśli coś się stanie, zabieraj stamtąd swój tyłek”.

Pojechaliśmy samochodem Hannibala Bensona –

sukinsyn zawsze zdobywał najlepsze talony, nie mam pojęcia jak. Niewiele rozmawialiśmy, lecz cała nasza czwórka paliła jak szatany. Byliśmy przerażeni, Louis, bardziej już chyba nie można. Ale jedynym z nas, który naprawdę coś powiedział, był Alan Purinton, który rzekł do George'a:

– Bill Baterman rzeczywiście namieszał w lesie na północ od trasy numer 15. Założę się, o co chcecie.

Nikt nie odpowiedział, ale pamiętam, że George skinął głową.

No cóż, dotarliśmy tam i Alan zapukał. Nikt nie odpowiedział, ale poszliśmy na tył domu i tam ich zobaczyliśmy. Bill Baterman siedział na tylnej werandzie z dzbankiem piwa, a Timmy stał na podwórku, patrząc na krwawe zachodzące słońce. W jego blasku całą twarz miał pomarańczową niczym obdartą ze skóry, a Bill… wyglądał, jakby dorwał go szatan po siedmiu latach od zawarcia paktu. Ubranie wisiało na nim; na oko stracił jakieś dwadzieścia kilo. Oczy zapadły mu się w głąb czaszki. Przypominały małe zwierzątka w głębokich jaskiniach… a jego ustami po lewej stronie wstrząsał tik. Wyglądał jak ktoś chory na raka, który rozwija się w najlepsze wewnątrz jego ciała.

Jud urwał. Namyślał się przez chwilę, po czym niemal niedostrzegalnie skinął głową.

– Louis, on wyglądał jak potępieniec. Timmy obejrzał się na nas i wyszczerzył zęby. Sam jego uśmiech wystarczył, by człowiek zaczął krzyczeć. Potem z

powrotem zaczął obserwować zachodzące słońce. Bill rzekł:

– Nie słyszałem waszego pukania, chłopcy – co było bezczelnym kłamstwem, bo Alan bębnił w drzwi dostatecznie mocno, by obudzić… głuchego.

Wyglądało na to, że nikt nic nie powie, więc zacząłem.

– Bill, słyszałem, że twój chłopak zginął we Włoszech.

– To była pomyłka – odparł, patrząc wciąż na mnie.

– Naprawdę? – spytałem.

– Widzisz go przecież. Stoi przed wami.

– Kto zatem leży w trumnie, którą kazałeś pogrzebać na Pleasantview? – spytał Alan Purinton.

– Niech mnie diabli, jeśli wiem – odrzekł Bill. – I nic mnie to nie obchodzi. – Sięgnął po papierosa i rozsypał je po całej werandzie, po czym złamał dwa lub trzy, próbując je podnieść.

– Prawdopodobnie trzeba będzie urządzić ekshumację – oznajmił Hannibal. – Wiesz chyba o tym. Dzwonili do mnie z cholernego Departamentu Wojny, Bill. Chcą wiedzieć, czy w grobie Timmy'ego nie leży syn innej matki.

– A jeśli nawet, co mnie to obchodzi – rzucił głośno Bill. – To nie ma ze mną nic wspólnego. Mam swojego chłopca. Kilka dni temu Timmy wrócił do domu. Doznał wstrząsu czy coś takiego. Jest trochę dziwny, ale dojdzie do siebie.

– Skończmy z tym, Bill – wtrąciłem i nagle wściekłem się na niego. – Jeśli wykopią tę wojskową trumnę, odkryją, że jest pusta. Chyba że zadałeś sobie tyle trudu, że po wyjęciu z niej chłopaka, napełniłeś ją kamieniami. A wątpię, byś to zrobił. Wiem, co się stało. Hannibal, George i Alan także to wiedzą. I ty wiesz. Majstrowałeś w tych lasach i napytałeś biedy sobie i miasteczku.

– Myślę, że znacie drogę do wyjścia – odparł. – Nie muszę się wam tłumaczyć ani usprawiedliwiać. Kiedy dostałem telegram, opuściło mnie życie. Czułem, jak ze mnie ucieka niczym szczyny po nodze. A teraz odzyskałem mojego chłopca. Nie mieli prawa mi go zabierać. Miał tylko siedemnaście lat. Tylko on mi został po jego kochanej matce. To niesprawiedliwe. Kurewsko niesprawiedliwe. Pieprzyć armię! Pieprzyć Departament Wojny! Pieprzyć Stany Zjednoczone Ameryki! I was także, chłopcy! Odzyskałem go. Wrócił. Nic więcej nie mam do powiedzenia. A teraz zabierajcie się tam, skąd przyszliście.

Jego ustami wstrząsał tik, na czoło wystąpiły wielkie krople potu. I wtedy właśnie przekonałem się, że zwariował. Mnie też doprowadziłoby to do obłędu. Życie z tym… tym stworem.

Louis czuł, że jest mu niedobrze. Wypił za szybko i za dużo. Nagły ucisk i ciężar w żołądku świadczyły wyraźnie, że wkrótce pozbędzie się całego piwa.

– Nie mogliśmy zrobić nic więcej. Już mieliśmy

odejść. Hannibal powiedział: „Bill, niech Bóg ci pomoże”. A Bill na to: „Bóg nigdy mi nie pomógł. Sam sobie pomogłem”.

I wtedy Timmy podszedł do nas. Nawet jego chód był nie taki, jak powinien, Louis. Chodził jak starzec. Unosił jedną stopę, opuszczał ją, a potem szurał nogami i unosił drugą. Zupełnie jakbyś obserwował idącego kraba. Ręce dyndały mu po bokach. A kiedy się zbliżył, widać było czerwone ślady na jego twarzy, przypominające pryszcze bądź małe oparzenia. Pewnie to tam trafiły go kule z niemieckiego karabinu maszynowego. O mało nie zdmuchnęły mu głowy.

I cuchnął grobem. Była to mroczna woń, jakby wszystko wewnątrz niego gniło, czarne i zepsute. Widziałem, jak Alan Purinton podniósł dłoń, zakrywając nos i usta. Smród był paskudny. Niemal spodziewałeś się, że zobaczysz w jego włosach wijące się robaki…

– Przestań – rzucił ochryple Louis. – Dość już słyszałem.

– Jeszcze nie – nie zgodził się Jud. W jego głosie czuć było szczerość. – Właśnie o to chodzi. Jeszcze nie słyszałeś. A nie potrafię nawet opisać tej ohydy. Nikt nie zrozumie, jak to było, jeśli sam tego nie widział. On był martwy, ale jednocześnie żył i… wiedział różne rzeczy.

– Wiedział różne rzeczy?

– Ano. Długą chwilę przyglądał się Alanowi i uśmiechał się – a przynajmniej widać było jego zęby – a potem przemówił niskim głosem, takim, że trzeba było

natężyć słuch, by go usłyszeć. Zupełnie jakby w gardle miał pełno żwiru.

– Twoja żona pieprzy się z facetem, z którym pracuje w aptece, Purinton. Co ty na to? Krzyczy, kiedy dochodzi. Co ty na to?

Alan jakby się zachłysnął. Widać było, że słowa Timmy'ego nie chybiły celu. Alan mieszka teraz w domu opieki w Gardener, a przynajmniej mieszkał, kiedy ostatnio o nim słyszałem – pewnie dobiega już dziewięćdziesiątki. Kiedy się to działo, miał jakieś pięćdziesiąt lat, i w miasteczku ludzie gadali o jego drugiej żonie. Była jego daleką kuzynką i przyjechała, by zamieszkać z Alanem i jego pierwszą żoną Lucy tuż przed wojną. No cóż, Lucy umarła, a półtora roku później Alan poślubił tę dziewczynę. Nazywała się Laurine; w chwili ślubu miała najwyżej dwadzieścia cztery lata. I, rzeczywiście, ludzie gadali. Mężczyźni nazywali ją „trochę zbyt swobodną" i tyle, ale kobiety uważały, że jest puszczalska. Może Alan też o tym myślał, bo warknął:

– Zamknij się! Zamknij się albo ci dołożę, czymkolwiek jesteś!

– Cicho już, Timmy – wtrącił Bill. Wyglądał gorzej niż kiedykolwiek. Jakby zaraz miał zwymiotować albo zemdleć, albo jedno i drugie. – Bądź cicho, Timmy.

Ale Timmy nie zwracał na niego uwagi. Obejrzał się na George'a Andersona i powiedział:

– Ten wnuk, którego tak hołubisz, czeka tylko, żebyś

umarł, starcze. Pragnie wyłącznie pieniędzy. Pieniędzy, które, jak sądzi, przechowujesz w skrytce w Banku Wschodnim w Bangor. Dlatego właśnie podlizuje ci się, ale za plecami nabijają się z ciebie razem z siostrą. Stary kuternoga – tak cię nazywają – powiedział Timmy i, Louis, jego głos… zmienił się. Zabrzmiał złośliwie. Tak jakby mówił to wnuk George'a… gdyby rzeczy, o których opowiadał Timmy, były prawdą.

Stary kuternoga! – ciągnął Timmy. – Czy nie zesrają się, kiedy odkryją, że jesteś biedny jak mysz kościelna, bo straciłeś wszystko w trzydziestym ósmym? Nie zesrają się, George? Sam powiedz.

George cofnął się. Drewniana noga ugięła się pod nim i upadł na plecy na werandę, wywracając dzbanek z piwem. Był biały jak twoja koszula, Louis.

Bill jakoś pozbierał się z miejsca i wrzasnął na chłopaka:

– Timmy, przestań! Przestań natychmiast! – Ale Timmy nie chciał przestać. Powiedział coś złego o Hannibalu, a potem coś złego o mnie, zupełnie jakby wpadł w szał. Tak, wpadł w szał. Wrzeszczał, a my zaczęliśmy się cofać, a potem biec, ciągnąc za sobą George'a. Wlekliśmy go za ręce, bo paski i sprzączki na jego sztucznej nodze poplątały się i przekręciła się na bok, tył na przód, wlokąc się po trawie. Kiedy ostatni raz widziałem Timmy'ego Batermana, stał na tylnym trawniku obok sznura na bieliznę, z twarzą czerwoną w promieniach zachodzącego słońca, wyraźnymi śladami na

skórze, potarganymi, zakurzonymi włosami… i zaśmiewał się, wrzeszcząc raz po raz: „Stary kuternoga! Stary kuternoga! I rogacz! I dziwkarz! Żegnajcie, panowie! Żegnajcie, żegnajcie!”. A potem zaczął się śmiać, ale tak naprawdę był to krzyk. Coś wewnątrz niego krzyczało i krzyczało… i krzyczało.

Jud urwał. Jego pierś gwałtownie wznosiła się i opadała.

– Jud – spytał Louis – ta rzecz, o której powiedział ci Timmy Baterman… czy była prawdziwa?

– Była prawdziwa – wymamrotał Jud. – Chryste, była prawdziwa. Czasami chadzałem do burdelu w Bangor. Nic, czego nie robiłoby wielu mężczyzn, choć przypuszczam, że wielu innych stąpa prostą drogą. Czasem ogarniało mnie pragnienie – może nawet przymus – aby zatopić swojego w obcym ciele albo zapłacić jakiejś kobiecie za rzeczy, o które nie poprosiłbym własnej żony. Mężczyźni także mają swoje tajemne ogrody. Nie było to nic strasznego i zostawiłem to już za sobą. Nie bywałem tam przez osiem, dziewięć lat. Gdyby Norma wiedziała, nie opuściłaby mnie, ale coś wewnątrz niej umarłoby na zawsze. Coś kochanego i słodkiego.

Oczy Juda były czerwone, zapuchnięte i mętne. Łzy starych ludzi są wyjątkowo nieatrakcyjne, pomyślał Louis. Kiedy jednak starzec sięgnął po dłoń Louisa, ten mocno uścisnął jego rękę.

– Powiedział nam tylko złe rzeczy – rzekł po chwili

Jud. – Tylko złe. Bóg wie, że w życiu każdego człowieka jest dość zła. Dwa czy trzy dni później żona Alana Purintona na zawsze opuściła Ludlow. Ludzie w miasteczku, którzy widzieli ją przedtem, nim wsiadła do pociągu, mówili, że miała podbite oczy i kawałek waty w nosie. Alan nigdy o niej nie wspominał. George umarł w tysiąc dziewięćset pięćdziesiątym i jeśli zostawił cokolwiek swemu wnukowi i wnuczce, to nigdy o tym nie słyszałem. Hannibal został zdjęty z urzędu z powodu czegoś, o co oskarżał go Timmy Baterman. Nie powiem ci dokładnie, co to było, nie musisz tego wiedzieć; w przybliżeniu można to określić wykorzystaniem funduszy miejskich na własne cele. Mówiono nawet o wniesieniu oskarżenia o defraudację, ale nigdy do tego nie doszło. Utrata stanowiska stanowiła dostatecznie bolesną karę. Całe życie starał się zgrywać ważniaka.

Lecz w ludziach tych było też dobro. To właśnie chcę powiedzieć. Bo o tym właśnie ludziom najtrudniej pamiętać. To przecież Hannibal założył fundusz na rzecz Szpitala Wschodniego tuż przed wojną. Alan Purinton był jednym z najhojniejszych, najbardziej szczodrych ludzi, jakich kiedykolwiek znałem. A stary George Anderson pragnął jedynie do końca życia kierować urzędem pocztowym.

Ale to chciało mówić tylko o złych rzeczach. Chciało, byśmy tylko je zapamiętali, ponieważ ono było złe. I ponieważ wiedziało, że mu zagrażamy. Timmy Baterman, który wyruszył na wojnę, był miłym, zwykłym

dzieciakiem, może nieco ograniczonym. Istota, którą ujrzeliśmy owego wieczoru, spoglądającą wprost w czerwone słońce… to był potwór. Może zombi, dybuk czy demon, może nie istnieje na niego nazwa, lecz Micmacowie wiedzieliby, czym był.

– Czym? – spytał tępo Louis.

– Czymś dotkniętym przez Wendigo – odparł beznamiętnie Jud. Odetchnął głęboko. Przez chwilę przytrzymał powietrze w płucach, po czym wypuścił je i spojrzał na zegarek.

– A niech mnie, późno już, Louis. Gadałem dziesięć razy dłużej, niż zamierzałem.

– Wątpię – nie zgodził się Louis. – Byłeś bardzo elokwentny. Powiedz mi, jak się to skończyło.

– Dwa wieczory później w domu Batermanów wybuchł pożar – oznajmił Jud. – Wszystko się spaliło. Alan Purinton twierdził, że nie było wątpliwości co do tego, iż ogień podłożono umyślnie. Cały domek spryskano ropą od krańca do krańca. Czuło się jej smród jeszcze trzy dni po zgaszeniu ognia.

– Zatem obaj spłonęli?

– Ano, spłonęli. Ale zginęli wcześniej. Timmy został dwukrotnie postrzelony w pierś z rewolweru, starego kolta, który Bill Baterman trzymał zawsze pod ręką. Znaleźli go w dłoni Billa. Oto co zrobił: zabił swego syna, położył go na łóżku, a potem rozlał ropę. Następnie usiadł na fotelu obok radia, zapalił zapałkę i wsadził sobie do ust lufę czterdziestkipiątki.

– Jezu! – westchnął Louis.

– Obaj byli mocno zwęgleni, lecz okręgowy patolog twierdził, że Timmy Baterman nie żył od dwóch do trzech tygodni.

Cisza. Długa, nieznośna cisza.

Jud wstał.

– Nie przesadzałem, kiedy mówiłem, że może zabiłem twojego chłopca, Louis, albo przynajmniej miałem w tym udział. Micmacowie znali to miejsce. Nie znaczy to jednak, że oni je stworzyli. Nie zawsze tu mieszkali. Przybyli może z Kanady, może z Rosji, może nawet z Azji, i zostali w Maine tysiąc, może dwa tysiące lat – trudno powiedzieć, bo nie odcisnęli zbyt głębokiego piętna w tej ziemi. A teraz znów odeszli… tak jak my kiedyś odejdziemy, choć podejrzewam, że nasze piętno będzie znacznie głębsze. Na dobre i na złe. Lecz miejsce to pozostanie, nieważne, kto będzie tu żył, Louis. Nikt nie jest jego właścicielem i nie może zabrać z sobą jego tajemnic, gdy odchodzi. To złe, zepsute miejsce i nie powinienem był zabierać cię tam, abyś pogrzebał kota. Teraz to wiem. Ma moc, której powinieneś się strzec, jeśli wiesz, co jest dobre dla ciebie i twojej rodziny. Nie byłem dość silny, by z nim walczyć. Ocaliłeś życie Normy i chciałem coś dla ciebie zrobić, a to miejsce wykorzystało moje dobre intencje do własnych niecnych celów. Ono ma moc… i myślę, że ta moc przechodzi fazy. Tak jak księżyc. Kiedyś osiągnęła swą pełnię i boję się, że pełnia znów nadchodzi. Lękam się, że wykorzystało mnie, aby

dotrzeć do ciebie poprzez twojego syna. Rozumiesz, do czego zmierzam, Louis? – Spojrzał na niego błagalnie.

– Twierdzisz, że to miejsce wiedziało, iż Gage umrze – odparł Louis.

– Nie. Mówię, że miejsce to mogło zabić Gage'a, bo wprowadziłem cię w zasięg jego mocy. Mówię, że mimo swych dobrych chęci mogłem zamordować twojego syna, Louis.

– Nie wierzę w to – odparł Louis po dłuższej chwili, wstrząśnięty. Nie wierzył. Nie mógł uwierzyć.

Mocno ścisnął dłoń Juda.

– Jutro pogrzebiemy Gage'a w Bangor i w Bangor zostanie. Nie zamierzam nigdy więcej chodzić na Cmętarz Zwieżąt. Ani dalej.

– Przyrzeknij mi! – rzucił szorstko Jud. – Przyrzeknij!

– Przyrzekam – odparł Louis. Lecz gdzieś w głębi jego umysłu pozostała ta myśl, tańcząca iskierka obietnicy, która nie chciała zgasnąć.

40

Nic z tego naprawdę się nie zdarzyło.

Wszystko to – grzmiąca ciężarówka Orinco, palce, które zaledwie musnęły tył kurteczki Gage'a, a potem wypuściły ją, Rachel szykująca się do wyjścia na wystawienie zwłok w szlafroku, Ellie nosząca ze sobą zdjęcie Gage'a i stawiająca jego krzesełko obok łóżka, łzy Steve'a Mastertona, bójka z Irwinem Goldmanem, upiorna opowieść Juda Crandalla o Timmym Batermanie – istniało jedynie w wyobraźni Louisa Creeda; zrodziło się w ciągu kilku sekund, które minęły, gdy ścigał roześmianego synka w stronę drogi, zanim Rachel znów krzyknęła: „Gage, wracaj! Nie biegnij!". Lecz Louis nie tracił oddechu. Wiedział, że będzie blisko, bardzo blisko. I rzeczywiście, jedna z tych rzeczy naprawdę się zdarzyła. Gdzieś z daleka słyszał ryk silnika nadjeżdżającej ciężarówki. W jego głowie otworzył się obwód pamięci i Louis usłyszał Juda Crandalla mówiącego do Rachel pierwszego dnia w Ludlow. „Powinniście pilnować ich przy tej drodze, pani Creed. To zła droga dla dzieci i zwierząt". Teraz Gage zbiegał w dół łagodnego trawiastego zbocza, przechodzącego płynnie w pobocze trasy numer 15. Jego solidne małe nóżki śmigały naprzód. Według wszystkich reguł tego świata powinien był już dawno się wywrócić, ale biegł dalej, a odgłos

nadjeżdżającej ciężarówki rozbrzmiewał coraz głośniej, niski warkot, który Louis słyszał czasem z łóżka, unosząc się na granicy snu. Wówczas wydawał mu się kojący, teraz jednak go przerażał.

Dobry Boże! Dobry Jezu! Pozwólcie mi go złapać. Nie pozwólcie mu wybiec na drogę!

Louis zdobył się na ostateczny wysiłek i skoczył, rzucając się naprzód równolegle do ziemi niczym futbolista zamierzający powalić rywala. Kątem oka widział na trawie swój cień i pomyślał o latawcu, o Sępie odciskającym swój cień na polu pani Vinton, i właśnie w chwili gdy Gage siłą rozpędu wypadł na drogę, palce Louisa musnęły plecy jego kurtki… i pochwyciły ją.

Szarpnął Gage'a w tył i w tym samym momencie wylądował na ziemi. Jego twarz wbiła się w szorstki żwir pobocza; rozbił sobie nos, a z jąder dobiegł poważniejszy rozbłysk bólu – ***rany, gdybym wiedział, że będę grał w futbol, założyłbym ochraniacz*** – lecz zarówno ból nosa, jak i przeszywające cierpienie w kroczu były niczym w obliczu wszechogarniającej ulgi na dźwięk okrzyku bólu i oburzenia Gage'a, gdy tyłek malca plasnął o ziemię i chłopczyk wywrócił się na plecy na skraju trawnika, uderzając się w głowę. W chwilę później jego płacz zagłuszył ryk przejeżdżającej ciężarówki i ogłuszające wycie klaksonu.

Louis zdołał wstać, mimo ołowianej kuli, spoczywającej w żołądku, i przytulić do siebie syna. W chwilę później dołączyła do nich Rachel, także zapłakana,

krzycząc na Gage’a: „Nigdy nie biegaj na drogę, Gage! Nigdy, nigdy, nigdy! Droga jest zła! Be!”. Gage’a tak zdumiał ów płaczliwy wykład, że sam przestał płakać i zdumiony wpatrywał się w matkę.

– Louis, leci ci krew z nosa – zauważyła, po czym objęła go tak nagle i mocno, że przez moment ledwo mógł oddychać.

– To jeszcze nie najgorsze – odparł. – Chyba się wykastrowałem, Rachel. Rany, co za ból.

A ona wybuchnęła tak histerycznym śmiechem, że przez kilka sekund przeraził się i przez jego głowę przebiegła nagła myśl: Gdyby Gage naprawdę zginął, chybaby oszalała.

Ale Gage nie zginął. Wszystko to było piekielnie wyraźnym tworem wyobraźni Louisa, który wyprzedził śmierć syna na zielonym trawniku w słoneczne majowe popołudnie.

Gage poszedł do szkoły podstawowej. W wieku siedmiu lat pierwszy raz wyjechał na obóz, gdzie wykazał się zdumiewającym talentem pływackim. Zaskoczył też dość nieprzyjemnie rodziców, udowadniając, że bez żadnych problemów potrafi znieść miesięczną rozłąkę. Kiedy skończył dziesięć lat, spędzał już całe lato w obozie Agawam w Raymond. W wieku lat jedenastu zdobył dwie niebieskie wstęgi i jedną czerwoną na maratonie pływackim czterech obozów, kończącym letnie treningi. Wyrósł na wysokiego chłopca, a przecież cały czas był tym samym Gage’em, słodkim i zaskoczonym

tym, czym obdarzał go świat… a dla Gage'a świat miał jedynie słodkie, świeże owoce.

W liceum był znakomitym uczniem i członkiem drużyny pływackiej u Jana Chrzciciela, w parafialnej szkole, którą sam sobie wybrał, bo oferowała świetne warunki młodym pływakom. Rachel była zmartwiona i oburzona, a Louis niespecjalnie zdumiony, gdy w wieku lat siedemnastu Gage oznajmił, że zamierza przejść na katolicyzm. Rachel uważała, że wszystko to wina dziewczyny, z którą wówczas się spotykał; w jego najbliższej przyszłości widziała małżeństwo („Jeśli ta mała dziwka z medalikiem świętego Krzysztofa mu nie obciąga, zjem twoje gatki, Louis" – powiedziała), ruinę planów uniwersyteckich i nadziei olimpijskich oraz dziewięcioro czy dziesięcioro małych katolików, biegających po domu, nim Gage skończy czterdziestkę. Do tego czasu (przynajmniej według Rachel) stanie się palącym cygara kierowcą ciężarówki z wydatnym brzuchem, odmawiającym zdrowaśki i ojczenaszki na drodze ku potępieniu.

Louis jednak przypuszczał, że motywy jego syna są bardziej czyste i choć Gage rzeczywiście się nawrócił (w dniu, kiedy to zrobił, Louis wysłał niezaprzeczalnie złośliwą kartkę Irwinowi Goldmanowi. Napisał na niej: „Może będziesz miał wnuka jezuitę. Twój zięć-goj Louis"), to nie poślubił dość miłej (i zdecydowanie przyzwoitej) dziewczyny, z którą spotykał się przez większość ostatniego roku. Wstąpił na Uniwersytet Johna

Hopkinsa, zakwalifikował się do olimpijskiej drużyny pływackiej i pewnego długiego, oszałamiającego, cudownego popołudnia, szesnaście lat po tym, jak Louis ścigał się z ciężarówką Orinco o życie swego syna, wraz z Rachel – która niemal całkiem posiwiała, choć ukrywała to pod płukanką – patrzyli, jak ich syn zdobywa dla Stanów Zjednoczonych złoty medal. Kiedy kamery NBC pokazały go na zbliżeniu, stojącego z odchyloną wciąż mokrą głową i otwartymi oczami, spoglądającymi ze spokojem na flagę, gdy odgrywano hymn narodowy, z wstęgą wokół szyi i złotym krążkiem leżącym na gładkiej skórze piersi, Louis rozpłakał się. Płakali oboje z Rachel.

– To chyba ukoronowanie wszystkiego – rzekł i odwrócił się, by objąć żonę. Ona jednak patrzyła na niego z rosnącą zgrozą, jej twarz starzała mu się przed oczami, jakby atakowały ją dni, miesiące i lata przepełnionego złem czasu. Dźwięk hymnu narodowego ucichł, a kiedy Louis obejrzał się na telewizor, ujrzał tam innego chłopca, czarnego chłopca z głową porośniętą gęstymi lokami, wśród których perliły się krople wody.

To ukoronowanie wszystkiego.

Korona.

Czapka.

Dobry Boże, jego czapka jest pełna krwi.

Louis obudził się o siódmej rano w zimnym, martwym świetle deszczowego poranka, ściskając w ramionach poduszkę. Każde uderzenie serca odbijało się ogłuszającym echem w jego głowie. Ból narastał i opadał,

narastał i opadał. Odbiło mu się kwasem, smakującym jak stare piwo. Jego żołądek ścisnął się boleśnie. Płakał. Poduszka była mokra od łez, jakby we śnie trafił do jednego z westernowych dramatów. Nawet kiedy spał, część umysłu znała prawdę i opłakiwała ją.

Wstał i potykając się, ruszył do łazienki, z sercem tłukącym się w piersi. Potężny kac miażdżył jego świadomość. W ostatniej chwili dotarł do toalety i zwrócił do niej większość wczorajszego piwa.

Klęczał na podłodze z zamkniętymi oczami, póki nie poczuł, że zdoła się podnieść. Na oślep znalazł dźwignię i spuścił wodę. Potem podszedł do lustra, by przekonać się, jak bardzo ma przekrwione oczy, lecz szklana tafla była zasłonięta kwadratem materiału i wtedy przypomniał sobie, jak czerpiąc ślepo z przeszłości, którą ponoć ledwie pamiętała, Rachel zakryła wszystkie lustra w domu i przed wejściem do środka zdejmowała buty.

Nie będzie olimpijskiej drużyny pływackiej, pomyślał tępo Louis, wracając do łóżka i siadając na nim. W ustach i gardle czuł kwaśny smak piwa i poprzysiągł sobie (nie po raz pierwszy i nie ostatni), że nigdy więcej nie tknie tej trucizny. Nie będzie olimpijskiej drużyny pływackiej, wysokiej średniej w college'u, małej katolickiej dziewczyny i nawrócenia, obozu Agawam. Niczego. Jego adidasy zdarte z nóżek. Bluza wywrócona na drugą stronę. Słodkie chłopięce ciałko, tak jędrne i twarde, niemal rozdarte na strzępy. Czapkę miał pełną krwi.

Teraz siedząc na łóżku w szponach kaca, gdy

deszczowe krople spływały leniwie po szybie obok niego, Louis po raz pierwszy w pełni poczuł żal i smutek, niczym falę napływającą z głębin czyśćca. Żal ten powalił go, pozbawił męskości, zniszczył wszelkie pozostałe bariery i Louis ukrył twarz w dłoniach i zapłakał, kołysząc się w przód i w tył, i myśląc, że oddałby wszystko, byle tylko mieć jeszcze jedną szansę. Absolutnie wszystko.

41

Gage został pochowany tego popołudnia o drugiej. Do tego czasu deszcz przestał padać. Postrzępione chmury wciąż wędrowały po niebie i większość żałobników miała czarne parasole, dostarczone przez przedsiębiorcę pogrzebowego.

Na prośbę Rachel pracownik domu pogrzebowego przewodzący krótkiej, niereligijnej ceremonii odczytał fragment z Ewangelii według świętego Marka, rozpoczynający się słowami: „Dopuśćcie dziatkom iść do mnie”. Louis, stojący tuż obok grobu, spojrzał przed siebie na swego teścia. Przez moment Goldman też popatrzył na niego, po czym opuścił wzrok. W jego oczach nie pozostało ani śladu woli walki; wory pod nimi przypominały torby listonosza, a wokół czarnej jedwabnej jarmułki włosy tak cienkie i białe jak poszarpana pajęczyna unosiły się targane wiatrem. Z policzkami pokrytymi szpakowatym zarostem bardziej niż kiedykolwiek przypominał starego pijaczynę. Wyglądał jak człowiek, który nie do końca wie, gdzie się znajduje. Louis próbował, lecz odkrył, że wciąż nie potrafi znaleźć dla niego litości w swym sercu.

Mała, biała trumienka Gage’a, zapewne z naprawionym zamkiem, stała na dwóch chromowanych drążkach ponad wybetonowanym dołem. Ziemię wokół

grobu wyłożono sztuczną trawą, tak jadowicie zieloną, że raniła oczy Louisa. Wokół, na plastikowej, dziwnie niestosownej powierzchni rozstawiono kosze kwiatów. Louis spojrzał ponad ramieniem przedsiębiorcy pogrzebowego i ujrzał niski pagórek pokryty grobami i kwaterami, wśród których wyróżniał się rzymski pomnik z wyrytym nazwiskiem: PHIPPS. Tuż nad ukośnym dachem grobowca Phippsów dostrzegł drobinę żółci. Przyglądał jej się z namysłem, nawet po tym, jak mistrz ceremonii powiedział: „Skłońmy więc głowy i pomódlmy się". Zabrało to kilka minut, ale w końcu zrozumiał. To była koparka. Koparka zaparkowana za wzgórzem, by żałobnicy nie musieli na nią patrzeć. A kiedy pogrzeb się skończy, Oz rozgniecie papierosa obcasem jednego ze swych wiejkich roboczych butów, schowa niedopałek w noszonym w kieszeni pudełku (na cmentarzach grabarze przyłapani na rozrzucaniu niedopałków byli niemal zawsze natychmiast zwalniani – wyglądało to źle, a poza tym zbyt wielu klientów zmarło na raka płuc), wskoczy do koparki, włączy silnik i odgrodzi jego syna od słońca – na zawsze... albo przynajmniej do dnia zmartwychwstania.

Zmartwychwstanie… To dopiero słowo…

(o którym powinieneś natychmiast zapomnieć i dobrze o tym wiesz)

Kiedy mistrz ceremonii powiedział „Amen", Louis ujął Rachel pod rękę i odprowadził ją na bok. Rachel protestowała cicho – chcę zostać nieco dłużej, proszę cię,

Louis – on jednak był stanowczy. Podeszli do samochodów. Ujrzał przedsiębiorcę pogrzebowego odbierającego żałobnikom parasole z nazwą firmy, dyskretnie wypisaną na rączkach, i przekazującego je asystentowi. Asystent ustawiał je na stojaku, wyglądającym niesamowicie i surrealistycznie na zroszonej deszczem trawie. Louis prawą ręką trzymał Rachel pod ramię, lewą ściskał dłoń Ellie, odzianą w białą rękawiczkę. Ellie miała na sobie tę samą sukienkę, którą włożyła na pogrzeb Normy Crandall.

Gdy usadowił swe panie w samochodzie, zbliżył się do nich Jud. On także wyglądał, jakby miał za sobą bardzo ciężką noc.

– Wszystko w porządku, Louis?

Louis przytaknął.

Jud schylił się i zajrzał do samochodu.

– Jak się czujesz, Rachel?

– Całkiem dobrze, Jud – szepnęła.

Starzec łagodnie pogładził jej ramię, po czym spojrzał na Ellie.

– A ty, kochanie?

– Nic mi nie jest. – Na dowód prawdziwości swych słów, Ellie wykrzywiła usta w potwornym rekinim uśmiechu.

– Co to za zdjęcie?

Przez moment Louis sądził, że córeczka zatrzyma zdjęcie, nie zechce go pokazać. Potem jednak przełamując wewnętrzny opór, podała fotografię Judowi.

Stary mężczyzna ujął ją wielkimi palcami, tak grubymi i na oko niezręcznymi, że zdawało się, iż nadają się jedynie do obsługi przekładni wielkich maszyn i przekładni na kolei – były to jednak te same palce, które ze zręcznością magika – bądź chirurga – wyjęły żądło z szyi Gage'a.

– To bardzo ładne – zauważył Jud. – Ciągniesz go na sankach. Założę się, że to lubił, prawda, Ellie?

Ellie przytaknęła i wybuchnęła płaczem.

Rachel zaczęła coś mówić, ale Louis uścisnął jej ramię – ***na razie milcz.***

– Często go ciągnęłam – wykrztusiła Ellie przez łzy – a on śmiał się i śmiał. Potem wracaliśmy do domu, mamusia przygotowywała kakao i mówiła: „Odstawcie buty", a Gage łapał je wszystkie i krzyczał: „Buty, buty!", tak głośno, że bolały nas uszy. Pamiętasz, mamo?

Rachel skinęła głową.

– O tak, założę się, że to były piękne czasy. – Jud oddał jej zdjęcie. – On już nie żyje, Ellie, ale możesz zachować po nim wspomnienia.

– Taki mam zamiar – odparła, ocierając dłonią twarz. – Kochałam Gage'a, panie Crandall.

– Wiem, kochanie.

Schylił się i ucałował ją, a kiedy się cofnął, jego martwy wzrok omiótł Louisa i Rachel. Rachel odpowiedziała zaskoczonym, nieco zranionym spojrzeniem, nie rozumiejąc, o co chodzi starcowi, ale Louis zrozumiał aż za dobrze. ***Co dla niej robicie?*** – pytały oczy Juda. ***Wasz syn nie żyje, ale córka wciąż jest***

z wami. Co dla niej robicie?

Louis odwrócił wzrok. Nic nie mógł dla niej zrobić, jeszcze nie. Będzie musiała sama radzić sobie ze swym smutkiem. On myślał głównie o synu.

42

Do wieczora niebo zasnuła świeża warstwa chmur i zerwał się zachodni wiatr. Louis nałożył lekką kurtkę, zapiął ją i zdjął z kołka na ścianie kluczyki do hondy.

– Dokąd się wybierasz, Lou? – spytała Rachel. Mówiła bez specjalnego zainteresowania. Po kolacji znów zaczęła płakać i choć nie zdradzała objawów histerii, jednocześnie nie mogła przestać. Louis zmusił ją do zażycia valium. Teraz siedziała z gazetą rozłożoną na ledwie rozpoczętej krzyżówce. W drugim pokoju Ellie w milczeniu oglądała „Domek na prerii"; na kolanach trzymała zdjęcie Gage'a.

– Pomyślałem, że skoczę na pizzę.

– Nie najadłeś się wcześniej?

– Wtedy nie byłem głodny – odparł zgodnie z prawdą, a potem dodał kłamstwo: – Teraz jestem.

Tego popołudnia pomiędzy trzecią i szóstą w domu w Ludlow odbył się ostatni rytuał pogrzebu Gage'a: rytuał jedzenia. Steve Masterton i jego żona zjawili się z zapiekanką z mielonego mięsa i makaronu. Charlton przyniosła ***quiche*** („Jeśli coś zostanie, można przechować na później – poinformowała Rachel. – ***Quiche*** bardzo łatwo się odgrzewa"). Dannikerowie z góry drogi przywieźli pieczoną szynkę. Goldmanowie – żadne z nich nie odzywało się do Louisa ani nawet nie zbliżało się do

niego, a on bynajmniej tego nie żałował – przybyli z zestawem wędlin i serów. Jud także przyniósł ser – wielki krąg swego ulubionego szczurzego jedzenia. Missy Dandridge upiekła ciasto cytrynowe, a Surrendra Hardu przywiózł jabłka. Rytuał jedzenia najwyraźniej przekraczał wszelkie bariery religijne.

To była stypa i choć panował na niej spokój, nadal jednak pozostawała przyjęciem. Pito znacznie mniej niż zwykle, ale jednak pito. Po kilku piwach (zaledwie poprzedniej nocy przysięgał, że nigdy więcej go nie tknie, lecz w zimnym popołudniowym świetle poprzednia noc wydawała się niewiarygodnie odległa) Louis wpadł na pomysł, że powtórzy kilka pogrzebowych anegdotek zasłyszanych od wuja Carla: na pogrzebach na Sycylii niezamężne kobiety czasami odcinają kawałek całunu i sypiają z nim pod poduszką, wierząc, że przyniesie im to szczęście w miłości; w Irlandii na pogrzebach często urządza się śluby na niby, a wielkie palce u nogi zmarłych wiąże się z powodu starego celtyckiego przesądu, że nie pozwala to powstać duchom. Wujek Carl twierdził, że zwyczaj przywiązywania do palców u nóg zmarłych karteczek identyfikacyjnych zrodził się w Nowym Jorku, a że w dawnych czasach w kostnicach pracowali wyłącznie Irlandczycy, uważał, że to pozostałość starego przesądu. Jednakże patrząc na twarze zebranych, Louis uznał, że historyjki te mogłyby nie zostać przyjęte zbyt dobrze.

Rachel załamała się tylko raz i matka natychmiast

pośpieszyła ją pocieszyć. Rachel przywarła do Dory Goldman i zaczęła szlochać jej na ramieniu z bezbronną otwartością, której nie potrafiła okazać przy Louisie – może dlatego, że uważała, iż oboje odpowiadają za śmierć Gage'a, albo może Louis, zagubiony w dziwacznym półświecie własnych fantazji, nie zachęcał jej do tego. W każdym razie zwróciła się o pociechę do matki i Dory udzieliła jej wsparcia, łącząc swe łzy z łzami córki. Irwin Goldman trzymał rękę na ramieniu Rachel i triumfalnie patrzył na stojącego w drugim kącie Louisa.

Ellie krążyła po pokoju ze srebrną tacą wyładowaną małymi kanapeczkami, bułkami przebitymi pierzastymi wykałaczkami. Zdjęcie Gage'a ściskała pod pachą.

Louis przyjmował kondolencje, kiwał głową i dziękował kolejnym żałobnikom, a jeśli nawet jego oczy wydawały się odległe, a zachowanie nieco chłodne, ludzie sądzili, że myślał o przeszłości, o wypadku, o czekającym ich życiu bez Gage'a. Nikt (nawet Jud) nie przypuszczałby, że Louis zaczyna właśnie obmyślać strategię rabowania grobów… oczywiście tylko czysto teoretycznie, nie żeby zamierzał cokolwiek zrobić, to tylko sposób na zajęcie czymś umysłu.

Nie żeby zamierzał cokolwiek zrobić.

Louis wpadł do sklepu w Orrington, kupił dwa sześciopaki zimnego piwa i zadzwonił do „Napoli", by zamówić pizzę z pieczarkami i pepperoni.

– Zechce pan podać nazwisko?

Oz Wiejki i Wsaniały – pomyślał Louis.

– Lou Creed.

– Okay, Lou, jesteśmy dosyć zajęci, dlatego potrwa to około czterdziestu pięciu minut. W porządku?

– Jasne – odrzekł Louis i odwiesił słuchawkę. Gdy wrócił już do hondy i włączył silnik, uświadomił sobie nagle, że choć w okolicy Bangor można znaleźć dwadzieścia pizzerii, on wybrał tę najbliższą cmentarza Pleasantview, na którym pochowali Gage'a. I co z tego, do diabła! – pomyślał niespokojnie. – Robią tu dobrą pizzę, z niemrożonego ciasta. Wyrzucają je w powietrze i łapią na oczach klientów, a Gage tak bardzo się śmiał…

Natychmiast odsunął tę myśl.

Wyminął „Napoli" i pojechał na cmentarz. Przypuszczał, że od początku wiedział, iż tak postąpi, ale to przecież nikomu nie szkodziło, prawda? Nikomu.

Zaparkował po drugiej stronie ulicy i przeszedł do bramy z kutego żelaza, połyskującego w ostatnim gasnącym świetle dnia. Nad jego głową, wpisany w półokrąg, widniał złożony z kutych żelaznych liter napis: PLEASANTVIEW. Przyjemny widok. W opinii Louisa widok nie był ani przyjemny, ani nieprzyjemny. Cmentarz leżał na kilku ładnych, niskich wzgórzach, między którymi rozciągały się wysadzane drzewami alejki (w ostatnich chwilach gasnącego dnia cienie owych drzew stawały się głębokie, czarne i nieprzyjazne niczym nieruchoma woda w gliniance). Wokół rosło kilka samotnych płaczących wierzb. Bynajmniej nie panowała tu cisza. Niedaleko przebiegała autostrada – lodowaty

wiatr niósł z sobą nieustanny szum silników – a łuna na ciemniejącym niebie należała do międzynarodowego lotniska w Bangor.

Sięgnął dłonią ku bramie, myśląc: „będzie zamknięta”, ale nie była. Może nie nadeszła jeszcze pora zamykania cmentarza, a jeśli nawet to robiono, to wyłącznie dla ochrony przed pijakami, wandalami i młodymi parkami. Dni Dickensowskich Złodziei Zmartwychwstania

(znowu to słowo)

minęły. Prawe skrzydło bramy z cichutkim zgrzytem otwarło się do środka i Louis, obejrzawszy się przez ramię, by się upewnić, że nikt go nie obserwuje, wszedł za nim. Zamknął za sobą bramę i usłyszał szczęk zatrzasku.

Przez chwilę stał bez ruchu na skromnych przedmieściach śmierci, rozglądając się dokoła.

Samotne, piękne miejsce, pomyślał, lecz nikt, jak sądzę, objąć się tu nie chce. Kto to? Andrew Marvell? I czemu ludzki umysł przechowuje równie zdumiewające strzępy bezużytecznych śmieci?

Wówczas w jego głowie przemówił głos Juda, niespokojny i – przerażony? Tak, przerażony.

Louis, co ty robisz? Spoglądasz na drogę, na którą nie chciał byś wstąpić.

Odepchnął od siebie ów głos. Jeśli nawet torturował kogokolwiek, to jedynie samego siebie. Nikt nie musiał wiedzieć, że znalazł się tu, gdy ciemność pochłania

ostatnie światło dnia.

Ruszył powoli w stronę grobu Gage'a, wybierając jedną z krętych ścieżek. Po sekundzie znalazł się w zadrzewionej alejce. Nad jego głową tajemniczo szumiały młode wiosenne liście. Serce donośnie tłukło mu się w piersi. Groby i pomniki ustawiono w nierównych rzędach. Gdzieś w głębi musiał znajdować się budynek dozorcy, a na nim mapa dwudziestu akrów Pleasantview, starannie i rozsądnie podzielonych na kwadranty. W każdym z nich wyróżniono zajęte groby i niesprzedane kwatery. Majątki ziemskie na sprzedaż. Jednopokojowe mieszkania. Sypialnie.

Nie przypomina to Cmętarza Zwieżąt. Myśl ta sprawiła, że zatrzymał się i zastanowił przez moment zaskoczony. Rzeczywiście, Cmętarz Zwieżąt sprawiał wrażenie porządku, wyłaniającego się niemal nieświadomie z chaosu. Te prymitywne, koncentryczne, malejące kręgi. Proste nagrobki. Zbite z desek krzyże. Zupełnie jakby dzieci grzebiące tam zwierzęta ze swej zbiorowej podświadomości stworzyły pewien wzór. Jakby…

Przez moment Louis ujrzał Cmętarz Zwieżąt jako coś w rodzaju reklamy… zachęty, niczym ta w alejce dziwolągów w lunaparku. Właściciele wyprowadzali na nią połykacza ognia, którego można było obejrzeć za darmo, bo tamci wiedzieli, że nie kupi się steku, nie czując zapachu, nie wyda gotówki, nie widząc, na co idzie.

Te groby. Groby tworzące niemal druidyczne kręgi.

Groby na Cmętarzu Zwieżąt odtwarzały najstarszy symbol religijny świata: malejące kręgi oznaczające spiralę, zmierzającą nie do punktu, lecz do nieskończoności; porządek z chaosu, bądź chaos z porządku, w zależności od tego, w którą stronę patrzeć. Był to symbol, który Egipcjanie rzeźbili na grobowcach faraonów, znak kreślony przez Fenicjan na kopcach ich poległych królów; znajdowano go na ścianach jaskiń w starożytnych Mykenach. Królowie Stonehenge stworzyli je na jego podobieństwo jako zegar odmierzający czas wszechświata. Pojawiał się w chrześcijańskiej Biblii pod postacią wiru, z którego Bóg przemówił do Hioba.

Spirala stanowiła najstarszą oznakę mocy tego świata – najstarszy ludzki symbol, przedstawiający kręty most, łączący świat i Otchłań.

W końcu Louis dotarł do grobu Gage'a. Koparka zniknęła. Sztuczna trawa została zdjęta, zwinięta przez jakiegoś pogwizdującego robotnika, który myślał już tylko o popołudniowej wyprawie na piwo. W miejscu, gdzie leżał Gage, widniał równiutki prostokąt nagiej, zagrabionej ziemi, liczący metr na półtora. Nie ustawiono jeszcze nagrobka.

Louis ukląkł. Wiatr targał mu włosy, unosił je. Niebo było już niemal całkiem czarne; pędziły po nim chmury. Nikt nie zaświecił mu w twarz latarką i nie spytał, co tu robi. Nie warknął żaden pies. Brama była otwarta. Dni Złodziei Zmartwychwstania minęły. ***Gdybym przybył tu z***

kilofem i szpadlem…

Wzdrygnął się gwałtownie, otrząsając się z owych myśli. Jeśli sądził, że w nocy Pleasantview także jest niestrzeżone, to oszukiwał samego siebie. Przypuśćmy, że dozorca bądź strażnik zaskoczy go po pas w świeżym grobie syna. Być może wiadomość nie dostanie się do gazet, ale możliwe, że się dostanie. Mogliby go oskarżyć o popełnienie przestępstwa. Jakiego przestępstwa? Rabowania grobów? Mało prawdopodobne. Prędzej już rozmyślnego wandalizmu bądź czynów chuligańskich. Ale niezależnie od gazet, wieści szybko się rozejdą. Ludzie będą gadać. To zbyt pikantna historyjka, by jej nie powtórzyć. Miejscowy lekarz przyłapany na rozkopywaniu grobu dwuletniego synka, zabitego niedawno w tragicznym wypadku drogowym. Straciłby pracę. Nawet jeśli nie, podobne historie zmroziłyby Rachel do szpiku kości, a Ellie znienawidziłaby szkołę, prześladowana nieustannymi przytykami innych dzieci. W zamian za niepostawienie zarzutów musiałby może zgodzić się na poniżające testy psychologiczne.

Ale mógłbym przywrócić Gage'owi życie. Gage mógłby znów żyć!

Czy naprawdę w to wierzył?

Owszem. Wielokrotnie, zarówno przed śmiercią Gage'a, jak i po niej, powtarzał sobie, że Church tak naprawdę nie zginął. Został jedynie ogłuszony. Church wykopał się z ziemi i wrócił do domu. Ot, dziecięca bajeczka z upiornymi podtekstami – taki Kubuś

Rozpruwacz. Pan nieświadomie usypuje stos kamieni nad ciałem nieżywego zwierzęcia. Wierne stworzenie wykopuje się i wraca do domu. Świetnie. Tyle że to nieprawda. Church nie żył. Cmentarzysko Micmaców przywróciło mu życie.

Louis siedział obok grobu Gage'a, próbując ułożyć wszystkie znane elementy tak racjonalnie i logicznie, jak tylko pozwalała mu na to owa mroczna magia.

Najpierw Timmy Baterman. Po pierwsze, czy wierzył w tę historię? A po drugie, czy czyniła ona jakąkolwiek różnicę?

Mimo że było to wysoce niewygodne, wierzył w większość historii Timmy'ego. Nie da się zaprzeczyć, że jeśli miejsce takie jak cmentarzysko Micmaców istniało (a istniało) i jeśli ludzie o nim wiedzieli (a kilku starszych mieszkańców Ludlow niewątpliwie wiedziało), wcześniej czy później ktoś spróbowałby tego dokonać. W opinii Louisa ludzka natura zawsze była taka sama i trudno uwierzyć, by dysponując takim miejscem, ludzie ograniczyli się jedynie do domowych zwierzątek i cennych okazów hodowlanych.

W porządku zatem. Czy wierzył też, że Timmy Baterman zmienił się we wszechwiedzącego demona? To było znacznie trudniejsze pytanie i musiał odpowiedzieć na nie ostrożnie, bo nie chciał w to uwierzyć, a wiedział, jak nastawienie wpływa na interpretację faktów.

Nie. Nie chciał wierzyć, że Timmy Baterman stał się demonem, lecz nie mógł – absolutnie nie mógł pozwolić,

by pragnienia wpłynęły na jego osąd.

Louis pomyślał o byku Hanrattym. Hanratty – mówił Jud – stał się złośliwy. Podobnie na swój sposób Timmy Baterman. Hanratty został później „wyeliminowany” przez tego samego człowieka, który wcześniej zdołał jakoś zawlec zwłoki byka na saniach na cmentarzysko Micmaców. Timmy Baterman został wyeliminowany przez ojca.

Lecz czy fakt, iż Hanratty stał się zły, oznaczał, że wszystkie zwierzęta stały się złe? Nie. Byk Hanratty nie potwierdzał reguły. W istocie stanowił od niej wyjątek. Spójrzmy na inne zwierzęta – psa Juda, Spota; papużkę starej kobiety; nawet Churcha. Wszystkie powróciły odmienione i za każdym razem zmiana była wyraźna i dostrzegalna. Lecz przynajmniej w przypadku Spota nie okazała się tak wielka, by Jud nie polecił owego procesu wskrzeszania

(zmartwychwstania)

tak, zmartwychwstania, przyjacielowi wiele lat później. Oczywiście potem próbował się usprawiedliwiać, ględził bez ładu i składu, wyrzucając z siebie mnóstwo złowieszczych, bezsensownych bzdur, których nie dałoby się nawet nazwać filozofią.

Jak mógł odrzucić dostępną mu szansę – jedną niewiarygodną szansę – wyłącznie na podstawie historii Timmy’ego Batermana? Jedna jaskółka nie czyni wiosny.

Dobierasz dowody tak, by potwierdzały wniosek, do którego dążysz, zaprotestował jego umysł. Powiedz

przynajmniej prawdę co do zmiany, jaka zaszła w Gage'u. Nawet jeśli odrzucisz zwierzęta – myszy i ptaki – to co z nim samym? Jest otępiały… to chyba najlepsze określenie. Podsumowuje wszystko. Pamiętasz dzień, gdy puszczaliście latawiec? Pamiętasz, jaki był wtedy Gage? Tryskający energią, pełen życia, reagował na wszystko wokół. Czy nie lepiej takiego zapamiętać? Chcesz wskrzesić zombi rodem z filmów grozy klasy B? Albo może coś tak zwyczajnego jak niedorozwinięte dziecko? Chłopczyka, który je palcami i patrzy tępo w obrazki na ekranie telewizora, który nigdy nie nauczy się nawet podpisywać? Co mówił Jud o swoim psie? „Zupełnie jakbym mył kawał mięsa". Tego właśnie chcesz? Kawałka mięsa? A nawet jeśli się tym zadowolisz, jak wyjaśnisz powrót syna z martwych żonie, córce, Steve'owi Mastertonowi, światu? Co się stanie, gdy Missy Dandridge pierwszy raz skręci na podjazd i ujrzy Gage'a jeżdżącego po podwórku na rowerze? Słyszysz jej krzyki, Louis? Widzisz, jak ryje paznokciami twarz? Co powiesz dziennikarzom? Co powiesz, kiedy ekipa z programu „Prawdziwi ludzie" zjawi się na twym progu, by nakręcić zmartwychwstałe dziecko?

Czy wszystko to miało jakiekolwiek znaczenie, czy też było jedynie głosem jego tchórzostwa? Czy wierzył, że nie da sobie z tym rady? Że Rachel może powitać swego martwego syna inaczej niż łzami radości?

Owszem, przypuszczał, iż istnieje duże prawdopodobieństwo, że Gage mógłby wrócić… cóż…

pomniejszony. Ale czy to zmieniłoby jego miłość? Rodzice kochają dzieci, które chorują na wodogłowie, zespół Downa, autyzm. Kochają dzieci od urodzenia niewidome, bliźnięta syjamskie, dzieci przychodzące na świat z beznadziejnie splątanymi wnętrznościami. Rodzice błagają sądy i władze o łaskę dla dzieci, które wyrosły na gwałcicieli i morderców, które torturują niewinnych.

Czy naprawdę wierzył, że nie zdoła nadal kochać Gage'a, nawet jeśli ten do ósmego roku życia będzie nosił pieluchy, do dwunastego nie opanuje elementarza, a może nawet wcale go nie opanuje? Miałby porzucić swego syna? Uznać go za przypadek boskiej aborcji, skoro istniało inne wyjście?

Ale, Louis, mój Boże, nie żyjesz przecież w próżni! Ludzie powiedzą…

Z gniewem odrzucił od siebie tę myśl. Ze wszystkich rzeczy, których nie powinien teraz rozważać, najmniej ważna była chyba opinia ludzka.

Louis zerknął na zagrabioną ziemię grobu Gage'a i poczuł nagłą falę grozy. Nieświadomie, poruszając się niezależnie od woli, jego palce nakreśliły na ziemi wzór – serię koncentrycznych kół. Narysował spiralę.

Obiema dłońmi zatarł rysunek, a potem pośpiesznie opuścił Pleasantview, czując się jak intruz i wierząc, że w każdej chwili może zostać dostrzeżony, zatrzymany i przesłuchany.

Spóźnił się po odbiór pizzy i choć czekała na niego na

piecu, zdążyła już niemal całkiem wystygnąć i przesiąknąć tłuszczem. Smakowała mniej więcej jak gotowana glina. Louis zjadł jeden kawałek, a potem, w drodze powrotnej do Ludlow, wyrzucił resztę przez okno samochodu wraz z pudełkiem. Zazwyczaj nie lubił śmiecić, nie chciał jednak, by Rachel ujrzała w koszu niezjedzoną pizzę. Mogłaby wówczas uznać, że to nie posiłek sprowadził go tego wieczoru do Bangor.

Teraz Louis zaczynał myśleć o czasie i warunkach.

Czas. Czas mógł mieć ogromne, wręcz kluczowe znaczenie. Timmy Baterman nie żył już dość długo, nim ojciec zdołał zanieść jego ciało na cmentarzysko Micmaców. ***Timmy został zastrzelony piętnastego… Pogrzebano go, nie dam głowy, ale chyba dwudziestego drugiego lipca. Cztery czy pięć dni później Marjorie Washburn… ujrzała Timmy'ego idącego drogą.***

W porządku. Powiedzmy, że Bill Baterman zrobił to cztery dni po pierwszym pogrzebie syna… Nie. Jeśli miał popełnić błąd, to lepiej zachować nadmierną ostrożność. Powiedzmy, trzy dni. Przyjmijmy, że Timmy Baterman powstał z martwych dwudziestego piątego lipca. To oznaczało dziesięć dni pomiędzy śmiercią chłopca a jego powrotem. I to wedle bardzo ostrożnych szacunków. Równie dobrze mogło minąć nawet dwanaście dni. Dla Gage'a na razie upłynęły cztery. Stracił już nieco czasu. Jednak wciąż mógł wyprzedzić o połowę Billa Batermana. Jeśli…

Jeśli zdoła osiągnąć warunki podobne do tych, które

umożliwiły wskrzeszenie Churcha. Bo Church zginął przecież w najlepszym możliwym momencie, nieprawdaż? Kiedy Church wpadł pod ciężarówkę, jego rodzina była w Chicago. Nikt o niczym nie wiedział. Poza nim samym i Judem.

Jego rodzina była w Chicago.

W umyśle Louisa ostatni kawałek układanki z cichym szczękiem zaskoczył na miejsce.

– Chcesz, żebyśmy co zrobiły? – spytała Rachel, patrząc na niego ze zdumieniem.

Była za kwadrans dziesiąta. Ellie poszła już do łóżka. Rachel, sprzątnąwszy pozostałości stypy (słowo to kryło w sobie wewnętrzną sprzeczność, połączenie smutku i zabawy, lecz nie istniało inne określenie na to, co robili owego popołudnia), zażyła jeszcze jedno valium i od jego powrotu z Bangor sprawiała wrażenie oszołomionej i wyciszonej… ale to do niej dotarło.

– Żebyś wróciła do Chicago z matką i ojcem – powtórzył cierpliwie Louis. – Odlatują jutro. Jeśli natychmiast zadzwonisz do nich i do Delty, może zdołasz dostać bilety na ten sam samolot.

– Louis, oszalałeś? Po twojej bójce z ojcem…

Louis odkrył, że przemawia szybko, zręcznie i gładko, co było u niego zupełnie niezwykłe. Poczuł tanie podniecenie, jak zawodnik, który nagle chwycił piłkę i zdołał przebiec aż za linię końcową, przemykając się pomiędzy stoperami drużyny przeciwnej z łatwością, trafiającą się raz w życiu. Nigdy nie umiał dobrze kłamać

i nie zaplanował szczegółowo tej rozmowy. Teraz jednak z jego ust wylewał się gładki strumień prawdopodobnych kłamstewek, półprawd i przekonujących argumentów.

– Nasza bójka to jeden z powodów, dla których chcę, abyście z nimi pojechały. Czas, abyśmy zaleczyli tę ranę, Rachel. Wiedziałem to… czułem… wtedy w sali pogrzebowej. Kiedy zaczęła się bójka, próbowałem się pogodzić.

– Ale ten wyjazd… Nie sądzę, żeby był to dobry pomysł, Louis. Potrzebujemy ciebie, a ty potrzebujesz nas. – Z powątpiewaniem zmierzyła go wzrokiem. – Przynajmniej taką mam nadzieję. Żadne z nas nie ma dość sił, by…

– Nie ma dość sił, by tu zostać – powiedział z naciskiem Louis. Miał wrażenie, jakby ogarniała go gorączka. – Cieszę się, że mnie potrzebujesz. Ja także potrzebuję ciebie i Ellie. Ale w tej chwili ten dom to dla ciebie najgorsze miejsce na świecie. Gage jest tu wszędzie, w każdym kącie. Dla ciebie i dla mnie jest to dość okropne, ale myślę, że jeszcze gorzej znosi to Ellie.

Dostrzegł w jej oczach błysk bólu i zrozumiał, że do niej dotarł. Część jego umysłu czuła wstyd z powodu tego taniego zwycięstwa. We wszystkich podręcznikach traktujących o śmierci pisano, że pierwszy impuls nakazuje pogrążonym w żałobie członkom rodziny wyjechać z miejsca, w którym się to stało… i że poddanie się temu impulsowi może być najgorszym możliwym rozwiązaniem, bo pozwala na wątpliwy luksus

niepogodzenia się z nową rzeczywistością. Książki twierdziły, że najlepiej jest zostać na miejscu, zwalczać ból na jego terenie, póki w końcu nie zamieni się we wspomnienia. Lecz Louis nie odważyłby się przeprowadzić swego doświadczenia w obecności rodziny. Musiał się ich pozbyć. Przynajmniej na jakiś czas.

– Wiem – powiedziała. – Tylko że to… po prostu dopada cię w każdej chwili. Kiedy byłeś w Bangor, przesunęłam kanapę – sądziłam, że jeśli poodkurzam, przestanę myśleć… o różnych rzeczach – i znalazłam pod nią cztery matchboxy Gage'a… jakby czekały tam na jego powrót… żeby, no wiesz, pobawił się nimi. – Jej głos, już i tak drżący, teraz się załamał. Po policzkach popłynęły łzy. – I wtedy zażyłam drugie valium, bo znów zaczęłam płakać, tak jak teraz. Cóż to za tani pieprzony melodramat… Przytul mnie, Lou. Przytul.

Przytulił ją zatem, i to mocno. Czuł się jednak jak intruz. Jego umysł szukał sposobów, jak wykorzystać jej łzy dla siebie. ***Miły z ciebie facet, nie ma co. „Hey-ho, let's go".***

– Ile to będzie trwało? Czy kiedykolwiek się skończy? Gdybyśmy tylko mogli odzyskać go z powrotem, Louis. Przysięgam, że lepiej bym go pilnowała. Nigdy by do tego nie doszło. A fakt, że kierowca jechał za szybko, nie zwalnia mnie – nas – od odpowiedzialności. Nie wiedziałam, że istnieje taki ból, taka jest prawda, wciąż przychodzi i przychodzi, i tak bardzo boli, Louis, nie

można od niego odpocząć, nawet kiedy śpisz, bo gdy zasypiam, śnię o tym raz po raz, widzę, jak biegnie w stronę drogi…

i krzyczę na niego…

– Ciiii – szepnął. – Ciiii, Rachel.

Uniosła ku niemu opuchniętą twarz.

– Nie był nawet niegrzeczny, Louis. Traktował to jak zabawę… ciężarówka zjawiła się w najgorszym momencie… a Missy Dandridge zadzwoniła, kiedy wciąż jeszcze płakałam i powiedziała, że przeczytała w „American" z Ellsworth, że kierowca próbował się zabić.

– Co?

– Próbował powiesić się w garażu. Jest w szoku i głębokiej depresji, tak przynajmniej pisali w gazecie…

– Cholerna szkoda, że mu się nie udało! – rzucił wściekle Louis, lecz w jego własnych uszach głos zabrzmiał odlegle. Poczuł nagły dreszcz. ***To miejsce ma moc, Louis… kiedyś osiągnęło swą pełnię i boję się, że pełnia znów nadchodzi.*** – Mój syn nie żyje, a on wyszedł za kaucją tysiąca dolarów i będzie miał depresję i skłonności samobójcze, póki jakiś sędzia nie odbierze mu prawa jazdy na dziewięćdziesiąt dni i nie ukarze śmieszną grzywną.

– Missy mówi, że jego żona zabrała dzieci i odeszła – powiedziała tępo Rachel. – Nie przeczytała tego w gazecie, lecz usłyszała od kogoś, kto zna kogoś w Ellsworth. Nie był pijany. Nie zażywał narkotyków. Nigdy wcześniej nie przekraczał prędkości. Mówił, że

kiedy dotarł do Ludlow, coś kazało mu nacisnąć gaz do dechy. Twierdzi, że nie wie dlaczego. I tak to się kręci.

Coś kazało mu nacisnąć gaz do dechy.

To miejsce ma moc…

Louis odrzucił od siebie te myśli. Łagodnie ścisnął rękę żony.

– Zadzwoń do matki i ojca. Zrób to teraz. Nie ma potrzeby, byście spędziły z Ellie w tym domu jeszcze jeden dzień. Ani jednego dnia więcej.

– Nie bez ciebie – odparła. – Louis, chcę… zależy mi, żebyśmy byli razem.

– Pojadę za wami za trzy, najwyżej cztery dni. – Jeśli wszystko pójdzie dobrze, za czterdzieści osiem godzin Rachel i Ellie wrócą. – Muszę znaleźć kogoś, kto zastąpi mnie na uczelni, przynajmniej na jakiś czas. Mam jeszcze zwolnienie, a wkrótce zaczynają się wakacje, ale nie chcę zostawić Surrendry samego. Jud może pilnować domu podczas naszej nieobecności, lecz chciałbym odciąć prąd i przechować nasze zapasy gdzieś w zamrażarce. Może u Dandridge'ów.

– Szkoła Ellie…

– Do diabła z nią. Za trzy tygodnie i tak się kończy. Biorąc pod uwagę okoliczności, myślę, że zrozumieją i pozwolą jej skończyć wcześniej. Wszystko się ułoży…

– Louis?

Urwał.

– Co?

– Co ty ukrywasz?

– Ukrywam? – Spojrzał na nią otwarcie, szczerze. – Nie wiem, o czym mówisz.

– Naprawdę?

– Nie, nie wiem.

– Nieważne. Zaraz do nich zadzwonię… jeśli naprawdę tego chcesz.

– Tak – odparł i słowo to zadźwięczało stalowym echem w jego umyśle.

– Może tak będzie najlepiej… dla Ellie. – Popatrzyła na niego zaczerwienionymi od płaczu oczami, wciąż jeszcze lekko zamglonymi po valium. – Wyglądasz, jakbyś miał gorączkę, Louis. Jakbyś czym się zaraził.

Zanim Louis zdążył odpowiedzieć, podeszła do telefonu i wykręciła numer motelu, w którym zatrzymali się jej rodzice.

Goldmanów niezwykle uradowała propozycja Rachel. Przyjęli ją z pełnym entuzjazmem. Znacznie mniej zachwyciła ich wiadomość, iż Louis dołączy do nich za trzy–cztery dni. Lecz oczywiście w ostatecznym rozrachunku nie będą musieli się tym przejmować. Louis nie miał najmniejszego zamiaru lecieć do Chicago. Przypuszczał, że jeśli coś może przeszkodzić mu w jego zamiarach, to problem z tak późnym dokonaniem rezerwacji, ale tu także dopisało mu szczęście. Delta wciąż jeszcze miała bilety na lot z Bangor do Cincinnati. Szybkie pytanie ujawniło dwie odwołane rezerwacje na samolot z Cincinnati do Chicago. Oznaczało to, iż Rachel i Ellie będą mogły podróżować z Goldmanami tylko do

Cincinnati; do Chicago dotrą w niecałą godzinę po nich.

Zupełnie jak czary, pomyślał Louis, odwieszając słuchawkę, i głos Juda w jego głowie odpowiedział natychmiast: Kiedyś osiągnęła swą pełnię i boję się…

Och, spierdalaj – odpowiedział brutalnie, zwracając się do głosu Juda. W ciągu ostatnich dziesięciu miesięcy nauczyłem się akceptować wiele dziwnych rzeczy, mój poczciwy, stary przyjacielu – gdybyś powiedział mi kiedyś choćby połowę z nich, mój umysł chyba załamałby się pod ciężarem, ale czy mam uwierzyć, że nawiedzony skrawek ziemi potrafi wpływać na rezerwację biletów lotniczych? Nie sądzę.

– Muszę się spakować – oznajmiła Rachel. Popatrzyła na informację o lotach, które Louis zanotował na kartce obok telefonu.

– Weź tylko jedną dużą walizkę – powiedział.

Spojrzała na niego zaskoczona, szeroko otwierając oczy.

– Dla nas obu? Louis, żartujesz?

– W porządku, zabierz jeszcze do tego dwie torby, ale nie męcz się pakowaniem kompletnych strojów na następne trzy tygodnie – rzekł, myśląc: Zwłaszcza że niedługo możesz wrócić do Ludlow. – Weź tyle, żeby starczyło na tydzień, góra dziesięć dni. Masz książeczkę czekową i karty kredytowe. Kup wszystko, czego będziecie potrzebowały.

– Ale nie stać nas na… – zaczęła powątpiewająco. Teraz wątpiła we wszystko. Ustępliwa, łatwo poddawała

się sugestiom. Przypomniał sobie jej chłodną, oderwaną uwagę o winnebago, którego kiedyś mgliście planował kupić.

– Mamy pieniądze – uciął.

– No cóż, przypuszczam, że w razie potrzeby możemy wykorzystać fundusz Gage'a na studia, choć trzeba kilku dni, by zamknąć rachunek, a potem tygodnia, żeby zrealizować czek.

Jej twarz znów zaczęła krzywić się i rozpływać, Louis objął żonę. Ona ma rację; to cały czas boli, nigdy nie ustępuje.

– Rachel, przestań – szepnął. – Nie płacz.

Ale oczywiście zapłakała – musiała.

Kiedy była na górze i pakowała rzeczy, zadzwonił telefon. Louis rzucił się ku niemu, myśląc, że to pewnie ktoś z biura Delty z wiadomością, że popełniono błąd i nie da się załatwić rezerwacji. ***Powinienem był wiedzieć, że wszystko idzie zbyt łatwo.***

Ale to nie było biuro Delty, tylko Irwin Goldman.

– Zaraz zawołam Rachel – oznajmił Louis.

– Nie. – Długą chwilę w słuchawce panowała cisza. ***Pewnie siedzi tam i próbuje zdecydować, jakimi wyzwiskami obrzucić mnie najpierw.***

Gdy Goldman znów się odezwał, w jego głosie brzmiało napięcie. Wyglądało to, jakby wyrzucał z siebie słowa, zmagając się z potężnym oporem wewnętrznym.

– To z tobą chcę porozmawiać. Dory chciała, żebym zadzwonił i przeprosił za moje… za moje zachowanie.

Chyba… Louis, chyba ja też chcę ciebie przeprosić.

Ależ Irwin! Jakież to miłe z twojej strony! Mój Boże, z wrażenia zsikałem się w gacie!

– Nie musisz przepraszać – odparł Louis. Jego głos brzmiał sucho i mechanicznie.

– To, co zrobiłem, było niewybaczalne – oznajmił Goldman. Teraz nie wyrzucał z siebie słów, raczej je wypluwał. – Twoja propozycja, by Rachel i Ellie przyjechały do nas, sprawiła, że ujrzałem, jak bardzo jesteś wielkoduszny… a ja mały.

W tych słowach kryło się coś znajomego, coś niezwykle znajomego…

I wtedy Louis zrozumiał; jego usta ściągnęły się w nagłym grymasie, jakby ugryzł właśnie świeżą soczystą cytrynę. Rachel zwykle mawiała pokornie – całkowicie odruchowo i nieświadomie, tego był pewien – „Louis, przepraszam, że byłam taką suką”, po tym, jak jej sucze zachowanie załatwiało już coś, czego naprawdę pragnęła. Oto ten sam głos, pozbawiony wesołości i energii Rachel, lecz mimo wszystko ten sam, mówiący: „Przykro mi, że byłem takim sukinsynem, Louis”.

Stary człowiek odzyskiwał córkę i wnuczkę. Uciekały z Maine do domu, do taty. Dzięki Delcie i United wracały tam, gdzie ich miejsce, tam gdzie chciał je widzieć Irwin Goldman. Teraz mógł sobie pozwolić na wielkoduszność. Z punktu widzenia starego Irwina, zwyciężył. ***Zapomnijmy więc, że cię uderzyłem nad ciałem twojego martwego syna, Louis, i że kopnąłem cię, kiedy leżałeś***

na ziemi, i że zrzuciłem trumnę z kozłów tak, że otworzyła się, byś mógł zobaczyć – albo przynajmniej tak ci się zdawało – po raz ostatni rękę swojego dziecka. Zapomnijmy o tym wszystkim. Przeszłość to przeszłość.

Może to zabrzmi strasznie, Irwin, ty stary pryku, ale życzyłbym ci, żebyś w tej sekundzie padł trupem, gdyby nie przeszkodziło mi to w mych planach.

– Już w porządku, panie Goldman – rzekł spokojnie. – To był… cóż, pełen emocji dzień dla nas wszystkich.

– To nie było w porządku – upierał się Goldman i Louis pojął – choć wcale tego nie pragnął – że tamten nie zachowuje się dyplomatycznie, nie tylko mówi, że przeprasza za to, iż był takim sukinsynem, teraz, kiedy wreszcie wyszło na jego. Jego teść prawie płakał i mówił z powolnym, drżącym napięciem. – To był dla nas wszystkich straszliwy dzień. Przeze mnie. Przez głupiego, upartego starca. Zraniłem moją córkę, w chwili gdy najbardziej potrzebowała mojej pomocy… zraniłem też ciebie, a może i ty potrzebujesz mojej pomocy, Louis. Fakt, że to zrobiłeś… zachowałeś się w ten sposób… po tym, co zrobiłem… sprawia, że czuję się jak śmieć, Louis. I chyba powinienem się tak czuć.

Boże, niech on przestanie, niech przestanie, zanim zacznę na niego krzyczeć i wszystko zrujnuję.

– Rachel pewnie ci wspominała, że mieliśmy jeszcze jedną córkę…

– Zeldę – wtrącił Louis. – Tak, mówiła mi o Zeldzie.

– To było trudne – rzekł Goldman roztrzęsionym

głosem. – Trudne dla nas wszystkich, lecz przede wszystkim chyba dla Rachel, bo Rachel była na miejscu, gdy Zelda umarła. Ale też trudne dla mnie i dla Dory. Dory o mało się nie załamała…

A jak sądzisz, co się działo z Rachel? – chciał krzyknąć Louis. – Myślisz, że dziecko nie może mieć załamania nerwowego? Minęło dwadzieścia lat, a ona wciąż podskakuje, gdy choćby padnie na nią cień śmierci. A teraz to, ta straszna, koszmarna rzecz. To i tak cud, że nie znalazła się w pieprzonym szpitalu, karmiona przez rurkę. Więc nie opowiadaj mi, jakie to było trudne dla ciebie i twojej żony, draniu.

– Odkąd umarła Zelda, my… przypuszczam, że zanadto związaliśmy się z Rachel… zawsze chcieliśmy ją osłaniać… i wynagrodzić jej to. Wynagrodzić problemy, jakie miała z plecami… jeszcze przez wiele lat… wynagrodzić za to, że nas tam nie było.

O tak, stary pryk naprawdę płakał. Czemu musiał się rozpłakać? To utrudniało Louisowi podsycanie płomienia czystej, nieskalanej nienawiści. Utrudniało, lecz nie uniemożliwiało. Z rozmysłem przywołał w pamięci obraz Goldmana, sięgającego do kieszeni smokingu, po pękatą książeczkę czekową… nagle jednak z tyłu ujrzał Zeldę Goldman, niespokojnego ducha w cuchnącym łóżku, z pobladłą, nieczystą twarzą, pełną złości i cierpienia, z dłońmi wykrzywionymi niczym szpony. Duch Goldmanów. Oz Wiejki i Wsaniały.

– Proszę – rzekł – proszę, panie Goldman, Irwin, już

dosyć. Nie pogarszajmy i tak złej sytuacji, dobrze?

– Wierzę teraz, że jesteś dobrym człowiekiem i że źle cię osądzałem, Louis. Posłuchaj, wiem, co myślisz. Czy jestem aż tak głupi? Nie. Głupi, ale nie aż tak. Myślisz, że mówię to wszystko, bo teraz już mogę. Myślisz: „Ach tak, dostał to, czego pragnął. Kiedyś już próbował mnie kupić", ale… ale Louis, przysięgam…

– Dosyć – powiedział łagodnie Louis. – Nie mogę… naprawdę nie mogę znieść ani słowa więcej. – Teraz jego głos także drżał. – W porządku?

– Zgoda – odparł Goldman i westchnął. Louis uznał, że to westchnienie ulgi. – Ale pozwól mi powiedzieć raz jeszcze, że bardzo cię przepraszam. Nie musisz przyjmować moich przeprosin, ale dlatego właśnie zadzwoniłem. Przepraszam cię, Louis.

– Dobrze. – Louis zamknął oczy. Potwornie bolała go głowa. – Dziękuję ci, Irwin. Przyjmuję przeprosiny.

– To ja tobie dziękuję – odrzekł Goldman – i dziękuję za to, że pozwoliłeś im pojechać. Może tego właśnie potrzebują. Spotkamy się z nimi na lotnisku.

– Świetnie. – Nagle Louisowi przyszedł do głowy pewien pomysł. Był on szalony i w swym szaleństwie niezwykle pociągający. Zapomni o przeszłości. Pozwoli Gage'owi leżeć spokojnie w grobie na cmentarzu Pleasantview. Zamiast próbować ponownie otworzyć zatrzaśnięte drzwi, zamknie haczyk i zasuwę i wyrzuci klucz. Zrobi dokładnie to, co powiedział żonie – uporządkuje ich sprawy i złapie samolot do Chicago.

Może nawet spędzą tam całe lato, on, żona i znów wesoła córka. Będą chodzić do zoo, planetarium, pływać łódką po jeziorze. Zabierze Ellie na szczyt Sears Tower i pokaże jej Środkowy Zachód, rozciągający się wokół niczym wielka plansza do gry, uśpiona, bogata.

A potem, kiedy nadejdzie połowa sierpnia, wrócą do tego domu, obecnie tak smutnego i mrocznego, i może stanie się to dla nich nowym początkiem. Może na nowo rozpoczną prząść nić swego życia. To, co teraz tkwiło w ich warsztacie tkackim, było brudne, spryskane zeschniętą krwią.

Ale czy nie równałoby się to zamordowaniu jego syna? Zabiciu go po raz drugi?

Głos wewnątrz jego głowy próbował przekonać go, że to nieprawda, ale on nie chciał słuchać. Błyskawicznie go wyciszył.

– Irwin, muszę już iść. Chcę dopilnować, by Rachel zabrała wszystko, czego potrzebuje, a potem położyć ją do łóżka.

– W porządku. Do widzenia, Louis i…

Jeśli jeszcze raz powtórzy, że jest mu przykro, zacznę krzyczeć.

– Do widzenia, Irwin – odparł i odwiesił słuchawkę.

Gdy wszedł na górę, wszędzie walały się ubrania. Bluzki na łóżkach, staniki przewieszone przez oparcia krzeseł, spodnie na wieszakach zaczepionych o klamki. Pod oknem w karnym szeregu, niczym żołnierze, stały buty. Najwyraźniej pakowała się wolno, lecz fachowo.

Louis widział, że będzie potrzebowała co najmniej trzech, może czterech walizek, uznał jednak, że nie ma sensu się o to spierać. Zamiast tego postanowił jej pomóc.

– Louis – powiedziała, gdy zamykali ostatnią walizkę (musiał ją przysiąść, nim Rachel zdołała zatrzasnąć zamki) – jesteś pewien, że nie masz mi nic do powiedzenia?

– Na miłość boską, kochanie, o co ci chodzi?

– Nie wiem o co – odparła spokojnie. – Dlatego pytam.

– Myślisz, że co zrobię ? Wymknę się do burdelu, dołączę do cyrku, co jeszcze?

– Nie wiem, ale to wszystko wygląda dziwnie. Mam wrażenie, jakbyś próbował się nas pozbyć.

– Rachel, to śmieszne. – Wypowiedział to słowo z gwałtownością, częściowo zrodzoną z bezradności. Nawet w tak trudnych okolicznościach poczuł zawód, iż tak łatwo go przejrzała.

Rachel uśmiechnęła się słabo.

– Nigdy nie byłeś dobrym kłamcą, Lou.

Znów zaczął protestować, ona jednak uciszyła go.

– Ellie śniło się, że umarłeś – powiedziała. – Zeszłej nocy. Obudziła się z płaczem, a ja poszłam do niej. Spałam z nią dwie, trzy godziny, potem wróciłam do ciebie. Mówiła, że w jej śnie siedziałeś przy kuchennym stole i miałeś otwarte oczy, ale wiedziała, że nie żyjesz. Mówiła, że słyszała wozy strażackie i czuła woń spalenizny, i powiedziała, że słyszała też krzyk Steve’a

Mastertona.

Louis spojrzał na nią wstrząśnięty.

– Rachel – rzekł w końcu – jej brat dopiero co umarł. To zupełnie normalne, że śni jej się, iż inni członkowie rodziny…

– Owszem, sama tak sądziłam, ale sposób, w jaki to opowiadała… wszystkie te szczegóły… miałam wrażenie, jakbym słyszała proroctwo. – Zaśmiała się słabo. – A może trzeba było tam być.

– Możliwe – odparł Louis.

Mimo że przemawiał rozsądnie, czuł, jak na jego ciele występuje gęsia skórka.

Miał wrażenie, że zjeżyły mu się włosy.

Miałam wrażenie, jakbym słyszała proroctwo.

– Chodź ze mną do łóżka – poprosiła Rachel. – Valium przestało już działać i nie chcę zażywać więcej, ale boję się. Sama także miałam złe sny…

– Sny? O czym?

– O Zeldzie – odparła z prostotą. – Ostatnich kilka nocy od dnia śmierci Gage'a, kiedy zasypiam, jest tam Zelda. Mówi, że przyjdzie po mnie i tym razem mnie dostanie. Że dostaną mnie, ona i Gage, za to, iż pozwoliłam im umrzeć.

– Rachel, to…

– Wiem. Tylko sen. Zupełnie normalny. Ale chodź ze mną do łóżka i powstrzymaj go, jeśli zdołasz.

Leżeli razem w ciemności.

– Rachel, nie śpisz?

– Nie.

– Chciałbym cię o coś spytać.

– Mów.

Zawahał się, nie chcąc sprawiać jej więcej bólu, ale musiał to wiedzieć.

– Pamiętasz, jak nas przeraził, kiedy miał dziewięć miesięcy? – rzekł w końcu.

– Tak. Tak, oczywiście. A czemu ?

Do czasu gdy Gage skończył dziewięć miesięcy, Louis zaczął bardzo niepokoić się rozmiarami czaszki syna. Znacznie wykraczały one poza wykres Berteriera, ukazujący normalny zakres rozmiarów głów niemowląt w każdym miesiącu życia. W wieku czterech miesięcy rozmiar czaszki Gage'a zaczął zbliżać się do najwyższego punktu krzywej, a potem wzniósł się jeszcze wyżej. Maluch nie miał problemów z podnoszeniem głowy – to stanowiłoby nieomylny znak – lecz Louis i tak zabrał go do George'a Tardiffa, zapewne najlepszego neurologa na Środkowym Zachodzie. Rachel chciała wiedzieć, co się dzieje, i Louis powiedział jej prawdę: obawiał się, że Gage może mieć wodogłowie. Twarz Rachel śmiertelnie pobladła, lecz ona sama zachowała spokój.

– Mnie wydaje się normalny – rzekła.

Louis przytaknął.

– Mnie także, ale nie mogę tego zignorować, kochanie.

– Nie, nie wolno ci – przytaknęła. – Nie wolno nam.

Tardiff zmierzył czaszkę Gage'a i zmarszczył brwi.

Następnie dźgnął dwoma palcami ku jego twarzy, w stylu Trzech Oferm z telewizji. Gage wzdrygnął się. Tardiff się uśmiechnął. Serce Louisa znów zaczęło bić. Tardiff dał Gage'owi do potrzymania piłkę. Chłopiec trzymał ją jakiś czas, a potem upuścił. Tardiff podniósł piłkę i odbił ją od podłogi, obserwując oczy dziecka, które podążyły za piłką.

– Powiedziałbym, iż istnieją pięćdziesięcioprocentowe szanse, że ma wodogłowie – oznajmił nieco później Tardiff w swoim gabinecie. – Może nawet trochę mniejsze. Jeśli nawet, to łagodny przypadek. Wydaje się bardzo czujny. Nowy zabieg drenażu powinien z łatwością rozwiązać ten problem… jeśli w ogóle jakiś problem istnieje.

– To oznacza operację mózgu – wtrącił Louis.

– Drobną operację mózgu.

Louis przestudiował szczegóły tego procesu wkrótce po tym, gdy zaczął martwić się rozmiarami czaszki Gage'a. Drenaż, czyli odsączenie nadmiaru płynu z głowy pacjenta, wcale nie wydał mu się drobną operacją. Nic jednak nie mówił, upominając się w duchu, by być wdzięcznym, że operacja taka w ogóle istnieje.

– Oczywiście – ciągnął dalej Tardiff – jest duże prawdopodobieństwo, że twój dzieciak ma jedynie naprawdę dużą głowę jak na dziewięciomiesięczne niemowlę.

Myślę, że najlepiej rozpocząć od tomografii. Zgadzasz się?

Louis się zgodził.

Gage spędził noc w szpitalu Sióstr Miłosierdzia. Został poddany ogólnemu znieczuleniu i kiedy spał, wetknięto mu głowę w urządzenie przypominające ogromną suszarkę do bielizny. Rachel i Louis czekali na dole; Ellie spędzała ten dzień u babci i dziadka, oglądając non stop z nowego magnetowidu dziadka „Ulicę Sezamkową". Dla Louisa były to długie, szare godziny, podczas których podsumowywał w myślach listy najróżniejszych możliwych komplikacji i porównywał wyniki. Śmierć w wyniku znieczulenia, śmierć podczas operacji drenażu, łagodne upośledzenie w wyniku wodogłowia, poważne upośledzenie z tego samego powodu. Padaczka, ślepota… istniało tak wiele możliwości. Po dokładny spis katastrof, pomyślał wtedy, proszę zgłosić się do miejscowego lekarza.

Tardiff zjawił się w poczekalni około piątej. W ręku trzymał trzy cygara. Jedno z nich wetknął Louisowi w zęby, drugie wsunął w usta Rachel (zbyt oszołomionej, by zaprotestować), a trzecie we własne.

– Mały jest zdrów. Ani śladu wodogłowia.

– Proszę o ogień – rzuciła Rachel, płacząc i śmiejąc się jednocześnie. – Będę palić, póki nie zwymiotuję.

Tardiff z uśmiechem zapalił ich cygara.

Bóg zachował go dla trasy numer 15, doktorze Tardiff, pomyślał teraz Louis.

– Rachel, gdyby to było wodogłowie i gdyby drenaż nie zadziałał… czy nadal mogłabyś go kochać?

– Co za dziwaczne pytanie, Louis.

– Mogłabyś?

– Tak. Oczywiście, kochałabym Gage’a niezależnie od wszystkiego.

– Nawet gdyby był upośledzony?

– Tak.

– Chciałabyś oddać go do ośrodka?

– Raczej nie – odparła powoli. – Przypuszczam, że przy pieniądzach, jakie teraz zarabiasz, stać by nas było na… naprawdę dobre miejsce, ale… ale gdyby się dało, wolałabym, żeby był z nami. Louis, czemu o to pytasz?

– Chyba wciąż jeszcze myślałem o twojej siostrze Zeldzie – rzekł. Ciągle zaskakiwała go gładkość, z jaką wymawiał kolejne kłamstwo. – Zastanawiałem się, czy zdołałabyś raz jeszcze przez to przejść.

– To absolutnie nie byłoby to samo – odparła. W jej głosie dźwięczało niemal rozbawienie. – Gage był… no cóż, był Gage’em, naszym synem. To wszystko zmienia. Pewnie byłoby ciężko, ale… czy ty chciałbyś oddać go do zakładu, do miejsca takiego jak Pineland?

– Nie.

– Śpijmy już.

– To dobry pomysł.

– Mam wrażenie, że teraz zdołam zasnąć – rzekła. – Chcę zostawić za sobą ten dzień.

– Amen – zgodził się Louis.

O wiele później rzekła sennie:

– Masz rację, Louis… tylko sny i zjawy…

– Jasne – odparł i pocałował ją w ucho. – Śpij już.

Miałam wrażenie, jakbym słyszała proroctwo.

Długi czas nie mógł zasnąć i zanim to zrobił, zakrzywiona kość umierającego majowego księżyca spojrzała na niego przez okno.

43

Następny dzień był pochmurny, lecz bardzo ciepły i nim Louis zdążył oddać bagaż Ellie i Rachel i wyciągnąć ich bilet z komputera, mocno się spocił. W duchu myślał, że fakt, iż może się czymś zająć, sam w sobie stanowi błogosławieństwo. Czuł jedynie lekki ból, gdy przypomniał sobie, jak ostatnio odprowadzał rodzinę na samolot do Chicago w Święto Dziękczynienia. To był pierwszy i ostatni lot Gage'a.

Ellie wydawała się daleka i nieco nieswoja. Kilka razy tego ranka Louis uniósł wzrok i ujrzał na jej twarzy osobliwie pytający wyraz.

To tylko kompleks spiskowca, chłopie, upomniał się w duchu.

Kiedy powiedział jej, że lecą do Chicago, najpierw tylko ona z mamusią, i może spędzą tam całe lato, nie odezwała się ani słowem. Jadła dalej swe śniadanie (płatki kakaowe). Po śniadaniu w milczeniu poszła na górę i włożyła sukienkę i buty przygotowane przez Rachel. Zabrała ze sobą na lotnisko zdjęcie, na którym ciągnęła saneczki Gage'a, i spokojnie usiadła w jednym z plastikowych fotelików w poczekalni na dole, podczas gdy Louis stał w kolejce po bilety, a głośniki wypluwały z siebie informacje o kolejnych startach i lądowaniach.

Państwo Goldmanowie zjawili się czterdzieści minut

przed odlotem. Irwin Goldman był zabójczo elegancki (i mimo wysokiej temperatury najwyraźniej zupełnie niespocony) w kaszmirowym płaszczu. Podszedł do stanowiska Avisu, aby oddać klucze samochodu, podczas gdy Dory usiadła obok Rachel i Ellie.

Louis i Irwin Goldman dołączyli do swych najbliższych w tym samym momencie. Louis obawiał się, że może dojść do powtórki wczorajszej sceny „Mój-synu, mój-synu", ale oszczędzono mu tego. Goldman zadowolił się słabym uściskiem ręki i cichym „cześć". Szybkie zakłopotane spojrzenie, jakie rzucił swemu zięciowi, potwierdziło graniczące z pewnością podejrzenie, z jakim Louis obudził się tego ranka: wczoraj wieczorem teść musiał być pijany.

Pojechali na górę ruchomymi schodami i usiedli w sali odpraw. Niewiele rozmawiali. Dory Goldman nerwowo przesuwała palcami po okładce nowej powieści Eriki Jong, lecz nie otworzyła jej. Cały czas z lekkim niepokojem zerkała na trzymane przez Ellie zdjęcie.

Louis spytał córeczkę, czy chciałaby pójść z nim do księgarni i wybrać sobie jakąś lekturę na drogę.

Ellie znów patrzyła na niego dziwnie pytająco. Louisowi nie podobało się to spojrzenie, drażniło go.

– Będziesz grzeczna u babci i dziadka? – spytał.

– Tak – odparła. – Tatusiu, czy złapie mnie woźny? Andy Pasioca mówi, że w szkole jest woźny, który łapie tych, co opuszczają zajęcia.

– Nie martw się o woźnego – rzekł. – Załatwię

wszystko w szkole. Na jesieni bez problemów będziesz mogła zacząć nową klasę.

– Mam nadzieję, że na jesieni wszystko będzie dobrze – mruknęła Ellie. – Nigdy wcześniej nie byłam w klasie, tylko w przedszkolu. Nie wiem, co dzieci robią w klasach. Pewnie zadania domowe.

– Wszystko się ułoży.

– Tatusiu, czy nadal jesteś wkurzony na dziadka?

Spojrzał na nią ze zdumieniem.

– Na miłość boską, czemu sądzisz, że byłem… że nie lubiłem twojego dziadka, Ellie?

Wzruszyła ramionami, jakby temat ten nieszczególnie ją interesował.

– Kiedy o nim mówisz, prawie zawsze wyglądasz na wkurzonego.

– Ellie, to wulgarne słowo.

– Przepraszam.

I znów posłała mu to dziwne, niesamowite spojrzenie, po czym odeszła, by obejrzeć regały książek dla dzieci – Mercera Meyera i Maurice'a Sendaka, Richarda Scary i Beatrix Potter oraz nieśmiertelnego staruszka, Dr. Seussa. ***Jak dzieci znajdują te rzeczy? A może po prostu wiedzą? Ile właściwie wie Ellie? Jak to na nią wpływa? Ellie, co kryje się za tą bladą twarzyczką? Wkurzony na niego, Chryste.***

– Mogłabym dostać te, tatusiu? – Podała mu Dr. Seussa i książkę, której Louis nie widział na oczy od czasów swego dzieciństwa – historię o małym, czarnym

Sambo i o tym, jak pewnego pięknego dnia tygrysy ukradły mu ubranie.

Boże, sądziłem, że wszyscy już dawno zapomnieli o tej książce, pomyślał z rozbawieniem Louis.

– Oczywiście – odparł i odstali krótką kolejkę do kasy. – Twój dziadek i ja bardzo się lubimy – rzekł i znów wspomniał historyjkę matki o tym, że kiedy kobieta naprawdę chce mieć dziecko, po prostu je znajduje. Pamiętał własne niemądre przyrzeczenia, złożone samemu sobie, że nigdy nie okłamie swoich dzieci. Przez ostatnich kilka dni stał się całkiem obiecującym kłamcą, ale wolał teraz o tym nie myśleć.

– Aha – powiedziała i umilkła.

Cisza grała Louisowi na nerwach.

– Myślisz, że dobrze się będziesz bawić w Chicago? – spytał, by przerwać milczenie.

– Nie.

– Nie? Czemu nie?

Uniosła głowę i spojrzała na niego. Jej oczy miały niesamowity wyraz.

– Boję się.

Położył dłoń na jej głowie.

– Boisz się, kochanie? Czego? Chyba nie samolotu, prawda?

– Nie – rzekła. – Nie wiem, czego się boję. Tatusiu, śniło mi się, że byliśmy na pogrzebie Gage’a i ten człowiek kierujący pogrzebem otworzył trumnę, a ona była pusta. A potem śniło mi się, że wróciłam do domu i

zajrzałam do łóżeczka Gage’a. Ono także było puste, ale leżało w nim dużo ziemi.

Łazarzu, powstań!

I wtedy, po raz pierwszy od miesięcy, świadomie przypomniał sobie sen, który nawiedził go po śmierci Pascowa – sen i przebudzenie oraz odkrycie, że ma brudne nogi, a stopy łóżka pokrywają jodłowe szpilki i błoto.

Nagle uniosły mu się włosy na karku.

– To tylko sny – powiedział do Ellie. Wydawało mu się, że jego głos zabrzmiał zupełnie normalnie. – Wkrótce miną.

– Chciałabym, żebyś z nami poleciał – odparła. – Albo żebyśmy my zostały tutaj.

Możemy zostać, tatusiu? Proszę. Nie chcę jechać do dziadka i babci. Chcę wrócić do szkoły. Zgoda?

– To tylko kilka dni – powiedział. – Mam… – przełknął ślinę – mam tu kilka spraw do załatwienia, a potem dołączę do was. Razem ustalimy, co dalej.

Spodziewał się dyskusji, może nawet typowego dla Ellie ataku wściekłości. Ucieszyłby go, jako coś znajomego, w odróżnieniu od tego spojrzenia. Odpowiedziała mu jednak tylko niepokojąca cisza, która zdawała się niezmiernie głęboka. Mógł spytać jeszcze o coś, ale odkrył, że nie śmie. I tak powiedziała mu więcej, niż chciał usłyszeć.

Wkrótce po tym, jak wrócili z Ellie na górę, wywołano ich lot. Cała czwórka wyjęła karty pokładowe i

ustawiła się w kolejce. Louis uściskał żonę i ucałował ją mocno. Rachel na moment przywarła do niego, a potem wypuściła, by mógł podnieść Ellie i cmoknąć ją w policzek

Ellie przyglądała mu się poważnie nieprzeniknionymi oczami.

– Masz takie zimne wargi – powiedziała. – Czemu, tatusiu?

– Nie wiem – odparł, bardziej niespokojny niż kiedykolwiek. Postawił ją pośpiesznie. – Sprawuj się dobrze, laleczko.

– Nie chcę jechać – powtórzyła tak cicho, że jedynie Louis usłyszał ją pośród krzątaniny i harmidru głosów innych pasażerów. – I nie chcę, żeby mamusia jechała.

– Daj spokój, Ellie – rzekł Louis – wszystko będzie dobrze.

– Ze mną owszem – odparła. – Ale co z tobą? Tatusiu, co z tobą?

Kolejka zaczęła się przesuwać. Ludzie przechodzili przez bramkę do 727. Rachel pociągnęła Ellie za rękę i przez moment dziewczynka stawiła opór, zatrzymując kolejkę. Wpatrywała się w ojca i Louis przypomniał sobie jej poprzednią niecierpliwość, krzyki: Chodźmy już, chodźmy-chodźmy-chodźmy!

– Tatusiu?

– Idź już, Ellie, proszę.

Rachel spojrzała na córeczkę i po raz pierwszy dostrzegła jej mroczny, niezwykły wyraz twarzy.

– Ellie? – spytała zaskoczona i – jak wydało się Louisowi – nieco przestraszona. – Wszystkich zatrzymujesz, złotko.

Wargi Ellie zadrżały i zbielały. Pozwoliła przeprowadzić się przez bramkę i jeszcze raz obejrzała się na niego. Na jej twarzy ujrzał czyste przerażenie. Uniósł dłoń z udawaną wesołością.

Ellie nie pomachała mu w odpowiedzi.

44

Gdy Louis opuścił budynek terminalu BIA, zdawało się, że na umysł opadła mu lodowata zasłona i zrozumiał, że zamierza to zrobić. Jego mózg, dostatecznie bystry – dzięki niemu mógł pokonać kolejne etapy akademii medycznej, utrzymując się jedynie ze stypendium i z tego, co jego żona zdoła zarobić, podając klientom kawę i pączka od piątej do jedenastej rano sześć dni w tygodniu – rozważył problem i rozbił go na części składowe, jakby chodziło o kolejny egzamin – największy, do jakiego kiedykolwiek przystąpił. I zamierzał zdać go na pięć z plusem, sto procent punktów.

Pojechał do Brewer, małego miasteczka po drugiej stronie rzeki Penobscot. Zaparkował na ulicy naprzeciw sklepu z narzędziami Watsona.

– Słucham pana? – spytał sprzedawca.

– Poproszę dużą latarkę – odparł Louis. – Jedną z tych kwadratowych. I coś, czym mógłbym ją osłonić.

Sprzedawca był drobnym, szczupłym człowieczkiem o wysokim czole i bystrych oczach. Uśmiechnął się, ale uśmiech ten nie był specjalnie przyjemny.

– Wybierasz się pan na polowanie?

– Słucham?

– Zamierzasz pan oślepić i ustrzelić kilka saren?

– Ależ nie – odparł Louis bez uśmiechu. – Nie mam

pozwolenia.

Sprzedawca zamrugał, po czym postanowił odpowiedzieć śmiechem.

– Innymi słowy, mam pilnować własnych spraw. Posłuchaj pan, nie da się osłonić tak dużej latarki, ale możesz pan wziąć kawałek filcu i wyciąć w środku dziurę, będzie świeciła jak kieszonkowa.

– Brzmi nieźle – powiedział Louis. – Dziękuję.

– Ależ proszę. Coś jeszcze?

– O tak – odparł Louis. – Potrzebny mi kilof, szpadel i łopata. Krótki szpadel, długa łopata. Kawałek mocnej liny, dwa metry długości, para roboczych rękawic, kawał brezentu, dwa na dwa metry.

– Mamy to wszystko – powiedział sprzedawca.

– Muszę wykopać szambo – wyjaśnił Louis. – Wygląda na to, że umieściliśmy je niezgodnie z przepisami sanitarnymi, a moi sąsiedzi są bardzo wścibscy. Nie wiem, czy osłonięcie światła coś da, ale uznałem, że nie zawadzi spróbować. Mogą mi wlepić wysoką grzywnę.

– Oho – mruknął sprzedawca. – Lepiej niech pan jeszcze kupi klamerkę do bielizny i zatka sobie nos.

Louis zaśmiał się obowiązkowo. Jego zakupy kosztowały w sumie pięćdziesiąt osiem dolarów i sześćdziesiąt centów. Zapłacił gotówką.

Honda miała oszklony tył i Louis obawiał się powrotu do Ludlow z kilofem, szpadlem i łopatą. Jud Crandall miał bystre oczy. Jego umysł też pracował bardzo

sprawnie. Natychmiast połapałby się, co się dzieje.

Nagle przyszło mu do głowy, że przecież nie ma w ogóle powodu wracać do Ludlow. Ponownie pokonał most Chamberlaina i znalazł się w Bangor, gdzie zameldował się w motelu Howarda Johnsona na Odlin Road. Znów blisko lotniska, znów blisko cmentarza Pleasantview, gdzie pochowano jego syna. W recepcji podał nazwisko Dee Dee Ramone i zapłacił za pokój gotówką.

Próbował się zdrzemnąć, uznawszy rozsądnie, że dobrze byłoby wypocząć przed jutrzejszym rankiem. By zacytować starą, wiktoriańską powieść, tej nocy czekała go szalona praca – dość pracy, by starczyło jej na całe życie.

Lecz jego mózg po prostu nie chciał się wyłączyć.

Leżał na anonimowym hotelowym łóżku, pod banalnym hotelowym obrazkiem przedstawiającym malownicze łodzie w doku obok malowniczego wybrzeża, w malowniczym porcie w Nowej Anglii. Zdjął tylko buty. Portfel, monety i klucze leżały obok na nocnym stoliku. Ręce splótł za głową. Nadal nie opuszczało go uczucie chłodu. Czuł się całkowicie oderwany od swej rodziny, od miejsc, które stały się tak znajome, nawet od pracy. To mógł być jakikolwiek motel HoJo na świecie – w San Diego, Dulluth, Bangkoku, Charlotte Amalie. Znajdował się nigdzie. Od czasu do czasu uderzała go zdumiewająca myśl: zanim znów ujrzy znajome miejsca i twarze, zobaczy swojego syna.

W myślach wciąż powtarzał kolejne etapy planu, przyglądał się im ze wszystkich stron, badał je, szperał w poszukiwaniu słabych punktów. Miał wrażenie, iż wędruje po wąskiej kładce ponad otchłanią szaleństwa. Otaczał go obłęd, trzepocząc cicho skrzydłami sowy, nocnego łowcy o wielkich, złotych oczach: zmierzał wprost ku szaleństwu.

W jego głowie zadźwięczał sennym echem głos Toma Rusha: „Śmierci, masz lepkie ręce… wciąż jeszcze czuję je… przyszłaś po moją matkę… czy weźmiesz także mnie?”.

Obłęd. Obłęd wszędzie wokół, tak blisko. Polował na niego.

Louis wędrował po kładce rozumu, przyglądał się swoim planom.

Tej nocy około jedenastej rozkopie grób syna, użyje sznura, by podnieść wieko grobu, wyjmie ciało z trumny, w której dotąd spoczywało, zawinie Gage’a w odcięty kawałek brezentu i schowa go do bagażnika hondy. Następnie włoży trumnę na miejsce i zasypie grób. Pojedzie do Ludlow, wyjmie ciało Gage’a z bagażnika.. i wybierze się na przechadzkę. O tak, wybierze się na przechadzkę.

Jeśli Gage powróci, ścieżka rozumu może pójść w jednym z dwóch kierunków.

W pierwszym Louis ujrzał Gage’a powracającego jako Gage, może oszołomionego, nieco powolnego, nawet niedorozwiniętego (tylko w najgłębszych zakamarkach

umysłu Louis pozwalał sobie na słabą nadzieję, że Gage powróci taki, jaki był wcześniej – ale z pewnością to przecież możliwe, prawda?), lecz wciąż będzie jego synem, synem Rachel, bratem Ellie.

Na drugiej ścieżce ujrzał wynurzającego się z lasu za domem potwora. Uwierzył już w tak wiele, że jego umysł nie protestował przeciw samemu pomysłowi istnienia potworów, a nawet demonów, bezcielesnych złowrogich istot z innego świata, zdolnych opętać ożywione ciało, z którego umknęła pierwotna dusza.

Tak czy inaczej będą sami z synem, a wtedy…

Postawię diagnozę.

Tak – to właśnie zrobi. Postawi diagnozę nie tylko ciała, ale i ducha.

Uwzględnię możliwy wstrząs po wypadku, który Gage może pamiętać lub nie. Pamiętając o Churchu, będę spodziewał się niedorozwoju, może łagodnego, może poważnego. Na podstawie moich obserwacji z pierwszych dwudziestu czterech czy nawet siedemdziesięciu godzin osądzę, czy da się na nowo wprowadzić Gage'a do naszej rodziny. A jeśli upośledzenie okaże się zbyt wielkie – bądź powróci jak Timmy Baterman, jako zła istota – zabiję go.

W tym momencie odkrył, że posunął się jeszcze dalej owymi dwiema ścieżkami.

Jako lekarz uważał, że z łatwością zdoła zabić Gage'a, jeśli ten stanie się tylko powłoką, zawierającą obcą istotę. Nie pozwoli oszołomić się błaganiami i

złorzeczeniami. Zabije go, tak jak zabiłby szczura przenoszącego dżumę. Nie potrzeba tu żadnych melodramatów. Rozpuszczona pigułka, może dwie lub trzy. W razie konieczności – zastrzyk. W torbie miał morfinę. Następnej nocy przywiezie bezduszną powłokę na cmentarz Pleasantview, wierząc, że raz jeszcze dopisze mu szczęście (nie wiesz nawet, czy dopisze ci za pierwszym razem, upomniał się w duchu). Rozważył też łatwiejsze i bezpieczniejsze rozwiązanie: pogrzebanie Gage'a na Cmętarzu Zwieżąt, ale nie chciał, by jego syn tam leżał. Istniało wiele powodów. Jakieś dziecko, które za piętnaście–dwadzieścia lat będzie grzebało swoje zwierzątko, może przypadkiem natknąć się na szczątki – to jedno. Lecz najważniejszy powód był dużo prostszy. Cmętarz Zwieżąt mógłby okazać się… zbyt blisko.

Po pogrzebaniu zwłok poleci do Chicago i dołączy do rodziny. Rachel ani Ellie nie będą musiały nic wiedzieć o nieudanym eksperymencie.

A potem spojrzał w głąb drugiej ścieżki, ścieżki, o której marzył z całą nadzieją i miłością, jaką żywił do synka: gdy minie okres badań, wraz z Gage'em opuszczą dom. Wyjadą w nocy. Weźmie ze sobą dokumenty i nigdy już nie wróci do Ludlow. Razem z Gage'em zameldują się w motelu – może nawet w tym samym, w którym leżał teraz.

Następnego ranka zlikwiduje wszystkie konta i zamieni ich zawartość na gotówkę i czeki podróżne American Express (nie opuszczaj bez nich domu wraz ze

swym wskrzeszonym synem, pomyślał i zachichotał). Polecą gdzieś z Gage'em – najpewniej na Florydę. Stamtąd zadzwoni do Rachel. Powie jej, gdzie jest, i każe, by zabrała Ellie i złapała samolot, nie mówiąc matce i ojcu, dokąd leci. Louis wierzył, że zdoła ją do tego przekonać. ***Nie zadawaj żadnych pytań, Rachel. Po prostu przyjedź. Przyjedź, w tej chwili.***

Powie jej, gdzie się zatrzymał (zatrzymali). W jakimś motelu. Rachel zjawi się z Ellie wynajętym samochodem. Gdy zapukają, przyprowadzi Gage'a do drzwi. Może nawet ubierze go w kostium kąpielowy.

A potem…

Ach, ale poza ten punkt nie odważył się pójść. Zamiast tego powrócił do początku planu i raz jeszcze zaczął go analizować. Przypuszczał, że jeśli wszystko się uda, będą musieli stworzyć sobie zupełnie nowe tożsamości, tak by Irwin Goldman nie zdołał ich wytropić, mimo swej pękatej książeczki czekowej. Takie rzeczy są możliwe.

Jak przez mgłę przypomniał sobie dzień przyjazdu do domu w Ludlow. Był wtedy spięty, zmęczony i nieco wystraszony, i marzył o tym, że pojedzie do Orlando i zatrudni się jako lekarz w Disney Worldzie. Może nie był to wcale taki głupi pomysł.

Ujrzał samego siebie odzianego w biel i cucącego ciężarną kobietę, która nierozsądnie wybrała się na przejażdżkę po zboczach Magicznej Góry i zemdlała. „Cofnąć się! Cofnąć! Dajcie jej odetchnąć" – słyszał

własny głos. A kobieta otwarła oczy i uśmiechnęła się do niego z wdzięcznością.

I gdy tak jego umysł snuł owe przyjemne marzenia, Louis zasnął. Spał, kiedy jego córka ocknęła się w samolocie, gdzieś nad Niagara Falls, z krzykiem budząc się z koszmaru pełnego chwytających dłoni i głupich, lecz bezlitosnych oczu. Spał, podczas gdy stewardesa pobiegła ku niej sprawdzić, co się dzieje. Spał, kiedy Rachel, wstrząśnięta, próbowała ją uspokoić. Spał, kiedy Ellie krzyczała raz po raz. To Gage, mamo! ***To Gage! Gage! Gage żyje! Gage wyjął nóż z torby taty! Nie pozwól mu mnie dostać! Nie pozwól mu dopaść taty!***

Spał, gdy córeczka uspokoiła się w końcu i rozdygotana oparła głowę o pierś matki. Jej otwarte, pozbawione łez oczy spoglądały w mrok. A Dory Goldman pomyślała, że ostatnie wydarzenia najgorzej wpłynęły na Ellie. W tej chwili dziewczynka bardzo przypominała jej Rachel po śmierci Zeldy.

Spał, aż w końcu ocknął się kwadrans po piątej. Popołudniowe słońce chyliło się ku zachodowi, zapowiadając nadejście nocy.

Szalona praca, pomyślał niemądrze i wstał.

45

Gdy samolot United Airlines, lot numer 419, wylądował na lotnisku O’Hare i wyładował pasażerów dziesięć po trzeciej czasu środkowoamerykańskiego, Ellie była w stanie łagodnej histerii, a Rachel obserwowała ją z przerażeniem. Nigdy, od czasu gdy sama zabrała dzieci do McDonalda i Gage zaczął krztusić się garścią frytek, tak bardzo nie pragnęła, by Louis był teraz z nią.

Jeśli dotknęło się przelotnie ramienia Ellie, dziewczynka podskakiwała i rozglądała się szeroko otwartymi oczami. Jej całe ciało dygotało bez chwili przerwy, zupełnie jakby ktoś naładował ją elektrycznością. Koszmar w samolocie był już dostatecznie okropny, ale to… Rachel po prostu nie wiedziała, co robić.

W drodze do terminalu Ellie potknęła się o własną nogę i upadła. Nie wstała; leżała tak na dywanie, a przechodzący ludzie mijali ją (albo też posyłali jej łagodne, współczujące, lecz obce spojrzenia, typowe dla nieznajomych zaprzątniętych własnymi sprawami), póki Rachel jej nie podniosła.

– Ellie, co się z tobą dzieje? – spytała.

Lecz Ellie nie odpowiedziała. Przeszły przez hol w stronę taśm bagażowych i Rachel ujrzała czekających tam na nie matkę i ojca. Pomachała do nich wolną ręką i

Goldmanowie podeszli.

– Nie pozwolili nam stanąć przy wyjściu i zaczekać na was – oznajmiła Dory – więc pomyśleliśmy… Rachel, jak się czuje Ellie?

– Nie najlepiej.

– Czy jest tu toaleta, mamusiu? Zaraz zwymiotuję.

– O Boże – westchnęła z rozpaczą Rachel i chwyciła rękę córki. Po drugiej stronie hali dostrzegła damską toaletę i szybko poprowadziła tam Eileen.

– Rachel, mam iść z wami? – zawołała Dory.

– Nie. Weźcie bagaż. Wiecie, jak wygląda. Nic nam nie będzie.

Na szczęście toaleta była pusta. Rachel zaprowadziła Ellie do jednej z kabin, grzebiąc w torebce w poszukiwaniu dziesięciocentówki. A potem dostrzegła – dzięki Bogu – że zamki w trojgu drzwiach są wyłamane. Na jednych z nich ktoś napisał grubym flamastrem „Sir John Crapper był seksistowską świnią”.

Rachel szybko otwarła drzwi. Ellie jęczała i trzymała się za brzuch. Dwukrotnie usiłowała zwrócić, lecz z jej ust nic nie wyleciało. Były to suche spazmy, oznaka całkowitego wyczerpania nerwowego.

Gdy córeczka oznajmiła, że czuje się nieco lepiej, Rachel podprowadziła ją do umywalki i umyła jej twarz. Ellie była przeraźliwie blada. Oczy miała podkrążone.

– Ellie, co się dzieje? Nie możesz mi powiedzieć?

– Nie wiem, co się dzieje – odparła dziewczynka. – Ale wiem, że coś jest nie tak, odkąd tatuś powiedział mi o

tym wyjeździe, bo to z nim coś się dzieje.

Louis, co ty ukrywasz? Ukrywałeś coś. Ja to widziałam. Nawet Ellie to dostrzegła.

Przyszło jej do głowy, że ona także cały dzień była niespokojna, jakby czekała na niespodziewany cios. Czuła się tak, jak zwykle dwa–trzy dni przed okresem, spięta i rozdrażniona, gotowa w każdej chwili roześmiać się, wybuchnąć płaczem lub upaść na łóżko, powalona bólem głowy – uderzającym w czaszkę niczym rozpędzony ekspres – który znikał trzy godziny później.

– Ale co? – spytała odbicie Ellie w lustrze. – Kochanie, co może dziać się z tatą?

– Nie wiem – odrzekła Ellie. – To był sen. Coś z Gage'em, a może z Churchem, nie pamiętam. Nie wiem.

– Ellie, co ci się śniło?

– Śniło mi się, że byłam na Cmętarzu Zwieżąt – powiedziała dziewczynka. – Paxcow zabrał mnie na Cmętarz Zwieżąt i powiedział, że tatuś tam pójdzie i wydarzy się coś strasznego.

– Paxcow? – Ogarnęła ją nagła gwałtowna groza, ostra, lecz nieokreślona. Co to za nazwisko? Czemu wydawało mi się takie znajome? Miała wrażenie, że kiedyś już je słyszała – albo może coś podobnego do niego – ale za żadne skarby nie potrafiła sobie przypomnieć gdzie. – Śniło ci się, że ktoś nazwiskiem Paxcow zabrał cię na Cmętarz Zwieżąt?

– Tak. Powiedział, że tak się nazywa i… – Jej oczy rozszerzyły się nagle.

– Pamiętasz coś jeszcze?

– Mówił, że przysłano go, by ostrzegł, ale nie może ingerować. Mówił, że był… nie wiem… że był blisko taty, bo byli razem, gdy jego dusza ode-ode… Nie pamiętam – jęknęła.

– Kochanie – rzekła Rachel. – Myślę, że śnił ci się Cmętarz Zwieżąt, bo wciąż myślisz o Gage'u. Jestem pewna, że z tatą wszystko w porządku. Czujesz się lepiej?

– Nie – szepnęła Eileen. – Mamusiu, boję się. A ty nie?

– Uh-uh – odparła Rachel. Energicznie potrząsnęła głową i uśmiechnęła się. W istocie jednak bała się i to bardzo. A to nazwisko, Paxcow, wciąż nie dawało jej spokoju. Czuła, że wiele miesięcy, może nawet lat temu, słyszała je w jakimś okropnym kontekście. I wciąż nie mogła opanować nerwów.

Wyczuwała coś – coś napęczniałego, spuchniętego, czekającego tylko, by pęknąć. Coś straszliwego, czego należało uniknąć. Ale co? Co?

– Jestem pewna, że nic mu nie jest – powiedziała. – Chcesz wracać do babci i dziadka?

– Chyba tak – odparła obojętnie Ellie.

Jakaś Portorykanka wprowadziła do toalety małego synka, upominając go głośno. W kroczu eleganckich spodenek podróżnych szybko rozszerzała się wielka mokra plama i Rachel z nagłym, przenikliwym bólem znów pomyślała o Gage'u. Ów ból zadziałał jak nowokaina, uspokajając rozedrgane nerwy.

– Chodź – powiedziała. – Zadzwonimy od dziadka do taty.

– Miał na sobie szorty – oznajmiła nagle Ellie.

– Kto, kochanie?

– Paxcow – wyjaśniła dziewczynka. – Miał na sobie czerwone szorty. W moim śnie.

Znów to nazwisko. Rachel ponownie ogarnęła fala przemożnego strachu… po czym odeszła.

Nie mogły zbliżyć się do taśmy bagażowej. Rachel widziała zaledwie czubek kapelusza ojca i charakterystyczne piórko. Odwróciła się i dostrzegła Dory Goldman, która trzymała dla nich dwa miejsca pod ścianą i machała gorączkowo. Rachel podprowadziła do niej Ellie.

– Czujesz się lepiej, skarbie? – spytała Dory.

– Troszeczkę – odparła Ellie. – Mamusiu… – Odwróciła się do Rachel i urwała. Rachel siedziała sztywno z dłonią przyciśniętą do ust. Jej twarz śmiertelnie pobladła. Znalazła. Nagle, z gwałtownym wstrząsem zlokalizowała nazwisko. Oczywiście powinna była rozpoznać je natychmiast, ale próbowała wyrzucić je ze swej pamięci. Oczywiście.

– Mamusiu?

Rachel odwróciła się powoli do córki; Ellie usłyszała, jak ścięgna szyi matki skrzypią cicho. Rachel oderwała dłoń od ust.

– Czy ten człowiek w twoim śnie podał ci swoje imię, Ellie?

– Mamusiu, czy nic ci…

– Czy człowiek w twoim śnie podał ci imię?!

Dory spoglądała na zmianę na córkę i wnuczkę, jakby obie zupełnie oszalały.

– Tak, ale nie pamiętam… Mamusiu, to boli!

Rachel spuściła wzrok i odkryła, że jej wolna dłoń zaciska się niczym obręcz wokół przedramienia córki.

– Czy nazywał się Victor?

Ellie ze świstem wciągnęła powietrze.

– Tak, Victor. Mówił, że nazywa się Victor. Mamusiu, czy tobie też się śnił?

– Nie Paxcow – powiedziała Rachel. – Pascow.

– To właśnie mówiłam. Paxcow.

– Rachel, co się dzieje? – spytała Dory. Ujęła wolną dłoń córki i wzdrygnęła się, czując, jak jest lodowata.

– Co się stało Ellie?

– To nie Ellie – odparła Rachel. – To chyba Louis. Coś złego dzieje się z Louisem. Albo wkrótce się wydarzy. Posiedź z Ellie, mamusiu. Muszę zadzwonić do domu.

Wstała i podeszła do telefonu, szukając w torebce ćwierćdolarówki. Zdołała się połączyć, ale nikt nie przyjął rozmowy. Telefon po prostu dzwonił.

– Może spróbuje pani później – zaproponowała operatorka.

– Tak – odparła Rachel, odwieszając słuchawkę.

Stała tam, wpatrując się w telefon.

Mówił, że przysłano go, by ostrzegł, ale nie może

ingerować. Mówił, że był, że był blisko taty, bo byli razem, kiedy jego dusza odeode… nie pamiętam.

– Oderwała się od ciała – szepnęła Rachel, wbijając palce w tkaninę torebki. – O mój Boże, czy to właśnie próbowała powiedzieć?

Usiłowała pozbierać swe myśli. Uporządkować je. Czy coś się tu działo, coś wykraczającego poza naturalny smutek z powodu śmierci Gage'a i zdenerwowanie po niezwykłej wyprawie przez kontynent, tak bardzo przypominającej ucieczkę? Jak wiele Ellie wiedziała o młodym człowieku, który zginął pierwszego dnia pracy Louisa?

Nic – odparł nieubłaganie jej umysł. – ***Ukrywałaś to przed nią tak, jak próbowałaś ukryć przed nią wszystko, co miało cokolwiek wspólnego ze śmiercią, nawet możliwą śmiercią jej kota. Pamiętasz tę głupią, bezsensowną kłótnię tamtego dnia w kuchni? Ukrywałaś to, bo bałaś się wtedy i boisz się teraz. Nazywał się Pascow, Victor Pascow. Jak rozpaczliwa jest obecna sytuacja, Rachel? Jak jest źle? Na miłość boską, co się dzieje?***

Jej dłonie drżały tak mocno, że dopiero za drugim razem zdołała umieścić w szparze ćwierćdolarówkę. Tym razem zadzwoniła do przychodni uniwersyteckiej. Odebrała Charlton, która nieco zaskoczona przyjęła rozmowę. Nie widziała Louisa i zdziwiłaby się, gdyby zjawił się dziś w pracy. Raz jeszcze przekazała Rachel wyrazy współczucia. Rachel przyjęła je, po czym

poprosiła Charlton, by Louis zadzwonił do niej do domu rodziców, jeśli przypadkiem się zjawi. Tak, miał numer – odparła na pytanie pielęgniarki, nie chcąc zdradzać (choć tamta zapewne i tak wiedziała; Rachel miała wrażenie, że uwadze Charlton umyka niewiele rzeczy), iż dom jej rodziców leży po drugiej stronie kontynentu.

Odwiesiła słuchawkę, rozdygotana i rozpalona.

Usłyszała nazwisko Pascowa gdzie indziej, to wszystko. Mój Boże, nie wychowuje się dzieci w szklanej skrzyni jak… jak jakiegoś chomika. Usłyszała je w programie radiowym albo jakiś dzieciak wspomniał o tym w szkole, a jej umysł przechował zasłyszaną informację. Nawet to, czego nie umiała powiedzieć – może nawet rzeczywiście było to „oderwała się od ciała”. Ale to niczego nie dowodzi, oprócz tego, iż podświadomość jest dokładnie takim zsypem, jak twierdzą uczeni.

Przypomniała sobie nauczyciela psychologii w college’u, który twierdził, że w odpowiednich warunkach ludzka pamięć potrafi odtworzyć nazwiska wszystkich osób, które dana osoba kiedykolwiek poznała, wszystkie posiłki, jakie zjadła, pogodę panującą każdego kolejnego dnia życia. Przekonująco dowodził swej zadziwiającej tezy, mówiąc, iż ludzki mózg to komputer o niewiarygodnie wielu kościach pamięci – nie o szesnastu czy trzydziestu dwu, czy nawet sześćdziesięciu czterech tysiącach, lecz wręcz o miliardach, prawdziwych tysiącach miliardów. Jak wiele informacji mogła przechować każda z tych organicznych „kości”? Nikt nie

wiedział. Lecz jest ich tak wiele – rzekł – że nie ma potrzeby, by pamięć miała się kasować i pozwalać użyć na nowo. W istocie świadomy umysł musi wyłączać część mózgu, by nie dopuścić właściciela do obłędu z powodu nadmiaru informacji. Gdybyście w dwóch sąsiednich komórkach przechowywali całą zawartość Encyklopedii Britannica – dodał nauczyciel – moglibyście mieć pewne kłopoty z zapamiętaniem, gdzie odłożyliście skarpetki.

Słowa te wywołały posłuszny śmiech wśród studentów.

Ale to nie są zajęcia z psychologii, w przyjaznym blasku jarzeniówek, z tablicą zapisaną podnoszącym na duchu żargonem i przemądrzałym asystentem, radośnie przegadującym ostatnich piętnaście minut semestru. Coś jest tu koszmarnie nie tak. I dobrze o tym wiesz – czujesz to. Nie wiem, czy ma to coś wspólnego z Pascowem, czy Gage'em, czy może Churchem, ale z pewnością z Louisem. Czy to…

I nagle myśl równie zimna jak garść lodu uderzyła ją z całą mocą. Rachel raz jeszcze podniosła słuchawkę i pogrzebała w otworze zwrotu w poszukiwaniu dziesięciocentówki. Czyżby Louis rozważał samobójstwo? Czy to dlatego pozbył się ich, niemal wypchnął je za drzwi? Czy Ellie jakimś cudem doświadczyła… Ach, pieprzyć psychologię! Czy przeżyła psychiczny przebłysk?

Tym razem zadzwoniła do Juda Crandalla na koszt abonenta. Telefon zadzwonił pięć razy… sześć… siedem.

Już miała odłożyć słuchawkę, gdy odezwał się w niej jego zdyszany głos.

– Halo?

– Jud? Jud, tu…

– Jedną chwileczkę, proszę pani – wtrącił operator. – Czy przyjmie pan rozmowę na pański koszt? Dzwoni pani Louisowa Creed.

– Ano – odparł Jud.

– Przepraszam pana, czy to znaczy tak czy nie?

– Chyba tak – odparł Jud.

Zapadła chwila ciszy, podczas której operator tłumaczył jankeski na amerykański. Wreszcie:

– Dziękuję. Proszę mówić, proszę pani.

– Jud, czy widziałeś dziś Louisa?

– Dziś? Nie powiedziałbym, Rachel. Ale rano pojechałem do Brewer po zakupy. Po południu pracowałem w ogrodzie za domem. Czemu pytasz?

– To pewnie nic ważnego, ale w samolocie Ellie miała zły sen, i pomyślałam, że spróbuję ją uspokoić.

– W samolocie? – Głos Juda jakby wyostrzył się nieco. – Gdzie ty właściwie jesteś, Rachel?

– W Chicago – odparła. – Przyleciałyśmy tu z Ellie spędzić trochę czasu z moimi rodzicami.

– Louis nie poleciał z wami?

– Zamierza dołączyć do nas pod koniec tygodnia. – Rachel z całych sił starała się mówić spokojnie. Coś w tonie głosu Juda bardzo się jej nie podobało.

– Czy to był jego pomysł, ten wasz wyjazd?

– No cóż… tak. Jud, co się dzieje? Bo coś się dzieje, prawda? I ty o tym wiesz.

– Może powinnaś mi opowiedzieć sen małej – powiedział Jud po długiej chwili. – Chciałbym bardzo, żebyś to zrobiła.

46

Kiedy skończyli rozmawiać z Rachel, Jud nałożył lekki płaszcz – niebo zachmurzyło się i znów zerwał się wiatr – i przeszedł przez drogę do domu Louisa, przystając na poboczu, aby dokładnie sprawdzić, czy nie nadjeżdża jakaś ciężarówka. To ciężarówki były przyczyną wszystkiego. Te przeklęte ciężarówki.

Tyle że to nieprawda.

Czuł, jak Cmętarz Zwieżąt przyciąga go – Cmętarz Zwieżąt i coś za nim. Kiedyś głos ów nucił uwodzicielską kołysankę, obiecując ukojenie i czarowną moc. Teraz był niższy i bardziej niż złowieszczy – pełen ponurej groźby. ***Trzymaj się od tego z daleka.***

Ale on nie mógł się trzymać z daleka. Czuł się zanadto odpowiedzialny.

Zobaczył, że w garażu brakuje hondy civic Louisa. Sprawdził tylne drzwi i odkrył, że są otwarte.

– Louis? – zawołał, wiedząc, że tamten nie odpowie, lecz czuł potrzebę naruszenia panującej w tym domu ciężkiej ciszy. Starość robiła się coraz bardziej dokuczliwa – ręce i nogi ciążyły mu przez większość czasu, były dziwnie niezgrabne. Plecy bolały po marnych dwóch godzinach spędzonych w ogrodzie. I miał wrażenie, jakby w biodro ktoś wbił mu tępy świder.

Zaczął metodycznie przetrząsać dom, szukając oznak,

których musiał szukać. Najstarszy włamywacz świata, pomyślał bez specjalnego rozbawienia i wrócił do roboty. Nie znalazł niczego, co mogłoby go zaniepokoić: żadnych pudeł z zabawkami, nieoddanych Armii Zbawienia, ubranek dla małego chłopca przy drzwiach, w szafach lub pod łóżkiem… ani tego najgorszego: łóżeczka, starannie przygotowanego w pokoju Gage'a. Nie znalazł niczego, absolutnie niczego, czego szukał, lecz w domu panowała dziwna atmosfera pustki, jakby czekał, by znów się napełnić… no cóż, czymś.

Może powinienem wybrać się na cmentarz Pleasantview, zobaczyć, czy wszystko w porządku. Może nawet natknę się na Louisa Creeda. Postawiłbym mu kolację czy coś takiego.

Ale niebezpieczeństwo nie czekało na cmentarzu Pleasantview w Bangor. Było tutaj, w tym domu i poza nim.

Jud wyszedł i wrócił przez drogę do własnego domu. Wyciągnął z kuchennej lodówki sześć puszek piwa i zaniósł je do salonu. Następnie usiadł przed oknem wyglądającym na dom Creedów. Otworzył piwo i zapalił papierosa. Wokół niego upływało popołudnie i, jak to często się zdarzało w ciągu ostatnich kilku lat, odkrył, że jego umysł cofa się coraz bardziej i bardziej, sięgając głębiej w przeszłość. Gdyby wiedział, o czym wcześniej myślała Rachel Creed, powiedziałby jej, że nauczyciel psychologii może i mówił prawdę, lecz na starość tłumiąca funkcja pamięci zaczyna powoli zawodzić, tak

samo jak cała reszta ciała, i człowiek z niesamowitą dokładnością przypomina sobie dawne miejsca i twarze. Wspomnienia koloru sepii znów nabierają barw, które stają się coraz żywsze. Głosy tracą metaliczny brzęk czasu i odzyskują dawne brzmienie. Nie był to wcale zalew informacji, mógłby wyjaśnić mu Jud. Istniała na to nazwa: „starcza skleroza".

W swym umyśle Jud raz jeszcze ujrzał Hanratty'ego, byka Lestera Morgana o zaczerwienionych oczach, szarżującego na wszystko, co znalazło się w polu widzenia, wszystko, co tylko się poruszyło. Kiedy wiatr szeleścił liśćmi, byk atakował drzewa. Nim Lester zrezygnował i zakończył całą sprawę, wszystkie drzewa na ogrodzonej łące Hanratty'ego zostały zryte z bezmyślną furią. Zwierzak potrzaskał sobie rogi, jego głowa krwawiła. Gdy Lester zastrzelił Hanratty'ego, był chory z przerażenia – i Jud czuł się teraz dokładnie tak samo.

Pił piwo i palił. Światło dnia powoli gasło. Nie zapalał lampy. Stopniowo czubek papierosa stawał się małą czerwoną iskierką w ciemności. Siedział, pił piwo i obserwował podjazd przed domem Louisa Creeda. Kiedy Louis wróci do domu z miejsca, w które się wybrał, Jud pójdzie do niego i pogawędzi trochę. Upewni się, że tamten nie planuje niczego, czego nie powinien.

Wciąż czuł milczące przyciąganie tego czegoś, niezwykłej mocy zasiedlającej owo diabelskie miejsce. Teraz sięgała ku niemu spośród zepsutych skał, na

których usypano kamienne kopce.

Trzymaj się od tego z daleka. Trzymaj się z daleka, albo bardzo pożałujesz. Głos przypominał smugi mgły wydobywające się z otwartego grobu.

Ignorując go, jak najlepiej potrafił, Jud siedział, palił i pił piwo. I czekał.

47

Podczas gdy Jud Crandall siedział w drabiniastym fotelu na biegunach i czekał na niego przy oknie, a Rachel i Ellie zmierzały autostradą w stronę domu Goldmanów (Rachel nieustannie skubała paznokcie, nie mogąc otrząsnąć się ze zgrozy; Ellie siedziała blada jak kamień), w jadalni motelu Howarda Johnsona Louis zasiadał właśnie do obfitego, pozbawionego smaku obiadu.

Jedzenie był mdłe i zatykające: dokładnie to, czego pragnęło jego ciało. Na zewnątrz zapadał zmrok. Reflektory przejeżdżających samochodów przebijały ciemność niczym jasne palce. Louis wrzucał do ust kolejne kęsy: stek, pieczony ziemniak, jaskrawozielony groszek (natura nigdy nie obdarzyłaby go taką barwą), kawał szarlotki z kulką lodów na górze, roztapiającą się w miękką papkę. Jadł przy narożnym stoliku, obserwując wchodzących i wychodzących ludzi. Zastanawiał się, czy lada moment nie ujrzy kogoś znajomego. W pewnym sensie miał taką nadzieję. Spowodowałoby to pytania: Gdzie jest Rachel? Co ty tu robisz? Co słychać? – a pytania, być może, doprowadziłyby do komplikacji. Może komplikacje były tym, czego naprawdę pragnął. Wyjściem.

I rzeczywiście, właśnie gdy kończył szarlotkę i drugą filiżankę kawy, do środka weszła znajoma para: Rob

Grinnell, lekarz z Bangor, i jego urocza żona Barbara. Czekał, myśląc, że zaraz go zauważą, tkwiącego przy jednoosobowym narożnym stoliku, lecz kelnerka zaprowadziła ich do kabiny po drugiej stronie sali i Louis stracił ich z oczu. Od czasu do czasu dostrzegał jedynie czubek przedwcześnie posiwiałej głowy Grinnella.

Kelnerka przyniosła mu rachunek. Podpisał go, nabazgrał pod spodem numer swego pokoju i wyszedł bocznymi drzwiami.

Na zewnątrz wiatr osiągnął już niemal siłę huraganu. Był wszechobecny. W jego powiewach przewody elektryczne mruczały, wydając z siebie osobliwy dźwięk. Louis nie dostrzegał gwiazd. Wyczuwał chmury przepływające nad głową z niezwykłą szybkością. Na moment zatrzymał się na chodniku z rękami w kieszeniach, unosząc twarz ku powiewom wiatru. Potem odwrócił się, wrócił do pokoju i włączył telewizor. Było jeszcze za wcześnie, by zrobić cokolwiek poważnego, a wiatr zbyt wiele obiecywał. Niepokoił go.

Cztery godziny oglądał telewizję. Osiem kolejnych półgodzinnych programów komediowych. Minęło wiele czasu, odkąd ostatnio oglądał tak dużo telewizji za jednym razem. Uznał, że wszystkie aktorki w sitkomach stanowią doskonały przykład tego, co nazywali z kolegami w liceum „gorącymi numerami”.

W Chicago Dory Goldman zawodziła.

– Chcesz wrócić? Kochanie, czemu miałabyś wracać? Dopiero co przyleciałaś.

W Ludlow Jud Crandall siedział bez ruchu przy oknie, paląc i pijąc piwo. W myślach przeglądał pamiątki własnej przeszłości i czekał, by Louis wrócił do domu. Wcześniej czy później Louis wróci, tak jak Lassie w starym filmie. Istniały inne drogi, wiodące na Cmętarz Zwieżąt, ale Louis ich nie znał.

Nieświadom innych wydarzeń, niczym powolne pociski zmierzających nie w miejsce, gdzie teraz był, lecz raczej, zgodnie z najlepszą tradycją balistyki, w miejsce, gdzie się znajdzie, Louis siedział w HoJo i oglądał telewizję. Nigdy wcześniej nie widział żadnego z tych programów, słyszał jednak o nich. Czarna rodzina. Biała rodzina. Dzieciak inteligentniejszy niż bogaci dorośli, z którymi mieszkał. Samotna kobieta. Kobieta zamężna. Rozwódka. Wreszcie trzy dziewczyny-detektywi, prowadzące śledztwa w stanikach od kostiumów. Oglądał to wszystko, siedząc w motelowym fotelu i od czasu do czasu wyglądając za okno w wietrzną noc.

Gdy na ekranie pojawił się dziennik o jedenastej, Louis wyłączył telewizor i wyszedł, by załatwić coś, co prawdopodobnie postanowił zrobić już w chwili, gdy ujrzał pełną krwi baseballową czapeczkę Gage’a na jezdni. Znów ogarnął go chłód, silniejszy niż kiedykolwiek. Pod nim jednak kryło się coś jeszcze: żar zapału, pasji, może nawet namiętności, nieważne; w każdym razie ogrzewał go i pozwalał znieść lodowaty wiatr. Uruchamiając silnik hondy, pomyślał, że może Jud miał rację co do rosnącej mocy tego miejsca.

Niewątpliwie czuł ją wokół siebie, prowadziła go (albo popychała) naprzód.

Czy mógłbym się zatrzymać? Czy mógłbym się zatrzymać, nawet gdybym tego chciał?

Zjechał z krawężnika.

48

– Chcesz co zrobić? – spytała raz jeszcze Dory. – Rachel… jesteś zdenerwowana… jeśli się prześpisz…

Rachel jedynie potrząsnęła głową. Nie potrafiła wyjaśnić matce, czemu musiała wrócić. Uczucie to wezbrało w niej tak, jak wzbiera wiatr – najpierw lekkie, ledwo dostrzegalne poruszenia traw, potem powietrze zaczyna przesuwać się coraz szybciej i szybciej, aż w końcu całkowicie wypiera spokój. Porywy stają się dość silne, by ze skowytem omiatać dach domu. W końcu zaczynają potrząsać nim i orientujesz się nagle, że nadciąga huragan. Jeśli wiatr wkrótce nie osłabnie, to wszystko runie w gruzy.

W Chicago była szósta po południu. W Bangor Louis zasiadał właśnie do obfitego, pozbawionego smaku posiłku. Rachel i Ellie dziobały jedynie widelcami własne jedzenie. Rachel co chwila podnosiła wzrok znad talerza i dostrzegała na sobie mroczne spojrzenie córki, pytające, co zamierza zrobić z kłopotami, których napytał sobie tatuś. Co zamierza zrobić?

Czekała, by zadzwonił telefon, by Jud oddzwonił i powiedział, że Louis wrócił do domu. I rzeczywiście, telefon raz zadzwonił – na jego dźwięk Rachel podskoczyła, a Ellie niemal wylała mleko ze szklanki. Ale była to tylko kobieta z klubu brydżowego Dory,

pytała, czy bez kłopotów wrócili do domu.

Pili właśnie kawę, gdy Rachel gwałtownie odrzuciła serwetkę i oznajmiła:

– Tato… mamo… przykro mi, ale muszę wracać do domu. Jeśli zdołam złapać samolot, to jeszcze dzisiaj.

Ojciec i matka patrzyli na nią bez słowa, lecz Ellie zamknęła oczy w jakże dorosłym odruchu ulgi – byłby zabawny, gdyby nie jej poszarzała, napięta twarz.

Nie rozumieli, a Rachel nie potrafiła im wyjaśnić, tak jak nie potrafiłaby wyjaśnić, jak pierwsze, słabe podmuchy wiatru, ledwie kołyszące czubkami wysokich traw, potrafią stopniowo zyskać na sile, aż w końcu powalają stalowe budynki. Nie wierzyła, by Ellie usłyszała w radiu informację o śmierci Victora Pascowa i by zarejestrowała ją jej podświadomość.

– Rachel, kochanie – ojciec mówił wolno, przyjaźnie. Tak jak należy zwracać się do kogoś, kogo ogarnia przelotna, lecz niebezpieczna histeria. – To tylko reakcja na śmierć twojego syna. Obie z Ellie silnie reagujecie, i któż mógłby was za to winić. Ale jeśli spróbujesz wrócić, po prostu się załamiesz i…

Rachel nie odpowiedziała. Podeszła do telefonu w sieni, znalazła w książce „linie lotnicze” i wybrała numer Delty. Dory stała obok, powtarzając, by jeszcze to przemyślała, że powinna porozmawiać z nimi, może nawet sporządzić listę… A za nią czekała Ellie z mroczną twarzą – w tym momencie jednak rozświetloną promyczkiem nadziei, który dodawał odwagi matce.

– Linie lotnicze Delta – powiedział radośnie głos po drugiej stronie słuchawki. – Tu Kim. Czym mogę służyć?

– Mam nadzieję, że zdoła mi pani pomóc – odparła Rachel. – To niezwykle ważne, żebym jeszcze dziś dostała się z Chicago do Bangor. Obawiam się, że zaszło coś bardzo istotnego. Czy mogłaby pani sprawdzić połączenia?

Pewne wątpliwości:

– Tak, proszę pani. Ale mamy bardzo mało czasu.

– Proszę jednak sprawdzić. – Głos Rachel załamał się lekko. – Wystarczy lista oczekujących, cokolwiek.

– Dobrze, proszę pani. Proszę czekać. – W słuchawce zapadła cisza.

Rachel przymknęła oczy. Po chwili poczuła na ramieniu chłodną dłoń. Uniosła powieki i przekonała się, że Ellie przysunęła się do niej. Irwin i Dory stali razem, rozmawiając cicho i przyglądając się im. Tak jak patrzy się na kogoś, kogo podejrzewamy, że jest wariatem, pomyślała ze znużeniem Rachel. Zmusiła się do uśmiechu.

– Nie pozwól, by cię powstrzymali, mamo – powiedziała cicho Ellie. – Proszę.

– Nie ma mowy, siostrzyczko – odparła Rachel i wzdrygnęła się. Nazywali ją tak, odkąd Gage przyszedł na świat. Teraz jednak nie była już niczyją siostrzyczką, prawda?

– Dziękuję – mruknęła Ellie.

– To bardzo ważne, prawda?

Dziewczynka przytaknęła.

– Kochanie, wierzę ci. Ale mogłabyś mi pomóc, gdybyś powiedziała coś więcej. Czy to tylko sen?

– Nie – odparła Ellie. – To… teraz to już wszystko. Cały czas mnie otacza. Nie czujesz, mamusiu? Coś jak…

– Coś jak wiatr.

Ellie westchnęła i zadrżała.

– Ale nie wiesz, co to jest? Nie pamiętasz niczego więcej ze snu?

Ellie zastanawiała się długą chwilę, po czym z wahaniem potrząsnęła głową.

– Tatuś, Church i Gage. To wszystko, co pamiętam, ale nie wiem, co ich łączy, mamusiu.

Rachel uścisnęła ją mocno.

– Wszystko będzie dobrze – rzekła. Lecz ciężar wciąż przygniatał serce.

– Halo? Proszę pani? – odezwała się urzędniczka.

– Halo? – Rachel ścisnęła mocniej zarówno córkę, jak i słuchawkę.

– Chyba znalazłam połączenie do Bangor, ale dotrze tam pani bardzo późno.

– To nie ma znaczenia – odparła Rachel.

– Ma pani coś do pisania? To trochę skomplikowane.

– Owszem, mam. – Rachel wyjęła z szuflady ogryzek ołówka. Znalazła starą kopertę i zaczęła pisać. Słuchała uważnie, notując. Gdy kobieta po drugiej stronie skończyła, Rachel uśmiechnęła się lekko i uniosła połączone w kształcie litery O kciuk i palec wskazujący,

by pokazać Ellie, że się uda. Prawdopodobnie się uda, poprawiła w duchu. Niektóre połączenia wydawały się bardzo napięte. Zwłaszcza to w Bostonie.

– Proszę zarezerwować je wszystkie. I dziękuję.

Kim zanotowała nazwisko Rachel i numer jej karty kredytowej. W końcu Rachel odwiesiła słuchawkę. Niemal opuściły ją siły. Czuła ogromną ulgę. Spojrzała na ojca.

– Tato, odwieziesz mnie na lotnisko?

– Może powinienem odmówić – rzekł Goldman. – Mam chyba obowiązek powstrzymać to szaleństwo.

– Nie waż się! – krzyknęła piskliwie Ellie. – To nie jest szaleństwo! Nie jest!

Goldman zamrugał gwałtownie i cofnął się w obliczu owego gwałtownego wybuchu.

– Zawieź ją, Irwin – powiedziała Dory w ciszy, która zapadła. – Ja też zaczynam się denerwować. Poczuję się lepiej, wiedząc, że z Louisem wszystko w porządku.

Goldman długą chwilę przyglądał się żonie.

– Zawiozę cię, jeśli tego chcesz – rzekł. – Ja… Rachel, jeśli chcesz, polecę z tobą.

Rachel potrząsnęła głową.

– Dziękuję, tato, ale zajęłam ostatnie miejsca. Zupełnie jakby Bóg je dla mnie zachował.

Irwin Goldman westchnął. W tym momencie wyglądał bardzo staro i Rachel przyszło nagle do głowy, że jej ojciec przypomina Juda Crandalla.

– Jeśli chcesz, masz jeszcze czas, by się spakować –

powiedział. – Zdążymy dotrzeć na lotnisko w czterdzieści minut, jeśli będę jechał jak kiedyś, gdy pobraliśmy się z twoją matką. Znajdź dla niej torbę, Dory.

– Mamusiu – powiedziała Ellie. Rachel odwróciła się ku niej. Twarz Eileen pokrywała cienka warstewka potu.

– Co, kochanie?

– Bądź ostrożna, mamusiu – poprosiła Eileen. – Proszę cię, bądź ostrożna.

49

Drzewa były ruchomymi sylwetkami na tle pochmurnego nieba, oświetlonego tylko łuną pobliskiego lotniska. Louis zaparkował hondę na Mason Street. Ulica ta sąsiadowała z cmentarzem Pleasantview od strony południowej. Wiatr był tu niemal dość silny, by wyrwać mu z ręki drzwiczki auta. Musiał mocno pchnąć, by je zamknąć. Wichura szarpała jego kurtkę, gdy otworzył bagażnik hondy i wyjął kawał brezentu, który odciął i owinął wokół narzędzi.

Znalazł się w skrzydle ciemności pomiędzy dwiema latarniami. Stał na krawężniku, tuląc w ramionach owinięty brezentem tłumok. Ostrożnie spojrzał w jedną i drugą stronę, nim przeszedł przez ulicę pod kute żelazne ogrodzenie, znaczące granice cmentarza. O ile to możliwe, wolał, by w ogóle go tu nikt nie widział, nawet ktoś, kto zauważyłby go i zapomniał po sekundzie. Obok niego gałęzie starego wiązu pojękiwały niespokojnie na wietrze, zupełnie jakby na każdej z nich dyndał wisielec. Boże, tak bardzo się bał. To nie była szalona praca, tylko robota szaleńca.

Ulicą nie przejechał ani jeden samochód. Wzdłuż Mason Street latarnie rzucały idealnie białe kręgi światła. W dzień, po zakończeniu zajęć w pobliskiej szkole podstawowej Fairmount chłopcy jeździli tu na rowerkach,

a dziewczynki skakały przez skakanki i grały w klasy, w ogóle nie dostrzegając cmentarza, może poza okresem Halloween, gdy nabierał on niesamowitego uroku. Może wtedy dzieci przebiegały odważnie przez podmiejską ulicę i wieszały na żelaznych prętach papierowe szkielety, chichocząc ze starych dowcipów. „To najfajniejsze miejsce w mieście. Ludzie umierają, by się tu dostać”. „Czemu nie wolno śmiać się na cmentarzu? Bo wszyscy, którzy tu mieszkają, są w grobowym nastroju!”.

– Gage – mruknął. Gage tam był. Za żelaznym kutym płotem. Niesprawiedliwie uwięziony pod warstwą czarnej ziemi. Uwolnię cię, Gage, pomyślał. Uwolnię cię, bracie, albo zapłacę własnym życiem.

Dźwigając ciężki tłumok, przeszedł przez ulicę. Zatrzymał się przy drugim krawężniku, znów spojrzał na boki i przerzucił brezentowy pakunek przez ogrodzenie. Z cichym brzękiem tłumok uderzył o ziemię po drugiej stronie. Otrzepując ręce, Louis odszedł, najpierw jednak zapamiętał to miejsce. Nawet gdyby zapomniał, wystarczyłoby jedynie podążyć wewnątrz wzdłuż ogrodzenia, aż stanąłby dokładnie naprzeciw samochodu. Wtedy na pewno znajdzie pakunek.

Ale czy brama będzie otwarta tak późno?

Ruszył w dół Mason Street, aż do znaku stopu. Wiatr ścigał go i szarpał nogawki. Tańczące cienie wirowały na drodze.

Skręcił w Pleasant Street, wciąż podążając wzdłuż płotu. Ulicę zalało światło samochodowych reflektorów i

Louis od niechcenia cofnął się za pień wiązu. Nie był to samochód policyjny, tylko furgonetka zmierzająca ku Hammond Street i dalej w stronę autostrady. Gdy się oddaliła, Louis ruszył naprzód.

Oczywiście, że będzie otwarta. Musi być.

Dotarł do bramy, gotyckiego łuku z kutego żelaza. Smukłego i wyniosłego pośród rozchwianych cieni rzucanych przez latarnię. Wyciągnął rękę i spróbował popchnąć.

Zamknięte.

Ty durniu! Oczywiście, że jest zamknięta, naprawdę sądziłeś, że ktoś zostawiłby po jedenastej otwarty cmentarz wewnątrz granic jakiegokolwiek amerykańskiego miasta? Nikt nie jest tak naiwny, mój drogi. Już nie. Co więc zrobisz teraz?

Teraz będzie musiał się wdrapać na ogrodzenie i liczyć na to, że nikt nie oderwie wzroku od programu Carsona na dość długo, by dostrzec postać wspinającą się na kute żelazne pręty, niczym najstarszy, najwolniejszy dzieciak świata.

Halo, policja? Właśnie widziałem najstarszego, najwolniejszego dzieciaka świata wspinającego się na płot cmentarza Pleasantview. Wyglądało na to, że bardzo zależy mu na dostaniu się do środka. Tak, według mnie to naprawdę śmiertelnie poważna sprawa. Żartuję? Ależ nie. Jestem grobowo poważny. Może powinniście w tym pogrzebać.

Louis maszerował dalej Pleasant Street. Na

najbliższym skrzyżowaniu skręcił w prawo. Wysokie żelazne ogrodzenie maszerowało obok niego. Wiatr schładzał i wysuszał krople potu na jego czole i skroniach. Jego cień tańczył i gasł w blasku ulicznych latarni. Od czasu do czasu Louis zerkał na ogrodzenie. Wreszcie przystanął i zmusił się, by naprawdę mu się przyjrzeć.

Zamierzasz się na to wspiąć? Nie rozśmieszaj mnie.

Louis Creed był wysokim mężczyzną, miał nieco ponad metr osiemdziesiąt pięć, lecz ogrodzenie liczyło dobrze ponad dwa i pół metra. Każdy żelazny słup kończył się dekoracyjnym szpikulcem, przypominającym grot strzały. To znaczy dekoracyjnym, póki człowiek nie osunął się, przekładając przez nie nogę i nie nadział się na jedno z ostrzy, które pod nagłym ciężarem stu kilogramów przeszyło mu jądra. Tkwiłby tam, przyszpilony jak świnia na rożnie, wrzeszcząc, póki ktoś nie zadzwoniłby na policję, która zdjęłaby go i zabrała do szpitala.

Pot płynął dalej, przylepiając koszulę do pleców. Wokół panowała cisza, przerywana jedynie cichym pomrukiem późnowieczornego ruchu na Hammond Street.

Musiał istnieć jakiś sposób dostania się do środka.

Musiał!

No dalej, Louis, staw czoło faktom. Może i oszalałeś, ale nie aż tak. Możliwe nawet, że zdołałbyś wdrapać się na szczyt ogrodzenia, ale trzeba by wyszkolonego

gimnastyka, by przekroczyć te ostrza, nie nadziewając się na nie. A nawet zakładając, że się tam dostaniesz, jak zamierzasz wyjść z ciałem Gage'a?

Szedł dalej. Jak przez mgłę dostrzegał, że okrąża cmentarz, nie robiąc nic konstruktywnego.

W porządku, oto odpowiedź. Po prostu pojadę do domu w Ludlow i wrócę tu jutro późnym popołudniem. Około czwartej przejdę przez bramę i znajdę miejsce, w którym zaszyję się aż do północy czy nawet nieco później. Innymi słowy, odłożę do jutra to, co gdybym miał dość sprytu, powinienem był zrobić dzisiaj.

Świetny pomysł, o wielki Swami Louisie… a tymczasem co pocznę z wielkim pakunkiem rzeczy, które przerzuciłem przez płot? Kilof, szpadel, latarka… równie dobrze na każdym z nich można by wypisać wielkimi literami: „Sprzęt do okradania grobów".

Wylądowały w krzakach. Kto je tam znajdzie, na miłość boską?

Na pierwszy rzut oka to miało sens, lecz jego zadanie nie było przecież sensowne, a serce podpowiadało z cichą, niezachwianą pewnością, że jutro nie zdoła już tu wrócić. Jeśli nie zrobi tego dziś, nie zrobi nigdy. Nigdy nie zdoła podkręcić się do aż tak obłąkańczego, nerwowego stanu. To była ta chwila. Jedyny moment, w którym mogło się udać.

Z tej strony stało mniej domów – od czasu do czasu na chodnik naprzeciwko padał prostokąt żółtego światła, a raz Louis dostrzegł szaroniebieskie migotanie czarno-

białego telewizora. Zaglądając przez ogrodzenie przekonał się, iż w tym miejscu groby są starsze, bardziej zaokrąglone, czasami nachylone w przód bądź w tył i poznaczone śladami wielu pór roku. Przed sobą dostrzegł kolejny znak stopu i po następnym zakręcie znalazł się na ulicy mniej więcej równoległej do Mason Street, od której zaczął. A kiedy wróci tam, skąd wyszedł, co zrobi? Odbierze dwieście dolarów i zacznie od nowa? Przyzna się do porażki?

U wylotu ulicy pojawiły się reflektory samochodowe i Louis cofnął się za kolejne drzewo, czekając, by go ominęły. Ten samochód jechał bardzo wolno. Po chwili z siedzenia pasażera wystrzelił biały płomień latarki i omiótł żelazne ogrodzenie. Serce Louisa boleśnie ścisnęło się w piersi. To był wóz policyjny, patrolujący okolice cmentarza. Rozpaczliwie przywarł do pnia, przyciskając policzek do kory z szaleńczą nadzieją, że drzewo jest dość duże, by go ukryć. Promień latarki zbliżał się. Louis spuścił głowę, próbując ukryć biel swej twarzy. Światło dotarło do drzewa, zniknęło na chwilę, po czym pojawiło się po prawej stronie. Przesunął się nieco na bok, by zejść z pola widzenia. Przez sekundę dostrzegł zgaszonego koguta na dachu radiowozu. Czekał, spodziewając się, że lada moment tylne światła rozbłysną jaskrawszą czerwienią, drzwi otworzą się gwałtownie, reflektorek obróci się ku niemu, wskazując go długim, białym palcem światła. ***Hej, ty! Ty, za tym drzewem! Wyjdź tak, żebyśmy mogli cię zobaczyć. I lepiej, żebyś miał puste ręce.***

Wychodź w tej chwili!

Radiowóz jechał dalej. Dotarł do zakrętu, leniwie mrugnął kierunkowskazem i skręcił w lewo. Louis osunął się bezwładnie i oparł o drzewo, dysząc. W zaschniętych ustach czuł kwaśny niesmak. Przypuszczał, że miną też jego zaparkowaną hondę, ale to nie miało znaczenia. Od godziny szóstej wieczór do siódmej rano na Mason Street wolno było parkować, a wokół stało mnóstwo innych samochodów. Ich właściciele z pewnością mieszkali w blokach po drugiej stronie ulicy.

Nagle odkrył, że przygląda się uważnie koronie drzewa, za którym się ukrył. Tuż nad jego głową pień rozdwajał się. Może mógłby…

Bez wahania uniósł rękę i podciągnął się, opierając obute w tenisówki stopy o pień. W dół posypał się niewielki deszcz kory. Zdołał oprzeć jedno kolano i po chwili stał już mocno podparty na rozgałęzieniu wiązu. Gdyby w tym momencie radiowóz powrócił, jego reflektor znalazłby na drzewie naprawdę niezwykłego ptaka. Powinien działać szybko.

Podciągnął się na wyższą gałąź, sięgającą na drugą stronę nad ogrodzeniem. Nagle zupełnie absurdalnie poczuł się jak dwunastolatek, którym musiał chyba kiedyś być. Drzewo nie było bynajmniej nieruchome; kołysało się lekko, niemal kojąco w powiewach wiatru. Jego liście szumiały i szeleściły. Louis ocenił sytuację, a potem, nim znów zdążył ogarnąć go strach, zawisł na rękach, trzymając się gałęzi splecionymi w górze dłońmi. Gałąź

była nieco grubsza niż przedramię mocno zbudowanego mężczyzny. Ze stopami dyndającymi ponad dwa metry nad chodnikiem zaczął powoli przesuwać się ku ogrodzeniu. Gałąź wygięła się lekko, lecz nie zdradzała oznak pękania. Jak przez mgłę dostrzegł swój cień, podążający za nimi po cementowym chodniku: niewyraźną, dziwnie małpią sylwetkę. Wiatr ochłodził rozgrzane pachy Louisa, który zadrżał, mimo że po twarzy i szyi wciąż spływał mu pot. Gałąź wyginała się i kołysała przy każdym ruchu. Im dalej wędrował, tym wyraźniejsze stawało się wygięcie. Jego ręce i przeguby zaczynały się męczyć i bał się, że spocone dłonie ześlizną się z gałęzi.

W końcu dotarł do ogrodzenia. Tenisówki wisiały jakieś ćwierć metra nad szpikulcami. Z tej perspektywy szpikulce wcale nie wydawały się tępe; przeciwnie – bardzo ostre. Ale ostre czy nie, pojął nagle, że stawką są nie tylko jego jądra. Gdyby spadł i trafił wprost na płot, jego ciężar wystarczyłby, aby jedna z tych włóczni wbiła się aż po płuca. Powracający gliniarze znaleźliby na ogrodzeniu cmentarza przedwczesną, rzeczywiście upiorną halloweenową ozdobę.

Oddychając szybko, choć nie dysząc, zaczął macać stopami w poszukiwaniu szpikulców. Potrzebował chwili odpoczynku. Przez moment wisiał tak, tańcząc w powietrzu, szukał ich, lecz nie znalazł.

Promień światła dotknął go. Z każdą chwilą stawał się coraz jaśniejszy.

Chryste, to samochód! Nadjeżdża samochód!

Próbował przesunąć ręce naprzód, lecz jego dłonie się ześliznęły. Splecione palce zaczynały się rozginać. Wciąż macając stopami, odwrócił głowę na lewo i spojrzał pod naprężonym ramieniem. To był samochód, ale nie zwalniając, przemknął przez pobliskie skrzyżowanie. Na szczęście. Gdyby…

Dłonie znów się zsunęły. Poczuł, że na głowę sypie mu się kora.

Jedna stopa znalazła punkt oparcia, lecz teraz inne ostrze pochwyciło skraj drugiej nogawki, a Bóg mu świadkiem, że nie zdołałby dłużej się trzymać. Louis rozpaczliwie szarpnął nogę. Gałąź się wygięła. Dłonie znów się ześliznęły. Rozległ się szelest dartego materiału, a potem stał już na dwóch szpikulcach. Ostrza zagłębiały się w podeszwy tenisówek. Po chwili nacisk zrobił się bolesny, lecz Louis stał jeszcze moment. Ulga w rękach i ramionach była większa niż ból stóp.

Niezły muszę przedstawiać sobą obraz, pomyślał Louis z niewyraźnym, ponurym rozbawieniem. Lewą ręką przytrzymał gałąź, prawą otarł o kurtkę. Następnie powtórzył to samo z drugą dłonią.

Jeszcze chwilę stał na szpikulcach, a potem przesunął dłonie dalej, wzdłuż gałęzi. Teraz była już dość cienka, by mógł mocniej spleść palce. Śmignął naprzód niczym Tarzan, odbijając się od ostrzy. Gałąź wygięła się alarmująco. Usłyszał nad głową złowieszczy trzask. Wypuścił, padając na oślep.

Wylądował kiepsko. Jedno kolano uderzyło o nagrobek, przesyłając w górę uda przeraźliwą falę bólu. Przeturlał się po trawie, trzymając się za nogę. Jego usta wygięły się w grymasie przypominającym uśmiech. Miał nadzieję, że nie strzaskał sobie rzepki kolanowej. W końcu ból zaczął ustępować i Louis odkrył, że może poruszyć stawem. Wszystko będzie dobrze, jeśli natychmiast ruszy naprzód i nie pozwoli nodze zesztywnieć. Może.

Dźwignął się i ruszył wzdłuż ogrodzenia, z powrotem w stronę Mason Street i swego sprzętu. Z początku kolano dokuczało mu bardzo mocno i kulał, wkrótce jednak ból złagodniał, zmieniając się w tępe pulsowanie. W apteczce hondy miał aspirynę. Powinien był pamiętać, żeby zabrać ją ze sobą; teraz było już za późno. Cały czas uważał na samochody i kiedy jakiś się zbliżał, cofał się głębiej na cmentarz.

Od strony Mason Street, gdzie spodziewał się większego ruchu, trzymał się dość daleko od ogrodzenia, póki nie znalazł się naprzeciwko hondy. Miał właśnie podbiec do płotu i wyciągnąć z krzaków tłumok, gdy usłyszał kroki na chodniku i cichy kobiecy śmiech. Błyskawicznie usiadł za jednym z większych nagrobków – kolano zbyt go bolało, by mógł kucać – i ujrzał parę zbliżającą się do niego ulicą. Szli, obejmując się w taliach. Ich wędrówka od jednej białej plamy światła do następnej skojarzyła się Louisowi ze starym programem telewizyjnym. Po sekundzie przypomniał sobie. „Godzina

Jimmy’ego Durante”. Co by zrobili, gdyby teraz wstał, roztańczony cień w martwym mieście umarłych, i krzyknął głucho:

– Dobranoc, pani Calabash, gdziekolwiek pani jest!

Zatrzymali się w plamie światła tuż obok jego samochodu i objęli się. Obserwując ich, Louis poczuł, jak ogarnia go zdumienie i obrzydzenie do samego siebie. Oto tkwił tu, przycupnięty za nagrobkiem niczym nie człowiek, lecz upiór, trupojad z taniego komiksu i chyłkiem śledził parę kochanków. Czy granica jest tak cienka? – zastanawiał się, i myśl ta także zabrzmiała znajomo. Tak cienka, że można przekroczyć ją ot tak, po prostu, bez żadnych starań i kłopotów? Wspiąć się na drzewo, przesunąć wzdłuż gałęzi, wskoczyć na cmentarz, podglądać kochanków… kopać dziury? To takie proste? Czy to obłęd? Osiem lat trwało, nim zostałem lekarzem, lecz rabusiem grobów stałem się w jednej chwili, ludzie mogliby mnie nazwać złodziejem trupów.

Gwałtownie przycisnął pięść do ust, by powstrzymać cisnący się na nie krzyk. Zaczął rozpaczliwie szukać owego wewnętrznego chłodu, poczucia oderwania od rzeczywistości. Znalazł go i z wdzięcznością okrył się nim jak płaszczem.

Gdy parka w końcu odeszła, Louis odprowadził ją wyłącznie niecierpliwym wzrokiem. Weszli po schodach wiodących do jednego z budynków. Mężczyzna chwilę szukał w kieszeni klucza. Po sekundzie znaleźli się już w środku. Na ulicy znów zapadła cisza, w której słychać

było jedynie stały szum wiatru, szelest drzew i lekki szmer mokrych od potu włosów lepiących się do czoła.

Louis podbiegł do ogrodzenia, schylił się i zaczął grzebać wśród krzaków w poszukiwaniu brezentowego pakunku. Wreszcie palce natrafiły na szorstki materiał. Podniósł go, słuchając dobiegającego ze środka stłumionego brzęku. Zaniósł sprzęt na szeroką żwirową dróżkę i przystanął, próbując ustalić, gdzie się znajduje. Stąd prosto. Na rozwidleniu w lewo. Nie będzie problemu.

Szedł skrajem dróżki, by w każdej chwili móc ukryć się w cieniu wiązów, jeśli okazałoby się, że na cmentarzu pracuje nocny dozorca, który akurat przypadkiem sprawdza teren. Louis wątpił w taką możliwość; ostatecznie był to jedynie małomiasteczkowy cmentarz – ale lepiej było nie ryzykować.

Na rozwidleniu skręcił w lewo i kiedy zbliżał się już do grobu Gage’a, nagle z przerażeniem uświadomił sobie, że nie pamięta, jak wyglądał jego syn. Przystanął, spoglądając między rzędy grobów, zatroskane fasady pomników i próbował przywołać przed oczy jego obraz. Pamiętał poszczególne elementy: jasne włosy, wciąż miękkie i złociste, lekko skośne oczy, małe białe ząbki, drobną zakrzywioną bliznę na podbródku – pamiątkę po upadku ze schodów w ich domu w Chicago. Widział wszystkie te rzeczy, ale nie potrafił połączyć ich w jedną spójną całość. Widział Gage’a biegnącego ku drodze, biegnącego ku wyznaczonemu spotkaniu z ciężarówką

Orinco, lecz jego twarz patrzyła w inną stronę. Próbował przypomnieć go sobie, gdy leżał w łóżeczku w noc po puszczaniu latawca, lecz oczy jego duszy widziały tylko ciemność.

Gage, gdzie jesteś?

Czy kiedykolwiek przyszło ci do głowy, Louis, że może wcale nie przysłużysz się synowi? Może jest szczęśliwy, tam dokąd trafił… może to wszystko nie są wyłącznie bzdury, choć zawsze tak sądziłeś. Może jest teraz wśród aniołów albo po prostu śpi. A jeśli śpi, czy naprawdę wiesz, z jakiego snu chcesz go obudzić?

Och, Gage, gdzie jesteś? Chcę, żebyś wrócił do domu.

Ale czy naprawdę kontrolował własne czyny? Czemu nie potrafił przypomnieć sobie twarzy Gage'a i czemu postępował wbrew ostrzeżeniom wszystkich – Juda, wyśnionego Pascowa, obawom własnego znękanego serca?

Pomyślał o nagrobkach na Cmętarzu Zwieżąt, owych prymitywnych kręgach, kreślących spiralę malejącą ku tajemnicy, i znów ogarnął go chłód. Czemu w ogóle tu stoi, próbując przywołać w pamięci twarz Gage'a?

Przecież wkrótce ją zobaczy.

Na grobie stała już płyta. Napisano na niej jedynie GAGE WILLIAM CREED, a pod spodem dwie daty. Ktoś złożył dziś wizytę zmarłemu. Pod nagrobkiem leżały świeże kwiaty. Missy Dandridge?

Serce Louisa biło mocno, lecz wolno. Nadeszła ta chwila. Jeśli miał to zrobić, powinien już zaczynać. Nie

pozostało mu zbyt wiele nocy, a po niej miał nastać dzień.

Po raz ostatni Louis wejrzał w swe serce i przekonał się, że rzeczywiście zamierza to zrobić. Niemal niedostrzegalnie skinął głową i wyłowił z kieszeni scyzoryk. Wcześniej okleił pakunek taśmą samoprzylepną; teraz musiał ją przeciąć. Rozwinął brezent u stóp grobu Gage'a niczym upiorny śpiwór i ułożył narzędzia dokładnie tak samo, jak zrobiłby to przed zaszyciem rany bądź przeprowadzeniem drobnej operacji.

Oto latarka ze szkiełkiem zakrytym filcem, tak jak sugerował sprzedawca w sklepie z narzędziami. Filc także przykleił taśmą. W środku wyciął małe koło, kładąc na materiale centa i przesuwając wzdłuż niego skalpelem. Oto kilof z krótką rączką. W zasadzie nie był mu potrzebny – przyniósł go wyłącznie na wszelki wypadek. Nie będzie musiał zmagać się z zacementowanym wiekiem, a w świeżym grobie nie powinien natknąć się na żadne kamienie. Oto szpadel, łopata, kawał liny, rękawice robocze. Włożył je, chwycił łopatę i wziął się do roboty.

Ziemia była miękka, kopało się w niej z łatwością. Kształt grobu odcinał się wyraźnie: miękki prostokąt pośród ubitej ziemi. Jego umysł odruchowo porównał łatwość, z jaką kopało się tutaj, z kamienistym, twardym podłożem miejsca, gdzie, jeśli wszystko pójdzie dobrze, ponownie pogrzebie swego syna tej samej nocy. Tam, w górze, będzie potrzebował kilofa. Potem w ogóle przestał myśleć. Myślenie jedynie przeszkadzało w pracy.

Wysypywał ziemię z lewej strony grobu, pracując w miarowym rytmie, który stawał się coraz trudniejszy do utrzymania w miarę pogłębiania się dołu. W końcu wszedł do środka, czując wokół wilgotną woń świeżej ziemi. Woń, którą pamiętał z czasów letniej pracy u wuja Carla.

Kopacz, pomyślał i przerwał, ocierając spocone czoło. Wujek Carl mówił, że nazywano tak wszystkich grabarzy w Ameryce. Przyjaciele zwali ich kopaczami.

Znów podjął pracę.

Przerwał ją jeszcze tylko raz, po to, by zerknąć na zegarek. Było dwadzieścia po dwunastej. Czuł, że czas prześlizguje mu się przez palce, niczym coś natłuszczonego, nieuchwytnego.

Czterdzieści minut później łopata zazgrzytała, uderzając o pokrywę grobu, i zęby Louisa zacisnęły się na górnej wardze, dość mocno, by przegryźć ją aż do krwi. Wyjął latarkę i poświecił. Ujrzał jeszcze więcej ziemi, a pośród niej ukośną, srebrzystoszarą linię. To był szczyt prawdziwego grobu. Louis usunął z niego ziemię, jak najlepiej potrafił. Uważał, by nie narobić zbyt wiele hałasu, skrobiąc w ciemnościach łopatą o beton.

Gdy w końcu pozbył się większości błota, wygramolił się z grobu i chwycił sznur. Przewlókł go przez żelazne pierścienie na połówce wieka. Ponownie wyszedł z grobu, położył się na brezencie i pochwycił końce sznura.

Louis, to jest to. Twoja ostatnia szansa.

Masz rację, to moja ostatnia szansa i zamierzam ją

wykorzystać.

Okręcił końce sznura na dłoniach i pociągnął. Płyta uniosła się i ze zgrzytem oparła na krawędzi. Stanęła niemal pionowo ponad plamą ciemności, pokrywa grobu zamieniona w pionowy nagrobek. Louis wywlókł sznur z pierścieni i odłożył na bok. Nie będzie go potrzebował do podniesienia drugiej połowy. Mógł stanąć na krawędziach grobu i pociągnąć.

Raz jeszcze ostrożnie zszedł do grobu, starając się nie wywrócić betonowej płyty, którą zdołał już podciągnąć, i nie zmiażdżyć sobie palców u nóg, ani nie rozbić tego cholerstwa, które było dość cienkie. Do dziury osuwały się drobne kamyczki. Słyszał, jak kilka z nich odbija się głucho od trumny Gage'a.

Nachylił się i chwycił drugą połowę wieka, ciągnąc ją ku górze. Gdy to zrobił, poczuł coś zimnego i miękkiego pod palcami. Kiedy postawił już płytę (obie połówki wieka przypominały teraz podstawki pod książki), spojrzał na swą dłoń i ujrzał tłustą, poruszającą się słabo dżdżownicę. Ze zduszonym okrzykiem Louis otarł rękę o ubitą ziemię grobu syna. Następnie poświecił w dół latarką.

Oto trumna, którą widział ostatnio, kiedy stała nad grobem na dwóch chromowanych prętach podczas pogrzebu, otoczona przez upiornie zieloną sztuczną trawę; sejf, w którym miał pogrzebać wszystkie swe nadzieje dotyczące syna. Nagle ogarnęła go wściekłość, czysta, rozpalona do białości wściekłość, absolutne

przeciwieństwo uprzedniego chłodu. Co za idiotyzm! Odpowiedź brzmiała: nie!

Louis zaczął macać ręką w poszukiwaniu łopaty. Znalazł ją, podniósł ponad ramię i z całej siły uderzył w zamek trumny – raz, drugi, trzeci, czwarty. Jego wargi wydęły się we wściekłym grymasie.

Uwolnię cię, Gage, zobaczysz!

Zamek pękł już przy pierwszym uderzeniu i prawdopodobnie następne nie były wcale konieczne, ale walił dalej, gdyż nie chciał jedynie otworzyć trumny, lecz ją zranić. Wkrótce jednak odzyskał trzeźwość umysłu – szybciej, niż mogłoby to nastąpić w innych okolicznościach – i zastygł z łopatą wzniesioną do kolejnego ciosu.

Ostrze łopaty było wyszczerbione i pogięte. Odrzucił ją na bok i na uginających się nogach wygramolił się z grobu. Czuł wzbierające mdłości. Gniew minął równie nagle, jak się pojawił. Jego miejsce znów zajął chłód; jeszcze nigdy w życiu Louis nie czuł się tak samotny i oderwany od świata, niczym astronauta, który odleciał od statku podczas zajęć w przestrzeni i teraz szybuje w bezkresnej czerni, świadom, że tlenu nie starczy mu na długo. Czy Bill Baterman czuł to samo?

Położył się na ziemi, tym razem na plecach, aby przekonać się, czy w pełni kontroluje swoje czyny i może działać dalej. Gdy słabość w nogach ustąpiła, usiadł i ponownie zsunął się w głąb dołu. Poświecił latarką na zamek i odkrył, że jest nie tylko pęknięty, lecz kompletnie

zniszczony. Wymachiwał łopatą w ślepej furii, lecz każdy cios trafiał dokładnie w cel, jakby coś nim kierowało. Drewno wokół zamka pękło.

Louis wsunął latarkę pod pachę. Przykucnął lekko. Jego ręce napięły się niczym ramiona akrobaty na trapezie w cyrku, czekającego na przechwycenie partnera po salcie śmierci.

Znalazł zagłębienie w wieku i wsunął w nie palce. Na moment znieruchomiał – właściwie nie dałoby się nazwać tego wahaniem – po czym otworzył trumnę syna.

50

Rachel Creed prawie zdążyła na lot z Bostonu do Portland. Prawie. Samolot z Chicago wystartował o czasie (samo w sobie stanowiło to cud), został natychmiast przyjęty na lotnisko La Guardia (kolejny) i opuścił Nowy Jork zaledwie z pięciominutowym opóźnieniem. W Bostonie znalazła się piętnaście minut później, niż powinna, o dwudziestej trzeciej dwanaście. To dawało jej trzynaście minut.

Wciąż mogłaby zdążyć, lecz spóźnił się autobus, który krąży po terminalach lotniska Logan. Rachel czekała w stanie bliskim paniki, przestępując z nogi na nogę, jakby musiała iść do toalety, i przerzucając torbę podróżną, pożyczoną od matki, z jednego ramienia na drugie.

Gdy o dwudziestej trzeciej dwadzieścia pięć autobus jeszcze się nie zjawił, zaczęła biec. Miała niskie obcasy, lecz mimo wszystko utrudniały jej poruszanie. Jedna z kostek ugięła się boleśnie, toteż Rachel przystanęła na sekundę, by zrzucić buty. Potem pobiegła dalej w rajstopach, mijając terminale Alleghany i Eastern Airlines, dysząc, czując w boku początki kolki.

Oddech parzył ją w gardło. Kłucie w boku stawało się coraz częstsze, bardziej bolesne. Mijała już terminal międzynarodowy; przed sobą widziała trójkątny symbol

Delty. Wpadła do środka. Niemal upuściła jeden but i złapała go w powietrzu. Była dwudziesta trzecia trzydzieści siedem.

Jeden z dwóch dyżurnych uniósł wzrok.

– Lot numer 104 – wydyszała. – Do Portland. Czy już odleciał?

Mężczyzna zerknął na monitor za plecami.

– Piszą tu, że jeszcze trwa odprawa – powiedział – ale pięć minut temu wzywali ostatnich pasażerów. Zadzwonię. Jakiś bagaż?

– Nie – wydyszała Rachel, odrzucając z oczu mokre od potu włosy. Serce galopowało jej w piersi.

– Zatem proszę nie czekać. Zadzwonię. Ale radziłbym biec. I to szybko.

Rachel nie biegła szybko. Nie była w stanie. Starała się jednak, jak mogła. Popędziła ruchomymi schodami, teraz wyłączonymi na noc, czując w ustach miedziany posmak potu. Gdy dotarła do punktu kontroli bagażu, niemal rzuciła swą torbę zdumionej strażniczce, po czym, zaciskając i rozwierając dłonie, czekała po drugiej stronie. Torba zaledwie zdążyła wynurzyć się z komory prześwietleń, gdy Rachel chwyciła pasek i pobiegła, a torba podskakiwała i obijała się jej o biodro. Biegnąc, uniosła wzrok i odczytała napis na monitorze.

LOT 104 PORTLAND ODL. 23.25 WYJŚCIE 31 ODPRAWA.

Wyjście 31 znajdowało się po drugiej stronie terminalu – a w chwili gdy Rachel ponownie zerknęła na

monitor, napis ODPRAWA zniknął, zastąpiony migającymi literami układającymi się w ODLOT.

Z jej ust wyrwał się okrzyk frustracji. Czarnoskóra kobieta, podsadzająca właśnie synka do źródełka z wodą, obejrzała się zaskoczona. Rachel podbiegła do bramy akurat w chwili, by ujrzeć stewarda ściągającego znad niej paski z napisem LOT 104 BOSTON – PORTLAND 23.25.

– Nie ma go? – spytała z niedowierzaniem. – Naprawdę go nie ma?

Steward spojrzał na nią ze współczuciem.

– Wykołował na pas o dwudziestej trzeciej czterdzieści. Przykro mi, proszę pani. Jeśli to jakieś pocieszenie, to starała się pani, jak mogła.

Wskazał ręką wysokie szklane okna. Rachel dostrzegła za nimi ogromnego boeinga 727 z oznaczeniami Delty. Jego światełka mrugały niczym lampki na choince, gdy rozpoczynał podejście do startu.

– Chryste, czy nikt nie zawiadomił pana, że zaraz będę? – krzyknęła.

– Kiedy zadzwonili z dołu, 104 był już na pasie. Gdybym go odwołał, musiałby zatrzymać się przy zjeździe na pas numer 30, a wtedy pilot obdarłby mnie ze skóry, nie mówiąc nawet o ponad setce pasażerów na pokładzie. Bardzo mi przykro. Gdyby zjawiła się pani cztery minuty wcześniej…

Rachel odeszła, nie słuchając reszty. Pokonała już pół drogi do punktu kontrolnego, gdy ogarnęła ją fala

słabości. Potykając się, dotarła do najbliższej bramy i usiadła, póki ciemność przed oczami nie ustąpiła. Powoli wsunęła na nogi buty, odczepiając od podartych rajstop rozgnieciony niedopałek papierosa Lark. Mam brudne nogi i nic mnie to nie obchodzi, pomyślała obojętnie.

Wstała i ruszyła z powrotem do terminalu. Strażnik zmierzył ją pełnym współczucia wzrokiem.

– Spóźniła się pani?

– Owszem, spóźniłam się – przytaknęła Rachel.

– Dokąd się pani wybiera?

– Do Portland. Potem do Bangor.

– Czemu zatem nie wynajmie pani samochodu, to znaczy, jeśli naprawdę musi tam pani dotrzeć? Zazwyczaj doradziłbym raczej hotel blisko lotniska, ale jeśli kiedykolwiek widziałem kogoś, kto naprawdę musi dotrzeć na miejsce, to jest to właśnie pani.

– Owszem, to jestem ja. – Rachel zastanowiła się przez moment. – Chyba rzeczywiście mogłabym to zrobić. Jeśli któraś z agencji ma jeszcze wolny wóz.

Strażnik zaśmiał się.

– Och, mają ich całe mnóstwo. Na Logan brakuje samochodów tylko wtedy, kiedy opadnie mgła. Czyli bardzo często.

Rachel ledwie go słyszała. W myślach zaczęła już obliczenia.

W żaden sposób nie zdąży do Portland na czas, by złapać lot do Bangor, nawet gdyby pędziła po autostradzie z samobójczą prędkością. Powiedzmy zatem,

że pojedzie wprost do celu. Ile to potrwa? To zależy od odległości. Umysł podpowiedział jej trzysta siedemdziesiąt kilometrów. Jud chyba kiedyś wspominał o tym. Nim wyruszy, z pewnością będzie co najmniej kwadrans po dwunastej, może nawet wpół do pierwszej. Cały czas mogła nie zjeżdżać z autostrady. Uznała, że ma duże szanse jechać sto kilometrów na godzinę; wątpiła, by policja zatrzymała ją za przekroczenie prędkości. Szybko dokonała stosownych obliczeń, dzieląc trzysta siedemdziesiąt przez sto. Niecałe cztery godziny. Cóż… powiedzmy równe cztery. Będzie musiała zatrzymać się raz i pójść do toalety. A choć w tej chwili wydawało jej się, że coś takiego jak sen w ogóle nie istnieje, znała dobrze swoje siły i wiedziała, że najpewniej będzie też musiała się zatrzymać co najmniej na jedną kawę. Mimo wszystko mogłaby dotrzeć do Ludlow przed świtem.

Powtarzając to raz jeszcze w myślach, ruszyła ku schodom – biura wynajmu samochodów znajdowały się piętro niżej niż terminale.

– Powodzenia, moja droga – zawołał za nią strażnik. – Uważaj na siebie!

– Dzięki – odparła Rachel. Czuła, że zasłużyła sobie na trochę szczęścia.

51

Smród uderzył go pierwszy i Louis cofnął się gwałtownie, czując nagłe mdłości. Zawisł na skraju grobu, oddychając ciężko, i w chwili gdy sądził już, że zdołał opanować odruch wymiotny, cały pozbawiony smaku posiłek wytrysnął mu z ust w groteskowym rozbryzgu. Zwymiotował na drugą stronę grobu, po czym, dysząc, oparł głowę o ziemię. W końcu fala mdłości odpadła. Zacisnął zęby. Wyjął latarkę spod pachy i poświecił wprost w otwartą trumnę.

Ogarnęła go głęboka groza, niemal przypominająca podziw – uczucie zazwyczaj zarezerwowane dla najgorszych nocnych koszmarów, tych, które ledwie pamięta się po obudzeniu.

Gage nie miał głowy.

Ręce Louisa drżały tak mocno, że musiał oburącz trzymać latarkę, ściskając ją tak, jak policjanci są uczeni chwytać służbowy rewolwer na strzelnicy. Mimo wszystko promień światła podskakiwał i kołysał się, i dopiero po chwili Louis zdołał skierować wąską świetlną strużkę w głąb grobu.

To niemożliwe – powtarzał w duchu. – Pamiętaj, że to, co ci się wydało, jest po prostu niemożliwe.

Powoli przesunął wąski promień w górę metrowej postaci Gage’a, od nowych butów, przez spodnie od

garnituru, małą marynarkę (Chryste, żaden dwulatek nie powinien nosić garnituru), rozpięty kołnierzyk, aż do…

Oddech wymknął mu się z ust z gwałtownym sykiem, zbyt ostrym, by być zwykłym sapnięciem. Nagle powróciła cała wściekłość z powodu śmierci Gage'a, zagłuszając lęk przed nieznanym, nadnaturalnym, oraz rosnącą pewność, że przekroczył już granicę obłędu.

Louis sięgnął do tylnej kieszeni po chusteczkę i wyciągnął ją. Jedną ręką trzymając latarkę, znów pochylił się nad grobem niemal poza punkt równowagi. Gdyby teraz jedna z płyt wieka wywróciła się, z pewnością zmiażdżyłaby mu kark. Wyciągnął rękę i delikatnie starł chusteczką wilgotny mech, porastający skórę Gage'a – mech tak ciemny, że przez moment wydało mu się, iż cała głowa zniknęła.

Mech był wilgotny, lecz nie śluzowaty. Powinien był się tego spodziewać. Padały deszcze, a grób nie był wodoszczelny. Przesuwając latarką, Louis przekonał się, że trumna leży w płytkiej kałuży. Pod cienką warstwą mchu ujrzał swego syna. Pracownik kostnicy, choć wiedział, że po tak strasznym wypadku nie otwiera się trumny, postarał się wykonać swą pracę jak najlepiej – tacy ludzie najczęściej to robili. Gdy tak patrzył na syna, przyszła mu do głowy kiepsko wykonana lalka. Z głowy Gage'a sterczały osobliwe guzy. Jego oczy zapadły się głęboko pod zamkniętymi powiekami. Z ust wystawało coś białego, niczym język-albinos, i z początku Louis sądził, że może to jakiś płyn, że użyli zbyt dużo płynu do

balsamowania. Dobieranie ilości płynu zawsze stanowiło trudne zadanie, a przy dzieciach praktycznie nie dawało się ocenić, czy jest go dosyć… czy też za dużo.

I wtedy zrozumiał, że to jedynie wata. Sięgnął po nią i wyjął z ust chłopca. Wargi Gage'a, dziwnie miękkie, i jednocześnie zbyt ciemne i za szerokie, zamknęły się z cichym, lecz słyszalnym „plip". Louis cisnął watę w głąb grobu; przez chwilę unosiła się na powierzchni kałuży, połyskując ohydną bielą. Jeden z policzków chłopca zapadł się jak u starca.

– Gage – szepnął Louis – zabiorę cię teraz, zgoda?

Modlił się, by nikt się nie zjawił – dozorca dokonujący obchodu po północy, ktoś taki. I nie chodziło tu bynajmniej o to, że zostanie złapany. Gdyby promień czyjejś latarki przyszpilił go, gdy tak stał w grobie, zajmując się ponurą pracą, Louis chwyciłby wygiętą, poszczerbioną łopatę i rozwalił nią czaszkę intruza.

Wsunął ręce pod Gage'a. Ciało zakołysało się bezwładnie z boku na bok i Louisa ogarnęła nagła straszliwa pewność, że kiedy podniesie chłopca, jego zwłoki rozpadną się na kawałki. A on zostanie tak, stojąc ze stopami wspartymi o krawędzie grobu, pośród szczątków, krzycząc, i tak właśnie go znajdą.

No dalej, tchórzu! Zaczynaj!

Złapał Gage'a pod pachami, czując cuchnącą wilgoć, i podniósł go, tak jak często podnosił go z wieczornej kąpieli. Głowa Gage'a opadła do tyłu, aż na środek pleców, i Louis ponownie zakrztusił się, czując

wzbierające mdłości na widok uśmiechniętego kręgu szwów, trzymających ją na miejscu. Jakimś cudem, dysząc, z żołądkiem ściśniętym od woni i miękkości zmiażdżonego ciała syna, Louis zdołał wydobyć je najpierw z trumny, a potem z grobu. W końcu usiadł na krawędzi dziury ze zwłokami na kolanach i stopami dyndającymi w głębi dołu. Jego twarz nabrała przeraźliwej sinawej barwy, oczy zapadły się niczym dwie czarne dziury, a usta wygięły w drżący łuk zgrozy, litości i żalu.

– Gage – powiedział i zaczął kołysać synka w ramionach. Włosy Gage'a opadły na przegub Louisa, pozbawione życia jak druty. – Gage, wszystko będzie dobrze. Przysięgam ci, Gage, wszystko będzie dobrze. Wszystko się skończy. Jeszcze tylko ta noc. Proszę, Gage. Kocham cię. Tatuś cię kocha.

Louis kołysał swojego syna.

Kwadrans przed drugą Louis był gotów do opuszczenia cmentarza. Samo przenoszenie ciała okazało się najgorsze – właśnie w tym momencie jego wewnętrzny astronauta, umysł, zdawał się szybować w najgłębszej otchłani. A przecież teraz, odpoczywając, czując przeraźliwy ból pleców w miejscach, gdzie wyczerpane mięśnie podskakiwały i kurczyły się, zdawał sobie sprawę, że może jednak wrócić. Aż do początku.

Złożył ciało Gage'a na brezencie i zawinął je. Okręcił tłumok długimi pasmami taśmy samoprzylepnej, po czym przeciął sznur na pół i starannie związał oba końce. Z

daleka przypominało to zrolowany dywan, nic więcej. Zamknął trumnę, po czym po chwili zastanowienia otworzył ją ponownie i wrzucił do środka wygiętą łopatę. Niech Pleasantview zachowa ją sobie. Jego syna nie dostanie. Zamknął trumnę, po czym spuścił połowę cementowego wieka grobu. Z początku miał zamiar po prostu pchnąć drugą płytę, bał się jednak, że pęknie. Po chwili zastanowienia przewlókł przez żelazne pierścienie pasek i tak opuścił betonowy kwadrat delikatnie na miejsce. Następnie szpadlem wypełnił dziurę. Nie starczyło mu ziemi, by całkowicie wyrównać powierzchnię grobu; nigdy jej nie starczało. Zapadnięty grób może zostać zauważony, albo i nie; albo też zauważony i zlekceważony. Nie zamierzał w ogóle o tym myśleć ani się tym przejmować. Przynajmniej tej nocy. Zbyt wiele go jeszcze czekało. Więcej szalonej pracy, a był bardzo zmęczony.

Hey-ho, let's go.

– Jasne – mruknął. Nagły powiew wiatru ze skowytem omiótł drzewa i Louis obejrzał się niespokojnie. Położył obok pakunku szpadel, kilof, którego jeszcze w ogóle nie zdążył użyć, rękawice i latarkę. Bardzo kusiło go, by sobie poświecić, odrzucił jednak pokusę. Pozostawiając zwłoki i narzędzia, Louis wrócił w miejsce, z którego przyszedł, i po pięciu minutach dotarł do wysokiego żelaznego ogrodzenia. Dokładnie tam, po drugiej stronie ulicy, stała jego honda, zaparkowana porządnie przy krawężniku. Tak blisko, a

jednocześnie tak daleko.

Louis przyglądał się jej przez chwilę, po czym ruszył w drugą stronę. Tym razem oddalał się od bramy, maszerując wzdłuż ogrodzenia, póki to nie skręciło, oddalając się od Mason Street pod niemal prostym kątem. Znajdował się tu rów odwadniający i Louis zajrzał do niego. To, co zobaczył, sprawiło, że zadrżał. W rowie leżała masa gnijących kwiatów, kolejne warstwy zmywane przez deszcze i śniegi.

Chryste!

Nie, nie Chryste. Te ofiary złożono na cześć znacznie starszego boga niż ten chrześcijański. Ludzie w różnych czasach nazywali go różnymi imionami, lecz myślę, że siostra Rachel znalazła mu idealne miano: Oz Wiejki i Wsaniały. Bóg rzeczy martwych, pozostawionych w ziemi, by zgniły. Bóg Tajemnicy.

Louis jak zahipnotyzowany wpatrywał się w głąb rowu. W końcu z lekkim sapnięciem oderwał od niego wzrok – z sapnięciem człowieka, który się ocknął bądź został przebudzony z hipnotycznego transu przez ostatnią liczbę podczas odliczania do dziesięciu.

Ruszył dalej. Nie musiał iść zbyt daleko, by znaleźć to, czego szukał. Podejrzewał, iż jego umysł zachował tę szczególną informację już w dniu pogrzebu Gage’a.

W miejscu, do którego dotarł w wietrznych ciemnościach, wznosiła się cmentarna krypta.

Przechowywano w niej trumny zimą, gdy grunt był tak zamarznięty, że nawet koparka nie zdołałaby go

poruszyć. Używano jej także, gdy w interesie zapanował nagły ruch – coś w rodzaju chłodni dla ludzi.

W tym, co wujek Carl nazywał „zimnym interesem", od czasu do czasu zdarzały się nagłe przypływy. Louis dobrze o tym wiedział. W każdej populacji następują okresy, kiedy bez żadnego widocznego powodu nagle umiera mnóstwo ludzi.

– Wszystko się wyrównuje – mawiał wujek Carl. – Jeśli mamy w maju dwa tygodnie, podczas których nikt nie umiera, Lou, to wiem, że mogę liczyć na dwa tygodnie ruchu w listopadzie, gdy przyjdzie mi urządzić dziesięć pogrzebów. Tyle że tak naprawdę to rzadko zdarza się w listopadzie, a nigdy w okolicy świąt, choć ludzie zawsze sądzą, że to wtedy umiera mnóstwo osób. Cała ta gadanina o świątecznej depresji to stek bzdur. Spytaj każdego przedsiębiorcy pogrzebowego. W czasie świąt większość ludzi jest szczęśliwa i pragnie żyć. Toteż żyją. Zwykle to w lutym notujemy gwałtowny ruch w interesie. Grypa zabija starych ludzi, zapalenie płuc także zbiera swe żniwo – ale to nie wszystko. Są też ludzie, którzy jak szaleni walczą z rakiem, przez rok, szesnaście miesięcy, a potem nastaje paskudny luty i nagle zmęczenie bierze górę, a rak przetacza się po nich niczym walec. Trzydziestego pierwszego stycznia rak się cofa i czują się zdrowi, dwudziestego czwartego lutego tkwią już w ziemi. W lutym ludzie miewają zawały, wylewy, gwałtowne niewydolności nerek. To paskudny miesiąc. W lutym ludzie męczą się życiem. My, pracujący w tym

interesie, już do tego przywykliśmy, ale też bez specjalnych powodów coś takiego może wydarzyć się w czerwcu czy październiku. Nigdy w sierpniu. Sierpień to spokojny miesiąc. Jeśli w okolicy nie wybuchnie przewód gazowy albo autobus miejski nie spadnie z mostu, w sierpniu nigdy nie wypełnimy krypty. Bywało już jednak, że w lutym ustawialiśmy trumny w trzech warstwach, modląc się o odwilż, abyśmy mogli zakopać część z nich, zanim będziemy musieli wynająć im lodowe mieszkanka w mieście.

Wujek Carl roześmiał się, a Louis, poznawszy sekret, którego nie znali nawet nauczyciele na akademii medycznej, także wybuchnął śmiechem.

Podwójne drzwi krypty osadzono w porośniętym trawą zboczu pagórka o kształcie równie naturalnym i czarującym jak kopuła kobiecej piersi. Pagórek ten (Louis podejrzewał, że został on sztucznie stworzony – był po prostu zbyt doskonale symetryczny) wznosił się zaledwie pół metra poniżej ozdobnych szpikulców żelaznego ogrodzenia. Jego szczyt nie był zaokrąglony, lecz spłaszczony.

Louis obejrzał się wokół i pośpiesznie wdrapał na górę. Po drugiej stronie rozciągała się pusta parcela, licząca może dwa akry powierzchni.

Nie… nie do końca pusta. Stał na niej samotny budynek, przypominający zwykłą szopę. Pewnie należy do cmentarza, pomyślał Louis. Zapewne tam właśnie przechowują sprzęt i narzędzia.

Latarnie uliczne przeświecały przez rozkołysane liście szpaleru drzew – starych wiązów i klonów – osłaniających to miejsce od Mason Street. Louis nie dostrzegł tu żadnego innego ruchu.

Zjechał z powrotem na siedzeniu, bojąc się upadku i ponownego zranienia kolana, i powrócił na grób syna, niemal potykając się o brezentowy zawój. Natychmiast pojął, że będzie musiał pokonać tę drogę dwukrotnie, raz z ciałem, a drugi raz z narzędziami. Schylił się, boleśnie krzywiąc twarz, gdy jego plecy zaprotestowały gwałtownie, i chwycił sztywny brezentowy tłumok. Czuł, jak w środku przelewa się ciało Gage'a, i z uporem ignorował tę część swego umysłu, która szeptała do niego bez przerwy, że oszalał.

Zaniósł ciało do stóp pagórka, kryjącego w sobie kryptę cmentarną Pleasantview. Podwójne stalowe drzwi sprawiały, że była dziwnie podobna do garażu na dwa samochody. Wiedział, co musi zrobić, jeśli chce wnieść dwudziestokilowy pakunek na strome zbocze, teraz gdy nie miał już sznura (pożałował, że nie zachował go na później, ale nie ma co płakać nad rozlanym mlekiem), i przygotował się. Cofnął się, po czym wbiegł na zbocze pochylony do przodu, pozwalając, by rozpęd poniósł go możliwie jak najdalej. Nim jego stopy poślizgnęły się na krótkiej mokrej trawie, dotarł prawie na szczyt. Padając, cisnął pakunek jak najdalej od siebie. Zawój wylądował niemal na szczycie pagórka. Louis, gramoląc się, pokonał resztę zbocza. Znów się rozejrzał, nie dostrzegł nikogo i

oparł brezentowy zawój o ogrodzenie. Potem wrócił po resztę swych rzeczy.

Ponownie wspiął się na szczyt pagórka. Wciągnął rękawice i ułożył latarkę, kilof i szpadel obok brezentu. Następnie odpoczął, oparty plecami o pręty ogrodzenia, z rękami na kolanach. Nowy zegarek elektroniczny, który dostał od Rachel na gwiazdkę, poinformował go, że minęła druga zero jeden.

Dał sobie pięć minut na pozbieranie sił. Potem przerzucił szpadel nad ogrodzeniem. Usłyszał, jak pada na trawę. Próbował wsunąć w spodnie latarkę, ale nic z tego nie wyszło. Przełożył ją pomiędzy dwoma żelaznymi prętami i słuchał, jak stacza się w dół zbocza. Miał nadzieję, że nie wpadnie na kamień i nie stłucze się. Pożałował, że nie zabrał plecaka.

Teraz wyjął z kieszeni kurtki rolkę taśmy klejącej i przyczepił nią metalowy kraniec kilofa do brezentu, okręcając raz po raz, zaciskając taśmę na metalowych ramionach kilofa i wokół tłumoka. Robił to, aż skończyła mu się taśma; pustą rolkę wsunął z powrotem do kieszeni. Uniósł pakunek i dźwignął go za ogrodzenie (jego plecy zawrzeszczały z protestu; wiedział, że cały tydzień będzie płacił za wysiłki tej nocy), i upuścił go, wzdrygając się, gdy usłyszał miękkie plaśnięcie o ziemię.

Przełożył nogę przez płot, chwycił dwa dekoracyjne wąskie ostrza i przerzucił drugą nogę. Zjechał na dół, wbijając czubki butów w ziemię między prętami. Potem opadł na trawę.

Zsunął się po zboczu pagórka i zaczął macać wokół. Natychmiast znalazł szpadel; choć szpaler drzew niemal całkowicie przesłaniał światło latarni, jej płomyk zdołał odbić się od srebrzystego ostrza. Louis przeżył kilka okropnych chwil, szukając latarki. Jak daleko mogła odturlać się w trawie? Opadł na czworaka, obmacując gęste poszycie. Serce waliło mu jak młotem, oddech ze świstem wydostawał się z ust.

Wreszcie ją znalazł: cienki czarny cień, jakieś półtora metra od miejsca, w którym rozpoczął poszukiwania. Tak jak wzgórze osłaniające kryptę cmentarną, latarkę także zdradziła regularność kształtów. Chwycił ją, osłonił dłonią zaklejone filcem szkiełko i przesunął mały gumowy sutek na rączce, ukrywający przełącznik światła. Jego dłoń rozjarzyła się na moment i Louis natychmiast zgasił latarkę. Działała. Scyzorykiem odciął kilof od brezentowego zawoju i zaniósł narzędzia pod drzewa. Stanął za najgrubszym pniem, oglądając się na obie strony Mason Street. Ulica była zupełnie pusta. Dostrzegł tylko jedno światło – kwadrat złocistożółtego blasku w pokoju na górze. Ktoś cierpiący na bezsenność bądź chory.

Poruszając się szybko, lecz nie biegiem, Louis wyszedł na chodnik. Po ciemności cmentarza w blasku latarni czuł się okropnie odsłonięty. Oto stał zaledwie kilka metrów od drugiego co do wielkości cmentarzyska w Bangor, z kilofem, szpadlem i latarką w ramionach. Gdyby ktoś go teraz zobaczył, trudno byłoby uniknąć

skojarzeń.

Pospiesznie przeszedł przez ulicę; jego obcasy głucho uderzały o asfalt. Dojrzał hondę zaparkowaną zaledwie pięćdziesiąt metrów dalej. Louisowi wydało się, że dzieli go od niej pięć kilometrów. Zlany potem podszedł do samochodu, cały czas nadsłuchując odgłosów silników, kroków innych niż własne czy może zgrzytu otwieranego okna.

Dotarł do hondy, oparł kilof i szpadel obok wozu i zaczął szukać kluczyków. Nie było ich tam, w żadnej kieszeni. Na jego czoło wystąpił świeży pot, serce znów przyspieszyło biegu. Zacisnął zęby, dusząc w sobie narastającą panikę.

Zgubił je najprawdopodobniej, skacząc z gałęzi, kiedy uderzył kolanem o nagrobek i przeturlał się po ziemi. Jego kluczyki leżą gdzieś w trawie. Ale jeśli z takim trudem znalazł latarkę, to jakim cudem je odzyska? To był koniec. Jeden drobny pech, i koniec.

Chwileczkę. Jedną cholerną chwilkę. Jeszcze raz sprawdź kieszenie. Masz w nich drobne, a skoro one nie wypadły, to klucze też nie.

Tym razem wolniej sprawdził kieszenie, wyciągając wszystkie drobne i nawet wywracając je na lewą stronę.

Ani śladu kluczy.

Louis oparł się o samochód, zastanawiając się, co dalej. Będzie musiał przejść przez płot, zostawić syna tam, gdzie był, zabrać latarkę, przekraść się z powrotem i spędzić resztę nocy na bezowocnych poszukiwaniach…

Nagle nasunął mu się nowy pomysł.

Louis schylił się i zajrzał do hondy. Kluczyki tkwiły w stacyjce.

Z jego ust wymknął się cichy pomruk. Potem Louis pobiegł na drugą stronę, szarpnął drzwi i wyciągnął kluczyki. W myślach usłyszał nagle władczy głos ponurego Karla Maldena, z nosem jak kartofel i staroświeckim kapeluszem z szerokim rondem. „Zamykaj samochód. Zabieraj kluczyki. Nie zachęcaj dobrych chłopców do zejścia na złą drogę”.

Przeszedł na tył hondy i otworzył bagażnik. Schował do środka kilof, szpadel i latarkę, po czym zatrzasnął tył. Zdążył odejść już piętnaście, dwadzieścia metrów, nim przypomniał sobie o kluczykach. Tym razem zostawił je w zamku bagażnika.

Dureń! – wściekał się na samego siebie. Jeśli masz być tak cholernie głupi, to lepiej zapomnij o wszystkim.

Zawrócił i wziął klucze.

Trzymał w ramionach Gage’a i zdołał pokonać już niemal całą Mason Street, gdy gdzieś zaczął szczekać pies. Nie tak po prostu szczekać. Zaczął wyć. Jego donośny skowyt wypełnił całą ulicę. Auuu-RUUU! Auuu-RUUU!

Louis natychmiast schował się za drzewem, zastanawiając się, co będzie dalej. Co ma teraz robić? Stał, spodziewając się, że lada moment na całej ulicy rozbłysną światła. W istocie zaświeciło się tylko jedno, z boku domu dokładnie naprzeciwko miejsca, gdzie Louis

ukrył się wśród cieni. W chwilę później szorstki głos wrzasnął:

– Zamknij się, Fred!

Auuu-RUUU! – odpowiedział Fred.

– Ucisz go, Scanlon, albo wezwę policję – ryknął ktoś z drugiej strony ulicy.

Louis podskoczył, uświadamiając sobie, jak fałszywe jest złudzenie pustki i samotności. Otaczali go ludzie, setki oczu, a pies atakował sen, jego jedynego sprzymierzeńca. Niech cię diabli porwą, Fred, pomyślał. Niech cię diabli.

Fred rozpoczął kolejny koncert. Zdołał wyśpiewać piękne auuu, ale nim przeszedł do donośnego RUUU, rozległo się głośne pacnięcie, po którym nastąpiła seria cichych pisków i szczeknięć.

Lekkie trzaśnięcie drzwi, a potem cisza. Światło z boku domu Freda płonęło jeszcze przez chwilę, po czym zgasło.

Louis miał potężną ochotę zostać w cieniu, zaczekać. Z pewnością lepiej będzie zaczekać, aż wszystko ucichnie. Ale zaczynało brakować mu czasu.

– Ruszajmy – mruknął.

Dźwigając tłumok, przeszedł przez ulicę i wrócił do hondy. Wokół nie widział nikogo; Fred także siedział cicho. Louis ścisnął pakunek jedną ręką, wyjął kluczyki, otworzył bagażnik.

Gage nie chciał się zmieścić.

Louis próbował ustawić zawój pionowo, potem

poziomo, wreszcie ukośnie. Bagażnik hondy był po prostu za mały. Mógł jakoś wcisnąć do niego pakunek – Gage nie miałby nic przeciw temu – ale Louis po prostu nie potrafił zmusić się do tego.

No dalej! Dalej, dalej, dalej. Wynośmy się stąd. Nie przeciągajmy struny.

Stał jednak jak ogłupiały, wyprany z pomysłów. W ramionach trzymał pakunek z ciałem syna. Nagle usłyszał dźwięk nadjeżdżającego samochodu i bez namysłu zaniósł brezentowy tłumok na drugą stronę. Otworzył drzwi i ustawił go na fotelu pasażera, zginając w miejscach, gdzie, jak sądził, Gage miał talię i kolana.

Zatrzasnął drzwi, przebiegł na tył hondy i zamknął bagażnik. Samochód, nie zwalniając, przejechał przez skrzyżowanie i Louis usłyszał pijackie okrzyki. Usiadł za kierownicą, uruchomił silnik i sięgał właśnie po włącznik reflektorów, gdy przyszła mu do głowy potworna myśl: A jeśli Gage tkwił w fotelu twarzą do tyłu, ze stawami biodrowymi i kolanowymi wykręconymi w złą stronę, a jego zapadnięte oczy, zamiast przez przednią, wyglądają przez tylną szybę?

To nie ma znaczenia, odparł jego umysł z wściekłością zrodzoną z wyczerpania. Wbijesz to sobie wreszcie do głowy? To po prostu nie ma znaczenia.

Ależ ma! To ma znaczenie. To jest Gage, nie kłąb ręczników.

Wyciągnął rękę i łagodnie zaczął obmacywać dłońmi brezentową powłokę, wyczuwając ukryte pod nią

kształty. Wyglądał jak ślepiec, próbujący ustalić, na co się natknął. W końcu natrafił na coś wystającego, co mogło być tylko nosem Gage'a – zwróconym we właściwą stronę.

Dopiero wtedy Louis zdołał zmusić się do wrzucenia biegu i wyruszenia w dwudziestopięciominutową drogę powrotną do Ludlow.

52

O pierwszej w nocy Juda Crandalla obudził przeraźliwy dzwonek telefonu, dźwięczący ogłuszająco w pustym domu. Jud drzemał i nawiedził go sen. Znów miał dwadzieścia trzy lata. Siedział na ławce w szopie z narzędziami na kolei wraz z George'em Chapinem i René Michaudem. Podawali sobie z rąk do rąk butelkę whisky Georgia Charger – podrasowanego samogonu ze znaczkiem skarbowym – a na zewnątrz dmuchał wiatr z północnego wschodu, ze skowytem śmigając nad ziemią i uciszając wszystko, co odważyło się poruszyć, łącznie z ciężkimi kolejowymi maszynami z B&A. Siedzieli zatem wokół pękatego piecyka i pili, patrząc, jak widoczne za płytą z miki czerwone płomienie rzucają ukośne plamy światła na podłogę, i opowiadali sobie historie, które mężczyźni kryją wewnątrz latami, niczym tanie skarby ukrywane przez chłopców pod łóżkami, historie zachowywane na noce takie jak ta. Podobnie jak blask rozżarzonego piecyka, były to mroczne opowieści, kryjące w sobie czerwone, rozpalone jądro; historie spowite w płaszcz wiatru. Miał dwadzieścia trzy lata, Norma wciąż żyła (choć obecnie leżała sama w łóżku; wątpił, by spodziewała się go tej szalonej nocy), a René Michaud opowiadał anegdotę o żydowskim handlarzu w Bucksport, który…

I wtedy zadzwonił telefon. Jud gwałtownie szarpnął się w fotelu; skrzywił się, gdy zesztywniałe mięśnie karku zaprotestowały. Czuł, jak przygniata go nieznośny ciężar – to wszystkie te lata, pomyślał. Lata pomiędzy dwudziestym trzecim rokiem życia a osiemdziesiątym, w sumie pięćdziesiąt siedem, które spadły na niego w jednej chwili. A po tej myśli przyszła następna. ***Spałeś, chłopie. Nie tak kieruje się tą koleją… Nie dziś w nocy.***

Wstał, wyprostowany mimo sztywnych pleców, i podszedł do telefonu.

To była Rachel.

– Halo?

– Jud? Czy on już wrócił?

– Nie – odparł Jud. – Rachel, gdzie jesteś? Wydaje się, jakbyś była bliżej.

– Jestem bliżej – odparła Rachel. I choć rzeczywiście jej głos dochodził jakby z niedaleka, drut przenosił też wyraźny pomruk: odgłos wiatru, gdzieś pomiędzy domem w Ludlow a miejscem, gdzie się znalazła. Tej nocy wiatr był naprawdę silny. Jego szum zawsze przywodził Judowi na myśl martwe głosy, wzdychające unisono, może nawet śpiewające coś tuż poza zasięgiem słuchu. – Dokładnie na zjeździe w Biddeford, na autostradzie stanowej Maine.

– Biddeford!

– Nie mogłam zostać w Chicago. Mnie też to dopadło… cokolwiek wstąpiło w Ellie, dosięgnęło również mnie. Ty też to czujesz. Słyszę to w twoim głosie.

– Ano. – Wyjął z paczki chesterfielda i wsunął go w kącik ust. Zapalił drewnianą zapałkę i przez moment obserwował migotliwy płomyk. Jego dłoń drżała. Nigdy wcześniej nie trzęsły się mu dłonie, a przynajmniej nie przed tym koszmarem. Na zewnątrz mroczny wiatr zaskowyczał, pochwycił rękami dom i potrząsnął nim.

Jego moc rośnie. Czuję to.

Mroczna groza w starych kościach, niczym delikatny szklany bibelot, lekki, kruchy.

– Jud, proszę, powiedz mi, co się dzieje.

Przypuszczał, że miała prawo wiedzieć – powinna wiedzieć. I chyba jej powie. W końcu opowie jej całą historię, pokaże łańcuch, wykuty ogniwo po ogniwie. Atak serca Normy. Śmierć kota. Pytanie Louisa – czy ktokolwiek pogrzebał tam kiedyś człowieka? Śmierć Gage'a… a Bóg jeden wie, jakie następne ogniwo mógł w tej chwili wykuwać sam Louis. W końcu jej powie, ale nie przez telefon.

– Rachel, czemu jesteś na autostradzie zamiast w samolocie?

Wyjaśniła, jak spóźniła się na samolot w Bostonie.

– Wynajęłam samochód w Avisie, ale nie jadę tak szybko, jak sądziłam. Zabłądziłam w drodze z lotniska na autostradę i dopiero teraz przekroczyłam granicę Maine. Wątpię, bym dotarła na miejsce przed świtem. Ale Jud… proszę, proszę powiedz mi, co się dzieje. Tak bardzo się boję i nie wiem nawet czego.

– Rachel, posłuchaj mnie – rzekł Jud. – Dojedź do

Portland i zrób sobie przerwę. Zrozumiałaś? Zamelduj się w motelu i…

– Jud, nie mogę tego…

– I prześpij się. Bez obaw, Rachel. Może dziś coś się zdarzy, a może i nie. Jeśli tak – i jeśli będzie to to, o czym myślę – wówczas i tak wolałabyś tu nie być. Sam potrafię się tym zająć. Lepiej, żeby tak było, bo wszystko, co się dzieje, to moja wina. Jeśli nic się nie stanie, dotrzesz tu po południu. Myślę, że Louis ucieszy się na twój widok.

– Nie zdołałabym zasnąć tej nocy, Jud.

– Tak – odrzekł i uzmysłowił sobie, że on także tak sądził; do diabła, Piotr pewnie też tak myślał w noc, kiedy aresztowano Jezusa. Sen na warcie.

– Owszem, możesz. Rachel, jeśli zaśniesz za kierownicą wynajętego samochodu, zjedziesz z drogi i zabijesz się, co będzie z Louisem? I z Ellie?

– Powiedz mi, co się dzieje? Jeśli mi to powiesz, Jud, może posłucham twojej rady, ale muszę wiedzieć.

– Kiedy dotrzesz do Ludlow, chcę, żebyś przyjechała najpierw tutaj – powiedział Jud. – Nie do waszego domu. Wtedy opowiem ci wszystko, co wiem, Rachel. A tymczasem będę czekał na Louisa.

– Powiedz mi! – błagała.

– Nie, proszę pani. Nie przez telefon. Nie mogę, Rachel. A teraz jedź już. Zatrzymaj się w Portland i prześpij.

Przez chwilę w słuchawce panowała długa, pełna namysłu cisza.

– Zgoda – oznajmiła w końcu Rachel. – Rzeczywiście miałam problemy z sennością. Może masz rację, Jud, ale powiedz mi jedno. Powiedz, jak jest źle.

– Dam sobie radę – odparł spokojnie Jud. – Gorzej już raczej nie będzie.

Na zewnątrz pojawiły się reflektory samochodu, wolno poruszały się w mroku. Jud na wpół podniósł się z krzesła, obserwując je, a potem znów usiadł, gdy przyśpieszyły obok domu Creedów i zniknęły mu z oczu.

– Dobrze – powiedziała. – Chyba masz rację. Myśl o dalszej jeździe ciąży mi w głowie jak kamień.

– Zrzuć z siebie ten kamień, moja droga. Proszę, zachowaj siły na jutro. Tu nic się nie stanie.

– Obiecujesz, że opowiesz mi wszystko?

– Tak. Napijemy się piwa i usłyszysz całą historię.

– Do widzenia zatem – powiedziała Rachel. – Na razie.

– Na razie – zgodził się Jud. – Do zobaczenia jutro, Rachel. – Zanim zdążyła cokolwiek powiedzieć, odwiesił słuchawkę.

Zdawało mu się, że w szafce z lekarstwami powinny być pastylki kofeiny, ale nie mógł ich znaleźć. Nie bez żalu odstawił resztę piwa do lodówki i zamiast tego zaparzył sobie kubek czarnej kawy. Zaniósł go do okna i znów usiadł, sącząc gorący płyn i obserwując drogę.

Kawa i rozmowa z Rachel pobudziły go na trzy kwadranse, potem jednak znów zaczął przysypiać.

Tylko bez spania na służbie, starcze. Pozwoliłeś, by

cię opanowało. Kupiłeś coś, a teraz musisz zapłacić. Więc nie ma mowy o spaniu.

Zapalił następnego papierosa, głęboko zaciągnął się dymem i zakrztusił. Z jego ust dobył się chrapliwy starczy kaszel. Odłożył papierosa w zagłębienie popielniczki i rękami potarł oczy. Na zewnątrz, po drodze, przemknęła wielka ciężarówka. Jej światła rozbłysły w mroku wietrznej, niespokojnej nocy.

Znów przyłapał się na tym, że przysypia. Gwałtownie otrząsnął się i uderzył się w twarz, z jednej, z drugiej strony, aż zadzwoniło mu w uszach. W jego sercu odezwała się groza, podstępny gość, który wtargnął w najtajniejsze miejsce ducha.

To mnie usypia… hipnotyzuje… czy coś takiego. Nie chce, żebym czuwał, bo on wkrótce wróci. O, tak, czuję to. A to miejsce chce, bym do tego czasu wypadł z gry.

– Nie – powiedział ponuro. – Nie ma mowy. Słyszysz mnie? Wreszcie to zakończę. Sprawy i tak zaszły za daleko.

Wiatr zawodził wokół gontów. Drzewa po drugiej stronie drogi potrząsały liśćmi w powolnym hipnotycznym rytmie. Jego myśli powróciły do owej nocy przy piecyku w szopie z narzędziami, która stała w miejscu, gdzie teraz w Brewer wznosi się sklep z meblami Evardsa. Przegadali całą noc – on, George i René Michaud. A teraz z całej trójki pozostał już tylko on. René zginął, zmiażdżony pomiędzy dwoma wagonami towarowymi, w burzliwą marcową noc w

tysiąc dziewięćset trzydziestym dziewiątym. George Chapin w zeszłym roku zmarł na atak serca. Z tak wielu pozostał tylko on sam, a na starość ludzie głupieją. Czasami skrywają swą głupotę pod maską łagodności i uprzejmości, a czasami dumy – dumy, która każe zdradzać stare sekrety, przekazywać wiedzę, przelewać ze starej szklanki do nowej i…

I ten żydowski handlarz zjawił się u nas i mówi: Mam coś, czego jeszcze nie widzieliście. Te kartki wyglądają zupełnie jak kobity w kostiumach kąpielowych, póki nie przetrzeć ich mokrą ścierką, a wtedy…

Głowa Juda opadła. Jego podbródek powoli, łagodnie oparł się na piersiach.

…wtedy robią się gołe, jak je Pan Bóg stworzył. Ale gdy wyschną, ubrania wracają na miejsce. A to jeszcze nie wszystko. Mam…

René opowiadał swą historię w szopie, nachylając się naprzód ze śmiechu, a Jud trzymał butelkę – czuł butelkę i jego dłonie zamknęły się w powietrzu. W popielniczce kawałek popiołu na końcu papierosa stawał się coraz dłuższy. W końcu papieros wpadł do środka i wypalił się, pozostawiając po sobie wałek popiołu, wyraźny niczym znak runiczny. Jud spał.

A kiedy jakieś czterdzieści minut później na zewnątrz rozbłysły tylne światła i Louis skręcił swą hondą na podjazd przed domem i wprowadził ją do garażu, Jud nie obudził się, nawet nie drgnął, tak samo jak Piotr, gdy

rzymscy żołnierze zjawili się, by aresztować włóczęgę imieniem Jezus.

53

Louis znalazł w kieszeni w kuchni nową rolkę taśmy klejącej, a w rogu garażu obok starych opon śnieżnych tkwił zwój liny. Użył taśmy, by związać razem kilof i szpadel. Z liny uplótł szeroką pętlę.

Narzędzia na pętli. Gage w ramionach.

Zarzucił pętlę na plecy. Otworzył drzwi hondy od strony pasażera i wyciągnął brezentowy pakunek. Gage był znacznie cięższy niż Church. Możliwe, że zanim dotaszczy go na cmentarzysko Micmaców, będzie już pełzał ze zmęczenia – a wciąż pozostanie jeszcze kwestia wykopania grobu, przebicia się przez kamienistą, bezlitosną ziemię.

Nieważne. Poradzi sobie. Jakoś sobie poradzi.

Louis Creed wyszedł z garażu, po drodze łokciem gasząc światło. Przez moment przystanął w miejscu, gdzie asfalt ustępował miejsca trawie. Przed sobą wyraźnie, mimo panującego mroku, widział ścieżkę wiodącą na Cmętarz Zwieżąt. Krótko przycięta trawa lśniła niezdrowym blaskiem.

Palce wiatru szarpały i przeczesywały mu włosy. Przez moment powrócił stary, dziecinny lęk przed ciemnością, który sprawił, że Louis poczuł się mały, słaby i przerażony. Czy naprawdę zamierzał pójść do lasu z trupem w ramionach? Przejść pod drzewami, tam gdzie

stąpa tylko wiatr, z ciemności w mrok? Naprawdę chciał zrobić to sam?

Nie myśl o tym. Po prostu to zrób.

Louis ruszył naprzód.

Gdy dwadzieścia minut później dotarł na Cmętarz Zwieżąt, ręce i nogi dygotały mu ze zmęczenia. Osunął się na ziemię, dysząc, z brezentowym zwojem na kolanach. Odpoczywał tam kolejnych dwadzieścia minut, niemal drzemiąc. Nie czuł już strachu – najwyraźniej przegnało go znużenie.

Wreszcie znów dźwignął się, nie wierząc, że zdoła pokonać wiatrołom, lecz z tępo obojętną świadomością, że musi spróbować. Pakunek w jego ramionach zdawał się ważyć sto kilo zamiast dwudziestu.

Jednak to, co stało się kiedyś, powtórzyło się i teraz. Zupełnie jakby przypomniał sobie dawny sen. Nie, nie przypomniał – przeżył go od nowa. Gdy postawił stopę na pierwszym martwym pniu, znów ogarnęło go dziwne uczucie, niemal szaleńcze podniecenie. Zmęczenie nie zniknęło, lecz stało się znośne – nieważne.

Po prostu idź za mną. Idź za mną i nie patrz w dół. Nie wahaj się i nie patrz w dół. Znam drogę, ale musimy działać szybko i pewnie.

Szybko i pewnie. O, tak – tak samo jak Jud, kiedy wyjął żądło.

Znam drogę.

Ale istniała tylko jedna droga, pomyślał Louis. Albo cię przepuściła, albo nie. Kiedyś próbował już sam

wspiąć się na wiatrołom i nie zdołał. Tym razem dokonał tego szybko i pewnie, tak jak owej nocy, gdy Jud pokazał mu drogę.

W górę i w górę, nie patrząc w dół. Tuląc do siebie ciało syna, zawinięte w brezentowy całun. W górę, póki wiatr znów nie zaczął wytyczać sobie tajemnych komnat i korytarzy pośród jego włosów, szarpiąc nimi i rozdzielając tam i z powrotem. Przez moment zatrzymał się na szczycie, po czym szybko zszedł na drugą stronę jak po zwykłych schodach. Kilof i szpadel pobrzękiwały mu głucho na plecach. Po minucie stał już na sprężystej, zasłanej jodłowymi szpilkami ścieżce; wiatrołom wznosił się za jego plecami, potężny i masywny, wyższy niż ogrodzenie cmentarza.

A potem ruszył ścieżką ze swym synem, nasłuchując jęków wiatru wśród drzew. Dźwięk ów nie budził już w nim strachu. Nocne dzieło prawie się dokonało.

54

Rachel Creed minęła tablicę z napisem: ZJAZD 8 W PRAWO PORTLAND WESTBROOK, włączyła kierunkowskaz i skierowała chevette z Avisu w stronę ślimaka. Na tle nocnego nieba widziała wyraźny neon Holiday Inn. Łóżko. Sen. Koniec dręczącego, nieznośnego, tajemniczego napięcia. Koniec też – przynajmniej na jakiś czas – bolesnej pustki, pozostawionej przez dziecko, które odeszło. Odkryła, iż ból ów przypomina uczucie po usunięciu zęba. Z początku nie czuje się nic, lecz nawet wtedy, poprzez odrętwienie, można dostrzec ból skulony niczym kot wymachujący ogonem; czekający na to, by się obudzić – a kiedy znieczulenie ustępuje, wszystkie oczekiwania sprawdzają się z nawiązką.

Powiedział jej, że przysłano go z ostrzeżeniem… ale że nie może ingerować. Powiedział, że był blisko taty, bo byli razem, gdy jego dusza oderwała się od ciała.

Jud wie, ale nic mi nie powie. Coś się dzieje. Ale co?

Samobójstwo? Czy to samobójstwo? Nie Louis, nie wierzę. Ale kłamał. Widziałam to w jego oczach… do diabła, w całej twarzy. Zupełnie jakby chciał, abym to dostrzegła… dostrzegła i powstrzymała go… W głębi duszy bał się… tak bardzo się bał.

Bał się? Louis nigdy się nie boi!

Nagle gwałtownie szarpnęła kierownicę chevette, skręcając w lewo. Samochód zareagował natychmiast, jak zwykle małe wozy. Opony zapiszczały na asfalcie. Przez moment Rachel miała wrażenie, że się wywróci, potem jednak wóz wyrównał bieg i w chwilę później znów jechała na północ, pozostawiając za sobą zjazd numer 8, z kojącym neonem Holiday Inn. Przed jej oczami pojawił się nowy znak. Odblaskowa farba połyskiwała niesamowitym światłem. NASTĘPNY ZJAZD TRASA 12 CUMBERLAND CENTRUM CUMBERLAND JERUSALEM FALMOUTH FORESIDE.

Jerusalem, pomyślała przelotnie Rachel. Co za dziwna nazwa. Z jakichś przyczyn wydawała się nieprzyjemna. „Przybądź i zaśnij w Jerusalem”.

Ona jednak nie będzie spała tej nocy. Mimo rady Juda zamierzała jechać prosto do domu. Jud wiedział, co się dzieje, i przyrzekł, że wszystko załatwi, ale miał przecież osiemdziesiąt parę lat, i zaledwie trzy miesiące wcześniej stracił żonę. Nie mogła w pełni mu zaufać. Nigdy nie pozwoliłaby Louisowi wyrzucić się tak z domu, gdyby nie osłabiła jej śmierć Gage’a. Ellie z fotografią przedstawiającą Gage’a i napiętą twarzą – twarzą dziecka, które przeżyło atak trąby powietrznej bądź nagłe bombardowanie, piorun z jasnego nieba. Czasami podczas owej mrocznej nocy pragnęła znienawidzić Louisa za rozpacz, którą spłodził w jej ciele, i za to, że nie pocieszył jej, gdy tego potrzebowała (ani nie pozwolił ukoić się pociechą, którą pragnęła mu dać), lecz nie

mogła. Wciąż zanadto go kochała. A jego twarz była taka blada… taka czujna.

Strzałka szybkościomierza chevette znieruchomiała tuż na prawo od dziewięćdziesięciu kilometrów na godzinę. Półtora kilometra na minutę. Dwie godziny piętnaście minut do Ludlow. Może jednak zdąży tam przed świtem.

Sięgała do gałki radia, włączyła je, znalazła rockandrollową stację w Portland. Zrobiła głośniej i zaczęła śpiewać, próbując w ten sposób się ocucić. Po półgodzinie stacja zaczęła cichnąć, zanikać. Rachel przestroiła radio na radiostację w Auguście i otworzyła okno, wpuszczając do środka niespokojne nocne powietrze.

Zastanawiała się, czy ta noc kiedykolwiek się skończy.

55

Louis na nowo odkrył swój sen i pozwolił mu opanować się bez reszty. Co kilka chwil spuszczał wzrok, by się upewnić, że dźwiga ciało zawinięte w brezent, nie trupa w zielonym foliowym worku. Przypomniał sobie, jak obudził się rankiem po tym, gdy Jud zabrał go tu z Churchem, i ledwie pamiętał, co zrobili – teraz jednak pamięta także, jak ożywione były wówczas jego zmysły, jak wyraźne stawały się wszystkie wrażenia; jak jego umysł sięgał naprzód, dotykając drzew, jakby one również żyły i nawiązywały telepatyczny kontakt z jego mózgiem.

Podążał ścieżką w górę i w dół, odkrywając na nowo miejsca, w których zdawała się szeroka niczym trasa numer 15, i te, gdzie zwężała się tak, że musiał iść bokiem, by brezentowy pakunek nie zaplątał się w krzakach; miejsca, na których dróżka zagłębiała się pomiędzy wyniosłe niczym katedry pnie drzew. Czuł w powietrzu ostrą woń sosnowej żywicy. Słyszał dziwny chrzęst igieł pod stopami – odgłos będący bardziej uczuciem niż dźwiękiem.

Wreszcie ścieżka zaczęła stromiej opadać w dół. Po jakimś czasie jego stopa natrafiła na cienką warstwę wody i zanurzyła się w czymś lepkim i gęstym – ruchomych piaskach, jeśli miał wierzyć Judowi. Louis

spuścił wzrok i ujrzał wodę stojącą pomiędzy kępami trzcin i niskimi, paskudnymi krzewami, o liściach tak szerokich, że niemal tropikalnych. Pamiętał, że tamtej nocy powietrze także zdawało się jaśniejsze, bardziej naładowane, elektryczne.

Następny kawałek trochę przypomina wiatrołom. Musisz iść prosto i bez wahania. Po prostu rób to, co ja, i nie patrz pod nogi.

Jasne… A tak przy okazji, czy widziałeś kiedyś w Maine podobne rośliny. W Maine bądź gdziekolwiek indziej? Co to jest, na Boga?

Nieważne, Louis. Po prostu ruszajmy.

Znów podjął wędrówkę. Patrzył pod nogi na podmokłą, bagienną roślinność – tylko przez moment, wystarczający, by dostrzec pierwszą kępę trawy, a potem spoglądał jedynie przed siebie. Jego stopy przeskakiwały z jednej wysepki na drugą. ***Wiara to przyjęcie przyciągania ziemskiego jako czegoś oczywistego***. Nie usłyszał tych słów podczas zajęć z teologii czy filozofii w college'u, lecz w liceum, gdy nauczyciel fizyki wypowiedział je mimochodem pod koniec zajęć. Louis nigdy ich nie zapomniał.

Zaakceptował zdolność cmentarzyska Micmaców do wskrzeszania umarłych i zagłębił się w Moczary Małego Boga, trzymając w ramionach syna i nie oglądając się za siebie. Na bagnach panował znacznie większy hałas niż wówczas, pod koniec jesieni. Wśród trzcin śpiewały rzekotki. Ich piskliwy chór wydał się Louisowi obcy i

wrogi. Od czasu do czasu z gardła żaby dobywał się odgłos przypominający dźwięk szarpniętej gumy. Po jakichś dwudziestu krokach ku Louisowi śmignął dziwny cień. Może był to nietoperz.

Z ziemi unosiła się mgła. Najpierw spowiła tylko jego stopy, potem łydki, aż w końcu zamknęła go całego w przejrzystej, białej kapsule. Miał wrażenie, że tutejsze światło jest jaśniejsze i pulsuje w rytm bicia jakiegoś niesamowitego serca. Nigdy wcześniej nie czuł tak silnie obecności natury jako siły łączącej w sobie wszystko, prawdziwej istoty… może nawet rozumnej. Moczary żyły, lecz nie wypełniał ich dźwięk muzyki. Gdyby ktoś zażądał, by Louis określił owo uczucie, opisał naturę owego dziwnego życia, nie potrafiłby tego uczynić. Wyczuwał w nim jednak mnóstwo możliwości i ogromną siłę. W porównaniu z nim Louis czuł się bardzo mały i wyjątkowo śmiertelny.

I wówczas rozległ się dźwięk. Louis przypomniał go sobie z poprzedniej wyprawy: wysoki, jękliwy śmiech, który przerodził się w szloch. Na moment zapadła cisza, po czym śmiech powtórzył się, tym razem wznosząc się w upiornym pisku, który zmroził krew w żyłach Louisa. Mgła unosiła się sennie wokół. Śmiech ucichł, pozostawiając jedynie szum wiatru; Louis słyszał wichurę, ale już jej nie czuł. Oczywiście, znajdował się przecież w geologicznym zagłębieniu w ziemi. Gdyby wiatr zdołał tu przeniknąć, rozdarłby mgłę na strzępy – a Louis nie był pewien, czy chciałby zobaczyć to, co mogło

ukazać się wówczas jego oczom.

Możesz usłyszeć dźwięki przypominające głosy, ale to tylko nury na południu Wzgórza Widokowego. Dźwięk daleko się niesie. Jest dziwny.

– Nury – powiedział głośno Louis, i ledwie rozpoznał ochrypły, niemal upiorny dźwięk własnego głosu.

Zawahał się chwilę, po czym ruszył naprzód. Jakby chcąc ukarać go za tę chwilę wahania, jego stopa ześliznęła się z następnej kępy i o mało nie stracił buta. W ostatniej chwili wyrwał go z zachłannej mazi, skrytej pod płytką wodą.

Głos ów – jeśli to był głos – odezwał się ponownie, tym razem z lewej strony. Chwilę później zabrzmiał za jego plecami… tuż za jego plecami, i Louis poczuł, że gdyby się odwrócił, ujrzałby skąpaną w krwi istotę, stojącą pół metra za nim. Lśniące oczy, wyszczerzone zęby… Lecz tym razem nawet nie zwolnił. Patrzył wprost przed siebie i szedł naprzód.

Nagle mgła jakby przygasła i uświadomił sobie, że w powietrzu przed nim wisi twarz wykrzywiona w obłąkańczym uśmiechu. Jej oczy, skośne jak na klasycznych, chińskich malowidłach, miały barwę głębokiej żółci i szarości, zapadnięte i lśniące. Usta wygięły się w śmiertelnym grymasie. Wywrócona dolna warga ukazywała zęby, czarnobrązowe i spróchniałe niemal do pieńków. Louisa jednak najbardziej uderzyły uszy, które w istocie nie były uszami, lecz zakrzywionymi rogami – nie diabła, ale barana.

Ta upiorna, szybująca w powietrzu głowa zdawała się coś mówić – śmiać się. Jej usta poruszały się, choć wywrócona dolna warga nigdy nie powróciła na właściwe miejsce. Odsłonięte żyły pulsowały czernią. Nozdrza poruszały się jak żywe, wyrzucając z siebie białe obłoczki pary.

Gdy Louis zbliżył się do niej, z ust głowy wysunął się język: długi, brudnożółty i spiczasty. Pokrywały go obłażące łuski. Na oczach Louisa jedna z nich odskoczyła niczym pokrywa włazu i ukazał się pod nią biały robak. Czubek języka kołysał się leniwie w powietrzu, nieco poniżej miejsca, gdzie powinno znajdować się jabłko Adama. Głowa śmiała się.

Louis przytulił mocniej do piersi Gage'a, jakby chciał go obronić. Zachwiał się i jego stopy zaczęły zsuwać się z trawiastej kępy, nie znajdując oparcia.

Możesz zobaczyć ognie świętego Elma; marynarze nazywają je błędnymi ognikami. Przybierają zabawne kształty, ale to nic wielkiego. Jeśli dostrzeżesz jakieś kształty i nie spodobają ci się, po prostu odwróć wzrok…

Głos Juda rozbrzmiewający w głowie dodał mu sił. Louis znów pewniej ruszył naprzód. Z początku chwiał się, wkrótce jednak odzyskał równowagę. Nie odwrócił wzroku, dostrzegł jednak, iż twarz – jeśli w ogóle była twarzą, a nie złudą, wytworem mgły i jego własnego umysłu – zdawała się zawsze utrzymywać w stałej odległości. W kilka sekund, może minut później po prostu rozpłynęła się we mgle.

To nie był ogień świętego Elma.

Nie, oczywiście, że nie. W miejscu tym roiło się od duchów, wręcz od nich wibrowało. Człowiek mógł się obejrzeć i ujrzeć coś, co doprowadziłoby go do obłędu. Lepiej o tym nie myśleć. Nie ma powodu, by zastanawiać się nad tym. Nie ma powodu…

Coś się zbliżało.

Louis zamarł, słuchając owego odgłosu… nieubłaganie zbliżającego się dźwięku. Jego usta otwarły się, jakby wszystkie mięśnie podtrzymujące szczękę po prostu zniknęły.

Był to dźwięk nieprzypominający niczego, co słyszał w życiu – żywy, potężny odgłos. Rozlegał się gdzieś w pobliżu i zbliżał coraz bardziej. Gałęzie pękały z łoskotem. Towarzyszył mu trzask i szmer krzaków, załamujących się pod niewyobrażalnie wielkimi stopami. Galaretowata ziemia pod nogami Louisa zaczęła dygotać do wtóru kroków. Uświadomił sobie, że jęczy

(o mój Boże, dobry Boże, cóż takiego zbliża się do mnie przez mgłę?)

i znów przyciska do piersi Gage’a. Zorientował się, iż rzekotki i żaby umilkły. W gęstym, wilgotnym powietrzu rozszedł się niesamowity, mdlący smród, przypominający ciepłą, zepsutą wieprzowinę.

Cokolwiek to było, było wielkie.

Oszołomiona, przerażona twarz Louisa wznosiła się coraz wyżej, jak u człowieka podążającego wzrokiem za wystrzeloną rakietą. To coś zbliżało się z łoskotem. Nagle

rozległ się ogłuszający trzask drzewa – nie gałęzi, całego drzewa – padającego w pobliżu.

I wtedy Louis coś ujrzał.

Na moment wśród mgły pojawiła się ciemniejsza szarosina sylwetka, niewyraźna plama, mająca ponad dwadzieścia metrów wysokości. Nie był to cień czy bezcielesny duch – Louis czuł na twarzy powiew powietrza towarzyszący jego przejściu. Słyszał ogłuszający huk stóp opadających na ziemię, mlaskanie błota, gdy odrywały się i wznosiły.

Przez sekundę wydało mu się, że wysoko w górze dostrzega bliźniacze pomarańczowożółte iskierki. Iskierki przypominające oczy.

A potem dźwięk zaczął cichnąć. Gdy oddalił się nieco, pośród drzew nieśmiało odezwała się rzekotka. Odpowiedziała jej druga. Trzecia dołączyła do żabiej rozmowy. Czwarta zmieniła rozmowę w dyskusję, piąta i szósta w konferencję. Odgłosy przejścia owej istoty (powolne, lecz nieprzypadkowe. Może to właśnie było najgorsze: owo poczucie, że to coś poruszało się świadomie) oddalały się na północ. Były ciche… coraz cichsze… aż w końcu zniknęły.

Wreszcie Louis znów ruszył naprzód. Jego ramiona i plecy były jednym zamarzniętym morzem bólu. Od szyi po kostki pokrywał go płaszcz potu, ciasny i gorący. Pierwsze wiosenne komary, nowo wyklute i głodne, odnalazły go i wpadły na późną przekąskę.

Wendigo! Chryste Panie, to był Wendigo, istota,

która wędruje przez północne ziemie, istota, która może cię dotknąć i zamienić w kanibala. To było to. Wendigo przeszedł właśnie pięćdziesiąt metrów ode mnie.

Nie bądź śmieszny, upomniał się w duchu. Bądź jak Jud, unikaj myśli o tym, co można zobaczyć bądź usłyszeć poza Cmętarzem Zwieżąt – są tam nury, ognie świętego Elma, może nawet członkowie drużyny nowojorskich Yankees. Wszystko, byle nie stwory, które skaczą, pełzają i wiją się w świecie ***pomiędzy***. Niechaj istnieje Bóg, niedzielne poranki i uśmiechnięci księża w lśniąco białych ornatach. Lecz nie owe mroczne, upiorne koszmary, ukryte w ciemnościach wszechświata.

Louis szedł dalej ze swym synem. Po jakimś czasie ziemia pod stopami stwardniała. Chwilę później dotarł do zwalonego drzewa. W rozwiewającej się mgle jego korona przypominała szarozieloną pierzastą szczotkę, porzuconą przez olbrzymią gosposię.

Drzewo było złamane – strzaskane – a pęknięcie tak świeże, że z żółtobiałego miąższu wciąż jeszcze wyciekał sok. Louis czuł jego ciepło pod palcami, kiedy wdrapywał się na pień – a po drugiej stronie ujrzał potworne zagłębienie w ziemi, z którego musiał się wygramolić. I choć krzaki jałowca i wawrzyny zostały wgniecione w ziemię, nie dopuścił do siebie myśli, iż może to być odcisk stopy. Oddaliwszy się nieco, mógł oczywiście odwrócić się i spojrzeć z góry, by sprawdzić, czy ma odpowiedni kształt, lecz nie zrobił tego. Szedł dalej z lodowatą skórą, suchymi, palącymi ustami i bijącym

sercem.

Wkrótce mlaskanie błota pod stopami ucichło. Przez jakiś czas znów słyszał cichy chrzęst jodłowych szpilek, a potem dotarł do skał. Był już prawie na miejscu.

Grunt zaczął wznosić się coraz szybciej. Nagle jego łydka boleśnie uderzyła w skalny występ, ale nie był to zwykły kamień. Louis niezdarnie wyciągnął rękę (zesztywniały łokieć zapłonął przelotnym bólem) i dotknął go.

Są tu stopnie wycięte w skale. Idź za mną. Kiedy wejdziemy na szczyt, będziemy na miejscu.

Toteż zaczął się wspinać i podniecenie powróciło, raz jeszcze odsuwając zmęczenie… przynajmniej odrobinę. W myślach liczył kolejne stopnie, wznosząc się ku mroźnym wyżynom i z powrotem zanurzając w nigdy niecichnącą rzekę wiatru, teraz silniejszą, szarpiącą jego ubraniem i z trzaskiem atakującą spowijający Gage'a brezent, który łopotał niczym wciągnięty na maszt żagiel.

Raz jeden Louis odchylił głowę i ujrzał płonącą na niebie szaleńczą orgię gwiazd. Nie dostrzegł żadnych znajomych konstelacji i poruszony odwrócił wzrok. Skalna ściana tuż obok niego, nie gładka, lecz spękana, pofalowana i zwietrzała, przybierała różne kształty – tu łodzi, tam borsuka, ówdzie ludzkiej twarzy o zapadniętych, frasobliwych oczach. Tylko wycięte w kamieniu stopnie pozostawały gładkie.

Louis dotarł na szczyt i zatrzymał się tam ze spuszczoną głową. Chwiał się na nogach, z ust ze świstem

ulatywał oddech. Płuca bolały go niczym zmaltretowane bokserskie worki, w bok wbijała się drzazga bólu.

Wiatr tańczył mu we włosach niczym tancerka; ryczał w uszach jak smok.

Tej nocy tutejsze światło było jaśniejsze. Poprzednim razem niebo zasnuły chmury, a może po prostu nie zwracał uwagi? Nieważne; teraz widział i to, co ujrzał, wystarczyło, by po plecach Louisa przebiegł kolejny dreszcz.

Miejsce to wyglądało jak Cmętarz Zwieżąt.

Oczywiście, wiedziałeś przecież, szepnął jego umysł, gdy Louis przyglądał się stosom kamieni, niegdyś tworzącym kopce. Albo powinieneś był wiedzieć; nie koncentryczne kręgi, lecz spirala…

Owszem. Tu, na szczycie kamiennego płaskowyżu, zwrócona ku lodowatym gwiazdom i czarnym przestrzeniom między nimi widniała gigantyczna spirala, stworzona, jak powiedzieliby starsi ludzie, różnorakimi rękami. Jednakże nie składały się na nią kopce. Każdy z nich został rozsadzony od środka, gdy coś pogrzebanego pod nim powróciło do życia… i wykopało się z ziemi. To same kamienie upadły tak, by utworzyć wyraźny kształt spirali.

Czy ktokolwiek widział to miejsce z powietrza? – zastanowił się przelotnie Louis i pomyślał o pustynnych rysunkach, które jakiś szczep Indian pozostawił po sobie w Ameryce Południowej. Czy ktoś oglądał to kiedyś z powietrza? A jeśli tak, ciekawe, co sobie pomyślał?

Ukląkł i z jękiem ulgi położył ciało Gage’a na ziemi. Wreszcie zaczęła wracać mu świadomość. Scyzorykiem rozciął taśmę oplatającą zawieszony na plecach kilof i szpadel. Narzędzia z brzękiem runęły na ziemię. Louis przekręcił się na plecy. Chwilę leżał tak z rozrzuconymi ramionami, patrząc tępo w gwiazdy.

Co to było, to w lesie? Louis, Louis, naprawdę sądzisz, że sztuka, w której coś takiego pojawia się w obsadzie, mogłaby dobrze się skończyć?

Było już jednak za późno, by się wycofać. A on o tym wiedział.

Poza tym, powtarzał w myślach, wciąż jeszcze wszystko może być dobrze. Nie ma zysku bez ryzyka, ani ryzyka bez miłości. Wciąż mam swoją torbę. Nie tę na dole, lecz w łazience, na najwyższej półce; tę, po którą posłałem Ellie, gdy Norma miała atak serca. Są tam strzykawki. Jeśli coś się stanie… coś złego… nikt poza mną nie będzie musiał o niczym wiedzieć.

Jego myśli rozpłynęły się w bezładnej, monotonnej modlitwie. Ręce sięgnęły po kilof. Wciąż klęcząc, Louis zaczął rozkopywać ziemię. Za każdym razem, gdy z całej siły opuszczał kilof, padał na niego swym ciężarem, niczym starożytny Rzymianin rzucający się na własny miecz. Stopniowo jednak dziura nabrała kształtów i głębokości. Zaczął wyrzucać z niej kamienie. Większość po prostu ciskał na bok, wraz z rosnącym stosem ziemi, ale część zachował.

Na kopiec.

56

Rachel biła się po twarzy, aż zaczęła ją piec skóra, a mimo to wciąż przysypiała. Raz ocknęła się gwałtownie (była już w Pittsfield i autostrada należała wyłącznie do niej) i przez ułamek sekundy wydało jej się, że obserwują ją dziesiątki srebrzystych bezlitosnych oczu, lśniących głodnym, lodowatym blaskiem.

Potem zaś oczy zniknęły i ujrzała przed sobą małe lampki na słupkach wzdłuż drogi. Chevette zjechała na bok i zbliżała się do pobocza.

Rachel gwałtownie szarpnęła kierownicę w lewo; opony zapiszczały i wydało jej się, że usłyszała lekki stuk: to mógł być prawy przedni błotnik muskający jeden ze słupków. Serce podskoczyło jej w piersi i zaczęło tłuc się tak mocno między żebrami, że ujrzała przed oczami ciemne plamki, rosnące i malejące w rytm uderzeń. A jednak w chwilę później, mimo otarcia się o śmierć, przerażenia i głosu Roberta Gordona wrzeszczącego „Red Hot” w radiu, znów zaczęła drzemać.

Nagle przyszła jej do głowy szalona, paranoiczna myśl. To zmęczenie, bez wątpienia tylko zmęczenie, ale zaczynała wierzyć, że coś próbuje ją powstrzymać przed dotarciem tej nocy do Ludlow.

– Rzeczywiście paranoja – mruknęła zagłuszana przez rock and rolla. Próbowała się roześmiać, ale nie mogła.

Niezupełnie. Bo myśl ta pozostała jej w głowie, a środek nocy przydał jej niesamowitej, upiornej wiarygodności. Zaczynała czuć się jak postać z kreskówki, która biegnąc, natknęła się na gumę należącą do gigantycznej procy. Biedakowi coraz trudniej jest przesuwać się naprzód, aż w końcu zgromadzona energia gumy zrównuje się z energią biegacza… inercja przekształca się… w co?… podstawy fizyki… coś próbuje ją powstrzymać… ***trzymaj się od tego z daleka…*** ciało w spoczynku dąży do spoczynku… ***na przykład ciało Gage'a…*** raz wprawione w ruch…

Tym razem pisk opon był głośniejszy, przez chwilę rozległ się donośny zgrzyt – to samochód otarł się o stalowe liny rozpięte między słupkami, które zdarły lakier, odsłaniając lśniący metal. Przez chwilę kierownica nie reagowała, a potem Rachel stanęła na hamulcu, płacząc. Tym razem spała, nie po prostu drzemała, ale spała przy prędkości dziewięćdziesięciu kilometrów na godzinę. Gdyby nie słupki… gdyby natrafiła akurat na zjazd…

Zjechała na bok, zaparkowała samochód i zaczęła płakać na dobre, oszołomiona i przerażona.

Coś próbuje mnie do niego nie dopuścić.

Kiedy poczuła, że odzyskuje równowagę, znów ruszyła naprzód – układ kierowniczy małego samochodu nie został uszkodzony, przypuszczała jednak, że kiedy jutro zwróci samochód, firma Avis będzie miała kilka poważnych zastrzeżeń.

Nieważne, nie wszystko naraz. Najpierw muszę wlać w siebie trochę kawy, to najważniejsze.

Gdy z mroku wyłonił się zjazd na Pittsfield, Rachel skręciła. Jakieś półtora kilometra dalej dotarła do jasnych lamp sodowych i miarowego pomruku diesli. Skręciła na stację, poprosiła o zatankowanie chevette (ktoś nieźle zadrapał jej bok, zauważył niemal z podziwem pracownik stacji), a potem ruszyła do restauracji przesyconej wonią starego tłuszczu do smażenia, jajek w proszku i, na szczęście, dobrej mocnej kawy.

Rachel wypiła trzy filiżanki, jedną za drugą, jak lekarstwo – czarne, dosłodzone mnóstwem cukru. Kilku kierowców ciężarówek siedziało przy kontuarze bądź przy dalszych stolikach, żartując z kelnerkami, które wszystkie jakimś cudem w blasku jarzeniówek przypominały zmęczone pielęgniarki.

Zapłaciła rachunek i wróciła w miejsce, gdzie zaparkowała chevette. Silnik nie chciał zapalić. Gdy przekręciła kluczyk, słychać było tylko cichy szczęk rozrusznika i nic poza tym.

Rachel zaczęła wolno, bezsilnie tłuc pięściami o kierownicę. Coś próbowało ją zatrzymać. Nie istniał żaden powód, dla którego ten samochód, nowiutki, mający na liczniku zaledwie siedem tysięcy kilometrów, miałby kompletnie wysiąść. Lecz tak się stało. Jakoś do tego doszło i oto tkwiła tu uwięziona w Pittsfield, wciąż ponad siedemdziesiąt kilometrów od domu.

Słuchała kojącego szumu silników wielkich

ciężarówek; nagle z niezachwianą złowieszczą pewnością pomyślała, że ciężarówka, która zabiła jej syna, też tam jest… i nie mruczy, ale śmieje się w głos.

Rachel spuściła głowę i zaczęła płakać.

57

Louis potknął się o coś i runął na ziemię. Przez moment wątpił, by był w stanie się podnieść – wykraczało to poza jego możliwości. Po prostu będzie tu leżał, słuchając chóru rzekotek dochodzącego z leżących gdzieś za nim Moczarów Małego Boga i czując odpowiadający im chór skurczów i bólów wewnątrz własnego ciała. Będzie tu leżał, póki nie zaśnie. Albo nie umrze. Prawdopodobnie to drugie.

Pamiętał, jak wsunął brezentowy zawój do wykopanej przez siebie dziury i gołymi rękami wepchnął do niej większość ziemi. Zdawało mu się też, że pamięta układanie kamieni, budowę stosu od szerokiej podstawy po czubek…

Z dalszych wydarzeń nie przypominał już sobie prawie nic. Niewątpliwie zszedł po schodach, w przeciwnym razie nie byłby tutaj, czyli… gdzie? Rozejrzał się wokół i odniósł wrażenie, że poznaje jedną z kęp wielkich starych sosen nieopodal wiatrołomu. Czyżby, sam o tym nie wiedząc, przeszedł całą powrotną drogę przez Moczary Małego Boga? Przypuszczał, że to możliwe. Ledwie, ale możliwe.

Zaszedłem już dość daleko. Po prostu tu zasnę.

Lecz właśnie ta myśl, fałszywie kojąca, sprawiła, że dźwignął się i ruszył naprzód. Bo gdyby tu został, ta rzecz

mogłaby go znaleźć. Istota, która w tej chwili mogła wędrować po lesie i szukać go.

Potarł dłonią twarz od brody aż po czoło i z niemądrym zdumieniem dostrzegł na ręce krew. W którymś momencie musiał mieć krwotok z nosa.

– Kogo to, kurwa, obchodzi? – mruknął do siebie ochryple i zaczął niechętnie macać wokół, póki nie znalazł kilofa i szpadla.

W dziesięć minut później ujrzał przed sobą masyw wiatrołomu. Louis wdrapał się na niego, potykając się raz po raz, lecz jakimś cudem nie upadł, aż niemal znalazł się na dole. Wtedy zerknął pod nogi. Jedna z gałęzi natychmiast trzasnęła (nie patrz w dół, uprzedzał Jud), po niej kolejna; jego stopa poleciała naprzód, a on z łoskotem runął na bok, gwałtownie wypuszczając powietrze z płuc.

Niech mnie diabli, jeśli to nie drugi cmentarz, na który dziś spadłem… i jeśli o mnie chodzi, dwa zupełnie wystarczą.

Znów zaczął macać wokół w poszukiwaniu kilofa i szpadla, w końcu jego wędrujące dłonie natrafiły na narzędzia. Przez moment przyglądał się otoczeniu, widocznemu w blasku gwiazd. W pobliżu znajdował się grób SMUCKY'EGO. Był posłuszny, pomyślał ze znużeniem Louis. I TRIXIE, ZABITA NA DRODZE. Wciąż wiał silny wiatr i Louis słyszał ciche ding-ding-ding kawałka blachy – może kiedyś była to puszka del monte, starannie rozcięta cęgami ojca przez pogrążonego

w żałobie właściciela zwierzęcia, a potem rozpłaszczona młotkiem i przybita do patyka. I nagle strach znów powrócił. Louis był zbyt zmęczony, by czuć w sobie suchy gorący płomień lęku, raczej słabe, budzące mdłości pulsowanie grozy. Zrobił to. Z niewiadomych przyczyn owe miarowe ding-ding-ding dobiegające z ciemności sprawiło, że w pełni pojął, co się stało tej nocy.

Szedł przez Cmętarz Zwieżąt, mijając grób MARTY, NASZEJ KRULICZKI, która ZMARŁA 1 MARCA 1965 i nieopodal pagórka GEN. PATTONA przekroczył nierówny kawałek deski, oznaczający ostatnie miejsce spoczynku POLINEZJI. Brzęk metalu stawał się coraz głośniejszy i Louis przystanął, spuszczając wzrok. Tu, na lekko nachylonej, wbitej w ziemię desce wisiał blaszany prostokąt. W blasku gwiazd Louis odczytał: RINGO NASZ HOMIK 1964–1965. Właśnie ten kawałek blachy obijał się raz po raz o deski łuku wejściowego na Cmętarz Zwieżąt. Louis schylił się, by go odgiąć… i zamarł, czując gwałtowny dreszcz.

Z tyłu coś się poruszało. Coś poruszało się po drugiej stronie wiatrołomu.

Usłyszał ciche podstępne odgłosy – delikatny szelest jodłowych szpilek, suchy trzask jodłowej gałązki, chrzęst krzaków. Wszystkie te odgłosy niemal zupełnie zagłuszał szum wiatru wśród jodeł.

– Gage? – zawołał ochryple Louis.

Sama świadomość tego, co robi – stoi w ciemności i wzywa swego martwego syna – sprawiła, że skóra

zdrętwiała mu na głowie, a włosy uniosły się sztywno. Zaczął dygotać, bezradnie, niepowstrzymanie, jakby wstrząsała nim mordercza gorączka.

– Gage?

Dźwięki ucichły.

Jeszcze nie, jeszcze za wcześnie. Nie pytaj mnie, skąd wiem, ale wiem. To nie jest Gage. To… coś innego.

Nagle przypomniał sobie Ellie mówiącą: ***Zawołał „Łazarzu, powstań”… bo gdyby nie wezwał Łazarza po imieniu, powstaliby wszyscy na cmentarzu.***

Po drugiej stronie wiatrołomu znów odezwały się dźwięki. Po drugiej stronie bariery. Niemal – lecz nie do końca – zagłuszone powiewami wiatru. Zupełnie jakby coś ślepego podążało jego śladem, kierując się pradawnym instynktem. Potwornie pobudzony mózg natychmiast przywołał upiorne ohydne obrazy: olbrzymi kret, wielki nietoperz, który zamiast frunąć, trzepocze się w krzakach.

Louis wycofał się z Cmętarza Zwieżąt, nie odwracając się plecami do wiatrołomu – owego upiornego migotania, żywej jaśniejącej szramy przecinającej ciemność – póki nie znalazł się na ścieżce. Potem przyśpieszył kroku i jakieś pół kilometra przed tym, nim ścieżka wynurza się z lasów i wychodzi na łąkę za domem, zebrał w sobie dość sił, by pobiec.

Obojętnie cisnął kilof i szpadel w głąb garażu. Przez moment stanął na końcu podjazdu, patrząc najpierw w stronę, z której przyszedł, a potem na niebo. Było

piętnaście po czwartej nad ranem. Przypuszczał, że wkrótce zacznie świtać. Słońce pokonało już trzy czwarte drogi przez Atlantyk, na razie jednak tu, w Ludlow, noc trzymała się dobrze. Cały czas wiał wiatr.

Wszedł do domu, wymacując drogę wzdłuż ściany garażu i otwierając tylne drzwi. Nie zapalając światła, przeszedł przez nie i znalazł się w małej łazience pomiędzy kuchnią a jadalnią. Tu dopiero zapalił lampę. Pierwszą rzeczą, jaką ujrzał, był Church, zwinięty w kłębek na spłuczce. Kot patrzył na niego mętnymi żółtymi oczami.

– Church – rzekł Louis. – Myślałem, że ktoś cię wypuścił.

Church jedynie patrzył na niego ze zbiornika spłuczki. O tak, ktoś wypuścił Churcha; on sam to zrobił. Pamiętał to bardzo wyraźnie. Tak jak pamiętał wymianę szyby w piwnicy i ulgę na myśl, że rozwiązał problem. Kogo dokładnie oszukiwał? Kiedy Church chciał wejść do środka, to wchodził. Bo Church był teraz inny.

Nie miało to jednak znaczenia. Otępiałe zmęczenie po wydarzeniach nocy sprawiało, że nic już nie miało znaczenia. Czuł się jak nie człowiek, jak jeden z bezmyślnych zombi Romera albo może ktoś, kto uciekł z poematu Eliota o próżnych ludziach. Powinienem mieć szponów pary dwie i przebiec przez Moczary Małego Boga aż do cmentarzyska Micmaców, pomyślał i zaśmiał się cierpko.

– Głowa pełna siana, Church – rzekł ochryple,

rozpinając koszulę. – To ja. Lepiej, byś w to uwierzył.

Na lewym boku ujrzał wielki wyraźny siniec, gdzieś w połowie klatki piersiowej. A gdy zsunął spodnie, przekonał się, że kolano, którym uderzył o nagrobek, spuchło jak balon. Przybrało już fioletowoczarną barwę zgnilizny. Przypuszczał, że gdy tylko przestanie nim poruszać, staw zupełnie zesztywnieje, jakby ktoś wykąpał go w cemencie. Wyglądało to na jedno z tych obrażeń, które lubią gawędzić sobie z właścicielem w deszczowe dni aż do końca życia.

Wyciągnął rękę, by pogładzić Churcha – pragnął poczuć coś znajomego – lecz kot zeskoczył ze spłuczki, chwiejnie i dziwnie nie po kociemu i odszedł poszukać sobie innego miejsca. Po drodze posłał Louisowi beznamiętne żółte spojrzenie.

W szafce z lekami znalazł maść Ben-Gay. Louis spuścił pokrywę toalety, usiadł i rozsmarował sporą porcję na stłuczonym kolanie. Następnie wtarł trochę maści w krzyż; nie szło mu to zbyt sprawnie.

Wyszedł z łazienki i ruszył do salonu. Zapalił światło w korytarzu i przez moment stał tam u stóp schodów, rozglądając się z niemądrą miną. Jak dziwne wydawało mu się to wszystko. Tu właśnie stał w Wigilię, gdy podarował Rachel szafir. Trzymał go w kieszeni szlafroka. To było krzesło, na którym starał się jak najlepiej wyjaśnić Ellie fakty związane ze śmiercią po ataku Normy Crandall – fakty, z którymi on sam, w ostatecznym rozrachunku, nie potrafił się pogodzić.

Choinka stała w tamtym kącie, papierowy indyk Ellie – ten, który przypominał Louisowi futurystyczną wersję wrony – został przyklejony taśmą w tamtym oknie, a znacznie wcześniej cały pokój był pusty poza stosami pudełek united van lines, wypełnionych dorobkiem całej rodziny i przywiezionych ciężarówką przez pół kraju ze Środkowego Zachodu. Pamiętał, jak pomyślał wtedy, że ich pozamykane w pudłach rzeczy wydają się bardzo małe i nieważne, żałosny szaniec dzielący jego rodzinę od lodowatego zimna świata zewnętrznego, gdzie nie znano ich imion ani zwyczajów.

Jakie dziwne zdawało się to wszystko… i jakżeby chciał, aby nigdy nie usłyszeli o Uniwersytecie Stanowym w Maine, o Ludlow, o Judzie i Normie Crandall, o tym wszystkim.

Poszedł na górę, zabrał do łazienki stołek, stanął na nim i zdjął leżącą na szafce z lekarstwami małą czarną torbę. Zaniósł ją do głównej sypialni, usiadł i zaczął grzebać w środku. Tak, miał tam strzykawki, w razie gdyby ich potrzebował, a pośród rolek taśmy chirurgicznej, chirurgicznych nożyczek i staranie zawiniętych paczuszek nici, tkwiło też kilka ampułek śmiercionośnych substancji.

Gdyby ich potrzebował.

Louis zamknął torbę i położył ją obok łóżka. Zgasił górne światło i wyciągnął się z rękami pod głową. Jakże bosko było móc wyciągnąć się na plecach i odpocząć. Jego myśli powróciły do Disney Worldu. Ujrzał samego

siebie, w prostym białym uniformie, kierującego białą furgonetką oznaczoną jedynie symbolem wielkich mysich uszu – nic nie mogło wskazywać, że to karetka, mogłoby to bowiem wystraszyć klientów.

Gage siedział obok niego; skórę miał mocno opaloną, białka oczu połyskiwały błękitem, oznaką zdrowia. Tuż po lewej ujrzeli Goofy'ego ściskającego dłoń małego chłopca; dzieciak był zachwycony, niemal jak w transie. Oto Kubuś Puchatek pozujący do zdjęcia z dwiema roześmianymi babciami w spodniach; trzecia roześmiana babcia unosiła aparat. A tam mała dziewczynka w najlepszej sukience krzycząca „Kocham cię, Tygrysie! Kocham cię, Tygrysie!".

Louis z synem wyruszyli na patrol. Byli wartownikami owej magicznej krainy i krążyli po niej bez końca w białej furgonetce ze starannie zakrytym kogutem. Nie szukali kłopotów, nie oni, ale gdyby coś się stało, byli gotowi. Nie da się zaprzeczyć, iż kłopoty czyhały nawet tutaj, w miejscu poświęconym niewinnym przyjemnościom. Uśmiechnięty mężczyzna kupujący film na głównej ulicy mógł w każdej chwili złapać się za pierś, powalony atakiem serca, ciężarna kobieta mogła nagle odczuć pierwsze bóle, schodząc po schodach z Niebiańskiego Rydwanu, nastolatka, śliczna jak z okładki, padała nagle w ataku epilepsji, jej adidasy wybijały urywany rytm na cemencie, gdy choroba zakłócała biegnące z mózgu sygnały. Zdarzały się porażenia słoneczne, cieplne, mózgowe, a może, pod koniec

dusznego letniego popołudnia w Orlando, dojdzie kiedyś także do porażenia piorunem. Był też Oz Wiejki i Wsaniały – czasami można go dostrzec krążącego wokół wyjścia z kolejki w Czarodziejskim Królestwie bądź zerkającego beznamiętnym głupim wzrokiem w dół z jednego z latających Dumbo. Dla Louisa i Gage'a stał się on jeszcze jedną postacią z parku rozrywki, taką jak Goofy, Miki, Tygrys bądź szanowny pan Kaczor D. Z nim jednakże nikt nie chciał robić sobie zdjęć, nikt nie zamierzał przedstawiać mu synów i córek. Louis i Gage znali go; spotkali go i stawili mu czoło jakiś czas temu w Nowej Anglii. Czekał, by zadławić człowieka szklaną kulką, udusić torbą po praniu, usmażyć na wieczność szybkim śmiertelnym ładunkiem elektrycznym – dostępnym na najbliższej tablicy rozdzielczej bądź w pierwszym pustym gniazdku. Śmierć czaiła się w torebce orzeszków, w nieświeżym kawałku steku, w następnej paczce papierosów. Cały czas krążył wokół, sprawdzał wszystkie przejścia pomiędzy światem śmiertelnych a wiecznością. Brudne igły, jadowite żuki, zerwane przewody wysokiego napięcia, pożary lasów, rozpędzone wrotki wynoszące niesforne dzieci wprost na ruchliwe skrzyżowania. Gdy wchodziłeś do wanny wziąć prysznic, Oz był tam z tobą – prysznic z przyjacielem. Kiedy wsiadałeś do samolotu, Oz odbierał kartę pokładową. Czaił się w wodzie, którą piłeś, w jedzeniu, które jadłeś. „Kto tam?" – wrzeszczałeś w nocy, gdy bałeś się i byłeś sam, jedynie po to, by usłyszeć jego odpowiedź: Nie bój

się, to tylko ja. Cześć, co słychać? Masz raka w brzuchu, więc wyluzuj się, staruchu. Żółtaczka! Białaczka! Arterioskleroza! Trychinoza! Słoniowacizna! Kołowacizna! ***Hey-ho, let's go!*** Narkoman z nożem z bramy wyskoczy! Telefon w samym środku nocy. Krew gotująca się w kwasie z akumulatora na zjeździe z autostrady w Karolinie Północnej. Całe garście pastylek, poczęstuj się. Charakterystyczny sinawy odcień paznokci po uduszeniu – w ostatniej walce o przetrwanie mózg pobiera cały dostępny tlen, nawet z żywych komórek pod paznokciami. Hej, ludziska, nazywam się Oz Wiejki i Wsaniały, ale jeśli chcecie, możecie do mnie mówić Oz, jesteśmy przecież starymi przyjaciółmi. Wpadłem, żeby uraczyć was niewielką zastoinową niewydolnością serca, albo może zatorem w mózgu czy czymś podobnym. Nie mogę zostać, muszę odwiedzić pewną kobietę w sprawie komplikacji porodowych, a potem załatwić sprawę wciągnięcia dymu w płuca w Omaha.

A ów wysoki głosik krzyczy: „Kocham cię, Tygrysie! Kocham cię! Wierzę w ciebie, Tygrysie! Zawsze będę cię kochała i będę w ciebie wierzyć! Zostanę młoda, a jedynym Ozem, który zamieszka w moim sercu, będzie łagodny oszust z Nebraski! Kocham cię…".

Krążymy… mój syn i ja… bo w gruncie rzeczy nie chodzi tu o wojnę czy seks, lecz paskudną, szlachetną, beznadziejną walkę z Ozem Wiejkim i Wsaniałym. On i ja krążymy w białej furgonetce pod jaskrawoniebieskim niebem Florydy, a koguta mamy osłoniętego, lecz jest

tam, gdybyśmy go potrzebowali… i nikt oprócz nas nie musi o tym wiedzieć. Bo ziemia serca mężczyzny jest kamienista, mężczyzna hoduje, co może… opiekuje się tym.

Pogrążony w podobnych myślach, należących ni to do jawy, ni to do snu, Louis Creed zaczął osuwać się coraz głębiej, po kolei zrywając połączenia ze światem realnym, aż w końcu wszelkie myśli ustały, a wyczerpanie wciągnęło go w czarną, pozbawioną snu otchłań nieświadomości.

Tuż przedtem, nim pierwsze łuny świtu dotknęły nieba na wschodzie, na schodach rozległy się kroki. Były wolne i niezręczne, lecz celowe. Wśród cieni w korytarzu pojawił się nowy cień. W powietrzu rozszedł się zapach – smród. Louis, choć pogrążony w głębokim śnie, wymamrotał coś i odwrócił się od owej woni. Słychać było miarowy świst oddechu.

Postać jakiś czas stała przed drzwiami głównej sypialni; nie poruszała się. Potem weszła do środka. Louis leżał bez ruchu z twarzą ukrytą w poduszce. Białe ręce sięgnęły naprzód. Rozległ się szczęk zamka stojącej przy łóżku lekarskiej torby.

Cichy brzęk i szelest poruszanych rzeczy w środku.

Dłonie badały zwartość, odsuwając na bok leki, ampułki i strzykawki. W końcu coś znalazły i uniosły to. W pierwszym słabym brzasku dnia przedmiot ów rozbłysnął srebrem.

Mroczna postać opuściła pokój.

CZĘŚĆ TRZECIA
Oz Wiejki i Wsaniały

Jezus tedy, niechętny i nękany zwątpieniem, podszedł do grobu. Mieścił się on w jaskini, której wejście zamknięto głazem.

– Odsuńcie kamień – polecił.

Marta rzekła:

– Panie, minęły cztery dni i z pewnością zaczął już cuchnąć…

Potem, gdy już się pomodlił, Jezus wzniósł głos i zakrzyknął:

– Łazarzu, powstań!

Ten zaś, który był martwy, powstał, z dłońmi i stopami związanymi całunem; jego twarz okrywała chusta.

Jezus polecił im:

– Rozwiążcie go i puśćcie.

Ewangelia według św. Jana (parafraza)

– Dopiero teraz o tym pomyślałam – powiedziała histerycznie. – Czemuż nie przyszło mi to przedtem do głowy? Czemuś ty o tym nie pomyślał?

– O czym? – zapytał.

– Te dwa pozostałe życzenia – odparła szybko. – Wyraziliśmy tylko jedno.

– Jeszcze ci mało? – rzucił gwałtownie.

– Tak! – zawołała z triumfem. Jeszcze o jedno poprosimy. Zejdź na dół, przynieś ją szybko i poproś, aby nasz chłopiec ożył.

W. W. Jacobs: „Małpia łapka” (przeł. Irena Malanowska)

58

Jud Crandall ocknął się nagle i niemal spadł z fotela. Nie miał pojęcia, jak długo spał; mogło to być piętnaście minut albo trzy godziny. Spojrzał na zegarek i przekonał się, że jest za pięć piąta. Miał wrażenie, że wszystko w pokoju odrobinę się przesunęło; w plecach zagnieździł się ból od spania na siedząco.

Ty durny staruchu, spójrz, co zrobiłeś!

Ale wiedział, że to nieprawda; w głębi serca wiedział. To nie była jego wina. Nie zasnął ot tak, po prostu; uśpiono go.

Ta myśl go przeraziła, ale jeszcze jedno przerażało go bardziej: co właściwie go obudziło? Miał wrażenie, że usłyszał jakiś dźwięk, jakieś…

Wstrzymał oddech, nasłuchując, próbując przeniknąć dziwnie szeleszczące bicie własnego serca.

I znów usłyszał jakiś dźwięk, nie ten sam, który go obudził, ale coś nowego. Cichy jęk zawiasów.

Jud znał wszystkie dźwięki w swoim domu – wiedział, które deski w podłodze trzeszczą, które stopnie uginają się z jękiem, gdzie w rynnach wiatr szczególnie lubi śpiewać i zawodzić, gdy upoi się własną mocą, tak jak zeszłej nocy. Ten dźwięk znał równie dobrze jak wszystkie inne. Właśnie otwarły się ciężkie frontowe drzwi łączące werandę z przedsionkiem. Dzięki tej

informacji jego umysł zdołał zrekonstruować odgłos, który go obudził – był to powolny zgrzyt sprężyny na siatkowych drzwiach prowadzących na werandę.

– Louis? – zawołał bez specjalnej nadziei.

To nie był Louis. Cokolwiek się tam czaiło, przybyło, by ukarać starego człowieka za jego pychę i dumę.

Kroki wędrowały wolno korytarzem w stronę salonu.

– Louis? – próbował krzyknąć ponownie, lecz z jego gardła wydobył się jedynie cichy ochrypły jęk, bo teraz czuł już smród istoty, która wtargnęła do domu pod koniec nocy. Była to brudna, ciężka woń zatrutej błotnistej ziemi.

Jud dostrzegał w ciemności masywne kształty – szafa Normy, toaletka, szyfonierka – ale nie widział żadnych szczegółów. Próbował wstać na nogach, które zamieniły się w watę; umysł krzyczał, że potrzebuje więcej czasu, że jest zbyt stary, by znów stawiać temu czoło, sprawa Timmy'ego Batermana była dostatecznie okropna, a wtedy nie czuł brzemienia lat.

Drzwi otwarły się powoli, wpuszczając do środka cienie. Jeden z nich był ciemniejszy niż pozostałe.

Dobry Boże, co za smród.

Szuranie stóp w ciemności.

– Gage? – Jud w końcu wstał z miejsca. Kątem oka dostrzegł wałeczek popiołu w popielniczce. – Gage, czy to t…

Nagle rozległo się upiorne miauczenie i przez moment wszystkie kości Juda zamieniły się w lód. To nie syn

Louisa powrócił z grobu, lecz jakiś straszliwy demon…

Nie. Nie demon.

To Church, przycupnięty w drzwiach sieni, wydawał z siebie ów dźwięk. Oczy kota połyskiwały niczym brudne lampy, a potem jego wzrok powędrował w drugą stronę i skupił się na stworze, który przybył wraz z kotem.

Jud zaczął się cofać, próbując pozbierać myśli, zachować krztynę rozsądku w obliczu tego smrodu. Było tak bardzo zimno – stwór przywlókł ze sobą chłód.

Niepewnie zachwiał się na nogach. To był kot, wił mu się pod stopami. Mruczał. Jud kopnął go i odgonił. Zwierzę wyszczerzyło zęby i syknęło.

Myśl! Myśl, głupi staruchu! Może jeszcze nie jest za późno, nawet jeszcze w tej chwili może nie jest za późno… to wróciło, ale można je znów zabić… jeśli tylko zdołasz… jeśli pozbierasz myśli…

Cofał się w stronę kuchni i nagle przypomniał sobie szufladę z kuchennymi narzędziami obok zlewu. Między innymi leżał w niej tasak.

Jego chude łydki uderzyły w wahadłowe drzwi wiodące do kuchni. Pchnął je. Stwór, który wtargnął do domu, wciąż nie był dobrze widoczny, lecz Jud słyszał jego oddech. Dostrzegł jedną białą dłoń kołyszącą się w przód i tył – coś w niej tkwiło, ale nie potrafił dojrzeć co. Kiedy wszedł do kuchni, drzwi zamknęły się i Jud odwrócił się w końcu plecami do tego czegoś, by pobiec do szuflady. Szarpnął uchwyt i jego dłoń pochwyciła wyślizganą drewnianą rączkę tasaka. Uniósł go i odwrócił

się ku drzwiom; postąpił nawet ku nim krok czy dwa. Powróciło mu nieco odwagi.

Pamiętaj, to nie jest dziecko. Może krzyknąć, kiedy przekona się, że zamierzasz go dopaść; może płakać. Ale ty nie dasz się oszukać. Zbyt wiele razy już cię nabierano, starcze. To twoja ostatnia szansa.

Drzwi otwarły się ponownie, z początku jednak do środka wszedł tylko kot. Oczy Juda śledziły go przez moment, potem znów uniósł wzrok. Okna kuchni wychodziły na wschód, widać w nich było pierwszy brzask dnia, słaby, mlecznobiały. Niewiele światła, lecz dosyć, aż za dużo.

Gage Creed wszedł do środka ubrany w pogrzebowy garniturek. Na jego ramionach i klapach rósł mech. Mech pokrywał też białą koszulę. Miękkie jasne włoski zlepiało błoto. Jedno oko wyszło z orbity i z upiornym skupieniem spoglądało w przestrzeń; drugie, połyskując, ze straszliwą uwagą wpatrywało się w Juda.

Gage uśmiechał się do niego.

– Witaj, Jud – rzekł chłopięcym, piskliwym, lecz doskonale zrozumiałym głosem. – Przychodzę, żeby odesłać twoją śmierdzącą zgniłą duszę wprost do piekła. Po raz ostatni wpieprzyłeś się w moje sprawy. Nie myślałeś, że wrócę wcześniej czy później, żeby popieprzyć się z tobą?

Jud uniósł tasak.

– Chodź zatem i pokaż swojego fiuta, czymkolwiek jesteś. Zobaczymy, kto kogo będzie pieprzył.

– Norma nie żyje, nikt nie będzie cię opłakiwać – powiedział Gage. – Ale z niej była tania zdzira! Rżnęła się ze wszystkimi twoimi przyjaciółmi, Jud. Pozwalała im dymać się w dupę. Tak właśnie najbardziej lubiła. Teraz smaży się w piekle ze swoim artretyzmem. Widziałem ją tam, Jud. Widziałem.

Stwór postąpił dwa kroki ku niemu. Jego stopy pozostawiały na zużytym linoleum małe zabłocone ślady. Jedną rękę wyciągał przed siebie, jakby chciał uścisnąć mu dłoń, drugą chował za plecami.

– Posłuchaj, Jud – szepnął, a potem jego usta otwarły się, odsłaniając małe mleczne zęby, i choć wargi nie drgnęły, ze środka dobył się głos Normy.

– Rogacz! Durny rogacz! Zawsze cię nienawidziłam! Wyśmiewałam się z ciebie! Wszyscy się z ciebie śmialiśmy! Och, jak się śmialiśmy…

– Przestań! – Tasak zadrżał mu w ręku.

– Robiliśmy to w twoim łóżku, Herk i ja, robiłam to z George'em, z nimi wszystkimi. Wiedziałam o twoich dziwkach, ale ty nie wiedziałeś, że poślubiłeś jedną z nich. Och, jak się śmiałam, Jud! Rżnęliśmy się i zaśmiewaliśmy…

– Przestań! – wrzasnął Jud. Skoczył ku małej rozkołysanej postaci w brudnym pogrzebowym garniturze i wtedy właśnie kot wystrzelił z ciemności za pieńkiem do rąbania mięsa, gdzie się schował. Jego uszy skuliły się, przywierając do głowy; syczał i podciął nogi Judowi, gładko jak po maśle. Tasak wyleciał z ręki starca, śmignął

po wybrzuszonym i wyblakłym linoleum, wirując, na przemian ostrze-rączka-ostrze-rączka. Z brzękiem uderzył w listwę i wpadł pod lodówkę.

Jud pojął, że znów dał się oszukać, i jedyną pociechę stanowiła myśl, że to już ostatni raz. Kot siedział mu na nogach, pysk miał otwarty, jego oczy płonęły. Syczał jak czajnik na gazie. A potem Gage był już przy nim, czarne zęby wyszczerzone w szyderczym uśmiechu, księżycowe oczy o czerwonych spojówkach. Zza pleców wynurzyła się prawa ręka i Jud ujrzał, że stwór trzymał w niej skalpel z czarnej torby Louisa.

– Słodki Jezu – westchnął, unosząc prawą dłoń, by zablokować cios. I wtedy ujrzał złudzenie optyczne. Z pewnością jego umysł nie wytrzymał napięcia, bo Jud odniósł wrażenie, że skalpel tkwi jednocześnie po obu stronach jego dłoni. A potem coś ciepłego zaczęło spływać na jego twarz i pojął, że to nie złudzenie.

– Będę się z tobą pieprzył, starcze – zachichotał stwór będący Gage'em. Jego trujący oddech omiótł twarz Juda. – Będę się z tobą pieprzył! Będę się z tobą pieprzył, ile… tylko… zechcę!

Jud machnął ręką i pochwycił przegub Gage'a. Pod palcami poczuł skórę zsuwającą się niczym pergamin.

Stwór wyszarpnął skalpel z jego dłoni, pozostawiając wąski otwór.

– Ile… tylko… ZECHCĘ!

Skalpel znów opadł. I jeszcze raz. I jeszcze.

59

– Proszę spróbować teraz, proszę pani – powiedział kierowca ciężarówki. Jego głowa tkwiła pod maską wynajętego samochodu Rachel.

Przekręciła kluczyk. Silnik chevette ożył z rykiem. Kierowca ciężarówki zatrzasnął maskę i podszedł do jej okna, wycierając ręce wielką błękitną chustką. Miał miłą ogorzałą twarz, na jego głowie tkwiła czapeczka z napisem „Parking dla ciężarówek Dysarta”.

– Bardzo panu dziękuję. – Rachel czuła napływające do oczu łzy. – Nie wiem, co bym bez pana zrobiła.

– Nawet dziecko by to naprawiło – odparł mężczyzna. – Ale to dziwne. Nigdy nie widziałem czegoś takiego, a już z pewnością nie w nowym samochodzie.

– Dlaczego? Co to było?

– Jedna z klem akumulatora rozluźniła się i spadła. Nikt chyba przy nim nie majstrował, prawda?

– Nie. – Rachel znów przypomniała sobie uczucie, że z całym rozpędem wpadła na gumę największej procy świata.

– Pewnie musiała się rozluźnić podczas jazdy. Nie będzie pani miała więcej kłopotów z elektryką. Porządnie zacisnąłem klamrę.

– Czy mogę dać panu trochę pieniędzy? – spytała nieśmiało Rachel.

Kierowca ciężarówki wybuchnął gromkim śmiechem.

– Nie mnie, moja pani – rzekł. – Jesteśmy przecież rycerzami dróg, pamięta pani?

Uśmiechnęła się.

– Cóż… dziękuję.

– Ależ proszę. – Pozdrowił ją poczciwym uśmiechem, mimo wczesnej pory pełnym słońca.

Rachel uśmiechnęła się w odpowiedzi i ostrożnie przejechała przez parking do drogi dojazdowej. Obejrzała się w prawo, w lewo, i pięć minut później była z powrotem na autostradzie, zmierzając na północ. Kawa pomogła bardziej, niż można by uwierzyć. Była kompletnie trzeźwa, senność ustąpiła, oczy miała wielkie jak spodki. Znów poczuła muśnięcie niepokoju, absurdalne wrażenie, że coś nią manipuluje. Fakt, że klema ześlizgnęła się ot tak z akumulatora…

Tak by zatrzymać ją dość długo, by…

Zaśmiała się nerwowo. By co?

By zdarzyło się coś nieodwracalnego.

To było głupie. Śmieszne. Lecz Rachel i tak dodała gazu.

O piątej rano, wtedy gdy Jud próbował bronić się przed skalpelem skradzionym z czarnej torby swego dobrego przyjaciela Louisa Creeda, a jej córka gwałtownie usiadła na łóżku z krzykiem, budząc się z koszmaru, którego na szczęście nie pamiętała, Rachel zjechała z autostrady, przejechała przez objazd Hammond Street w pobliżu cmentarza, na którym w trumnie jej syna

spoczywała jedynie łopata, i przebyła most łączący Bangor z Brewer. Piętnaście po piątej była już na trasie numer 15 i zmierzała do Ludlow.

Postanowiła pojechać prosto do Juda i dotrzymać przynajmniej tej części obietnicy. Zresztą na podjeździe nie dostrzegła hondy i choć przypuszczała, że wóz może stać w garażu, ich dom wyglądał sennie i pusto. Żadne przeczucie nie podpowiadało jej, że Louis mógł już wrócić.

Rachel zaparkowała za furgonetką Juda i wysiadła z chevette, rozglądając się uważnie. Trawa wokół uginała się od rosy połyskującej w jasnym świetle poranka. Gdzieś w dali zaśpiewał ptak, a potem znów umilkł. Przy kilku nielicznych okazjach, gdy jako osoba dorosła nie spała i była sama o świcie, nie mając na głowie żadnych obowiązków, zawsze czuła się samotna, lecz jednocześnie dziwnie podekscytowana – w paradoksalnym poczuciu ciągłości, a jednocześnie czegoś nowego. Tego ranka jednak nie czuła nic podobnego, jedynie ciężki jak ołów niepokój, którego nie potrafiła całkowicie zepchnąć na karb ostatnich koszmarnych dwudziestu czterech godzin ani niedawnej śmierci w rodzinie.

Wspięła się na schody i przeszła przez środkowe drzwi, zamierzając użyć staroświeckiego dzwonka nad frontowym wejściem. Dzwonek ów oczarował ją, gdy pierwszy raz przyszli tu z Louisem; przekręcało się go w prawo, a on wydawał z siebie donośny, acz melodyjny brzęk, dźwięk należący do przeszłości, lecz uroczy.

Sięgnęła ku niemu, po czym zerknęła w dół, na podłogę, i zmarszczyła brwi. Na wycieraczce widniały zabłocone ślady. Rozejrzała się i odkryła, iż ślady te wiodą od siatkowych drzwi aż do wejścia. Bardzo małe. Sądząc na oko, zostawiło je dziecko. Ale przecież jechała całą noc i ani przez moment nie padał deszcz, nie było nawet mgły.

Przez długi, stanowczo zbyt długi czas wpatrywała się w owe odciski stóp i kiedy w końcu oderwała od nich wzrok, odkryła, że musi ponownie unieść rękę do dzwonka. Chwyciła pokrętło… i jej dłoń znów opadła.

Boję się na zapas, to wszystko. Obawiam się dźwięku dzwonka w tej ciszy. Jud pewnie jednak zasnął i to go obudzi…

Ale nie tego się obawiała. Odkąd trudno jej było zwalczyć senność na drodze, dręczył ją ukryty, niewyraźny lęk, lecz ten ostry strach był czymś nowym, czymś związanym wyłącznie z owymi małymi śladami. ***Śladami wielkości…***

Jej umysł próbował zablokować tę myśl, był jednak zbyt powolny, zbyt zmęczony.

…stóp Gage'a.

Przestań, przestań natychmiast.

Wyciągnęła rękę i przekręciła dzwonek.

Zabrzmiał nawet głośniej, niż pamiętała, lecz nie tak melodyjnie – ciszę przeszył ostry, zduszony krzyk. Rachel odskoczyła, wydając z siebie nerwowy śmieszek pozbawiony wszelkiego rozbawienia. Czekała na kroki

Juda, nie usłyszała ich jednak. Wewnątrz wciąż panowała cisza i Rachel zaczęła już rozważać, czy nie powinna drugi raz przekręcić małego żelaznego motylka, gdy za drzwiami rozległ się wreszcie jakiś dźwięk, dźwięk, którego bynajmniej nie oczekiwała.

Mrau!… Mrau!… Mrau!

– Church? – spytała zdumiona i zaskoczona. Pochyliła się naprzód, lecz oczywiście nie mogła go zobaczyć. Dużą szybę w drzwiach przesłaniała starannie biała zasłonka, dzieło Normy. – Church, to ty?

Mrau!

Rachel nacisnęła klamkę. Drzwi były otwarte. Ujrzała Churcha siedzącego w korytarzu z ogonem owiniętym wokół nóg. Kocie futro pokrywały ciemne plamy. Błoto, pomyślała Rachel, a potem dostrzegła krople płynu na wąsikach Churcha. Były czerwone.

Kot podniósł jedną łapę i zaczął ją lizać, ani na moment nie spuszczając wzroku z jej twarzy.

– Jud! – zawołała, naprawdę zaniepokojona. Przekroczyła próg.

Dom nie odpowiedział; panowała w nim cisza.

Rachel próbowała się zastanowić, lecz jej myśli zagłuszyły wspomnienia Zeldy, które nagle pojawiły się jej w głowie: wykrzywione ręce, to, jak czasami tłukła głową w ścianę, kiedy się wściekła – w miejscu tym tapeta była zdarta, a gips wgnieciony i poobijany. Nie pora teraz na myśli o Zeldzie, nie kiedy Jud mógł zrobić sobie krzywdę. A jeśli upadł? Był przecież stary.

Myśl o tym, nie o snach, które dręczyły cię w dzieciństwie, snach o tym, jak otwierasz szafę i Zelda wyskakuje na ciebie z poczerniałą uśmiechniętą twarzą. O tym, że siedzisz w wannie i widzisz oczy Zeldy wyglądające z odpływu. O tym, jak Zelda czai się w piwnicy, za piecem. Sny…

Church otworzył pysk, ukazując ostre zęby, i ponownie wrzasnął: Mrau!

Louis miał rację, nie powinniśmy byli go kastrować. Od tej pory wydaje się jakiś inny. Louis twierdził, że zabieg pozbawi go wszelkiej agresji. Ale pomylił się. Church wciąż poluje. On…

Mrau! – krzyknął Church, po czym odwrócił się i śmignął po schodach.

– Jud? – zawołała raz jeszcze. – Jesteś tam?

Mrau! – miauknął Church z góry schodów, jakby potwierdzając ów fakt, po czym zniknął w głębi domu.

Jak w ogóle się tu dostał? Czy Jud go wpuścił? Czemu?

Rachel przestąpiła z nogi na nogę, zastanawiając się, co robić dalej. Najgorsze było to, że wszystko zdawało się… zdawało się zaaranżowane. Jakby coś chciało, by tu przyszła i…

I wtedy z góry rozległ się jęk, cichy, pełen bólu – był to z pewnością głos Juda. Starzec upadł w łazience albo potknął się, złamał nogę czy zwichnął biodro. Stare kości są takie kruche. Na miłość boską, dziewczyno, czemu stoisz tu i przestępujesz z nogi na nogę? Musisz biec do

łazienki. Church miał na sobie krew, krew, Jud się zranił, a ty tu stoisz! Co się z tobą dzieje?

– Jud!

Jęk zabrzmiał ponownie i Rachel pobiegła na górę.

Nigdy wcześniej tu nie była, a ponieważ jedyne okno korytarza wychodziło na zachód, ku rzece, wciąż panowała tu ciemność. Korytarz był prosty i szeroki, zaczynał się obok schodów i wiódł na tyły domu. Poręcz z wiśniowego drewna połyskiwała elegancko, na ścianie wisiało zdjęcie Akropolu i

(to Zelda przez te wszystkie lata ścigała cię a teraz nadszedł jej czas otwórz drzwi po prawej i ujrzysz ją z garbatymi pokrzywionymi plecami cuchnącą sikami i śmiercią to Zelda jej czas wreszcie cię dopadła)

jęk zabrzmiał ponownie, cicho; dochodził zza drugich drzwi po prawej.

Rachel ruszyła ku nim, jej obcasy stukały o deski podłogi. Miała wrażenie, że znalazła się w pętli – nie czasu ani przestrzeni, lecz wielkości. Z każdym krokiem malała, zdjęcie Akropolu wznosiło się coraz wyżej i wyżej, a kryształowa gałka u drzwi wkrótce znajdzie się na poziomie jej oczu. Wyciągnęła rękę… zanim jednak zdążyła dotknąć gałki, drzwi otwarły się gwałtownie.

Stała w nich Zelda.

Była zgarbiona i poskręcana, z ciałem tak okrutnie zdeformowanym, że zamieniła się w karła, mającego niewiele ponad pół metra wzrostu. I z jakiejś przyczyny miała na sobie garniturek, w którym pochowali Gage’a.

Ale to była Zelda, jej oczy płonęły szaleńczą radością, sinofioletowa twarz wykrzywiała się w obłąkańczym grymasie. Zelda krzyczała. ***W końcu po ciebie wróciłam, Rachel, wykrzywię twoje plecy jak moje i nigdy już nie wstaniesz z łóżka, nigdy już nie wstaniesz z łóżka NIGDY NIE WSTANIESZ Z ŁÓŻKA…***

Church siedział na jej ramieniu. Twarz Zeldy zafalowała i zmieniła się, i Rachel z narastającą mdlącą grozą ujrzała, że tak naprawdę to wcale nie Zelda, jak mogła tak bardzo się mylić? To był Gage. Jego twarz nie była czarna, lecz brudna, wysmarowana krwią i spuchnięta, jakby została straszliwie poraniona i złożona ponownie do kupy przez cudze obojętne dłonie.

Wykrzyknęła jego imię i wyciągnęła ramiona. Podbiegł ku niej i rzucił się jej w objęcia, jedną rękę cały czas trzymał za plecami, jakby ukrywał w niej bukiet kwiatów, zebranych na czyjejś łące.

– ***Przyniosłem ci coś, mamo!*** – krzyknął. – ***Przyniosłem ci coś, mamo! Przyniosłem ci coś, przyniosłem, przyniosłem!***

60

Louis Creed obudził się, gdyż słońce świeciło mu prosto w oczy. Spróbował wstać, lecz natychmiast opadł z powrotem na łóżko, krzywiąc się z powodu przeszywającego plecy bólu. Spojrzał w dół. Wciąż kompletnie ubrany. Chryste.

Leżał tak długą chwilę, zbierając siły, by przezwyciężyć sztywność, która zagnieździła się we wszystkich mięśniach. W końcu usiadł.

– Szlag by to – wyszeptał. Przez kilka sekund pokój kołysał mu się przed oczami, łagodnie, lecz dostrzegalnie. Plecy bolały jak zepsuty ząb, a kiedy poruszał głową, czuł się, jakby ktoś zastąpił mu ścięgna zardzewiałymi zębatymi ostrzami. Ale najgorzej było z kolanem. Ben-Gay w ogóle nie pomógł. Powinien był zrobić sobie zastrzyk z pieprzonego kortyzonu. Nogawka spodni napięła się pod naporem opuchlizny; wyglądało to, jakby ukrył tam balon.

– Pięknie się załatwiłem – mruknął. – Naprawdę pięknie.

Zgiął je, bardzo ostrożnie, by móc usiąść na skraju łóżka. Zacisnął wargi tak mocno, że zupełnie zbielały. A potem zaczął delikatnie poruszać nogą, nasłuchując mowy bólu, próbując ustalić, jak bardzo jest źle, czy może…

Gage! Czy Gage wrócił?

Myśl ta sprawiła, że mimo bólu zerwał się z miejsca. Chwiejnym krokiem Johna Wayne'a przeszedł przez pokój i korytarz do sypialni Gage'a. Rozejrzał się rozpaczliwie, z imieniem synka drżącym na ustach. Pokój jednak był pusty. Kuśtykając, Louis powędrował do sypialni Ellie, także pustej, a stamtąd do pokoju gościnnego, którego okna wychodziły na drogę. Tu również nikogo nie było. Ale…

Po drugiej stronie drogi stał obcy samochód. Zaparkowany tuż za furgonetką Juda.

Co z tego?

Obcy samochód mógł oznaczać kłopoty, ot co.

Louis odsunął zasłonę i uważniej przyjrzał się intruzowi. Mały niebieski wóz, chevette. A na jego dachu, zwinięty w kłębek i najwyraźniej pogrążony we śnie, leżał Church.

Długi czas przyglądał mu się, nim w końcu puścił zasłonę. Jud miał towarzystwo i tyle. Co z tego? Chyba jeszcze za wcześnie na to, by martwić się, co się stało (bądź nie) z Gage'em; Church powrócił w południe, nawet nieco później, a teraz była dopiero dziewiąta. Dziewiąta rano pięknego majowego dnia. Zejdzie po prostu na dół i zaparzy sobie kawy, wyjmie kompres rozgrzewający, owinie nim kolano i…

co Church robi na dachu samochodu?

– Daj spokój – powiedział głośno i kulejąc, ruszył w głąb korytarza. Koty sypiają, gdzie tylko zechcą, taka jest

ich natura…

Tyle że Church nie chadza już na drugą stronę drogi, pamiętasz?

– Zostaw to – mruknął i przystanął w połowie schodów (z których schodził niemal bokiem). Gada do siebie. Niedobry znak. To…

Co to było, to coś wczoraj w lesie?

Myśl ta zjawiła się nagle, nieproszona, sprawiając, że jego wargi zacisnęły się tak jak wcześniej, tyle że nie z bólu. Zeszłej nocy śnił o tym czymś. Marzenia o Disney Worldzie przechodziły gładko i naturalnie w koszmary o istocie z lasu. Śniło mu się, że go dotknęła, na zawsze niszcząc przyjemne sny, rujnując wszelkie dobre zamiary. To był Wendigo i zamienił go w kanibala, nie – w ojca wszelkich kanibali. We śnie znów odwiedził Cmętarz Zwieżąt, lecz nie sam. Byli z nim Bill i Timmy Baterman, a także Jud, upiorny, z twarzą trupa, który trzymał na smyczy ze sznura od bielizny swego psa, Spota. Lester Morgan miał w ręku łańcuch holowniczy z uwiązanym na końcu bykiem Hanrattym; Hanratty leżał na boku, rozglądając się wokół z tępą, ślepą furią. I z jakichś przyczyn znajdowała się tam też Rachel; musiała mieć drobny wypadek przy jedzeniu – może wylała keczup albo upuściła słoik dżemu żurawinowego, bo jej sukienkę pokrywały czerwone plamy.

A potem zza wiatrołomu wynurzyła się gigantyczna postać o spękanej, żółtej gadziej skórze, zapadniętych oczach jak dwie lampy przeciwmgielne i uszach

niebędących uszami, lecz masywnymi wygiętymi rogami. To był Wendigo, bestia, jaszczur zrodzony przez kobietę. I kiedy zadzierali głowy, by się mu przyjrzeć, wyciągnął ku nim zrogowaciały, szponiasty palec…

– Przestań – szepnął Louis i zadrżał na dźwięk własnego głosu. Postanowił, że pójdzie do kuchni i zrobi sobie śniadanie, jak każdego zwykłego dnia. Kawalerskie śniadanko, przesycone smakowitym cholesterolem. Parę tostów z sadzonymi jajkami, przybranymi majonezem i krążkiem cebuli. Cuchnął potem, błotem i brudem, uznał jednak, że prysznic weźmie później; w tej chwili zdjęcie ubrania wydało mu się zbyt ciężką pracą. Obawiał się zresztą, że aby uwolnić spuchnięte kolano, będzie musiał wyjąć z torby skalpel i przeciąć nogawkę spodni. Szkoda dobrego ostrza, ale żaden z noży w domu nie przeciąłby grubego dżinsu; krawieckie nożyce Rachel też nie dałyby mu rady.

Ale najpierw śniadanie.

Przeszedł przez salon, po drodze zbaczając do drzwi wejściowych, by raz jeszcze spojrzeć na mały niebieski samochód na podjeździe Juda. Pokrywała go rosa, co oznaczało, że stał tam jakiś czas. Church wciąż leżał na dachu, nie spał jednak. Zdawało się, że patrzy wprost na Louisa wstrętnymi żółtymi oczami.

Louis cofnął się pośpiesznie, jakby ktoś przyłapał go na podglądaniu.

Poszedł do kuchni, wyciągnął patelnię, postawił na palniku i wyjął z lodówki jajka. Kuchnia była jasna,

czysta, wysprzątana. Próbował coś zagwizdać; gwizdanie przywołałoby prawdziwego ducha poranka, ale nie potrafił. Wszystko wyglądało w porządku, ale takie nie było. Dom zdawał się przeraźliwie pusty, a wczorajsze wydarzenia ciążyły mu jak ogromny kamień. Wszystko było nie tak, inaczej; czuł kryjący się tuż za rogiem cień i bał się.

Pokuśtykał do łazienki i zażył kilka aspiryn, popijając szklanką soku. Właśnie zmierzał z powrotem do kuchni, gdy zadzwonił telefon.

Louis nie odebrał go natychmiast. Najpierw odwrócił się i spojrzał na aparat. Czuł się powolny i głupi, frajer w grze, której, co dopiero teraz pojmował, w najmniejszym stopniu nie rozumiał.

Nie odbieraj, nie chcesz odbierać, bo to złe wieści, koniec smyczy wiodącej za róg i w ciemność, a nie sądzę, abyś chciał się przekonać, co czeka na drugim końcu tej smyczy, Louis, naprawdę wątpię, więc nie odbieraj, biegnij, natychmiast, samochód jest w garażu, biegnij do niego i uciekaj, tylko nie odbieraj…

Podszedł do telefonu i podniósł słuchawkę, jedną ręką oparł się na suszarce, jak tyle razy przedtem; to był Irwin Goldman i w chwili, gdy tamten powiedział „Halo”, Louis ujrzał przecinające kuchnię ślady, małe, zabłocone ślady, i serce zamarło mu w piersi; miał wrażenie, że oczy wychodzą mu z orbit; czuł, że gdyby mógł przejrzeć się w lustrze, zobaczyłby twarz z taniego komiksu grozy. To były ślady Gage’a, Gage tu był, ***był tutaj w nocy***, a zatem

gdzie jest teraz?

– Louis, mówi Irwin… Louis? Jesteś tam? Halo!

– Cześć, Irwin – odparł i wiedział już, co tamten powie. Zrozumiał, skąd wziął się niebieski samochód. Zrozumiał wszystko. Smycz… smycz, wiodąca w ciemność… poruszał się po niej coraz szybciej, ręka za ręką. Ach, gdyby tylko mógł ją puścić, nim zobaczy, co jest na końcu! Ale ona należała do niego. Kupił ją sobie.

– Przez moment sądziłem, że nas rozłączyło – mówił właśnie Irwin.

– Nie, słuchawka wyśliznęła mi się z ręki. – Głos Louisa brzmiał zupełnie spokojnie.

– Czy Rachel dotarła wczoraj do domu?

– O tak – odparł Louis, myśląc o niebieskim samochodzie, Churchu przycupniętym na dachu, niebieskim samochodzie, tak cichym i nieruchomym. Jego wzrok przesuwał się po błotnistych śladach na podłodze.

– Powinienem z nią pomówić – oznajmił Goldman. – W tej chwili. Chodzi o Ellie.

– Ellie? Co z nią?

– Naprawdę myślę, że Rachel…

– Rachel tu nie ma – uciął szorstko Louis. – Pojechała do sklepu po chleb i mleko. Co z Ellie? Irwin, mów!

– Musieliśmy ją zawieźć do szpitala – rzekł z wahaniem Goldman. – Miała zły sen, całą serię złych snów. Wpadła w histerię i nie mogliśmy jej uspokoić. Ona…

– Dali jej leki?

– Słucham?

– Lekarstwa – powtórzył niecierpliwie Louis. – Środki uspokajające.

– Tak, o tak. Podali jej pigułkę i znów zasnęła.

– Mówiła cokolwiek? Co ją tak przeraziło? – Tak mocno ściskał w dłoni słuchawkę, że zbielały mu kostki.

Po stronie Irwina Goldmana zapadła cisza, długa cisza. Tym razem Louis nie odzywał się, choć bardzo tego pragnął.

– To właśnie okropnie wystraszyło Dory – powiedział w końcu Irwin. – Bardzo dużo mówiła, nim… nim zaczęła płakać tak mocno, że nic nie dało się zrozumieć. Sama Dory też prawie… no wiesz.

– Co powiedziała?

– Że Oz Wielki i Wspaniały zabił jej matkę. Tyle że powiedziała to nieco inaczej. Powiedziała… „Oz Wiejki i Wsaniały”; tak właśnie wymawiała to zawsze nasza druga córka. Nasza córka Zelda. Louis, uwierz mi, że wolałbym zadać to pytanie Rachel, ale jak wiele opowiedzieliście Eileen o Zeldzie i o tym, jak umarła?

Louis zamknął oczy; miał wrażenie, że ziemia łagodnie kołysze mu się pod stopami. Głos Goldmana zdawał się dobiegać zza gęstej mgły.

Możesz usłyszeć dźwięki przypominające głosy, ale to tylko nury na południu Wzgórza Widokowego. Dźwięk daleko się niesie.

– Louis, jesteś tam?

– Czy z nią wszystko dobrze? – spytał Louis; nawet własny głos wydawał mu się odległy. – Czy Ellie nic nie będzie? Postawili diagnozę?

– Opóźniony wstrząs po pogrzebie – odparł Goldman. – Przyjechał mój lekarz. Lanthrop. Porządny człowiek. Powiedział, że ma lekką gorączkę i kiedy obudzi się po południu, może nawet niczego nie pamiętać. Ale uważam, że Rachel powinna wrócić. Louis, boję się. Ty też powinieneś wrócić.

Louis nie odpowiedział. Oko Boże spogląda na wróbla; tak twierdził dobry król Jakub. On jednak był tylko zwykłym człowiekiem i jego oczy wpatrywały się w ślady błota na podłodze.

– Louis, Gage umarł – mówił właśnie Goldman. – Wiem, że trudno się z tym pogodzić – i tobie, i Rachel – ale wasza córka żyje i potrzebuje was.

Tak, zgadzam się. Może i jesteś starym pierdołą, Irwin, ale ów koszmar, który spotkał obie twoje córki w ów kwietniowy dzień tysiąc dziewięćset sześćdziesiątego trzeciego nauczył cię chyba nieco wrażliwości. Ona mnie potrzebuje, a ja nie mogę przyjechać, bo boję się – tak bardzo się boję – że mam ręce splamione krwią jej matki.

Louis spojrzał na swoje dłonie. Na brud pod paznokciami, tak podobny do błota z owych śladów na kuchennej podłodze.

– W porządku – rzekł. – Rozumiem. Będziemy u was, jak najszybciej zdołamy, Irwin. Jeśli się da, jeszcze dziś

wieczorem. Dziękuję ci.

– Staraliśmy się, jak mogliśmy – odparł Goldman. – Może jesteśmy już za starzy. Może, Louis, zawsze byliśmy.

– Mówiła coś jeszcze?

Odpowiedź Goldmana zabrzmiała niczym uderzenie dzwonu pogrzebowego w murach jego serca:

– I to dużo, ale zrozumiałem tylko jedno: „Paxcow mówi, że już za późno”.

Louis odwiesił słuchawkę i oszołomiony ruszył w powrotem w stronę kuchenki, sam jeszcze nie wiedział – z zamiarem kontynuowania przygotowań do śniadania czy odłożenia wszystkiego? Kiedy jednak stanął na środku kuchni, ogarnęła go fala słabości, świat przed oczami rozpłynął się w szarej mgle i Louis powoli osunął się na ziemię – „osunął” było właściwym słowem, bo upadek zdawał się trwać wiecznie. Padał tak i padał poprzez zasnutą chmurami pustkę; miał wrażenie, że obraca się w powietrzu, wiruje, zatacza pętle, śruby i kilka beczek. A potem jego zranione kolano rąbnęło o ziemię i przeszywający głowę rozżarzony promień bólu ocucił go błyskawicznie. Louis krzyknął i przez moment mógł tylko kucać, skulony i nieruchomy. W jego oczach zakręciły się łzy.

W końcu zdołał się podźwignąć i stanął chwiejnie. Ale przynajmniej przejaśniło mu się w głowie. To już coś, prawda?

I znów, po raz ostatni, ogarnęło go przemożne

pragnienie ucieczki, silniejsze niż kiedykolwiek. W kieszeni spodni czuł kuszący ciężar kluczyków. Wsiądzie do hondy i pojedzie do Chicago. Zabierze Ellie i ruszy w dalszą drogę. Oczywiście do tego czasu Goldmanowie zorientują się, że stało się coś złego, coś bardzo złego, ale i tak ją zabierze… porwie, jeśli będzie trzeba.

I wtedy jego ręka, gładząca tkwiące w kieszeni kluczyki, opadła. Pragnienie ucieczki zniknęło, zabite nie przez poczucie beznadziejności, winy, rozpaczy ani wszechogarniające znużenie, lecz przez widok zabłoconych śladów na podłodze kuchni. Oczyma umysłu ujrzał te same ślady, przecinające cały kontynent – najpierw zmierzające do Illinois, potem na Florydę – i, w razie potrzeby, cały świat. Co kupisz, to twoje, a to, co twoje, wcześniej czy później do ciebie wróci.

Nadejdzie dzień, kiedy otworzy drzwi i ujrzy Gage'a, obłąkańczą parodię dawnego Gage'a, szczerzącą zęby w upiornym uśmiechu; jego jasne błękitne oczy lśniące tępą, a jednocześnie przebiegłą żółcią. Albo może Ellie wejdzie rano do łazienki wziąć prysznic, a Gage będzie siedział w wannie z ciałem pokrytym plątaniną starych blizn i fałd, pozostałych po śmiertelnym wypadku, czysty, lecz cuchnący grobem.

O tak, nadejdzie taki dzień – nie wątpił w to ani przez chwilę.

– Jak mogłem być taki głupi? – spytał, zwracając się do pustego domu. Znów mówił do siebie i zupełnie się tym nie przejmował. – Jak?

To rozpacz, nie głupota, Louis. Istnieje różnica… drobna, lecz kluczowa. Rozpacz to akumulator, z którego czerpie siłę tamten cmentarz. Jego moc rośnie, powiedział Jud, i oczywiście miał rację, a teraz ty stałeś się częścią tej mocy. Karmiło się twoją rozpaczą… nie, więcej, niż karmiło. Podwajało ją, podnosiło do kwadratu, do n-tej potęgi. Nie żywi się zresztą wyłącznie rozpaczą. Rozsądek. Pożerało twój rozsądek. Miałeś jedną wadę: nie potrafiłeś pogodzić się z tym, co się stało. To częsta wada, ciebie jednak, oprócz syna, kosztowała też żonę i niemal na pewno najlepszego przyjaciela. Tak to już jest. Oto co się dzieje, kiedy spóźnisz się z życzeniem, by stwór, który stuka do twych drzwi w środku nocy, zniknął. To proste: zapada absolutna ciemność.

Mógłbym popełnić samobójstwo, pomyślał, i chyba jeszcze mnie to czeka, prawda? Mam w torbie niezbędne środki. To sterowało wszystkim, kierowało nami od początku. Cmentarz, Wendigo, cokolwiek to jest. Kazało naszemu kotu wybiec na drogę, i może też Gage'owi, sprowadziło Rachel do domu, lecz dopiero wtedy, gdy mu to odpowiadało. Z pewnością ja też mam się zabić… i pragnę tego.

Ale najpierw trzeba uporządkować wszystkie sprawy.

O tak.

Trzeba pamiętać o Gage'u. Gage wciąż tam był.

Gdzieś.

Podążył za śladami przez jadalnię, salon i dalej, z

powrotem na górę. Tu stały się nieco rozmazane, bo nieświadomie zadeptał je wcześniej, schodząc na dół. Wiodły wprost do sypialni. Był tutaj, pomyślał ze zdumieniem Louis, był właśnie tutaj – a potem zauważył, że torba lekarska jest otwarta.

Wewnątrz, gdzie zawsze utrzymywał pedantyczny porządek, panował wyraźny nieład. Louis nie potrzebował jednak dużo czasu, by dostrzec, że brakuje skalpela. Ukrył twarz w dłoniach i długi czas siedział bez ruchu; z jego gardła dobywał się cichy, rozpaczliwy dźwięk.

W końcu ponownie otworzył torbę i zaczął czegoś szukać.

Znowu na dole.

Odgłos otwieranych drzwi spiżarni. Dźwięk zatrzaskiwanej szafki. Wysoki skowyt otwieracza do puszek. Wreszcie odgłos otwieranych i zamykanych drzwi garażu. A potem w domu nie było już nikogo. Stał pusty w majowym słońcu, tak jak owego sierpniowego dnia poprzedniego roku, gdy czekał na przybycie nowych ludzi… i jak w przyszłości będzie czekał na następnych, może młode małżeństwo, bezdzietne (lecz z nadzieją zmiany tego stanu); radosnych nowożeńców gustujących w winie Mondavi i piwie Löwenbräu; on będzie kierował działem kredytów w Banku Północno-Wschodnim, ona szczycić się będzie uprawnieniami higienistki dentystycznej albo może trzyletnim doświadczeniem w asystowaniu okuliście. On będzie rąbał drwa na kominek,

ona – w sztruksowych spodniach z wysoką talią – wybierze się na spacer po polu pani Vinton, zbierając wiotkie listopadowe trawy i układając z nich bukiet, z włosami związanymi w koński ogon, najjaśniejsza istota pod szarym niebem, kompletnie nieświadoma faktu, że w górze, unoszony prądami powietrza, szybuje niewidzialny Sęp. Będą gratulowali sobie braku przesądów i błyskawicznego wyłapania tego domu mimo jego ponurej historii – będą opowiadać przyjaciołom, że dostali go za grosze, i żartować na temat mieszkającego na strychu ducha, a potem wszyscy wypiją jeszcze jedno löwenbräu albo kolejny kieliszek mondavi, i może zagrają w backgammona albo mille bourne.

I może też sprawią sobie psa.

61

Louis przystanął na miękkim poboczu, czekając, aż przejedzie ciężarówka Orinco, wyładowana nawozami sztucznymi, po czym przeszedł przez drogę do domu Juda. Tuż za nim wlókł się jego cień, wskazując dokładnie na zachód. Louis trzymał w dłoni otwartą puszkę kociej karmy.

Church dostrzegł go i usiadł, nie spuszczając zeń czujnych żółtych oczu.

– Cześć, Church – powiedział Louis, mierząc wzrokiem cichy dom. – Chcesz coś przekąsić?

Postawił puszkę na masce chevette i patrzył, jak Church zeskakuje lekko z dachu i zabiera się do jedzenia. Louis wsunął dłoń do kieszeni kurtki. Church obejrzał się na niego, niespokojny, jakby czytał mu w myślach. Louis uśmiechnął się i odsunął od samochodu. Kot znów zaczął jeść, a Louis wyjął z kieszeni strzykawkę. Rozerwał opakowanie i napełnił ją siedemdziesięcioma pięcioma miligramami morfiny. Schował ampułkę z powrotem i podszedł do Churcha, który znów obejrzał się nieufnie. Louis uśmiechnął się do kota.

– No dalej, jedz, Church. ***Hey-ho, let's go***, zgadza się? – Pogłaskał go, poczuł, jak plecy zwierzęcia wyginają się w łuk, a kiedy Church wrócił do przerwanego posiłku, Louis złapał go za śmierdzący

brzuch i zatopił igłę głęboko w zadzie.

Kot oszalał. Wił się, wyrywał, prychał i drapał, lecz Louis trzymał go, naciskając do końca tłoczek. Dopiero wtedy wypuścił zwierzę. Church zeskoczył z chevette, sycząc jak czajnik na gazie; żółte oczy zmierzyły Louisa wściekłym, mściwym spojrzeniem. Gdy kot skakał, wbita w zad strzykawka podskakiwała wraz z nim. Po sekundzie wypadła i stłukła się. Louis nie przejął się tym. Miał ich więcej.

Kot pobiegł ku drodze. Nagle zawrócił i jakby sobie coś przypomniał, ruszył ku domowi. Zdołał pokonać pół dystansu, gdy zaczął zataczać się jak pijany. Z trudem dotarł do schodów, wskoczył na pierwszy stopień i spadł. Leżał na boku na kawałku nagiej ziemi u stóp schodów na werandę, oddychając coraz słabiej.

Louis zajrzał do chevette. Jeśli prócz kamienia, który zastąpił mu serce, potrzebował jeszcze jakichś dowodów, to właśnie je znalazł: torebka Rachel na siedzeniu, jej apaszka i plik biletów lotniczych wysypujących się z folderu linii lotniczych Delta.

Gdy się odwrócił i ruszył ku werandzie, bok Churcha przestał gwałtownie wznosić się i opadać. Church był martwy. Po raz drugi.

Louis przeszedł nad nim i ruszył po schodach.

– Gage?

W przedsionku na dole było zimno. Zimno i ciemno. Słowo runęło w tę ciszę niczym kamień ciśnięty w głąb studni. Louis rzucił następny.

– Gage?

Nic. Nawet tykanie zegara w salonie ucichło. Tego ranka nie było nikogo, kto mógłby go nakręcić.

Ale na podłodze widniały ślady.

Louis poszedł do salonu. W pokoju unosiła się woń papierosów, stara i zastała. Tuż przy oknie ujrzał fotel Juda. Był odsunięty, jakby jego właściciel wstał nagle. Na parapecie znajdowała się popielniczka, a w niej równy wałeczek popiołu.

Jud siedział tu i czekał. Na co? Oczywiście na mnie; czekał, aż wrócę do domu. Tyle że mnie nie zauważył. Jakimś cudem mnie nie zauważył.

Zerknął na cztery puszki piwa, ustawione w równym rządku. Za mało, by go uśpić, ale może musiał iść do łazienki. Tak czy inaczej, było to nieco zbyt piękne, by było przypadkowe, prawda?

Zabłocone ślady zbliżyły się do fotela. Między nimi dostrzegł kilka bladych, widmowych odcisków kocich łap, zupełnie jakby Church kilkakrotnie wdepnął w błoto, pozostawione przez buciki Gage'a. Potem ślady skręcały w stronę wahadłowych drzwi, wiodących do kuchni.

Z bijącym mocno sercem Louis podążył za nimi.

Pchnął drzwi i ujrzał rozrzucone stopy Juda, jego stare zielone drelichowe spodnie, kraciastą flanelową koszulę. Stary mężczyzna leżał na plecach w wielkiej kałuży krzepnącej krwi.

Louis przycisnął dłonie do twarzy, jakby chciał przesłonić ów widok, bez powodzenia. Ujrzał oczy, oczy

Juda, otwarte, oskarżycielskie. Może nawet oskarżały samego siebie za to, że zapoczątkował to wszystko?

Ale czy naprawdę to zrobił? – zastanawiał się Louis. Czy rzeczywiście to zrobił?

Judowi powiedział o tym Stanny B., Stanny'emu B. – jego ojciec, a ojcu Stanny'ego B. jego ojciec, ostatni handlarz futer, prowadzący interesy z Indianami, Francuz z północy, w czasach gdy Franklin Pierce wciąż był prezydentem.

– Och, Jud, tak mi przykro – szepnął.

Martwe oczy Juda patrzyły na niego.

– Tak mi przykro – powtórzył Louis.

Jego stopy zaczęły poruszać się bez udziału woli. Myślami powrócił do ostatniego Święta Dziękczynienia. Nie wieczoru, gdy wraz z Judem zanieśli kota na Cmętarz Zwieżąt i dalej, lecz obiadu, indyka przyrządzonego przez Normę. Wszyscy troje śmiali się i rozmawiali; mężczyźni pili piwo, a Norma – kieliszek białego wina. Norma wyciągnęła wtedy z dolnej szuflady biały batystowy obrus, tak jak on teraz, tyle że ona położyła go na stole i przytrzymała na miejscu pięknymi cynowymi świecznikami, podczas gdy on…

Louis patrzył, jak tkanina wydyma się i opada na ciało Juda niczym czasza spadochronu, litościwie zakrywając martwą twarz. Niemal natychmiast na białym batyście wystąpiły pierwsze plamki głębokiej, najgłębszej czerwieni.

– Przykro mi – powiedział po raz trzeci. – Tak bardzo

mi przy…

I wtedy coś poruszyło się nad jego głową, coś zaskrzypiało, i ostatnie słowo zamarło mu na ustach. Dźwięk był cichy, ukradkowy, lecz niewątpliwie rozmyślny. O tak, Louis był tego pewien. On miał usłyszeć ten dźwięk.

Jego ręce tak bardzo pragnęły zadrżeć, lecz nie pozwolił im na to. Podszedł do kuchennego stołu, przykrytego kraciastą ceratą, i sięgnął do kieszeni. Wyjął z niej trzy jednorazowe strzykawki, zdarł z każdej papierowe opakowanie i ułożył w starannym rządku. Następnie wyciągnął trzy ampułki i napełnił każdą strzykawkę dawką morfiny wystarczającą, by zabić konia – albo byka Hanratty'ego, gdyby zaszła taka konieczność. Wreszcie znów schował je do kieszeni.

Wyszedł z kuchni, przeciął salon i zatrzymał się u stóp schodów.

– Gage? – zawołał.

Gdzieś pośród cieni na górze odezwał się chichot – zimny, pozbawiony radości dźwięk, od którego Louisowi przebiegł dreszcz po plecach.

Ruszył na górę.

Wędrówka po schodach trwała wieczność. Potrafił sobie wyobrazić kogoś, komu podobny marsz wydaje się równie długi (i przerażająco krótki): skazańca idącego na szafot ze związanymi na plecach rękami, który wie, że zsika się, kiedy nie będzie już mógł gwizdać.

W końcu dotarł na podest. Uparcie wbijał wzrok w

ścianę; jedną dłoń trzymał w kieszeni. Ile czasu tak stał? Nie wiedział. Czuł, jak jego umysł powoli osuwa się w szaleństwo. Było to prawdziwe, namacalne uczucie, bardzo interesujące. Wyobraził sobie, że podobnie czuje się przygniecione ciężarem szadzi drzewo – jeśli drzewa w ogóle coś czują – podczas potężnej burzy, tuż przed tym, nim się złamie.

– Gage, chcesz jechać ze mną na Florydę? – zawołał wreszcie.

Znów ten chichot.

Louis odwrócił się i ujrzał swoją żonę, której kiedyś zaniósł w zębach różę. Leżała w połowie korytarza. Była martwa. Nogi miała rozrzucone tak jak Jud; głowa i plecy opierały się o ścianę pod dziwnym kątem. Wyglądała jak kobieta, która zasnęła, czytając w łóżku.

Ruszył ku niej.

Witaj, kochanie, pomyślał. Wróciłaś.

Rozbryzgana na tapecie krew tworzyła bezsensowne kształty. Rachel została dźgnięta dziesięć, może dziesiątki razy. Jego skalpelem.

Nagle zobaczył ją, naprawdę ją zobaczył, i zaczął krzyczeć.

Jego przeraźliwe krzyki odbijały się echem i rozchodziły po domu, w którym mieszkała już i krążyła tylko śmierć. Wrzeszczał, wybałuszając oczy, wrzeszczał z poczerwieniałą twarzą i zjeżonymi włosami; dźwięki wyrywały się z jego spuchniętego gardła niczym piekielne dzwony, upiorne wrzaski, zwiastujące nadejście

szaleństwa. Nagle jego umysł zalały potworne wizje. Widział Victora Pascowa, umierającego na podłodze w przychodni, Churcha, wracającego do domu ze skrawkiem zielonej folii na wąsach, baseballową czapeczkę syna na drodze, pełną krwi; lecz przede wszystkim istotę, którą dostrzegł w pobliżu Moczarów Małego Boga, istotę, która powaliła drzewo, istotę o żółtych oczach, Wendigo, stwora z północnej krainy, martwą istotę, wzbudzającą ohydne żądze.

Rachel nie zginęła tak po prostu.

Coś ją… coś ją zaatakowało.

(! KLIK !)

Ostatni dźwięk rozległ się w jego głowie. Był to odgłos przepalającego się przełącznika, zgrzyt na zawsze zablokowanej dźwigni, huk pioruna trafiającego wprost w cel, dźwięk otwierających się drzwi.

Tępo uniósł wzrok, z krzykiem wciąż wibrującym w gardle, i wreszcie ujrzał Gage’a z twarzą wysmarowaną krwią, ociekającym krwią podbródkiem i ustami wygiętymi w piekielnym uśmiechu. W dłoni trzymał skalpel Louisa.

Gdy nim machnął, Louis cofnął się bez namysłu. Skalpel śmignął tuż obok jego twarzy i Gage się zachwiał. Jest równie niezdarny jak Church, pomyślał Louis, kopniakiem zwalając go z nóg. Gage upadł niezgrabnie; nim zdążył wstać, Louis rzucił się na niego. Usiadł na nim, kolanem przyciskając do podłogi dłoń trzymającą skalpel.

– Nie – wydyszała istota pod nim. Jej twarz wykrzywiała się i marszczyła, oczy lśniły mściwym blaskiem, niemal owadzie w swej bezmyślnej nienawiści. – Nie, nie, nie…

Louis rozpaczliwie sięgnął po strzykawkę. Będzie musiał działać szybko. Ta rzecz pod nim była jak natłuszczona ryba i nie chciała wypuścić skalpela, choćby nie wiem jak mocno naciskał jej przegub. Jej twarz zdawała się falować i zmieniać: na oczach Louisa stała się twarzą Juda, patrzącą martwo przed siebie; powgniatanym, strzaskanym obliczem Victora Pascowa z wywróconymi oczami; lustrzanym odbiciem jego własnej twarzy, upiornie bladej i szalonej. A potem zmieniła się raz jeszcze i Louis ujrzał oblicze istoty w lesie – niskie czoło, martwe żółte oczy, długi, spiczasty, rozdwojony język, uśmiechnięte, syczące usta.

– Nie, nie, nie-nie-nie…

Stwór szarpnął się pod nim. Strzykawka wyleciała Louisowi z dłoni i odturlała się na bok. Sięgnął po następną, wyjął ją i wbił dokładnie w krzyż Gage’a.

Istota wrzasnęła; jej ciało podskoczyło i wstrząsnęło się gwałtownie, o mało go nie zrzucając. Z głuchym pomrukiem Louis wyciągnął trzecią strzykawkę; tym razem wbił igłę w ramię Gage’a i natychmiast przycisnął tłoczek do oporu. Potem zeskoczył z ciała i powoli zaczął cofać się korytarzem. Gage wolno dźwignął się z ziemi i potykając się, ruszył ku niemu. Po pięciu krokach skalpel wypadł mu z ręki; upadł ostrzem w dół i wbił się w

drewno. Drżał przez chwilę. Dziesięć kroków i dziwne żółte światło oczu zaczęło gasnąć. Dwanaście i stwór upał na kolana.

Teraz Gage spojrzał na niego i przez moment Louis ujrzał swego syna – prawdziwego syna – z nieszczęśliwą, przepełnioną cierpieniem twarzą.

– Tato! – krzyknął i upadł.

Przez moment Louis stał bez ruchu. Wreszcie podszedł do Gage'a, ostrożnie, spodziewając się jakiegoś podstępu. Nie było jednak żadnego podstępu, żadnego rzucania się naprzód z zakrzywionymi jak szpony dłońmi. Louis fachowo przesunął palcami po gardle Gage'a, znalazł puls i przytrzymał. Po raz ostatni w życiu odegrał lekarza, śledzącego puls aż do samego końca, gdy nie było już nic, ani w środku, ani na zewnątrz.

Kiedy serce stwora zatrzymało się wreszcie, Louis wstał i chwiejnie pomaszerował korytarzem aż pod ścianę. Przykucnął tam, kuląc się w kącie, coraz mocniej i mocniej. Odkrył, że może stać się jeszcze mniejszy, wsuwając kciuk do ust i zrobił to.

Siedział tak ponad dwie godziny… a potem, stopniowo, w jego umyśle pojawił się mroczny, lecz jakże pociągający pomysł. Louis wyciągnął kciuk z ust. Rozległo się ciche mlaśnięcie. Wstał

(hey-ho, let's go)

i zabrał się do pracy.

W sypialni, w której ukrywał się Gage, Louis zdjął z łóżka prześcieradło i wyniósł je na korytarz. Łagodnie, z

miłością owinął nim ciało żony. Nucił, choć sam o tym nie wiedział.

Benzynę znalazł w garażu Juda: pięć galonów w czerwonym kanistrze obok kosiarki. Wystarczy aż nadto. Zaczął w kuchni, gdzie Jud wciąż leżał pod świątecznym obrusem. Louis dokładnie oblał go benzyną, po czym, z otwartym kanistrem, przeszedł do salonu, rozbryzgując bursztynowy płyn po dywanie, kanapie, stojaku z gazetami, krzesłach, i dalej, korytarzem na dół, do tylnej sypialni. W powietrzu unosiła się woń benzyny, ostra i przenikliwa.

Zapałki Juda leżały na paczce papierosów obok fotela, na którym pełnił swą daremną wartę. Louis zabrał je. Stanął w drzwiach frontowych, cisnął za siebie zapaloną zapałkę i wyszedł. Natychmiast omiotła go gwałtowna fala gorąca; miał wrażenie, że od rozgrzanego podmuchu skurczyła mu się skóra na karku. Starannie zamknął drzwi. Tylko przez moment zatrzymał się na werandzie, obserwując pomarańczowe rozbłyski za zasłonami Normy. Już przy schodach ponownie przystanął, wspominając piwa, wypijane tu z Judem milion lat wcześniej i słuchając miękkiego, narastającego pomruku ognia.

Potem odszedł.

62

Steve Masterton pokonał ostatni zakręt przed domem Louisa i niemal natychmiast dostrzegł dym. Nie dochodził on z domu Creedów, lecz z domostwa starego pryka po drugiej stronie drogi.

Steve przyjechał tego ranka, bo martwił się o Louisa, i to bardzo. Charlton opowiedziała mu o wczorajszym telefonie Rachel i to sprawiło, że zaczął się zastanawiać, gdzie podziewa się Louis… i co robi.

Troska, choć niesprecyzowana, dręczyła go – wiedział, że nie poczuje się lepiej, póki nie pojedzie tam i nie sprawdzi, czy u Creedów wszystko w porządku – przynajmniej na tyle, na ile pozwalały okoliczności.

Nadejście prawdziwej wiosny jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki opróżniło przychodnię i Surrendra kazał mu jechać, obiecując, że sam zajmie się wszystkimi nowymi pacjentami. Toteż Steve wskoczył na swoją hondę, którą zaledwie dzień wcześniej wypuścił z garażu, i ruszył w stronę Ludlow. Może nieco zbyt mocno dodawał gazu, lecz cały czas dręczył go niejasny lęk, a wraz z nim absurdalne przeczucie, że jest już za późno. Oczywiście to bzdura, lecz tak samo czuł się zeszłej jesieni, gdy doszło do całej sprawy z Pascowem – uczucie przykrego zaskoczenia i ciężkiego jak ołów zawodu. Nigdy nie był religijny (w college’u Steve przez dwa lata

należał do Towarzystwa Ateistycznego; wystąpił z niego, dopiero gdy opiekun powiedział mu – prywatnie i w głębokim sekrecie – że przynależność ta może poważnie zaszkodzić jego szansom otrzymania stypendium medycznego), ale przypuszczał, iż, jak każda ludzka istota, odziedziczył po swych przodkach niewielką biologiczną czy może biorytmiczną zdolność przewidywania przyszłości dzięki przeczuciom. Według Steve'a śmierć Pascowa w jakiś sposób zdołała nadać ton całemu rokowi. A nie był to dobry rok. Dwóch krewniaków Surrendry w ojczyźnie trafiło do więzienia ze względów politycznych, a Surrendra mówił, iż obawia się, że jeden z nich – wuj, którego bardzo kochał – może już nie żyć. To rzekłszy, zapłakał i widok łez na jego zwykle pogodnej hinduskiej twarzy przeraził Steve'a. Matka Charlton przeszła mastektomię i przełożona pielęgniarek niezbyt optymistycznie oceniała jej szanse na długie, szczęśliwe życie. Sam Steve od czasu śmierci Pascowa był już na czterech pogrzebach – szwagierki, która zginęła w kraksie samochodowej, kuzyna, zabitego w niezwykłym wypadku, będącym efektem zakładu w barze (został porażony prądem, kiedy udowadniał, że potrafi wspiąć się na sam szczyt słupa wysokiego napięcia), jednego z dziadków i oczywiście synka Louisa.

Poza tym lubił Louisa. Chciał się upewnić, że nic mu nie jest. Ostatnio Louis przeszedł prawdziwe piekło.

Gdy ujrzał kłęby dymu, pierwsze, co przyszło mu do głowy, to myśl, iż oto nastąpił kolejny wypadek, za który

winę ponosi Victor Pascow – jakby w akcie umierania zniszczył barierę zaporową dzielącą zwykłych ludzi od niezwykłego pasma nieszczęść. Był to jednak niemądry pomysł, a najlepszy dowód stanowił dom Louisa – spokojny i cichy, przykład prostej architektury Nowej Anglii, połyskiwał bielą w porannym słońcu.

Jacyś ludzie biegli w kierunku domu starego i kiedy Steve zjechał motorem na drugą stronę drogi, skręcając na podjazd Louisa, ujrzał wbiegającego na sąsiednią werandę mężczyznę, który zbliżył się do drzwi frontowych i natychmiast cofnął. I całe szczęście: w chwilę później środkowa szyba drzwi eksplodowała i z otworu wylały się płomienie. Gdyby dureń faktycznie otworzył drzwi, wybuch upiekłby go jak homara.

Steve zsiadł z hondy i wysunął podpórkę, na moment zapominając o Louisie. Jego uwagę przyciągnęła odwieczna tajemnica ognia. Wokół zgromadziło się pół tuzina ludzi; oprócz niedoszłego bohatera, który wciąż tkwił na trawniku Crandallów, reszta zachowywała pełen szacunku dystans. Teraz eksplodowały okna między werandą i domem. W powietrzu wirowały szklane drzazgi. Niedoszły bohater uskoczył i rzucił się do ucieczki. Płomienie ogarnęły wewnętrzną ścianę werandy niczym zachłanne ręce; białą farbę pokryły pęcherze. Na oczach Steve’a jeden z rattanowych foteli zaczął dymić i stanął w ogniu.

Ponad trzask wybił się piskliwy, absurdalnie radosny okrzyk niedoszłego bohatera:

– Już po domu! Nie ocalimy go! Jeśli Jud tam jest, to już po nim! Setki razy ostrzegałem go przed kreozotem w kominie!

Steve otwierał właśnie usta, by krzyknąć, żeby ktoś wezwał straż pożarną, kiedy usłyszał odległe zawodzenie syren, i to wielu. Ktoś zdążył zawiadomić straż, lecz niedoszły bohater miał rację: domu nie dałoby się już ocalić. Płomienie wystrzeliwały z kilku rozbitych okien, a zielone gonty frontowego ganku otoczyła niemal przejrzysta błona ognia.

Nagle Steve przypomniał sobie o Louisie i odwrócił się – ale gdyby Louis był w domu, czy nie pobiegłby na drugą stronę?

I w tym momencie dostrzegł coś samym kącikiem oka.

Za wyasfaltowanym podjazdem Louisa rozciągała się łąka, tworząca długie, łagodne nachylone zbocze. Tymotka, choć wciąż jeszcze jasnozielona, wyrosła wysoko, lecz Steve dostrzegł ścieżkę, przystrzyżoną równie starannie jak trawa na polu golfowym. Kręta dróżka wiodła na szczyt wzgórza, biegnąc na spotkanie gęstego, ciemnego lasu, który zaczynał się tuż nad horyzontem. I właśnie tam, w miejscu gdzie jasna zieleń tymotki przechodziła w ciemniejsze, gęstsze leśne poszycie, Steve dostrzegł jakiś ruch – przebłysk bieli, który zdawał się przesuwać. Zniknął niemal natychmiast po tym, jak zarejestrowało go oko, ale Steve odniósł wrażenie, że przez moment widział mężczyznę, niosącego

biały tłumok.

To był Louis, oznajmił jego umysł z nagłą irracjonalną pewnością. To był Louis i lepiej biegnij po niego, i to szybko, bo stało się coś bardzo złego, a niedługo wydarzy się coś jeszcze gorszego. Jeśli go nie powstrzymasz.

Stanął niezdecydowanie na końcu podjazdu, przebierając nogami. Jego ciało kołysało się niepewnie.

Steve, mój mały, robisz w gacie ze strachu, prawda?

Owszem, robił. Był śmiertelnie przerażony i to bez żadnego powodu. Ale czuł też jakieś dziwne… dziwne

(przyciąganie)

tak, przyciąganie. Ta ścieżka, wiodąca na szczyt i może dalej, w głąb lasu. Musiała przecież dokądś prowadzić. Oczywiście. Wszystkie ścieżki dokądś zmierzają.

Louis. Nie zapominaj o Louisie, durniu. To z nim przyjechałeś się zobaczyć. Nie przybyłeś do Ludlow, żeby badać jakieś pieprzone lasy.

– Co tam masz, Randy? – zawołał niedoszły bohater. Jego głos, przenikliwy i pełen optymizmu, znakomicie niósł się w powietrzu.

Jękliwe zawodzenie syren niemal zupełnie zagłuszyło odpowiedź Randy’ego.

– Martwego kota.

– Spalonego?

– Nie wygląda na spalonego – odparł Randy. – Po prostu zdechł.

A umysł Steve’a natychmiast powrócił do tego, co widział bądź zdawało mu się, że widział – zupełnie jakby rozmowa po drugiej stronie drogi miała z tym coś wspólnego. ***To był Louis.***

Ruszył truchtem ścieżką w stronę lasu, zostawiając za sobą pożar. Nim dotarł między drzewa, zdążył solidnie się spocić i cień wydał mu się cudownie chłodny. W powietrzu czuć było słodką woń sosen i jodeł, żywicy i kory.

Już w lesie puścił się prawdziwym biegiem, nie wiedząc, dlaczego tak mu spieszno, czemu serce tłucze się w piersi. Oddech ze świstem ulatywał mu z ust. Kiedy ścieżka opadła, zdołał nawet przyspieszyć do sprintu – droga była niezwykle wyraźna – ale pod łukowate wejście na Cmętarz Zwieżąt dotarł już tylko szybkim marszowym krokiem. Wysoko na prawym boku, tuż pod pachą, chwyciła go kolka.

Jego oczy ledwie zarejestrowały kręgi grobów, prostokąty rozprostowanej blachy z puszek, kawałki desek i łupku. Całą uwagę skupił na niezwykłym widoku po drugiej stronie kolistej polany. To był Louis, wspinający się na wiatrołom, najwyraźniej wbrew wszelkim prawom grawitacji. Wchodził na stromy stos drewna powoli, krok za krokiem, spoglądając wprost przed siebie niczym człowiek poddany hipnozie lub spacerujący we śnie. W ramionach trzymał biały tłumok, który Steve dojrzał wcześniej kątem oka. Z tak bliska nie dałoby się z niczym pomylić jego kształtu – to był trup.

Spod tkaniny wystawała jedna stopa, obuta w czarny pantofel na niskim obcasie. I Steve z nagłą, przerażającą pewnością pojął, iż Louis dźwiga Rachel.

Włosy Louisa zupełnie zbielały.

– Louis! – krzyknął Steve.

Tamten nie zawahał się, nie zatrzymał. Dotarł na szczyt wiatrołomu i natychmiast zaczął schodzić z drugiej strony.

Zaraz upadnie, myślał mętnie Steve. Dotąd miał szczęście, niewiarygodne szczęście, ale wkrótce spadnie i jeśli złamie tylko nogę…

Louis jednak nie upadł. Dotarł na drugą stronę wiatrołomu, na chwilę zniknął Steve'owi z oczu, po czym znów się ukazał, maszerował w stronę lasu.

– Louis! – ryknął ponownie Steve.

Tym razem Louis zatrzymał się i odwrócił.

Steve nie mógł wykrztusić ani słowa, wstrząśnięty tym, co zobaczył. Pod białymi włosami twarz Louisa była twarzą starego człowieka.

Z początku w jego oczach nie dostrzegł zainteresowania, zupełnie jakby tamten go nie poznawał. Pojawiło się stopniowo, jak gdyby ktoś powoli przekręcał opornik w jego mózgu. Usta Louisa zadrżały. Po chwili Steve pojął, że tamten próbuje się uśmiechnąć.

– Steve – powiedział niepewnym, załamującym się głosem. – Witaj, Steve. Zamierzam ją pochować. Chyba będę musiał to zrobić gołymi rękami. To może potrwać aż do zmroku. Tamtejsza ziemia jest bardzo kamienista. Nie

przypuszczam, żebyś zechciał mi pomóc?

Steve otworzył usta, lecz nie dobył się z nich żaden dźwięk. Mimo zdumienia i przerażenia odkrył, że rzeczywiście chce mu pomóc. Z jakiejś przyczyny tu, w tym lesie, zdawało się to całkiem rozsądne… zupełnie naturalne.

– Louis – wykrztusił w końcu – co się stało? Chryste Panie, co się stało? Czy ona… czy zginęła w pożarze?

– Z Gage'em zwlekałem za długo – ciągnął Louis. – Coś w niego wstąpiło, bo za długo zwlekałem. Ale z Rachel będzie inaczej, Steve. Ja to wiem.

Zachwiał się lekko i Steve ujrzał, że jego przyjaciel oszalał – ujrzał to bardzo wyraźnie. Louis był szalony i koszmarnie zmęczony. Z niewiadomych przyczyn jednak tylko to drugie miało jakiekolwiek znaczenie dla jego własnego, oszołomionego umysłu.

– Przydałaby mi się pomoc – powiedział Louis.

– Louis, nawet gdybym chciał ci pomóc, nie zdołałbym wspiąć się na ten stos drewna.

– Ależ tak – odparł Louis. – Zdołałbyś. Trzeba tylko stąpać pewnie i nie patrzeć w dół. To cały sekret, Steve.

Potem odwrócił się i choć Steve wykrzyknął jego imię, Louis ruszył naprzód i zagłębił się w las. Przez kilka chwil Steve'owi wydawało się, że dostrzega między drzewami błysk bieli; później i on zniknął.

Steve podbiegł do wiatrołomu i zaczął się wspinać, nie zastanawiając się nawet, co robi. Najpierw starał się wdrapywać na czworakach, wyszukując rękami uchwyty,

po chwili jednak wstał. Wtedy ogarnęło go szaleńcze podniecenie – zupełnie jakby odetchnął czystym tlenem. Wierzył, że mu się uda – i udało się. Stąpając szybko i pewnie, dotarł na szczyt. Stał tam przez moment, kołysząc się lekko i patrząc, jak Louis wędruje ścieżką – ścieżką, która zaczynała się na nowo u stóp wiatrołomu.

Louis odwrócił się i spojrzał na Steve'a. W ramionach trzymał żonę, zawiniętą w zakrwawione prześcieradło.

– Możesz usłyszeć jakieś dźwięki – powiedział. – Brzmią jak głosy, ale naprawdę to tylko nury na południu Wzgórza Widokowego. Dźwięk daleko się niesie. Jest dziwny.

– Louis…

Ale Louis już odszedł.

Przez moment Steve o mało nie poszedł za nim – był tego bardzo, bardzo bliski.

Mógłbym mu pomóc, jeśli naprawdę tego chce… i pragnę mu pomóc, o tak, taka jest prawda, bo dzieje się tu coś więcej, niż się zdaje, a ja chcę wiedzieć co. Mam wrażenie, że to bardzo… no cóż… bardzo ważne. To sekret. Tajemnica.

I wtedy pod jego nachyloną ukośnie stopą pękła gałązka, z suchym, zgrzytliwym trzaskiem przypominającym wystrzał z pistoletu startowego. Dźwięk ten sprowadził go z powrotem na ziemię, do tego, gdzie jest i co dokładnie robi. Ogarnęła go gwałtowna fala paniki. Odwrócił się chwiejnie, wymachując rękami, by utrzymać równowagę. Usta i gardło oblepił mu gęsty

strach; twarz wykrzywiła się w grymasie przerażenia, jak u człowieka, który ocknął się ze snu, by odkryć, że nieświadomie zawędrował na skraj dachu wieżowca.

Ona nie żyje i myślę, że Louis chyba ją zabił, Louis oszalał, kompletnie oszalał, ale...

Ale było tu coś jeszcze, coś gorszego niż szaleństwo; znacznie, znacznie gorszego. Zupełnie jakby gdzieś w tych lasach tkwił ukryty magnes, który przyciągał umysł Steve'a. Próbował ściągnąć go w miejsce, do którego Louis zabierał Rachel.

No dalej, stary, chodź… chodź tą ścieżką i przekonaj się, dokąd prowadzi. Mamy ci tam do pokazania różne rzeczy, Steverino, rzeczy, o których nigdy ci nie mówiono na spotkaniach Towarzystwa Ateistycznego w Lake Forest.

A potem, może dlatego, że miejsce to miało już dość pożerania jak na jeden dzień, jego zew w umyśle Steve'a po prostu ucichł. Steve zrobił dwa chwiejne, niepewne kroki z powrotem w dół wiatrołomu. Nagle kolejne gałęzie ze zgrzytem i trzaskiem ustąpiły pod jego ciężarem i lewa stopa wpadła między splątane martwe drzewa; ostre drzazgi zdarły z niej adidasa, a kiedy z trudem wyrwał stopę, wbiły się głęboko w jego ciało. Głową naprzód runął na Cmętarz Zwieżąt, o włos unikając zderzenia z kawałkiem skrzynki po pomarańczach, który z łatwością mógł wbić mu się w brzuch.

Zerwał się na nogi i oszołomiony obejrzał za siebie,

zastanawiając się, co się z nim stało… i czy w ogóle cokolwiek się stało. Nawet wtedy wszystko to zaczynało przypominać sen.

I wtedy z głębokiej puszczy za wiatrołomem, puszczy tak gęstej, że nawet w najjaśniejsze dni panował w niej jedynie mętny, zielony półmrok, dobiegł go niski, złowieszczy chichot. Był donośny, ogłuszający. Steve nie potrafił wyobrazić sobie stworzenia, które mogłoby wydać z siebie podobny odgłos.

Rzucił się biegiem, z jedną stopą bosą, a drugą obutą, niczym chłopczyk z dziecięcej rymowanki. Próbował krzyczeć, lecz z jego gardła nie dobył się żaden głos. Wciąż biegł, gdy dotarł do domu Louisa i wciąż próbował wrzeszczeć, kiedy w końcu zdołał uruchomić motor i wypadł na trasę numer 15, gdzie o mało nie zderzył się z nadjeżdżającym z Bangor wozem strażackim. Pod kaskiem ochronnym jego włosy jeżyły się ze strachu.

Nim dotarł do swego mieszkania w Orono, fakt, że w ogóle pojechał do Ludlow, zdążył już zatrzeć się w jego pamięci. Zadzwonił do przychodni, oznajmił, że jest chory, zażył pigułkę i położył się spać.

Steve Masterton nigdy tak naprawdę nie zdołał przypomnieć sobie tego dnia… chyba że w głębokim śnie, takim, jaki nadchodzi nad ranem. Wówczas w snach wyczuwał, że obok niego przecisnęło się coś wielkiego – coś, co sięgnęło ku niemu… a potem, w ostatniej sekundzie, cofnęło swą nieludzką rękę.

Coś o ogromnych żółtych oczach, świecących niby

reflektory przeciwmgielne.

Czasami Steve budził się z krzykiem, wybałuszając oczy; myślał wówczas: Wydaje ci się, że krzyczysz, ale naprawdę to tylko głosy nurów na południu Wzgórza Widokowego. Dźwięk daleko się niesie. Jest dziwny.

Nie wiedział jednak, nie mógł sobie przypomnieć, co oznaczają podobne myśli. W rok później przyjął pracę w St. Louis, po drugiej stronie kraju.

Od chwili gdy ostatni raz ujrzał Louisa Creeda, aż do wyjazdu na Środkowy Zachód, Steve ani razu nie postawił nogi w miasteczku Ludlow.

Epilog

Policja zjawiła się późnym popołudniem. Zadawali pytania, ale nie wspominali o żadnych podejrzeniach. Popioły były wciąż gorące, zbyt gorące, by w nich grzebać. Louis odpowiedział na wszystko, o co go pytali. Sprawiali wrażenie zadowolonych. Rozmawiali na dworze, a on miał na głowie kapelusz. To dobrze. Gdyby ujrzeli jego siwe włosy, mogliby mieć więcej pytań. To nie byłoby dobre. Na dłonie wsunął rękawice ogrodowe. Tak też było dobrze. Ręce miał zniszczone i zakrwawione.

Cały wieczór stawiał pasjanse. Już dawno minęła północ.

Właśnie na nowo rozkładał karty, gdy usłyszał, jak otwierają się tylne drzwi.

Co kupisz, to twoje, a to, co twoje, wcześniej czy później do ciebie wróci, pomyślał Louis Creed.

Nie odwracał się. Patrzył w karty, podczas gdy powolne, ciężkie kroki zbliżały się coraz bardziej. Dostrzegł damę pik. Położył na niej dłoń.

Kroki zatrzymały się tuż za nim.

Cisza.

Na ramię Louisa spadła zimna ręka. Głos Rachel brzmiał zgrzytliwie, była w nim ziemia.

– Kochanie – powiedziała.